KOLEKCJA LITERATURY KLASYCZNEJ

*James Cooper*

# Ostatni Mohikanin

James Cooper

# Ostatni Mohikanin

Konwersja:

*Niech cię nie zraża kolor mojej skóry,*
*Ciemnej odziewy palącego słońca.*
Szekspir
„Kupiec wenecki”

# WSTĘP

Czytelnik, który weźmie do ręki tą książkę, by szukać w niej barwnego opisu fantastycznych wydarzeń, odłoży ją rozczarowany. Jest ona bowiem tylko tym, co zapowiada karta tytułowa: opowieścią. Często jednak mówi się w niej o rzeczach na ogół mało znanych, zwłaszcza kobietom — czytelniczkom o bujniejszej wyobraźni od mężczyzn. Może się zdarzyć, że panie zechcą czytać tę książkę, błędnie biorąc ją za romans. Autor musi więc, zresztą we własnym interesie, wytłumaczyć pewne historyczne niejasności. Gorzkie doświadczenie skłania go do tego obowiązku. Nieraz bowiem przekonał się, że wystarczy oddać dzieło pod bezwzględny sąd ogółu, a wszyscy i każdy z osobna, nawet najwięksi ignoranci, w jakiś intuicyjny najwidoczniej sposób, wiedzą więcej od samego autora. Trudno jednak zaprzeczyć, że żadnemu twórcy nie wyjdzie na dobre, gdy czytelnik (lub widz) swobodnie puści wodze swej fantazji. Dlatego należy starannie wyjaśnić wszystko, co można. To sprawi tylko przyjemność tym czytelnikom, którzy wolą się cieszyć z książek, a nie z ich zakupu. Po tym wstępnym wyjaśnieniu, czemu na samym progu swego dzieła musiał powiedzieć tyle niezrozumiałych słów, autor przystępuje do rzeczy. Nie powie, bo i nie trzeba mówić, niczego, o czym nie wiedziałby ktoś jako tako obeznany z przeszłością Indian.

Największą trudnością dla tego, kto chce poznać historię Indian, jest zamieszanie w nazwach. Jeśli się jednak pamięta, że Holendrzy, Anglicy i Francuzi jako kolonizatorzy Ameryki Północnej walnie przyczynili się do tego zamieszania, że sami Indianie nie tylko mówią różnymi językami, lecz używają różnych dialektów, które chętnie wzbogacają na swój sposób — można żałować, że takie trudności powstały, lecz nie trzeba się

im dziwić. Jeśli więc książka ta nie jest wolna od innych wad, to jej niejasności należy położyć na karb przytoczonych przez nas faktów.

Europejczycy stwierdzili, że olbrzymie przestrzenie między Penobscot a Potomakiem, Atlantykiem a Missisipi należały do plemion wywodzących się z tego samego pnia. Te rozległe granice mogły tu i ówdzie rozszerzyć się lub skurczyć pod naciskiem sąsiednich plemion. W ogólnym jednak zarysie Atlantyk i wspomniane rzeki wyznaczały obszar zamieszkały przez naród powszechnie zwany Wapanachkami. On jednak wolał nazywać się Lenni Lenapami, co oznacza „naród czystej krwi". Autor nie czuje się na siłach, by wyliczyć wszystkie wspólnoty, plemiona i szczepy tego narodu. Każde plemię miało swą nazwę, wodzów, tereny łowieckie i często odrębny dialekt. Jak feudalne księstwa w Starym Świecie, plemiona walczyły ze sobą i korzystały z szeroko pojętej niezależności. Lecz mimo wszystko przyznawały się do wspólnego pochodzenia, mówiły podobnym językiem, miały takie same zwyczaje, wiernie przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jedna gałąź tego licznego narodu osiadła nad piękną rzeką znaną pod nazwą Lenapewihittuck i tu, za ogólną zgodą, powstał „Długi Doim" albo „Ognisko Wielkiej. Rady".

Krajem, na który składała się południowo-zachodnia część dzisiejszej Nowej Anglii, połać stanu New York na wschód od Hudsonu i szmat ziemi nieco dalej na południe, władało możne plemię zwane Mahicanni albo po prostu — Mohikanie. Anglicy przekręcili tę nazwę na Mohegan.

Plemię Mohikanów, które też dzieliło się na szczepy, uważało się za starsze od sąsiadów — posiadaczy „Długiego Domu". Choć ta pretensja była sporna, chętnie przyznawano im tytuł „najstarszego syna praojców". Mohikanie byli pierwszym plemieniem wyzutym przez białych z ojczystej ziemi. Ich resztki wegetują jeszcze rozsiane wśród innych plemion i nic już im nie pozostało z dawnej potęgi i wielkości prócz smętnych wspomnień.

Plemię, które strzegło świętego obrębu „Długiego Domu”, przez wiele lat nosiło zaszczytną nazwę Lenapów. Ale gdy Anglicy zmienili nazwę rzeki na Delawar, nazwa ta stopniowo przeszła i na plemię. Jednakże Indianie między sobą wyczuwają subtelną różnicę tych nazw. Te nieuchwytne dla białych odcienie, których pełno w języku Indian, nadają mu niezwykłego wyrazu, a często patosu i oratorskiej swady.

Na północ od Lenapów, na wiele setek mil wzdłuż ich granicy, żył inny naród, który pochodził z tego samego pnia, mówił tym samym językiem i podobnie się dzielił. Sąsiedzi zwali go Mengwe. Ten północny, dziki naród był jednak słabszy i nie tak zwarty jak Lenapowie; chcąc więc dorównać swym potężnym sąsiadom, pięć najbardziej wojowniczych i najliczniejszych plemion, zamieszkujących w pobliżu domu narad swych wrogów, zawarło sojusz obronny.Była to więc najstarsza Republika Związkowa, o jakiej wspomina historia Ameryki Północnej. Plemiona te nazywały się: Mohawk, Oneida, Seneka, Kajuga i Onondaga. Później na pełnych prawach przyjęto do tego związku koczownicze, pokrewne plemię, które odeszło „bliżej ku słońcu”. To plemię (Tuskarora) tak powiększyło związek, że Anglicy zmienili pierwotną nazwę „Związek Pięciu Narodów” na „Związek Sześciu Narodów”. W toku opowieści czytelnik przekona się, że określenie „naród” czasem stosuje się do plemienia, czasem do narodu w najszerszym pojęciu tego słowa. Indianie sąsiadujący z plemieniem Mengwów nazywali je Makaami, a nieraz obelżywie — Mingami. Francuzi przezwali je Irokezami, przekręciwszy zapewne jedną z indiańskich nazw.

Znana jest niewątpliwie prawdziwa i niesławna historia, jak Holendrom z jednej strony, a Mengwom z drugiej udało się skłonić Lenapów do odłożenia broni i powierzenia obrony swych granic sąsiadom. Po tym czynie Indianie w swym obrazowym języku przezwali Lenapów „babami”. Od tego czasu zaczyna się upadek największego i najbardziej cywilizowanego plemienia Indian, mieszkającego w granicach dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Rabowane przez białych, mordowane i prześladowane przez dzikich, jakiś czas trwało jeszcze przy

ognisku narad, by wreszcie rozpaść się na małe grupki i szukać schronienia w głuchych puszczach zachodu. Sława tego plemienia, jak płomień gasnącej lampy, rozbłysła najjaśniej u jego schyłku.

Dużo jeszcze można by powiedzieć o tym interesującym narodzie, zwłaszcza o jego najnowszych dziejach; ale nie należy to do naszej opowieści. Wraz ze śmiercią wielebnego i czcigodnego Heckweldera zgasło niewyczerpane źródło wiadomości o Indianach. Jest to strata niepowetowana, bo nikt o nich tyle co on nie wiedział. Heckwelder nie szczędził czasu i sił sprawie Indian. Z wielkim zapałem bronił imienia tego narodu i starał się podnieść moralne warunki jego egzystencji.

Po tym krótkim wstępie autor oddaje książkę czytelnikowi. Rzetelność, a przynajmniej szczerość każe mu jednak radzić młodym damom, których życie zamyka się w czterech ścianach ich wygodnych salonów, wrażliwym kawalerom w podeszłym wieku i wreszcie duchownym, którzy zechcą czytać tę książkę, by poniechali tego zamiaru. Młode damy opowieść ta zgorszy, kawalerom spędzi sen z powiek, a wielebni księża mogą z pożytkiem zająć się czym innym.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Uszy i serce gotowe na wszystko:*
*Najgorsza strata doczesna, więc mów,*
*Czylim ufracił królestwo?*

Szekspir

Trudy i niebezpieczeństwa pochodu przez puszczę — z którymi wojska obu stron musiały się uporać, zanim nareszcie stanęły naprzeciw siebie — stanowiły szczególną cechę wojen toczonych w koloniach północno-amerykańskich. Rozległe i niemal nieprzebyte lasy dzieliły posiadłości wrogich sobie prowincji Francji i Anglii. Mężny kolonista i najemny żołnierz europejski walczący u jego boku tracili nieraz całe miesiące na pokonywanie bystrego nurtu rzeki i dzikich przesmyków górskich, zanim mogli okazać swe męstwo na polu bitwy. Jednakże to współzawodnictwo w cierpliwości i ofiarności z wytrawnymi wojownikami indiańskimi nauczyło ich przezwyciężać wszelkie przeszkody. Wydawało się nawet, że z czasem nie będzie tak mrocznego leśnego zakątka czy utajonego zacisza, które by nie zaznało najazdu ludzi, gotowych poświęcić życie dla zaspokojenia chęci zemsty lub dla dogodzenia bezdusznej i samolubnej polityce monarchów dalekiej Europy.

W szerokim pasie granicznym dzielącym skłócone prowincje chyba żaden okręg nie był wówczas widownią bardziej jaskrawych okrucieństw i zacieklej szych walk niż okolice leżące między źródłami Hudsonu i pobliskimi jeziorami.

Teren tak tutaj sprzyjał ruchom wojsk, że tej dogodności Ofiarowanej przez samą przyrodę walczący nie mogli lekceważyć. Wydłużona powierzchnia jeziora Champlain, sięgającego od granic Kanady w głąb sąsiedniego stanu New York, tworzyła naturalny szlak poprzez połowę tej przestrzeni, którą Francuzi musieli przebyć, by uderzyć na nieprzyjaciela. Jezioro to w pobliżu swego południowego krańca pobiera wody z innego jeziora, o toni tak przejrzystej, że jezuici-misjonarze wybrali je do obrządku symbolicznego obmywania przy sakramencie chrztu, co zjednało mu nazwę Du Saint Sacrement. Anglicy pod tym względem mniej gorliwi, uznali, że dostatecznie zaszczycą przejrzyste wody jeziora nazywając je imieniem swego panującego króla, drugiego z dynastii hanowerskiej. W ten sposób oba narody połączyły swe wysiłki, by obrabować niecywilizowanych właścicieli tego lesistego kraju z ich naturalnego prawa nazywania jeziora pierwotnym mianem Horican.

Otoczone górami wody tego Świętego Jeziora wijąc się obmywają niezliczone wysepki i ciągną się jeszcze ze trzy tuziny mil na południe. Dalszą drogę przegrodził im płaskowyż, wędrowiec musi więc przenieść czółno około dwunastu mil, by dostać się nad brzeg Hudsonu, skąd — mimo zwykłych przeszkód w postaci progów lub „wybojów”, jak się to wówczas nazywało w miejscowym narzeczu — rzeka jest już żeglowna aż do ujścia.

Łatwo pojąć, że Francuzi, których niezmordowana przedsiębiorczość i śmiałe plany atakowania wroga przywiodły nawet w odległe i niedostępne góry Alleghany, ze swą przysłowiową bystrością umysłu musieli ocenić naturalne dogodności opisanego przez nas terenu, sprzyjającego działaniom wojennym. Toteż stał się on krwawą areną wielu bitew, jakie stoczono o władanie koloniami. W różnych miejscach panujących nad dogodnymi przejściami wznoszono forty, które zdobywano i oddawano, równano z ziemią i odbudowywano, zależnie od zmiennych kolei wojny. Spokojni osadnicy uchodzili wówczas z tych niebezpiecznych szlaków i

chronili się w dawniej założonych siedzibach, a armie liczniejsze od tych, które w ich ojczystych krajach często decydowały o losach tronów, zagłębiały się w puszczach. Wracały zaś najczęściej zdziesiątkowane, wynędzniałe lub przybite klęską gromady szkieletów ludzkich. Tak więc, choć ten nieszczęsny kraj nie znał błogosławieństwa pokoju, jego lasy ożywiała obecność ludzi, cieniste zakątki i górskie polany rozbrzmiewały wojskową muzyką, a góry — echem śmiechu lub swawolnego okrzyku niejednego dzielnego i beztroskiego młodzieńca, który przebiegał je pełen wigoru, by wkrótce zapaść w wieczysty sen zapomnienia.

Na tej arenie krwawych zapasów w trzecim roku ostatniej wojny między Anglią i Francją o władanie krajem, którego żadnemu z tych państw nie było sądzone utrzymać, zaszły wypadki, opisane w naszej powieści.

Nieudolność dowódców wojsk zamorskich i zgubny brak energii sfer rządzących Anglią osłabiły jej dumną, dominującą pozycję w świecie, do której wzniosła się dzięki talentom i przedsiębiorczości dawnych swych wodzów i mężów stanu. Słudzy tego państwa, którzy przestali budzić strach w jego wrogach, niebawem stracili zaufanie do samych siebie. Koloniści zaś, choć nie byli winni słabości Wielkiej Brytanii i choć zbyt mało znaczyli, by mogli przyczynić się do jej błędów, stali się naturalnymi ofiarami tego bolesnego poniżenia.

Właśnie niedawno widzieli, jak wyborowa armia kraju, który czcili niby matkę i ślepo uważali za niezwyciężony, prowadzona przez wodza wybranego dla swych wyjątkowych zdolności militarnych spośród wielu wytrawnych i doświadczonych wojskowych, została sromotnie pobita przez garstkę Francuzów i Indian. Od zupełnej zagłady ocaliła ją tylko zimna krew i przytomność umysłu pewnego młodzieńca z Wirginii, którego sława dojrzewała z biegiem lat i dzięki jego cnotom rozszerzyła się aż po najodleglejsze zakątki chrześcijańskiego świata.

Po owym niespodziewanym nieszczęściu rozległa granica leżała otworem i zanim nadeszły dalsze, rzeczywiste klęski, poprzedziły je fantastyczne pogłoski o tysiącu urojonych

niebezpieczeństw. Przerażonym kolonistom wydawało się, że każdemu gwałtownemu podmuchowi wiatru z bezkresnych lasów na zachodzie towarzyszą przenikliwe wrzaski Indian. Bezlitosny charakter tego nieubłaganego wroga białych osadników znacznie powiększał naturalne okropności wojny. W pamięci kolonistów żyły jeszcze niedawne liczne rzezie.

W całym kraju chciwie słuchano wstrząsających opowieści o okropnych nocnych morderstwach, w których dzicy odgrywali główną i najbardziej barbarzyńską rolę. Kiedy łatwowierni podróżnicy z przejęciem opowiadali o najeżonych niebezpieczeństwami gąszczach leśnych, ludziom lękliwym krew zastygała w żyłach, a matki spoglądały z obawą na dzieci, spokojnie śpiące w bezpiecznym ukryciu największych miast. Słowem, strach wyolbrzymiający niebezpieczeństwa brał górę nad głosem rozsądku i ludzi, którzy winni byli pamiętać o swej godności, zamieniał w niewolników najniższych instynktów. Nawet najbardziej ufne i śmiałe serca zwątpiły w pomyślny wynik wojny, toteż z godziny na godzinę rosła godna pogardy grupa ludzi, którym wydawało się, że widzą już, jak ich chrześcijańscy wrogowie panują nad wszystkimi posiadłościami korony angielskiej w Ameryce i jak pustoszy je bezlitosny sojusznik tych wrogów.

Gdy więc do fortu leżącego na południowym krańcu płaskowzgórza, które rozciąga się między rzeką Hudson a jeziorami, dotarła wiadomość, że do jeziora Champlain zbliża się generał Montcalm na czele armii tak licznej jak „liście na drzewach”, załoga fortu przyjęła tę wieść nie z dumną radością, jaką winien odczuwać żołnierz w obliczu wroga, lecz tchórzliwie i niechętnie. W połowie lata, pod wieczór pewnego dnia, przybiegł z tą wiadomością goniec-Indianin przynosząc jednocześnie naglącą prośbę pułkownika Munro, komendanta jednego z fortów nad brzegami Świętego Jeziora, o szybkie nadesłanie mu znacznych posiłków. Jak już wspomnieliśmy, forty te dzieliła odległość około dwunastu mil. Początkowo łączyła je trudna do przebycia ścieżka, poszerzona później dla przejazdu wozów, tak że przestrzeń, którą syn puszczy przebył

w dwie godziny, oddział wojskowy z całym taborem mógł łatwo przejść w lecie w ciągu jednego dnia. Wierni słudzy brytyjskiego tronu nazwali jeden z tych leśnych fortów William Henry, drugi zaś Edward, od imion ulubionych książąt z panującego domu. Wspomniany już weteran, Szkot, komendant pierwszego z tych fortów, miał pod sobą pułk wojsk regularnych i garstkę miejscowych oddziałów składających się z kolonistów, co było stanowczo za mało, by stawić czoło wielkim siłom, które Montcalm wiódł ku szańcom usypanym z ziemi. W drugim forcie natomiast, na czele garnizonu liczącego ponad piąć tysięcy ludzi, stał generał Webb, dowodzący wojskami króla w północnych stanach. Gdyby generał połączył podlegające mu oddziały, mógłby niemal podwoić swe siły i przeciwstawić je śmiałemu Francuzowi, który odważył się tak znacznie oddalić od swych odwodów, i to z niewiele liczniejszą armią.

Jednakże przygnębieni niepowodzeniami dowódcy i ich żołnierze woleli czekać na groźnego przeciwnika za wałami fortów zamiast śmiało powtórzyć udany wypad Francuzów z fortu du Quesn i powstrzymać pochód nieprzyjaciela zadając mu cios w czasie marszu.

Gdy osłabło już pierwsze wrażenie wywołane wspomnianą wiadomością, po umocnionym obozie, który leżał wzdłuż brzegu Hudsonu i tworzył zewnętrzny pas obwarowań właściwego fortu, rozeszła się pogłoska, że półtoratysięczny oddział wyborowych żołnierzy ma o świcie wyruszyć do fortu William Henry, leżącego na północnym krańcu płaskowzgórza. Pogłoska wkrótce przerodziła się w pewność, gdyż z kwatery dowódcy wydano paru oddziałom rozkaz przygotowania się do szybkiego wymarszu. Teraz plany Webba były już jasne. Przez następną godzinę lub dwie w obozie, panował rozgardiasz i wszędzie widziało się zatroskane twarze. Nowicjusze w sztuce wojennej niespokojnie biegali po całym obozie, przesadną gorliwością sami sobie przeszkadzali w przygotowaniach do wymarszu, natomiast doświadczeni żołnierze czynili je z namysłem, pogardliwie traktując nawet najmniejszy pozór

pośpiechu. Jednakże ich obojętne twarze i niespokojne spojrzenia wyraźnie zdradzały brak żołnierskiego zapału do — jak dotąd — nie znanej im i strasznej wojny w puszczy. Wreszcie słońce w złocistej aureoli zaszło za odległe wzgórza na zachodzie, a w miarę jak zmrok osnuwał swym welonem samotne obozowisko, cichły odgłosy przygotowań do wymarszu. Niebawem zgasły ostatnie światła w drewnianych chatkach oficerów, drzewa rzuciły gęsty cień na wały i szumiącą rzekę i w całym obozie zapanowała cisza równie głęboka jak w rozległych, otaczających go lasach.

Ledwie na wschodzie, na pogodnym, czystym niebie poczęły występować w brzasku wstającego dnia niewyraźne kształty paru najbliższych wysokich sosen, ciężki sen wojska — zgodnie z rozkazami wydanymi poprzedniego dnia — przerwało donośne warczenie bębnów. W świeżym rannym powietrzu jego echo odezwało się w każdym zakątku lasów. W jednej chwili cały obóz zawrzał życiem. Nawet ostatni ciura obozowy zerwał się ze swego posłania, by przyjrzeć się wyjściu żołnierzy, podzielić ogólne podniecenie i uczestniczyć w wydarzeniach tego ranka. Niebawem wyznaczony oddział był już gotów do wymarszu. Wyćwiczeni najemnicy króla z oddziałów regularnych stanęli ' z dumnymi minami na prawym skrzydle, a skromniejsi od nich koloniści, od dawna przywykli do uległości, zajęli pośledniejsze miejsce po lewej stronie. Pierwsi wyruszyli zwiadowcy. Silny konwój otoczył ciężkie wozy taborowe i zanim promienie słońca rozproszyły szare światło ranka, główne siły oddziału w zwartej kolumnie opuściły obóz. Tęgie miny maszerujących i ich bojowa postawa uspokoiły nieco obawy drzemiące w niejednym nowicjuszu, który jeszcze nie wąchał prochu. Żołnierze odchodzącego oddziału zachowywali dumną postawę i przepisowy szyk dopóty, dopóki maszerowali przed podziwiającymi ich towarzyszami. Wreszcie dźwięk piszczałek zaczął zamierać w oddali i puszcza wchłonęła tę żywą masę ludzi, powoli wkraczających w jej gęstwinę.

Poranny wietrzyk nie niósł już nadsłuchującym ludziom odgłosów oddalającej się, niewidocznej kolumny, a ostatni

maruder zniknął z oczu kolegów pozostałych w obozie. Przed największą i najwygodniejszą chatą, wokół której przechadzali się wartownicy strzegący angielskiego generała, wciąż trwały przygotowania do odjazdu. Przywiedziono tu z pół tuzina koni. Przynajmniej dwa z nich, jak można było wnosić z siodeł, przeznaczone były dla kobiet z wyższej sfery, której przedstawicielki rzadko widywało się w głębi puszczy. Pod siodłem trzeciego konia widać było ozdobny czaprak z inicjałami oficera sztabu, pozostałych zaś, okrytych prostymi derkami i objuczonych sakwami, najwidoczniej miała dosiąść służba, gotowa już do odjazdu i czekająca na rozkazy państwa. W należytej odległości od miejsca tego niezwykłego widowiska stało kilka grup gapiów. Jedni rozkoszowali się widokiem wojskowego rumaka pełnej krwi, inni ciekawie, z tępym, prostackim podziwem przyglądali się przygotowaniom do odjazdu. Był jednak między nimi człowiek, który swym zachowaniem i wyrazem twarzy różnił się od reszty gapiów, nie wyglądał bowiem ani na próżniaka, ani na nieuka.

Chociaż wcale nieułomny, był nadzwyczaj niezgrabny. Ciało i kości miał takie jak każdy normalny człowiek, ale brak im było właściwych proporcji. Gdy stał, przewyższał otoczenie, gdy siedział — malał do normalnych rozmiarów. Ta sama dysproporcja członków cechowała całą jego postać. Głowę miał dużą, ramiona wąskie, ręce długie i obwisłe, a dłonie małe, prawie delikatne, nogi i biodra szczupłe, niemal wychudłe, ale za to niezwykłej długości. Kolana można by uważać za potwornie wielkie, gdyby nie jeszcze większy fundament, na którym tak nieumiejętnie wzniesiono ten wadliwy gmach, powstały z pomieszania stylów budowy ludzkiego ciała. Źle dobrany i bezsensowny strój jeszcze bardziej uwydatniał niezgrabność tego człowieka. Jasnobłękitny surdut z szerokimi, krótkimi połami i niskim, obszernym kołnierzem ukazywał długą, cienką szyję oraz znacznie dłuższe i cieńsze nogi, co ludziom złośliwym dawało powód do kąśliwych uwag krytycznych. Wąskie, opinające ciało spodnie z żółtego nankinu zaciśnięte były pod guzłami kolan białymi, dobrze wysłużonymi

i brudnymi wstążkami, zawiązanymi na szerokie kokardy. Ciemne bawełniane pończochy oraz trzewiki, z których tylko jeden zdobiła posrebrzana ostroga, uzupełniały dolną część ubioru tego człowieka, który, czy to przez naiwność, czy też przez próżność, nawet najmniejszym szczegółem nie złagodził kanciastych linii swej postaci, lecz raczej je podkreślił. Spod klapy olbrzymiej kieszeni przybrudzonego brokatowego surduta, suto ozdobionego wyblakłym srebrnym galonem, wystawał jakiś przedmiot, który w tak marsowym zestawieniu łacno wziąłbyś za niebezpieczny i nieznany oręż. Wprawdzie ten niezwykły przedmiot był bardzo mały, budził jednak ciekawość tych żołnierzy w obozie, którzy przybyli z Europy, natomiast koloniści posługiwali się nim nie tylko bez obawy, ale i z największą wprawą. Całość stroju nieznajomego wieńczył ogromny miejski kapelusz, jakie od trzydziestu lat nosili pastorzy, dodając powagi dobrodusznej i nieco bezmyślnej twarzy, której właściciel widocznie potrzebował takiej pomocy, aby nadać sobie wygląd osoby piastującej wysoki i niezwykły urząd.

Ale gdy prości żołnierze z należytym szacunkiem trzymali się z dala od kwatery Webba, opisany przez nas osobnik śmiało wkroczył w sam środek służby i bez żenady począł ganić lub chwalić konie, zależnie od tego, czy mu się podobały, czy też nie.

— To zwierzę, jak wnoszę, mój przyjacielu, nie jest tutejszego chowu i pochodzi z obcych krajów, a być może, z owej małej wyspy za błękitną wodą — mówił głosem w tym samym stopniu budzącym uwagę łagodnym miękkim brzmieniem, co jego postać niezwykłymi proporcjami członków. — Mogę mówić o tych rzeczach bez przechwałek, ponieważ byłem w obu portach: w tym, który leży przy ujściu Tamizy i nosi nazwę stolicy Starej Anglii, oraz w tym, co zwie się „Portem” z dodatkiem słowa „Nowy”. Widziałem tam szniawy i brygantyny, które uzupełniały swe tabuny — podobnie jak Noe, gdy zbierał zwierzęta do arki — i udawały się na wyspę Jamajkę, aby kupczyć czworonożnymi zwierzętami, lecz nigdy przedtem nie

widziałem stworzenia, które by tak bardzo usprawiedliwiało biblijny opis bojowego rumaka: „Kopie dół, a weseli się w mocy swej i bieży przeciwko zbrojnym. Śmieje się z postrachu, a ani się lęka, ani nazad ustępuje przed ostrzem miecza, choć na nim chrzęści sajdak i błyszczy się oszczep i drzewce. Z grzmotem i gniewem kopie ziemię, a nie stoi spokojnie na głos trąby. Między trąbami poryza, a z daleka czuje bitwę, krzyki książąt i wołanie”. Wydaje się więc, że rasa izraelskiego konia dochowała się aż do naszych czasów, czyż nie tak, przyjacielu?

Nie otrzymawszy odpowiedzi na swą niezwykłą przemowę, prawdę mówiąc godną odrobiny Uwagi dla żywości stylu, człowiek śpiewnie mówiący językiem Pisma świętego odwrócił się do milczącej postaci, do której kierował swe słowa, i gdy spojrzał na nią, odkrył nowy i jeszcze bardziej niezwykły przedmiot podziwu. Jego wzrok bowiem padł na nieruchomą, wyprostowaną postać Indianina, gońca, który poprzedniego wieczoru przybiegł do obozu z niepokojącymi wiadomościami. Mimo iż dziki rozkoszował się wypoczynkiem, z właściwą Indianom obojętnością i pogardą nie zwracając uwagi na ogólne podniecenie i obozową krzątaninę, przez jego spokój przezierała ponura zaciekłość, zdolna przyciągnąć uwagę oczu bardziej doświadczonych od tych, które teraz bacznie i z nie ukrywanym zdziwieniem spoglądały na niego. Indianin był wprawdzie uzbrojony zarówno w tomahawk, jak i nóż swego plemienia, jednakowoż nie bardzo wyglądał na wojownika. Znać na nim było jakieś zaniedbanie, być może na skutek niedawnego wielkiego wysiłku, po którym nie zdążył jeszcze przyjść do siebie. Farby wojennego malowidła zamazały się na jego srogiej twarzy i nadały smagłym rysom wyraz bardziej dziki i odpychający, niż gdyby sztuka miała wyrazić to, co sprawił przypadek. Jedynie oko, błyszczące jak gwiazda wśród nisko nawisłych chmur, zachowało naturalną dzikość. Na krótką chwilę badawcze, chociaż ostrożne spojrzenie' Indianina spotkało się ze zdziwionym wzrokiem nieznajomego, potem zmieniło kierunek i częściowo z przebiegłości, a częściowo z pogardy znieruchomiało, jakby chciało przeniknąć horyzont.

Nie można przewidzieć, jaką nieoczekiwaną uwagę, białego wywołałoby to krótkie i milczące zetknięcie się spojrzeń, gdyby jego nienasycona ciekawość nie zwróciła się w innym kierunku. Ogólne poruszenie wśród służby oraz delikatne kobiece głosy zapowiedziały zbliżanie się osób, na które czekano, by ruszyć w drogę. Prostoduszny wielbiciel bojowego rumaka natychmiast podszedł do niskiej, chuderlawej kobyły z wyleniałym ogonem, która o parę kroków dalej skubała zwiędłą trawę obozowiska. Oparłszy się łokciem o derkę, która najwidoczniej pełniła rolę siodła, przyglądał się odjazdowi kawalkady, a tymczasem po drugiej stronie kobyły jej źrebię spokojnie spożywało pierwsze śniadanie.

Młody mężczyzna w mundurze oficera prowadził ku wierzchowcom dwie niewiasty, które, wnosząc ze stroju, starannie przygotowały się do trudów podróży przez puszczę. Jedna z nich, z postaci młodsza, aczkolwiek obie były młode, przelotnie ukazała ciekawym spojrzeniom olśniewającą białość cery, jasnozłote włosy i błękitne oczy, albowiem beztrosko pozwoliła rannemu wietrzykowi odsunąć na bok zielony długi szal, zwisający z jej filcowego kapelusza. Różowy odblask, wciąż jeszcze widoczny na zachodzie nieba tuż nad wierzchołkami sosen, nie był ani jaśniejszy, ani delikatniejszy od rumieńców na jej policzkach, a wstający dzień nie był piękniejszy od radosnego uśmiechu, którym obdarzyła młodego mężczyznę, gdy dopomógł jej usadowić się w siodle. Druga niewiasta, którą młody oficer darzył nie mniejszą uwagą, ukrywała swą urodę przed spojrzeniami żołnierzy ze starannością zrozumiałą u osoby starszej od swej towarzyszki o cztery czy pięć lat. Jednakże można było zauważyć, że jej kształty, których wdzięku nie przysłonił podróżny strój, były pełniejsze i dojrzalsze, choć nie mniej piękne od kształtów jej towarzyszki.

Gdy obie kobiety dosiadły koni, ich towarzysz lekko wskoczył w siodło swego wierzchowca i cała trójka skłoniła się Webbowi, który, stojąc na progu swego domku, uprzejmie czekał na ich odjazd. Następnie odjeżdżający zawrócili i lekkim truchtem skierowali się na czele swego orszaku ku północnej bramie

obozu. W czasie tej krótkiej drogi nikt z nich nie odezwał się słówkiem, jedynie młodszej z niewiast wyrwał się lekki okrzyk, gdy goniec indiański niespodziewanie prześliznął się obok niej i stanął na czele kawalkady, właśnie wjeżdżającej na drogę wojskową. Na ten gwałtowny i niepokojący ruch Indianina druga z niewiast wprawdzie nie krzyknęła, ale tak ją to zaskoczyło, że pozwoliła rozchylić się fałdom swego szala, co zdradziło trudne do opisania spojrzenie jej ciemnych oczu: wyrażały one na przemian litość, podziw i strach, w miarę jak biegły za zwinnymi ruchami dzikiego. Warkocze tej kobiety były lśniące i czarne jak pióra kruka. Jej cera wprawdzie nie była śniada, a jednak wydawało się, że lada chwila krew tryśnie z rumieńców na jej policzkach. W tej wyjątkowo pięknej twarzy o rysach niezwykle regularnych i szlachetnych nie było nic pospolitego ani rażącego. Uśmiechnęła się, jakby żałując swej chwilowej słabości, i ukazała rząd zębów, które mogłyby rywalizować z najpiękniejszą kością słoniową, a później, poprawiwszy szal, opuściła głowę i jechała w milczeniu, jak ktoś, kto myślami błądzi daleko.

# ROZDZIAŁ DRUGI

*Sola, sola, ho ho, sola!*

Szekspir

Gdy jedyna z z miłych istot — tak pobieżnie opisanych naszym czytelnikom — zatopiona była w myślach, druga, ta, która przed chwilą krzyknęła, szybko ochłonęła *z* wrażenia i śmiejąc się z własnych obaw zapytała jadącego obok niej młodzieńca:

— Czy tego rodzaju upiory często spotyka się w puszczy, Heywardzie? A może to widowisko było przygotowane dla nas?

Jeśli tak, wdzięczność nakazuje nam zamknąć usta, jeśli zaś jest to postać często spotykana w puszczy, zarówno Kora, jak i ja musimy sięgnąć po zapas wrodzonej odwagi, którą się tak szczycimy, zanim' spotkamy się z groźnym Montcalmem.

— Ten Indianin jest gońcem wojskowym i zgodnie ze zwyczajami swego ludu może uchodzić za bohatera — odparł oficer. — Sam zgłosił gotowość przeprowadzenia nas do jeziora mało znaną ścieżką, niewątpliwie szybciej i o wiele przyjemniej, niż gdybyśmy postępowali za wlokącą się kolumną.

— On mi się nie podoba — odrzekła młoda kobieta wzdrygając się nie tyle z udanego, co prawdziwego strachu. — Oczywiście zna go pan, Duncanie, inaczej nie powierzyłbyś mu tak łatwo pieczy nad swą osobą.

— Proszę raczej powiedzieć, Alicjo, że nie powierzyłbym mu pieczy nad panią. Oczywiście, znam go, bo w przeciwnym wypadku nie ufałbym mu, przynajmniej w tej chwili. Mówią o

nim, że pochodzi z Kanady, lecz mimo to służył naszym przyjaciołom, Mohawkom, którzy, jak pani wie, są jednym z sześciu sprzymierzonych narodów. Jak słyszałem, sprowadził go do nas jakiś dziwny przypadek, w który był zamieszany pani ojciec i w którym bardzo ostro postąpiono z tym Indianinem, jednakże te historyjki uleciały mi już z pamięci; dość że dziś jest naszym przyjacielem.

— Jeżeli był wrogiem mojego ojca, jeszcze mniej mi się podoba! — zawołała dziewczyna, tym razem naprawdę zaniepokojona. — Majorze Heyward, czy nie zechciałby pan przemówić do niego, bym usłyszała jego głos? Może się to wydać głupie, ale nieraz mówiłam panu, że poznaję charakter ludzi po ich głosie.

—Daremny trud: prawdopodobnie odpowie jakimś krótkim okrzykiem. Bo choć może i zrozumie pytanie, uda, jak większość jego rodaków, że nie zna angielskiego. Zwłaszcza teraz nie zniży się do mówienia po angielsku, kiedy uważa, iż wojna wymaga od niego wykazania największej dumy. Ale przystanął, pewnie jesteśmy blisko ukrytej ścieżki, którą mamy jechać.

Domysł majora Heywarda był słuszny. Gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie stał Indianin i wskazywał na gąszcz leśny obrzeżający drogę wojskową, dostrzegli wąską i ledwie widoczną ścieżynkę, z trudem mogącą pomieścić jedną osobę.

— A więc to jest nasza droga — półgłosem, powiedział młody mężczyzna. — Proszę nie okazać najmniejszej nieufności, bo może pani wywołać niebezpieczeństwo, którego się pani obawia.

— Co o tym myślisz, Koro? — niezdecydowanie zapytała piękna kobieta. — Gdybyśmy jechały razem z wojskiem, towarzystwo to mogłoby nas znużyć, ale chyba czułybyśmy się bezpieczniej.

— Zbyt mało zna pani zwyczaje dzikich ludzi, Alicjo, i dlatego nie zdajesz sobie sprawy, gdzie grozi prawdziwe niebezpieczeństwo — rzekł Heyward. — Jeżeli nieprzyjaciel wszedł na wyżynę, co moim zdaniem nie jest możliwe,

albowiem nasi zwiadowcy już tam dotarli, z pewnością zjawi się tani, gdzie będzie mógł okrążyć kolumnę, w której znajdzie najwięcej skalpów. Droga, którą posuwa się oddział, jest znana, natomiast nikt nie wie, że jedziemy tędy — ścieżką, którą wybraliśmy zaledwie godzinę temu.

— Czyż mamy nie wierzyć człowiekowi tylko dlatego, że jego zwyczaje różnią się od naszych lub że ma ciemną skórę? — chłodnym tonem zapytała Kora.

Alicja już się nie wahała i mocno zadąwszy swego narragansetta pierwsza odchyliła ha bok cienkie gałązki krzaków i ruszyła za Indianinem mroczną i krętą ścieżyną. Młody mężczyzna z nie ukrywanym zachwytem spojrzał na Korę i począł troskliwie torować jej drogę, pozwalając jej pięknej, choć na pewno nie piękniejszej towarzyszce jechać samej przed nimi. Służba, widocznie pouczona wcześniej, zamiast przedzierać się przez gęstwinę, pojechała dalej drogą obraną przez wojsko. Była to ostrożność — jak stwierdził Heyward — podjęta za radą doświadczonego przewodnika. Chodziło o to, by nie pozostawić po sobie zbyt dużo śladów, na wypadek gdyby kanadyjscy Indianie wysforowali się tak daleko przed Francuzów. Uciążliwa droga, którą teraz jechali, dość długo nie pozwalała na prowadzenie rozmów, ale później jeźdźcy wynurzyli się z szerokiego pasa krzewów zarastających skraje gościńca i wjechali pod wysokie, lecz mroczne sklepienie lasu. Tu ich ruchy były już mniej skrępowane, toteż gdy przewodnik ujrzał, że kobiety mogą swobodnie kierować końmi, ruszył naprzód krokiem pośrednim między kłusem a stępem, z szybkością, która utrzymywała pewnie stąpające i niezwykłe wierzchowce obu niewiast w tempie szybkiego, lecz nie męczącego truchtu. Młody mężczyzna zwrócił się właśnie ku czarnookiej Korze chcąc nawiązać rozmowę, gdy za nimi rozległ się stukot podków o korzenie krętej dróżki i skłonił go do wstrzymania konia. W tej samej chwili obie kobiety również ściągnęły cugle i cała kawalkada przystanęła, by dowiedzieć się, kto ich goni.

W parę chwil potem ujrzeli źrebaka mknącego niby łania między strzelistymi pniami sosen, a za nim ukazał się człowiek opisany w poprzednim rozdziale, jadący z taką szybkością, do jakiej mógł zmusić swą szkapę bez obawy, że wpadnie z nią w jawny konflikt. Aż dotąd jego osoba uszła uwagi podróżnych. Jeśli udawało mu się ściągnąć na siebie przelotne spojrzenie, gdy stojąc ukazywał całą wspaniałość swego wzrostu, jego wdzięki jako jeźdźca budziły jeszcze większe zainteresowanie. Mimo że bezustannie bódł piętą uzbrojoną w ostrogę bok kobyły, nie mógł z niej wydobyć nic ponad kanterburski galop, wykonywany tylko tylnymi nogami, w który wpadały czasem na krótko również i przednie kończyny, aczkolwiek — ogólnie biorąc — poprzestawały one na trzęsącym kłusie. Ta szybka zmiana kroku mamiła wzrok, a to złudzenie jakby potęgowało siły zwierzęcia; toteż nawet Heyward, który oko miał bystre i znał się na koniach, mimo swej przenikliwości nie mógł określić, w jakim właściwie tempie ścigający go jeździec tak wytrwale przedziera się krętą ścieżyną.

Ruchy jeźdźca i jego gorliwość były tak samo godne podziwu jak gorliwość i ruchy konia. Przy każdej nowej ewolucji wierzchowca jeździec prostował swą wysoką postać w strzemionach i nienaturalnie wydłużając nogi, to gwałtownie rósł, to znów malał w oczach, tak że nie można było wyrobić sobie sądu o jego prawdziwym wzroście. Jeśli do tego dodamy, że jeden bok kobyły, stale kłuty ostrogą, wydawał się posuwać prędzej niż drugi i że na ten poszkodowany bok uporczywie wskazywało bezustanne chlastanie wiechciowatego ogona — będziemy mieli wierny obraz konia i jeźdźca.

Na widok nieznajomego zmarszczki, które „sfałdowały piękne, otwarte i męskie czoło Heywarda, zaczęły się wygładzać, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Alicja wcale nie usiłowała ukryć rozbawienia i nawet ciemne, zadumane oczy Kory zabłysły wesołością, którą tłumiła tylko dla zachowania pozorów.

— Czy pan kogoś szuka? — zapytał Heyward, kiedy jeździec zbliżył się i wstrzymał konia. — Nie jest pan chyba zwiastunem

złej nowiny?

— Oczywiście — krótko odparł obcy, wachlując się w dusznym leśnym powietrzu trój graniastym filcowym kapeluszem i nie kwapiąc się wyjaśnić, na które z pytań odpowiada. Gdy jednak ochłodził już twarz i odsapnął, dodał: — Słyszałem, że państwo udają się do fortu William Henry. Ja też tam jadę, sądziłem przeto, że podróż w dobranym towarzystwie będzie odpowiadała obu stronom.

— Przyznaje pan sobie przywilej decydującego głosu — odparł Heyward. — Nas jest troje, a pan zasięgnął tylko własnej opinii;

— Oczywiście. Przede wszystkim trzeba wyrobić sobie własne zdanie. Gdy się już powzięło decyzję — a tam, gdzie w grę wchodzą kobiety, nie bywa to łatwe — należy ją wykonać. Tak się też stało i oto jestem.

— Jeżeli pan zmierza w kierunku jeziora, zmylił pan drogę — wyniośle odparł Heyward. — Droga, która tam wiedzie, została co najmniej pół mili za nami.

— Oczywiście — odrzekł obcy bynajmniej nie zrażony tym zimnym przyjęciem. — Spędziłem cały tydzień w forcie Edwarda i musiałbym być niemy, żeby się nie wypytać o drogę. Gdybym zaś był niemy, oznaczałoby to, rzecz jasna, koniec mego powołania. — Uśmiechnąwszy się nieznacznie jak ktoś, komu nieśmiałość nie pozwala na bardziej szczery zachwyt nad własnym konceptem, zresztą całkowicie niezrozumiałym dla słuchaczy, ciągnął dalej: — Ludzie mego zawodu nie powinni wchodzić w zbyt poufałe stosunki z tymi, których mają nauczać, dlatego nie udałem się za armią. Poza tym uważam, że dżentelmen pańskiego pokroju może znać sztukę podróżowania. Oto dlaczego postanowiłem przyłączyć się do państwa.

Podróż ożywiona towarzyską dysputą staje się miłym zajęciem.

— Nadzwyczaj arbitralne, jeżeli nie pochopne postanowienie! — zawołał Heyward nie wiedząc, czy dać upust rosnącemu oburzeniu, czy też roześmiać się w twarz intruzowi. — Ale pan

coś powiedział o zawodzie i nauczaniu: czy przydzielono pana do wojsk prowincjonalnych jako nauczyciela szlachetnej wiedzy ataku i obrony? A może kreśli pan linie i kąty pod pretekstem głoszenia nauk matematycznych?

Nieznajomy przez chwilę ze zdumieniem przyglądał się pytającemu. Nagle przybrał wyraz uroczystej pokory i ostatni ślad zadowolenia z samego siebie zniknął z jego oblicza, gdy odpowiedział:

— Atak, mam nadzieję, nie nastąpił tu z żadnej strony, a o obronie nie myślę, albowiem z łaski Boga nie popełniłem żadnego ciężkiego grzechu od chwili, gdym ostatni raz błagał Go o przebaczenie. Nie rozumiem też pańskiej uwagi o liniach i kątach, nauczanie zaś pozostawiam tym, których powołano i wyznaczono do tak świętobliwej służby. Nie mogę się pochwalić innymi talentami, ale znam nieco chwalebną sztukę błagania i dziękczynienia, którą uprawiam śpiewając psalmy.

— Ten człowiek jest najwidoczniej uczniem Apollina— zawołała rozbawiona Alicja. — Biorę go pod moją opiekę. Proszę się rozchmurzyć, Heywardzie, i przez litość dla moich stęsknionych uszu pozwól mu podróżować w naszym gronie. Poza tym — dodała szybko półgłosem, rzuciwszy spojrzenie na Korę podążającą daleko przed nimi za milczącym i ponurym przewodnikiem — może być nam przyjacielem, który w razie potrzeby powiększy nasze siły.

— Czy sądzisz, Alicjo, że poprowadziłbym kochane osoby tą utajoną dróżką, gdybym myślał, że możemy potrzebować pomocy?

— Nie, nie. Wcale tak nie myślę, ale ten dziwak mnie bawi. Jeżeli istotnie „dusza jego rozbrzmiewa muzyką”, nie bądźmy niegrzeczni, nie odrzucajmy jego towarzystwa.

Przekonywającym ruchem pejcza wskazała na ścieżkę. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, którą młody człowiek usiłował przedłużyć i nie ruszał się z miejsca. W końcu jednak uległ swej uroczej towarzyszce, wbił ostrogi w boki konia i w paru skokach znów znalazł się przy Korze.

— Cieszę się z naszego spotkania, mój przyjacielu — powiedziała Alicja i ruchem ręki zaprosiła nieznajomego, by jechał za nią, a jednocześnie skłoniła swego narragansetta do dalszej drogi. — Moi krewni zawsze twierdzili, zresztą może stronniczo, że mam pewien talent do śpiewania duetów. Możemy więc ożywić naszą podróż oddając się pańskiemu ulubionemu zajęciu. Komuś, kto tak mało zna się na rzeczy jak ja, wskazówki znawcy śpiewu mogą oddać nieocenioną przysługę.

— Śpiewanie psalmów, zwłaszcza w stosowną porę, pokrzepia zarówno duszę, jak ciało — odparł nauczyciel śpiewu, bez namysłu przystając na zaproszenie dziewczyny, by jechał za nią — i nic też tak nie uspokaja umysłu jak kojąca harmonia tonów. Jednakże dla doskonałości melodii potrzeba czterech głosów. Pani posiada chyba silny i dźwięczny sopran. Ja, dzięki łasce niebios, mogę swym pełnym tenorem sięgnąć najwyższych nut, brak nam jednak altu i basu! Ów oficer królewski, który nie chciał przyjąć mnie do towarzystwa, mógłby śpiewać basem, jeśli ze zwykłej rozmowy można wnioskować o jego głosie.

— Niech pan nie sądzi zbyt pochopnie — śmiejąc się odparła dziewczyna — major Heyward przybiera czasem głębokie tony, ale normalny jego głos zbliża się raczej do lirycznego tenoru niż do basu, który pan słyszał.

— Czy major ma dużą praktykę w śpiewaniu psalmów? - zapytał naiwny towarzysz dziewczyny.

Alicja poczuła, że ogarnia ją wesołość, ale stłumiła śmiech i odpowiedziała:

— Obawiam się, że woli świeckie piosenki. Życie żołnierskie nie sprzyja poważniejszym upodobaniom.

— Bóg dał człowiekowi głos jak i inne talenty po to, by ich używał, lecz nie nadużywał. Nikt nie może powiedzieć, abym zaniedbał dane mi talenty! Choć od młodości poświęciłem się muzyce, jak król Dawid, dziękuję Bogu, że świecka pieśń nigdy nie skalała mych warg.

— A zatem ograniczył pan swoją sztukę do pieśni kościelnych?

—Oczywiście. A że psalmy Dawida przewyższają wszystkie inne dzieła ludzkiego geniuszu, to i słowa napisane do nich przez naszych duchownych, mędrców i uczonych przewyższają całą czczą poezję świecką. Na szczęście mogę powiedzieć, że głoszę tylko myśli i pragnienia króla Izraela, i aczkolwiek czasy wymagałyby może pewnych małych zmian, jednakże teksty, którymi posługujemy się w koloniach Nowej Anglii, przewyższają wszystkie inne, a bogactwem języka, jego ścisłością i uduchowieniem najbardziej zbliżają się do wielkiego dzieła natchnionego poety. Nigdzie i nigdy — czy śpię, czy czuwam — nie rozstaję się z tym genialnym dziełem. Jest to dwudzieste szóste wydanie drukowane w Bostonie, *Anno Domini* 1744 i nosi tytuł: „Psalmy, hymny oraz pieśni nabożne Starego i Nowego Testamentu, wiernie przełożone na miarę angielskiego wiersza dla użytku, nauki i pociechy osób duchownych w życiu publicznym i prywatnym, zwłaszcza w Nowej Anglii”.

W czasie tej pochwalnej przemowy na temat owego rzadkiego utworu rodzimych poetów, nieznajomy wydobył z kieszeni książeczkę i włożywszy na nos okulary w stalowej oprawie otwarł ją z namaszczeniem, godnym jej pobożnego przeznaczenia. Następnie bez dalszych wstępów powiedział: — Uwaga! — przyłożył do ust tajemniczy instrument i wydobył z niego wysoki, przenikliwy dźwięk, po czym o oktawę niżej zaśpiewał pełnym, rzewnym i melodyjnym głosem, lekceważąc sobie niezgodność rytmu pieśni z niezgrabnymi ruchami swej źle ujeżdżonej szkapy.

Oto jako rzecz dobr i jako wdzięczna, gdy bracia zgodnie mieszkają.

Jest to jako olejek najwyborniejszy wylany na głowę, ściekający na brodę Aronową, ściekający aż i na podołek szat jego…

Śpiewając te kunsztowne strofy nieznajomy miarowo wznosił i opuszczał prawą rękę. Przy jej spadku opierał palce na

kartkach książeczki, przy wzniesieniu zaś tak nią wywijał, że tylko osoba wtajemniczona w sztukę śpiewania psalmów zdołałaby go naśladować. Wydawało się, że śpiewak w swej długiej praktyce nawykł do tego machania ręką jak do niezbędnego akompaniamentu, nie ustało ono bowiem dopóty, dopóki zaimek wybrany przez poetę na zakończenie strofy nie został odśpiewany z należytym akcentem na ostatniej zgłosce.

Ludzie jadący o parę kroków na przodzie musieli zwrócić uwagę na to nieoczekiwane zakłócenie ciszy i spokoju lasu. Indianin wymamrotał do Heywarda kilka słów w łamanej angielszczyźnie; a ten, zwróciwszy się z kolei do nieznajomego, przerwał mu i na jakiś czas powstrzymał jego muzyczne zapędy.

— Wprawdzie nie zagraża nam niebezpieczeństwo, jednakże zwykła ostrożność każe jechać przez puszczę jak najciszej. Wybaczy mi pani, Alicjo, że będę musiał zepsuć pani zabawę prosząc tego dżentelmena, by odłożył śpiew na bardziej stosowną chwilę.

— Istotnie, zepsuje mi pan zabawę — z szelmowską miną odparła dziewczyna — albowiem nigdy jeszcze nie słyszałam śpiewu, w którym wykonanie tak by się kłóciło z tekstem. I właśnie starałam się dociec przyczyny tej rozbieżności między dźwiękiem i sensem, gdy pan, Duncanie, swym basem przerwał mi nagle urocze rozmyślania.

— Nie wiem, co pani nazywa moim basem — rzekł Heyward dotknięty tą uwagą — ale wiem, że bezpieczeństwo pani i Kory jest mi droższe nawet od muzyki Handla.

Zamilkł na chwilę i szybko odwrócił głowę ku gęstwinie leśnej, a później podejrzliwie spojrzał na przewodnika z niezamąconą powagą kroczącego na przedzie. Major uśmiechnął się pogardliwie do samego siebie, myśląc, że mu się przywidziało i że wziął jakąś połyskującą leśną jagodę za błyszczące oko skradającego się Indianina. Jechał więc dalej i podjął rozmowę, którą przerwało mu przelotne podejrzenie.

Jednakże pomyłka jego polegała tylko na tym, że pod wpływem młodzieńczej dumy zaniedbał czujności. Kawalkada

nie zdążyła daleko odjechać, gdy rozchyliły się gałęzie krzaków — twarz ludzka o tak okrutnym wyrazie, jaki tylko sztuka, dzikich i niepohamowane namiętności mogły jej nadać, wyjrzała z gęstwiny i odprowadziła wzrokiem jeźdźców. Błysk triumfu przeleciał przez pokrytą ciemnymi farbami twarz Indianina, gdy ujrzał, dokąd zdążają jego przyszłe ofiary, które niczego nie podejrzewając jechały dalej. Zgrabne i pełne wdzięku postacie kobiet, kołysząc się miarowo, migały coraz dalej między drzewami na zakrętach ścieżki. Na każdym z nich ukazywała się też męska sylwetka towarzyszącego im Heywarda, aż w końcu nawet niekształtna postać mistrza śpiewu skryła się za niezliczonymi pniami drzew, które mrocznymi szeregami porastały przestrzeń dzielącą dzikiego od kawalkady.

# ROZDZIAŁ TRZECI

*Dziś pług zaorał pola, które przedtem*
*Ku brzegom rzeki falowały łanem,*
*Melodia wody wypełniała szeptem*
*Szumiące bory, puszcze nieprzejrzane;*
*strumyk pluskał, i strumień się pienił,*
I *źródła biły w cienistej zieleni.*

Bryant

Pozwólmy nic nie podejrzewającemu Heywardowi i jego ufnym towarzyszom dalej zagłębiać się w puszczę skrywającą tak zdradliwych mieszkańców i skorzystajmy z przywileju autora, by przenieść scenę naszego opowiadania o parę mil na zachód od miejsca, gdzie po raz ostatni widzieliśmy naszych podróżnych.

Tego samego dnia dwóch mężczyzn zatrzymało się nad brzegami wąskiej i rwącej rzeki, nie dalej niż o jeden dzień drogi od obozu Webba. Sprawiali wrażenie ludzi, którzy na kogoś lub na coś czekają. Przestronny strop lasu ciągnął się aż po brzeg rzeki i zwisając nad wodą, kładł głęboki cień na mroczny nurt. Promienie słońca nie paliły już tak mocno i nieznośny upał łagodniał, w miarę jak niosące ochłodę opary źródeł wstawały nad ich pokrytymi listowiem łożyskami i orzeźwiały powietrze. Jednakże i w tym samotnym zakątku wciąż jeszcze panowała głęboka cisza sennego upału amerykańskiego dnia lipcowego. Przerywały ją jedynie ciche

głosy ludzi, urywane, ospałe kucie dzięcioła, kłótliwe krzyki jaskrawo opierzonej sójki i głuchy szum odległego wodospadu.

Te słabe i przerywane dźwięki były zbyt dobrze znane mieszkańcom puszczy, by odwrócić ich uwagę od ciekawego tematu rozmowy. Czerwony kolor skóry i leśny ubiór jednego z tych ludzi zdradzały w nim Indianina, drugi zaś mimo prymitywnego i niemal indiańskiego stroju miał cerę jaśniejszą, choć spaloną słońcem i od dawna pociemniałą, jak przystało człowiekowi, który mógł się powołać na swe europejskie pochodzenie. Pierwszy z nich siedział na brzegu omszałej kłody, w postawie pozwalającej mu podkreślać powagę słowa spokojnymi, lecz wymownymi gestami, do jakich uciekają się Indianie pochłonięci sporem. Jego ciało, prawie nagie, pokryte było przerażającym malowidłem — emblematem śmierci — wykonanym czarnymi i białymi farbami. Gładko wygoloną głowę, na której pozostał tylko dobrze znany czub wojownika, zdobiło jedynie pojedyncze orle pióro, które przepinając włosy zwisało na lewe ramię. Za pasem miał tomahawk i angielskiego wyrobu nóż do zdzierania skalpów, a krótka wojskowa strzelba z gatunku tych, w jakie polityka białych pozwala im uzbrajać swych dzikich sprzymierzeńców, beztrosko spoczywała w poprzek jego obnażonych, i mocnych kolan. Szeroka pierś, muskularne ciało i powaga malująca się na twarzy tego wojownika wskazywały, że doszedł on już do wieku dojrzałego, choć jeszcze żadne oznaki niedołęstwa nie zdawały się osłabiać jego żywotności.

Biały, sądząc z kształtów nie zakrytych ubraniem, wyglądał na kogoś, kto od najmłodszych lat poznał znoje i trudy życia. Był muskularny i raczej chudy, jednakże każdy nerw i mięsień jego ciała wydawał się mocny i zahartowany w niezliczonych trudach. Miał na sobie myśliwską koszulę* koloru leśnej zieleni, obszytą spłowiałą żółtą lamówką, a na głowie letnią czapkę z wyprawionych skór. I on nosił nóż za pasem z muszelek, podobnym do tego, który zaciskał skąpy ubiór Indianina, ale nie miał tomahawka. Jaskrawe ozdoby, jak u Indian, upiększały jego mokasyny, a jedyną częścią dolnego ubrania, wyglądającą

spod myśliwskiej koszuli, była para kamaszy ze skóry, sznurowanych po bokach i przewiązanych powyżej kolan jelenimi ścięgnami. Torba i róg z prochem uzupełniały jego osobisty ekwipunek. Obok, oparty o bliskie drzewo, stał sztucer, wyjątkowo długa strzelba, taka, jaka — według naukowych poglądów białych, pod tym względem bardziej pomysłowych od Indian — uchodziła wówczas za najniebezpieczniejszą ze wszystkich broni palnych. Małe i bystre oczy myśliwego czy też zwiadowcy — nie wiemy, kim był — nie znały spoczynku, gdy mówił, i błądziły na wszystkie strony, jakby poszukując zwierzyny lub oczekując nagłego pojawienia się przyczajonego wroga. Mimo tych oznak zwykłej podejrzliwości, w jego twarzy nie było nic chytrego, a w chwili, gdy zawieramy z nim znajomość, miała wyraz szczery i zacny.

— Tymczasem nawet wasze podania przemawiają na moją korzyść, Chingachgook — powiedział w języku znanym wszystkim Indianom, którzy dawniej zamieszkiwali ziemie leżące pomiędzy Hudsonem i Potomakiem. My jednak dla wygody czytelnika powtarzamy jego słowa w wolnym przekładzie, starając się tylko zachować pewne cechy języka Indian oraz sposób mówienia białego. — Wasi ojcowie przyszli z zachodu słońca, przeprawili się przez wielką rzekę zwyciężyli ludzi mieszkających w tym kraju i objęli go w posiadanie. Moi zaś przodkowie przybyli od zorzy wczesnego ranka, poprzez słone jezioro, i dokonali swego dzieła idąc za przykładem waszych ojców. Niechaj Bóg rozsądzi to między nami, a przyjaciele niech nie tracą słów na próżno!

— Moi ojcowie walczyli z czerwonoskórymi, którzy byli uzbrojeni tak samo jak oni! — surowo odparł Indianin w tym samym języku. — Powiedz, Sokole Oko, czy nie ma żadnej różnicy między strzałą z kamiennym ostrzem, używaną przez wojownika, a ołowianą kulą, którą wy zabijacie?

— Indianin nie jest pozbawiony rozumu, mimo że natura dała mu czerwoną skórę — rzekł biały kiwając głową jak ktoś, kto lubi, gdy inni odwołują się do jego poczucia sprawiedliwości. Przez chwilę wydawało się, iż rozumiał, jak słabe są jego

argumenty, ale skupiwszy się, znowu odparł na zarzuty przeciwnika najlepiej, jak umiał. — Nie jestem uczony i wcale się z tym nie kryję, lecz sądząc z tego, co widziałem podczas łowów tych młodych frantów na jelenie lub ich polowań na wiewiórki, myślę, że strzelba w rękach ich dziadów była mniej niebezpieczna niż hikorowy łuk napięty z indiańską rozwagą i krzemienny grot strzały wypuszczonej z celnością indiańskiego oka.

— Tę bajkę, Sokole Oko, opowiedzieli wam wasi ojcowie — odparł Indianin, obojętnie machnąwszy ręką. — Cóż mówią wasi starcy? Czy mówią młodym wojownikom, że blade twarze spotkały czerwonoskórych już pomalowanych na modłę wojenną i uzbrojonych w kamienne topory i drewniane łuki?

— Nie kieruję się przesądami ani też nie szczycę się swoimi naturalnymi przywilejami, choć najgorszy wróg, jakiego posiadam na ziemi, a jest nim pewien Irokez, nie ośmieli się zaprzeczyć, że jestem czystej krwi białym — odparł myśliwy, z ukrytym zadowoleniem przyglądając się blademu kolorowi swej kościstej i muskularnej ręki. — Gotów jestem jednak przyznać, że mój naród używa czasem sposobów, których — jako człowiek uczciwy — nie pochwalam. Jednym z jego zwyczajów jest opisywanie w książkach, czego dokonał i co widział, zamiast głoszenia tego po osiedlach, gdzie tchórzliwemu samochwałowi można by w oczy zarzucić kłamstwo i gdzie dzielny wojownik mógłby przywołać towarzyszy na świadków swych słów. Przez te złe obyczaje człowiek zbyt sumienny, by marnować życie wśród kobiet ucząc się nazw czarnych znaków, może się nigdy nie dowiedzieć, czego dokonali jego ojcowie, ani też nie odczuć szlachetnej chęci prześcignięcia ich czynów. Gdy chodzi o mnie, przypuszczam, że wszyscy Bumppowie umieli strzelać, ponieważ mam wrodzony dar obchodzenia się ze strzelbą, który to dar jest dziedziczny, bo — jak mówią święte księgi — wszystko dobre lub złe jest nam dane. Jednakże pod tym względem nie chciałbym ręczyć za innych ludzi. Ale zawsze należy wysłuchać obu stron, pytam więc, Chingachgook, co

wedle podań czerwonoskórych zaszło, gdy nasi ojcowie spotkali się po raz pierwszy?

Zapadła cisza, Indianin siedział w milczeniu, a po chwili, przejęty swą rolą, rozpoczął opowieść tonem uroczystym, który potwierdzał prawdziwość jego słów.

— Posłuchaj, Sokole Oko, a twoje ucho nie usłyszy najmniejszego kłamstwa. Oto, co opowiedzieli moi ojcowie i co zrobili Mohikanie — zawahał się na mgnienie oka i rzuciwszy na swego towarzysza badawcze spojrzenie ciągnął dalej w sposób pośredni między pytaniem i twierdzeniem: — Czy rzeka płynąca u naszych stóp nie zdąża na południe, aż jej wody staną się słone, a nurt pobiegnie w górę?

— Nie można zaprzeczyć, że wasze podania mówią prawdę w tych obu wypadkach — rzekł biały. — Byłem tam i widziałem to, aczkolwiek nigdy nie mogłem pojąć, czemu woda tak słodka w cieniu staje się gorzkawa w słońcu.

— A nurt? — zapytał Indianin. Czekał na odpowiedź z takim zainteresowaniem, jakie odczuwa człowiek słysząc potwierdzenie faktu, któremu się dziwi, nawet gdy się z nim godzi. — Ojcowie Chingachgooka nie kłamali.

— Pismo święte nie głosi większej prawdy, a to jest przecież najprawdziwsza prawda na ziemi. Ten nurt idący w górę rzeki nazywa się przypływem. Zjawisko to łatwo da się wytłumaczyć. Przez sześć godzin woda napływa i przez sześć godzin odpływa, a powód jest taki: kiedy woda w morzu sięga wyżej niż woda w rzece, wtedy wpływa ona do rzeki dopóty, dopóki nie sięgnie wyżej niż woda w morzu; wtedy znów wypływa.

— Wody w lesie i w wielkich jeziorach spływają w dół, dopóki nie leżą tak płasko jak moja ręka — rzekł Indianin wyciągając poziomo dłoń przed siebie — a potem już zupełnie nie płyną.

— Żaden uczciwy człowiek temu nie zaprzeczy — odparł myśliwy, trochę urażony tą lekką niewiarą w jego wyjaśnienie tajemnicy przypływu i odpływu. — Ręczę, że jest to prawda w małej skali i wówczas, gdy ląd jest płaski. Wszystko jednak zależy, jak tę rzecz rozpatrywać. Ziemia w małej skali jest płaska, a w dużej kulista. Tak więc w stawach, sadzawkach, a

nawet wielkich słodkowodnych jeziorach woda stoi nieruchomo, to znaczy jest taka, jaką ją znamy. Jeżeli jednak wody morza rozleją się na wielkiej przestrzeni, gdzie wyraźnie występuje kulistość ziemi, w jakiż sposób mogą stać spokojnie? Równie dobrze mógłbyś myśleć, iż rzeka stoi spokojnie na krawędzi tych czarnych skał o milę od nas, chociaż twoje uszy mówią ci, że w tej chwili toczy się nad nimi.

Indianin, którego być może wcale nie zadowoliły rozważania towarzysza, miał zbyt dużo godności, by zdradzić niewiarę, słuchał więc jak człowiek, którego przekonano, i po chwili począł opowiadać dalej, równie uroczystym tonem.

— Przywędrowaliśmy z miejsca, gdzie słońce ukrywa się na noc, poprzez rozległe równiny, na których żyją bawoły. Szliśmy tak długo, aż dotarliśmy do wielkiej rzeki. Tam walczyliśmy z plemieniem Alligewi dopóty, dopóki ziemia nie zaczerwieniła się od ich krwi. Od brzegów wielkiej rzeki aż po brzegi słonego jeziora nie było nikogo, kto mógłby stawić nam czoło. Makaowie ciągnęli w oddali za nami. Powiedzieliśmy, że kraj musi należeć do nas od miejsca, gdzie woda w tej rzece nie płynie już w górę, aż do rzeki odległej o dwadzieścia wędrówek słońca w tym kierunku, gdzie panuje lato. Kraj, który zdobyliśmy jak wojownicy, dzierżyliśmy jak mężczyźni. Makaów przepędziliśmy w głąb puszczy do niedźwiedzi. Kosztowali soli jedynie w miejscach, gdzie liżą ją zwierzęta, nie łowili już ryb w wielkim jeziorze. Rzucaliśmy im same tylko kości.

— Wszystko to już słyszałem i wierzę temu — odezwał się biały, gdy Indianin zamilkł. — Ale było to na długo przed przybyciem Anglików do tego kraju.

— Wówczas sosna stała tam, gdzie dziś rośnie kasztan. Pierwsze blade twarze, które zjawiły się wśród nas, nie mówiły po angielsku. Przybyły one w wielkiej łodzi, kiedy moi ojcowie i czerwonoskórzy żyjący obok nich zakopali tomahawk. Wtedy to, Sokole Oko — mówił dalej Indianin zdradzając głębokie podniecenie jedynie zniżeniem głosu do niskich, gardłowych tonów, które czyniły go melodyjnym — wtedy to, Sokole Oko, tworzyliśmy jeden naród i byliśmy bardzo szczęśliwi. Słone

jezioro dawało nam swe ryby, las swoją zwierzynę, powietrze swe ptaki. Braliśmy sobie żony, które rodziły nam dzieci. Czciliśmy Wielkiego Ducha, a Makaowie musieli trzymać się tak daleko od nas, by nawet nie słyszeć naszych triumfalnych pieśni!

— Czy wiesz coś o swym własnym rodzie z owych czasów? — zapytał biały. — Jak na Indianina jesteś niezwykłej prawości! Przypuszczam, że odziedziczyłeś cechy swego rodu. Twoi ojcowie musieli być dzielnymi wojownikami i mądrymi ludźmi na radach zbierających się przy ognisku.

— Moje plemię jest praojcem narodów, ale, we mnie płynie czysta krew. Krew wodzów płynie w moich żyłach i na zawsze w nich pozostanie. Holendrzy wylądowali tu i dali memu narodowi wodę ognistą. Ludzie pili ją, dopóki im się nie wydało, że niebo i ziemia spotkały się, i póki nie ogarnęła ich szaleńcza myśl, że odnaleźli Wielkiego Ducha. Wówczas naród mój musiał się rozstać ze swoim krajem. Krok za krokiem wróg odpychał nas od brzegów, aż wreszcie doszło do tego, że ja, wódz i głowa mego plemienia, widzę światło słoneczne tylko poprzez gałęzie drzew, a na grobach mych ojców nigdy nie byłem.

— Groby pobudzają nasz umysł do podniosłych myśli — odrzekł zwiadowca, do głębi wzruszony cichym cierpieniem swego towarzysza — i często pomagają człowiekowi w jego dobrych zamiarach, obawiam się jednak, że moje kości nie spoczną w grobie i że zbieleją w lasach albo rozciągną je wilki. Ale gdzież są ci z twego rodu, którzy tyle wiosen temu przybyli do swych krewnych w kraju Delawarów?

— Gdzież są kwiaty tamtych wiosen! Opadły jeden po drugim, odeszli wszyscy z mego rodu, jeden po drugim, do krainy duchów. Teraz stoję na szczycie góry, ale, muszę zejść w dolinę. A kiedy Unkas podąży w moje ślady, nie pozostanie nikt z rodu wodzów, albowiem mój syn jest ostatnim z Mohikanów.

— Unkas jest tu — rozległ się tuż przy nim głos o takim samym miękkim, gardłowym brzmieniu. — Kto mówi o Unkasie?

Biały szybko dobył noża ze skórzanej pochwy i bezwiednie sięgnął po sztucer. Indianin, choć głos ten usłyszał tak nagłe, siedział spokojnie i nawet nie odwrócił głowy.

W chwilę potem młody wojownik bezszelestnie przesunął się między białym a Indianinem i siadł na brzegu rwącej rzeki. Chingachgook nie okazał najmniejszego zdziwienia. Minęła długa chwila, a żadne pytanie ani żadna odpowiedź nie padła z ust Indian. Ojciec i syn widocznie czekali, aż będą mogli odezwać się bez obawy zdradzenia kobiecej ciekawości lub niecierpliwości dziecka. Biały widocznie przejął ich zwyczaje, gdyż puściwszy sztucer milczał i czekał cierpliwie. Wreszcie Chingachgook wolno zwrócił spojrzenie na syna i zapytał:

— Czyżby Makaowie ośmielili się zostawić ślady swych mokasynów w tych lasach?

— Szedłem ich śladem — odparł młody Indianin — i wiem, że jest ich tylu, ile palców u obu rąk. Jak tchórze leżą teraz w ukryciu.

— Złodzieje, wyruszyli na poszukiwanie skalpów i łupu! — rzekł biały, którego za przykładem jego towarzyszy będziemy nazywać Sokolim Okiem. — Ten przedsiębiorczy Francuz, Montcalm, naśle szpiegów w sam środek naszego obozu i dowie się, jaką drogą poszliśmy.

— Dość! — powstrzymał go stary Indianin rzuciwszy przelotne spojrzenie na zachodzące słońce. — Wypłoszymy ich z krzaków jak jelenie. Posilmy się teraz, Sokole Oko, jutro pokażemy Makaom, że jesteśmy mężczyznami.

— Gotów jestem zrobić jedno i drugie, jednakże aby pobić Irokezów, trzeba najpierw odnaleźć ich kryjówki; żeby zjeść, trzeba zdobyć zwierzynę. O wilku mowa, a wilk tuż. Widzę tam w krzakach u podnóża pagórka poruszającą się największą parę jelenich rogów, jakie w tym roku zdarzyło mi się widzieć! Słuchaj, Unkasie — ciągnął na wpół szeptem, śmiejąc się przy tym stłumionym, bezdźwięcznym śmiechem, jak śmieje się ktoś, kto nawykł do ostrożności — założę się o trzy pełne rożki prochu przeciw jednej stopie wampumu, że położę rogacza strzałem między oczy, przy czym trafię bliżej prawego oka!

— To niemożliwe! — zawołał młody Indianin, z młodzieńczym zapałem zrywając się na równe nogi. — Przecież widać mu tylko koniuszki rogów.

— Dzieciak z niego! — potrząsając głową zwrócił się biały do starego Indianina. — Czyżby uważał, że myśliwy widząc tylko część celu nie może określić, gdzie jest reszta?

Zmierzył ze sztucera i o mały włos nie dał dowodu zręczności, którą się tak szczycił, gdy stary wojownik podbił broń ręką mówiąc:

— Sokole Oko, czy chcesz walczyć z Makaami?

— Ci Indianie instynktem wyczuwają duszę puszczy! — rzekł myśliwy, opuszczając sztucer i odwracając się od zwierzyny z miną człowieka przekonanego o swej pomyłce. — Muszę pozostawić jelenia twej strzale, Unkasie, bo istotnie moglibyśmy go zabić dla tych złodziei Irokezów.

Ledwie ojciec zdążył potwierdzić tę uwagę wymownym ruchem ręki, gdy Unkas padł na ziemię i ostrożnie począł czołgać się do zwierzęcia. Na parę jardów przed kryjówką jelenia bardzo starannie napiął łuk. Tymczasem rogi zwierzęcia poruszały się niespokojnie, tak jakby zwęszyło wroga w powietrzu skażonym obcym zapachem. Ale w tej chwili rozległ się ostry brzęk cięciwy, biała smuga przeszyła krzaki i zraniony kozioł wynurzył się z ukrycia tuż u nóg swego zaczajonego wroga. Unikając rogów rozjuszonego zwierzęcia Unkas błyskawicznym ruchem przypadł do jego boku i nożem przebił mu gardło. Jeleń skoczył ku rzece i padł na brzegu barwiąc wodę własną krwią.

— Zrobiłeś to z iście indiańską zręcznością — rzekł myśliwy śmiejąc się z cicha, wielce zadowolony. — Było na co popatrzeć! Jednakże strzała to broń na krótką odległość i wymaga noża dla zakończenia dzieła.

— Hugh! — krzyknął jego towarzysz odwracając się szybko jak pies, który zwietrzył zwierzynę.

— Na Boga, tam jest ich całe stado! — zawołał zwiadowca, a jego oczy zabłysły zapałem rozmiłowanego w swym zawodzie myśliwego. — Jeśli się zbliżą na odległość strzału, powalę

jednego, choćby nawet wszystkie Sześć Plemion czaiło się w pobliżu. Co tam słyszysz, Chingachgook? Bo dla moich uszu puszcza jest niema.

— Tam jest tylko jeden jeleń, i to martwy — odparł Indianin i pochylił się tak nisko, że uchem niemal dotknął ziemi. — Słyszę odgłos kroków!

— Może to wilki zapędziły kozła w tę kryjówkę i teraz idą po jego tropie.

— Nie, to zbliżają się konie białych ludzi! — odparł Indianin prostując się z godnością i z niezmąconym spokojem siadając na kłodzie. — Sokole Oko, to są twoi bracia, powitaj ich.

— Zrobię to i w takim języku angielskim, że sam król nie powstydziłby się odpowiedzieć — rzekł myśliwy w języku, z którego był tak dumny. — Jednakże ani nie widzę nikogo, ani nie słyszę odgłosów zbliżania się ludzi czy zwierząt. Dziwne, że Indianin lepiej zna się na krokach i głosach białych niż człowiek, który, przyznają to nawet jego najwięksi wrogowie, nie ma w sobie kropli obcej krwi, chociaż żył wśród czerwonoskórych tak długo, że można by go o to podejrzewać. Ha! I do mnie doleciało coś jakby trzask suchej gałęzi, teraz słyszę, jak ruszają się krzaki. Tak, tak, stuk kopyt brałem za szum wodospadu, a oto nadjeżdżają biali we własnych osobach. Boże, strzeż ich przed Irokezami!

# ROZDZIAŁ CZWARTY

*Idź swoją drogą, lecz nie wyjdziesz z lasu,*
*Aż się nie pomszczę* srodze za *zniewagą.*

„Sen nocy letniej”

Zwiadowca nie zdążył jeszcze skończyć, gdy spoza drzew wynurzył się człowiek jadący na czele grupy osób, której zbliżanie się usłyszał czujny Indianin. Udeptana ścieżynka, je dna z tych, jakie przeciera zwierzyna w czasie okresowych ciągów, wiła się w pobliżu, przecinając małą, wąską dolinę i schodząc do rzeki w tym miejscu, gdzie zatrzymał się zwiadowca wraz ze swymi, czerwonoskórymi towarzyszami. Tą ścieżynką jechali teraz podróżni, którzy stanowili tak niezwykły widok w głębi puszczy. Wolno zbliżali się ku myśliwemu, który stał przed swymi sprzymierzeńcami i najwidoczniej gotów był powitać nadjeżdżających.

— Kto jedzie? — zapytał, niedbałym ruchem opierając sztucer na lewym przedramieniu i kładąc wskazujący palec prawej ręki na cynglu. Jednakże potrafił przy tym ruchu uniknąć nawet pozoru pogróżki. — Kto tu zmierza między dzikie zwierzęta i niebezpieczeństwa nieprzebytej puszczy?

— Chrześcijanie, stronnicy króla i prawa — odparł jadący na czele. — Ludzie, którzy od wschodu słońca jadąc tą mroczną puszczą nic jeszcze nie jedli i są śmiertelnie znużeni podróżą.

— A zatem zabłądziliście — przerwał mu myśliwy — i dowiedzieliście się, jak bezradny jest człowiek, gdy nie wie, czy ma skręcić w prawo, czy w lewo.

— Tak jest. Niemowlę nie jest tak zdane na łaskę mamki, jak my na łaskę przewodnika, choć jesteśmy znacznie starsi i że się tak wyrażę, mamy postacie dorosłych ludzi, tylko brak nam ich rozumu. Czy nie wie pan, jak daleko stąd do fortu William Henry?

— Do licha! — zawołał zwiadowca nie mogąc powstrzymać głośnego śmiechu, ale natychmiast opamiętał się i śmiał się już ciszej, bez obawy, że usłyszą go czający się wrogowie.

— Straciliście ślad jak pies, którego jezioro Horican dzieli od tropionego zwierza. Człowieku, William Henry! Jeżeli jesteście przyjaciółmi króla i macie coś wspólnego z armią, najlepiej zrobicie, gdy pojedziecie w dół rzeki do fortu Edwarda i przedstawicie swą sprawę Webbowi, który siedzi tam sobie spokojnie, zamiast przejść wąwozy i przepędzić zuchwałego Francuza za Champlain, do jego legowiska.

Zanim obcy zdążył odpowiedzieć na tę niespodziewaną uwagę, inny jeździec gwałtownie rozsunął krzaki i wspiąwszy konia wyskoczył na ścieżkę przed swego towarzysza.

— Więc jak daleko jesteśmy od fortu Edwarda? — zapytał nowoprzybyły. — Miejsce, którego radzi pan nam szukać, opuściliśmy dziś rano, a zdążamy w górę jeziora.

— A więc musieliście oślepnąć, nim zmyliliście drogę, bo gościniec poprzez wyżynę wycięty jest na szerokość dobrych trzydziestu stóp i jak sobie wyobrażam, jest tak szeroki jak każda droga wiodąca do Londynu, a może nawet przed sam pałac króla.

— Nie dyskutujmy nad wyższością tej czy innej drogi — uśmiechając się odrzekł Heyward, albowiem był to on, jak czytelnik zapewne się domyślił. — Faktem jest, że uwierzyliśmy Indianinowi — przewodnikowi, iż prowadzi nas bliższą, choć głuchą ścieżką i że zawiedliśmy się na nim. Krótko mówiąc, nie wiemy, gdzie jesteśmy.

— Indianin, który zabłądził w lesie! — rzekł zwiadowca, z powątpiewaniem kiwając głową. — Wtedy, kiedy słońce pali wierzchołki drzew, a woda wypełnia koryta rzek, kiedy mech na każdym buku powie mu, gdzie zaświeci Gwiazda Polarna!

Lasy pełne są ścieżek wydeptanych przez zwierzynę i biegnących do strumieni i słonych lizawek, miejsc dobrze znanych każdemu. Gęsi też jeszcze nie odleciały ku wodom Kanady! Dziwne, że Indianin mógł zabłądzić między Horicanem a kolanem rzeki. Czy jest on Mohawkiem?

— Nie z urodzenia, adoptowali go jednak. Sądzę, że urodził się nieco dalej na północ. Jest jednym z tych, których nazywacie Huronami.

— Hugh! — wykrzyknęli dwaj towarzysze myśliwego, którzy aż do tej chwili siedzieli nieruchomo, pozornie zupełnie obojętni na wszystko, co się działo. Teraz zerwali się na równe nogi żywo i z zaciekawieniem, które najwidoczniej tylko dzięki zaskoczeniu wzięło górę nad ich zwykłą powściągliwością.

— Huron! — powtórzył dzielny zwiadowca i ponownie potrząsnął głową, tym razem z jawną nieufnością. — To złodziejskie plemię i mało mnie obchodzi, kto przygarnął waszego przewodnika. Z nich nigdy nic nie będzie prócz tchórzów i włóczęgów. Jeśli zaufaliście opiece jednego członka plemienia, to dziwię się tylko, że nie wpadliście na całą ich szajkę.

—Niebezpieczeństwo nie było wielkie, bo fort William Henry leży zaledwie o parę mil przed nami. Poza tym zapomina pan, że ten przewodnik jest teraz Mohawkiem i że służy w armii jako nasz przyjaciel.

— A ja panu mówię, że jeśli urodził się Mingiem, to i umrze Mingiem — odparł myśliwy pewnym siebie głosem. — Mohawk! Nie, jeśli chodzi o uczciwość, dajcie mi Delawara lub Mohikanina. A jeśli oni się biją, czego zresztą nie wszyscy pragną, bo pozwolili swemu podstępnemu wrogowi, Makaom, zrobić z siebie baby, więc kiedy się biją, powiadam, to już nie szukajcie wojowników gdzie indziej, tylko wśród Delawarów lub Mohikanów!

— Dość już o tym — rzekł niecierpliwie Heyward. — Nie chcę dowiadywać się niczego o charakterze człowieka, którego znam i o którym pan nic nie wie. Nie odpowiedział mi pan jeszcze na

moje pytanie: jak daleko mamy do głównych sił stojących w forcie Edwarda?

— Sądzę, że to zależy od tego, kto jest waszym przewodnikiem. Wydaje się też, że od wschodu słońca do zachodu taki koń jak ten zdołał przebyć pokaźny szmat drogi.

— Zdaje mi się, przyjacielu, że przelewamy z pustego w próżne — rzekł Heyward opanowując odruch zniecierpliwienia i mówiąc bardziej uprzejmym tonem. — Jeżeli powie mi pan, jak daleko jest do fortu Edwarda, i zaprowadzi mnie tam, pański trud będzie nagrodzony.

— A jeżeli tak zrobię, skąd będę wiedział, że nie wskazałem drogi do naszego fortu wrogowi i szpiegowi Montcalma? Nie każdy, kto mówi po angielsku, jest uczciwym obywatelem angielskim.

— Jeżeli służy pan w wojsku, w którym, jak sądzę, jest pan zwiadowcą, to musiał pan słyszeć o sześćdziesiątym pułku królewskim.

— Sześćdziesiątym! Niewiele rzeczy mógłby mi pan powiedzieć o Amerykańskim Pułku Strzelców Królewskich, których bym nie wiedział, mimo że noszę myśliwski strój zamiast szkarłatnej kurtki.

— No dobrze. Wobec tego musi pan znać nazwisko majora tego pułku?

— Major pułku — przerwał myśliwy prostując się jak człowiek dumny z zaufania, którym go darzą. — Jeżeli w tym kraju jest ktoś, kto zna majora Effinghama, to człowiek ten stoi przed panem.

— Pułk ten ma wielu majorów; dżentelmen, którego nazwisko pan wymienił, jest najstarszym z nich, ale ja mówię o najmłodszym, o tym, który dowodzi kompaniami należącymi do garnizonu fortu William Henry.

— Tak, tak, słyszałem, że pewien młody, bardzo bogaty dżentelmen z prowincji leżącej daleko na południe otrzymał tę nominację. Jest grubo za młody jak na taką rangę i jak na to, by dowodzić ludźmi, których głowy poczynają siwieć. Jednakże

słyszałem, że zna się na wojaczce i że jest dzielnym człowiekiem.

— Mniejsza o to, kim jest albo czy ma kwalifikacje odpowiadające jego stopniowi, dość że teraz mówi do pana i na pewno nie jest wrogiem, którego należałoby się obawiać.

Zaskoczony myśliwy uważnie spojrzał na Heywarda, a później, unosząc czapki, odpowiedział już nie tak poufałym tonem, ciągle jednak z nutą nieufności.

— Słyszałem, że jeden oddział opuścił obóz tego ranka i udał się nad brzeg jeziora.

— Słyszał pan prawdę, jednakże wolałem wybrać krótszą drogę ufając Indianinowi, o którym już wspominałem.

— A on zwiódł pana i uciekł?

— Ani jedno, ani drugie, jak sądzę. A na pewno nie to ostatnie, bo może go pan znaleźć na końcu naszej kawalkady.

— Chciałbym spojrzeć na tego człowieka: jeżeli jest prawdziwym Irokezem, rozpoznam go po łotrowskim spojrzeniu i po malowidle pokrywającym jego ciało — powiedział zwiadowca mijając Heywarda i wchodząc na ścieżkę tuż za kobyłą psalmisty, której źrebak: skorzystał z postoju, by zażądać od niej matczynej dani. Gdy zwiadowca rozsunął krzaki i zrobił jeszcze parę kroków, napotkał obie kobiety, które trapione złymi przeczuciami z niepokojem czekały na wynik rozmowy. Za nimi, oparty o drzewo, stał przewodnik, który bez zmrużenia oka wytrzymał badawcze spojrzenie myśliwego, choć patrzył tak ponuro i dziko, że mógł swym wzrokiem wzbudzić przerażenie. Zwiadowca wracał zadowolony z przeprowadzonego badania. Mijając kobiety przystanął na chwilę, by nasycić oczy ich urodą: spojrzeniem pełnym zachwytu odpowiedział na uśmiech i lekki ukłon Alicji. Następnie podszedł z boku do objawiającej macierzyńskie instynkty kobyły i straciwszy minutę na bezowocną próbę odgadnięcia, kim jest nieznajomy jeździec, pokiwał głową i wrócił do Heywarda.

— Mingo jest i pozostanie Mingiem, bo Bóg go takim stworzył, i ani Mohawkowie, ani żadne inne plemię nie zdoła go zmienić

— powiedział siadając na dawnym miejscu. — Gdybyśmy byli sami i gdyby pan zostawił dziś w nocy to szlachetne zwierzę wilkom na pastwę, mógłbym przeprowadzić pana do fortu Edwarda w ciągu godziny, leży on bowiem co najwyżej o godzinę drogi stąd. Jednakże z paniami, które panu towarzyszą, to nie jest możliwe.

— Czemuż to? Są wprawdzie zmęczone, jednakże mogą jeszcze przejechać parę mil.

— To jest po prostu niemożliwe — powtórzył zwiadowca — po zapadnięciu nocy nie przeszedłbym jednej mili przez puszczę z tym Indianinem, i to nawet za cenę najlepszej strzelby, jaka jest w tych koloniach. Lasy roją się od myszkujących Irokezów, a pański Mohawk-mieszaniec aż za dobrze wie, gdzie ich znaleźć, bym go sobie obrał za towarzysza.

— Tak pan sądzi? — zapytał Heyward pochylając się w siodle i zniżając głos niemal do szeptu. — Przyznaję, że i ja go podejrzewałem, aczkolwiek: ze względu na moje towarzyszki usiłowałem to ukryć. Toteż powodowany podejrzeniami nie jadę już za nim, lecz kazałem mu, jak pan widzi, iść z tyłu.

— Z pierwszego wejrzenia poznałem, że jest jednym z tych łajdaków! —odparł zwiadowca i ostrzegawczym ruchem przyłożył palec do nosa. — Nicpoń stoi oparty o pień młodej sosny cukrowej, którą widzi pan tam, ponad krzakami. Prawą nogę wysunął przed pień i — dodał postukując palcem w sztucer — mógłbym stąd jednym strzałem trafić go między kostkę i kolano i położyć w ten sposób kres, przynajmniej na najbliższy miesiąc jego wędrówkom po lasach. Gdybym zaś ponownie podszedł do niego, to ten przebiegły nicpoń zaraz coś zwącha i skoczy w las jak spłoszony jeleń.

— Nie, tak się nie godzi. Może być niewinny, to mi nie odpowiada. Chociaż gdybym był zupełnie pewny jego zdrady…

— Bezpieczniej jest liczyć się z łotrostwem ze strony każdego Irokeza — odparł zwiadowca i jakby instynktownie podniósł w górę lufę swego sztucera.

—Stać powstrzymał go Heyward. — Tak nie można, musimy obmyślić jakiś inny sposób. Istotnie, mam poważne powody, by przypuszczać, że ten łotr mnie oszukał.

Myśliwy, który poniechał już zamiaru postrzelenia gońca, zastanawiał się chwilę, a potem skinął ręką na swych czerwonoskórych towarzyszy., Gdy podeszli do niego, poczęli naradzać się we trójkę.

Mówili po cichu i z wielką powagą w narzeczu Delawarów, a z gestów myśliwego, który często wskazywał na wierzchołek młodego drzewa, wynikało, że określa on pozycję ich skrytego wroga. Czerwonoskórzy szybko zrozumieli, czego chce ich przyjaciel. Odłożywszy broń palną rozdzielili się, zeszli na boki i tak cicho zanurzyli się w gęstwinie leśnej, że ich w ogóle nie było słychać.

— A teraz niech pan wróci — powiedział myśliwy, znów zwracając się do Heywarda — i zabawi rozmową tego wcielonego diabła. Nasi Mohikanie zdołają go pochwycić nie uszkadzając nawet malowidła na jego ciele.

— Nie — dumnie odparł Heyward. — Ja sam go złapię.

— Tss! Cóż pan zdziała konno przeciw Indianinowi stojącemu w krzakach?

— Zsiądę z konia.

— Myśli pan, że gdy zobaczy, iż wyjął pan jedną *nogą* ze strzemienia, zaczeka, aż druga będzie wolna? Każdy, kto w puszczy ma do czynienia z Indianami, musi stosować ich sposoby, inaczej nic nie zdziała. Niech więc pan jedzie i niby to szczerze rozmawia z tym łotrem udając, że uważa go pan za swego najwierniejszego przyjaciela na świecie.

Heyward, aczkolwiek brzydził się rolą, którą miał odegrać, skłaniał się do ustępstw, bo z każdą minutą coraz wyraźniej widział, dokąd doprowadziła go bezgraniczna łatwowierność.

Słońce już zaszło i puszcza, nagle pozbawiona światła, szybko pogrążyła się w mroku, który wyraźnie przypomniał mu, że nadchodzi ulubiona przez dzikich godzina, kiedy zwykli dokonywać czynów barbarzyńskiej i bezlitosnej zemsty lub atakować wrogów. Naglony obawami opuścił myśliwego, a ten

natychmiast zaczął głośno rozmawiać z obcym, który rano tak bezceremonialnie dołączył się do podróżnych. Przejeżdżając koło swych nadobnych towarzyszek Heyward rzucił im parę słów otuchy i z zadowoleniem stwierdził, iż mimo zmęczenia całodzienną drogą nie podejrzewają nic złego i najwidoczniej sądzą, że tylko zwykły przypadek przeszkodził im w podróży.

Pozwalając im zatem wierzyć, że troszczy się jedynie o ustalenie dalszej drogi, wspiął konia, a po chwili znów ściągnął cugle, gdyż znalazł się o parę jardów od miejsca, gdzie oparty o drzewo stał ponury goniec.

—Magua, chyba widzisz — powiedział usiłując przybrać naturalną i ufną minę — że noc zapada, a my jesteśmy równie daleko od fortu William Henry, jak o wschodzie słońca, gdy opuszczaliśmy obóz Webba. Zmyliłeś drogę, a i mnie nie powiodło się lepiej. Na szczęście spotkaliśmy myśliwego, który jak słyszysz, rozmawia z psalmistą i który zna ścieżki zwierząt i dróżki leśne. Obiecuje zaprowadzić nas do miejsca, gdzie możemy bezpiecznie wypocząć przez noc.

Indianin wbił pałające ogniem oczy w Heywarda i zapytał swą łamaną angielszczyzną:

— Czy on jest sam?

— Tak, sam — z wahaniem odparł Heyward, dla którego kłamstwo było rzeczą zbyt jeszcze nową, by je uprawiać bez zakłopotania. — O! nie sam, z pewnością nie, Magua, bo wiesz przecież, że my jesteśmy z nim.

— W takim razie Le Renard Subtil odejdzie — odparł goniec, spokojnie podnosząc sakwę leżącą u jego stóp — a blade twarze będą widziały koło siebie ludzi tylko ich koloru.

— Odejdzie? Kogo nazywasz Przebiegłym Lisem?

— Tak nazwali Maguę jego kanadyjscy ojcowie — odparł Indianin, najwidoczniej dumny z tego wyróżnienia. — Dla Przebiegłego Lisa, gdy Munro na niego czeka, noc nie różni się od dnia.

— A co powie Lis komendantowi fortu William Henry? Czy ośmieli się powiedzieć zapalczywemu Szkotowi, że pozostawił jego dzieci bez przewodnika, choć sam podjął się tej roli?

— Siwa Głowa ma donośny głos i długie ramię, ale w puszczy Lis go nie usłyszy ani nie poczuje jego ramienia.

— Lecz co powiedzą Mohawkowie? Chyba uszyją mu spódnicę i każą zostać wraz z kobietami w wigwamie, bo nikt mu już nie zaufa w męskich sprawach.

— Przebiegły Lis zna drogę do wielkich jezior i potrafi odnaleźć kości swych ojców — odparł niewzruszony Indianin.

— Dość, Magua! — rzekł Heyward. — Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi? Po co te gorzkie słowa między nami? Munro obiecał ci nagrodę za twoje usługi, a i ja dam ci podarunek, gdy je wyświadczysz. Pozwól więc wypocząć swym zmęczonym członkom, rozwiąż sakwę i posil się. Mamy tylko parę chwil wolnych, nie traćmy ich na zbędne swary, godne kobiet. Gdy panie się posilą, ruszymy dalej.

— Blade twarze są psami białych kobiet — mruknął Indianin w swym ojczystym języku. — Gdy kobiety chcą jeść, biali wojownicy odkładają na bok tomahawki, byle wygodzie ich lenistwu.

—Co mówi Lis?

— Przebiegły Lis mówi, że dobrze.

Indianin nie odrywał przenikliwego wzroku od szczerej twarzy Heywarda, ale spotkawszy jego spojrzenie, szybko odwrócił oczy, wygodnie usadowił się na ziemi, wydobył resztki posiłku i zanim zaczął jeść, rozejrzał się wkoło.

— Tak, to dobrze — ciągnął Heyward — teraz Lis będzie miał siłę i ostrość wzroku, by rano znaleźć ścieżkę. — Umilkł na chwilę, usłyszał bowiem w pobliskich krzakach jakby trzask suchej gałęzi i szelest liści. Natychmiast jednak opanował się i mówił dalej: — Musimy wyruszyć, zanim słońce się pokaże, bo inaczej Montcalm może zastąpić nam drogę i odciąć nas od fortu.

Ręka Indianina wzniesiona do ust opadła wzdłuż boku i mimo że oczy nadal nieruchomo wpatrywały się w ziemię, odwrócił głowę. Nozdrza miał rozdęte,, a uszy wydawały się bardziej nastawione niż zawsze, co nadawało mu wyglądu rzeźby wyobrażającej baczną uwagę.

Heyward, czujnym okiem obserwując jego ruchy, niedbale wyswobodził jedną nogę ze strzemienia i jednocześnie przysunął rękę ku niedźwiedziej skórze pokrywającej olstra.

Daremnie starał się zorientować, na co patrzy Indianin, bo choć jego rozbiegane oczy nawet na chwilę nie spoczęły na jednym miejscu, ruch ich był ledwie widoczny. Gdy więc major namyślał się, co począć, Przebiegły Lis ostrożnie i wolno wstał, przy czym ruch ten nie wywołał nawet najmniejszego szmeru. Teraz Heyward zrozumiał, że nadszedł czas działania. Ufny w swe siły przełożył więc nogę przez siodło i zeskoczył z konia chcąc rzucić się naprzód i pochwycić zdrajcę. Ale by nie budzić przedwczesnego podejrzenia, ciągle jeszcze zachowywał przyjacielski i spokojny wyraz twarzy.

— Przebiegły Lis nie je — powiedział używając nazwiska, które jak uważał, najbardziej schlebiało próżności Indianina. — Jego placek jest zbyt wypieczony i wygląda na suchy. Zobaczę, może znajdzie się coś smaczniejszego w moich zapasach.

Magua wyciągnął przed siebie sakwę podając ją majorowi. Pozwolił nawet na zetknięcie się rąk nie zdradzając przy tym najmniejszego niepokoju, ale i nie osłabiając czujności. Lecz gdy poczuł, że palce Heywarda lekko przesunęły się wzdłuż jego obnażonego ramienia, podbił rękę młodego człowieka i wydawszy przeszywający okrzyk, jak błyskawica przemknął pod nią, by jednym susem wpaść w gęstwinę. Niemal w tej samej chwili wyłonił się z krzaków Chingachgook, w swym malowidle podobny do upiora, i prześliznął się ścieżką w szybkiej pogoni za zbiegiem. Potem rozległ się donośny okrzyk Unkasa, a w chwilę później las zajaśniał nagłym błyskiem, któremu towarzyszył donośny huk wystrzału ze strzelby myśliwego.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

*…W taką noc*
*Lękliwa Tyzbe, stąpając po rosie,*
*Wprzód cień ujrzała lwa —* a *potem zwierzę.*

”Kupiec wenecki”

Szybkość ucieczki przewodnika i dzikie okrzyki goniących go Indian na parę chwil przykuły do miejsca zaskoczonego tymi wypadkami Heywarda. Ale po chwili, zdając sobie sprawę, że trzeba koniecznie ująć zbiega, gwałtownym ruchem rozsunął otaczające go krzaki i również rzucił się w pościg. Nie zdążył jednak przebiec stu jardów, gdy spotkał trzech mieszkańców puszczy, wracających z bezskutecznej pogoni.

— Czemuście już dali za wygraną?! — zawołał. — Nicpoń musiał się ukryć gdzieś za tymi drzewami i jeszcze można go pochwycić. Dopóki jest wolny, nie możemy być pewni życia!

— Czy wysłałby pan chmurę w pościg za wiatrem? — zapytał zawiedziony w nadziejach myśliwy. — Słyszałem, jak ten leśny diabeł prześliznął się po suchym listowiu niby czarny wąż, dostrzegłem go jeszcze raz na mgnienie oka za ową wysoką jodłą i strzeliłem, jak się to mówi, z przyrzutu, ale nic z tego! A przecież gdyby kto inny pociągnął za cyngiel, to powiedziałbym, że wzrok i cel ma szybki. Możecie mi wierzyć, że mam doświadczenie w podobnych sprawach i że znam się na tym. Spójrzcie na tamto sumakowe drzewo: liście są zaczerwienione, choć każdy wie, że w lipcu sumak ma żółtą szatą.

— To krew Przebiegłego Lisa! Jest ranny i być może padł gdzieś w pobliżu!

— Nie, nie — odrzekł zwiadowca, wyraźnie nie zgadzając się z tym zdaniem. — Może zdarłem mu kawałek skóry, ale nicpoń będzie przez to tylko lepiej zmykał. Kula ze sztucera tak działa na uciekające zwierzę, gdy je zadraśnie, jak pańskie ostrogi na konia: przyśpiesza ruchy i ożywia ciało, ale nie zabija. Tylko gdy wyświdruje dobrą dziurę, to po jednym skoku lub dwóch dalsze ruchy ustają; obojętne, czy będzie to Indianin, czy zwierzę!

— Jest nas czterech zdrowych ludzi przeciwko jednemu rannemu!

— Czyżby życie było panu niemiłe? — przerwał zwiadowca. — Ten czerwonoskóry diabeł wciągnie pana pod tomahawki swych towarzyszy, zanim pan zdąży się obejrzeć. Jak na człowieka, który tyle razy sypiał w zgiełku okrzyków wojennych, postąpiłem lekkomyślnie strzelając w pobliżu czających się Indian! Ale pokusa była wielka! Bardzo wielka! Chodźmy, przyjaciele, zwinąć nasz postój tak, by naprowadzić podstępnego Mingo na fałszywy trop, inaczej bowiem jutro o rannej godzinie nasze skalpy będą się suszyły na wietrze na wprost namiotu Montcalma.

Te straszne słowa, które zwiadowca wypowiedział z zimną krwią człowieka w pełni rozumiejącego niebezpieczeństwo, aczkolwiek nie bojącego się spojrzeć mu w oczy, przypomniały Heywardowi o doniosłości ciążących na nim obowiązków. Rozglądając się wkoło i daremnie usiłując przebić wzrokiem ciemności gęstniejące pod liściastym stropem lasu, myślał o tym, że jego bezbronne towarzyszki, pozbawione jakiejkolwiek ludzkiej pomocy, niebawem będą zdane na łaskę i niełaskę barbarzyńskich wrogów, którzy jak drapieżne zwierzęta czekają tylko, by pod osłoną czarnej nocy zadać nieodparte ciosy swym ofiarom. W zwodniczym mroku podniecona wyobraźnia majora dostrzegała ludzkie kształty w każdym poruszającym się krzaku czy powalonym pniu. Ze dwadzieścia razy zdawało mu się, że widzi w ciemnościach straszne twarze

zaczajonych nieprzyjaciół, którzy z niezmordowaną czujnością przyglądają się z ukrycia ruchom jego i towarzyszy. Spojrzawszy w górę dostrzegł, że wełniste, różowe chmurki, które wieczór namalował na błękicie nieba, poczęły już blednąć, a rzeka, płynąca głębokim korytem u jego stóp, znaczy się jedynie ciemną granicą zarośniętych drzewami brzegów.

— Cóż teraz począć? — zapytał zupełnie bezradny w tej ciężkiej sytuacji. — Na miłość boską, nie opuszczajcie mnie! Pozostańcie, by bronić kobiet, które eskortuję, i otwarcie powiedzcie, czego za to żądacie!

Jego przygodni towarzysze, którzy stojąc z boku rozmawiali w narzeczu indiańskim, nie zwrócili uwagi na to nagłe i rozpaczliwe wezwanie. Rozmawiali bardzo ostrożnie i cicho, niemal szeptem. Jednakże Heyward, gdy podszedł do nich, łatwo mógł odróżnić zapalczywy głos młodego wojownika od spokojniejszych głosów jego towarzyszy. Było jasne, że omawiali jakiś plan, który dotyczył losu podróżnych. Wiedziony ciekawością i zniecierpliwiony zwłoką, która mogła wywołać dalsze poważne niebezpieczeństwo, podszedł jeszcze bliżej do ciemnej grupki ludzi, by wyraźnie zaproponować im nagrodę pieniężną, gdy biały, machnąwszy ręką na znak, że zgadza się z młodym Indianinem, odwrócił się i wygłosił po angielsku coś w rodzaju monologu.

— Unkas ma rację! Nie postąpilibyśmy po męsku pozostawiając te bezradne stworzenia ich losowi, nawet jeśli raz na zawsze miałoby to zdradzić naszą kryjówkę. Jeśli chce pan uratować te delikatne kwiatki przed żądłami najgorszych żmij, nie ma pan chwili do stracenia i musi pan działać stanowczo.

— Jakże można wątpić w moje chęci! Czyż już nie ofiarowałem…

— Niech pan ofiaruje swe modlitwy Temu; który może natchnąć nas mądrością i wskazać nam, jak zwieść diabłów, od których roi się w tych lasach — spokojnie przerwał mu zwiadowca. — Ale proszę nie obiecywać mi pieniędzy, bo może ani pan nie dożyje chwili, by je wypłacić, ani ja — by z nich

skorzystać. Razem z tymi Mohikanami zrobię wszystko, co rozum ludzki może wymyślić, by te kwiatuszki, choć tak słodkie i bynajmniej nie stworzone do życia w puszczy, ustrzec od krzywdy, mając na myśli jedną tylko nagrodę, tę, którą Bóg wynagradza prawe postępki. Przede wszystkim musi mi pan przyrzec dwie rzeczy, obie w imieniu własnym i pańskich przyjaciół, bo inaczej, nie przysłużywszy się wam, zaszkodzimy sobie!

— Niech je pan wymieni!

— Po pierwsze, cokolwiek się zdarzy, zachowywać się tak cicho, jak ciche są te śpiące lasy, a następnie zachować w tajemnicy przed każdą żywą duszą miejsce, do którego was zaprowadzimy.

— Zrobię, co mogę, by wypełnić oba te warunki.

— A więc proszę za mną, bo tracimy czas tak cenny, jak cenna jest krew dla zranionego jelenia.

W gęstniejącym mroku Heyward dostrzegł niecierpliwe gesty zwiadowcy i szybko ruszył za nim ku miejscu, gdzie pozostawił resztę swego towarzystwa. Gdy podeszli do czekających na niego i niespokojnych kobiet, w krótkich słowach powiedział im o warunkach postawionych przez nowego przewodnika oraz usilnie prosił, by stłumiły lęk i zdobyły się na jeszcze jeden natychmiastowy i poważny wysiłek. Obie kobiety wysłuchały tych niepokojących słów z niemałą dozą tajonego strachu. Jednakże poważny i stanowczy ton majora oraz świadomość grożącego im niebezpieczeństwa wzmocniły ich nerwy o tyle, że znalazły w, sobie siły do podjęcia nowej i niespodziewanej próby. Natychmiast w milczeniu przy pomocy majora zsiadły z koni, po czym wszyscy szybko zeszli na brzeg rzeki, gdzie zwiadowca bez słowa za pomocą wymownych gestów zgromadził pozostałych ludzi.

— Co zrobić z tymi niemymi stworzeniami? — mruknął myśliwy, najwidoczniej objąwszy dowództwo. — Poderżnąć im gardła i rzucić do rzeki to strata czasu, zostawić je tutaj to wskazać Mingom, że właściciele koni są w pobliżu.

— Niech więc je pan puści wolno i niech pójdą w las — odważył się doradzić Heyward.

— Nie, lepiej zmylić leśnych diabłów. Niech myślą, że muszą dorównać w szybkości koniom, jeśli chcą dogonić zwierzynę.

— Tak, tak, sypniemy im piaskiem w oczy. Chingach… tss? Co się tam rusza w krzakach?

— Źrebię.

— Źrebię musi jednak zginąć — mruknął zwiadowca usiłując złapać za grzywę ruchliwe stworzenie, które jednak zręcznie umknęło mu spod ręki. — Unkas, strzałę!

— Stójcie! — na cały głos krzyknął właściciel skazanego na śmierć zwierzęcia, nie bacząc na to, że inni mówią szeptem. — Oszczędźcie źrebię Miriam! To uroczy potomek oddanej matki, który nie zrobi nikomu nic złego.

— Gdy ludzie walczą o życie dane im przez Boga — poważnie odparł zwiadowca — nawet ich własny bliźni jest dla nich tylko dzikim zwierzęciem z puszczy. Jeśli odezwie się pan jeszcze słowem, porzucę pana na łaskę Makaów. Sięgnij po strzałę, Unkasie, i pamiętaj, że nie mamy czasu, by powtórzyć cios.

Nie zdążył jeszcze przebrzmieć cichy, mrukliwy dźwięk tych groźnych słów, gdy ranione zwierzę stanęło dęba i padło na kolana. W tej chwili doskoczył do niego Chingachgook i błyskawicznym ciosem wbił mu nóż w gardło, po czym rzucił do wody swą ofiarę, miotającą się w śmiertelnych drgawkach. Nurt porwał ją, głośno i gorączkowo ostatkiem życia walczącą o oddech, i uniósł w dół rzeki.

Ten czyn, pozornie bezlitosny, ale podyktowany koniecznością, przygnębił podróżnych. Widzieli w nim straszliwe przypomnienie śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakie groziło im samym, a bezlitosna stanowczość aktorów opisanej sceny pogłębiła jeszcze przykre wrażenie. Siostry zadrżały i przytuliły się do siebie, Heyward zaś instynktownie położył dłoń na jednym z pistoletów, który przed chwilą wydobył z olster, i stanął pomiędzy kobietami a gęstym cieniem, który jak nieprzenikniona zasłona zawisł nad głębią lasu.

Indianie, nie zwlekając ani chwili, ujęli za cugle przestraszone i opierające się konie i sprowadzili je do rzeki.

Oddalili się nieco od brzegu, skręcili, ukryli się za jego występem i pod tą osłoną ruszyli w górę rzeki. Tymczasem zwiadowca wyciągnął z ukrycia pod niskimi krzakami, których gałęzie nurzały się w wirach wodnych, małe czółno z kory i bez słowa zaprosił gestem obie kobiety, by weszły do niego. Usłuchały bez wahania, tylko parokrotnie z lękiem obejrzały się na gęstniejącą ciemność, która teraz czarnym murem stanęła wzdłuż brzegu rzeki.

Gdy obie kobiety usadowiły się w czółnie, zwiadowca, lekceważąc sobie niebezpieczny żywioł, polecił Heywardowi podeprzeć jeden bok wątłej łódki, a sam stanął po jej drugiej stronie i obaj poczęli pchać łódkę pod prąd, a zgnębiony właściciel zabitego źrebaka szedł za nimi. W ten sposób przebyli kawał drogi wśród ciszy, przerywanej tylko szmerem wirów tworzących się obok nich i słabym pluskiem wody przy każdym ostrożnym kroku. Heyward pozostawił kierowanie łódką zwiadowcy, który szedł bliżej, lub dalej od brzegu unikając skał i głębin ze zręcznością świadczącą, że dobrze zna tę drogę. Czasem przystawał i pośród martwej ciszy, jeszcze bardziej podkreślanej odległym i głuchym, choć rosnącym łoskotem wodospadu, słuchał z bolesnym napięciem uwagi, czy nie dojdzie go jakiś dźwięk z drzemiącej puszczy. A przekonawszy się, że nic nie mąci ciszy i że nawet jego wyostrzone zmysły nie mogą wykryć żadnego znaku zbliżania się wrogów, z rozwagą i wolno ruszał dalej. W końcu dotarli do miejsca, w którym grupka jakichś czarnych przedmiotów skupionych tam, gdzie wysoki brzeg rzucał jeszcze większy cień na ciemną wodę, przykuła błądzący wkoło wzrok Heywarda. Zawahał się i nie wiedząc, czy iść dalej, wskazał to miejsce swemu towarzyszowi.

— Tak — rzekł z niewzruszonym spokojem zwiadowcą — Indianie ukryli zwierzęta z właściwym im rozsądkiem. Woda nie zostawia śladów, a mrok tego wgłębienia oślepiłby nawet sowę.

Niebawem Indianie przyłączyli się do białych i znów zaczęli naradzać się ze zwiadowcą, a w tym czasie osoby, których los zawisł od sprytu i uczciwości tych nie znanych im mieszkańców puszczy, mogły dokładnie rozejrzeć się wokół siebie.

Rzeka płynęła tu między wysokimi i urwistymi skałami, z których jedna zwisała nad miejscem, gdzie zatrzymała się łódka. Nad wodą wznosiły się wysokie drzewa, które zdawały się chwiać nad brzegiem przepaści, przeto rzeka płynęła jakby głębokim i wąskim parowem. Wszystko poniżej fantastycznych kształtów skał i postrzępionych wierzchołków drzew, tu i tam niewyraźnie rysujących się na tle gwieździstego nieba, było pogrążone w mroku. Tuż za łódką wzrok napotykał ciemny zarys biegnącego łukiem i zalesionego brzegu. Niedaleko przed nimi woda piętrzyła się wysoko i spadała w dół do pieczar, z których dobiegał groźny huk przepełniający wieczorną ciszę. W tym zacisznym zakątku siostry, podziwiając jego romantyczne, choć groźne piękno, poddały się kojącemu uczuciu spokoju. Wkrótce jednak ogólne poruszenie wśród przewodników oderwało ich uwagę od dzikiego, spotęgowanego przez mrok uroku tego miejsca i boleśnie przypomniało o grożącym im niebezpieczeństwie.

Konie, przywiązane do krzaków rzadko rosnących w szczelinach skał, miały spędzić noc stojąc w wodzie. Zwiadowca polecił Heywardowi i reszcie zalęknionych podróżnych usadowić się na przodzie czółna, sam zaś stanął na jego drugim końcu. Stał tam wyprostowany i tak spokojny, jakby miał żeglować o wiele mocniejszym stateczkiem. Indianie ostrożnie wrócili tam, skąd przyszli, a zwiadowca, wparłszy tykę w skałę, silnym pchnięciem skierował wątłą łódkę prosto w sam środek spienionego nurtu. Przez długie minuty bańka mydlana, w której płynęli, toczyła ciężką walkę z bystrym prądem rzeki, a wynik tej walki był wątpliwy. Pasażerowie, którym nie wolno było nawet ruszyć ręką i którzy nieomal bali się odetchnąć, by nie wywrócić kruchego stateczku, z gorączkowym niepokojem przyglądali się połyskującej wodzie. Ze dwadzieścia razy zdawało im się, że roztańczone wiry niosą ich wprost ku zgubie,

ale za każdym razem mistrzowska ręka sternika kierowała dziób łódki przeciw prądowi. Wytrwały i jak się wydawało obu kobietom, rozpaczliwy wysiłek zwyciężył w tej walce. Właśnie w chwili, kiedy śmiertelnie przerażona Alicja zamknęła oczy przypuszczając, że już ich porywa wir u podnóża wodospadu, łódka przybiła do płaskiej skały, ledwie wystającej z wody.

— Gdzie jesteśmy i co mamy teraz robić? — spytał Heyward widząc, że zwiadowca skończył już swą ciężką pracę.

— Jesteśmy u podnóża wodospadu Glenn — odparł myśliwy. W pobliżu huczących wód bez obawy mówił głośno. — A teraz trzeba ostrożnie wysiąść, by czółno się nie wywróciło i abyście znów nie odbyli tej samej uciążliwej drogi, tym razem w dół rzeki, i to znacznie szybciej. Trudno dać sobie radę z nurtem na tych kataraktach, zwłaszcza gdy rzeka nieco wezbrała. Pięć osób to też trochę za dużo, by ich nie zamoczyć jadąc czółnem skleconym byle jak, z odrobiny kory brzozowej i żywicy. A więc wejdźcie na skałę, a ja udam się po Mohikanów i po ubitego jelenia. Lepiej już usnąć bez skalpu na głowie niż umrzeć z głodu wśród obfitości.

Pasażerowie czółna chętnie usłuchali zwiadowcy. Gdy ostatni z nich dotknął nogą wysepki, łódka zawirowała i odbiła od skały. Przez chwilę jeszcze widać było wysoką sylwetkę zwiadowcy sunącą nad wodą, aż wreszcie wchłonęła ją nieprzenikniona ciemność okrywająca rzekę. Podróżni, opuszczeni przez swego przewodnika, parę minut stali bezradnie na miejscu,, bojąc się ruszyć wzdłuż spękanych skał, bo fałszywy krok groził upadkiem w jedną z wielu głębokich i huczących po ich obu stronach rozpadlin, w które kotłując się i pieniąc spadała woda. Niebawem jednak ich niepewność się skończyła; nim bowiem minął czas, według ich przypuszczeń potrzebny zwiadowcy po to, by wrócić po swych towarzyszy, łódka kierowana przez zręcznych Indian już zdążyła wychynąć z wirów i znów przybić do niskiej skały.

— A więc jesteśmy już umocnieni, mamy garnizon i prowiant — wesoło zawołał Heyward — i możemy śmiać się z Montcalma i jego sprzymierzeńców. Ale czy, mój czujny wartowniku,

dostrzeże pan na tamtym brzegu jakiegoś Irokeza, jak pan ich nazywa?

— Nazywam ich Irokezami, ponieważ każdego Indianina mówiącego obcym językiem uważam za wroga, choćby nawet udawał, że służy królowi! Jeżeli Webb szuka Indian uczciwych i wiernych, niech weźmie plemiona Delawarów, a przepędzi chciwych i kłamliwych Mohawków i Oneidów wraz z ich łotrowskimi Sześcioma Plemionami tam, gdzie ich miejsce — do Francuzów!

— Wówczas zamienilibyśmy wojowniczych przyjaciół na niedołęgów. Słyszałem bowiem, że Delawarzy odłożyli na bok swoje tomahawki i pozwalają się nazywać kobietami!

— Tak, niech ta hańba spadnie na Holendrów i Irokezów, którzy swymi diabelskimi sztuczkami oszukali ich i nakłonili do podobnej umowy! Ale ja znam Delawarów od dwudziestu lat i nazwę kłamcą każdego, kto powie, że krew tchórzów płynie w ich żyłach. Odepchnęliście ich plemiona od morskiego wybrzeża i teraz słuchacie ich wrogów, by uśpić własne sumienie. Nie, nie, dla mnie każdy Indianin mówiący obcym językiem jest Irokezem, obojętne, czy zamek* jego plemienia jest w Kanadzie, czy w New Yorku.

Heyward spostrzegł, że zwiadowca jest zagorzałym przyjacielem Delawarów czy Mohikanów (którzy byli tylko odgałęzieniem licznego plemienia delawarskiego), i gotów jest przeciągnąć ten jałowy spór, zmienił więc temat rozmowy.

— Mniejsza z tym, czy zawarli umowę, czy nie. Ja' doskonale wiem, że pańscy dwaj przyjaciele są dzielnymi i wytrawnymi wojownikami! Czy dosłyszeli coś, a może dostrzegli naszych wrogów?

— Indianin jest takim śmiertelnikiem, którego się wyczuje, zanim się go zobaczy — odrzekł zwiadowca wchodząc na skałę i niedbałym ruchem rzucając na nią ubitego jelenia. — Kiedy jestem na tropie Mingo, ufam znakom innym niż te, które widzę.

— Czy pański słuch mówi mu, że wpadli na nasz ślad?

— Przykro byłoby mi tak myśleć, mimo że to miejsce, przy zaciętej odwadze broniących się, mogłoby się ostać nawet przy nie lada bitce. Nie zaprzeczę jednak, że konie niepokoiły się, gdym koło nich przepływał, tak jakby czuły, wilka, A wilk jest zwierzęciem, które kręci się koło zasadzki Indian czyhając na resztki ubitej przez nich zwierzyny.

— Zapomina pan o koźle leżącym u pańskich nóg! A może zawdzięczamy ich wizytę zabitemu źrebakowi? Ha, co to za hałas?

— Nieszczęsna Miriam! — mruczał nieznajomy. — Twemu źrebięciu przeznaczone było pójść na pastwę krwiożerczych bestii! — Nagle podniósł głos i pośród łoskotu wód zaśpiewał na całe gardło:

Który pobił pierworodztwa w Egipcie, od człowieka aż do bydlęcia.

Posłał znaki i cuda wpośród ciebie, Egipcie!

Na Faraona i na wszystkich sług jego.

— Śmierć źrebaka zaciążyła na duszy jego właściciela — rzekł zwiadowca. — Ale dobry to znak, że jest wśród nas ktoś, kto myśli o swych pozbawionych mowy przyjaciołach. Religią takiego człowieka jest wiara w przeznaczenie, wierzy on, że co się ma stać, to się stanie. A wyznawca tej pocieszającej wiary szybko zrozumie konieczność zabijania zwierząt czworonożnych dla zachowania życia ludzkiego. Może ma pan i rację — ciągnął dalej, powracając do ostatniej uwagi Heywarda — i dlatego lepiej będzie wykrajać mięso, a szkielet spławić z prądem w dół rzeki, bo cała sfora gotowa nam tu wyć nad urwiskiem, opłakując każdy przełknięty przez nas kęsek. Poza tym, choć dla tych przeklętych Irokezów język Delawarów jest tym samym, co książka, są oni dość sprytni, by zrozumieć mowę wilków.

Mówiąc to zwiadowca zbierał niektóre potrzebne mu przedmioty, gdy zaś zakończył ostatnią uwagę, przeszedł w milczeniu obok grupki podróżnych, a Mohikanie, którzy widocznie błyskawicznie i instynktownie odgadywali jego myśli, poszli za nim. Po chwili wszyscy trzej kolejno ukryli się w

czarnej, prostopadłej skale, wysokiej na kilka jardów i leżącej o kilka stóp od skraju Avody.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

*Z pieśni które w Syjonie brzmiały kiedyś słodko,*
*Najtroskliwiej wersety wybiera jak kiście.*
*A potem: „Chwalmy Boga” wyrzekł uroczyście.*

Burns

Heyward i jego towarzyszki przyglądali się tym tajemniczym ruchom z ukrytym niepokojem. Chociaż bowiem zachowaniu się białego nie można było dotychczas nic zarzucić, jednakże jego prymitywny strój, nieokrzesana mowa i niepohamowana zaciekłość — łącznie z postaciami jego milczących sprzymierzeńców — przyczyniły się razem wzięte do wzbudzenia nieufności w umysłach wstrząśniętych niedawną zdradą Indianina.

Tylko nieznajomy nie zważał na to, co się koło niego dzieje. Siedział nieruchomo na występie skalnym, a o tym, że żyje, świadczyły tylko ciężkie i częste westchnienia, stanowiące echa wewnętrznej walki, jaką z sobą toczył. Niebawem dały się słyszeć ściszone głosy, jakby jacyś ludzie nawoływali się we wnętrzu ziemi, i nagle promień światła przesunął się po podróżnych ukazując im bezcenne tajemnice tego ustronia.

W głębi wąskiej i długiej pieczary, która w perspektywie i w świetle, w jakim ją widzieli, wydawała się jeszcze dłuższa, siedział zwiadowca trzymając w ręku pęk płonącego jodłowego łuczywa. Jasny blask ognia, padając na śmiałą, ogorzałą twarz i myśliwski strój, nadawał wyraz romantycznej dzikości temu człowiekowi, który w biały dzień wyróżniałby się tylko

niezwykłym ubiorem, iście żelazną budową ciała oraz szczególną mieszaniną bystrego, czujnego rozsądku i doskonałej prostoty — cech na zmianę występujących w jego muskularnych rysach twarzy. Nieco przed nim, w pełnym świetle, stał Unkas. Podróżni ciekawie przyglądali się prostej, smukłej sylwetce młodego Mohikanina, pełnego wdzięku i swobodnego w swej naturalnej pozie i ruchach. Wprawdzie wbrew zwyczajom Indian okrył swe ciało zieloną, ozdobioną frędzlami koszulą myśliwską, podobną do tej, jaką nosił jego biały towarzysz, jednakże jego oczy, czarne, błyszczące, nieustraszone i spokojne, choć groźne, oraz śmiałe, regularne i dumne rysy były wyraźnie widoczne. Wyraźnie też widać było nieco cofnięte czoło i doskonałe proporcje szlachetnej głowy, wygolonej aż po czub na ciemieniu. Duncan i jego towarzysze po raz pierwszy mogli dobrze się przyjrzeć wymownemu obliczu jednego z ich indiańskich sprzymierzeńców. W miarę jak patrzyli na dumną i zdecydowaną, aczkolwiek dziką twarz młodego wojownika, czuli, że otucha wstępuje w ich serca. Wierzyli, że ta istota, choć tkwi w mrokach niewiedzy, nie skorzysta ze swych bogatych przyrodzonych darów dla popełnienia zdrady. Nie znająca obłudy Alicja przypatrywała się tej szczerej twarzy i dumnej postawie, tak, jak patrzyłaby na cenną antyczną grecką rzeźbę, w jakiś cudowny sposób ożywioną. Heyward zaś, choć obyty z widokiem doskonałych kształtów, które często spotyka się wśród jeszcze nie zdegenerowanych Indian, otwarcie wyraził swój podziw dla tego nienagannego modelu pięknej budowy ciała.

— Mogłabym spać spokojnie — szepnęła Alicja — pod ochroną tak nieulękłego i szlachetnie wyglądającego młodziana. Jestem pewna, Duncanie, że tych okrutnych morderstw i mrożących krew w żyłach tortur, o których tyle czytamy i słyszymy, nigdy nie popełniono w obecności takich ludzi jak ten!

— Jest on istotnie rzadkim i wspaniałym przykładem tych naturalnych zalet, w które, jak mówią, to niezwykłe plemię obfituje — odparł major. — Zgadzam się z panią, Alicjo, że takie

czoło i oczy stworzono po to, by budziły strach, lecz nie oszukiwały; jednakże nie łudźmy się, że znajdziemy w nim cnoty niezgodne z naturą dzikich. Tak jak u chrześcijan rzadko spotyka się ludzi wielkich cnót, tak i u Indian są oni wyjątkami. Jednakże trzeba oddać hołd naszej wspólnej naturze za to, że zarówno wśród białych, jak i czerwonoskórych spotyka się ludzi cnotliwych. Wierzmy więc, że ten Mohikanin nas nie zawiedzie, że jego czyny zgodne będą z jego wyglądem i że będzie dzielnym i wiernym przyjacielem.

— Teraz major Heyward mówi tak, jak powinien mówić major Heyward — powiedziała Kora. — Któż z patrzących na ten twór natury myślałby o tym, że jego skóra ma odmienny kolor!

Po tej uwadze zapadła krótka i najwidoczniej niezręczna cisza. Przerwało ją głośne wołanie zwiadowcy, który zapraszał podróżnych do środka pieczary.

— Ogień zaczyna płonąć zbyt jasno — powiedział, gdy go usłuchano — i może ściągnąć Mingów na naszą zgubę. Unkasie, opuść zasłonę i pokaż ją tym nicponiom od ciemnej strony. Kolacja nie jest taka, jakiej miałby prawo spodziewać się major Pułku Amerykańskich Strzelców Królewskich, ale widywałem już dzielne oddziały armii, które byłyby szczęśliwe, gdyby mogły jeść surowe mięso jelenie, i to nawet bez żadnej przyprawy. Jak widzicie, mamy tu pełno soli i możemy upiec pieczeń na poczekaniu. Oto świeże gałązki sassafrasu, na których mogą spocząć panie; być może, nie są tak wspaniałe jak ich skórzane fotele, ale pachną przyjemniej niż świńska skóra. Przyjacielu, nie smuć się z powodu źrebaka. Było to niewinne stworzenie, które nie zaznało jeszcze wielu trudów. Śmierć zaoszczędziła mu niejednego bólu krzyża i zmęczenia nóg.

Unkas zrobił, co mu kazał Sokole Oko, i kiedy ten umilkł, szum wodospadu rozbrzmiewał jak huk odległego grzmotu.

— Czy w tej pieczarze jesteśmy zupełnie bezpieczni? — zapytał Heyward. — Czy wróg nas tu nie zaskoczy? Jeden uzbrojony człowiek u wejścia mógłby trzymać nas w szachu.

Na te słowa postać podobna do widma wyłoniła się z ciemności za myśliwym i pochwyciwszy płonące łuczywo oświetliła nim najdalszy kąt pieczary. Gdy ta przerażająca zjawa stanęła w świetle, Alicja krzyknęła stłumionym głosem i nawet Kora zerwała się z miejsca, ale Heyward jednym słowem uspokoił obie kobiety mówiąc im, że jest to ich współtowarzysz Chingachgook. Ten zaś odchylił inną zasłonę i ukazał drugie wejście do pieczary. Następnie, trzymając w rękach płonące łuczywo, przeszedł przez głęboką, wąską rozpadlinę skalną, biegnącą pod prostym kątem do pieczary, w której się znajdowali, ale w przeciwieństwie do niej rozwierającą się ku górze, i wszedł do innej pieczary, uderzająco podobnej do pierwszej.

— Takich starych lisów jak my nieczęsto można przyłapać w norze o jednym wyjściu — powiedział śmiejąc się Sokole Oko. — Łatwo dostrzeże pan zalety tego miejsca: skała jest z czarnego wapniaka, który, jak ogólnie wiadomo, jest dość miękki i służy za niezłą poduszkę tam, gdzie brak jest chrustu lub jodłowych łapek. Wodospad leżał kiedyś o kilka jardów poniżej nas i ośmielę się zauważyć, był w owym czasie tak piękną i gładką taflą wody, jak każda w dół Hudsonu. Jednakże starość to ciężka próba dla pięknego wyglądu, o czym te młode panie dopiero się dowiedzą. To miejsce przykro się zmieniło!

W skałach potworzyły się szczeliny, a że w niektórych miejscach kamień jest bardziej miękki niż w innych, woda wypłukała głębokie pieczary. W końcu cofnęła się o jakieś sto stóp, tu podmywając skały, tam znów przełamując się przez nie, aż wreszcie wodospad zatracił swoją regularną postać.

— W jakiej jego części jesteśmy? — zapytał Heyward.

— Hm, jesteśmy w pobliżu miejsca, w którym Opatrzność umieściła wodospad, ale jego buntownicze wody znalazły sobie inną drogę. Po obu naszych stronach skała była bardziej miękka niż tutaj, wody opuściły więc środek koryta rzeki, wyżłobiwszy przedtem te dwie małe pieczary na schronienie dla nas.

— A zatem jesteśmy na wyspie?

— Tak! Po obu stronach mamy wodospad, a rzekę poniżej i powyżej. Gdyby był teraz dzień, mógłby pan wejść na szczyt skały i zobaczyć, co ta woda wyprawia. Spada bez żadnego ładu i składu: czasem daje susa w górę, czasem na łeb, na szyję leci w dół, tam skacze, tu pędzi na złamanie karku, w jednym miejscu jest biała jak śnieg, w innym zielona jak trawa, w pobliżu nas gwałtownie spada w głębokie szczeliny, aż ziemia dudni i drży, a nieco dalej szemrze i śpiewa niby strumyczek, tworząc wiry i kipiele w starym kamieniu, jakby był miękki niczym wyrobiona glina. Cały bieg rzeki jest kręty i zagmatwany. Początkowo toczy się spokojnie, jakby zamierzała spłynąć w dół, zgodnie z prawami przyrody. Nagle zaczyna się wić i staje twarzą w twarz z brzegiem, a nie brak też miejsc, w których ogląda się w tył, jakby nie chciała opuścić głuszy leśnej i połączyć się ze słoną wodą! Tak, pani, ta piękna tkanina, podobna do siatki pajęczej, zdobiąca pani szyję, jest szpetna i przypomina sieć rybacką w porównaniu z miejscami, które mógłbym pani wskazać, gdzie rzeka tworzy przeróżne wzory, jakby chciała spróbować każdej sztuki na przekór naturze. A jednak do czegóż to prowadzi! Potem, gdy woda podobnie jak uparty człowiek na czas pewien postawiła na swoim, ręka Stwórcy zebrała ją w jedno i o kilkanaście stóp niżej może już pani ujrzeć, jak płynie spokojnie w kierunku morza, zgodnie z losem wyznaczonym jej od początku świata!

Słuchacze Sokolego Oka, których ten niewyszukany opis wodospadu Glenn miał natchnąć wiarą w bezpieczeństwo ich schronienia, skłonni byli wręcz odmiennie osądzić jego dzikie piękno. Jednakże położenie, w jakim się znajdowali, nie pozwalało im zastanawiać się nad urokami przyrody, gdy więc zwiadowca w czasie opowiadania przerywał gotowanie jedynie po to, aby złamanym widelcem wskazać kierunek jakiegoś szczególnie groźnego fragmentu zbuntowanej rzeki, myśli ich biegły ku rzeczy bardziej prozaicznej, choć nie mniej ważnej — kolacji.

Kolacja, znacznie urozmaicona dodatkiem paru smakołyków, które Heyward przezornie zabrał ze sobą, gdy rozstawali się z

końmi, niezwykle pokrzepiła zmęczonych podróżnych. Unkas usługiwał paniom świadcząc im różne drobne grzeczności z nieśmiałym wdziękiem pomieszanym z dumą. Bawiło to Heywarda, albowiem doskonale wiedział, że takie postępowanie rażąco odbiega od zwyczajów Indian, które zabraniają wojownikom zniżania się do jakichkolwiek prac domowych, a zwłaszcza usługiwania kobietom. Ponieważ jednak prawo gościnności było święte dla Indian, to małe odstępstwo od męskiej dumy nie wywołało żadnych głośnych komentarzy. Jednakże, gdyby ktoś z obecnych miał czas na uważną obserwację, spostrzegłby, że młody wojownik nie okazuje równych względów obu siostrom. Gdy podawał Alicji wydrążoną tykwę wypełnioną wodą oraz kawałek dziczyzny na talerzu zręcznie wyciętym z korzenia pieprzowego drzewa, czynił to z poprawną uprzejmością, natomiast gdy świadczył te same usługi Korze, jego czarne oczy zatrzymywały się na jej pięknych, wyrazistych rysach. Raz czy dwa musiał się odezwać, by na coś zwrócić uwagę osób, którym usługiwał. W tych wypadkach mówił po angielsku, wprawdzie językiem łamanym i nieprawidłowym, jednakże dostatecznie zrozumiałym, a jego gardłowy, głęboki głos nadawał słowom tak miękkie i muzykalne brzmienie, że obie siostry za każdym razem spoglądały na niego z podziwem i zdziwieniem. Tak więc w czasie tych uprzejmości obie strony zamieniły parę zdań i zadzierzgnęły jakby nić przyjaźni.

Chingachgook siedział z niewzruszoną powagą. Usadowił się bliżej ogniska, w kręgu światła, gdzie podróżni, rzucając częste i niespokojne spojrzenia na jego twarz, łatwiej mogli dostrzec jej prawdziwy wyraz pod przerażającym malowidłem wojennym. Zauważyli też duże podobieństwo między ojcem i synem, którego nie zatarły różnice wynikające z wieku i przebytych trudów.

Surowe rysy wodza złagodniały i na jego obliczu malowały się teraz obojętność i leniwy spokój jak zwykle u indiańskiego wojownika, kiedy może rozluźnić swą uwagę i czujność. Jednakże z przelotnych błysków na jego śniadej twarzy łatwo

było odgadnąć, że wystarczy tylko rozbudzić jego namiętności, by dał dowody, że nie próżno, dla zastraszenia wrogów, ozdobił ciało groźnym emblematem.

W przeciwieństwie do spokoju Indianina, szybkie, błyszczące oczy zwiadowcy rzadko kiedy spoczywały na jednym miejscu. Jadł i pił z apetytem, którego nie mogła zakłócić żadna obawa niebezpieczeństwa, ale czujność nie opuszczała go ani na chwilę. Wielekroć tykwa czy kawałek dziczyzny podnoszony do ust zawisały w powietrzu, a jego głowa zwracała się w bok, jakby przysłuchiwał się jakimś dalekim, podejrzanym dźwiękom. Ruch ten za każdym razem odrywał podróżnych od rozmyślań nad niezwykłością warunków, w jakich się znaleźli, i przypominał im niedawne niepokojące wydarzenia. Po tych częstych przerwach zwiadowca nic jednak nie mówił, toteż chwilowy niepokój podróżnych szybko mijał i na jakiś czas zapominali o niebezpieczeństwie.

— No, przyjacielu — powiedział pod koniec posiłku Sokole Oko wyciągając beczułkę spod przykrywających ją liści i zwracając się do nieznajomego, który siedział przy nim i swym apetytem czynił zaszczyt jego kulinarnym zdolnościom. — Spróbuj tego balsamu jodłowego, doda ci życia i spłucze wszystkie myśli o źrebaku. Piję za naszą przyjaźń i spodziewam się, że nie będziemy się gniewać o parę funtów końskiego mięsa. Jak pan się nazywa?

— Gamut, Dawid Gamut — odparł nauczyciel śpiewu przygotowując się do utopienia swych zmartwień w potężnym łyku wonnej, dobrze zaprawionej spirytusem mieszaniny sporządzonej przez myśliwego.

— Bardzo piękne nazwisko i pozwolę sobie zauważyć, najwidoczniej odziedziczone po uczciwych przodkach. Kocham się w dobrze dobranych imionach, ale muszę, powiedzieć, że chrześcijańskie zwyczaje daleko odbiegają pod tym względem od zwyczajów dzikich. Największy tchórz, jakiego kiedykolwiek znałem wśród chrześcijan, nosił imię Lyon, a jego żona Patience swymi wymysłami wyprowadziłaby pana z równowagi szybciej, niż goniony jeleń zdoła przebiec kilka stóp. Indianie są uczciwsi

pod tym względem, przeważnie są tacy, jakie mają przezwiska. Nie chcę przez to powiedzieć, że Chingachgook, co oznacza: wielki wąż, istotnie jest wężem, dużym czy małym. Po prostu umie zwijać się i skręcać, jest cichy i atakuje wrogów, kiedy się tego najmniej spodziewają. A jakie jest pańskie powołanie?

— Jestem niegodnym nauczycielem nabożnych pieśni.

— Co takiego?

— Uczę śpiewu młodzieńców z oddziałów kolonialnych z Connecticut.

— Można by dać panu lepsze zajęcie. Te szczeniaki i tak łażą po lasach śpiewając bezustannie i śmiejąc się, gdy powinni oddychać nie głośniej od lisa w jamie. Czy umie pan obchodzić się ze strzelbą lub gwintowanym sztucerem?

— Chwalę Pana na wysokościach za to, że nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z narzędziami mordu!

— To może zna się pan na busoli i wykreśla na papierze bieg rzek i góry dzikiego kraju po to, by nasi potomkowie mogli odnaleźć różne miejsca wedle ich nazw?

— To nie jest moim zajęciem.

— Ma pan parę nóg, które znakomicie mogą skrócić drogę! Pewnie generał posyła pana czasem z wiadomościami?

— Nigdy. Idę tylko za swoim wysokim powołaniem, jakim jest nauczanie śpiewu religijnego.

— Dziwne powołanie! — mruknął Sokole Oko śmiejąc się cicho. — Spędzać życie jak sroką na przedrzeźnianiu różnych wysokich i niskich tonów, które mogą wyjść z gardła innych ludzi. Dobrze, przyjacielu, sądzę, że ma pan do tego zdolności, których nie należy lekceważyć, tak jak i umiejętności celnego strzelania czy nawet czegoś lepszego. Posłuchajmy, co pan potrafi w swoim zawodzie. Będzie to zarazem przyjacielskie życzenie dobrej nocy, bo panie muszą nabrać sił do ciężkiego i długiego wysiłku, jaki podejmiemy o świcie, zanim Makaowie się ruszą.

— Zgadzam się z największą radością — odparł Dawid, po czym wsadził na nos okulary w stalowej oprawie, wyciągnął swą ukochaną małą książeczkę i podał ją Alicji. — Czyż może

być coś właściwszego i bardziej podnoszącego na duchu od wieczornej modlitwy po dniu pełnym tak niezwykłych niebezpieczeństw?

Alicja uśmiechnęła się, ale spojrzawszy na Heywarda zarumieniła się i zawahała.

— Niechże sobie pani nie odmawia tej przyjemności — szepnął major — czyż nie należy się liczyć z tym, co w takiej chwili mówi imiennik króla Dawida?

Słowa majora ośmieliły Alicję. Uległa swemu zamiłowaniu do poważnej muzyki i od dawna odczuwanej chęci zmówienia modlitwy. Otwarto więc książkę na hymnie odpowiednio dobranym do ich położenia, w którym poeta, pohamowawszy chęć prześcignięcia uduchowionego króla izraelskiego, ujawnił odrobinę prawdziwego i rzetelnego talentu. Kora wyraziła ochotę przyłączenia się do siostry. Gdy metodyczny Dawid dokonał już wstępnych manipulacji podawania tonu na drewnianej fujarce, rozbrzmiała nabożna pieśń.

Melodia płynęła uroczyście i wolno, czasami wznosiła się do najwyższej skali bogatych głosów kobiet, które z religijnym skupieniem pochylały się nad małą książeczką, a później tak cichła, że można było dosłyszeć szmer wody, podobny do stłumionego akompaniamentu.

Dawid mając wrodzony smak i doskonały słuch panował nad tonami i łagodził je stosownie do rozmiaru pieczary, której każda szczelina i każdy załom wypełniły się rozedrganymi tonami giętkich głosów. Indianie wlepili wzrok w głazy i przysłuchiwali się śpiewowi z uwagą, od której — można by powiedzieć — postacie ich skamieniały.

Zwiadowca, który siedział oparłszy brodę na dłoni, zrazu słuchał psalmu obojętnie, ale później, w miarę jak przybywało strof pieśni, poczuł, że jego żelazna natura coraz bardziej mięknie, a wspomnienia unoszą go w okres dzieciństwa, kiedy to w osadzie kolonistów nieraz słyszał podobne nabożne pieśni. Jego niestrudzone oczy myśliwego poczęły wilgotnieć i zanim śpiew zamilkł, palące łzy trysnęły ze źródeł pozornie dawno już wyschniętych i popłynęły po policzkach człowieka, którego

częściej smagał okrutny los, niż nawiedzały tkliwe uczucia. Śpiewający wytrzymywali jeden z tych niskich, zamierających akordów, którym ucho rozkoszuje się z chciwym zachwytem, zanim go utraci, gdy przeraźliwy głos nie mający w sobie nic ludzkiego ani nawet nic ziemskiego, przeszył powietrze i wdarł się nie tylko do najodleglejszych zakątków pieczary, lecz w sam środek serc wszystkich obecnych. Po nim zapadła cisza tak głęboka, jakby wody stanęły w swym szalonym biegu, powstrzymane nagłym wtargnięciem przerażającego i niezwykłego głosu.

— Co to jest? — wyszeptała Alicja po dłuższej chwili straszliwej niepewności.

—Co to jest? — głucho powtórzył Heyward.

Ani Sokole Oko, ani Indianie nie odpowiedzieli. Z równie zdziwionymi minami nadsłuchiwali, jakby spodziewając się, że dźwięk się powtórzy. Wreszcie poważnie naradzili się ze sobą w narzeczu Delawarów i Unkas ostrożnie wyszedł z pieczary przez wewnętrzny, najlepiej zamaskowany otwór. Po jego wyjściu Sokole Oko pierwszy się odezwał, tym razem po angielsku:

— Co to jest lub czym to nie jest, nikt tu nie może powiedzieć, mimo że dwóch z nas przebiega puszczę ponad trzydzieści lat! Wierzyłem, że moje uszy słyszały już każdy krzyk Indianina czy ryk zwierzęcia, tymczasem ten głos dowiódł, że jestem tylko próżnym i zarozumiałym śmiertelnikiem.

— Czy nie był to okrzyk wojowników, którzy chcą przestraszyć swych wrogów? — zapytała Kora. Stała obok i otulała się szalem ze spokojem, którego mogłaby jej pozazdrościć przerażona Alicja.

— Nie, nie, to był ohydny i wstrząsający głos i miał w sobie coś nieludzkiego, kto zaś raz słyszał okrzyk wojenny, nigdy go już nie zapomni. No, Unkasie — zwrócił się,w narzeczu Delawarów do młodego wodza, który właśnie powrócił — coś tam zobaczył? Czy zasłony nie przepuszczają światła?

Odpowiedź udzielona w tym samym języku była krótka i najwidoczniej stanowcza.

— Na zewnątrz nie można nic dostrzec — powiedział Sokole Oko potrząsając głową z niezadowoleniem — a nasza kryjówka tonie w ciemności. Przejdźcie do sąsiedniej pieczary i spróbujcie usnąć, bo potrzebujecie wypoczynku. Musimy być na nogach grubo przed wschodem słońca i dostać się do fortu Edwarda, gdy Mingowie będą jeszcze spali w najlepsze.

Kora usłuchała i swą uległością dała dobry przykład bojaźliwej Alicji. Zanim jednak opuściła pieczarę, zdążyła szeptem poprosić Duncana, by poszedł za nimi. Unkas uniósł zasłonę, by ich przepuścić, a gdy siostry odwróciły się dziękując mu za ten dowód troski, ujrzały zwiadowcę siedzącego przed dogasającym żarem ogniska. Twarz wsparł na dłoni i siedział w postawie wyraźnie wskazującej, że głęboko zatonął w rozmyślaniach nad tajemniczym wydarzeniem, które przerwało ich wieczorne modły. Heyward zabrał ze sobą palącą się wiązkę łuczywa, które mdłym blaskiem oświecało wąską przestrzeń ich nowego mieszkania. Zatknąwszy łuczywo w najdogodniejszym miejscu, podszedł do kobiet, z którymi znów znalazł się sam na sam, po raz pierwszy od chwili opuszczenia bezpiecznych szańców fortu Edwarda.

— Duncanie, nie opuszczaj nas — prosiła Alicja — nie zaśniemy tu, póki ten okropny krzyk dźwięczy nam w uszach.
— Przede wszystkim zbadajmy, czy nasza forteca zapewnia nam bezpieczeństwo — odparł młody oficer — a potem pomówimy o odpoczynku.

Poszedł w najodleglejszy kąt pieczary, gdzie było wyjście zasłonięte, tak jak i inne, grubym kocem i odsunąwszy go odetchnął świeżym i rześkim powietrzem wodospadu. Jedna odnoga rzeki płynęła tuż pod jego stopami głębokim i wąskim jarem wyżłobionym przez prąd w miękkich skałach. Z tej strony woda zapewniała — jak sądził— skuteczną obronę przed każdym atakiem, ponieważ zaledwie o kilkanaście stóp powyżej pieczary połyskiwała, pieniła się, piętrzyła i rwała w dół kłębiąc się w szalonych wirach.

— Z tej strony natura stworzyła przeszkodę nie do przebycia — powiedział Heyward i zanim opuścił zasłonę, wskazał na

ciemny nurt w dole prostopadłego urwiska — a ponieważ, jak wiecie, dobrzy i oddani ludzie strzegą dostępu od przodu, powinnyście usłuchać rady naszego zacnego gospodarza. Jestem pewien, że Kora zgodzi się ze mną, iż sen jest dla was koniecznym wypoczynkiem.

— Kora może zgodzić się z tym zdaniem, aczkolwiek nie będzie mogła go usłuchać — odparła starsza siostra, która siedziała obok Alicji na posłaniu z gałązek sassafrasu. — Nawet gdyby nie wstrząs wywołany tajemniczym głosem, miałybyśmy dość zmartwień, które spędzają sen z powiek. Niech pan sam powie, Heywardzie, czy możemy zapomnieć o niepokoju, jaki musi przeżywać nasz ojciec, który nie wie, gdzie i jak jego córki spędzają noc w tej dzikiej puszczy i w samym środku tak okropnych niebezpieczeństw!

— Jest przecież żołnierzem i wie, co może się przydarzyć w puszczy.

— Jest ojcem i nie zdoła, przezwyciężyć ojcowskich uczuć.

— Jak łagodnie znosił wszystkie moje kaprysy! Jakże był pobłażliwy i wyrozumiały dla wszystkich moich zachcianek! — szlochała Alicja. — Byłyśmy wielkimi egoistkami, siostrzyczko, nalegając na nasz przyjazd związany z takim niebezpieczeństwem!

—Możliwe, że zbyt lekkomyślnie domagałam się jego zgody na nasz wyjazd w tak trudnych warunkach. Chciałam jednak mu dowieść, że gdy inni opuścili go w biedzie, jego dzieci pozostały mu wierne.

— Kiedy dowiedział się o przybyciu pań do fortu Edwarda— grzecznie wtrącił Heyward — obawa i miłość poczęły zaciekle walczyć w jego sercu. Jednakże miłość, wzmożona — jeśli to w ogóle możliwe — tak długą rozłąką, szybko zwyciężyła. „Kieruje nimi duch mej szlachetnej Kory, Duncanie powiedział mi. „I nie będę się jej sprzeciwiał. Dałby Bóg, żebym dzierżąc w swych rękach honor naszego króla wykazał choć połowę jej hartu i odwagi!”

— A czy nie mówił o mnie, Heywardzie? — zapytała Alicja z wyraźną zazdrością. — Na pewno nie zapomniał o swej małej

Ali!

— To byłoby niemożliwe — odparł młody człowiek. — Wymawiał pani imię z dodatkiem tysiąca najczulszych słów, których nie ośmieliłbym się powtórzyć, ale których słuszności gorąco przyświadczam. Pewnego razu powiedział…

Przerwał nagle, gdyż w chwili kiedy patrzał w oczy Alicji, która wiedziona miłością do ojca, żywo zwróciła się ku niemu, by nie opuścić ani jednego słowa, ten sam ostry, okropny krzyk przeszył powietrze i pozbawił go głosu.

Potem zapadła długa, głucha cisza, podczas której podróżni spoglądali na siebie i zdjęci trwogą czekali, aż znów usłyszą ten sam głos. Wreszcie zasłona odchyliła się wolno i w skalnym otworze stanął zwiadowca. Na jego twarzy malował się niepokój. Tajemnicze niebezpieczeństwo, wobec którego bezsilne było całe jego doświadczenie i przebiegłość, spędziło z jego twarzy zwykłą pewność siebie.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

*...I wcale nie śpią;*
*Ta straszna zgraja na tych tam, ot, skałach*
*— Widzę — usiadła...*

Gray

Lekceważyliśmy zesłane nam ostrzeżenie siedząc nadal w ukryciu, kiedy podobne dźwięki rozlegają się w puszczy — powiedział Sokole Oko. — Panie mogą pozostać w pieczarze, natomiast Mohikanie i ja będziemy czatować na skale, gdzie jak sądzę, major sześćdziesiątego pułku zechce dotrzymać nam towarzystwa.

— Czy grożące nam niebezpieczeństwo jest tak blisko? — zapytała Kora.

— Tylko Ten, który tworzy te dzikie dźwięki i zsyła je dla ostrzeżenia ludzi, zna grożące nam niebezpieczeństwo. Byłbym grzesznikiem buntującym się przeciw Jego woli, gdybym zaszył się w tej pieczarze, kiedy takie ostrzeżenia dochodzą do naszych uszu! Nawet człowiek słabego serca, który życie spędza na śpiewie, czuje się wstrząśnięty tym krzykiem i jak mówi, gotów jest „rzucić się w wir walki". Gdyby chodziło tylko o walkę, byłaby to dla nas rzecz zwykła i bez trudu dalibyśmy sobie z tym radę, jednakże słyszałem, że gdy takie okrzyki zabrzmią między niebem a ziemią, oznacza to zupełnie inny rodzaj wojny!

— Jeżeli powodem do obaw są tylko zjawiska nadprzyrodzone, nie mamy się czego lękać, mój przyjacielu —

spokojnie powiedziała Kora. — Czy nie przypuszcza pan, że nasi wrogowie wpadli na nowy i oryginalny podstęp, by nas zastraszyć i ułatwić sobie zwycięstwo?

— Pani — uroczyście odrzekł zwiadowca — od trzydziestu lat przysłuchuję się głosom puszczy jak każdy, czyje życie zależy od sprawności jego słuchu. Nie zwiedzie mnie żadna płaczliwa skarga pantery, pogwizdywanie drozda czy jakieś wymysły diabelskich Mingów. Słyszałem już lasy jęczące jak człowiek rażony nieszczęściem. Często przysłuchiwałem się wiatrowi wygrywającemu melodie w splątanych gałęziach drzew. Słyszałem też pioruny trzaskające w powietrzu na podobieństwo gorejącego stosu, które sypały wkoło iskrami i ogniem, ale zawsze myślałem, że słyszę głos Tego, który igra tworem własnych rąk. Jednakże ani Mohikanie, ani ja — człowiek biały, bez kropli obcej krwi w żyłach — nie możemy wyjaśnić pochodzenia głosu, który przed chwilą usłyszeliśmy. Wierzymy więc, że jest to ostrzeżenie zesłane nam z nieba.

— Bardzo dziwne! — rzekł Heyward biorąc swe pistolety z miejsca, gdzie je położył, gdy wchodził do pieczary. — Obojętne, czy jest to znak zapowiadający pokój czy wojnę, musimy się z nim liczyć. Przyjacielu, idź naprzód, pójdę za tobą.

Po wyjściu z kryjówki wszyscy natychmiast poczuli się raźniej. Po dusznej atmosferze pieczary z ulgą odetchnęli chłodnym, orzeźwiającym powietrzem unoszącym się nad wodospadem. Silny wieczorny wiatr dął nad rzeką. Wydawało się, że wypełnia on hukiem wodospadów najodleglejsze zakątki pieczar wyżłobione przez wodę, skąd odgłos ten powracał wzmocniony, podobny do grzmotu za odległymi wzgórzami. Księżyc już wzeszedł i jego światło błyszczało tu i tam na powierzchni wody, powyżej miejsca, w którym stali nasi bohaterzy, ale sam skalny cypel wciąż jeszcze tonął w mroku. Z wyjątkiem łoskotu spadającej wody i porywistych podmuchów wiatru nad ich głowami cały krajobraz tchnął takim spokojem, jaki roztacza noc w bezludnej okolicy. Daremnie nasi bohaterowie wpatrywali się w przeciwległy brzeg, szukając tam znaków życia, które wyjaśniłyby pochodzenie niezwykłego

głosu. Zwodnicze światło księżyca mamiło ich ciekawe i niespokojne spojrzenia albo też widzieli tylko nagie skały lub strzeliste, nieruchome drzewa.

— Nie można nic dostrzec prócz mroku i spokoju cudnej nocy — szepnął Duncan. — Koro, kiedy indziej zachwycalibyśmy się taką nocą i tą zapierającą oddech w piersi samotnością. Wyobraź sobie, pani, że jesteś bezpieczna, a wówczas to, co teraz zwiększa twój lęk, będzie źródłem radości…

— Posłuchaj — przerwała Alicja.

Ostrzeżenie nie było potrzebne. Ten sam głos rozległ się ponownie, jakby z koryta rzeki, i wyrwawszy się poza ciasne granice jaru rozbrzmiał po lesie daleko zamierającym echem.

— Czy ktoś z nas może określić, co to za krzyk? — zapytał Sokole Oko, gdy już ostatnie echo zamarło w puszczy. — Jeśli tak, niech powie, ale ja myślę, że ten głos nie ma w sobie nic ziemskiego.

— Jest tu ktoś, kto wyprowadzi pana z błędu — powiedział Duncan. — Znam ten krzyk doskonale, nieraz bowiem słyszałem go na polu bitwy i w sytuacjach często spotykanych w życiu żołnierskim. Jest to kwik konia w chwili śmiertelnego lęku, najczęściej wywołany bólem, choć czasem — niezwykłym przestrachem. Mego konia albo zaatakowały dzikie zwierzęta albo przeczuwa niebezpieczeństwo, przed którym nie może się obronić. Mogłem nie poznać tego głosu, gdy byłem w pieczarze, ale na otwartej przestrzeni zbyt dobrze go znam, by się mylić.

Zwiadowca i Indianie słuchali tego prostego wyjaśnienia z zainteresowaniem ludzi chłonących nowe poglądy, które uwalniają ich od starych, przykrych wierzeń. Dwaj Mohikanie, gdy tylko pojęli sens słów majora, wydali swój zwykły i pełen wyrazu okrzyk „hugh!”, zwiadowca zaś po paru minutach namysłu powiedział:

— Nie zaprzeczam pańskim słowom, ponieważ mało znam się na koniach, choć urodziłem się w kraju, w którym jest ich dużo. Wilki muszą krążyć po brzegu nad ich głowami i przerażone stworzenia wzywają pomocy człowieka najlepiej, jak umieją. Unkasie —powiedział w języku Delawarów — zjedź czółnem i

ciśnij palącą się głownię w środek stada, bo strach gotów zdziałać to, co nie uda się wilkom, i na rano pozostaniemy bez koni, i to właśnie wtedy, gdy pośpiech w podróży będzie dla nas tak ważny.

Młody krajowiec zeszedł już nad wodę, by wykonać rozkaz, gdy przeciągłe wycie odezwało się nad brzegiem rzeki i szybko oddaliło się w gąszcz puszczy, tak jakby dzikie zwierzęta przestraszyły się czegoś i uciekły porzucając swój łup.

Unkas, wiedziony instynktem, szybko powrócił na skałę i trzej mieszkańcy puszczy raz jeszcze naradzili się cicho i z powagą.

— Byliśmy jak myśliwi, którzy stracili z oczu gwiazdę przewodnią i dla których słońce zagasło na parę dni — odezwał się wreszcie Sokole Oko odwracając się od swych czerwonoskórych towarzyszy — ale teraz znów zaczynamy dostrzegać znaki na naszej drodze, a nasze ścieżki zostały oczyszczone z cierni! Siądźcie w cieniu, jaki w świetle księżyca rzuca ten buk — jest on gęstszy od cienia sosny — i zaczekamy na to, co Stwórca zechce nam niebawem zesłać. Rozmawiajcie szeptem, choć uczynicie najmądrzej rozmawiając tylko z własnymi myślami, przynajmniej przez jakiś czas.

Zwiadowca nadal zachowywał powagę, ale nie zdradzał najmniejszego lęku. Jego chwilowa niepewność najwyraźniej znikła, gdy pojął tajemnicę, której mimo swego doświadczenia nie mógł zgłębić. I chociaż jasno zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, gotów był mu stawić czoło z energią właściwą jego śmiałej naturze. To samo uczucie zdawali się podzielać obaj Mohikanie, którzy siedli teraz tak, by dobrze widzieć brzegi rzeki, a jednocześnie, by ich stamtąd nie dostrzeżono. W tych warunkach najzwyklejsza przezorność kazała Heywardowi i jego towarzyszom pójść za przykładem tych doświadczonych ludzi. Młodzieniec przyniósł więc z pieczary naręcz gałązek sassafrasu, wymościł nimi głęboką rozpadlinę dzielącą obie pieczary i umieścił w niej siostry. Skały osłaniały je teraz przed kulami, a zapewnienie Heywarda, iż żadne niebezpieczeństwo nie zdoła ich zaskoczyć, dodało im odwagi. Major znalazł sobie miejsce tuż obok, tak że mógł z

nimi rozmawiać bez niebezpiecznego podnoszenia głosu, Dawid zaś, naśladując mieszkańców puszczy, zdołał tak dobrze ukryć swą postać w rozpadlinach skalnych, że jego niezgrabne kończyny zupełnie nie raziły niczyich oczu.

Tak w ciszy mijała godzina za godziną. Księżyc wzniósł się do zenitu i łagodnym, prostopadłym światłem oświecał miły obraz sióstr, beztrosko śpiących w swych objęciach. Duncan narzucił szeroki szal Kory na ten obraz, który podziwiał z taką rozkoszą, i złożył głowę na poduszce ze skały. Dawid wydawał już nosem tony, które, gdyby nie spał, raziłyby jego muzykalne ucho. Krótko mówiąc, znużeni podróżni zasnęli. Czuwał tylko Sokole Oko i obaj Mohikanie. Niezmordowani opiekunowie ani na chwilę nie zmrużyli oka. Leżeli nieruchomi jak skała, jakby do niej przyrośli, i bez przerwy wodzili oczami wzdłuż ciemnej linii drzew porastających brzegi wąskiej rzeki. Żaden dźwięk nie wyszedł z ich ust i zdawałoby się, że nawet nie oddychają. Jasne było, że tę niezwykłą ostrożność podyktowało im doświadczenie, którego nie zdołałaby oszukać nawet największa przebiegłość ich wrogów. Czuwali tak — bez widocznego wyniku — aż do chwili, kiedy księżyc zaszedł i blada smuga brzasku nad wierzchołkami drzew na zakręcie rzeki, nieco poniżej wodospadu, zapowiedziała nadejście dnia.

Wówczas Sokole Oko poruszył się po raz pierwszy: poczołgał się wzdłuż skały i szturchnięciem zbudził Duncana z głębokiego snu.

— Czas w drogę — szepnął. — Proszę obudzić panie i bądźcie gotowi wsiąść do czółna, gdy tylko przybiję do brzegu.

— Czy noc minęła panu spokojnie? — zapytał Heyward. — Mnie sen zmorzył.

— Wciąż jeszcze panuje cisza jak w nocy. Niech pan nic nie mówi i spieszy się.

Duncan otrząsnął się ze snu i nie zwlekając zdjął szal okrywający obie śpiące kobiety. Przy tym ruchu Kora uniosła rękę, jakby się broniła, Alicja zaś szepnęła swym słodkim głosem:

— Nie, nie, kochany ojcze, nie byłyśmy same, Duncan był przy nas!

— Tak, święta niewinności — szepnął młody człowiek. — Duncan jest tu i pozostanie przy tobie, póki żyje i póki grozi ci niebezpieczeństwo. Koro! Alicjo! Zbudźcie się! Czas w drogę!

Na te słowa usłyszał niespodziewanie głośny krzyk młodszej z sióstr i ujrzał, że Kora stoi przed nim wyprostowana, skamieniała z przerażenia. Nie skończył bowiem mówić, kiedy zerwała się burza wrzasków tak straszna, że poczuł, jak krew stygnie mu w żyłach, a serce bije gwałtownie. Przez chwilę zdawało mu się, że wszystkie piekielne moce rozpętały się nad nimi i że w tych barbarzyńskich głosach dały ujście dzikiej radości. Nie można było określić kierunku, z którego podniósł się wrzask wypełniający pobliskie lasy i — jak się zdawało przerażonym podróżnym — pieczary wyspy, skały, koryto rzeki i powietrze nad nimi.

Dawid wyprostował się na całą wysokość swego ogromnego wzrostu i pośród tego potwornego wrzasku zawołał zatykając rękami uszy:

— Skąd te dysonanse? Czy piekło się rozwarło, że ludzie wydają podobne dźwięki?

Na to niebaczne wystawienie się na cel niefortunnego mistrza śpiewu odpowiedziały z przeciwległego brzegu rzeki jasne błyski i szybki trzask wystrzałów tuzina strzelb. W rezultacie tej strzelaniny Dawid padł nieprzytomny na skałę, na której spał tak długo. Mohikanie mężnym, bojowym okrzykiem odpowiedzieli na straszne wycie swych wrogów, triumfujących na widok upadku Gamuta. Zamigotały gęste błyski szybkich wystrzałów, ale obie walczące strony były zbyt zręczne, by dać się trafić. Duncan z męczącym niepokojem nadstawiał uszu starając się złowić plusk wiosła, sądził bowiem, że tylko ucieczka może ich uratować. Jednakże wody rzeki połyskiwały nie zamącone w swym wartkim biegu, a na ich ciemnej powierzchni nigdzie nie widać było czółna. Toteż zaczął przypuszczać, że zwiadowca bezlitośnie ich porzucił, gdy ze skały nieco poniżej niego wytrysnął długi błysk, a dziki krzyk,

natychmiast zagłuszony jękiem konania, oznajmił, iż kula wysłana z niezawodnej broni Sokolego Oka była śmiertelna. Nawet tak słaby opór skłonił Huronów do wycofania się i niebawem w puszczy znów zapanowała głucha cisza.

Duncan wykorzystał ten moment, by skoczyć do Gamuta i przenieść go pod osłonę wąskiej rozpadliny chroniącej obie siostry. W następnej chwili wszyscy zebrali się w tym stosunkowo bezpiecznym miejscu.

— Biedak zdołał ocalić skalp — powiedział Sokole Oko, z niezmąconym spokojem przesuwając dłoń po głowie Dawida. — Jednakże dał nam dowód, że człowiek może się urodzić ze zbyt długim językiem! Na nie osłoniętej skale wystawić na widok rozwścieczonym dzikusom sześć stóp mięsa i kości to oczywiste wariactwo! Dziwię się,że uszedł z życiem.

— Więc żyje?! — spytała Kora ochrypłym głosem, który wyraźnie wskazywał, jak pozorny spokój walczy w niej z zupełnie naturalnym przerażeniem. —Czy możemy jakoś dopomóc temu nieszczęśnikowi?

— Życie w nim pulsuje, a gdy się trochę prześpi, przyjdzie do siebie, zmądrzeje po tej nauce i będzie żył do chwili, gdy wybije jego godzina — odrzekł Sokole Oko, raz jeszcze rzucając spojrzenie na leżące bez czucia ciało Dawida i jednocześnie nabijając swą strzelbę z godną podziwu starannością. — Unkasie! Wnieś go do pieczary i ułóż na posłaniu z sassafrasu. Im dłużej trwa omdlenie, tym lepiej dla niego, wątpię bowiem, czy znajdzie na tych skałach lepsze ukrycie dla swych wielkich kształtów, a śpiewem przeciw Irokezom nic nie zdziała..

— Sądzi pan zatem, że powtórzą atak? — zapytał Heyward.

— Czy sądzę, że zgłodniały wilk zaspokoi apetyt małym kąskiem! Stracili jednego człowieka, a zawsze gdy ponoszą stratę lub gdy nie uda im się zaskoczyć wroga, cofają się — taki już ich zwyczaj. Ale za chwilę znów się wezmą do dzieła, będą chcieli nas podejść i zdobyć nasze skalpy. Jedyna nadzieja — ciągnął unosząc w górę swe surowe oblicze, przez które jak ciemna chmura przesuwał się cień zwątpienia — w tym, by utrzymać skałę dopóty, dopóki Munro nie przyśle nam pomocy!

Daj Boże, aby odsiecz nadeszła prędko i pod dowództwem ”człowieka, który zna zwyczaje Indian!

— Koro, słyszysz, czego się mamy spodziewać — powiedział Duncan — i wiesz, że doświadczenie i troskliwość pani ojca pozwala nam nie tracić nadziei. Proszę więc, wejdźcie z Alicją do pieczary. Tam będziecie przynajmniej bezpieczne przed morderczymi kulami wrogów, a nasz nieszczęsny towarzysz znajdzie się pod troskliwą opieką czułych kobiet.

Siostry poszły za nim do zewnętrznej pieczary, gdzie ciężkie westchnienia Dawida świadczyły, że powraca do przytomności. Heyward powierzył rannego opiece sióstr i zabierał się do odejścia.

— Duncanie! — powstrzymała go drżącym głosem Kora, gdy już stał na progu pieczary. Młody człowiek obejrzał się i spojrzał na Korę, która śmiertelnie blada, z drżącymi wargami patrzyła na niego z wyrazem tak głębokiego uczucia, że natychmiast do niej powrócił. — Pamiętaj pan, Duncanie, że twoje życie wiąże się z naszym, że ojciec obdarzył cię największym zaufaniem i że wszystko zależy od twego rozsądku i ostrożności, słowem — dorzuciła, a krew zdradziecko zarumieniła jej policzki i skronie — że twoja osoba nie bez powodu droga jest każdemu z rodu Munro.

— Nic tak nie mogłoby wzmocnić mego egoistycznego przywiązania do życia, jak miłe słowa, które teraz usłyszałem — odparł Heyward, a jego oczy bezwiednie zwróciły się ku dziewczęcej postaci Alicji, stojącej w milczeniu. — Jako major sześćdziesiątego pułku, muszę — powie pani o tym nasz szlachetny gospodarz — wziąć udział w walce. Jednakże nasze zadanie będzie łatwe: trzeba tylko przez parę godzin utrzymać w ryzach te wściekłe psy.

Nie czekając na odpowiedź odszedł od sióstr i przyłączył się do zwiadowcy oraz jego towarzyszy, którzy wciąż jeszcze leżeli ukryci w małej rozpadlinie między dwiema pieczarami.

— Powiadam ci, Unkasie — mówił Sokole Oko w chwili, kiedy Heyward przyłączył się do nich — że zbytnio szafujesz prochem; strzelba odbija i nie możesz trafić w cel. Mało prochu,

lekka kula i jak najdłużej wyciągnięte ramię prawie zawsze wyrwą śmiertelny jęk z gardła Minga! Przynajmniej tak mi mówi moje doświadczenie z tymi potworami. Chodźmy, przyjaciele! Zajmiemy stanowiska, nikt bowiem nie może przewidzieć, gdzie i kiedy Makaowie uderzą.

Indianie w milczeniu udali się na swe stanowiska w rozpadlinach skalnych, skąd mogli trzymać pod obstrzałem dostęp do podnóża wodospadu. Pośrodku małej wysepki zapuściło korzenie kilka niskich, cherlawych sosen tworząc coś w rodzaju gąszczu. Tam też pośpieszył Sokole Oko z chyżością jelenia, a energiczny Duncan poszedł za nim. Na stanowisku ukryli się, jak mogli najlepiej, między rosnącymi dokoła krzakami i rozrzuconymi głazami. Nad nimi sterczała naga, zaokrąglona skała, a po jej obu bokach pieniła się i kotłowała woda spadając w otchłań. Budzący się dzień oświetlił przeciwległy brzeg, tak że teraz widać go było wyraźnie i nawet można było zajrzeć do wnętrza lasu oraz dostrzec to, co znajdowało się poniżej kopuły sosen.

Czuwali długo i z niepokojem, ale nie zaszło nic, co by zapowiadało nowy atak. Duncan począł nawet przypuszczać, że ich ogień był bardziej skuteczny, niż myśleli, i że ostatecznie odparli nieprzyjaciela. Kiedy jednak odważył się podzielić tym przypuszczeniem ze swym towarzyszem, ten przyjął je zaprzeczającym ruchem głowy.

— Nie zna pan Makaów, jeśli pan sądzi, że tak łatwo się wycofają nie zdobywszy ani jednego skalpu! — odparł. — Gdybyż to tylko jeden z tych leśnych diabłów wył tu tego ranka, ale ich było przynajmniej czterdziestu! Za dobrze też wiedzą, ilu nas jest i kim jesteśmy, by tak szybko zaniechać polowania. Tss! Spójrz pan na wodę powyżej nas, tam gdzie nurt rozbija się o skały. Nie jestem sobą, jeżeli te łajdaki nie przepłynęły progu i na nasze nieszczęście nie dotarły do szczytu wyspy. Tss! Człowieku, nie wychylaj się, bo stracisz skalp W mgnieniu oka!

Heyward wysunął głowę z ukrycia i dostrzegł coś, co słusznie uznał za szczyt zręczności i brawury. Woda rozmyła krawędzie miękkiej skały i dlatego pierwszy, z progów nie był tak

spadzisty i prostopadły, jak bywają progi wodospadów. Kierując się tylko wirami na powierzchni wody, tam gdzie omywała cypel wyspy, kilku zawziętych Indian śmiało weszło do rzeki i popłynęło do miejsca, z którego,— jak wiedzieli — w razie powodzenia będą mogli łatwo dotrzeć do swych ofiar. Ledwie Sokole Oko skończył mówić, sponad kilku pni, które woda zniosła i wyrzuciła na nagie skały i które prawdopodobnie podsunęły Indianom myśl tak ryzykownego przedsięwzięcia, wynurzyły się cztery głowy. Za chwilę tuż nad zielonkawą krawędzią wody, nieco powyżej linii wyspy, ukazał się piąty Indianin. Rozpaczliwie walcząc z nurtem usiłował dotrzeć do bezpiecznego punktu i popchnięty przez prąd już wyciągnął rękę, by uchwycić dłonie towarzyszy, gdy nagle znów zapadł w wir wodny. Na chwilę wynurzył się z, niego, jakby skoczył w górę z podniesionymi rękami i wytrzeszczonymi oczami, ale znów zapadł się gwałtownie i zniknął w ziejącej czeluści. Jeden jedyny dziki i rozpaczliwy krzyk wytrysnął z głębi wodospadu i znów zapanowała grobowa cisza.

Pod wpływem pierwszego szlachetnego impulsu Duncan, chciał skoczyć na ratunek bezradnemu nieszczęśnikowi, ale przykuł go do miejsca żelazny uścisk niewzruszonego zwiadowcy.

— Czy chcesz pan ściągnąć na nas niechybną śmierć wskazując wrogom nasze ukrycie? — surowo zapytał Sokole Oko. — Oszczędziliśmy jeden ładunek prochu, który jest dla nas tak cenny, jak oddech dla ściganego jelenia. Podsyp pan lepiej prochu na panewkę swych pistoletów — mgła z wodospadów mogła zamoczyć siarkę — i przygotuj się do walki wręcz, gdy wystrzelę przy pierwszym ruchu Minga.

Włożył palec w usta i gwizdnął ostro i przeciągle, a na ten znak odpowiedział mu podobny gwizd ze skał strzeżonych przez obu Mohikanów. W chwili gdy ten sygnał przeszył powietrze, Duncan przelotnie dostrzegł kilka głów wyglądających tu i tam sponad zniesionych przez wodę pni. Zniknęły jednak tak samo szybko, jak się pokazały. Za chwilę ledwie dosłyszalny szelest tuż za nim zwrócił jego uwagę.

Odwróciwszy głowę dostrzegł o parę stóp od siebie Unkasa czołgającego się ku niemu. Kiedy młody wódz z największą ostrożnością i z niewzruszonym spokojem doczołgał się do nich, Sokole Oko odezwał się do niego w narzeczu Delawarów. Dla Heywarda była to chwila gorączkowego i niecierpliwego oczekiwania, jednakże zwiadowca uznał ją za najbardziej odpowiednią dla udzielenia swym młodym towarzyszom nauki rozsądnego użycia broni palnej.

— Ze wszystkich broni — zaczął — najniebezpieczniejsza jest strzelba o długiej lufie, prawidłowym gwincie i z miękkiego metalu, zwłaszcza gdy spoczywa w wytrawnych rękach. Jednakże wymaga ona mocnego ramienia, celnego oka i prawidłowego nabicia, jeżeli ma wykazać wszystkie swe zalety. Rusznikarze mało znają się na swym rzemiośle, jeśli robią te swoje myśliwskie strzelby i krótkie kawaleryjskie…

Przerwał mu cichy, jednakże wymowny okrzyk Unkasa.

— Widzę ich, chłopcze, widzę! — ciągnął Sokole Oko. — Szykują się do skoku, bo inaczej nie wystawiliby Swych brunatnych pleców ponad pnie. Dobrze, pozwólmy im — dodał oglądając swój sztucer. — Ten, *co* skoczy pierwszy, pójdzie na pewną śmierć, nawet gdyby to miał być sam Montcalm!

Ledwie skończył, ponowny wybuch okrzyków wstrząsnął puszczą i na ten sygnał czterech dzikich wybiegło spoza pni. Ta chwila była tak denerwująca, że Heywarda porwała szalona chęć skoczenia im naprzeciw, jednakże powstrzymał go przykładny spokój Sokolego Oka i Unkasa. Kiedy bowiem Indianie, krzycząc dziko i skacząc poprzez czarne głazy dzielące obie strony, podbiegli na odległość kilkunastu kroków, Sokole Oko wolno wysunął lufę sztucera zza krzaków i strzelił. Biegnący na przedzie Indianin podskoczył niby raniony jeleń i jak długi runął w skalne rozpadliny.

— Teraz, Unkasie! — krzyknął zwiadowca wyciągając swój długi nóż, a jego bystre oczy rozgorzały zapałem. — Bierz ostatniego z tych wrzaskliwych łajdaków, my damy radę pozostałym!

Unkas usłuchał. Mieli już tylko dwóch przeciwników. Heyward podał jeden ze swych pistoletów Sokolemu Oku i obaj pobiegli na spotkanie wrogom w dół niewielkiego spadku. Wystrzelili jednocześnie, ale chybili.

— Wiedziałem, że tak będzie. Mówiłem.., — mruknął zwiadowca i z goryczą cisnął znienawidzoną broń w wiry wodospadu. — Chodźcie tu, wściekłe psy piekielne! Zmierzycie się z czystej krwi białym!

Zaledwie rzucił to wyzwanie, zaatakował go atletycznej budowy Indianin o niezwykle okrutnej twarzy. W tej samej chwili Duncan zwarł się z drugim napastnikiem. Sokole Oko i jego przeciwnik zręcznie chwycili się za przeguby podniesionych rąk, uzbrojonych w błyszczące i niebezpieczne noże. Prawie minutę, stali nieruchomo, patrząc sobie w oczy i coraz bardziej napinając wszystkie mięśnie w tej walce na śmierć i życie. Wreszcie stalowe ścięgna białego wzięły górę nad słabszym ramieniem Indianina. Jego ręka zaczęła drętwieć pod wzrastającym naciskiem zwiadowcy, który nagle wyrwał uzbrojoną pięść z uścisku wroga i silnie pchnąwszy nożem w nagą pierś przebił mu serce. Tymczasem Heywardowi gorzej się wiodło w śmiertelnej walce. Lekka szpada złamała się przy pierwszym starciu. Teraz nie miał już żadnej broni, jego życie zawisło wyłącznie od siły mięśni i zdecydowania. I choć nie zbywało mu ani na jednym, ani na drugim, znalazł w swym przeciwniku równego sobie. Na szczęście zdołał go rozbroić, przy czym nóż Indianina upadł na skałę u ich stóp. Od tej chwili poczęli zaciekle walczyć nad brzegiem przepaści o to, któremu z nich uda się zepchnąć przeciwnika. Każdy udany chwyt przybliżał ich do skraju urwiska, gdzie jak Duncan spostrzegł, należało zdobyć się na ostateczny i zwycięski wysiłek. Obaj włożyli weń całą energię i dreptali tuż nad brzegiem otchłani. Heyward czuł na swym gardle zaciśniętą dłoń przeciwnika i widział jego ponury uśmiech. Zrozumiał, że Indianin raduje się mściwą myślą, iż pociągnie go za sobą w przepaść, i czuł, jak poczyna ustępować silniejszemu przeciwnikowi. W tej okropnej chwili przeżył całą mękę konania. Ale w ostatnim momencie

czyjaś ciemna ręka i połyskujący nóż zjawił się przed jego oczami; Indianin zwolnił uścisk, a z jego żył przeciętych wokół kiści trysnęła krew.

Duncan, odciągnięty w tył zbawczym ramieniem Unkasa, wpatrywał się jak urzeczony w wyrażającą zawód i wściekłość twarz swego wroga, który z ponurym i pełnym rozpaczy grymasem staczał się w głąb przepaści.

— Do kryjówki! Do kryjówki! — wołał Sokole Oko, który właśnie wyprawił na tamten świat swego przeciwnika. — Do kryjówki, jeśli wam życie miłe! Dopiero jesteśmy w połowie dzieła!

Młody Mohikanin krzyknął triumfalnie i pociągając za sobą Duncana zwinnie wbiegł na pochyłość, z której zeszli dla stoczenia walki i na której natychmiast ukryli się wśród przyjaznych im skał i krzaków.

# ROZDZIAŁ ÓSMY

*...jeszcze się wahają*
*Mściciele rodzinnego kraju...*

Gray

Zwiadowca nie bez powodu krzyknął ostrzegawczo. W czasie opisywanego przez nas śmiertelnego pojedynku żaden głos ludzki nie wdarł się w huk wodospadu. Wydawało się, że Indianie na tamtym brzegu rzeki zapartym oddechem i z wielkim przejęciem obserwowali przebieg walki, a szybkie ruchy i błyskawiczna zmiana pozycji walczących całkowicie uniemożliwiały im strzał, jednakowo niebezpieczny dla wroga jak i dla swego.

Ale gdy tylko utarczka się skończyła, powietrzem targnął krzyk tak wściekły i dziki, jaki mógł się tylko zrodzić z zażartej nienawiści. Zaraz po nim zagrzechotały strzelby. Strzały poczęły padać salwami, a kule, ołowiane zwiastuny śmierci, jak grad posypały się na skalisty brzeg, jakby oblegający chcieli wywrzeć swą bezsilną złość na nieczułej widowni fatalnych dla nich zmagań.

Odpowiadały im dobrze wymierzone strzały Chingachgooka, który przez cały czas toczących się zapasów nieporuszenie trwał na swym stanowisku. Gdy rozbrzmiał triumfalny okrzyk Unkasa, rozradowany ojciec odpowiedział jednym jedynym okrzykiem, po którym już tylko jego wytrwale pracująca strzelba świadczyła, że nadal z nie słabnącą uwagą strzeże przejścia. Upłynęło wiele szybkich jak myśl minut. Czasem strzelby oblegających odzywały się salwami, to znów padały

pojedyncze, jakby przypadkowe strzały. Lecz choć kule porysowały i w setkach miejsc zadrapały głazy, drzewa i krzaki wokół oblężonych, osłona, z której korzystali, była tak dobra, a ich zachowanie tak przezorne, że jak dotąd jedynym poszkodowanym w ich małym zastępie był Dawid.

— Niech trwonią swój zapas prochu — z rozwagą powiedział Sokole Oko, gdy kule jedna za drugą gwizdały nad miejscem, gdzie leżeli bezpiecznie ukryci. — Sądzę też, że tym leśnym diabłom znudzi się to polowanie, zanim stare głazy wokół nas poczną błagać o łaskę! Unkasie, mój chłopcze, marnotrawisz ziarnka prochu sypiąc go za dużo, a strzelba, która kopie, nigdy nie wypuści celnej kuli. Mówiłem ci, żebyś biorąc na muszkę podskakującego łajdaka mierzył poniżej białej krechy jego malowidła wojennego. Gdyby tylko twoja kula odchyliła się o włos, ale ona poszła o dwa cale wyżej. W Mingu źródło życia leży nisko, a ludzkie uczucia nakazują nam szybko kończyć ze żmijami.

Spokojny uśmiech rozjaśnił dumne rysy młodego Mohikanina dowodząc, iż nie tylko rozumie po angielsku, lecz że pojął również, co zwiadowca miał na myśli. Jednakże nie bronił się ani nie odpowiedział.

— Nie mogę pozwolić, aby pan oskarżał Unkasa o brak zręczności czy orientacji — odezwał się Duncan. — Ocalił mi życie, wykazując wiele zimnej krwi oraz nadzwyczajną zręczność. Zdobył sobie przyjaciela, któremu nigdy nie trzeba będzie przypominać o zaciągniętym długu wdzięczności.

Unkas podniósł się nieco i uścisnął dłoń Heywarda. W czasie tego aktu przyjaźni dwaj młodzieńcy zamienili wymowne spojrzenia i pod ich wpływem Duncan zapomniał o kolorze skóry i pochodzeniu swego dzikiego sprzymierzeńca. Tymczasem Sokole Oko, chłodnym, lecz przychylnym wzrokiem patrząc na ten wylew młodzieńczych uczuć, zrobił następującą uwagą:

— W puszczy przyjaciele nieraz zawdzięczają sobie życie. Ośmielę się powiedzieć, że zdarzyło mi się już przedtem wyświadczyć Unkasowi podobną przysługę i doskonale

pamiętam, że i on w pięciu różnych wypadkach stanął między mną a śmiercią: trzy razy w walce z Mingami, raz podczas przebywania Horicanu i…

— Ten strzał był celniejszy od innych! — krzyknął Duncan, mimo woli uchylając się przed kulą, która ostrym rykoszetem uderzyła w skałę tuż przy nim.

Sokole Oko podniósł spłaszczony metal, przyjrzał mu się uważnie i potrząsnąwszy głową, powiedział:

— Ołowiana kulą nigdy się nie spłaszczy, ale jeżeli spadnie z chmur, może jej się to zdarzyć.

Unkas ostrożnie wzniósł lufę swej strzelby ku niebu, wskazując przyjaciołom coś, co od razu wyjaśniło tajemnicę. Na prawym brzegu rzeki, niemal naprzeciwko oblężonych, rósł rozłożysty dąb. Drzewo, szukając sobie swobody otwartej przestrzeni, pochyliło się w przód, a jego konary zwisły nad odnogą rzeki. Na szczycie dębu, wśród liści skąpo przysłaniających sękate i karłowate konary, siedział Indianin. Drzewo zakrywało go, ale częściowo wystawił się na widok, gdy patrzył w dół, obserwując wynik swego zdradzieckiego strzału.

— Ci szatani gotowi wdrapać się na niebo i swą chytrością doprowadzić nas do zguby — powiedział Sokole Oko. — Nie spuszczaj go z oka, chłopcze, aż wezmę go na muszkę Postrachu Zwierząt. Zobaczymy, z jakiej jest gliny, gdy poczęstujemy go kulami po obu stronach drzewa jednocześnie.

Unkas czekał z palcem na cynglu, dopóki zwiadowca nie wycelował. Huknęły strzały. Liście i kora z dębu frunęły w górę i rozproszyły się na wietrze, ale Indianin odpowiedział na ten atak szyderczym śmiechem i wysłał w odwet nową kulę, która zrzuciła Sokolemu Oku czapkę z głowy. Raz jeszcze las rozbrzmiał dzikim wyciem i ołowiany grad zaświstał nad głowami oblężonych, jakby strzelający chcieli przygwoździć ich do miejsca, w którym łatwo mogli paść ofiarą przedsiębiorczego wojownika siedzącego na drzewie.

— Z tym trzeba skończyć! — rzekł zwiadowca, niespokojnie rozglądając się wkoło. — Unkasie, przywołaj ojca. Będziemy

potrzebowali całej naszej broni, aby zestrzelić tego chytrego łotra z jego grzędy.

Natychmiast zabrzmiał sygnał i zanim Sokole Oko ponownie nabił swą broń, Chingachgook dołączył się do nich. Gdy syn wskazał ojcu miejsce, gdzie siedział groźny wróg, z ust starego, doświadczonego wojownika padł zwykły okrzyk „hugh!", po czym żadnym słowem czy okrzykiem nie okazał niepokoju lub zdziwienia. Przez chwilę Sokole Oko poważnie rozmawiał po delawarsku z obu Mohikanami. Potem wszyscy spokojnie zajęli stanowiska, by wykonać powzięty plan. Od chwili, kiedy go odkryto, Indianin siedzący na dębie strzelał szybko i nieustannie, lecz bez rezultatu. Nie mógł dobrze mierzyć, bo przeszkadzała mu w tym czujność wrogów, których strzelby stale mu zagrażały. Jednakże jego kule padały w sam środek grupki ludzi rozpłaszczonych na ziemi. Z lekkiej rany na ramieniu Heywarda broczyła krew, a mundur, który czynił z niego doskonały cel, był już przestrzelony w paru miejscach.

Wreszcie Huron, ośmielony długim i cierpliwym milczeniem swych nieprzyjaciół, zaryzykował celniejszy i bardziej morderczy strzał. Bystre oczy Mohikanów dostrzegły wówczas ciemną linię jego nóg, niebacznie wysuniętych spoza skąpego listowia na konarze o parę cali od pnia. Oba strzały odezwały się jednocześnie i Indianin osiadł nagle na zranionej nodze, wystawiając na cel większą; część tułowia. Szybki jak myśl Sokole Oko błyskawicznie wykorzystał okazję i wypalił z groźnego sztucera w koronę dębu. Liście poruszyły się gwałtownie. Niebezpieczna dla oblężonych strzelba spadła z dominującej nad nimi wysokości, a zaraz potem wychyliła się cała postać dzikiego, który po kilku daremnych wysiłkach, wciąż jeszcze kurczowo trzymając się rękami chropowatej gałęzi, zawisł w powietrzu i zaczął kołysać się na wietrze.

— Zabijcie go, przez litość, drugim strzałem! — krzyknął Duncan odwracając z przerażeniem oczy od widoku człowieka w tak strasznej opresji.

— Ani ziarnka prochu! — zawołał bezlitosny zwiadowca. — Śmierć go nie minie, a my musimy oszczędzać prochu, bo walka

z Indianami trwa nieraz parę dni. Chodzi o ich skalpy albo o nasze! A Bóg, który nas stworzył, tchnął w nas silne pragnienie zachowania skóry na głowach.

Od tak surowej i stanowczej decyzji, popartej aż nadto oczywistą racją, nie było żadnego odwołania. Krzyki w lesie zamilkły, strzelanina ucichła, a oczy wszystkich, zarówno przyjaciół, jak i wrogów, zwróciły się ku Indianinowi kołyszącemu się w beznadziejnej sytuacji między niebem a ziemią. Podmuchy wiatru chwiały jego ciałem i choć nie jęknął ani razu, były chwile, kiedy spoglądał posępnie na swych nieprzyjaciół, a na jego miedziano-śniadej twarzy można było — mimo dzielącej ich odległości — coraz wyraźniej dostrzec grymas tępej rozpaczy. Trzy razy Sokole Oko, wiedziony litością, unosił swą strzelbę i za każdym razem, idąc za głosem rozsądku, spokojnie ją opuszczał. Wreszcie jedna z rąk Hurona rozluźniła chwyt i bezsilnie opadła wzdłuż ciała. Po chwili rozpaczliwie, lecz daremnie spróbował złapać się gałęzi i przez mgnienie oka widać było, jak kurczowo chwyta ręką w próżni. Piorun nie byłby szybszy od kuli Sokolego Oka; nogi i ręce Hurona drgnęły i skurczyły się, głowa opadła na piersi i jego ciało jak ołowiana bryła runęło w spienione wody, które zamknęły się, na zawsze zacierając w swym nieustannym biegu wszelki ślad po nieszczęśniku.

Najlżejszy okrzyk triumfu nie zerwał się po tym ważnym zwycięstwie, Mohikanie spoglądali na siebie w niemym przerażeniu. Z lasu doleciał pojedynczy okrzyk i znów zapadła cisza. Sokole Oko, który — jak się zdawało — jedyny ze wszystkich zachował spokojny sąd o wydarzeniu, pokiwał głową nad własną przelotną słabością i nawet głośno potępił samego siebie.

— Była to reszta prochu z mojego rogu i ostatnia kula z mej torby! Postąpiłem jak młokos! — powiedział. — Jakież to miało znaczenie, czy spadł na skały żywy czy umarły! Szybko straciłby przytomność! Unkasie, zejdź do czółna i przynieś duży róg. Jest tam cały nasz zapas prochu. Wkrótce będzie nam

potrzebny do ostatniego ziarnka — albo zupełnie nie znam Mingów.

Młody Mohikanin usłuchał, a zwiadowca z mocno niezadowoloną miną zajął się daremnym trudem przewracania do góry dnem swojej torby i wytrząsania pustego rogu. Ale od tego bezcelowego zajęcia szybko oderwał go głośny i przeszywający krzyk Unkasa. Krzyk ten, nawet dla mało doświadczonego ucha Duncana, zabrzmiał jak zapowiedź nowego i niespodziewanego nieszczęścia. Nie zważając więc na ryzyko, zerwał się na równe nogi, do głębi serca przejęty troską o bezcenny skarb, ukryty w pieczarze. Jego towarzysze, jakby pod wpływem tego samego impulsu, zerwali się również i wszyscy pobiegli w dół ku bezpiecznej rozpadlinie tak szybko, że bezładny ogień Indian nie zrobił im żadnej krzywdy. Niespodziewany okrzyk wywołał również ze schronu ranionego Dawida wraz z obiema siostrami i teraz wszyscy od jednego spojrzenia zrozumieli, co za nieszczęście tak wstrząsnęło ich zawsze opanowanym młodym obrońcą. Niedaleko skały ujrzeli swą małą łódeczkę płynącą poprzez wiry w kierunku głównego, wartkiego nurtu rzeki, a z jej ruchów wynikało, że kieruje nią ktoś ukryty. Na ten widok, zwiastujący nowe nieszczęście, zwiadowca instynktownie podniósł sztucer do oka, jednakże jasna iskra spod składki nie zapaliła prochu na panewce.

— Za późno, za późno! — zawołał i gorzko rozczarowany opuścił bezużyteczną strzelbą. — Łajdak dotarł już do nurtu i nawet gdybyśmy mieli proch, wątpię, czy kula pognałaby za nim tak szybko, jak on teraz płynie.

Śmiały Huron wystawił głowę spoza ukrycia, jakie dawało mu czółno, i szybko spływając w dół rzeki pokiwał ręką i wydał triumfalny okrzyk. Odpowiedziało mu z lasu wycie i śmiechy tak szydercze i triumfujące, jakby pięćdziesięciu szatanów bluźnierczo radowało się z upadku jednej chrześcijańskiej duszy.

— Śmiej się, diabli pomiocie — rzekł zwiadowca siadając na skalnym występie i niedbale opuszczając sztucer na ziemię u swych stóp — albowiem trzy najcelniejsze i najpewniejsze

strzelby w tej puszczy są teraz tyle warte, co trzy łodygi dziewanny albo zeszłoroczne rogi kozła.

— Cóż teraz począć? — pytał Duncan, który pod wpływem męskiej chęci czynu pierwszy ze wszystkich otrząsnął się z przygnębienia — co się z nami stanie?

Sokole Oko zamiast odpowiedzi przesunął palcem wokoło swego ciemienia w sposób tak wymowny, że nikt nie mógł wątpić, co to znaczy.

— Nie, nie, jeszcze nie jest tak źle! — zawołał młody człowiek. — Huroni jeszcze się tu nie przedostali, możemy się bronić w pieczarach, możemy przeszkodzić im w lądowaniu.

— Czym? — spokojnie zapytał zwiadowca. — Strzałami Unkasa czy też łzami kobiet? Nie, nie, pan jest młody, bogaty i ma pan przyjaciół. Wiem, w tym wieku ciężko jest umierać. Lecz — dodał, spojrzeniem wskazując na Mohikanów — pozwól pan sobie przypomnieć, że jesteśmy białymi czystej krwi i że winniśmy dać krajowcom z puszczy dowód, iż kiedy nadejdzie godzina, biali oddają swą krew tak samo ochoczo jak czerwonoskórzy.

Duncan szybko odwrócił się we wskazanym mu kierunku i w zachowaniu Indian wyczytał potwierdzenie swych najgorszych obaw. Chingachgook siedział dumnie wyprostowany na pobliskiej skale i odłożywszy już nóż i tomahawk, przygładzał na ciemieniu kosmyk włosów, z którego wyjął orle pióro; najwidoczniej przygotowywał się do ostatniego i wstrętnego obrządku skalpowania. Twarz miał spokojną, choć głęboko zamyśloną, a jego ciemno połyskujące oczy stopniowo traciły bojowy zapał, przybierając wyraz zupełnej rezygnacji wobec czekającego go losu.

— Nasza sytuacja na pewno nie jest taka beznadziejna! — upierał się Duncan. — Może właśnie w tej chwili pomoc jest blisko. Nie widzę wrogów! Zniechęcili się do walki, w której tak wiele ryzykują, a tak mało mogą zyskać.

— Może to trwać minutę, a może godzinę, zanim te podstępne żmije skrycie tu podpełzną, i zgodne by to było z ich naturą, gdyby się już teraz czaili w zasięgu naszego głosu — odparł

Sokole Oko. — Przedostaną się tu na pewno, i to w taki sposób, że nie pozostanie nam już żadna nadzieja. — I zaczął po delawarsku: — Chingachgook, mój bracie, stoczyliśmy ostatnią walkę razem i Makaowie zabiwszy nas zatriumfują nad najmądrzejszym z Mohikanów i nad białym, którego oczy jednakowo widzą w dzień jak w nocy oraz potrafią przeniknąć przez chmury równie łatwo jak przez wodną kurzawę nad źródłem.

— Kobietom Mingów pozostaw płacz po zabitych — odrzekł Indianin z charakterystyczną dumą i niewzruszonym męstwem. — Wielki Wąż, wódz Mohikanów, wśliznął się do ich wigwamów i zatruł im triumf płaczem i skargami osieroconych dzieci, których ojcowie nie wrócili do domu. Od czasu gdy śniegi stajały, jedenastu wojowników poległo z dala od grobów rodzinnych i nikt nie powie, gdzie znaleźć ich ciała, gdy język Chingachgooka zamilknie na zawsze! Niechże wyciągną najostrzejsze noże, niech wymachują zwinnymi tomahawkami, bo mają w ręku swego nieubłaganego wroga. Unkasie, najwyższa gałązi szlachetnego drzewa, wyzwij tych tchórzów, aby się pośpieszyli, gdyż ich serca gotowe zmiękнąć, a oni zamienić się w kobiety.

— Wśród ryb szukają swoich zabitych — niskim, miękkim głosem odparł młody wódz. — Huroni płyną rzeką obok oślizłych węgorzy. Spadają z dębów jak dojrzałe owoce! A Delawarzy się śmieją!

— Tak, tak — mruknął zwiadowca, z wielką uwagą przysłuchujący się tym szczególnym przemowom Mohikanów. — Rozgrzali swoje indiańskie serca i niebawem sprowokują Makaów do tego, żeby szybko z nimi skończyli. Mnie zaś, czystej krwi białemu, wypada zginąć tak, jak przystoi mojej rasie: bez szyderstwa na ustach i bez goryczy w sercu.

— Po co ginąć! — odezwała się Kora wychodząc ze skalnej kryjówki, gdzie dotychczas trzymało ją uczucie zrozumiałego strachu. — Macie jeszcze wolną drogę na oba brzegi; uciekajcie więc w puszczę i błagajcie Boga o pomoc. Idźcie, dzielni ludzie,

już i tak za wiele wam zawdzięczamy. Nie chcemy skazywać i was na nasz nieszczęsny los.

— Pani za mało zna przebiegłość Irokezów sądząc, że zostawili otwartą drogę do puszczy! — odrzekł Sokole Oko, jednakże zaraz dodał z całą swoją prostotą: — Dolny nurt rzeki na pewno mógłby nas szybko wynieść poza ich kule i głos.

— A więc spróbujcie ujść rzeką. Po co zwlekać? Czy po to, by powiększyć liczbę ofiar naszych bezlitosnych wrogów?

— Po co? — zapytał zwiadowca rozglądając się dumnie. — Dlatego, że lepiej, gdy człowiek umrze w zgodzie z samym sobą, niż gdyby go trapiły wyrzuty sumienia! Jakąż odpowiedź moglibyśmy dać pułkownikowi Munro, gdyby nas zapytał, gdzie i jak opuściliśmy jego dzieci?

— Idźcie więc do niego i powiedzcie, że opuściliście je po to, by go przywołać na pomoc — odrzekła Kora i w szlachetnym zapale jeszcze bliżej podeszła do zwiadowcy. — Powiedzcie, że Huroni uprowadzili nas w północne lasy i że można nas uratować działając szybko i ostrożnie. Jeżeli mimo wszystko Bóg zrządzi, że pomoc przybędzie za późno, przekażcie mu — ciągnęła zniżając stopniowo głos, aż wydało się, że niemal braknie jej tchu — słowa miłości, błogosławieństwa, ostatnie modły jego córek i proście, by nie opłakiwał ich przedwczesnej śmierci, lecz by z pokorną wiarą spoglądał ku celowi chrześcijanina, ku niebu, gdzie spotka swe dzieci.

Z surowej, zahartowanej w trudach twarzy zwiadowcy widać było, że intensywnie nad czymś rozmyśla. A gdy Kora skończyła, oparł brodę na dłoni jak człowiek głęboko zastanawiający się nad treścią tego, co usłyszał.

— Te słowa mają sens! — wyrwało się wreszcie z jego zaciśniętych, drżących ust. — Tchną też chrześcijańskim duchem. To, co mogłoby być słuszne dla czerwonoskórego, może być grzechem dla człowieka bez domieszki obcej krwi, która by usprawiedliwiała jego nieświadomość. Chingachgook! Unkas! Czy słyszeliście, co mówiła czarnooka kobieta?

Począł mówić w języku Delawarów do swych towarzyszy, a jego słowa, choć wypowiadane spokojnie i z namysłem,

brzmiały bardzo stanowczo. Starszy z Mohikanów słuchał go z całą powagą i najwidoczniej zastanawiał się nad usłyszanymi słowami, tak jakby zdawał sobie sprawę z ich doniosłości. Po chwili wahania skinął ręką na znak zgody i ze szczególnym akcentem Indianina wypowiedział po angielsku „dobrze". A następnie, zatknąwszy z powrotem swój nóż i tomahawk za pas, milcząco poszedł do tej krawędzi skały, która była najmniej widoczna z nieprzyjacielskiego brzegu. Tu zatrzymał się na chwilę, znacząco wskazał na część puszczy leżącą w dole rzeki i powiedziawszy kilka słów we własnym języku, jakby podawał drogę, którą zamierza pójść, zanurzył się w wodę i zniknął z oczu patrzących.

Sokole Oko zatrzymał się na chwilę, by powiedzieć parę słów szlachetnej dziewczynie, która widząc, że jej namowa odniosła skutek, odetchnęła z ulgą.

— Czasem młodzi są równie mądrzy jak starzy — rzekł. — To, co pani powiedziała, jest mądre — by nie szukać lepszego słowa. Jeśli uprowadzą was w puszczę — to jest tych, których na razie oszczędzą — łamcie po drodze gałązki krzewów i pozostawiajcie po sobie jak najwyraźniejsze ślady. Jeżeli tylko zdoła je dostrzec oko ludzkie, możecie być pewni, że macie przyjaciela, który nie opuści was i pójdzie za wami nawet na koniec świata.

To mówiąc uścisnął serdecznie dłoń Kory, podniósł sztucer, przyjrzał mu się z wyrazem głębokiej troski i odłożywszy go ostrożnie na bok, zeszedł na brzeg, tam gdzie niedawno zniknął Chingachgook. Chwilę trzymał się skały i ostrożnie rozejrzawszy się wkoło, powiedział z goryczą:

— Gdyby tylko starczyło nam prochu, nigdy by nie doszło do takiej hańby!

Po czym zanurzył się, woda zamknęła się nad jego głową i zniknął z oczu patrzących.

Wszyscy spojrzeli teraz na Unkasa, który z niewzruszonym spokojem stał oparty o chropowatą skałę. Kora zaczekała chwilę, a potem wskazała w dół rzeki i powiedziała:

— Pańscy przyjaciele uszli niepostrzeżeni przez Mingów i teraz są już pewnie bezpieczni. Czy nie czas pójść za nimi?

— Unkas pozostanie — spokojnie odparł młody Mohikanin po angielsku.

— Aby powiększyć okropność pojmania nas przez Mingów i zmniejszyć widoki naszego ratunku? Idź, szlachetny młodzieńcze! — Opuściła wzrok pod płomiennym spojrzeniem Mohikanina i zdając sobie sprawę ze swej władzy nad nim, dodała: — Idź do mojego ojca, jak już powiedziałam, i bądź najbardziej zaufanym z mych posłów. Powiedz, by powierzył ci środki potrzebne do wykupienia córek z niewoli! Idź!

Chcę tego i o to cię proszę.

Młody wódz przestał się wahać. Jego stanowcze i spokojne spojrzenie przybrało wyraz posępny. Cichym krokiem przemierzył skałę i zanurzył się w spienionej rzece. Ci, którzy pozostali na skale, bali się odetchnąć, dopóki nie ujrzeli, że daleko w dole rzeki wynurzył głowę, by zaczerpnąć powietrza. Potem znów zniknął i już go więcej nie zobaczyli.

Ucieczka trzech przyjaciół zajęła zaledwie parę tak teraz drogocennych minut. Kora, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Unkasa, odwróciła się do Heywarda i powiedziała drżącymi ustami:

— Podobno jesteś świetnym pływakiem, Duncanie. Idź więc za mądrym przykładem, który dali ci prości i oddani nam ludzie.

— Czy takiego dowodu oddania żąda od swego opiekuna Kora Munro? — odparł młody człowiek uśmiechając się smutnie i z goryczą.

— Nie czas teraz na czcze subtelności i błędne poglądy o obowiązkach mężczyzny — odpowiedziała Kora. — W takiej chwili wszyscy mają jednakowe obowiązki. Nam już się pan tu na nic nie przyda, a może pan uratować swe drogocenne życie dla bliższych przyjaciół.

Duncan nic nie odpowiedział, tylko czule spojrzał na piękną Alicję, która z dziecięcą ufnością przytuliła się do jego ramienia.

— Zważ pan — powiedziała Kora po krótkiej przerwie, w czasie której starała się stłumić bolesne uczucie, silniejsze od strachu — że najgorsze, co może nas czekać, to śmierć: dań, którą wszyscy musimy spłacić z woli Boga.

— Są nieszczęścia gorsze od śmierci — ochrypłym głosem odparł Duncan, zniecierpliwiony naleganiami Kory — którym jednak może zapobiec człowiek gotów życie oddać w waszej obronie.

Kora zaniechała dalszych próśb. Zakryła twarz szalem i pociągnęła za sobą niemal omdlałą Alicję w najdalszy kąt pieczary.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

*Bądź mi wesoła i pełna ufności,*
*I śmiechem, miła, rozpędź groźne chmury,*
*Co ci zawisły na przeczystym czole…*

„Śmierć Agrypiny”

Nagłe i niemal magiczne przejście od szarpiącej nerwy walki do zupełnej ciszy, która teraz zapanowała wokół Heywarda, sprawiło, że wszystko wydało mu się gorączkowym snem. Wydarzenia i sceny, których był świadkiem, głęboko wryły mu się w pamięć, a jednak z trudem wierzył w ich prawdziwość. Ciągle jeszcze niepewny losu tych, którzy zdali się na łaskę bystrego nurtu rzeki, usilnie nadsłuchiwał, czy nie dobiegnie go jakiś sygnał lub dźwięk mówiący o wyniku tego ryzykownego przedsięwzięcia. Jednak na próżno wytężał słuch. Wraz z Unkasem zaginął wszelki ślad po śmiałkach i major zupełnie nie wiedział, co się z nimi stało.

W chwili bolesnego zwątpienia postanowił wyjrzeć zza skały osłaniającej go przed kulami. Jednakże tak samo daremnie wypatrywał znaku zbliżania się nieprzyjaciół, jak na próżno przed chwilą nadsłuchiwał głosu swych towarzyszy. Można by przysiąc, że w lesie na brzegach rzeki znów nie ma żywego ducha. Umilkł zgiełk, który tak niedawno rozbrzmiewał pod stropem puszczy, i nic już nie głuszyło szumu wody, to rosnącego, to milknącego pod tchnieniem wietrzyka w ciszy łagodnego poranka. Jastrząb, łowca ryb, który siedząc bezpiecznie na najwyższej gałęzi uschłej sosny był dalekim

świadkiem walki, teraz sfrunął z tej wysokiej i kolącej grzędy i bujał w powietrzu, zataczając szerokie koła nad upatrzoną zdobyczą, a sroka (przenikliwe okrzyki dzikich zagłuszyły nawet jej głośny skrzek) odważyła się wreszcie odezwać swym chrapliwym głosem, jakby znów obejmowała w niczym nie zakłócone posiadanie swe dzikie królestwo. Te naturalne odgłosy rozbrzmiewające nad pustą sceną niedawnych wypadków tchnęły w Duncana iskrę nadziei. Z otuchą w sercu począł zbierać siły do dalszych prób ratunku.

— Huronów ani śladu — powiedział zwracając się do Dawida, wciąż jeszcze na pół przytomnego po otrzymanym postrzale. — Ukryjmy się w pieczarze, a resztę pozostawmy Opatrzności.

— Przypominam sobie, że połączyłem mój głos z głosem dwóch urodziwych niewiast, by w pieśni wznieść modły i dziękczynienia — odparł wciąż jeszcze oszołomiony mistrz śpiewu — i w tej chwili spotkała mnie ciężka kara za grzechy.

Zapadłem w stan podobny do snu, a uszy rozdzierały mi skłócone dźwięki, które jakby dowodziły szaleństwa naszych czasów i świadczyły, że natura zapomniała o swej harmonii.

— Biedaku! Prawdę mówiąc twoje życie wisiało na włosku! Ale wstań i chodź ze mną. Zaprowadzę cię w takie, miejsce, gdzie nie dotrą żadne głosy i gdzie będziesz słyszał tylko własne psalmy.

— Szum wodospadu jest melodyjny, a wartki bieg potężnego potoku wód koi zmysły! —odparł Dawid przyciskając w zmieszaniu rękę do czoła. — Ale czy powietrze nie jest jeszcze pełne okrzyków i jęków podobnych do skarg potępionych dusz?

— Już nie, już nie — niecierpliwie przerwał Heyward. — Okrzyki ustały, a ci, którzy je wznosili, daj Bóg odeszli. Wszystko, z wyjątkiem wody, ogarnął spokój i cisza. Chodźmy więc tam, gdzie będzie się pan mógł oddać swym ulubionym pieniom.

Dawid na wzmiankę o swym ukochanym powołaniu uśmiechnął się smutno, choć nie bez przelotnego błysku zadowolenia. Nie wahał się już dłużej i pozwolił się wprowadzić tam, gdzie jego znużone zmysły miały znaleźć niczym nie

zmącony spokój. Oparłszy się na ramieniu towarzysza wszedł do wąskiego wlotu pieczary. Duncan zebrał naręcz sassafrasu, przydźwigał do wejścia i starannie je zamaskował nie zostawiając najmniejszego śladu otworu. Za tą słabą barierą zawiesił koce pozostawione przez mieszkańców lasów. Zaciemnił w ten sposób głąb pieczary, ale do jej zewnętrznego odcinka bez przeszkód wpadało światło z wąskiego wąwozu, którego dołem płynęła jedna z odnóg rzeki, o kilkanaście jardów dalej łącząca się z siostrzanym odgałęzieniem.

— Nie podoba mi się indiańska zasada poddawania się bez walki, gdy uważają, że sytuacja jest beznadziejna — powiedział zajęty pracą. — Nasza zasada: „póki życia — póty nadziei", dodaje ducha i lepiej odpowiada naturze żołnierza. Pani, Koro, nie będę mówił zbędnych słów pociechy. Hart ducha i trzeźwy umysł powiedzą ci, co przystoi kobiecie. Czy jednak nie moglibyśmy uspokoić tego łkającego w twoich ramionach dziecka?

— Już jestem spokojniejsza, Duncanie— rzekła Alicja uwalniając się z objęć siostry i usiłując przez łzy nadać twarzy wyraz spokoju. — O wiele spokojniejsza. W tym ukryciu na pewno jesteśmy bezpieczni, dobrze schowani i nie spotka nas tu żadna krzywda. Możemy też całkowicie zaufać tym szlachetnym ludziom, którzy w naszej obronie narazili się już na tyle niebezpieczeństw.

— Teraz nasza miła Alicja mówi, jak przystało córce Munro!— rzekł Heyward zatrzymując się w przejściu, by uścisnąć rękę dziewczyny. — Mając przed sobą takie dwa przykłady odwagi, mężczyzna musiałby się wstydzić, gdyby się nie zdobył na bohaterstwo. — Usiadł pośrodku pieczary i kurczowo zacisnął w dłoni jedyny pozostały mu pistolet, a zmarszczone brwi i zwężone oczy świadczyły, że gotów jest na wszystko. — Huroni, jeśli nawet tu przyjdą, nie wezmą nas tak łatwo, jak im się wydaje — mruknął półgłosem. Odrzucił głowę w tył, oparł ją o skałę i na pozór cierpliwie czekał na dalsze wypadki, ale nie odrywał oczu od przejścia wiodącego do pieczary.

Gdy przebrzmiał jego głos, zapadła długa, głęboka, niemal nie przerywana oddechem cisza. Świeże ranne powietrze napłynęło do pieczary i jego ożywcze działanie podniosło na duchu ludzi, którzy się tu schronili. W miarę jak minuty mijały i nic nie mąciło spokoju podróżnych, nadzieja poczęła napełniać ich serca. Nikt jednak nie odezwał się słowem, bojąc się, że następna chwila może zniweczyć ich nadzieje.

Tylko Dawid nie ulegał tym zmiennym nastrojom. Światło wpadające przez wylot pieczary oświecało jego pobladłą twarz i strony książeczki, której kartki odwracał szukając psalmu najlepiej odpowiadającego ich sytuacji. Prawdopodobnie przez cały ten czas działał pod wpływem niejasnego wspomnienia pocieszającej obietnicy danej mu przez Duncana. Wreszcie widocznie cierpliwe poszukiwania zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem, albowiem bez słowa wyjaśnienia powiedział głośno: „Wyspa Wight", wydobył ze swej fujarki długi ton i zagrał na niej parę pierwszych taktów pieśni, której nazwę tylko co wymienił najsłodszym tonem swego melodyjnego głosu.

— Czy nie ściągnie to na nas żadnego niebezpieczeństwa? — zapytała Kora patrząc swymi ciemnymi oczami na majora Heywarda.

— Nieborak! Jego głos jest tak słaby, że nie słychać go wśród łoskotu wodospadów — odpowiedział major — poza tym pieczara tłumi dźwięki. Niechże więc pofolguje swej namiętności, skoro nie grozi to niebezpieczeństwem.

— Wyspa Wight — powtórzył Dawid spoglądając wkoło tym pełnym godności i karcącym wzrokiem, którym od dawna nawykł uciszać stłumione szmery w swej klasie — to pieśń o pięknej melodii i uroczystych słowach. Odśpiewajmy ją z należytym szacunkiem.

Umilkł na chwilę, aby wywołać tym większe wrażenie, po czym śpiew jego zabrzmiał cicho, w przytłumionych tonach, stopniowo docierając do uszu słuchaczy, aż wreszcie wypełnił wąskie sklepienie melodyjnymi dźwiękami dyszkantowego, drżącego z osłabienia głosu. Piękno melodii, mimo niemocy

śpiewaka, poczęło wywierać kojący wpływ na słuchaczy. Wzięło nawet górę nad nędznym przekładem pieśni króla Dawida, którą śpiewak wybrał z całego tomu podobnych utworów poetyckich, oraz sprawiło, że sens słów zatracił się w nastrojowej harmonijności dźwięków. Alicja bezwiednie otarła oczy i jej załzawiony wzrok z prawdziwym i nie ukrywanym zachwytem spoczął na bladej twarzy Gamuta. Kora życzliwym uśmiechem nagrodziła nabożny wysiłek imiennika izraelskiego króla, a Heyward odwrócił poważny i zatroskany wzrok od wejścia do pieczary, by — już łagodniej — popatrzeć na Dawida i pochwycić jaśniejsze błyski w spojrzeniu wciąż jeszcze wilgotnych oczu Alicji. Ta nie ukrywana sympatia słuchaczy podniosła na duchu miłośnika muzyki, toteż jego głos stawał się coraz bogatszy i rozleglejszy w skali, nie tracąc jednak ujmującej słodyczy, która nadawała mu tajemny urok. Stopniowo odzyskując siły Dawid śpiewał coraz pełniejszym głosem. Przeciągłe, bogate tony wypełniły pieczarę, gdy nagle przeraźliwy krzyk na zewnątrz przeszył powietrze i przerwał ten pobożny śpiew. Dawid urwał wpół zwrotki, jakby mu serce podeszło pod gardło.

— Jesteśmy zgubieni! — krzyknęła Alicja rzucając się Korze w ramiona.

— Jeszcze nie, jeszcze nie — odrzekł zaniepokojony, lecz nieustraszony Heyward. — Krzyk rozległ się na środku wyspy, Co znaczy, że Indianie ujrzeli zabitych towarzyszy. Nas jak dotąd nie wykryli, możemy więc jeszcze mieć nadzieję.

Widoki ocalenia były nikłe, a sytuacja niemal rozpaczliwa, słowa Duncana nie poszły jednak na marne, dodały bowiem sił siostrom, które teraz czekały spokojnie, co będzie dalej. Wkrótce po pierwszym okrzyku rozległ się drugi, a w parę chwil później dał się słyszeć gwar głosów ludzkich posuwający się w dół wyspy, od jej górnego skraju do dolnego, aż wreszcie dotarł do nagiej skały nad pieczarami. Tu po okrzyku dzikiego triumfu rozpętała się piekielna wrzawa, jaką mogą wzniecić tylko ludzie, i to ludzie w stanie zupełnego barbarzyństwa.

Wkrótce hałasy te objęły pieczarę ze wszystkich stron. Dzicy z brzegów rzeki wołali do swych towarzyszy, a ci odpowiadali im ze szczytu skał. Krzyki rozlegały się tuż, przerażająco blisko — w rozpadlinie między dwiema pieczarami, i mieszały się z ochrypłymi głosami z przepastnej głębi wąwozu. Słowem, głosy dzikich tak szybko i bezustannie krzyżowały się nad nagą skałą, że nadsłuchujący z niepokojem podróżni łatwo ulegli złudzeniu, iż nadlatują one i z dołu, choć naprawdę płynęły tylko z obu boków i z góry.

Nagle w tym zgiełku zerwał się ryk triumfu o parę kroków przed ukrytym wejściem do pieczary. Heyward myśląc, że ich odkryto, stracił resztę nadziei. Ale obawa okazała się płonna, usłyszał bowiem, że głosy gromadzą się w pobliżu miejsca, gdzie zwiadowca tak niechętnie rozstał się ze swym sztucerem. W indiańskim żargonie pomieszanych dialektów, który teraz wyraźnie docierał do jego uszu, bez trudu rozróżniał nie tylko oddzielne słowa, lecz i całe zdania wymawiane w kanadyjskiej gwarze. Kilka głosów krzyknęło jednocześnie: „La Longue Carabine!”, a w puszczy, na przeciwległym brzegu, echo powtórzyło nazwisko, które — jak Heyward pamiętał — nadali słynnemu myśliwemu i jednocześnie zwiadowcy armii angielskiej jego wrogowie i które — jak się teraz po raz pierwszy dowiedział— nosił ich niedawny towarzysz niedoli.

— La Longue Carabine! La Longue Carabine! — podawano sobie z ust do ust, aż wreszcie wydawało się, że cała zgraja skupiła się wokół zdobyczy, która miała świadczyć o śmierci groźnego właściciela długiej strzelby. Po hałaśliwej naradzie, zagłuszanej od czasu do czasu wybuchami dzikiej radości, Indianie znów się podzielili i co chwila głośno wykrzykując nazwisko swego wroga, zabrali się do poszukiwania jego ciała, które — jak Heyward mógł wywnioskować z ich rozmów — spodziewali się znaleźć w jakiejś rozpadlinie wyspy.

— Teraz — szepnął drżącym z przerażenia siostrom — teraz nadeszła krytyczna chwila! Jeśli nie dostrzegą naszej kryjówki, będziemy ocaleni! W każdym razie z tego, co mówili, wiem, że

nasi przyjaciele uszli im i że za jakieś dwie godziny możemy spodziewać się pomocy od Webba.

Na parę minut zapadła straszliwa cisza, podczas której — Heyward dobrze o tym wiedział — dzicy szukali dalej, z jeszcze większą pilnością i jeszcze dokładniej. Widocznie kręcili się koło wejścia, słyszał bowiem trzask łamanych gałązek i szelest zwiędłych liści sassafrasu pod ich stopami. Aż wreszcie stos gałązek nieco się osunął, róg zasłony opadł i słaby promyk światła zajrzał do wnętrza pieczary. Przerażona Kora mocno przycisnęła do siebie Alicję, a Duncan zerwał się na równe nogi. W tej chwili okrzyk z samego środka wysepki oznajmił, że dzicy dostali się w końcu do sąsiedniej pieczary. W chwilę później liczne i wyraźne głosy wskazały na to, że cała zgraja zebrała się wewnątrz pieczary i koło ich kryjówki.

Wewnętrzne przejścia łączące dwie pieczary były bardzo krótkie, toteż Duncan uznał, że nie da im się dłużej ukrywać. Stanął więc przed Dawidem i siostrami, aby przyjąć na siebie furię pierwszego ataku. Było mu już wszystko jedno, przyciągnął więc bliżej wątłą zasłonę, która odgradzała go od znajdujących się zaledwie o parę kroków bezlitosnych prześladowców, i przyłożywszy twarz do szczeliny z rozpaczliwą obojętnością patrzył, co robią dzicy.

Najwyżej na odległość ramienia zobaczył brązowe bary olbrzymiego Indianina, który basowym i pewnym siebie głosem kierował ruchami swych towarzyszy. Za nim dojrzał głębię drugiej pieczary wypełnioną dzikimi, szperającymi po kątach i plądrującymi ubogie mienie zwiadowcy. Krew z rany Dawida zabarwiła liście sassafrasu, które — jak dzicy o tym doskonale wiedzieli — o tej porze roku jeszcze się nie czerwienią. Gdy ujrzeli ten dowód zwycięstwa, zawyli jak sfora psów, która odnalazła] zgubiony ślad tropionej zwierzyny. Po tym okrzyku triumfu rozciągnęli wonne posłanie zwiadowcy i wywlekli gałęzie do rozpadliny dzielącej pieczary, gdzie rozrzucili je na wszystkie strony, jakby podejrzewali, że ukrywają człowieka, którego od dawna bali się i nienawidzili. Jeden dziko i okrutnie wyglądający wojownik podszedł do wodza z naręczem gałęzi,

pokazał mu z triumfującą miną ciemnoczerwone plamy na liściach i wyraził swą radość indiańskimi okrzykami. Heyward tylko dlatego odgadł ich sens, że słyszał często powtarzające się nazwisko: La Longue Carabine. Po tym akcie triumfu Indianin cisnął gałęzie na niewielki stos ułożony przez Duncana przed wejściem do drugiej pieczary i zasłonił mu widok. Inni dzicy poszli za przykładem swego towarzysza i w miarę jak wyciągali gałęzie z pieczary, rzucali je na stos, nie wiedząc, że w ten sposób ukrywają tych, których szukali. Słaby punkt obrony okazał się najmocniejszy, dzikim bowiem nie przyszło do głowy, żeby rozrzucić stos gałęzi, który — jak im się przywidziało w ogólnym zamieszaniu — sami przecież wznieśli.

Widząc, jak zasłona ustępuje pod naporem z zewnątrz, a osiadające gałęzie wypełniają skalną rozpadlinę i tworzą zwartą zaporę, Duncan po raz wtóry westchnął z ulgą. Lekkim krokiem i z jeszcze lżejszym sercem wrócił na środek pieczary i stanął w miejscu, z którego dobrze widział wylot jaskini wychodzący na brzeg rzeki. Tymczasem Indianie jak na komendę zmienili swój pierwotny zamiar. Zwartym tłumem wybiegli z pieczary i popędzili w górę wyspy, do miejsca, skąd przyszli. Po chwili żałosne okrzyki oznajmiły, że znów zgromadzili się przy zwłokach swych towarzyszy.

Dopiero teraz Duncan odważył się spojrzeć na obie siostry i na Dawida. W najbardziej krytycznych chwilach, gdy niebezpieczeństwo było bliskie, obawiał się, że niepokój malujący się na jego twarzy mógłby powiększyć lęk obu kobiet, nieprzywykłych do tak strasznych przeżyć.

— Odeszli, Koro! — szepnął. — Alicjo, powrócili tam, skąd nadeszli. Jesteśmy uratowani! Chwała niech będzie Panu, bo tylko On wybawił nas z rąk tak, bezlitosnych wrogów!

— A więc podziękuję Bogu! — zawołała Alicja, Uwolniła się z objęć Kory i w przypływie bezgranicznej wdzięczności uklękła na twardej skale. — Temu Bogu, który oszczędził łez, siwemu ojcu i uratował życie najdroższych mi istot…

Heyward i bardziej od siostry opanowana Kora patrzyli głęboko przejęci na ten wylew uczuć. Heyward myślał w duchu,

że nigdy jeszcze nabożność nie przybrała tak wdzięcznej postaci jak teraz, gdy wcieliła się w osobę młodziutkiej Alicji. Oczy jej błyszczały blaskiem wdzięczności, rumieniec znów zabarwił policzki. Pełne wyrazu oblicze mówiło, jak gorąco dusza dziewczyny pragnie zatopić się w dziękczynnej modlitwie. Lecz gdy usta się poruszyły, jakby nagły podmuch chłodu zmroził słowa. Rumieniec ustąpił miejsca śmiertelnej bladości, słodkie i wilgotne oczy stężały i zwęziły się pod wpływem przerażenia, ręce, złożone i wzniesione ku niebu, opadły wskazując kurczowym ruchem palców przed siebie. Heyward natychmiast spojrzał w tym kierunku i zobaczył wyglądającą sponad skalnego występu, tworzącego wysoki próg otwartego wylotu pieczary, złą, okrutną i dziką twarz Przebiegłego Lisa.

Heyward nie stracił głowy. Z obojętnego wyrazu twarzy Indianina domyślił się, że jego oczy nawykłe do otwartej przestrzeni nie oswoiły się jeszcze z mrokiem panującym we wnętrzu pieczary; Pomyślał nawet, by się cofnąć za załom skalnej ściany, który mógłby ich ukryć, lecz z nagłego błysku na twarzy Indianina zrozumiał, że już jest za późno i że zostali wykryci.

Spojrzenie pełne radości i dzikiego triumfu, które oznajmiło mu tę straszną prawdę, mogło każdego wyprowadzić z równowagi, nic więc dziwnego, że krewki młodzieniec zapomniał o wszystkim, zmierzył z pistoletu i strzelił. Odgłos wystrzału huknął w pieczarze jak wybuch wulkanu, a gdy prąd świeżego powietrza z wąwozu rozwiał dym spalonego prochu, miejsce, w którym przed chwilą ukazała się twarz zdradzieckiego przewodnika, było puste. Heyward doskoczył do wylotu pieczary i ujrzał smagłą postać Przebiegłego Lisa chyłkiem okrążającą niski i wąski występ skały, za którym niebawem całkowicie się skryła.

Na huk z głębi skały Indianie ucichli. Dopiero kiedy Przebiegły Lis donośnym i przeciągłym głosem zawołał do nich, z ust tych, którzy go usłyszeli, wyrwał się żywiołowy okrzyk odpowiedzi. Zgiełk jął znów szybko przesuwać się w dół wyspy i

zanim Duncan zdołał przyjść do siebie, wzniesiona przez niego słaba bariera z gałęzi rozleciała się na wszystkie strony. Pieczara z dwóch stron jednocześnie zapełniła się Indianami; majora i jego towarzyszy wyciągnięto z ukrycia na światło dzienne, gdzie stali teraz otoczeni przez całą zgraję triumfujących Huronów.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Boję się, byśmy nie przespali ranka,*
*Tak jak czuwaniem okpiliśmy noc,*

”Sen nocy letniej”

Gdy osłabł wstrząs wywołany nagłą nieszczęśliwą zmianą losu, Duncan począł obserwować wyraz twarzy i zachowanie się Indian. Wbrew zwyczajowi, upojeni radością zwycięstwa, oszczędzili nie tylko obie drżące ze strachu siostry, ale i jego.

Łakomymi oczami, z barbarzyńskim pożądaniem świecidełek patrzyli na bogate ozdoby jego munduru i dotykali ich ręką. Dopuściliby się — jak zwykle w podobnych wypadkach —aktu przemocy, lecz gdy podnieśli ręce, powstrzymał ich stanowczy rozkaz wysokiego wojownika, o którym już wspomnieliśmy. Heyward zrozumiał, że Indianie oszczędzą ich z jakichś szczególnych względów.

Ale te objawy słabości zdradzali tylko młodzi i lekkomyślni Indianie, natomiast doświadczeni wojownicy dalej pilnie przetrząsali obie pieczary, co wskazywało, że bynajmniej nie są zadowoleni ze zdobyczy, którą wyciągnęli na światło dzienne. Nie mogąc znaleźć żadnej nowej ofiary, mściwi Huroni podeszli do uwięzionych mężczyzn i poczęli powtarzać nazwisko La Longue Carabine z jawną pogróżką. Duncan udał, że nie rozumie tych wielokrotnych i gwałtownych pytań, jego towarzyszowi zaś los oszczędził podobnego kłamstwa, bo nie znał francuskiego. Wreszcie zmęczony naleganiami Indian i bojąc się, że uporczywym milczeniem że ich rozdrażnić, Duncan poszukał oczami Maguy, który mógł przetłumaczyć jego

odpowiedź na coraz bardziej natarczywe i coraz groźniejsze pytania.

Zachowanie się Maguy jaskrawo różniło się od zachowania jego towarzyszy. Gdy ci z zapałem i dziecięcą namiętnością gonili za błyskotkami i plądrowali nawet skromny dobytek zwiadowcy lub też, zaślepieni żądzą krwawej zemsty, dalej szukali jego właściciela, Magua stał w pewnej odległości od jeńców, a jego spokojna, wyrażająca zupełne zadowolenie postawa wskazywała, że osiągnął najwyższy cel swej zdrady. Kiedy Heyward po raz pierwszy napotkał wzrok swego niedawnego przewodnika, odwrócił się co prędzej, przerażony złowrogim choć spokojnym spojrzeniem jego oczu. Przezwyciężył jednak, odrazę i nie patrząc na Maguę odezwał się do niego:

— Przebiegły Lis jest prawdziwym wojownikiem — powiedział niechętnie — i dlatego powie bezbronnemu mężczyźnie, co mówią jego zwycięzcy.

— Pytają o myśliwego, który zna leśne ścieżki — odparł Magua swą łamaną angielszczyzną, uśmiechając się okrutnie i kładąc rękę na pęczku liści, którymi była opatrzona rana na jego ramieniu. — La Longue Carabine! Jego oko jest zawsze otwarte, a strzelba celna, ale tak jak krótka strzelba białego wodza, nie zaszkodziła ona życiu Przebiegłego Lisa!

— Lis jest zbyt mężny, by pamiętać o ranach otrzymanych w czasie wojny albo o rękach, które je zadały!

— Czyż była to wojna, kiedy zmęczony Indianin wypoczywał pod cukrowym drzewem i chciał się posilić? Któż napełnił krzaki skradającymi się nieprzyjaciółmi? Kto dobył noża? Czyj język głosił pokój, kiedy serce łaknęło krwi? Czy Magua powiedział, że wykopał swój tomahawk i że trzyma go w ręku?

Duncan milczał, nie śmiał bowiem wypomnieć swemu, oskarżycielowi jego własnej, z góry uplanowanej zdrady, a z drugiej strony gardził usprawiedliwieniami, Magua widocznie też wolał poniechać sporu i w ogóle rozmowy na ten temat, gdyż znów oparł się o skałę, od której odstąpił pod wpływem chwilowego podniecenia. Ale gdy niecierpliwi dzicy zauważyli,

że krótki dialog się skończył, natychmiast podjęli swój okrzyk: „La Longue Carabine!”

— Blada twarz słyszy — powiedział. Magua z niewzruszoną obojętnością. — Czerwonoskórzy Huroni domagają się życia Długiej Strzelby albo krwi tych, którzy go ukrywają!

— Długiej Strzelby nie ma, odszedł. Huroni już go nie dosięgną.

Lis uśmiechnął się pogardliwie i odpowiedział:

— Kiedy biały człowiek umiera, myśli, że zyskuje spokój, ale czerwonoskórzy potrafią torturować nawet duchy swych wrogów. Gdzie jest jego ciało? Niech Huroni ujrzą jego skalp!

— Długa Strzelba nie umarł, uszedł. Magua z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Czyż jest ptakiem, by mógł rozwinąć, skrzydła, albo może jest rybą i pływa bez powietrza? Biały wódz czyta swe księgi i myśli, że Huroni to głupcy!

— Długa Strzelba, choć nie jest rybą, umie pływać. Popłynął w dół rzeki, kiedy wyczerpał już cały zapas prochu i kiedy chmura przesłoniła oczy Huronów.

— A dlaczego biały wódz pozostał? — wciąż jeszcze nie wierząc zapytał Indianin. — Czy jest on kamieniem, który pójdzie na dno, albo może skalp pali mu głowę?

— Że nie jestem kamieniem, mógłby potwierdzić, gdyby jeszcze żył, towarzysz Przebiegłego Lisa, który spadł w odmęty — odparł rozgniewany młody człowiek posługując się w złości pyszałkowatym językiem, który mógł tylko wzbudzić podziw Indianina. — Biały człowiek uważa, że jedynie tchórze opuszczają swoje kobiety.

Magua zmełł w zębach kilka niedosłyszalnych słów i dopiero potem odpowiedział głośno:

— Czy Delawarzy potrafią pływać równie dobrze, jak pełzać w krzakach? Gdzie jest Le Gros Serpent?

Duncan, który słysząc te kanadyjskie przezwiska zrozumiał, że wrogowie lepiej znają jego niedawnych towarzyszy niż on, odpowiedział niechętnie:

— Też popłynął w dół rzeki.

— A Cerf Agile także odszedł?

— Nie wiem, kogo nazywacie Rączym Jeleniem — odparł Duncan korzystając z pretekstu, by zyskać na czasie.

— Unkasa — odparł Magua wymawiając delawarskie imię z jeszcze większą trudnością niż angielskie słowa — Skaczący Łoś, jak mówi biały człowiek, kiedy zwraca się do młodego Mohikaniria.

— Nie rozumiemy się, Przebiegły Lisie, gdy chodzi o imiona — odrzekł Duncan chcąc wywołać dyskusję. — Daniel po francusku to *daim*, a cerf to jeleń. Gdy się mówi o łosiu, trzeba użyć słowa *elan*.

— Tak — mruknął Indianin w swym ojczystym języku. — Blade twarze to gadatliwe baby! Na każdą rzecz mają dwie nazwy, a czerwonoskóry posługuje się w mowie samym dźwiękiem głosu. —I znów przeszedł na angielski, używając jednak niedokładnych określeń, przejętych od swych prowincjonalnych nauczycieli. — Jeleń jest rączy, ale słaby, łoś jest rączy, ale silny, a syn Wielkiego Węża zwie się Cerf Agile. Czy przeskoczył rzekę i uszedł w las? — Jeżeli myślisz o młodym Delawarze, to i on popłynął w dół rzeki.

Dla Indianina nie było nic nieprawdopodobnego w tego rodzaju ucieczce. Magua uwierzył więc w to, co usłyszał, z gotowością, która miała dowieść, że nisko ceni sobie tak mało ważnych jeńców. Jednakże jego towarzysze byli najwidoczniej innego zdania.

Czekali na wynik tej krótkiej rozmowy ze zwykłą im cierpliwością oraz w milczeniu, które stopniowo ogarnęło całą zgraję. A kiedy Heyward skończył mówić, wszyscy jak jeden mąż zwrócili oczy na Maguę, wymownymi spojrzeniami domagając się wyjaśnień. Magua wskazał na rzekę i wytłumaczył im wszystko posługując się gestami, które poparł kilku krótkimi słowami. Dzicy, zrozumiawszy, co się stało, podnieśli straszny wrzask, który świadczył, że doznali wielkiego zawodu. Jedni skoczyli na brzeg rzeki wymachując rękami jak szaleni, inni pluli na wodę wyrażając w ten sposób oburzenie na zdradę, jakiej się dopuściła wobec ogólnie

uznawanych praw zwycięzców. Paru, i to bynajmniej nie najsłabszych ani najmniej strasznych z całej bandy, rzucało na jeńców ponure spojrzenia, zdradzające zaciekłą nienawiść, hamowaną tylko zwykłym u Indian panowaniem nad sobą. Jeden czy dwóch nawet wyraziło swe wrogie uczucia groźnymi gestami, przed którymi nie broniła sióstr ani ich płeć, ani uroda. Młody oficer szamotał się rozpaczliwie, chcąc doskoczyć do Alicji, gdy ujrzał, że jeden z dzikich okręca wokół swej smagłej dłoni bogate sploty włosów luźno spadające na ramiona dziewczyny, a nożem zakreśla krąg w powietrzu, ohydnie demonstrując sposób, w jaki obedrze ją z tej pięknej ozdoby. Ale ręce miał związane i w dodatku przy pierwszym ruchu poczuł, że wódz zgrai, siłacz nie lada, trzyma go za ramiona w żelaznym uścisku. Zdał sobie sprawę, że na próżno opierałby się przytłaczającej sile przeciwnika, poddał się więc losowi i tylko w paru cichych i czułych słowach dodał otuchy swym towarzyszkom. Powiedział im, że groźby Indian zwykle bywają straszniejsze od ich czynów.

Duncan, uciekając się do tych słów pociechy dla uspokojenia sióstr, nie był tak słaby, aby samemu się łudzić. Dobrze wiedział, że u Indian autorytet wodza spoczywa na wątłych podstawach i że częściej polega na sile fizycznej niż na moralnej przewadze. Dlatego też niebezpieczeństwo było tym większe, im więcej otaczało ich dzikich Indian.

Pierwszy lepszy Huron, który postanowiłby złożyć ofiarę duchom swych przyjaciół lub krewnych, mógł w każdej chwili jednym ruchem ręki przekreślić rozkaz człowieka uznawanego za wodza. Toteż udając spokój i pewność siebie Duncan czuł, jak serce w nim zamiera za każdym razem, gdy któryś z okrutnych Indian zbliżał się do bezbronnych sióstr lub gdy przestawał wodzić posępnymi oczami i wlepiał wzrok w wątłe kobiety, zbyt słabe, by oprzeć się choćby najlżejszemu atakowi.

Obawy Duncana znacznie zmalały, kiedy zobaczył, że wódz Huronów zwołał wojowników na naradę. Decyzję powzięto szybko i — wnosząc z milczenia większości — jednomyślnie. Z tego, że wszyscy, nieliczni zresztą mówcy często wskazywali w

kierunku obozu Webba, wynikało wyraźnie, że obawiają się niebezpieczeństwa z tamtej strony. Ten wzgląd zapewne przyspieszył decyzję i skłonił ich do natychmiastowego ruszenia w drogę. W czasie tej krótkiej narady Heyward, który znów nabrał nieco otuchy, miał dość czasu, aby podziwiać ostrożność, z jaką Huroni, nawet po zakończonej walce, podpłynęli do wyspy.

Jak mówiliśmy, jej górną część stanowiła naga skała, bez żadnej osłony oprócz kilku tu i ówdzie leżących pni wyrzuconych przez wodę. Indianie wybrali właśnie to miejsce do lądowania i w tym celu przenieśli czółno przez las, obchodząc wodospad. Dwunastu wojowników uczepiło się boków małego stateczku, na którym umieścili broń. Dwaj najzręczniejsi z nich kierowali tym czółnem, stojąc w nim w ten sposób, że widzieli całą niebezpieczną przeprawę. Dzięki temu dzicy dotarli do szczytu wyspy w miejscu, w którym pierwsi ryzykanci ponieśli śmierć. Tym razem przeważali liczebnie nad przeciwnikiem i mieli z sobą broń palną. Duncan nie wątpił, że lądowanie tak się odbyło, ponieważ teraz Indianie przenieśli czółno ze szczytu wyspy i spuścili je na wodę obok wylotu zewnętrznej pieczary.

Gdy to zrobili, wódz dał jeńcom znak, by zeszli i wsiedli do czółna.

Opór był niemożliwy, a jakikolwiek protest bezcelowy, Heyward więc dał przykład posłuszeństwa i pierwszy zszedł do czółna, a za nim wsiadły siostry i wciąż jeszcze osłupiały Dawid. Huroni oczywiście nie znali wąskich przesmyków między wirami i prądami rzeki, ale dzięki swemu doświadczeniu mogli przezwyciężyć trudności przeprawy. Kiedy wojownik, który miał sterować czółnem, stanął na swym miejscu, pozostali weszli do wody i łódka pomknęła w dół rzeki. Po paru minutach jeńcy stanęli na południowym brzegu, prawie naprzeciw miejsca, do którego przybili poprzedniego wieczoru.

Tu odbyła się druga, krótka, lecz bardzo poważna narada. Tymczasem wyprowadzono z leśnej kryjówki konie, których panicznemu przestrachowi przypisywali ich właściciele

najgorsze ze swych nieszczęść. Teraz oddział Huronów podzielił się na dwie grupy. Wysoki wódz, o którym już nieraz wspominaliśmy, dosiadł konia Heywarda i poprowadził większą część Indian na drugi brzeg rzeki. Niebawem grupa ta zniknęła w lesie. Jeńcy pozostali pod strażą sześciu dzikich, którym przewodził Przebiegły Lis, Duncan przyglądał się temu z wielkim zaniepokojeniem.

Z niezwykłego u Indian umiarkowania snuł nadzieję, że oszczędzają go, jako jeńca, którego chcą wydać Montcalmowi. Umysł ludzki w nieszczęściu rzadko kiedy próżnuje, fantazja zaś nigdy nie jest tak czynna jak w chwilach, gdy pobudza ją choćby najsłabsza i najbardziej daleka nadzieja, dlatego Duncan wyobraził sobie, że wróg postara się wykorzystać ojcowskie uczucia pułkownika Munro, by namówić go do zdrady. Wprawdzie dowódca wojsk francuskich dzięki swej odwadze i przedsiębiorczości cieszył się jak najlepszą sławą, jednakże uważano go również za mistrza w tych politycznych posunięciach, które nie zawsze czynią zadość surowym nakazom moralności i które tak bardzo zniesławiły europejską politykę owych czasów.

Wszystkie te mozolne i przemyślne rachuby obróciło wniwecz zachowanie się zwycięzców. Ta część zgrai, która poszła za olbrzymim wojownikiem, pomaszerowała ku krańcowi jeziora Horican, jeńcy musieli więc pogodzić się z tym, że pozostaną na łasce swych dzikich wrogów. Duncan, naglony chęcią dowiedzenia się czegoś, bodaj najgorszego, i gotów w razie konieczności odwołać się do potęgi złota, przezwyciężył swój wstręt i zagabnął Maguę. Przemówił do swego niedawnego przewodnika, który przybrał teraz postawę i minę dowódcy oddziału, tonem tak przyjaznym i ufnym, na jaki tylko mógł się zdobyć:

— Chciałbym pomówić z Maguą o tym, co może usłyszeć tylko tak wielki wódz jak on.

Indianin pogardliwie spojrzał na młodego oficera i odpowiedział:

— Mów, drzewa nie mają uszu!

— Ale czerwonoskórzy Huroni nie są głusi, a narada, która jest dobra dla wodzów plemienia, może zawrócić w głowie młodym wojownikom. Jeśli Magua nie chce słuchać, oficer jego królewskiej mości potrafi milczeć.

Dziki niedbałym tonem powiedział coś do swych towarzyszy, którzy właśnie po swojemu i jak zwykle niezręcznie siodłali konie dla sióstr, odszedł nieco na bok i nieznacznie skinął na Heywarda.

— Teraz mów — powiedział — jeżeli twoje słowa są warte, aby Magua je słyszał.

— Przebiegły Lis dowiódł, że godzien jest zaszczytnego miana, które nadali mu jego kanadyjscy ojcowie — zaczął Heyward. — Widzę jego mądrość i wszystko, co dla nas zrobił, i będę o tym pamiętał, kiedy nadejdzie czas, by go nagrodzić. Tak, Przebiegły Lis dowiódł, że jest nie tylko wielkim wodzem na radzie, ale umie też zwieść swoich wrogów!

— Cóż zrobił Przebiegły Lis? — chłodno zapytał Indianin.

— Jak to! Czyż nie widział, że lasy pełne są czyhających wrogów i że nawet wąż nie zdoła niepostrzeżenie prześliznąć się między nimi? Czy wobec tego nie zmylił drogi, by omamić wzrok Huronów? Czy nie udał, że wraca do swego plemienia, które go skrzywdziło i odpędziło od swych wigwamów jak psa? A kiedy odgadliśmy jego zamiary, czy nie pomogliśmy mu udając jego wrogów po to, by Huroni myśleli, że biały człowiek uważa swego przyjaciela za zdrajcę? Czy to nieprawda? A kiedy Przebiegły Lis dzięki swej mądrości przymknął oczy swym braciom i zatkał im uszy, czy nie zapomnieli oni o krzywdzie, którą mu kiedyś wyrządzili, i o tym, że zmusili go, by uciekł do Mohawków? I czy nie zostawili go na południowym brzegu rzeki wraz z jeńcami i nie poszli jak głupcy na północ? Czy Magua nie zamierza zawrócić jak lis po swych śladach i odprowadzić córki bogatemu i siwemu Szkotowi? Tak, Magua, widzę to wszystko i już myślałem, jak wynagrodzić tak wielką mądrość i uczciwość. Po pierwsze, komendant fortu William Henry wynagrodzi taką usługę, jak wypada wielkiemu wodzowi. Medal Maguy nie będzie już z cyny, lecz z kutego

złota, jego róg po brzegi napełni się prochem, w jego sakwie będzie tyle dolarów, ile żwiru na brzegu Horicanu, a zwierzęta przyjdą lizać jego ręce, wiedząc, że nie umkną przed strzelbą, którą będzie nosił! Co do mnie zaś, to nie wiem, jak przewyższyć wdzięczność Szkota, ale… tak… ja…

— Co da mi młody wódz, który przyszedł z kraju, gdzie wschodzi słońce? — zapytał Huron zauważywszy, że Heyward waha się wymienić, jako ostatni z darów, rzecz, która stanowi szczyt marzeń Indianina.

— Sprawi on, że woda ognista z wysp na słonym jeziorze popłynie przed wigwamem Maguy szybciej niż wody huczącego Hudsonu, aż jego serce stanie się lżejsze od piór kolibra, a oddech słodszy niż zapach dzikiego wiciokrzewu.

Przebiegły Lis z powagą słuchał powolnie wygłaszanego, chytrego przemówienia Heywarda. Kiedy młodzieniec wspomniał o podstępie, którego Indianin rzekomo dopuścił się wobec własnego plemienia, twarz słuchającego przybrała wyraz jakiejś czujnej powagi. Gdy napomknął o krzywdzie, która jakoby zmusiła Hurona do porzucenia własnego plemienia, ujrzał w jego oczach błysk niepohamowanej wściekłości i zorientował się, że poruszył właściwą strunę. Kiedy zaś zręcznie odwołał się do żądzy zemsty i chęci zysku, udało mu się wzbudzić największe zainteresowanie dzikiego. Pytanie Przebiegły Lis postawił spokojnie i z godnością właściwą Indianom, a z powagi malującej się na jego twarzy jasno wynikało, że odpowiedź Duncana była chytrze obmyślona. Huron zastanawiał się chwilę, a następnie położywszy rękę na prymitywnym opatrunku z liści okrywającym zranione ramię, zapytał z naciskiem:

— Czy przyjaciele pozostawiają takie znaki?

— Czy La Longue Carabine zraniłby tak lekko nieprzyjaciela?

— Czy Delawarzy skradają się jak węże, by ukąsić tych, których lubią?

— Czy Wielki Wąż pozwoliłby się usłyszeć cudzym uszom, gdyby chciał, by pozostały głuche?

— A czy biały wódz pali proch wprost w twarze swych braci?

— A czy chybia on celu, kiedy poważnie myśli o zabijaniu? — odparł Duncan uśmiechając się z dobrze udaną szczerością.

Nowa, długa i pełna namysłu pauza zapanowała po tych treściwych pytaniach i błyskawicznych odpowiedziach. Duncan spostrzegł, że Indianin waha się. Chcąc więc przyśpieszyć zwycięstwo zabierał się właśnie do ponownego wyliczenia nagród, gdy Magua machnął ręką i powiedział:

— Dość. Przebiegły Lis jest mądrym wodzem, a co zrobi, to się okaże. Odejdź i nie gadaj. Kiedy Magua przemówi, będziesz mógł odpowiedzieć.

Heyward zauważył, że jego rozmówca nie odrywa oczu od reszty Indian, odszedł więc, by go nie podejrzewano o zmowę z wodzem. Magua zaś podszedł do koni i udał, że jest bardzo zadowolony z pomysłowości i staranności, z jaką je osiodłano. Następnie dał znak Heywardowi, by pomógł siostrom dosiąść wierzchowców, rzadko bowiem raczył mówić po angielsku i tylko wtedy, gdy musiał.

Nie było już żadnego rozsądnego pretekstu do zwłoki, Duncan musiał więc, choć niechętnie, usłuchać rozkazu.Gdy pomagał dosiąść koni drżącym z przerażenia kobietom (które bojąc się, że mogłyby napotkać wzrokiem dzikie twarze Indian, prawie nie odrywały oczu od ziemi), szepnął im kilka słów o nowych widokach ratunku. Kobyłę Dawida zabrali Indianie z oddziału wysokiego wodza, dlatego też jej właściciel, tak jak i Duncan, musiał wędrować piechotą. Duncan jednak zbytnio tego nie żałował, ponieważ pozwalało mu to opóźniać marsz całego oddziału. Wciąż jeszcze zwracał tęskne spojrzenie w kierunku fortu Edwarda i — niestety daremnie — wytężał słuch w nadziei, że doleci go odgłos zbliżającej się pomocy.

Kiedy wszystko już było gotowe, Magua dał hasło do wymarszu i sam ruszył na czele oddziału. Za nim szedł Dawid, który, w miarę jak wracał do siebie, poczynał zdawać sobie sprawę ze swej przykrej sytuacji. Siostry jechały za nim, obok nich kroczył Heyward, Indianie zaś szli po bokach i zamykali pochód zachowując niestrudzoną czujność.

W ten sposób posuwali się naprzód w niezmąconej ciszy, którą jedynie od czasu do czasu przerywały słowa pociechy rzucane przez Heywarda niewiastom lub też pobożne okrzyki Dawida, sądzącego, że te jęki odzwierciedlają pokorę, z jaką poddaje się losowi. Szli na południe, w kierunku przeciwnym do drogi wiodącej do fortu William Henry. Mimo że Magua najwidoczniej pozostał wierny zwycięskim Indianom, Heyward nie mógł uwierzyć, by łatwo zapomniał o podsuniętej mu kuszącej przynęcie. Zbyt dobrze jednak wiedział, że Indianie lubią kręte dróżki, nie wierzył więc, by obrany przez nich kierunek prowadził prosto do celu, zwłaszcza teraz, kiedy musieli się uciec do podstępu. Jednakże w ten sam męczący sposób szli mila za milą przez nie kończącą się puszczę i nic nie zapowiadało końca podróży. Heyward pilnie obserwował bieg słońca, którego prostopadłe promienie przedzierały się już przez gałęzie drzew, i niecierpliwie czekał chwili, kiedy Magua przestanie kluczyć i ruszy w kierunku bardziej odpowiadającym nadziejom jeńców. Chwilami zdawało mu się, że ostrożny Indianin nie wierzy, iż zdoła wymknąć się Montcalmowi, i zdąża do znanej pogranicznej osady, w której mieszka i ma wielkie dobra ziemskie pewien słynny oficer królewski, wielki przyjaciel Sześciu Narodów. Oczywiście byłoby znacznie lepiej, gdyby ich oddano w ręce sir Williama Johnsona, niż uprowadzono w puszczę Kanady. Jednakże, aby dotrzeć do posiadłości sir Williama, musieliby przebyć lasami wiele uciążliwych mil, każdy zaś krok oddalał Duncana od terenu działań wojennych, a więc i od miejsca, do którego wzywał go nie tylko honor, lecz i obowiązek.

Ze wszystkich jeńców jedynie Kora pamiętała o poleceniu zwiadowcy, udzielonym im przy pożegnaniu, i przy każdej sposobności wyciągała rękę usiłując nadłamać gałąź. Ale Indianie byli tak czujni, że zadanie okazało się zarówno trudne, jak niebezpieczne. Często, napotykając ponure spojrzenia ich uważnych oczu, Kora rezygnowała ze swego zamiaru i musiała udawać, że pod wpływem przerażenia, którego zresztą nie czuła, odruchowo, po kobiecemu osłania się ręką. Jeden jedyny

raz udało jej się złamać gałązkę rozrośniętego sumakowego drzewa i pod wpływem błyskawicznej myśli upuściła w pobliżu jedną ze swych rękawiczek. Ten znak, pozostawiony dla tych, którzy mogliby iść ich śladem, zauważył jeden z Indian. Podniósł rękawiczkę, oddał ją Korze i połamał pozostałe gałęzie tak, by wyglądało, że uczyniły to szamoczące się zwierzęta, a potem położył rękę na tomahawku z tak wymownym spojrzeniem, iż Kora musiała zaprzestać dalszych prób skrytego znaczenia drogi.

Nie można też było liczyć, że pomoc nadejdzie po śladach kopyt końskich, albowiem oba oddziały Indian miały, koniec Heyward zdobyłby się może na jakiś protest, gdyby nie odbierało mu nadziei ponure, pełne rezerwy zachowanie się Przebiegłego Lisa, który rzadko oglądał się na idących za nim i ani razu nie otworzył ust. Kierując się jedynie słońcem i znakami dostępnymi tylko Indianom szedł przez monotonną gęstwę sosen, przecinał czasem urodzajne doliny, przebywał potoki, strumyki i faliste wzgórza jak ptak, prosto i z instynktowną nieomylnością. Nigdy się nie wahał. Zawsze szedł jednakowo szybko i pewnie, czy ścieżka była przetarta i doskonale widoczna, czy ledwie można było ją dostrzec. Zmęczenie jakby się go nie imało Za każdym razem, gdy wzrok znużonych jeńców odrywał się od butwiejących liści, po których szli, widzieli przed sobą ciemną postać Indianina sunącą między pniami drzew, z pochyloną do przodu nieruchomą głową, ozdobioną na ciemieniu wiotkim piórem, kołyszącym się przy każdym ruchu.

Jednakże zarówno ta pilność, jak i szybkość miały swój cel. Po przebyciu płytkiego jaru, którego dnem płynął kręty, bystry potok, Magua nagle począł się wspinać na wzgórze tak strome i trudne do podejścia, że obie siostry musiały zsiąść z koni, by móc iść za nim. Kiedy wszyscy dotarli do szczytu wzgórza, znaleźli się na płaszczyźnie z rzadka zarośniętej drzewami. Maguą wygodnie wyciągnął się pod jednym z nich, jakby szukał tu odpoczynku, którego wszyscy tak bardzo pragnęli.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

S z a j l o k :
*I niech przeklęte będzie moje plemię,*
*Gdybym mu miał przebaczyć…*

„Kupiec wenecki”

Indianin wybrał na odpoczynek jeden z owych stromych i stożkowatych pagórków, które przypominają kopce wzniesione ręką ludzką, jakie często spotyka się w dolinach Ameryki. Pagórek był wysoki i spadzisty. Szczyt jak zwykle miał spłaszczony, ale jedno z jego zboczy było bardziej strome niż normalnie. Na miejsce wypoczynku nadawał się tylko dlatego, że był wysoki, a jego kształt ułatwiał obronę i prawie uniemożliwiał zaskoczenie. Heyward, który zwątpił już w nadejście pomocy po tak długim czasie i tak daleko od fortu Edwarda, przyglądał się okolicy bez najmniejszego zainteresowania i myślał tylko o tym, by pocieszyć swe towarzyszki i ulżyć ich doli.

Puszczone luzem narragansetty skubały gałązki drzew i krzaków skąpo porastających szczyt wzgórza. Jeńcy rozłożyli resztki żywności w cieniu buku, którego konary tworzyły w górze rodzaj baldachimu.

Mimo że uciekali szybko, jednemu z Indian udało się ubić z tuku zabłąkanego jelonka, a potem wytrwale niósł na ramieniu najbardziej smakowite części mięsa swej zdobyczy aż do miejsca odpoczynku. Tu, nie uciekając się do pomocy sztuki

kulinarnej, wraz z towarzyszami zabrał się natychmiast do pożerania tego łatwostrawnego pożywienia.

Tylko Magua, samotnie siedząc na uboczu, pogrążony w myślach, nie uczestniczył w tym odrażającym posiłku.

To umiarkowanie niezwykłe u Indianina w chwili, kiedy mógł zaspokoić głód, zwróciło wreszcie uwagę Heywarda. Młody człowiek chętnie uwierzył, iż Huron rozmyśla, jak najlepiej oszukać czujność swych indiańskich sojuszników. Chcąc dopomóc mu jakimś własnym pomysłem i jeszcze bardziej podniecić pożądanie darów wyszedł z cienia i — pozornie błąkając się bez celu — podszedł do niego.

— Czy Magua dość długo patrzył słońcu w twarz i czy dzięki temu nie grozi nam już niebezpieczeństwo ze strony Kanadyjczyków? — zapytał, jakby nie wątpił, że się dogadali. — Czy komendant fortu William Henry nie będzie bardziej zadowolony, jeśli ujrzy swe córki, zanim zapadnie druga noc, podczas której jego serce może oswoić się ze stratą, co sprawi, że nagroda nie będzie już taka hojna?

— Czy blade twarze mniej kochają swe dzieci rano niż w nocy? — chłodno zapytał Indianin.

— Bynajmniej —odparł Heyward usiłując co prędzej naprawić błąd, jeżeli go popełnił. —Często zdarza się, że biały zapomina o grobach swych ojców. Czasem zapomina o tych, których powinien i których obiecał kochać, ale miłość ojca do dziecka nigdy nie umiera.

— A czy serce siwowłosego wodza jest czułe i czy będzie on myślał o dzieciątkach, które dały mu jego żony? Jest nieubłagany dla swych wojowników, a oczy ma z kamienia!

— Jest on surowy dla leniwych i złych, ale dla trzeźwych i zasługujących na to jest wodzem sprawiedliwym i wyrozumiałym. Znałem wielu kochających i czułych ojców, ale nigdy nie spotkałem człowieka, który by bardziej kochał swe dzieci. Ty, Magua, widziałeś siwowłosego przed frontem wojowników, ale ja widziałem go, jak płakał, gdy mówił o swoich córkach, które masz teraz w ręku.

Umilkł na chwilę, bo nie wiedział, jak sobie wytłumaczyć dziwne zmiany na śniadej twarzy uważnie słuchającego Indianina. Zrazu mogło się zdawać, że gdy słuchał o gorącym przywiązaniu ojca do dzieci, które zapewniało mu obfity okup, odżyła w nim pokusa. Ale im dłużej Duncan mówił, tym bardziej wyraz zadowolenia na twarzy Maguy przechodził w zaciekły gniew, którego źródłem była najwidoczniej namiętność straszniejsza niż chciwość.

— Idź — powiedział Magua, szybko ukrywając gniew pod maską śmiertelnego spokoju — idź do ciemnowłosej córki białego wodza i powiedz, że Magua chce z nią mówić. Ojciec dotrzyma obietnicy, którą da jego dziecko.

Duncan myślał, że Magua chce uzyskać dodatkową gwarancję obiecanego okupu. Wolno i ociągając się poszedł więc ku miejscu, gdzie siostry odpoczywały po przebytych trudach, i powtórzył Korze treść rozmowy z Maguą.

— Pani wie, co dla Indianina jest najponętniejsze — zakończył prowadząc ją do Maguy. — Musi więc pani obiecać dużo prochu i kołder. Jednakże taki człowiek jak on najbardziej ceni alkohol. Dobrze też pani zrobi dodając od siebie jakiś dar, z tym wdziękiem, o który pani tak łatwo. Proszę pamiętać, że od pani przytomności umysłu i pomysłowości zależy, być może, wasze życie.

— I pańskie, Heywardzie!

— Moje się nie liczy. Należy do króla i może je zabrać każdy wróg, dość na to silny. Nie mam ojca, który by na mnie czekał, i tylko paru przyjaciół opłakiwałoby mój los, który kusiłem z młodzieńczą, nienasyconą żądzą wyróżnienia się. Ale tss!

Zbliżamy się do Indianina. Magua, oto pani, z którą chciałeś mówić.

Indianin wolno podniósł się i z minutę stał w milczeniu bez ruchu. Potem gestem rozkazał Heywardowi odejść i powiedział zimno:

— Kiedy Huron rozmawia z kobietą, jego plemię zamyka uszy.

A gdy Duncan ciągle zwlekał, jakby nie chciał usłuchać, Kora powiedziała ze spokojnym uśmiechem:

— Słyszy pan, Heywardzie, przez samą delikatność powinien pan odejść. Niech pan pójdzie do Alicji i pocieszy ją nowymi nadziejami.

Poczekała, aż Heyward odszedł, po czym zwróciła się do Maguy z kobiecą godnością w ruchach i głosie:

— Co Przebiegły Lis chce powiedzieć córce pułkownika Munro?

— Posłuchaj — odparł ”Indianin, stanowczym ruchem kładąc dłoń na ramieniu Kory, jakby w ten sposób chciał przykuć jej uwagę. Ale ona niemniej stanowczo, choć spokojnie wyswobodziła ramię spod jego ręki. — Magua urodził się jako wódz i wojownik wśród czerwonoskórych Huronów znad jeziora. Widział, jak słońce dwudziestu wiosen roztopiło śniegi dwudziestu zim, zanim po raz pierwszy ujrzał bladą twarz… i Magua był szczęśliwy! Potem jego kanadyjscy ojcowie przyszli do puszczy i nauczyli go pić ognistą wodę, i wtedy stał się łotrem. Huroni odpędzili go od grobów jego ojców, jakby był tropionym bawołem. Uciekł więc brzegiem jezior i poszedł do rzeki, która z nich wypływała, aż pod „miasto armat”. Tam polował i łowił ryby, dopóki ludzie znów nie wygnali go i nie popędzili przez lasy wprost w ręce wrogów. Wódz, urodzony Hurom, został w końcu wojownikiem u Mohawków!

— Już coś o tym słyszałam — powiedziała Kora, gdy zauważyła, że Magua umilkł, by stłumić gniew, który poczynał nim targać na wspomnienie rzekomych krzywd.

— Czyż była to wina Przebiegłego Lisa, że nie miał głowy twardej jak skała? Kto dał mu wodę ognistą? Kto uczynił go łotrem? Zrobiły to blade twarze, ludzie twego koloru skóry.

— I ja mam odpowiadać za to, że są bezmyślni, pozbawieni sumienia ludzie, których barwa twarzy podobna jest do mojej? — spokojnie zapytała Kora wzburzonego Indianina.

— Nie. Magua jest mężczyzną, a nie głupcem. Tacy jak pani nigdy nie otworzą ust, by łyknąć z palącego strumienia. Wielki Duch obdarzył panią mądrością!

— Cóż więc mogłabym poradzić na twą niedolę? Nie chcę tego nazwać błędami.

— Posłuchaj — powtórzył Indianin, znów przybierając postawę pełną powagi. — Kiedy angielscy i francuscy ojcowie Indian wykopali topór wojenny, Przebiegły Lis stanął w szeregach Mohawków i walczył przeciw własnemu plemieniu. Blade twarze wypędziły czerwono skorych z ich terenów łowieckich i teraz biały dowodzi Indianami. Stary wódz nad Horicanem, pani ojciec, był naszym wielkim wodzem. Mówił Mohawkom: „Zróbcie to, zróbcie tamto", i słuchali go. Ustanowił prawo, że jeżeli któryś z Indian łyknie ognistej wody i przyjdzie do płóciennych wigwamów jego wojowników, będzie ukarany. Magua jak głupiec nie usłuchał i palący płyn przywiódł go do chaty Munro. Cóż uczynił siwowłosy? Niech powie jego córka.

— Nie zapomniał swego słowa: wymierzył sprawiedliwość karząc winnego — śmiało odparła Kora.

— Sprawiedliwość! — powtórzył Indianin rzucając spod oka okrutne spojrzenie na nieulękłą dziewczynę. — Czy to nazywasz sprawiedliwością, gdy najprzód wyrządza się zło, a potem za to się karze? Magua stracił głowę: ognista woda mówiła za niego i za niego działała! Ale Munro w to nie wierzył. Wodza Huronów przywiązano do pala i wobec wszystkich bladolicych wojowników zbito jak psa.

Kora milczała nie wiedząc, w jaki zrozumiały dla Indianina sposób uzasadnić tę nieroztropną surowość swego ojca.

— Patrz — ciągnął Magua i jednym szarpnięciem zdarł lekki perkal, który ledwie osłaniał pokrytą wojennym malowidłem pierś — oto blizny od noży i kul. Wojownik może się nimi szczycić przed swoim plemieniem, ale siwowłosy pozostawił znaki na plecach wodza Huronów, które ten musi ukrywać, jak baba, pod barwnym płótnem białych.

— Myślałam — podjęła Kora — że indiański wojownik jest wytrzymały, że jego dusza nie czuje i nie zna bólu zadanego ciału.

— Kiedy Chippewaowie przywiązali Maguę do pala i zadali mu tę ranę — odparł Indianin kładąc palec, na głębokiej bliźnie

— Huron śmiał się im w oczy, mówiąc: „To baby biją tak słabo!” Duszą był wówczas w obłokach! Alę kiedy czuł uderzenia zadawane na rozkaz Munro, dusza jego leżała pod brzozowymi' rózgami. Dusza Hurona nigdy nie jest pijana: nie daruje krzywdy i o niej pamięta!

— Ale może da się ją ułagodzić. Jeżeli mój ojciec wyrządził Przebiegłemu Lisowi taką krzywdę, niech Przebiegły Lis pokaże, że Indianin umie przebaczać, i niech odda mu jego córki. Major Heyward powiedział już…

Magua potrząsnął głową, nie pozwalając na powtórzenie obietnic, którymi głęboko gardził.

— Więc co chcesz? — zapytała Kora po chwili przykrego milczenia, nabierając pewności, że łatwowierny i szlachetny Duncan dał się zwieść chytremu Indianinowi.

— Huron oddaje dobro za dobro, zło za zło!

— A więc Przebiegły Lis za krzywdę, jaką mu wyrządził pułkownik Munro, zemści się na jego bezbronnych córkach. Czy nie byłoby bardziej po męsku stanąć z nim do walki oko w oko?

— Broń bladych twarzy jest długa, a ich noże ostre — odrzekł dziki śmiejąc się złośliwie. — Czemu Przebiegły Lis miałby iść pod muszkiety wojowników Munro, kiedy trzyma w swych dłoniach jego duszę?

— Powiedz, czego chcesz, Magua — rzekła Kora usiłując zachować spokój. — Czy chcesz uprowadzić nas w lasy, czy też rozmyślasz nad czymś gorszym? Czy nie ma żadnej nagrody, żadnego sposobu, by naprawić wyrządzoną ci krzywdę i zmiękczyć twe serce? Uwolnij przynajmniej moją słabą siostrę i zemścij się na mnie. Za jej wolność zdobędziesz bogactwo, a chęć zemsty zaspokoisz tylko jedną ofiarą. Strata obu córek może wpędzić starca do grobu i co na tym zyskasz?

— Posłuchaj — powtórzył Indianin. — Jasne Oczy będą mogły odejść do jeziora Horican i opowiedzieć staremu wodzowi o wszystkim tylko wtedy, gdy Czarnowłosa przysięgnie na Wielkiego Ducha jej ojców, że dotrzyma swego przyrzeczenia.

— Co miałabym” przyrzec? — zapytała Kora wciąż jeszcze panując nad dzikim swą spokojną postawą, pełną kobiecej

godności.

— Kiedy Magua opuścił swe plemię, jego kobietę oddano innemu wodzowi. Dziś Magua jest przyjacielem Huronów i chce wrócić do grobów swego plemienia nad brzegami wielkiego jeziora. Niech córka angielskiego wodza pójdzie za nim i na zawsze zamieszka w jego wigwamie..

Mimo oburzenia i głębokiego wstrętu, jaki wywołała ta propozycja, Kora zdołała zapanować nad sobą i odpowiedziała tym samym pewnym tonem:

— Jakiej przyjemności dozna Magua dzieląc swą chatę z kobietą, której nie kocha? Z kimś innego koloru skóry i innej narodowości? Lepiej niech Magua weźmie złoto od pułkownika Munro i darami zjedna sobie serce hurońskiej dziewczyny.

Indianin milczał dość długo, ale nie odrywał dzikiego i pałającego wzroku od oblicza Kory. Dziewczyna wstydliwie spuściła oczy. Po raz pierwszy w życiu spotkała się ze spojrzeniem, jakiego nie mogłaby znieść żadna uczciwa kobieta. I gdy czekała bojąc się w duchu, że może usłyszeć jeszcze bardziej niecną propozycją, Magua odpowiedział z gwałtownym gniewem:

—Kiedy rózgi paliły plecy Hurona, wiedział, gdzie znaleźć kobietę, która odczuje ten ból. Córka pułkownika Munro będzie nosiła mu wodę, kopała motyką jego ziemię i gotowała mu strawę. Ciało siwowłosego wodza będzie spać pod osłoną armat, ale jego serce znajdzie się pod nożem Przebiegłego Lisa.

— Potwór! Dobrze zasłużyłeś na twoje zdradzieckie nazwisko! — wykrzyknęła Kora, do głębi dotknięta w swej miłości do ojca. — Tylko szatan mógłby obmyślić taką zemstę! Ale przeceniasz swe siły! Przekonasz się, że chociaż masz w ręku serce Munro, drwi sobie ono z twych podłych planów!

Indianin odpowiedział na to śmiałe wyzwanie okrutnym uśmiechem, który potwierdził niezłomność jego postanowienia. Niemym gestem rozkazał Korze odejść, jakby uznał tę rozmowę za ostateczną. Kora, która już żałowała swego wybuchu, musiała usłuchać, Magua bowiem nagle odszedł do swych żarłocznie jedzących towarzyszy. Heyward podbiegł do

wzburzonej dziewczyny i począł wypytywać o wynik rozmowy, której ciekawie przyglądał się z daleka. Kora bojąc się przestraszyć Alicję unikała szczerych odpowiedzi. Ale z wyrazu twarzy i niespokojnego wzroku, jakim bezustannie śledziła każdy ruch Indian, łatwo było odgadnąć prawdę. Na poważne i parę razy powtórzone pytanie Alicji, jaki los ich czeka, odpowiadała tylko niemym spojrzeniem, przyciskała ją do piersi w podnieceniu, którego nie mogła ukryć, i szeptała bez związku, patrząc na grupę Indian.

— Tam, tam, odczytaj nasz los w ich twarzach. Zobaczymy, zobaczymy!

Ten ruch i przerywany głos Kory były bardziej wymowne od jakichkolwiek słów. Jej towarzysze szybko zwrócili wzrok tam, gdzie patrzyła z taką uwagą i strachem.

Magna po rozmówię z Korą podszedł do grupy Indian, którzy nasyceni po samo gardło swą odrażającą strawą leżeli wygodnie rozciągnięci, gnuśni jak trawiące zwierzęta. Stanął przed nimi i począł mówić z powagą indiańskiego wodza. Już przy pierwszych jego słowach słuchacze zerwali się i stanęli w postawach pełnych szacunku. Magua mówił w swym ojczystym języku, jeńcy więc — mimo że Huroni kazali im się trzymać w odległości rzutu tomahawkiem — mogli tylko domyślać się sensu jego płomiennej przemowy z pełnych wyrazu gestów, jakimi Indianie zawsze ilustrują swe kwieciste słowa.

Zrazu słowa i gestykulacja Przebiegłego Lisa wydawały się spokojne i rozważne. Kiedy zdołał już dostatecznie rozbudzić uwagę słuchaczy, zaczął im mówić Heyward domyślił się tego z częstego ruchu ręki, którą Magua wskazywał w kierunku wielkich jezior) o kraju ich ojców, i dalekim ich plemieniu ojczystym. Potakiwali mu częstymi i wymownymi okrzykami „hugh!” i spoglądali na siebie, wyrażając w ten sposób pochwałę mówcy. Przebiegły Lis był zbyt zręczny, by z tego nie skorzystać. Mówił teraz o długiej i uciążliwej drodze, jaką przeszli porzuciwszy rozległe tereny łowieckie i miłe sercu osady, by walczyć z wrogami swych kanadyjskich ojców. Wymieniał wojowników, mówił o ich licznych czynach

wojennych i zasługach wobec plemienia, o ich ranach i ilości zdobytych skalpów. Za każdym razem, kiedy mówił o którymś z obecnych (a był dość przebiegły, by nie zapomnieć o żadnym), smagła twarz wymienionego, któremu tak schlebiał, promieniała z zachwytu. Indianin, o którym mówił, skwapliwie przyznawał mu rację gestami uznania i oklaskami. Potem głos Maguy opadł, utracił swą dźwięczność i podniosłą nutę triumfu, z jaką mówca wyliczał czyny i zwycięstwa Indian. Opisywał teraz wodospad Glenn, niedostępne położenie skalnej wysepki, jej pieczary oraz niezliczone wiry i katarakty. Wymienił nazwisko „Długa Strzelba" i poczekał, aż przebrzmi oddane przez lasy echo długich i przeciągłych okrzyków, jakimi słuchacze powitali znienawidzone imię. Wskazał na jeńca, młodego oficera, i opisał śmierć ogólnie lubianego indiańskiego wojownika, zepchniętego przezeń w przepaść. Nie tylko wspomniał o losie Indianina zawieszonego między niebem i ziemią, ale wdrapał się na młode drzewko i odegrał przed towarzyszami całą straszną scenę, przedstawiając grozę położenia, odwagę i śmierć tego wojownika. Wreszcie raz jeszcze szybko wymienił okoliczności towarzyszące śmierci każdego z Indian, przy czym ani razu nie zapomniał napomknąć o odwadze zabitego i jego najbardziej znanych cnotach. Kiedy zaś skończył to sprawozdanie z wypadków, głos jego zmienił się ponownie: stał się żałosny i nawet melodyjny w swych niskich, gardłowych tonach. Teraz mówił o wdowach i dzieciach po zabitych towarzyszach, o ich niedoli i nędzy, o tym, że są daleko od drogich im poległych, i wreszcie o ich nie pomszczonych krzywdach. Potem nagle przeraźliwym głosem zawołał:

— Czy Huroni są psami, żeby to znosić? Kto powie wdowie po Menowgua, że jego skalp dostał się rybom i że Huroni nie pomścili jego śmierci?! Kto z rękami nie splamionymi krwią wroga odważy się spojrzeć w twarz matce Wassawattimiego, tej starej kobiecie o ostrym języku?! Co powiemy starcom, gdy zapytają o skalpy, a my nie będziemy mogli pokazać nawet

jednego włosa z głów bladych twarzy?! Kobiety będą wytykać nas palcami! Plamę na imieniu Huronów trzeba zmyć krwią!

Straszny wybuch wściekłości, jakby w puszczy znalazł się nie mały oddział Indian, lecz całe plemię, zagłuszył słowa Maguy. Jeszcze w czasie jego przemowy jeńcy, których życie zależało od tego, czy Magua osiągnie powodzenie, czy nie, z łatwością mogli wyczytać z twarzy Indian, że zgadzają się z mówcą. Gestami wyrażającymi współczucie i żal odpowiadali Indianie na żałobne i smutne nuty przemowy, na opisy faktów reagowali potakującymi ruchami, przechwałki witali po swojemu, głośnymi wybuchami zachwytu. Kiedy Magua mówił o odwadze, rzucali spojrzenia twarde i nieugięte; kiedy wyliczał doznane krzywdy, oczy słuchaczy płonęły gniewem; gdy wspomniał o szyderstwie kobiet, głowy wojowników pochyliły się ze wstydu, a kiedy powiedział o zemście, potrącił strunę wiecznie żywą w piersi Indianina. Ledwie napomknął, że łatwo mogą się zemścić, dzicy jak jeden mąż zerwali się na równe nogi. Dając upust wściekłości w przeraźliwych okrzykach, ze wzniesionymi tomahawkami i obnażonymi nożami rzucili się na jeńców. Heyward skoczył pomiędzy siostry i najbliższego Indianina, z którym zwarł się w rozpaczliwej walce, i na chwilę go powstrzymał. Ten niespodziewany opór pozwolił Przebiegłemu Lisowi wtrącić się i głośnym krzykiem oraz żywą gestykulacją znów zwrócić na siebie uwagę Indian. Z wielką swadą starał się przekonać towarzyszy, by nie mordowali jeszcze jeńców, lecz by poddali ich torturom. Propozycję Maguy przyjęto hałaśliwymi okrzykami zgody i wprowadzono w czyn z błyskawiczną szybkością.

Dwaj silni wojownicy rzucili się na Heywarda, a trzeci zajął się obezwładnieniem psalmisty, który nie był tak groźny jak jego towarzysz. Jednak obaj biali nie poddali się bez rozpaczliwej, choć zupełnie bezcelowej walki. Nawet Dawid początkowo zdołał powalić na ziemię napastnika, Heywarda zaś udało się obezwładnić dopiero wówczas, gdy po zwycięstwie nad Dawidem wszyscy Indianie rzucili się na niego. Skrępowano go i przywiązano do pnia młodego drzewka, na

którego gałęziach Magua pokazywał, jak zginął jeden z Huronów. Kiedy zaś młody żołnierz odzyskał w pełni przytomność, jasno i z bólem ujrzał, że jednakowy los zgotowano wszystkim jeńcom. Po swej prawej stronie miał Korę, skrępowaną tak jak on, bladą i przerażoną, ale spokojnie patrzącą na każdy ruch Indian. Po jego lewej ręce, przywiązana łykami do pnia sosny, bezsilnie zwisała Alicja, której drżące nogi całkowicie odmówiły posłuszeństwa. Ręce trzymała przed sobą, złożone do modlitwy, ale nie patrzyła w górę, ku niebu, skąd jedynie mógł nadejść ratunek, lecz nieprzytomnym wzrokiem, z wprost dziecięcą bezradnością spoglądała na Duncana. Dawid stawiał opór — niezwykłość tego faktu pozbawiła go teraz mowy i pogrążyła w rozmyślaniach, czy aby postąpił słusznie.

Huroni obmyślili nową zemstę i zajęli się jej wykonaniem z okrutną umiejętnością, nabytą w ciągu wieków praktyki. Część zbierała gałęzie, aby wzniecić ognisko, jeden łupał sosnowy pień na szczapy, by wbijać' w ciała jeńców płonące głownie, inni zaś przygotowywali się do rozerwania Heywarda między dwoma odprężającymi się drzewkami. Przyginali ich wierzchołki zamierzając przywiązać do nich ofiarę za ramiona. Magua, opanowany *żądzą* zemsty, wymyślił coś jeszcze gorszego i zapewniającego straszliwą uciechę.

Kiedy mniej od niego wyrafinowani Indianie na oczach ofiar przygotowywali narzędzia dobrze znanych i pospolitych tortur, podszedł do Kory i z szatańskim uśmiechem na twarzy wyjaśnił, jaka śmierć ją czeka.

— Ha! — dorzucił — co powie córka Munro? Czy nadal sądzi, że jej głowa jest za dobra, by spocząć na poduszce w wigwamie Przebiegłego Lisa? A może woli, by jej głowa stoczyła się z tego wzgórza i stała się zabawką wilków? Pierś córki białego wodza nie może karmić dzieci Hurona, a więc zobaczysz, jak ją oplują Indianie!

— Co ten potwór mówi? — zapytał zdziwiony Heyward.

— Głupstwa! — stanowczo i krótko odparła Kora. — Jest dzikusem, barbarzyńcą, ciemnym dzikusem, i nie wie, co czyni.

W tej ostatniej chwili resztką sił módlmy się, by ubłagać dla niego zmiłowanie i przebaczenia

— Przebaczenie! — powtórzył rozwścieczony Huron, który w gniewie źle zrozumiał Korę. — Pamięć Indianina jest dłuższa od ramienia bladych twarzy, jego litość jest krótsza od ich sprawiedliwości! Powiedz, czy mam odesłać Jasnowłosą do jej ojca i czy pójdziesz za mną do wielkich jezior, by nosić mi wodę i gotować strawę?

Kora ruchem głowy kazała mu odejść, nie ukrywając swego wstrętu.

— Odejdź — powiedziała z uroczystą powagą, która zrobiła wrażenie na Indianinie. — Dodajesz goryczy mym modłom.

Stanąłeś między mną i moim Bogiem!

Chwilowa przewaga Kory szybko minęła i dziki wskazując na Alicję powiedział zjadliwie:

— Spójrz! Dziecię płacze! Jest za młoda, by umrzeć! Odeślij ją do ojca. Niech czesze siwe włosy starego człowieka i utrzymuje jego serce przy życiu.

Kora nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na swą młodszą siostrę, i w jej oczach dostrzegła błagalny błysk, który zdradził gorące pragnienie życia.

— Co on mówi, kochana Koro? — zapytała Alicja drżącym głosem. — Czy nie wspomniał o odesłaniu mnie do ojca?

Przez długą chwilę starsza siostra patrzyła na młodszą, a na jej twarzy widać było walkę dwóch potężnych uczuć. Wreszcie odezwała się i mimo że jej głos utracił swą dawną pełnię i niezachwiany spokój, brzmiała w nim niemal matczyna czułość.

— Alicjo — powiedziała — Huron daruje życie nam obu… nie, coś więcej… nie tylko nam, obiecuje także zwrócić wolność Duncanowi, naszemu drogiemu Duncanowi, i oddać was naszym przyjaciołom… naszemu ojcu… naszemu nieszczęsnemu ojcu, jeżeli ja wbrew mej upartej dumie zgodzę się…

Mówiła zdławionym głosem i złożywszy dłonie patrzyła w górę, jakby w tej śmiertelnej udręce szukała pomocy w

bezgranicznej mądrości Boga.

— Mów dalej — zawołała Alicja — na co masz się zgodzić, najdroższa Koro? Och, gdybym to ja była na twoim miejscu! Uratować ciebie, pocieszyć naszego starego ojca, uzyskać wolność dla Duncana… jakże łatwo byłoby mi umrzeć!

— Umrzeć! — powtórzyła Kora już spokojniej i pewniejszym głosem. — To nie byłoby trudne! Być może, nie czeka mnie nic gorszego. On chce — ciągnęła, a na wspomnienie hańbiącej propozycji Indianina głos jej ścichł — bym poszła za nim w puszczę do osady Huronów i bym tam została, krótko mówiąc jako jego żona! Powiedz, Alicjo, moje ukochane dziecko, najdroższa siostro, co mam zrobić? I ty, majorze, poradź mi. Gzy można okupić życie taką ofiarą? Alicjo, czy chcesz żyć za taką cenę? Duncanie, powiedz, co robić. Musicie sami zadecydować, bo ja należę do was.

— Ja miałbym się zgodzić! — zawołał oburzony i zdumiony młodzieniec. — Koro, Koro, szydzisz z naszego nieszczęścia! Nie wspominaj już o tej strasznej propozycji, sama myśl o niej gorsza jest od śmierci.

— Wiedziałam, że tak powiesz! — zawołała Kora. Zarumieniła się, a jej oczy znów zapłonęły miłością. — A co powie moja Alicja?. Usłucham jej bez słowa.

Oboje, Heyward i Kora, czekali na odpowiedź Alicji z bolesną niepewnością i najgłębszą uwagą. Alicja milczała.

Wydawało się, że po wysłuchaniu propozycji Maguy delikatna i wrażliwa dziewczyna zapadła w głąb własnej istoty. Ramiona jej obwisły, palce rąk poruszały się spazmatycznie, głowa opadła na piersi. Cała postać wisząca u pnia wyglądała jak symbol zranionych uczuć kobiecych. Życie z niej uciekało, lecz zachowała przytomność umysłu. Po chwili głowa Alicji poruszyła się wolno na znak stanowczej odmowy.

— Nie, nie, lepiej umrzyjmy razem, jak żyliśmy!

— A więc umrzyjcie! — krzyknął Magua ujrzawszy tę niespodziewaną stanowczość w kimś, kogo uważał za najsłabszego z jeńców. Zgrzytnął zębami z niepohamowanej wściekłości i z całej siły cisnął tomahawkiem w bezbronną

dziewczyną. Toporek przeleciał tuż przed twarzą Heywarda i przeciąwszy kilka rozwianych loków Alicji zadrgał, wbity głęboko w pień ponad jej głową. Na ten widok szalony gniew ogarnął Duncana. Jednym potężnym wysiłkiem zerwał krępujące go więzy i skoczył na drugiego Indianina, który głośno krzycząc i uważnie celując przygotowywał się do powtórzenia rzutu tomahawkiem. Obaj przeciwnicy zderzyli się, porwali za bary i padli na ziemię. Nagie ciało Indianina wyślizgiwało się Heywardowi z rąk. Wreszcie przeciwnik wymknął mu się z uścisku, klęknął kolanem na jego piersi i przygniótł do ziemi całym swym olbrzymim ciężarem. Duncan zobaczył nóż połyskujący w powietrzu. W tej samej chwili usłyszał nad głową gwizd kuli i niemal jednoczesny huk wystrzału. Poczuł, że ciężar przygniatający jego pierś zelżał, i ujrzał, że okrutna twarz Indianina przybrała nagle wyraz bezdusznej dzikości. Po chwili Huron padł martwy na zwiędłe liście.

# ROZDZIAŁ DWUNASTY

Błazen:
*Już mnie nie ma, sir*
*ale zarusiczko, sir*
*znów będę z wami*

„Wieczór Trzech Króli”

Huroni skamienieli z przerażenia na widok śmierci, która tak nagle ich nawiedziła. Ale gdy zdali sobie sprawę z celności ryzykownego strzału, który nie drasnął przyjaciela, a powalił wroga, krzyknęli jednym głosem: „La Longue Carabine!”, a potem zawyli dziko i żałośnie. Odpowiedział im głośny okrzyk z niewielkiego gąszczu, w którym niebacznie złożyli broń. Z zarośli wypadł Sokole Oko i olbrzymimi susami pobiegł w stronę Indian, wymachując nad głową, jak maczugą, odzyskanym sztucerem, którego w bojowym ferworze nie nabił po pierwszym strzale. Lecz choć biegł szybko i śmiało, wyprzedził go lekki i zwinny młodzieniec, który z niezwykłą odwagą wskoczył w sam środek Huronów. Osłonił sobą Korę wywijając groźnie tomahawkiem i wymachując błyszczącym nożem. Zanim Huroni zdołali zdać sobie sprawę z tych niespodziewanych i śmiałych ruchów, ujrzeli widmo w symbolicznym puklerzu wyobrażającym śmierć, które przemknęło im przed oczami i zatrzymało się w groźnej postawie obok młodzieńca. W miarę błyskawicznego zjawiania się tych wojowniczych intruzów dzicy oprawcy cofali się

wydając częste okrzyki zdziwienia, po których padały dobrze znane i budzące postrach nazwiska: — Rączy Jeleni Wielki Wąż!

Jednakże ostrożny i czujny Magua nie dał się tak łatwo zbić z tropu. Bacznym wzrokiem objął małą polankę i od jednego spojrzenia zrozumiał, że musi dojść do walki wręcz. Potem obnażył długi, groźny nóż i dodając odwagi swym towarzyszom głosem i przykładem, z gromkim, przeciągłym okrzykiem rzucił się na czekającego nań Chingachgooka. To dało sygnał do ogólnej bitwy. Nikt nie miał broni palnej gotowej do strzału, o zwycięstwo musiano więc walczyć oko w oko, na białą broń.

Unkas okrzykiem odpowiedział na okrzyk i skoczywszy ku jednemu z wrogów, mocnym i celnym ciosem tomahawka rozpłatał mu czaszkę aż do mózgu. Heyward wyszarpnął broń Maguy z pnia drzewa i z zapałem rzucił się w wir walki. Obie strony miały teraz po równej ilości ludzi, każdy mógł więc wybrać sobie przeciwnika. Ścierano się i wymieniano ciosy z furią huraganu i szybkością błyskawicy. Sokole Oko doskoczył do drugiego z wrogów na odległość ramienia. Pierwszy cios jego groźnej broni sparaliżował nieumiejętną obronę przeciwnika. Myśliwy potężnym uderzeniem obalił go na ziemię. Heyward zbyt był niecierpliwy, by czekać na walkę wręcz, cisnął więc we wroga tomahawkiem, który przed chwilą pochwycił.. Trafił przeciwnika w czoło i na chwilę zahamował jego impet. Ośmielony tą nieznaczną przewagą, porywczo ruszył naprzód i skoczył na wroga z gołymi rękami. Od razu przekonał się jednak, że postąpił lekkomyślnie, albowiem musiał użyć całej swej zwinności i odwagi, aby się ustrzec przed błyskawicznymi pchnięciami noża. Nie mogąc dłużej bronić się skutecznie przed atakami zwinnego i szybkiego wroga, oplótł go rękami i zdołał wreszcie tym żelaznym chwytem unieruchomić jego ramiona. Wysiłek ten był zbyt wyczerpujący, by mógł trwać długo. Ale w tym krytycznym momencie Heyward usłyszał tuż przy sobie donośny głos:

— Śmierć łajdakom! Nie ma litości dla przeklętych Mingów!

W następnej chwili Sokole Oko kolbą swego sztucera ugodził w głowę Indianina walczącego z majorem. Pod tym ciosem

mięśni Hurona zmiękły, a jego ciało bezwładne i zwiotczałe osunęło się w ramionach Duncana.

Kiedy Unkas zmiażdżył głowę swemu pierwszemu przeciwnikowi, odwrócił się jak zgłodniały lew, poszukując nowej ofiary.

Piąty i jedyny Huron, który nie wmieszał się do pierwszego starcia, czekał chwilę. Gdy zauważył, że wszyscy wkoło niego zmagają się w śmiertelnej walce, postanowił w swej piekielnej mściwości doprowadzić do końca udaremniony przed chwilą okrutny zamiar zemsty. Z okrzykiem triumfu doskoczył do bezbronnej Kory, ale przedtem z całej siły cisnął w nią tomahawkiem. Toporek drasnął ramię dziewczyny, przeciął więzy, którymi była przywiązana do drzewa, przywrócił jej swobodę ruchów i pozwolił uciec. Umknęła więc Indianinowi i nie zważając na grożące jej niebezpieczeństwo przypadła do Alicji. Stanąwszy przy niej, niewprawnymi, drżącymi palcami usiłowała przerwać więzy, które ją krępowały. Tylko potwór pozostałby obojętny na widok tego szlachetnego postępku, wypływającego z najpiękniejszego i najbardziej czystego uczucia. Ale serce Hurona nie znało litości. Pochwycił Korę za bujne sploty włosów, w nieładzie okrywające jej postać, oderwał ją od siostry, do której przylgnęła w nieprzytomnym uścisku, i brutalnie rzucił ją na kolana. Potem okręcił sobie wokół dłoni garść loków, uniósł je w górę na wysokość wyciągniętego ramienia i — śmiejąc się z szyderczym triumfem — zatoczył nożem koło nad kształtną głową swej ofiary. Ale ten moment okrutnego zadowolenia opłacił utratą sprzyjającej okazji. Właśnie w tej chwili Unkas zobaczył, co się dzieje, skoczył naprzód, lotem ptaka przeciął powietrze i całym ciężarem ciała uderzył napastnika w pierś, odrzucając go o kilkanaście jardów od miejsca, gdzie klęczała Kora. Indianin rozciągnął się jak długi, ale i Unkas pod wpływem gwałtownego zderzenia upadł obok niego. Obaj zerwali się jednocześnie, skoczyli do siebie i zaczęli walczyć krwawiąc pod zadawanymi sobie ciosami. Walka ta szybko się skończyła. Tomahawk

Heywarda i sztucer Sokolego Oka opadły na skroń Hurona w tej chwili, kiedy nóż Unkasa przebił mu serce.

Teraz trwał już tylko przeciągający się pojedynek między Przebiegłym Lisem i Wielkim Wężem. Obaj dzicy wojownicy całkowicie dowiedli, że w pełni zasługują na nazwiska nadane im za czyny wojenne. W pierwszych chwilach walki umiejętnie uchylali się przed gwałtownymi i groźnymi ciosami tomahawka. Potem nagle skoczyli do siebie, zwarli się i padli na ziemię, sczepieni razem jak dwa bliźniacze węże, splątane w jeden misterny kłąb. W chwili kiedy Sokole Oko i jego towarzysze odnieśli zwycięstwo nad swoimi przeciwnikami, miejsce, gdzie walczyli ci doświadczeni i zażarci wojownicy, można było poznać tylko po chmurze kurzu i liści, która przesuwała się od środka polany do jej skraju, jakby wzniesiona i gnana huraganem. Pod wpływem różnych uczuć —miłości synowskiej, przyjaźni i wdzięczności — Unkas, Sokole Oko i Heyward zgodnie skoczyli naprzód i otoczyli chmurę kurzu unoszącą się nad walczącymi Indianami. Na próżno jednak krążył Unkas wokół tej chmury, chcąc wbić nóż w serce wroga zmagającego się z jego ojcem; daremnie Sokole Oko wzniósł w górę kolbę swego strasznego sztucera; bezskutecznie próbował Duncan pochwycić Hurona za nogę bezsilnymi po walce rękami. Ruchy pokrytych kurzem i krwią zapaśników były tak szybkie i zwinne, że tworzyli jakby jedno ciało. Smagły Huron oraz podobny do samej śmierci Mohikanin przewijali się tak błyskawicznie i w tak nierównym tempie, że ani syn, ani przyjaciele Chingachgooka nie mogli przyjść mu z pomocą i zadać ciosu przeciwnikowi. Na sekundę i tylko w przelocie dostrzegli poprzez kurzawę płomienne, błyszczące jak legendarne oczy bazyliszka, źrenice Przebiegłego Lisa. Rzucając szybkie i straszne spojrzenie widział, jak musi się skończyć walka, którą toczył w obecności tylu nieprzyjaciół. Ale za każdym razem, nim ręka wroga zdołała opaść na jego skazaną już na śmierć głowę, nagle w tym samym miejscu ukazywało się posępne oblicze Chingachgooka. W ten sposób walka przesuwała się ze środka polanki na jej kraniec. Mohikanin

znalazł wreszcie dogodny moment do pchnięcia nożem. Magua nagle rozluźnił chwyt i opadł na wznak nieruchomy, jakby bez życia. Jego przeciwnik zerwał się z ziemi i wydał okrzyk triumfu, który wstrząsnął stropem puszczy.

— Górą Delawarzy! Mohikanin zwyciężył! — zawołał Sokole Oko wznosząc kolbę swego długiego, śmiercionośnego sztucera. — Ostatnie uderzenie zadane przez czystej krwi białego nie przyniesie hańby naszemu przyjacielowi ani nie pozbawi go prawa do skalpu!

Lecz właśnie kiedy groźna broń miała już opaść, podstępny Huron, zwinnie uniknąwszy ciosu, błyskawicznym ruchem przeturlał się przez skraj urwiska, spadł na równe nogi i jednym susem skoczył w sam środek gęstych i niskich zarośli porastających zbocze. Delawarzy, którzy sądzili, że ich wróg nie żyje, krzyknęli ze zdziwienia i rzucili się za zbiegiem z wrzawą, jak psy, które ujrzały przed sobą jelenia. Ale przenikliwy okrzyk zwiadowcy powstrzymał ich i sprowadził z powrotem na szczyt wzgórza.

— Cóż innego mógłby zrobić! — zawołał ten z krwi i kości mieszkaniec puszczy. Gdy chodziło o Mingów, jego przesądy przytępiały wrodzony mu zmysł sprawiedliwości. — Kłamliwy i podstępny łajdak! Prawy Delawar zwyciężony w uczciwej walce leżałby spokojnie i czekał na śmiertelny cios w głowę. Ale te łotry Makaowie czepiają się życia jak koty. Niech sobie idzie, niech idzie, jest sam, o wiele mil od swych francuskich przyjaciół i nie ma strzelby ani nawet łuku. Jak grzechotnik, który utracił jadowity ząb, nie może już wyrządzić zła, zanim nie zdepcze mokasynami długiej drogi po tym piaszczystym terenie, co zresztą i nas czeka. Spójrz, Unkasie — dorzucił w narzeczu Delawarów — twój ojciec zdziera już skalpy. Warto by obejść pole walki i obejrzeć leżących łajdaków, bo jeszcze któryś gotów pognać przez puszczę, skrzecząc jak sroka trafiona w skrzydło.

To mówiąc prawy, lecz nieubłagany zwiadowca obszedł poległych i wbił każdemu z nich swój długi nóż w martwą pierś, co robił z taką obojętnością, jakby miał do czynienia z trupami

zwierząt. Nie było to jednak potrzebne, bo starszy Mohikanin zdążył już zedrzeć z martwych głów indiańskie trofea.

Jednakże Unkas, wbrew swym zwyczajom i — można by rzec — wbrew dzikiej naturze, z właściwą mu delikatnością pospieszył za Heywardem na pomoc kobietom. Szybko uwolnił z więzów Alicję i zostawił ją w ramionach Kory. Nie będziemy usiłowali opisać wdzięczności obu sióstr dla Wszechmocnego, który tak niespodziewanie zesłał im ratunek i znów je połączył. Modliły się szczerze i cicho. Ofiary ich szlachetnych dusz płonęły najczystszym i najjaśniejszym ogniem na tajemnym ołtarzu serc. Ich ziemskie uczucia, które odżyły na nowo, wyraziły się w długich, gorących i niemych uściskach. Kiedy Alicja zerwała się z kolan, padła w objęcia Kory, obok której klęczała, i łkając głośno, powtarzała imię ich starego ojca, a jej łagodne, gołębie oczy jaśniały nadzieją.

— Uratowane! Uratowane! — szeptała. — Możemy wrócić w objęcia naszego drogiego, kochanego ojca. Jego serce już nie pęknie z żalu. Koro, moja siostro, moja matko, ty również jesteś ocalona. A Duncan — dodała szukając wzrokiem młodzieńca i uśmiechając się z nieopisaną niewinnością — nawet nasz dzielny i szlachetny Duncan wyszedł bez najmniejszej rany.

Słysząc te gorączkowe i nieskładne słowa Kora tylko przycisnęła siostrę do serca i pochyliła się nad nią z tkliwą czułością. Heyward nawet nie czuł wstydu w swym męskim sercu, gdy z oczu popłynęły mu łzy na widok radości i uniesienia sióstr. Unkas stał okryty krwią i rozgrzany walką — niemy i pozornie niewzruszony świadek tej sceny. Jego oczy straciły już zaciekły wyraz i jaśniały szczerym współczuciem, co dowodziło, że wyrósł ponad zwyczaje swego plemienia i wyprzedził je o całe wieki.

Gdy obie siostry i Heyward cieszyli się odzyskaną wolnością, czujny zwiadowca upewnił się, że Huroni naprawdę nie żyją i nic złego nie mogą już zrobić jego przyjaciołom. Tylko trupy Huronów szpeciły piękno opisanej przez nas wzruszającej sceny. Sokole Oko podszedł do Dawida i uwolnił go z więzów, które ten znosił z najbardziej przykładną cierpliwością.

— Oto — zawołał zwiadowca rzucając za siebie ostatni kawałek łyka — jesteś znów panem własnych kończyn! Zdaje mi się jednak, że korzystasz z nich niewiele mądrzej niż wówczas, gdy byłeś niemowlęciem. Jeżeli nie urazi pana rada człowieka, który nie jest starszy, ale większą część swego życia spędził w puszczy i — można powiedzieć jest nad wiek doświadczony, to posłuchaj mnie i sprzedaj tę małą dudkę, sterczącą, z kieszeni twego kaftana, pierwszemu lepszemu cymbałowi i kup sobie jakąś pożyteczną broń, nawet gdyby to miała być lufa kawaleryjskiego pistoletu. Cierpliwością i pracą może do czegoś dojdziesz. Teraz bowiem sam widzisz, że kruk jest lepszym ptakiem od drozda. Pierwszy przynajmniej usuwa padlinę sprzed oczu ludzi, gdy drugi sieje tylko zamieszanie w lesie i zwodzi tych, którzy go słuchają.

— Oręż i surmy bojowe niech służą walce, pieśń dziękczynna — zwycięstwu — odparł Dawid. — Przyjacielu — dodał wyciągając szczupłą, delikatną rękę do Sokolego Oka, a w jego oczach ukazały się łzy. — Dziękuję ci za to, że włosy, które Bóg zasiał na mej głowie, ocalały. Może włosy innych ludzi piękniej błyszczą i ładniej się wiją, jednakże zawsze uważałem, że moje doskonale pasują do mózgu, który osłaniają. W walce nie wziąłem udziału nie z niechęci do niej, lecz dlatego, że krępowały mnie pogańskie wiązy. W tej walce swą odwagą i zręcznością dowiodłeś, że zasługujesz na pochwałę chrześcijanina. Dziękuję ci więc, zanim przystąpię do wypełnienia ważniejszego obowiązku wobec Boga.

— Nie ma o czym mówić. Podobnych scen ujrzysz wiele, jeżeli dłużej pozostaniesz z nami — odparł zwiadowca, znacznie lepiej usposobiony do mistrza śpiewu po tak szczerym podziękowaniu. — Odzyskałem mego starego przyjaciela Postrach Zwierząt — dodał przesuwając ręką po kolbie swego sztucera — a to samo przez się jest już zwycięstwem. Ci Irokezi są chytrzy, ale tym razem sami wystrychnęli się na dudków kładąc strzelby z dala od siebie i gdyby Unkas i jego ojciec okazali tyle cierpliwości, ile jej zwykle mają Indianie, poczęstowalibyśmy tych łotrów trzema kulami. Wówczas

skończylibyśmy z całą sforą, zarówno z tym skaczącym łajdakiem, jak i jego towarzyszami. Ale widocznie musiało się stać inaczej.

— Słusznie mówisz — odrzekł Dawid — i utrafiłeś w prawdziwy sens chrześcijaństwa. Ten, kto ma być zbawiony, będzie zbawiony, a ten, kto ma być potępiony, będzie potępiony. Oto zasada naszej wiary. Krzepi ona i niezwykle podnosi na duchu wszystkich wierzących.

Zwiadowca, który tymczasem usiadł i z iście ojcowską troskliwością badał stan swego sztucera, spojrzał w górę na mówiącego niechętnym wzrokiem i przerwał mu ostro.

— Zasada czy nie zasada — powiedział — a według mnie wiara nicponiów i przekleństwo uczciwego człowieka. Mogę uwierzyć, że ów Huron, z którym walczyłem, miał zginąć z mojej ręki, bo się o tym przekonałem na własne oczy. Ale nie dam sobie wmówić, że poszedł do nieba ani że Chingachgook zostanie potępiony na Sądzie Ostatecznym.

— Nie ma pan żadnych podstaw do tak śmiałego twierdzenia ani też dostatecznego dowodu na jego poparcie! — zawołał Dawid, który uległ wpływowi subtelnych rozważań, jakie w owych czasach, zwłaszcza w jego rodzinnym stanie, snuto wokół pięknych i pełnych prostoty słów objawienia. W tych rozumowaniach usiłowano przeniknąć groźną tajemnicę natury boskiej i zastąpić wiarę samowystarczalnością, co w rezultacie doprowadzało tych, którzy opierali się na wyrozumowanych ludzkich dogmatach, do absurdu i zwątpienia. — Wzniósł pan swój gmach wiary na piaskach i pierwsza burza go zmiecie. Wymień mi pan autorytety, które by popierały tak niemiłosierne twierdzenie (jak i inni obrońcy różnych doktryn Dawid nie zawsze starannie dobierał słów). Niech mi pan wymieni rozdział i werset świętej księgi, na której się pan opiera!

— Księgi! — powtórzył Sokole Oko ze szczególną i nie ukrywaną pogardą. — Bierzesz mnie pan za beksę czepiającą się babcinego fartuszka, a tę celną strzelbę na moich kolanach — za gęsie pióro, mój róg bawoli za kałamarz, skórzaną sakwę

za węzełek ze śniadaniem. Książka! Cóż takiemu człowiekowi jak ja — wojownikowi puszczy, choć czystej krwi białemu — po książkach? Czytałem zawsze tylko jedną —słowa jej są zbyt jasne i proste, by wymagały większej nauki — choć mogę się pochwalić czterdziestoma długimi i ciężko przepracowanymi latami życia.

— Jakże nazywa się ta księga? — zapytał Dawid, błędnie pojmując znaczenie słów zwiadowcy.

— Stoi otworem przed twoimi oczami — odparł Sokole Oko — a Ten, którego jest własnością, szczodrze pozwala z niej korzystać. Słyszałem, że są tacy, którzy zgłębiają księgi po to, by się przekonać, że Bóg istnieje. Nie wiem, możliwe, iż ludzie w osiedlach potrafią tak skazić Jego dzieło, że to, co w puszczy jest jasne, w siedlisku kupców i księży staje się sporne. Lecz gdyby jeden z takich niedowiarków znalazł się tu i chodził ze mną krętymi ścieżynkami puszczy od rana do wieczora; przekonałby się z tego, co by zobaczył, że jest głupcem i że w swej bezdennej głupocie stara się dorównać Temu, któremu nigdy nie dorówna ani w dobroci, ani w potędze.

Gdy Dawid zrozumiał, że sprzecza się z człowiekiem, który czerpie wiarę ze znicza natury i unika kazuistyki, chętnie wyrzekł się dalszej dysputy nie obiecując sobie po niej ani korzyści, ani sławy. Słuchając zwiadowcy usiadł, wyjął z kieszeni małą książeczkę oraz okulary, w drucianej oprawie i począł się przygotowywać do modlitwy," którą opóźnił niespodziewany atak na źródło jego wiary. Prawdę powiedziawszy Dawid był piewcą w stylu zachodniego kontynentu (oczywiście z późniejszej epoki niż owi utalentowani bardowie, którzy niegdyś opiewali świecką sławę baronów i książąt), był bowiem bardem na modłę swych czasów i swego kraju. Teraz czynił przygotowania, by się popisać swą sztuką i uczcić Boga, a raczej podziękować mu za zwycięstwo. Czekał cierpliwie, aż Sokole Oko skończy, a potem powiedział głośno, wznosząc w górę oczy:

— Przyjaciele, proponuję wam, abyście wraz ze mną podziękowali Bogu za to cudowne ocalenie z rąk barbarzyńców

i niewiernych, w uroczystym i niosącym pociechę hymnie pod nazwą „Northampton”, po czym wymienił stronę i miejsce, gdzie można było znaleźć ten hymn, i przyłożył fujarkę do ust z uroczystą powagą, do której przywykł w kościele. Jednakże tym razem nikt mu nie towarzyszył, bo obie siostry były właśnie pochłonięte sobą. Bynajmniej nie odstraszony skąpym audytorium, które składało się tylko z osoby markotnego zwiadowcy, Dawid podniósł głos i odśpiewał od początku do końca świętobliwy hymn bez żadnych przeszkód.

Sokole Oko, słuchając psalmu, spokojnie doprowadził do porządku krzemień u swej strzelby i naładował ją na nowo. Tym razem śpiew, któremu nie sprzyjały warunki i brakło sympatii słuchaczy, nie zdołał obudzić jego uczuć. Nigdy jeszcze żaden minstrel, czy jakbyśmy nazwali Dawida, nie popisywał się swą sztuką wobec tak nieczułego audytorium. A jednak być może szczerość pobudek i osamotnienie Dawida sprawiły, że jego modły bliżej niż śpiew któregoś z bardów dotarły do Tego, któremu należy się hołd i wszystka chwała. Zwiadowca potrząsnął głową i mruknąwszy parę niezrozumiałych słów, z których jedynie „gardło” i „Irokezi” dały się odróżnić, odszedł, by zebrać broń zdobytą na Huronach i zbadać jej stan. Chingachgook dopomógł mu i znalazł wśród porzuconego oręża broń swoją i syna. Heyward i Dawid również uzbroili się w strzelby, a kuł i prochu było pod dostatkiem.

Kiedy wybrano już i podzielono zdobycz, zwiadowca oznajmił, że czas w drogę. Dawid właśnie skończył śpiewać, a siostry odzyskały już równowagę ducha. Przy pomocy Duncana i Unkasa zeszły ze stromego wzgórza, na które tak niedawno wchodziły w zgoła innych warunkach, a którego szczyt omal nie stał się ich grobem. U stóp wzgórza natknęli się na narragansetty, spokojnie skubiące liście krzaków. Dosiedli koni i ruszyli za przewodnikiem, który już tyle razy w śmiertelnym niebezpieczeństwie dał im dowody swej przyjaźni. Ale podróż trwała krótko. Sokole Oko opuścił dróżkę, którą szli Huroni, ostro skręcił w prawo, zagłębił się w puszczę, przebrnął szemrzący strumień i zatrzymał się w wąskiej, zacisznej

dolince, w cieniu paru wiązów. Podróżni oddalili się zaledwie kilkaset stóp od fatalnego wzgórza, wierzchowce zaś przydały im się tylko na to, by panie suchą nogą przebyły płytki strumień.

Zwiadowca i Indianie najwidoczniej dobrze znali ten zakątek. Oparli bowiem strzelby o pnie drzew i zaczęli odgarniać zwiędłe liście, odsłaniając wgłębienie w niebieskawej glinie, z którego pieniąc się tryskało kryształowo czyste, skrzące się w słońcu źródełko. Zwiadowca rozejrzał się wkoło, jakby czegoś szukał i nie mógł znaleźć.

— Te niechlujne leśne karły, Mohawkowie, już tu byli i wraz ze swymi bratnimi plemionami, Tuskarorami i Onondagami, gasili pragnienie — mruknął. Włóczykije, gdzieś zapodzieli tykwę. Oto skutki dobrodziejstw okazywanych tym niewdzięcznym psom! Tu, dla ich dobra, w samym środku nieprzebytej puszczy Bóg położył swą dłoń i kazał trysnąć źródłu takiej ożywczej wody, która zawstydzi najwspanialsze driakwie najlepszej apteki w koloniach. Spójrzcie! Nicponie deptali po glinie i zbrudzili całe miejsce tak, jakby byli bydłem, a nie ludźmi.

Unkas w milczeniu podał zwiadowcy tykwę, której ten w przystępie rozdrażnienia nie dostrzegł, a która wisiała na gałęzi wiązu. Wypełniwszy naczynie wodą Sokole Oko cofnął się nieco na miejsce twardsze i suchsze. Tu usiadł spokojnie, pociągnął potężny, ożywczy łyk wody i zabrał się do drobiazgowego badania przewieszonej przez ramię sakwy z resztkami jedzenia pozostawionymi przez Huronów.

—Dziękuję ci, chłopcze! — powiedział przy tym, zwracając pustą tykwę Unkasowi — teraz zobaczymy, co jedzą ci rabusie, Huroni, kiedy siedzą w zasadzce. Spójrzcie! Łajdaki znają się na najlepszych kawałkach zwierzyny. Można by pomyśleć, że potrafią przyrządzić polędwicę nie gorzej od najlepszego kucharza w całym kraju! Ale mięso jest surowe. Ci Irokezi to zupełne dzikusy. Unkas! Weź moje krzesiwo i rozpal ogień. Porządny kęs kruchej pieczeni dobrze nam zrobi po tak długiej drodze.

Heyward, który zobaczył, że ich przewodnicy z całą powagą zabrali się do przygotowania posiłku, dopomógł paniom zejść z koni, a potem usiadł obok sióstr, woale rad z kilku chwil miłego odpoczynku po niedawnych krwawych przejściach.

W czasie gotowania jedzenia wiedziony ciekawością zapytał zwiadowcę, w jaki sposób zdołał wraz z towarzyszami tak niespodziewanie przybyć W ostatniej Chwili na ratunek.

— Jakim cudem, mój szlachetny przyjacielu, ujrzeliśmy was tak szybko? — zapytał. — I to bez żadnej pomocy garnizonu z fortu Edwarda.

— Gdybyśmy poszli do zakrętu rzeki, przyszlibyśmy na czas, by okryć liśćmi wasze ciała, ale za późno, by uratować wasze skalpy — obojętnym tonem odparł zwiadowca. — Nie, nie, zamiast tracić czas i siły na drogę do fortu, zaczailiśmy się nad brzegiem w pobliżu Hudsonu i czekaliśmy, co zrobią Huroni.

— A zatem widzieliście wszystko, co zaszło?

— Nie wszystko. Indianie mają za dobry wzrok, by można było do nich blisko podejść, a w dodatku siedzieliśmy ukryci. Ciężko nam było skłonić młodego Mohikanina, by nie wysuwał nosa z kryjówki. Ach, Unkasie, Unkasie, zachowałeś się jak ciekawa kumoszka, a nie jak wojownik zaczajony na tropie.

Unkas pozwolił sobie badawczo spojrzeć na mężną twarz mówiącego, ale nie powiedział ani słowa i nie okazał najmniejszej skruchy. Przeciwnie, Heywardowi wydało się, że w zachowaniu młodego Mohikanina dostrzegł coś lekceważącego, a może nawet odrobinę gniewu. Spostrzegł też, że Unkas tylko przez wzgląd na słuchaczy i wielki szacunek dla białego sprzymierzeńca hamował gniew, który w nim wzbierał.

— Widzieliście, jak nas ujęto? — pytał dalej Heyward.

— Słyszeliśmy — padła wymowna odpowiedź. — Ludzie, którzy spędzili życie w puszczy, dobrze rozumieją wrzask Indian. Lecz kiedy wysiedliście na brzeg, musieliśmy się czołgać pod liśćmi jak węże i wkrótce całkowicie straciliśmy was z oczu. Wreszcie znów ujrzeliśmy was, ale już spętanych i przywiązanych do drzew — czekających na śmierć.

— Nasze ocalenie było więc dziełem Opatrzności. Graniczy to z cudem, że nie zmyliliście śladu, bo Huroni rozdzielili się, a obie partie miały konie.

— Tak, przez to właśnie zgubiliśmy ślad i nie odnaleźlibyśmy go na pewno, gdyby nie Unkas. Poszliśmy tropem wiodącym w głąb puszczy, bo słusznie sądziliśmy, że dzicy tam właśnie pójdą ze swymi jeńcami. Gdyśmy jednak przeszli śladem wiele mil i nie znaleźli najmniejszego znaku, najmniejszej złamanej gałązki — przecież doradzałem wam je łamać — nie wiedziałem, co myśleć, tym bardziej że wszystkie ślady pochodziły od mokasynów.

— Zwycięzcy byli dość przewidujący: kazali nam obuć się w ten sam sposób jak oni — powiedział Duncan i uniósł nogę pokazując skórzane mokasyny.

— Tak, to było rozsądne i do nich podobne. Ale jesteśmy zbyt doświadczeni, by tak zwykły podstęp zbił nas z tropu.

— Czemu więc zawdzięczamy ocalenie?

— Temu, do czego ja, czystej krwi biały, przyznaję się ze wstydem: przenikliwości młodego Mohikanina w rzeczach, w których powinienem orientować się lepiej od niego i w które wciąż trudno mi uwierzyć, choć je widzę.

— Zadziwiające! Czy powie nam pan, o co chodzi?

— Unkas twierdził, że zwierzęta, na których jadą panie — ciągnął zwiadowca spoglądając ciekawym okiem na klacze młodych kobiet — stawiają jednocześnie obie lewe lub prawe nogi, co jak wiemy, sprzeczne jest ze zwyczajami czworonogów z wyjątkiem niedźwiedzi. Ale oto mamy przed sobą konie, które zawsze chodzą w ten sposób, co widziałem na własne oczy i na co wskazuje ich ślad na przestrzeni z górą dwudziestu mil.

— To ich główna zaleta! Pochodzą z wybrzeża zatoki Narragansett w małej prowincji Providence i słyną ze swej wytrzymałości i miękkiego, płynnego chodu. Można też inne rasy koni tak wyćwiczyć.

— Być może, być może — powiedział Sokole Oko, który z wielką uwagą przysłuchiwał się temu wyjaśnieniu. — Choć jestem pełnej krwi białym, lepiej znam się na płowym zwierzu i

na bobrach niż na jucznych stworzeniach. Major Effingham posiada wiele rasowych koni, lecz nigdy nie widziałem między nimi konia o takim chodzie.

— Racja, bo on szacuje konie według innych zalet. Jednakże ta rasa jest wysoko ceniona i jak pan widzi, często dźwiga cenne brzemię.

Mohikanie, którzy krzątali się przy ognisku, przerwali swe zajęcie, by posłuchać rozmowy, a kiedy Duncan skończył, wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Chingachgook wydał przy tym swój zwykły okrzyk zdziwienia. Zwiadowca zamyślił się jak człowiek smakujący świeżo zdobytą wiedzę j i raz jeszcze obrzucił konie ciekawym spojrzeniem.

— Pozwolę sobie zauważyć, że w ludzkich osadach można zobaczyć ciekawe *rzeczy* — powiedział wreszcie.

— Człowiek, gdy opanuje przyrodę, okropnie ją gwałci. Ale czy chód był jednostronny, czy normalny, Unkas zauważył, jaki jest, i ślad koni doprowadził nas do połamanego krzaka. Zewnętrzna gałąź w pobliżu śladu końskiego kopyta była odgięta w górę, jak to zwykły czynić kobiety przy zrywaniu kwiatów, a pozostałe były poszarpane i połamane silną, męską ręką. Wywnioskowałem z tego, że przebiegły łotr ujrzał zagiętą gałązkę i połamał resztę, by naprowadzić nas na myśl, że to kozioł czochrał się rogami o sęczki.

— Pańska przenikliwość nie zawiodła, tak było istotnie!

— Bez trudu to zgadłem — dodał zwiadowca, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że dał dowód niezwykłej przenikliwości. — Było to też zjawisko całkiem inne od konia stąpającego jednostronnie. Następnie wpadłem na myśl, że Mingowie na pewno skierują się do tego źródełka, bo łotry dobrze znają wartość jego wody.

— Czy jest aż tak sławne? — zapytał Heyward, badawczo przyglądając się cichej dolince i jej szemrzącemu źródełku, które biło z ziemi zabarwionej na ciemnoniebieski kolor.

— Znajdzie pan niewielu czerwonoskórych wędrujących na południe i wschód od wielkich jezior, którzy by nie słyszeli o jego właściwościach. Czy chce pan spróbować tej wody?

Heyward wziął tykwę i przełknąwszy nieco wody odstawił naczynie z grymasem niesmaku. Zwiadowca roześmiał się, jak zwykle cicho i szczerze, i potrząsnął głową z wielkim zadowoleniem.

— Razi pana jej niezwykły smak? Był czas, kiedy ta woda smakowała mi tak samo jak panu, ale nabrałem gustu i teraz łaknę jej jak jeleń soli. Pańskie najbardziej wystawne wina nie cieszą się większym wzięciem wśród białych niż ta woda u Indian, zwłaszcza gdy coś im dolega. Ale Unkas rozniecił już ogień i czas pomyśleć o posiłku, bo czeka nas jeszcze długa droga.

Po tej nagłej zmianie tematu zwiadowca przerwał rozmowę i z całą uwagą zajął się przyrządzaniem resztek mięsa, które ocalało przed żarłocznością Huronów. Jedzenie podano tak samo prosto, jak je upieczono. Sokole Oko i Mohikanie jedli w zupełnej ciszy i skupieniu jak ludzie, którzy chcą nabrać sił przed czekającymi ich trudami.

Kiedy ten konieczny, ale i przyjemny obowiązek dobiegł końca, każdy z mieszkańców puszczy przyklęknął i pociągnął na pożegnanie łyk z samotnego i cichego źródła, do którego — podobnie jak do jego siostrzanych zdrojów — za pięćdziesiąt lat mieli tłumnie zjeżdżać w poszukiwaniu zdrowia i rozrywki bogacze, piękne kobiety i artyści z całej półkuli. Potem Sokole Oko kazał ruszyć w drogą. Siostry dosiadły koni, Duncan i Dawid pochwycili strzelby i ruszyli za kobietami. Zwiadowca otwierał pochód, a Mohikanie szli w straży tylnej. Cały orszak posuwał się szybko wąską ścieżyną ku północy, pozostawiając za sobą źródełko, które beztrosko mieszało swe lecznicze wody z wodami przyległych strumieni, i nie pogrzebane ciała Huronów, rozkładające się na pobliskim wzgórzu. Był to aż nazbyt częsty los wojowników puszczy, by' mógł budzić współczucie czy komentarze.

# ROZDZIAŁ TRZYNASTY

*Poszukam tedy dogodniejszej drogi.*

Parnell

Droga obrana przez Sokole Oko przecinała tę samą piaszczystą równinę, urozmaiconą tu i tam jarami i wzgórzami, którą podróżni przebywali rankiem tego samego dnia, kiedy prowadził ich zawiedziony w swych planach Magua. Słońce zniżyło się znacznie ku odległym górom, a że droga wiodła przeważnie przez puszczę, upał nie bardzo dawał się we znaki. Podróżni więc posuwali się raźno i na długo przed zapadnięciem zmroku przebyli większą część uciążliwej drogi.

Zwiadowca podobnie jak dziki Huron, którego miejsce teraz zajął, kierował się swoistym instynktem i potrafił w tej dziewiczej puszczy, po sobie tylko wiadomych znakach, odnajdywać właściwą drogę. Rzadko zwalniał i nigdy nie przystawał, aby się namyślić. Szybki rzut oka na mech porastający drzewa, jedno zerknięcie na zachodzące słońce lub też przelotne, ale bystre spojrzenie na kierunek licznych rzeczułek, które przebywał w bród, wystarczały mu do określenia drogi i ominięcia największych przeszkód. Tymczasem kolor puszczy począł się zmieniać: tracił żywy odcień zieleni, który upiększał łuki leśnego sklepienia, i przechodził w ciemniejsze tony, co zapowiadało nadejście nocy.

Gdy obie siostry przez gęste korony drzew patrzyły na złociste światło wieczornej zorzy, która tworzyła wokół słońca promienną aureolą, przetykaną tu i tam rubinową, smugą, a pod skupiskiem chmur nawisłych nad górami na zachodzie

przeciągnęła wąską, jasnożółtą wstęgę, Sokole Oko odwrócił się i wskazując na niebo tonące w jaskrawych blaskach powiedział:

— Oto znak dany ludziom, że już czas pomyśleć o posiłku i wytchnieniu zgodnie z prawami natury. Człowiek postąpiłby lepiej i rozumniej, gdyby pojął te znaki przyrody i naśladował ptaki na niebie i zwierzęta na ziemi. Nasza noc będzie krótka. Musimy wstać wraz z księżycem i ruszyć w drogę. Pamiętam, że tu biłem się z Makaami w pierwszej wojnie, w której przelałem ludzką krew. Tutaj właśnie zbudowaliśmy z bali coś *w* rodzaju warowni, by ochronić nasze skalpy przed drapieżnymi zbójami. Jeżeli nie mylą mnie znaki, znajdziemy to miejsce o kilkaset stóp dalej na lewo.

I nie czekając ani na zgodę, ani na odpowiedź śmiały zwiadowca bez wahania ruszył w najgłębszą gęstwiną młodych kasztanów. Pewnymi ruchami rozsuwał na boki wybujałe gałęzie krzewów tworzących niemal zwartą ścianę, jak człowiek, który na każdym kroku Widzi to, co zna od dawna. Pamięć go nie zawiodła. Gdy przedostał się przez kasztany, splątane z krzakami cierni, i przeszedł jeszcze paręset stóp, znalazł się na otwartej polanie. Na jej środku wznosił się zielony pagórek, ukoronowany chylącą się ku upadkowi drewnianą warownią. Ten prymitywny i zaniedbany budynek był jedną z opuszczonych warowni, które wzniesiono z konieczności i pozostawiono własnemu losowi, gdy minęło niebezpieczeństwo. Teraz te budynki spokojnie butwiały w leśnej głuszy, porzucone i niemal całkowicie zapomniane, tak jak okoliczności, w jakich powstały. Podobne pamiątki przejścia człowieka przez puszczę i toczonych przez niego walk często jeszcze spotyka się w całym szerokim przygranicznym pasie między dwiema ongiś wrogimi sobie prowincjami. Tworzą one ruiny, które ściśle łączą się z historią kolonii i które doskonale harmonizują z mrocznym otoczeniem*. Dach pokryty korą dawno już się zawalił i rozsypał w proch, ale ściany z olbrzymich sosnowych bali, naprędce ułożonych jeden na drugim, wciąż jeszcze stały na miejscu, choć jeden z węgłów osunął się pod olbrzymim ciężarem, co świadczyło, że dni całej

tej prymitywnej budowli są już policzone. Heyward, Dawid i ich towarzyszki bali się zbliżyć do walącego się budynku., ale Sokole Oko i Indianie weszli do środka bez wahania i z widocznym zaciekawieniem. Zwiadowca przyglądał się ruinom od wewnątrz i z zewnątrz z ciekawością człowieka, który co krok odnajduje dawne wspomnienia, Chingachgook zaś w języku Delawarów i z dumą zwycięzcy opowiedział synowi krótką historię potyczki, jaką w młodości stoczył w tym zakątku puszczy. Głos jego wyrażał jednak obok dumy również uczucie smutku, dzięki czemu brzmiał jak zwykle łagodnie i melodyjnie.

Tymczasem siostry z radością zsiadły z koni i przygotowywały się do przyjemnego odpoczynku w wieczornym chłodzie, przekonane, że tylko leśny zwierz mógłby tutaj zagrozić ich bezpieczeństwu.

— Czy nie byłoby lepiej wybrać na nocleg miejsce jeszcze bardziej odludne, mój drogi przyjacielu? — zapytał przezornie Duncan, gdy zauważył, że zwiadowca zakończył już swe krótkie oględziny. — Może poszukamy jakiegoś kącika mniej znanego i rzadziej odwiedzanego?

— Niewielu z tych, którzy wiedzieli o tej warowni, jeszcze żyje — spokojnie i wolno odpowiedział zwiadowca. — Rzadko pisuje się książki lub opowieści o potyczkach podobnych do tej, jaka się tu rozegrała w czasie wojny między Mohikanami i Mohawkami. Byłem wówczas młodzikiem i wyruszyłem wraz z Delawarami, bo wiedziałem, że ich oszkalowano i skrzywdzono. Czterdzieści dni i czterdzieści nocy oblegali nas ci krwiożerczy hultaje w tej budowli z bali, którą sam obmyśliłem i częściowo własnymi rękami wzniosłem, choć jak pan zapewne pamięta, nie jestem Indianinem, lecz czystej krwi białym. Delawarzy pokazali, co umieją, toteż spisaliśmy się dzielnie, choć było nas dziesięciu przeciw dwudziestu. Wreszcie nasze siły się zrównały i wówczas wypadliśmy na tych psów. Ani jeden z nich nie uszedł, by zanieść swoim wieść o klęsce. Tak, tak, byłem wówczas młody, zupełny żółtodziób, nie obyty z widokiem krwi ludzkiej. Martwiłem się, że ciała istot podobnych do mnie poniewierają się na polu i że w końcu rozwloką je zwierzęta, a

ich kości zbieleją na deszczu. Sam więc je pogrzebałem i usypałem ten kopczyk, na którym państwo' siedzicie, a nie jest to chyba zła ławeczka, mimo że wzniesiona na trupach zwykłych śmiertelników.

Heyward i siostry zerwali się jak oparzeni z porośniętego trawą grobu. Obie kobiety nie mogły, mimo niedawnych strasznych przeżyć, powstrzymać naturalnego przerażenia, kiedy dowiedziały się, że są tak blisko grobu poległych Mohawków. Zmrok, posępna mała polana porośnięta trawą, opasana murem krzewów, za którym w martwej ciszy wznosiły się aż pod chmury olbrzymie sosny, i grobowa cisza rozległej puszczy — pogłębiały uczucie strachu.

— Umarli nic nikomu nie zrobią — ciągnął Sokole Oko i ze smutnym uśmiechem machnął ręką na widok przerażenia kobiet. — Już nigdy nie wzniosą okrzyków wojennych ani nie zadadzą ciosu tomahawkiem! A z tych, którzy ich grzebali, żyje tylko Chingachgbok i ja! Jego bracia i rodzina tworzyli nasz oddział wojenny, a teraz macie przed sobą to, co pozostało z jego rodu.

Słuchacze współczując Indianom, których spotkał los tak okrutny, mimo woli skierowali wzrok ku ich sylwetkom majaczącym w cieniu. Chingachgook coś opowiadał młodemu Mohikaninowi, który słuchał go z zapartym oddechem. Opowieść świadczyła bowiem o bohaterstwie tych, których pamięć od dawna czcił za ich odwagę i wielkie cnoty indiańskie.

— Sądziłem, że Delawarzy to naród potulny — powiedział Duncan — i że nigdy sami nie walczyli, a obronę swego kraju powierzyli tym właśnie Mohawkom, których wyście pobili!

— W tym jest trochę prawdy — odparł zwiadowca — a jednak u jej podstaw leży podłe kłamstwo. Wiele lat temu zawarli taką umowę z Mohawkami, ale stało się to na skutek szatańskiego podstępu Holendrów. Chcieli oni rozbroić Indian, prawych właścicieli kraju, w którym sami się osiedlili. Mohikanie są wprawdzie częścią tego samego narodu, ale mieli do czynienia z Anglikami i nigdy nie wchodzili w podobnie idiotyczne targi. Liczyli na własne męstwo, a trzeba powiedzieć, że i Delawarzy,

kiedy otworzyły im się oczy na popełnione szaleństwo, doszli do podobnych wniosków. Widzi pan przed sobą mohikańskiego wodza nad wodzami. Ongiś jego ród tropił jelenie na przestrzeniach większych od tych, jakie należą do Albany Patteroon, a przez cały czas łowów każdy potok czy wzgórze, które przekroczył, było jego własnością. Lecz cóż pozostało potomkowi Mohikanów? Kiedy Bóg go wezwie, znajdzie się dla niego sześć stóp ziemi. Może spocznie w spokoju, jeśli jakiś przyjaciel złoży jego kości tak głęboko, by ich nie wygrzebał lemiesz pługa.

— Dość — powiedział Heyward widząc, że ten temat może poróżnić go ze zwiadowcą i zaszkodzić sprawie ocalenia Alicji i Kory. — Mamy za sobą długą podróż, a niewielu spośród nas cieszy się taką wytrzymałością jak pan. Powiedziałbym, że pan nie zna zmęczenia.

— Kości i mięśnie godne mężczyzny pozwalają mi znieść wszystkie trudy — odparł myśliwy przyglądając się swemu muskularnemu ciału z prostotą, która zdradzała, jak wielką przyjemność sprawił mu ten komplement. — Wśród kolonistów można spotkać ludzi tęższych i bardziej krzepkich, ale musiałby pan długi czas wędrować po mieście, zanim znalazłbyś człowieka, który zdoła przejść pięćdziesiąt mil bez wytchnienia albo potrafi na polowaniu biec za psami przez parę godzin i stale je słyszeć. Ale nie wszyscy są tak wytrzymali, nic więc dziwnego, że panie pragną spoczynku po tym wszystkim, co dziś widziały i przeżyły. Unkasie, oczyść źródełko, a ja i twój ojciec przygotujemy dla tych delikatnych główek poduszki z gałązek kasztanu i posłanie z trawy i liści.

Rozmowa urwała się, gdyż zwiadowca i jego towarzysze, troszcząc się o wygody i bezpieczeństwo osób podróżujących pod ich opieką, zabrali się do przygotowania noclegu. Unkas wkrótce oczyścił ze zwiędłych liści źródło, które wiele lat temu spowodowało, że Mohikanie tu właśnie wybudowali warownię, i niebawem kryształowo czysta woda spłynęła po zielonym wzgórzu. Następnie przykryto prowizorycznym dachem jeden z rogów budynku dla obrony przed rosą, obfitą w tym klimacie.

Pod tą osłoną ułożono dla sióstr posłanie z pachnących gałązek krzaków i suchych liści. Gdy mieszkańcy puszczy pochłonięci byli tą pracą, Kora i Alicja zjadły coś niecoś, raczej dla zasady niż z głodu.

Potem udały się pod osłonę ścian, gdzie podziękowały Bogu za doznaną łaskę, poprosiły Go o dalsze błogosławieństwo i wygodnie wyciągnęły się na pachnącym łożu. Wkrótce, mimo przykrych wspomnień oraz niepokojących obaw o przyszłość, mocno zasnęły. Dopomogło im w tym zmęczenie, a ich sen osłodziła nadzieja. Duncan zaczął się przygotowywać do spędzenia nocy na czuwaniu w pobliżu nich, na zewnątrz ruin. Zwiadowca odgadł jego zamiar. Wskazał na Chingachgooka i spokojnie układając się na trawie powiedział:

— Oczy białego nie nadają się do takiego czuwania. Nie są dość bystre. Mohikanin będzie naszym wartownikiem, możemy więc spać spokojnie.

— Ubiegła noc dowiodła, że jestem śpiochem — powiedział Heyward. — Spałem i sen nie jest mi tak potrzebny, jak wam. Wy zachowaliście się jak prawdziwi żołnierze. Spijcie więc wszyscy, a ja będę czuwał.

— Gdybyśmy spoczywali w białych namiotach sześćdziesiątego, pułku i mieli, do czynienia z Francuzami, nie pragnąłbym lepszego wartownika.— odparł zwiadowca — ale w tych ciemnościach i wśród odgłosów puszczy będzie pan bezradny jak nowo narodzone dziecko, a pańska czujność na nic się nie zda. Idź więc pan za przykładem moim i Unkasa — śpij spokojnie.

Heyward zauważył, że gdy rozmawiali, młody Mohikanin ułożył się wygodnie na stoku pagórka, jak człowiek, który chce się dobrze wyspać i nabrać sił. Za jego przykładem poszedł Dawid, któremu język skołczał z gorączki wywołanej raną i spotęgowanej uciążliwym marszem. Nie chcąc przedłużać jałowego sporu Duncan udał, że się zgadza, oparł się plecami o ścianę warowni i na wpół usiadł, na wpół się położył. W głębi serca jednakże uroczyście przysiągł sobie nie zmrużyć oka, dopóki nie odda powierzonego mu bezcennego skarbu w ręce

samego pułkownika Munro. Sokole Oko, pewny, że przekonał Duncana, wkrótce usnął i nad odległym zakątkiem puszczy zapanowała głęboka cisza.

Przez dłuższy czas Duncan czuwał zupełnie przytomny i baczny na każdy szelest w puszczy. W miarę jak nocne cienie osiadały na polanie, coraz bardziej wytężał wzrok. A gdy gwiazdy zamigotały nad jego głową, zdołał nawet dostrzec sylwetki swych towarzyszy wygodnie wyciągniętych na trawie oraz postać Chingachgooka, który siedział wyprostowany i nieruchomy, podobny do jednego z drzew, ciemną ścianą otaczających pagórek. Słyszał też delikatny oddech obu sióstr, śpiących o parę stóp od niego. Jego ucho chwytało szelest każdego listka, poruszanego lekkim tchnieniem wiatru. Wreszcie usłyszał posępny głos kozodoja i pohukiwanie sowy. Odrętwiałymi oczami widział jeszcze jasne migotanie gwiazd, aż nagle wydało mu się, że patrzy na nie przez opuszczone powieki. W chwili nagłego otrzeźwienia wziął krzak za postać czuwającego Chingachgooka, ale zaraz głowa opadła mu na ramię, a ramię oparło się o ziemię. W końcu bezwładnie osunął się na trawę i twardo usnął. Śniło mu się, że jest średniowiecznym rycerzem, który czuwa nocą przed namiotem oswobodzonej z niewoli księżniczki i ma nadzieję pozyskać jej względy swoim oddaniem i czujnością.

Duncan nigdy nie dowiedział się, jak długo marzył we śnie, ale od dawna spał twardo, gdy zbudziło go lekkie uderzenie w ramię. Otrzeźwiony tym bardzo zresztą słabym znakiem, zerwał się na równe nogi, jak przez mgłę przypominając sobie, że miał czuwać przez całą noc.

— Kto idzie? — zapytał sięgając po szpadę u boku, w miejscu gdzie zwykle ją nosił. — Mów! Przyjaciel czy wróg?

— Przyjaciel — swym niskim głosem odparł Chingachgook i wskazując w górę na księżyc, który poprzez otwór w zwartej koronie drzew sączył swe łagodne światło wprost na biwak, dodał w swej nieskładnej angielszczyźnie: — Księżyc nadszedł, a fort białego człowieka daleko, daleko stąd. Czas w drogę, bo sen zamknął oczy Francuzów!

— Masz rację! Zbudź towarzyszy i osiodłajcie konie, a ja zbudzę panie.

— Już nie śpimy — odparł miękki, srebrzysty głos Alicji zza ściany budynku. — Wypoczęłyśmy znakomicie i jesteśmy gotowe do szybkiej podróży. Ale pan nie wypoczął czuwając nad naszym snem po tylu trudach!

— Niech pani raczej powie, że powinienem był czuwać, ale oczy mnie zawiodły. Już dwukrotnie dałem dowód, że zupełnie nie zasługuję na zaufanie, jakim mnie obdarzono.

— Nie, Duncanie… nie przecz — z uśmiechem przerwała Alicja wychodząc z cienia warowni na światło księżyca. Po nocnym wypoczynku wyglądała prześlicznie. — Wiem, że gdy chodzi o własną osobę, jest pan aż nadto lekkomyślny, ale w stosunku do innych odznaczasz się przesadną troskliwością. Czy nie moglibyśmy zostać tu trochę dłużej, by pan się przespał? Powinien pan przecież wypocząć. Kora i ja chętnie, jak najchętniej będziemy czuwać, gdy pan i ci dzielni ludzie będziecie spali.

— Gdyby wstyd mógł mnie odstraszyć od spania, nigdy więcej nie zamknąłbym oczu — odparł speszony młodzieniec, z niepokojem patrząc w szczere oblicze Alicji, ale dojrzał w nim prawdziwą troskę, bez cienia złośliwości. — Niestety, nie da się zaprzeczyć, że przez swą lekkomyślność naraziłem panie na niebezpieczeństwo, a teraz nie mogę nawet się pochwalić, że czuwałem nad waszym snem, jak wypada żołnierzowi.

— Nikt, tylko Duncan mógłby oskarżać Duncana o coś podobnego. Niech się pan położy i śpi. Może nam pan zaufać: choć jesteśmy słabymi kobietami, dobrze spełnimy nasz obowiązek.

Nagły okrzyk Chingachgooka, po którym Unkas stanął w bacznej postawie, uwolnił majora od przykrej konieczności dalszych usprawiedliwień.

— Mohikanie usłyszeli wrogów! — szepnął Sokole Oko, który także już wstał i krzątał się po biwaku. — Czują niebezpieczeństwo!

— Niech nas Bóg strzeże! — wykrzyknął Heyward. — Dość już przelanej krwi!

Mówiąc to porwał strzelbę i wysunął się naprzód. Gotów był złożyć życie w obronie kobiet, by odkupić swój zupełnie wybaczalny brak czujności w nocy.

— To chyba leśny zwierz krąży wokół nas i szuka pożywienia — szepnął, gdy dosłyszał cichy i najwidoczniej odległy szmer, który zaniepokoił Mohikanów.

— Tss! — syknął w odpowiedzi pilnie nadsłuchujący zwiadowca. — To człowiek. Nawet ja potrafię dosłyszeć jego kroki, choć mój słuch jest słabszy od słuchu Indian. Ten Huron, który uciekł jak zając, musiał natknąć się na jakiś przedni oddział Montcalma i razem wpadli na nasz ślad. Ja sam nie chciałbym przelewać krwi w tym miejscu — dodał, z troską na twarzy rozglądając się po mrocznym otoczeniu. — Ale niech się stanie, co się ma stać! Odprowadź konie do warowni, Unkasie, a wy, przyjaciele, idźcie za nim. Choć budynek jest stary i lichy, osłoni nas jednak, a kule to dla niego nie nowina.

Mohikanie usłuchali go natychmiast i wprowadzili konie w głąb ruin. Tam też w największej ciszy schronili się nasi podróżni.

Teraz już wyraźnie było słychać kroki i trudno się było łudzić: nadchodzili ludzie. Niebawem rozległy się też nawoływania Indian. Zwiadowca szeptem wyjaśnił Heywardowi, że Indianie mówią w języku hurońskim. Kiedy prześladowcy dotarli do miejsca, gdzie konie weszły w gąszcz krzaków otaczających warownię, najwidoczniej stracili z oczu ślad, który ich prowadził.

Sądząc po głosach, ze dwudziestu ludzi zgromadziło się w tym miejscu i hałaśliwie rozmawiało ze sobą.

— Łotry wiedzą, *że* jest nas mało — szepnął Sokole Oko, który stał tuż przy Heywardzie w głębokim cieniu i spoglądał przez otwór między balami — inaczej, leniuchy, nie wlekliby się jak baby. Przysłuchaj się pan tym żmijom! Można by sądzić, że każdy ma dwa języki, a tylko jedną nogę.

Duncan, choć śmiały, a czasem nawet szaleńczo odważny w walce, teraz, w chwili groźnej niepewności, nie zdobył się na żadną odpowiedź na tę chłodną uwagę zwiadowcy. Mocniej tylko ujął strzelbę, przyłożył oko do wąskiego otworu i z rosnącym niepokojem patrzył na polanę, zalaną światłem księżyca. Najpierw usłyszał pewny siebie głos jakiegoś Indianina, którego Huroni słuchali w milczeniu. Rzucał on jakieś rozkazy czy dawał rady tonem osoby cieszącej się wielkim autorytetem. Potem z szelestu liści i trzasku gałęzi można się było domyślić, że Indianie rozdzielili się szukając zagubionego śladu. Na szczęście dla tropionych, światło księżyca zalewające łagodnym blaskiem małą przestrzeń koło warowni nie było dość silne, by przebić gruby strop puszczy, pod którym nic nie było widać. Poszukiwania zawiodły Huronów, zbiegowie bowiem tak gwałtownie skręcili w głąb puszczy z ledwie widocznej ścieżki, że nawet najmniejszy ślad ich przejścia zagubił się w mroku lasu.

Niebawem usłyszeli, jak niezmordowani Huroni przeszukują krzaki i stopniowo zbliżają się do wewnętrznego skraju pasa zarośli, które otaczały niewielką polanę.

— Nadchodzą — szepnął Heyward usiłując wepchnąć lufę strzelby w, szczelinę między balami. — Strzelamy, jak tylko się ukażą!

— Nie dawaj pan znaku życia — odparł zwiadowca. — Szczęk broni, a nawet zapach ziarnka prochu na panewce od razu ściągnie na nas atak całej bandy tych wściekłych psów. Jeśli Bóg zechce, byśmy stoczyli bitwę o nasze skalpy, zaufaj pan doświadczeniu" ludzi, którzy znają obyczaje dzikich i rzadko kiedy trzymali się z dala, gdy rozbrzmiewały okrzyki wojenne.

Duncan rzucił spojrzenie za siebie i ujrzał, że drżące z przerażenia siostry skuliły się w kącie budynku, a Mohikanie zastygli w cieniu jak dwaj wyprażeni wartownicy. Byli gotowi do walki i czekali tylko na odpowiednią chwilę. Opanował więc niecierpliwość, znów wyjrzał na otwartą przestrzeń i czekał w milczeniu. Nagle zarośla rozsunęły się i wysoki, uzbrojony Huron wyszedł na polanę. W blasku księżyca padającego na

jego śniade oblicze, gdy patrzył na zatopioną w ciszy warownię, wyraźnie widać było malujące się na nim zdziwienie i ciekawość. Wreszcie wydał okrzyk, który u Indian zwykle towarzyszy wzruszeniu, i cichym głosem przywołał drugiego Hurona.

Synowie puszczy stali teraz razem i wskazując sobie rozpadający się budynek mówili coś w niezrozumiałym języku swego plemienia. Potem, co chwila przystając, podeszli wolno i ostrożnie, by spojrzeć na warownię wzrokiem przestraszonego jelenia, w którym ciekawość zaciekle walczy z trwogą. Wtem jeden z nich natknął się na kopczyk i przystanął, by mu się przyjrzeć. W tej chwili Heyward spostrzegł, że zwiadowca wyciągnął nóż z pochwy i zniżył lufę sztucera. Poszedł więc za jego przykładem i przygotował się do walki, która teraz wydawała mu się nieunikniona.

Indianie byli tak blisko, że najmniejszy ruch jednego z koni lub nawet głośniejszy oddech ludzi zdradziłby ich obecność. Huroni jednak, gdy odkryli, czym naprawdę jest kopczyk, skupili na nim całą uwagę. Rozmawiali ze sobą, a głosy ich — pod wpływem głębokiej czci i strachu — brzmiały cicho i uroczyście. Następnie poczęli się ostrożnie cofać nie odrywając wzroku od ruin, zupełnie jakby się spodziewali, że ujrzą zjawy zmarłych, wychodzące spoza milczących ścian. Wreszcie dotarli do granicy polany, weszli w zarośla i zniknęli.

Sokole Oko oparł sztucer kolbą o ziemię, swobodnie odetchnął pełną piersią i powiedział szeptem:

— Tak, tym razem ich szacunek dla zmarłych, uratował życie im i ludziom więcej od nich wartym.

Heyward przez chwilę patrzył na swego towarzysza, ale nic nie odpowiedział i znów spojrzał tam, gdzie zniknęli Huroni.

Usłyszał, że wyszli z zarośli otaczających polanę, ' i wkrótce mógł się domyślić, że pozostali Indianie zebrali się wokół nich i że bardzo uważnie słuchają, co ci dwaj mówią. Po kilku minutach poważnej uroczystej rozmowy, zupełnie niepodobnej do poprzedniej hałaśliwej narady, glosy Huronów poczęły cichnąć i oddalać się, aż wreszcie zamarły w głębi puszczy.

Sokole Oko czekał, dopóki pilnie nadsłuchujący Ghingachgook nie dał mu znaku, że nawet najsłabszy dźwięk po oddalających się Huronach zatonął w oddali. Wówczas skinął na Heywarda, by wyprowadził konie i pomógł siostrom ich dosiąść. Podróżni wydostali się przez rozwaloną bramę warowni i podążając w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybyli, opuścili polankę. Siostry, wyjeżdżając z łagodnego światła księżyca i zagłębiając się w mrocznej puszczy, oglądały się ukradkiem na cichy grób i walące się ruiny warowni.

# ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Strażnik:
*Stój, kto idzie?*

Dziewica:
*My ze wsi, francuzy biedacy…*

”Henryk VI”

W pośpiechu, w jakim opuszczali warownię, i w ogólnym podnieceniu podróżni nie zamienili słowa dopóty, dopóki nie weszli w gąszcz puszczy. Zwiadowca po dawnemu kroczył na przedzie, a gdy odeszli już dość daleko od swych prześladowców, zwolnił kroku. Szedł teraz ostrożniej i z większym namysłem niż dnia poprzedniego, bo nie znał otaczającej go puszczy.

Często przystawał i naradzał się z Mohikanami, przy czym wskazywał na księżyc lub uważnie badał korę drzew. W czasie tych krótkich postojów Heyward i siostry wyostrzonym przez lęk słuchem usiłowali złowić jakiś dźwięk, który by powiedział im coś o wrogu. W tych chwilach wydawało im się, że olbrzymia puszcza przed nimi śpi wiecznym snem. Z jej głębi nie dochodził najmniejszy dźwięk z wyjątkiem odległego i ledwie uchwytnego szmeru strumienia. Ptaki, zwierzęta i ludzie — jeżeli oczywiście w tej części dziewiczej puszczy byli jacyś ludzie — jakby spali pospołu. Ale szmer strumyka, mimo że słaby i niewyraźny, rozwiał wahania przewodników. Cicho i tym razem szybko ruszyli w tamtą stronę.

Po dojściu do brzegów potoku Sokole Oko przystanął jeszcze raz i zdjąwszy z nóg mokasyny polecił Heywardowi i Dawidowi zrobić to samo. Potem wszedł w wodę, a za nim weszli wszyscy i prawie godzinę szli korytem rzeczułki, nie zostawiając po sobie żadnych śladów. Księżyc już się ukrył za wielkimi, czarnymi chmurami, groźnie zbierającymi się na wschodzie horyzontu, kiedy wyszli z krętego i płytkiego strumienia i znów wydostali się na dość jasną i piaszczystą, lecz zalesioną równinę. Tu zwiadowca czuł się już jak w domu: szedł naprzód tak pewnie i szybko, jak człowiek, który dobrze wie, co robi. Wkrótce ścieżka poczęła się wspinać i podróżni spostrzegli, że pasmo górskie po obu ich stronach zbliżyło się do nich i że lada chwila wejdą w wąwóz. Nagle Sokole Oko przystanął, zaczekał, aż jego towarzysze dołączą się do niego, i powiedział głosem zniżonym do szeptu, który w ciszy i mroku tego miejsca dodawał jeszcze większej powagi jego słowom:

— Nie trudno znać przejścia w puszczy i odnajdywać w niej „lizawki” oraz strumyki — mówił — ale któż na widok tego miejsca odważyłby się twierdzić, że potężna armia śpi między tymi cichymi drzewami wśród nagich gór!

— A więc jesteśmy już niedaleko fortu William Henry? — zapytał Heyward zbliżając się do zwiadowcy.

— Musimy jeszcze przejść długą i uciążliwą ścieżkę, a największa trudność w tym, gdzie i kiedy na nią wejść. Patrz pan — ciągnął wskazując mały staw między drzewami, w którego cichej wodzie odbijały się gwiazdy — to jest „krwawy staw”. Jestem na terenie, który nie tylko schodziłem wzdłuż i wszerz, ale na którym walczyłem z wrogiem przez cały dzień bez przerwy.

— Pod tym więc zwierciadłem ponurej i zamarłej wody kryje się grób mężnych ludzi, poległych w boju! Mówiono mi o tym stawie, ale nigdy tu nie byłem.

— Trzy bitwy w ciągu jednego dnia stoczyliśmy z tym francuskim Niemcem — ciągnął Sokole Oko, idąc raczej za własnymi myślami niż odpowiadając na uwagę Duncana. — Mężnie nas powitał, gdy wyszliśmy z obozu, aby zaskoczyć go w

marszu. Rozproszył nas i jak tropionego zwierza popędził przez wąwóz aż na brzegi Horicanu. Tam zebraliśmy się znowu za zasiekami i pod dowództwem sir Williama, który właśnie za ten czyn dostał tytuł lorda, stawiliśmy mu czoło, dobrze płacąc za hańbę tego ranka! W tym dniu setki Francuzów po raz ostatni oglądało słońce i nawet ich wódz, Dieskau, wpadł w nasze ręce. Był tak nafaszerowany i poszarpany ołowiem, że później musiał wrócić do ojczyzny jako zupełny inwalida.

— Był to dzień chwały! — z młodzieńczym zapałem zawołał Heyward. — Wieść o zwycięstwie szybko dotarła do nas, do naszej południowej armii.

— Tak, ale na tym się nie skończyło. Na rozkaz samego sir Williama major Effingham polecił mi obejść pozycję Francuzów, przejść płaskowyż i zanieść wiadomość o ich klęsce do fortu nad brzegiem Hudsonu. Właśnie na tym miejscu, gdzie widzi pan te strzeliste drzewa na wzgórku, napotkałem oddział, który szedł nam na pomoc. Zaprowadziłem go tam, gdzie Francuzi, którym nawet się nie śniło, że jeszcze nie koniec ich krwawego trudu, właśnie się posilali.

— I zaskoczyliście ich?

— Tak, jeżeli śmierć może zaskoczyć ludzi myślących jedynie o zaspokojeniu swego apetytu. Ostro wsiedliśmy na nich, bo i oni mocno nas przycisnęli tego ranka, a wśród nas mało kto nie stracił przez nich krewnych lub przyjaciół. Kiedy już wszystko było skończone, powrzucaliśmy poległych — a niektórzy twierdzą, że i umierających — do tego stawu. Na własne oczy widziałem jego wody tak czerwone od krwi, jak żadna woda na świecie.

— Jest to odpowiedni i chyba spokojny grób dla żołnierza. Długo wojował pan na tej granicy?

— Ja? — zapytał zwiadowca prostując się z żołnierską dumą. — Tu chyba każda góra odpowiadała echem na strzały mego sztucera. Nie znajdzie pan też między Horicanem a rzeką jednej kwadratowej mili, na której Postrach Zwierząt nie powaliłby jakiejś żywej istoty: wroga lub dzikiego zwierza. Nie wiem tylko, czy ten grób jest tak cichy, jak panu się zdaje. Są tacy w naszym

obozie, którzy utrzymują, że człowiek śpi spokojnie tylko wtedy, gdy się *go* nie pogrzebie żywcem. Owego wieczoru tak się wszystkim śpieszyło, że lekarze nie mieli czasu badać, kto żyje, a kto wyzionął ducha. Tss! Czy widzi pan? Jakby się coś przechadzało nad brzegiem stawu!

— Trudno uwierzyć, by *w* tych posępnych lasach znalazł się jeszcze ktoś równie bezdomny jak my.

— Ten ktoś mało dbałby o dom czy schronienie, a nocna rosa nie zmoczy tego, kto całymi dniami leży W wodzie — odparł zwiadowca chwytając Heywarda za ramię. Major z siły tego uścisku od razu zrozumiał, że nieustraszony zwiadowca nie jest wolny od zabobonów.

— Na Boga! Przecież to człowiek idzie ku nam! Chwyćcie za broń, przyjaciele, bo nie wiadomo, kto to jest.

— *Qui vive?* — pytanie rzucone ostrym głosem zabrzmiało w tym bezludnym i ponurym miejscu jak wezwanie z tamtego świata.

— Co mówi? — szepnął zwiadowca. — Nie gada ani po indiańsku, ani po angielsku!

— *Qui vive?* — powtórzył ten sam głos. Szczęknęła broń, a pytający przybrał groźną postawę.

— *France!* — krzyknął Heyward wychodząc z cienia drzew na brzeg stawu i stając o parę jardów od wartownika.

— Skąd przychodzicie i dokąd idziecie o tak wczesnej godzinie? — zapytał grenadier po francusku, wymawiając słowa jak rodowity Francuz.

— Wracam ze zwiadów i udaję się na spoczynek.

— Czy jest pan oficerem królewskim?

— Naturalnie, mój przyjacielu, czy bierzesz mnie za oficera wojsk kolonialnych? Jestem kapitanem strzelców (Heyward zorientował się po mundurze, że żołnierz jest z pułku piechoty liniowej). Prowadzę ze sobą córki komendanta fortu. Ach, pewnie słyszałeś już o nich! Wziąłem je do niewoli w pobliżu tamtego fortu i prowadzę do generała.

— Słowo daję, moje panie, ogromnie mi was żal — zawołał młody, żołnierz, uprzejmie salutując. — Ale na wojnie jak na

wojnie! Nasz generał na pewno się wam spodoba. Dzielny to człowiek i bardzo uprzejmy dla dam.

— Jak zwykle wojskowi — po francusku odparła Kora z zadziwiającą przytomnością umysłu. — *Adieu*, mój przyjacielu.

Życzę ci przyjemniejszych obowiązków niż służba wartownicza.

Żołnierz ukłonem wojskowym podziękował jej za uprzejme słowa. Heyward dorzucił: „Dobranoc, przyjacielu", i wszyscy bez pośpiechu ruszyli naprzód. Wartownik znów jął się przechadzać wzdłuż cichego stawu. Nawet na myśl mu nie przyszło, że zetknął się z niezwykle śmiałymi wrogami, i spokojnie zanucił słowa, które odżyły mu w pamięci na widok kobiet, a może na wspomnienie dalekiej i pięknej ojczyzny:

Niech żyje wino, miłość…

— Dobrze, że pan zrozumiał tego gałgana! — szepnął zwiadowca, kiedy oddalili się już od Francuza, i szybkim ruchem znów wziął sztucer na ramię. — Od razu zorientowałem się, że był to jeden z tych wiercipiętów Francuzików. Miał szczęście, że mówił z nami uprzejmie i przyjaźnie, bo łatwo by się znalazł na dnie stawu między swymi rodakami.

Przerwał mu przeciągły i ciężki jęk znad stawu, jakby duchy poległych naprawdę błądziły koło swego wodnego grobowca.

— Nie był duchem — ciągnął zwiadowca — duch przecież nie mógłby tak pewnie władać bronią!

— Duchem nie był, ale czy teraz nim nie jest, trudno powiedzieć — odparł Heyward oglądając się dokoła i widząc, że Chingachgook gdzieś zniknął.

Dał się słyszeć drugi jęk, tym razem słabszy, i coś ciężkiego stoczyło się do wody, a potem znów zapadła głucha cisza.

Mogło się zdawać, że nic jej nie zakłóciło od początku świata. Podróżni wciąż jeszcze nie wiedzieli, co począć, gdy stary Indianin wynurzył się z nadbrzeżnych zarośli. Podszedł do nich i ujrzeli, że jedną ręką przytracza do pasa dymiący skalp nieszczęsnego młodego Francuza, a drugą wsuwa za pas nóż zbroczony krwią. Po chwili Mohikanin stanął na swym miejscu

z miną człowieka przekonanego, że dokonał czynu godnego pochwały.

Zwiadowca oparł kolbę sztucera o ziemię, położył ręce na lufie i zamyślił się głęboko. Po chwili potrząsnął głową ze smutkiem i mruknął:

—Jak na białego byłby to postępek okrutny i nieludzki, ale dla Indianina jest to rzecz zwykła i sądzę, że nikt mu tego nie weźmie za złe. Wolałbym jednak, aby jego ofiarą padł jakiś przeklęty Mingo, a nie ten wesoły chłopiec ze Starego Kraju.

— Cicho! — zawołał Heyward bojąc się, że siostry, które niczego nie podejrzewały, odgadną, co ich zatrzymało w drodze. Stłumił wstręt, jaki go brał, argumentami podobnymi do rozważań myśliwego i powiedział: — Źle się stało, ale nic już na to nie poradzimy. Jak pan widzi, jesteśmy na linii czat wroga. Jakiż kierunek radzi pan obrać?

— Tak — odparł Sokole Oko otrząsnąwszy się z rozmyślań. — Ma pan rację: za późno' już zastanawiać się nad tym. Tak, Francuzi nie na żarty otoczyli fort. Musimy się prześliznąć przez wąskie ucho igielne, jeżeli chcemy się przedostać przez ich pozycje.

— I mamy na to mało czasu — rzekł Heyward spoglądając w górę na skłębione mgły, które przesłaniały zachodzący księżyc.

— Mało czasu! — powtórzył zwiadowca. — Z tym zadaniem można się uporać w dwojaki sposób, jeśli, naturalnie, Opatrzność nam dopomoże, inaczej bowiem nic nie zrobimy.

— Niech pan szybko mówi, bo czas nagli.

— Pierwszy z nich jest taki: panie zsiądą z koni, które puścimy wolno. Mohikanie pójdą pierwsi, utorujemy sobie przejście przez linię czat i po trupach przedrzemy się do fortu.

— To na nic — przerwał mu szlachetny Heyward. — Żołnierz mógłby w ten sposób wyrąbać sobie drogę, ale nigdy nie w towarzystwie kobiet.

— Tak, byłaby to droga zlana krwią, a nie wypada, by tak delikatne stopki w niej brodziły — zgodził się zwiadowca, równie niechętnie usposobiony do tego planu. — Ale uważałem, że męstwo nakazuje mi wspomnieć o niej. Musimy więc

zawrócić i po własnych śladach wydostać się za linię czat. Potem ostro skręcimy na zachód i wejdziemy w góry. Tam ukryję was tak, że żaden z przeklętych psów na żołdzie Montcalma przez całe miesiące nie wpadnie na wasz ślad.

— A więc w drogę!

Dalsze słowa były zbędne. Sokole Oko rzucił krótki rozkaz: „Za mną!” i ruszył z powrotem ścieżką, która przywiodła ich w to niebezpieczne miejsce. Posuwali się tak samo cicho, jak rozmawiali przed chwilą, bali się bowiem, że natkną się na jakiś patrol lub zaczajoną pikietę wroga. Gdy przechodzili nad brzegiem stawu, Heyward i zwiadowca znów ukradkiem spojrzeli na jego groźne i posępne wody. Daremnie wypatrywali sylwetki człowieka, który przed chwilą chodził po tym cichym brzegu. Słaby, miarowy plusk fal świadczący o tym, że woda jeszcze się nie uspokoiła, był strasznym dowodem krwawego dzieła, którego Chingachgook dokonał niemal na ich oczach. Na szczęście płytki staw i jego ponure brzegi szybko pogrążyły się w mroku za nimi.

Wkrótce Sokole Oko skręcił w bok i skierował się ku górskiemu pasmu zamykającemu od zachodu wąską równinę. Szedł teraz szybkimi krokami i wiódł orszak w głąb cienia rzucanego przez wysokie i poszarpane szczyty gór. Droga stała się uciążliwa, biegła bowiem przez teren skalisty i poprzecinany wąwozami. Szli teraz znacznie wolniej. Po obu stronach drogi wznosiły się ciemne, nagie szczyty. Pod ich osłoną podróżni czuli się bezpieczni i to im osładzało trudy drogi. Wreszcie zaczęli się wspinać stromą i kamienistą ścieżką, która w niezwykłych skrętach wiła się między skałami i drzewami, co wyraźnie wskazywało, iż wydeptali ją ludzie od dawna obyci z dziką przyrodą. W miarę jak podróżni pięli się w górę, gęsty mrok ustępował przed rannym brzaskiem, a wszystkie przedmioty w dolinie nabierały wyraźnych, naturalnych kolorów. Kiedy wyszli ze skarłowaciałego lasu, czepiającego się korzeniami jałowego stoku, na płaski, pokryty mchem skalny szczyt góry, ujrzeli różowy świt, który wstawał

nad zielonymi jodłami rosnącymi na górach po przeciwnej stronie doliny Horicanu.

Teraz zwiadowca polecił paniom zsiąść z koni, rozkiełznał zmęczone zwierzęta, zdjął im siodła i puścił je wolno, by skubały krzaki i wątłą trawę wśród skał.

— idźcie — powiedział — i szukajcie sobie paszy, a uważajcie przy tym, by was nie pożarły krwiożercze wilki, których pełno w tych górach.

— Czy koni nie będziemy już potrzebowali? — zapytał Heyward.

— Spójrz pan i sam osądź — odrzekł zwiadowca stając na wschodnim cyplu skalistej góry i skinieniem ręki przywołując resztę podróżnych. — Gdyby można było zajrzeć w głąb ludzkich serc tak, jak widać z tego miejsca tajemnice obozu Montcalma, to na świecie mało byłoby obłudników. Wówczas chytrość Mingów nie byłaby warta złamanego szeląga w porównaniu z prawością Delawarów.

Gdy podróżni podeszli do brzegu przepaści, od jednego rzutu oka zrozumieli, jak prawdziwe były słowa zwiadowcy i jak przezornie postąpił, że przywiódł ich tutaj.

Góra, na której stali, wznosiła się na jakieś tysiąc stóp nad ziemią i przypominała wysoki stożek wysunięty trochę naprzód przed łańcuch górski, który ciągnął się całymi milami wzdłuż zachodniego brzegu jeziora aż do spotkania z siostrzanymi górami za wodą, skąd łańcuch ten uchodził do Kanady w postaci splątanego i poszarpanego pasma skał, tu i tam nakrapianego skąpymi plamami zieleni. U stóp podróżnych, szerokim półkolem od góry do góry, rozciągał się południowy brzeg jeziora Horican. Wybrzeże to przechodziło dalej w pofałdowaną i nieco wzniesioną równinę. Ku północy ciągnęła się lustrzana i z tej zawrotnej wysokości wąska tafla Świętego Jeziora, pozą̨bkowana niezliczonymi zatoczkami, upiększona cyplami fantastycznych kształtów i usiana wysepkami. O kilka mil dalej kontury jeziora ginęły wśród gór lub zacierały się w gęstej mgle, która pod lekkimi podmuchami rannego wiatru wolno sunęła tuż nad wodą. Przez wąskie okienko między

wierzchołkami gór widać było, jak jezioro uchodzi na północ, gdzie szeroko rozlewa swe kryształowe wody, zanim złączy się z odległym jeziorem Champlain. Na południe biegła poprzecinana wąwozami równina, o której już tyle razy wspominaliśmy. W tym samym kierunku, o kilkanaście mil dalej, góry jakby niechętnie rezygnowały z panowania nad okolicą, ale można było jeszcze dostrzec, jak się rozstępowały i malały, a w końcu zupełnie opadały i przechodziły w piaszczysty teren. Tędy towarzyszyliśmy naszym podróżnym w ich dwukrotnej wędrówce. Wzdłuż obu łańcuchów górskich, obejmujących swymi ramionami przeciwległe brzegi jeziora i dolinę, wstawały nad lasami spiralne kłęby zwiewnej mgły. Wznosiła się ona jak dymy nad niewidocznymi chatami lub leniwie spływała w dół zboczy, łącząc się z oparami nizin. Samotna, biała jak śnieg chmurka wolno płynęła ponad cichymi wodami Krwawego Stawu.

Tuż nad wodą, bliżej zachodniego krańca brzegu, widać było rozległe szańce i niskie budynki fortu William Henry. Dwa główne bastiony jakby wyrastały z wody omywającej ich podnóże. Głęboki rów i rozległe moczary strzegły pozostałych boków i narożników bastionów, Drzewa rosnące wkoło umocnień wyrąbano o tyle, o ile nakazywały względy bezpieczeństwa. Ale pozostały teren był zarośnięty gęstym, zielonym dziewiczym lasem i tylko gdzieniegdzie woda urozmaicała krajobraz albo groźne skały unosiły swe łyse i czarne łby ponad poszarpanym pasmem gór. Przed linią umocnień, tu i tam, podróżni widzieli znużonych żołnierzy, którzy stali na czatach wobec znacznie silniejszego wroga, a w obrębie wałów dostrzegli ludzi śpiących po całonocnym czuwaniu. Na południowy wschód, na skalnym wzniesieniu, w miejscu zresztą odpowiedniejszym pod budowę fortu, leżał umocniony obóz. Sokole Oko dojrzał tam i wskazał podróżnym posiłkowe oddziały, które przed nimi opuściły fort nad Hudsonem. Trochę dalej na południe, nad lasami, biły w niebo liczne ciemne i groźne dymy, łatwo dające się odróżnić od

znacznie jaśniejszych oparów ze źródeł. Zwiadowca wskazał je' Heywardowi: tam się rozłożyły główne siły nieprzyjaciela.

Jednakże młodego żołnierza najbardziej obchodziło to, co się działo na zachodnim brzegu jeziora, tuż koło jego południowego krańca. Od brzegów Horicanu do podnóża gór, na kilkusetjardowym skrawku ziemi, który ze szczytu góry wydawał się zbyt wąski, by pomieścić tak wielkie siły, widać było białe namioty i sprzęt wojenny dziesięciotysięcznej armii. Przed obozem ustawiono już baterie armat. Kiedy podróżni doznając różnych uczuć patrzyli na ten widok u ich stóp niby na jakąś mapę, głuchy huk armat wstrząsnął doliną i grzmiącym echem przetoczył się wzdłuż wschodniego pasma gór.

— U nich już tam rozedniało — po chwili namysłu powiedział zwiadowca — i kanonierzy najwidoczniej głosem armat budzą śpiochów. Spóźniliśmy się o parę godzin. Montcalm obsadził już lasy swymi przeklętymi Irokezami.

— Fort istotnie jest już okrążony — odparł Duncan — lecz czy nie wymyślimy jakiegoś podstępu, by się tam przedostać? Lepiej poddać się z całym wojskiem niż znów wpaść w ręce Indian czyhających w lasach.

— Spójrzcie — zawołał zwiadowca, mimo woli zwracając uwagę Kory na kwaterę jej ojca — jak od tego wystrzału prysnęły kamienie ze ściany domu komendanta! Tak, Francuzi zamieniają go w kupę gruzów prędzej, niż go zbudowano, choć jest mocny i ma grube mury.

— Heywardzie, umieram na widok niebezpieczeństwa, którego nie mogę podzielić z ojcem — powiedziała nieustraszona, lecz zaniepokojona. Kora. — Pójdźmy do Montcalma i poprośmy go, by nas przepuścił. Chyba nie odmówi prośbie dziecka, które tęskni do ojca.

— Wątpię, czy doniosłaby pani swe włosy do namiotu Francuza — prosto z mostu odparł zwiadowca. — Gdybym miał choć jedno z tysiąca czółen, które puste stoją przy tamtym brzegu, sprawa byłaby załatwiona. Ha! Strzelanina wkrótce ustanie, bo stamtąd nadciąga mgła i zrobi się ciemno jak w nocy. Wówczas indiańska strzała będzie niebezpieczniejsza od

spiżowej armaty. Jeżeli macie dość sił i chcecie pójść za mną, spróbujemy przemknąć się do fortu. Muszę się dostać do obozu, choćby po to, aby po drodze rozpędzić przeklętych Mingów, którzy zaczaili się na skraju tego brzozowego lasu.

— Damy radę — odpowiedziała Kora stanowczo. — Dla takiego celu narazimy się na największe niebezpieczeństwa!

Zwiadowca odwrócił się ku niej i odpowiedział z uśmiechem wyrażającym szczerą i serdeczną pochwałę: — Chciałbym mieć tysiąc bystrookich i krzepkich mężczyzn, którzy by tak jak pani nie lękali się śmierci! Przepędziłbym wówczas tych szwargoczących Francuzików do ich legowisk jeszcze w tym tygodniu. Wyliby przy tym jak sfora psów na łańcuchu lub jak stado głodnych wilków. Ale w drogę — dorzucił zwracając się do reszty towarzystwa — mgła napływa tak szybko, że ledwie starczy nam czasu, by zejść na dół i przemknąć się pod jej osłoną. Pamiętajcie: gdyby mnie spotkało coś złego, idźcie stale tak, by wiatr dął wam w lewy policzek, a najlepiej trzymajcie się Mohikanów — ci zawsze wyczują drogę, zarówno za dnia, jak i w nocy.

Ruchem ręki kazał wszystkim iść za sobą i raźno ruszył w dół stromego stoku, stąpając swobodnie, lecz ostrożnie. Heyward podtrzymywał siostry i w parę minut wszyscy zeszli z góry, na którą niedawno wspinali się z takim mozołem.

Droga wybrana przez Sokole Oko wkrótce sprowadziła naszych podróżnych na równinę niemal na wprost furtki w zachodniej kurtynie fortu. Tu, o jakieś pół mili od celu, zwiadowca przystanął i zaczekał na Duncana i jego towarzyszki. Szli z zapałem, a i teren sprzyjał szybkiemu schodzeniu, nic więc dziwnego, że wyprzedzili mgłę, leniwie przesuwającą się nad jeziorem. Musieli zaczekać, aż gęsty obłok okryje nieprzyjacielski obóz swym wełnistym płaszczem. Mohikanie skorzystali z tej zwłoki i wyśliznęli się z lasu, by zbadać okolicę. Zwiadowca też ruszył naprzód i szedł o parę kroków za nimi, aby jak najprędzej odebrać od nich meldunek i samemu zapoznać się, choćby powierzchownie, z najbliższą

okolicą. Po paru minutach powrócił jednak, czerwony z gniewu, i w kilku słowach wyładował swą złość:

— Tu, na naszej drodze, ten przeklęty Francuz umieścił pikietę z czerwonoskórych i białych, a w tej mgle możemy równie dobrze wejść na nią, jak ją ominąć.

— Czy nie można obejść tego miejsca, by uniknąć niebezpieczeństwa, a potem wrócić na naszą drogę? — zapytał Heyward.

— A któż, kto raz we mgle zboczy z drogi, zdoła znów na nią trafić? Mgły nad Horicanem to nie dym z fajki pokoju czy po salwie muszkietów.

Zwiadowca nie skończył jeszcze mówić, gdy rozległ się huk. Kula armatnia uderzyła w gąszcz leśny, odbiła się od pnia jodły i upadła obok. Prawie jednocześnie z tym posłańcem śmierci, niby dwaj jego wierni słudzy, zjawili się Mohikanie. Unkas z największą powagą i żywo gestykulując powiedział coś w języku Delawarów.

— Może masz rację, mój chłopcze — mruknął zwiadowca, kiedy Unkas skończył. — Wysokiej gorączki nie leczy się tak, jak bólu zęba. Chodźmy więc, bo mgła gęstnieje.

— Czekaj! — krzyknął Heyward. — Najpierw powiedz pan, na co liczysz.

— Rzecz w tym, że nadzieja jest słaba, ale lepsze coś niż nic. Ta kula, którą pan widzi — powiedział zwiadowca kopiąc nieszkodliwe już żelastwo — przeorała ziemię lecąc z fortu i jeśli wszystko inne zawiedzie, będziemy się trzymali bruzdy po niej. Ale dość już słów, chodźcie za mną, bo mgła gotowa się rozwiać, gdy będziemy w połowie drogi. Wówczas obie armie wezmą nas na cel.

Heyward zrozumiał, że nadeszła przełomowa chwila, kiedy czyny więcej znaczą niż słowa. Stanął więc między siostrami i szybko pociągnął je naprzód, nie spuszczając z oka ledwie widocznej we mgle sylwetki zwiadowcy. Niebawem przekonał się, że Sokole Oko nic nie przesadził, gdy mówił o gęstości mgły, ledwie bowiem przeszli dwadzieścia jardów, już przestali się widzieć w jej kłębach. Zboczyli trochę w lewo, zatoczyli półkole

i po przebyciu, jak Heyward sądził, połowy drogi, znów skręcili w prawo, gdy z odległości co najwyżej dwudziestu stóp usłyszał groźny głos:

— *Qui va la?*

— Szybko naprzód! — szepnął zwiadowca, znów zbaczając w lewo.

— Szybko naprzód! — powtórzył Heyward, a równocześnie ze wszystkich stron zabrzmiało groźne wezwanie francuskich wartowników.

— *Cest moi!* — krzyknął Duncan, już nie prowadząc, lecz ciągnąc obie siostry.

— Głupi! Kto — ja? — zapytano po francusku.

— Przyjaciel Francji.

— Chyba nieprzyjaciel Francji! Stój albo, u licha, wyprawię cię do piekła! Nie? Ognia, przyjaciele, ognia!

Rozkaz wykonano natychmiast i wystrzały pięćdziesięciu muszkietów rozdarły mgłę. Na szczęście widoczność była zła i kule przeleciały bokiem, ale tak blisko podróżnych, że niedoświadczonemu Dawidowi i obu kobietom zdawało się, iż gwizdnęły im tuż przy skroni. Po chwili wartownik powtórzył swe wezwanie, a potem usłyszeli wyraźny rozkaz strzelania i ścigania intruzów. Heyward w paru słowach powtórzył Sokolemu Oku sens tych rozkazów. Zwiadowca przystanął i powiedział:

— Strzelajmy. Pomyślą, że to wycieczka z fortu, i uciekną albo zaczekają na posiłki.

Plan był mądry, ale zawiódł. Gdy tylko Francuzi usłyszeli strzały, równina jakby ożyła: od brzegów jeziora aż po najodleglejszy skraj puszczy zagrzmiały muszkiety.

— Ściągniemy na siebie całą ich armią i wywołamy generalną bitwę — powiedział Duncan. — Prowadź nas dalej, przyjacielu, jeśli ci miłe twoje życie i nasze.

Zwiadowca gotów był usłuchać, ale w ogólnym rozgardiaszu stracił orientację. Na próżno nadstawiał policzek: podmuchy wiatru z wszystkich stron wydawały się jednakowo chłodne. Ale Unkas dostrzegł bruzdę wyżłobioną przez kulę armatnią w

miejscu, gdzie przebiła trzy przylegające do siebie mrowiska, i uratował sytuację.

— Niech sam zobaczę — zawołał zwiadowca i pochylił się, aby zbadać kierunek bruzdy. Potem szybko ruszył naprzód. Okrzyki, przekleństwa, nawoływania i grzechot muszkietów krzyżowały się nad uszami uciekających. Nagle ostry błysk oświetlił całą scenę, mgła uniosła się w górę, ryk armat wstrząsnął powietrzem, a góry odpowiedziały gromkim echem.

— To z fortu! — krzyknął Sokole Oko, gwałtownie zawracając — a my, jak szaleni, biegliśmy ku puszczy, wprost pod noże Makaów.

Po stwierdzeniu pomyłki uciekający od razu zawrócili i szybko pobiegli ku wałom fortu. Duncan chętnie pozwolił Unkasowi pomagać Korze, a ona z radością przyjęła tę pomoc. Francuzi deptali im po piętach. Każda minuta była cenna, bo lada chwila mogli się dostać do niewoli lub zginąć.

— Nie litować się nad łotrami! — wołał któryś z gorliwych prześladowców. Najwidoczniej kierował on pogonią.

— Śmiało, zuchy z sześćdziesiątego! — rozległ się nagle jakiś głos tuż przed zbiegami. — Czekać, aż ujrzycie wroga, mierzyć nisko i omieść ogniem zbocze wału.

— Ojcze, ojcze! — rozległ się z mgły przeszywający okrzyk. — To ja! Alicja! Twoja Ala! Oszczędź nas! Ratuj swe córki!

— Stać! — zabrzmiał głos komendanta. Drgała w nim nuta przejmującego bólu, a był tak donośny, że dotarł aż do skraju puszczy, gdzie powtórzyło go echo. — To ona! Bóg powrócił mi moje dzieci! Otwórzcie furtką! Naprzód, sześćdziesiąty! Nie ruszać cyngli, bo zabijecie moje drogie owieczki! Przepędźcie te francuskie psy białą bronią!

Duncan usłyszał zgrzyt zardzewiałych zawiasów i kierując się tym odgłosem skoczył ku furtce, koło której napotkał długą linię żołnierzy w ciemnoczerwonych mundurach, szybko zbiegających na równinę. Poznał swój własny batalion Królewskich Strzelców Amerykańskich i skoczył na jego czoło. Wkrótce udało mu się oczyścić przedpole fortu z Francuzów.

Alicja i Kora stały przez chwilę drżące i oszołomione tym nagłym zniknięciem Heywarda. Ale zanim zdążyły odezwać się czy bodaj zastanowić, oficer potężnej budowy,, posiwiały weteran, którego surowy wygląd nieco złagodniał pod brzemieniem lat, wybiegł z gęstej mgły i przycisnął je do piersi. Wielkie, palące łzy spływały 'mu po bladych i pomarszczonych policzkach, gdy wołał z charakterystycznym szkockim akcentem:

— Dziękuję Ci, Panie! Teraz nawet największe niebezpieczeństwo sługa Twój powita z podniesionym czołem!

# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

*Więc posłuchajmy, cóż to* za *poselstwo,*
*Choć się założę, te odgadnę sprawę,*
*Nim jeszcze Francuz rzeknie o niej słowo.*

”Henryk V”

Kilka najbliższych dni upłynęło w niedostatku, rozgwarze i niebezpieczeństwach towarzyszących oblężeniu. Francuzi przeważali liczebnie i walczyli mężnie, a Munro nie miał odpowiednich środków, by się przeciwstawić ich atakom. Webb wraz ze swoją armią, stojącą bezczynnie nad brzegami Hudsonu, najwidoczniej nie chciał nic wiedzieć o opałach, w jakich znaleźli się jego rodacy. Montcalm szczelnie obsadził lasy wokół płaskowzgórza swymi dzikimi sojusznikami, a ich okrzyki i wycie donośnie rozbrzmiewały w brytyjskim obozie. Mroziły one krew w żyłach żołnierzy i tak już nadmiernie przejętych grożącym im niebezpieczeństwem.

Zupełnie inaczej było w oblężonym forcie. Żołnierz zachęcony słowami i zagrzany przykładem oficerów miał dość męstwa, by z zapałem; który przynosił zaszczyt nieugiętemu dowódcy, podtrzymać swą sławę. Montcalm jakby poprzestał na tym, że z trudem przemaszerował przez puszczę i dotarł do fortu. Mimo że był dowódcą niewątpliwie zdolnym, nie obsadził przyległych gór. Stamtąd mógł przecież bezkarnie razić oblężonych nieprzyjaciół. Każdy nowoczesny dowódca zrobiłby to bez wahania. Ale podobną pogardę dla dominujących wzgórz, a raczej niechęć do mozolnego wspinania się na góry,

można by nazwać głównym błędem wojen tego okresu. Wynikało to z prymitywnego charakteru walk z Indianami, które staczano w gęstej puszczy, gdzie twierdze były rzadkością, a artyleria niemal bezużyteczna. Lekkomyślność zrodzona z tych metod przetrwała aż do Wojny Rewolucyjnej i przyczyniła się do utraty przez Stany ważnej twierdzy Ticonderoga. To otworzyło armii Burgoyne'a drogę do ówczesnego serca kraju. Teraz patrzymy ze zdziwieniem na to nieuctwo czy zaślepienie — jakkolwiek to nazwiemy. Wiemy bowiem, że zlekceważenie wzgórza, rzekomo trudnego do obsadzenia, jak na przykład Mount Defiance, przysporzyłoby wstydu inżynierowi, który zaplanował budowę twierdzy u podnóża tego wzniesienia, i generałowi, który jej bronił.

Turysta, człowiek słabowity czy amator przyrody przemierza dziś wygodnym powozem w czwórkę koni teren, który usiłowaliśmy tu opisać, dla zdrowia, przyjemności lub by zaspokoić własną ciekawość. Płynie wygodnie kanałami powstałymi za rządów człowieka, który dla tego ryzykownego przedsięwzięcia nie zawahał się rzucić na szalę swej reputacji polityka. Ale niechaj żaden z tych podróżnych nie przypuszcza, że jego przodkowie równie łatwo przebywali te same wzgórza lub walczyli z tymi samymi nurtami. Przetransportowanie przez puszczę jednej ciężkiej armaty często równało się wygranej bitwie, o ile trudności dowozu nie pozbawiły jej prochu i kul, wówczas bowiem armata stawała się nikomu niepotrzebnym bezużytecznym żelastwem.

Ten stan rzeczy okazał się zgubny dla mężnego Szkota, który bronił fortu Wiliam Henry. Bo choć wróg nie doceniał wojskowego znaczenia wzgórz, jednakże bardzo umiejętnie ustawił armaty na równinie i z wielką energią i zręcznością posługiwał się ogniem. Oblężeni zaś ogniowi dział mogli przeciwstawić jedynie niedoskonałe i pośpiesznie wzniesione umocnienia leśnego fortu.

Major Heyward pod wieczór piątego dnia oblężenia, a czwartego swej służby w forcie, skorzystał z tego, że werble obwieściły właśnie zaprzestanie ognia dla nawiązania

pertraktacji, i wyszedł na wał jednego z bastionów nad wodą. Chciał odetchnąć rześkim, wilgotnym powietrzem i zobaczyć, jakie postępy poczynili oblegający. Był sam, jeśli nie liczyć wartownika przechadzającego się po parapecie wału, bo artylerzyści zeszli ze stanowisk, by jak najprędzej wykorzystać przerwę w swej ciężkiej pracy. Wieczór był cudownie cichy, a lekki wietrzyk, wiejący od czystych wód, niósł ochłodę i spokój. Wydawało się, że przyroda też skorzystała z chwilowej ciszy i przybrała najsłodszą i najponętniejszą postać. Ostatnie blaski zachodzącego słońca oświecały krajobraz, już nikogo nie nużąc żarem upalnego lata. Góry, oblane łagodnym światłem, a tu i ówdzie przesłonięte cieniem rzucanym przez zwiewne obłoki, wyglądały pięknie w szacie świeżej zieleni. Powierzchnia Horicanu usiana była wysepkami. Niektóre były niskie i ledwie wyglądały z wody, jakby w nią oprawione. Inne królowały nad lustrzaną taflą, wyrastając nad nią jak małe pagórki z zielonego aksamitu. Między tymi wysepkami, beztrosko wiosłując, uwijali się w swych zwinnych czółenkach rybacy z oblegającej armii lub spokojnie łowili ryby na wędkę, kołysząc się w łódkach nad przejrzystą tonią.

Cały obraz tchnął ciszą i życiem zarazem. Przyroda przepojona była słodyczą i majestatem, a ludzie dawali upust swym temperamentom i dyszeli życiem i radością. Wywieszono dwie małe chorągwie nieskalanej białości: jedną nad narożnikiem fortu, drugą nad najbardziej wysuniętą baterią oblegających. Były to dwa znaki rozejmu, nie tylko w walce, lecz także we wrogości obu stojących naprzeciw siebie obozów. Za chorągwiami leniwie powiewały, zwijając i rozwijając swe ciężkie jedwabne fałdy, rywalizujące ze sobą sztandary Anglii i Francji.

Ze stu wesołych i beztroskich młodych Francuzów ciągnęło niewód ku pokrytej żwirem plaży w niebezpiecznym pobliżu groźnych, lecz milczących armat fortu. Góry na wschodzie odbijały głośne okrzyki i hałaśliwą wesołość rybaków. Gromadki Francuzów spieszyły co sił nad jezioro, by wziąć udział w tych rozrywkach, inni mozolnie wspinali się na

pobliskie szczyty gór, pędzeni niespokojną ciekawością, właściwą temu narodowi. Jedynym bezczynnym, choć życzliwym świadkiem tych zajęć były czaty obserwujące obóz oraz sami oblężeni. Jednakże tu i tam żołnierze jakiejś pikiety zanucili piosenkę lub puścili się w tan, co przywabiało z leśnych zasadzek smagłolicych Indian, którzy zbierali się wokół tańczących. Krótko mówiąc, wszystko to razem wyglądało jak dzień świąteczny, a nie godzina urwana niebezpieczeństwom i trudom krwawej i bezlitosnej wojny.

Duncan stał zamyślony i przez parę minut przyglądał się tej scenie, gdy nagle jego uwagę zwrócił odgłos kroków za wałami, na wprost furtki. Ruszył więc ku węgłowi bastionu i ujrzał zwiadowcę idącego pod strażą francuskiego oficera ku głównym umocnieniom fortu; Na twarzy Sokolego Oka malowało się przygnębienie i troska. Najwidoczniej czuł się niezmiernie upokorzony tym, że wpadł w ręce nieprzyjaciół. Był bez swej ukochanej broni, a ręce miał skrępowane za plecami rzemieniem z jeleniej skóry. Białą chorągiew powiewającą nad parlamentariuszami widywało się ostatnio tak często, że gdy Heyward spojrzał na nadchodzącą grupę, spodziewał się, iż znów ujrzy jakiegoś wysłannika Francuzów. Ale gdy rozpoznał wysoką postać i mężną, choć przybitą twarz swego leśnego przyjaciela, drgnął ze zdziwienia i zawrócił, by zejść z bastionu do wnętrza fortu.

Jednakże dźwięk innych głosów zwrócił jego uwagę i skłonił do poniechania pierwotnego zamiaru. W wewnętrznym rogu bastionu ujrzał Alicję i Korę, które spacerowały wzdłuż przedpiersia wału, by, tak jak i on, zaczerpnąć świeżego powietrza po wyjściu z czterech ścian fortu. Nie widzieli się od owej groźnej chwili, kiedy Heyward rozstał się z nimi, oczywiście tylko po to, by walczyć w ich obronie. Wówczas pozostawił siostry wyczerpane trudami; teraz zobaczył je wypoczęte i kwitnące, choć ciche i zalęknione. Nic więc dziwnego, że w tych okolicznościach na chwilę zapomniał o wszystkim i już chciał do nich przemówić, gdy uprzedził go dziewczęcy i żywy głosik Alicji.

— Ach! Zdrajca! Niewierny rycerz, który porzucił damy swego serca w nieszczęściu! — wołała. — Wiele dni, nie, całe wieki czekamy, że padniesz do naszych stóp i będziesz błagał o łaskę i przebaczenie za to, żeś tak gwałtownie odszedł, a raczej powinnam powiedzieć: zbiegł, bo istotnie uciekł pan szybciej niż, jakby to powiedział nasz zacny zwiadowca, zraniony jeleń!

— Chyba pan wie, że Alicja jest panu wdzięczna i myśli tylko o tym, jak mamy panu podziękować — dodała znacznie poważniejsza i stateczniejsza od siostry Kora. — Istotnie, zastanawiałyśmy się, czemu pan nas unika i nie pozwala, abyśmy wraz z ojcem podziękowały panu za opiekę nad nami.

— Ojciec pań może potwierdzić, że stale o paniach myślę, choć obowiązki trzymały mnie z daleka od was — odparł młody człowiek. Zaciekle walczyliśmy o tę wioskę — wskazał na sąsiedni obóz warowny — bo ten, kto ją trzyma, ma w swych rękach cały fort i wszystko, co w nim się znajduje. Dlatego od chwili, gdyśmy się rozstali, spędzałem tam wszystkie dnie i noce. Myślałem, że jest to moim obowiązkiem. Ale — dodał ze smutkiem, daremnie usiłując go ukryć — gdybym był wiedział, że postępek, który uważałem za żołnierski, może być wzięty za ucieczkę, wstyd by mi było pokazać się paniom.

— Heywardzie! Duncanie! — zawołała Alicja i pochyliła się, by w na pół odwróconej twarzy majora odczytać, co ten naprawdę myśli. Przy tym ruchu złocisty lok włosów opadł na zaróżowiony policzek i przesłonił łzę w jej oku. — Nie przypuszczałam, że zaboli pana moja paplanina. Kora może potwierdzić, jak bardzo ceniliśmy pańskie usługi i jak głęboka, omal że nie powiedziałam: jak gorąca jest nasza wdzięczność.

— Posłuchajmy, czy Kora potwierdzi pani słowa! — zawołał Duncan rozchmurzając twarz w radosnym i szczerym uśmiechu. — Co powie poważniejsza z sióstr? Czy usprawiedliwi uchybienie rycerza, który musiał spełnić swój żołnierski obowiązek?

Kora zwlekała z odpowiedzią i wpatrywała się w wody jeziora. A kiedy znów spojrzała na Duncana, w oczach jej było

tyle bólu, że pod wpływem współczucia zapomniał o wszystkim.

— Najdroższa miss. Munro, czy pani coś dolega? — zawołał. — My żartowaliśmy, a pani cierpi!

— Głupstwo — odpowiedziała Kora i z kobiecą skromnością nie zgodziła się oprzeć na ofiarowanym jej ramieniu. — Nie umiem dostrzec słonecznej strony życia jak ta szczera i zapalona entuzjastka — dodała kładąc czule dłoń na ramieniu siostry. — Wynika to zapewne z mego doświadczenia i, być może, jest moim nieszczęściem. Niech pan spojrzy — ciągnęła, jakby postanowiła otrząsnąć się z chwilowej słabości — niech pan rozejrzy się wkoło, majorze Heyward, i niech pan powie, czego może spodziewać się córka żołnierza, dla której honor i sława ojca jest wszystkim.

— Ani jedno, ani drugie nie doznało uszczerbku. Wszystko sprawiły okoliczności od niego niezależne — z przejęciem odrzekł Duncan. — Ale pani słowa przypominają mi o moim obowiązku. Idę teraz do ojca pani dowiedzieć się, jakie decyzje powziął w sprawie obrony fortu. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, szlachetna Koro... mogę i muszę cię tak nazwać.

Kora szczerze podała mu rękę. Wargi jej drżały, a policzki pobladły.

— Wiem, że w szczęściu i nieszczęściu będzie pani klejnotem i wcieleniem honoru swej płci — ciągnął major. — Do widzenia, Alicjo — uwielbienie w jego głosie ustąpiło czułości — do widzenia, Alicjo. Niebawem się spotkamy — wierzę — jako zwycięzcy wśród ogólnej radości!

Nie czekając na odpowiedź sióstr pobiegł w dół po zarośniętych trawą stopniach bastionu i szybko przeciąwszy plac parad stanął przed obliczem ojca Alicji i Kory. Gdy Duncan wszedł, Munro wielkimi krokami, głęboko zatroskany, przechadzał się po swym wąskim pokoiku.

— Odgadł pan moje życzenie, majorze Heyward — powiedział. — Właśnie zamierzałem posłać po pana.

— Z przykrością zobaczyłem, sir, że wysłannik, którego tak gorąco polecałem panu, powrócił pod strażą Francuza! Sądzę

jednak, że nie ma powodów, aby wątpić w jego wierność?

— Znam dobrze wierność Długiej Strzelby— odparł Munro — i nie budzi ona żadnych wątpliwości. Ale jego zwykłe szczęście tym razem mu nie dopisało. Montcalm przychwycił go i z przeklętą galanterią Francuzów odesłał mi, przy czym nie omieszkał złośliwie zauważyć, że wiedząc, jak bardzo cenię tego zucha, nie śmiał go zatrzymać. Oto jezuicki sposób, majorze Heyward, powiedzenia człowiekowi o nieszczęściu, które nań spadło.

— A generał Webb i jego odsiecz?

— Czy nie spojrzał pan na południe, kiedyś pan tu szedł, i czyś jej nie dojrzał? — odparł stary żołnierz śmiejąc się gorzko. — Spokojnie, spokojnie, młody człowieku, niecierpliwy z pana młodzik. Niech pan nie wymaga pośpiechu od powolnych dżentelmenów.

— A więc nadejdą? Zwiadowca przyniósł tę wiadomość?

— Kiedy i którędy?. Ten tępak zapomniał mi o tym powiedzieć. Był też jakiś list — zdaje się, jedyna przyjemna strona całej sprawy. Bo ten pański markiz Montcalm — ręczę, Duncanie, że nasz markiz z Lothian mógłby pozwolić sobie na nabycie tuzina takich tytułów — ze zwykłą sobie uprzejmością odesłałby nam list, gdyby były w nim jakieś złe wiadomości. Galanteria tego francuskiego jegomościa wymagałaby przecież, by je nam zakomunikował.

— Więc zatrzymał list, a zwolnił posłańca!

— Tak. Tak właśnie zrobił, i wszystko przez tak zwaną *bonhomie*. Jestem pewien, że gdybyśmy mogli znać prawdę, okazałoby się, że dziadek tego pana był nauczycielem szlachetnej sztuki tańca.

— Ale co mówi zwiadowca? Przecież ma oczy, uszy i język. Co raportuje ustnie?

— O, mój panie, nie brak mu żadnego z tych organów. Może zdać sprawę ze wszystkiego, co widział i słyszał.” Ale całe sprawozdanie brzmi tak: jest sobie królewski fort nad brzegami Hudsonu, nazwany fortem Edwarda na cześć jego królewskiej

wysokości księcia Yorku, jak pan wie, i ten fort jest pełny wojska, tak jak powinno być.

— Ale czy nie widział tam żadnych przygotowań do przyjścia nam z pomocą?

— Co rano i co wieczora odbywały się tam parady, a kiedy któryś z tych nieokrzesanych kolonistów — pan mnie zrozumie, Duncanie, przecież sam jesteś półkrwi Szkotem — więc kiedy któryś z nich podsypie trochę prochu do ognia przy warzeniu owsianki, ten ledwie się zapala. — I nagle zmieniając ironiczny i pełen goryczy ton na poważniejszy, dodał z namysłem: — A jednak w tym liście mogło i musiało być coś, o czym dobrze byłoby wiedzieć.

— Musimy natychmiast coś przedsięwziąć — powiedział Duncan, szybko wykorzystując tę zmianę humoru i wysuwając na pierwszy plan rozmowy sprawę ważniejszą. — Muszę panu powiedzieć, sir, że obozu nie da się dłużej utrzymać. I przykro mi dodać, że w samym forcie sprawy nie stoją dobrze. Przeszło połowa armat popękała.

— Czy mogło być inaczej? Jedne wyłowiono,z dna jeziora, drugie rdzewiały w puszczy od czasu odkrycia tego kraju, inne wreszcie nigdy nie były armatami, lecz zaledwie zabawkami w rękach korsarzy. Czy sądzi pan, że mógłbyś mieć armaty z Woolwich w środku tej puszczy, o trzy tysiące mil od Wielkiej Brytanii?

— Wały się kruszą, daje się odczuć brak żywności — ciągnął Heyward nie zważając na ten nowy wybuch oburzenia — i ludzie zdradzają już niezadowolenie i niepokój — Majorze Heyward — powiedział Munro zwracając się do swego młodego kolegi z godnością człowieka starszego wiekiem i stopniem. — Gdybym nie wiedział o tym wszystkim i gdybym nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, na próżno przez pół wieku służyłbym królowi i doczekał się siwych włosów. Ale winniśmy pamiętać o honorze armii królewskiej i naszym własnym. Jeżeli więc mamy jakąś nadzieję na odsiecz, będę bronił tej twierdzy nawet kamykami pozbieranymi na brzegu jeziora. Musimy bodaj rzucić okiem na list i dowiedzieć się, co zamierza

człowiek, którego earl Louden zostawił nam jako swego zastępcę.

— Czy mogę się w tym na coś panu przydać?

— Tak, panie majorze. Markiz de Montcalm, świadcząc mi różne uprzejmości, zaproponował spotkanie wpół drogi między fortem i jego obozem w celu, jak mówi, podzielenia się ze mną paroma nowymi wiadomościami. Sądzę jednak, że postąpiłbym nierozsądnie, gdybym zbytnio się śpieszył do tego osobistego spotkania. Dlatego chcę wyznaczyć na mego zastępcę w tej rozmowie pana, jako oficera w stopniu majora. Przyniosłoby bowiem ujmę honorowi Szkocji, gdyby ludzie powiedzieli, że jakiś cudzoziemiec prześcignął szkockiego szlachcica w uprzejmości.

Nie wdając się w jałową dyskusję na temat, który z narodów jest grzeczniejszy, Duncan chętnie zgodził się zastąpić starego żołnierza w spotkaniu z Montcalmem. Po długiej, poufnej rozmowie ze swym doświadczonym i obdarzonym wrodzoną przenikliwością dowódcą, podczas której otrzymał dodatkowe instrukcje, major pożegnał się i wyszedł.

Duncan występował tylko jako przedstawiciel komendanta fortu, można więc było poniechać pełnego ceremoniału obowiązującego przy spotkaniu dwóch dowódców wrogich sobie armii. Zawieszenie broni wciąż jeszcze obowiązywało, toteż w dziesięć minut po otrzymaniu instrukcji Duncan pod osłoną małej, białej chorągwi, przy warkocie bębna opuścił fort i wyszedł przez furtkę w wale. Na linii nieprzyjaciela powitał go oficer francuski z zachowaniem form uświęconych zwyczajem i natychmiast zaprowadził do odległego dużego namiotu sławnego żołnierza — dowódcy wojsk francuskich.

Generał przyjął młodego parlamentariusza w otoczeniu swych najstarszych rangą oficerów i grona czerwonoskórych — wodzów licznych plemion, którzy wyruszyli za nim w pole na czele zbrojnych oddziałów indiańskich. Heyward zmieszał się na mgnienie oka, kiedy zerknął na grupę czerwonoskórych i ujrzał złą, podstępną twarz Maguy. Wódz przyglądał mu się ze spokojną i posępną uwagą. Z ust młodego oficera wyrwał się

lekki okrzyk zdziwienia. Ale natychmiast przypomniał sobie, przed kim stoi i z czym przyszedł. Pohamował więc wzburzenie i zwrócił się do Montcalma, który już postąpił parę kroków na jego powitanie. W, okresie, który tu opisujemy, markiz de Montcalm był w rozkwicie swych lat i, trzeba dodać, u szczytu powodzenia. Lecz nawet teraz, kiedy można mu było pozazdrościć sławy, był uprzejmy i słynął zarówno z dworskich form, jak i z rycerskiej odwagi, którą zaledwie w dwa lata później przypłacił życiem na równinach Abrahama. Duncan oderwał wzrok od złej twarzy Maguy i z przyjemnością patrzył na uśmiechnięte oblicze, wytworne rysy i wspaniałą, wojskową postać francuskiego generała.

— Monsieur — powiedział Montcalm — mam zaszczyt, ba!... gdzież się podział tłumacz?

— Sądzę, że nie będzie nam potrzebny — skromnie odparł po francusku Heyward. — Znam trochę francuski.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekł Montcalm, poufałym ruchem ujmując Duncana pod ramię i prowadząc go w głąb namiotu, z dala od ludzkich uszu — nienawidzę tych gałganów; nigdy nie wiadomo, czego się po nich spodziewać. A więc, mój panie — mówił po francusku — choć czułbym się bardzo zaszczycony, gdybym mógł powitać pańskiego przełożonego, jestem szczęśliwy, że wysłał w swym zastępstwie oficera tak wybitnego i, pozwolę sobie zauważyć, tak uprzejmego jak pan.

Duncan skłonił się nisko. Pochlebił mu ten komplement, mimo że niezłomnie postanowił nie dać się wziąć na piękne słówka, które mogłyby uśpić jego czujność. A Montcalm po krótkiej pauzie, podczas której jakby zbierał myśli, mówił dalej:

— Pański przełożony to człowiek dzielny i niewątpliwie potrafi stawić mi czoło. Ale, mój panie, czy nie czas, abyśmy się więcej kierowali względami ludzkości, a mniej naszą odwagą? Jedno i drugie stanowi zaletę prawdziwego bohatera.

— My uważamy obie te zalety za nierozłączne — z uśmiechem odparł Duncan. — Jeżeli jednak pańska energia, ekscelencjo, pobudza w nas tylko męstwo i odwagę, to nic nas nie nagli do okazania miłości bliźniego.

Z kolei Montcalm skłonił się lekko. Uczynił to z miną człowieka doskonale znającego sztukę schlebiania. Zastanowił się chwilę i mówił dalej:

— Czyżby moja luneta mnie myliła i, wasze wały lepiej znosiły ogień armat, niż mi się zdawało? Czy orientuje się pan, jakie mam siły?

— Posiadane przez nas informacje nie są zgodne — beztrosko odparł Duncan — jednakże oceniamy pańskie siły najwyżej na dwadzieścia tysięcy ludzi.

Francuz przygryzł wargę i badawczo patrzył w twarz Duncana, jakby chciał odczytać jego myśli. Potem z właściwą mu łatwością mówił dalej, pozornie zgadzając się z Duncanem, który wymienił liczbę dwa razy większą od prawdziwej.

— Słony to komplement dla naszej żołnierskiej czujności, że mimo największych wysiłków nie możemy ukryć liczby naszych wojsk. Gdzież, jeśli nie w puszczy, można ukryć swe siły przed okiem nieprzyjaciela? Choć pan uważa, że jeszcze za wcześnie na humanitarne uczucia — dodał uśmiechając się chytrze — sądzę jednak, że czułe serce bije w człowieku tak młodym jak pan. Słyszałem, że córki pułkownika przedostały się do fortu już w czasie oblężenia.

— Tak jest, panie generale, ale ich obecność bynajmniej nie osłabia ducha obrońców fortu. Odwrotnie, dają nam przykład męstwa i nieugiętości charakteru. Gdyby silna wola i stanowczość wystarczyły, by stawić czoło tak wybitnemu wodzowi jak generał Montcalm, bez wahania powierzyłbym obronę fortu starszej z tych pań.

— W naszych Prawach Salickich istnieje pewne mądre postanowienie. Mówi ono: „Korona Francji nigdy nie przejdzie od miecza do kądzieli” — powiedział Montcalm tonem suchym i z lekka wyniosłym, ale natychmiast dorzucił z poprzednią prostotą i swobodą: — Wszystkie szlachetne cechy są dziedziczne, wierzę więc panu na słowo. Lecz jak już mówiłem, odwagą ma swoje granice i nie można zapominać o względach ludzkości. Sądzę, że jest pan upoważniony do pertraktacji o poddanie fortu?

— Czyżby uważał pan, ekscelencjo, naszą obronę za tak słabą, że nie mamy innego wyboru?

— Przykro by mi było, gdyby obrona się przeciągała, gdyż rozwścieczyłoby to moich czerwonoskórych sprzymierzeńców — odparł Montcalm wskazując oczami na grupę poważnie i z uwagą przysłuchujących się Indian i pomijając pytanie Heywarda. — Nawet teraz trudno mi utrzymać ich w ryzach.

Heyward milczał. Nagle przypomniał sobie niedawno przeżyte niebezpieczeństwo i dwie słabe kobiety, które dzieliły z nim trudy i cierpienia.

— Ci panowie — powiedział Montcalm chcąc wykorzystać przewagę, którą, jak sądził, udało mu się zdobyć — są doprawdy straszni, gdy spotka ich zawód. Nie potrzebuję też mówić panu, jak trudno ich powstrzymać, gdy wpadną w szał. A zatem, mój panie, czy możemy omówić warunki kapitulacji?

— Obawiam się, ekscelencjo, że jest pan w błędzie co do wytrzymałości wałów fortu William Henry i możliwości jego obrony.

— Przecież oblegam nie miasto Quebec, lecz fort o wałach usypanych z ziemi i broniony co najwyżej przez dwa tysiące trzystu dzielnych ludzi — lakonicznie odpowiedział Montcalm.

— Nasze wały są z ziemi, to prawda. Nie usypano ich też na skałach Cape Diamont, ale wznoszą się na tych samych brzegach, które okazały się tak zgubne dla barona Dieskau i jego armii. Poza tym zaledwie o parę godzin marszu stąd stoi potężna armia, którą uważamy za część naszych sił.

— Raptem jakieś sześć do ośmiu tysięcy ludzi — odparł Montcalm z wyraźnym lekceważeniem. — A ich wódz myśli, że bezpieczniej jest siedzieć za wałami fortu niż wyjść w pole.

Teraz znów Heyward przygryzł wargę, z przykrością słysząc, jak Montcalm spokojnie i obojętnie mówi o armii, której liczebność najwyraźniej przecenił. Obaj namyślali się chwilę w milczeniu, aż wreszcie Montcalm podjął rozmowę i prowadził ją dalej tak, jakby wierzył święcie, że major przybył tylko po to, by uzgodnić warunki kapitulacji. Ze swej strony Heyward czynił najróżniejsze próby wyciągnięcia od generała tajemnicy

przejętego listu. Lecz żadnemu z nich nie udały się te wybiegi. Po bezowocnej, choć długiej rozmowie Duncan pożegnał się pod silnym wrażeniem niezwykłej uprzejmości i wielkich talentów swego wroga, ale tak samo daleki od celu, jak na początku rozmowy. Montcalm odprowadził go aż do wejścia do namiotu i raz jeszcze zaproponował jak najszybsze spotkanie z komendantem fortu na otwartym terenie, wpół drogi między wojskami.

Potem rozstali się i Duncan w towarzystwie francuskiego oficera powrócił na forpocztę, skąd natychmiast udał się do kwatery dowódcy fortu.

# ROZDZIAŁ SZESNASTY

Edgar:
*Nim zaczniesz walkę, list zechciej otworzyć.*

”Król Lear”

Po powrocie major Heyward zastał pułkownika Munro w towarzystwie córek. Alicja siedziała na kolanach ojca i delikatnymi paluszkami rozczesywała mu siwe włosy opadające na czoło. Ilekroć starzec, niby zły na tą pieszczotę, marszczył się, uspokajała udany gniew pocałunkiem w pomarszczone czoło. Kora siedziała obok jako niemy i rozbawiony świadek tej sceny. Z niemal macierzyńską tkliwością przyglądała się ruchom swej rozkapryszonej młodszej siostry. W tym miłym, kojącym nastroju rodzinnym jakby zapomniały o niedawnych przejściach i o niebezpieczeństwach, które im jeszcze groziły. Rodzina pułkownika korzystała z krótkiego zawieszenia broni, by poświęcić parę chwil wzajemnym czułościom. W chwilowej ciszy i spokoju córki zapomniały o swych obawach, a ojciec o gnębiących go troskach. Duncan, który chciał jak najprędzej zdać pułkownikowi sprawę ze swej rozmowy z Montcalmem i dlatego wszedł nie meldowany, przystanął na progu zachwycony tą sceną. W pierwszej chwili nikt go nie zauważył. Ale bystre i rozbiegane oczy Alicji wkrótce dostrzegły jego odbicie w lustrze. Dziewczyna zarumieniła się, zeskoczyła z kolan ojca i zawołała:

— Major Heyward!

— Co? — zapytał ojciec. — Posłałem go, żeby trochę pogadał z tym Francuzem. Ha, sir, jest pan młody i jak widzą, szybki!

Wynoście się zbytnice! Stary żołnierz dość ma trosk nawet bez takich gadatliwych srok w obozie.

Alicja śmiejąc się poszła za Korą, która natychmiast wyszła, aby nie przeszkadzać w rozmowie. Munro wcale nie pytał młodego majora o wynik rozmowy z Montcalmem. Parę chwil chodził po pokoju pochylony, z rękami założonymi w tył, i zatopiony w myślach! Wreszcie uniósł wzrok przepojony głęboką miłością ojcowską i zawołał:

— Wspaniałe dziewczyny, Duncanie! Doprawdy, można być z nich dumnym.

— Zna pan już, pułkowniku, moje zdanie o pańskich córkach…

— Otóż to, mój chłopcze — przerwał mu niecierpliwy starzec. — W dniu pańskiego przybycia do fortu chciał pan nawet otworzyć przede mną swe serce. Uważałem wówczas, że nie godzi się staremu żołnierzowi mówić o ojcowskim błogosławieństwie i ślubnych ceremoniach, kiedy wrogowie jego króla mogą jak nieproszeni goście przybyć na ucztę weselną! Ale myliłem się, Duncanie, mój chłopcze… myliłem się i teraz jestem gotów cię wysłuchać.

— Mimo szczerej radości, jaką sprawia mi pańskie zapewnienie, sir, chciałbym powtórzyć zlecenie dane mi przez Montcalma…

— Niech diabli porwą Francuza wraz z jego hordami, mój panie! — zawołał zapalczywy Munro. — Jeszcze nie zdobył fortu i nigdy go nie zdobędzie, jeśli tylko Webb spełni swój obowiązek. Nie, mój panie! Dzięki Najwyższemu sprawy nie zaszły aż tak daleko. Nie można powiedzieć, że stary Munro jest tak przyciśnięty do muru, iż musi zapomnieć o sprawach rodzinnych. Pańska matka, Duncanie, była jedynym dzieckiem mego serdecznego przyjaciela. Wysłucham cię tedy, nawet gdyby wszyscy kawalerowie orderu świętego Ludwika z tym francuskim świętym na czele stali przed furtką do obozu i błagali mnie o parę słów rozmowy. Piękny order, ani słowa, który można nabyć za baryłkę cukru! A te groszowe tytuły markizów! Oset — to oznaka godności starego rodu, prawdziwe

*nemo me impune lacessit* rycerskiego stanu! Miałeś przodków, Duncanie, odznaczonych tym orderem. Byli kwiatem szkockiej arystokracji.

Heyward wyczuł, że Munro ze złośliwą satysfakcją lekceważy sobie to, co kazał mu powiedzieć francuski generał. Dlatego postanowił nie sprzeciwiać się, bo wiedział, że gniew pułkownika szybko przejdzie. Odparł więc z taką obojętnością, na jaką tylko mógł się zdobyć:

— Moim gorącym pragnieniem, sir, jak pan wie, jest, bym mógł zostać pańskim zięciem!

— Tak, mój chłopcze, wyrażasz się dość jasno. Ale niech mi wolno będzie spytać, czy o swych uczuciach równie jasno powiedziałeś dziewczynie?

— Klnę się na honor, że nie! — gorąco wykrzyknął Duncan. — Postąpiłbym nieszlachetnie, gdybym skorzystał z przywileju, jaki dawała mi sytuacja.

— Postąpiłeś jak dżentelmen, majorze Heyward, inaczej postąpić nie mogłeś. Ale Kora Munro jest dziewczyną rozsądną i ma umysł zbyt wzniosły i doskonały, by potrzebowała opieki nawet ze strony ojca.

— Kora?

— Tak, Kora! Mówimy o pańskich staraniach o rękę miss Munro, nieprawda, mój panie?

— Ja… ja… chyba nie wymieniłem imienia — jąkał się Duncan.

— Majorze Heyward, o czyjąż rękę mnie prosisz? — zapytał stary żołnierz prostując się urażony w swej dumie.

— Ma pan jeszcze jedną i nie mniej uroczą córkę.

— Alicja! — zawołał ojciec tak samo zdziwiony jak Heyward przed chwilą.

— O niej właśnie myślałem, sir.

Młodzieniec czekał w milczeniu na wynik tych oświadczyn, które najwyraźniej zupełnie zaskoczyły i wstrząsnęły pułkownikiem Munro. Przez dłuższą chwilę starzec przemierzał pokój długimi i szybkimi krokami, a jego surowe rysy drgały konwulsyjnie. Najwidoczniej całą duszą zatonął w

rozmyślaniach. W końcu przystanął przed Heywardem, wbił wzrok w jego oczy i powiedział drżącymi ustami:

— Duncanie Heyward, kochałem pana przez wzgląd na człowieka, którego krew płynie w pańskich żyłach; kochałem cię dla twych własnych zalet i kochałem cię, bo wierzyłem, że dasz szczęście memu dziecku. Ale cała moja miłość zamieni się w zaciekłą nienawiść, jeśli się przekonam, że to, czego się śmiertelnie lękam, jest prawdą.

— Niechże Bóg broni, aby jakiś mój postępek lub jakaś myśl doprowadziła do podobnej zmiany! — zawołał młodzieniec, a jego wzrok nawet nie drgnął pod badawczym spojrzeniem wpatrzonych weń oczu. Munro zaś, najwidoczniej nie orientując się, że Duncan nie rozumie przyczyn jego wzburzenia, pod wpływem niezachwianej postawy młodzieńca opanował już gniew i znacznie łagodniejszym tonem ciągnął dalej:

— Chciałbyś być moim synem, Duncanie, a czy znasz historię człowieka, którego pragnąłbyś nazwać ojcem? Siadaj więc, a ja w paru słowach powiem ci, co mnie boli.

Teraz o poleceniach Montcalma zapomniał i Duncan, który miał je powtórzyć, i Munro, który miał ich wysłuchać. Obaj przysunęli sobie krzesła i gdy stary weteran przez kilka minut siedział zamyślony i poważnie zatroskany, młody major czekał cierpliwie. Jego postawa i spojrzenie wyrażały jak najgłębszy szacunek i uwagę. Wreszcie starzec zaczął:

— Wie pan, majorze Heyward, że ród mój jest stary i szanowany — mówił.— ale bynajmniej nie opływa w takie dostatki, które by odpowiadały jego powadze. Byłem w pańskim wieku, kiedy zakochałem się w Alicji Graham, jedynej córce naszego sąsiada, właściciela obszernych włości. Ale ojciec Alicji sprzeciwił się naszemu małżeństwu, i to nie tylko dla mego ubóstwa. Wówczas postąpiłem tak, jak winien postąpić uczciwy człowiek: zwróciłem pannie słowo, zaciągnąłem się do wojska i wyjechałem. Widziałem wiele krajów i przelałem wiele krwi w różnych częściach świata, aż wreszcie wysłano mnie na wyspy zachodnio-indyjskie. Los zrządził, że poznałem tam kobietę,

która została moją żoną i matką Kory. Była ona córką pewnego dżentelmena z tych wysp. Jej matka na swe nieszczęście, jeśli chce pan wiedzieć — dumnie mówił starzec — pochodziła (co prawda w dalekiej linii) z tej upośledzonej rasy, która jest podle skazana na niewolnictwo po to, by zaspokajać kaprysy bogaczy. Tak, panie, przekleństwem Szkocji jest jej nienaturalny związek z obcym narodem handlarzy. Lecz niechbym znalazł wśród Anglików człowieka, który ośmieliłby się z pogardą spojrzeć na moje dziecko, poczułby on cały ciężar mego gniewu! Ha! Majorze Heyward, pan sam urodził się na południu, gdzie te nieszczęsne istoty są uważane za rasę gorszą od pańskiej.

— Niestety, to szczera prawda, sir — odparł Duncan i tak się zmieszał, że aż spuścił oczy.

— I pan robi z tego zarzut mej córce! Z pogardą odrzuca pan myśl o związku z istotą podobnego pochodzenia, choć czarującą i obdarzoną licznymi cnotami? — gniewnie pytał starzec, dbały o los swego dziecka.

— Niechże mnie Bóg broni od niemądrych przesądów! — odparł Duncan. Ale w duszy zdał sobie sprawę, że wcale nie był wolny od tego przesądu. — Uroda, czar i urok pańskiej młodszej córki, panie pułkowniku, całkowicie mnie tłumaczą. Niech więc mi pan nie stawia podobnych zarzutów.

— Ma pan rację — odparł starzec już uprzejmiejszym, a raczej łagodniejszym tonem. — Dziewczyna jest żywym portretem matki, gdy ta była w jej wieku i nie zaznała jeszcze trosk. Po śmierci żony wróciłem do Szkocji. Małżeństwo przyniosło mi majątek. I czy pan uwierzy, Duncanie, Alicja, biedny anioł, nie wyszła za mąż i dwadzieścia lat czekała na człowieka, który przecież mógł był o niej zapomnieć! Ale zrobiła coś więcej, mój panie: wybaczyła mi moje wiarołomstwo, a ponieważ zniknęły wszystkie przeszkody, zgodziła się zostać moją żoną.

— I ona była matką Alicji?! — zawołał Duncan z zapałem, który mógłby wydać się podejrzany pułkownikowi, gdyby nie był tak zajęty swymi myślami.

— Tak, istotnie — odparł — i drogo zapłaciła za dane mi szczęście. Ale w niebie na pewno jest wśród świętych i nie wypada człowiekowi, który stoi nad grobem, narzekać na tak błogosławiony los. Żyliśmy ze sobą tylko jeden rok. Krótki to okres szczęścia dla kobiety, która spędziła młodość w beznadziejnej tęsknocie.

Z cierpienia starego człowieka bił taki majestat, że Heyward nawet słowem nie odważył się wyrazić swego współczucia. Munro siedział, jakby zapomniał o jego obecności. Rysy pułkownika wykrzywione bólem zdradzały mękę, a ciężkie łzy swobodnie spływały po policzkach i spadały na podłogę. Wreszcie poruszył się, jakby nagle odzyskał przytomność, wstał, przeszedł się po pokoju, podszedł do majora i z wyniosłą miną dowódcy zapytał:

— Gzy chce pan, majorze Heyward, przekazać mi jakieś wiadomości od markiza de Montcalm?

Duncan poderwał się i natychmiast rozpoczął z lekkim zakłopotaniem zdawać raport z rozmowy, o której już niemal zapomniał. Nie będziemy powtarzać za nim wykrętnego, choć grzecznego sposobu, w jaki generał francuski uchylił się od wyjaśnienia, po co chce się spotkać z pułkownikiem Munro, ani stanowczego i równie grzecznego oświadczenia, z którego wynikało, że jeśli Munro nie zechce dowiedzieć się o tym osobiście, nie dowie się wcale. Munro słuchał szczegółowej relacji Heywarda i stopniowo obowiązek dowódcy brał górę nad uczuciami ojcowskimi. A gdy Duncan skończył, miał przed sobą już tylko starego weterana, dotkniętego w swej żołnierskiej dumie.

— Majorze Heyward, dość już słyszałem! — zawołał rozgniewany starzec. — Dość, by stworzyć z tego dzieło o uprzejmości Francuzów. Ten jegomość zaprosił mnie na rozmowę, a kiedy posłałem mu godnego zastępcę, bo mimo młodego wieku zasługujesz na to określenie, Duncanie, odpowiada mi jakąś zagadką.

— Mógł nie być tak pochlebnego zdania o mnie, sir. Proszę też pamiętać, że zaproszenie, które teraz ponawia, było skierowane

do komendanta fortu, a nie do jego zastępcy.

— Tak, sir, ale czyż zastępca nie posiada władzy swego mocodawcy i czy nie reprezentuje jego powagi? Chce rozmawiać z Munro! Na Boga, mam wielką ochotę spełnić jego prośbę, chociażby po to, by mógł się przekonać na własne oczy, że się go nie boimy mimo jego przewagi i gróźb. Może byłoby to nawet dobrym politycznym posunięciem, mój chłopcze.

Duncan uważał, że koniecznie trzeba się dowiedzieć, co zawierał list odebrany zwiadowcy, i dlatego chętnie zgodził się z pułkownikiem.

—Niewątpliwie stropi go nasza obojętność — powiedział.

— Święta racja. Pragnąłbym, mój panie, aby Montcalm przybył do fortu w jasny dzień i na czele atakujących kolumn. Wtedy najlepiej poznalibyśmy ducha Francuzów. Atak jest lepszą metodą od taktyki oblegania, którą wybrał ten Francuz. Przez sztuczki pańskiego de Vauban, majorze Heyward, wojna wiele straciła na pięknie i męskości. Nasi przodkowie gardzili tego rodzaju uczonym tchórzostwem!

— Niewątpliwie ma pan rację, sir, ale na sztuczkę musimy odpowiedzieć sztuczką. Co pan rozkaże w związku z tym spotkaniem?

— Spotkam się z Francuzem niezwłocznie, i to bez żadnych obaw. Niezwłocznie, sir, tak jak wypada wiernemu słudze króla. Niech pan idzie, majorze Heyward, i poleci, by Francuzów powitano biciem w bębny i dźwiękami trąb. Proszę wysłać oficera z zawiadomieniem, kto nadejdzie. Udamy się na spotkanie z niewielką asystą honorową, bo tak wypada człowiekowi, który reprezentuje osobę i majestat króla. Posłuchaj, Duncanie — dodał szeptem, mimo że byli sami — dobrze byłoby jednak mieć jakiś oddział pod ręką, na wypadek, gdyby za tym wszystkim kryła się zdrada.

Major wysłuchał rozkazu pułkownika Munro i wyszedł, a że dzień szybko chylił się ku końcowi, natychmiast wydał niezbędne polecenia. W parę minut sformował oddział i wysłał oficera z białą flagą, który miał zapowiedzieć nadejście komendanta fortu. Potem poprowadził mały oddział do furtki w

wale, gdzie Munro już czekał. Zaraz po przyjęciu raportu stary wódz i jego młody kolega w towarzystwie eskorty opuścili fort.

Ledwie przebyli sto jardów, ujrzeli grupkę wojskowych — francuskiego generała i jego asystę — wychodzących z wąwozu, którym płynął strumień przedzielający wrogie obozy. Munro szedł na spotkanie z nieprzyjacielem dumnie wyprostowany, pewnym krokiem i z wyniosłą miną. Gdy zaś ujrzał biały pióropusz na kapeluszu Montcalma, oczy jego zapłonęły odwagą i jakby nagle odmłodniał.

— Rozkaż naszym zuchom, by nie spuszczali wroga z oczu — półgłosem polecił Duncanowi. — Strzelby i szable niech mają w pogotowiu, bo słudze Ludwików nigdy nie można ufać. A my pokażemy, że się niczego nie obawiamy. Pan mnie rozumie, majorze Heyward?

Przerwało mu donośne bicie bębnów od strony nadchodzących Francuzów. Natychmiast odezwały się bębny Anglików. Potem każda ze stron wysłała naprzód oficera z białą chorągwią, a ostrożny Szkot stanął mając tuż za sobą oddział asysty. Zaraz po tych wstępnych powitaniach Montcalm w dworskim ukłonie zdjął kapelusz i niemal zamiatając ziemię śnieżnobiałym pióropuszem, szybkim i pełnym gracji krokiem ruszył na spotkanie pułkownika Munro. Z obu dowódców Munro miał w sobie więcej męstwa i powagi, natomiast brakło mu niewymuszonej swobody i dwornej ogłady Montcalma. Przez parę minut obaj wodzowie milczeli i przyglądali się sobie z żywym zaciekawieniem. Potem Mootcalm, jak to wypadało z racji jego wyższej rangi i z charakteru spotkania, przerwał milczenie. Po uprzejmym przywitaniu się z pułkownikiem, zwrócił się do Duncana, i, nadal po francusku, ciągnął z uśmiechem, jak do znajomego:

— Cieszę się bardzo, że pan zaszczycił nas swą obecnością przy tym spotkaniu. Obejdziemy się bez urzędowego tłumacza, bo jeśli pan zgodzi się tłumaczyć, będę się czuł tak, jakbym mówił waszym językiem, panowie.

Duncan ukłonem podziękował za komplement, a Montcalm zwrócił się do swej asysty, która naśladując Anglików stanęła

tuż za nim, i powiedział:

— *En arriere, mes enfants, il fait chaud, retirez-vous un peu!*

Heyward chciał odpłacić podobnym dowodem zaufania, ale najprzód rozejrzał się wkoło i z niepokojem zauważył, że ze i skraju puszczy, otaczającej równinę, ciekawie patrzą na nich liczne, choć ledwie widoczne grupki Indian.

— Pan de Montcalm niewątpliwie przyzna, że nie jesteśmy w jednakowym położeniu — powiedział z lekkim zakłopotaniem i wskazał na strasznych wrogów, skupionych w pobliżu. — Jeżeli każemy odejść naszej asyście, zostaniemy całkowicie na łasce nieprzyjaciół.

— Panie — odparł Montcalm przykładając wymownym ruchem rękę do serca — za wasze bezpieczeństwo ręczę słowem francuskiego szlachcica. To powinno wystarczyć.

— Wystarczy. Odstąpcie — rozkazał Duncan oficerowi, który dowodził angielskim oddziałem. — Odstąpcie na odległość głosu i czekajcie dalszych rozkazów.

Munro, który patrzył na ruchy oddziału z widocznym niepokojem, natychmiast zażądał wyjaśnienia.

— Czy we własnym interesie, sir, nie powinniśmy okazać ufności? — odparł Duncan. — Generał Montcalm ręczy za nasze bezpieczeństwo, kazałem więc ludziom cofnąć się, by dowieść, że wierzymy jego słowu.

— Może to i słuszne, mój panie, jednakże niezbyt wierzę w uczciwość tych markizów, jak oni sami o sobie mówią. Ich nadania szlacheckie są za częste, by nosiły pieczęcie niewątpliwego honoru.

— Pan zapomina, że mówimy z oficerem słynnym ze swych czynów nie tylko w Europie, lecz i w Ameryce. Po tak sławnym żołnierzu trudno spodziewać się czegoś złego.

Starzec skinął ręką z rezygnacją, ale jego surowa twarz nadal zdradzała uporczywą niewiarę. Wynikała ona raczej z pewnego rodzaju dziedzicznej pogardy dla wroga niż z jakichś określonych przyczyn. Montcalm czekał cierpliwie na zakończenie tej cichej rozmowy, potem zbliżył się i powiedział:

— Prosiłem o to spotkanie z pańskim przełożonym — mówił — bo wierzę, że pozwoli sobie wytłumaczyć, iż zrobił wszystko, co mógł, dla uratowania honoru jego króla i że nadeszła pora, by przemówiły względy ludzkości. Ja zawsze będę świadczył, że pułkownik Munro bronił się dzielnie i że walczył dopóty, dopóki pozostawał mu cień nadziei.

Kiedy Duncan przełożył ten wstęp, Munro odpowiedział z godnością i uprzejmie:

— Choć wielce sobie cenię podobną pochwałę z ust generała Montcalma, będę ją cenił jeszcze wyżej, gdy lepiej na nią zasłużę;

Francuz uśmiechnął się, gdy Duncan przełożył mu tę odpowiedź, i zauważył:

— Na to, na co w pełni zasługuje niewątpliwa odwaga, może nie zasłużyć bezcelowy upór. Może pułkownik Munro zechciałby zobaczyć mój obóz i na własne oczy przekonać się o moich siłach i o tym, jak beznadziejny jest dalszy opór.

— Wiem, że jego królewska mość król Francji dysponuje licznym wojskiem — odparł niewzruszony Szkot, gdy tylko Duncan zakończył tłumaczenie słów Montcalma. — Mój król ma jednak nie mniej liczne i równie wierne wojska.

— Jednakże nie tutaj, na nasze szczęście — bez wahania odparł Montcalm, nie czekając w ferworze dyskusji na tłumacza. Los wojny jest zmienny i prawdziwie mężny człowiek umie mu się poddać tak samo odważnie, jak stawia czoło swym wrogom.

— Gdybym wiedział, że pan włada angielskim, oszczędziłbym sobie trudu nieudolnego tłumaczenia — oschłym tonem powiedział Duncan przypomniawszy sobie swą ostatnią wymianę zdań z Munro.

— Proszę mi wybaczyć — odparł Francuz, a jego śniade policzki lekko się zaróżowiły. — Wielka to jednak różnica rozumieć i mówić w obcym języku. Dlatego, też proszę, niech mi pan nie odmawia dalszej pomocy. — I po krótkiej przerwie dodał: — Te góry pozwalają nam dokładnie widzieć wasze

umocnienia, panowie, i dlatego, być może, orientuję się w ich złym stanie nie gorzej od was.

— Proszę zapytać francuskiego generała, czy jego luneta pozwala mu dojrzeć Hudson — dumnie odparł Munro — czy wie, gdzie i kiedy spotka się z armią Webba.

— Pozwólmy *więc* zabrać głos samemu generałowi Webbowi — rzekł chytry Francuz i zanim skończył mówić, podał otwarty list pułkownikowi. — Przekona się pan wówczas, że Webb nie sprawi mi kłopotu.

Stary żołnierz chwycił podany mu papier, nawet nie czekając, aż Duncan przełoży słowa Francuza. Gorączkowa niecierpliwość tego ruchu zdradziła, jak bardzo zależało mu na poznaniu treści listu. Ale gdy szybko przebiegał wzrokiem słowa tego pisma, zmienił się na twarzy. Rozpacz zajęła miejsce żołnierskiej dumy, a wargi poczęły mu drżeć. Upuścił list, głowę schylił na piersi jak człowiek, którego nadzieje rozwiały się od jednego uderzenia. Duncan porwał list z ziemi i nawet nie przepraszając za samowolę, jednym rzutem oka odczytał straszną wiadomość. Webb wcale nie zachęcał ich do obrony, doradzał szybką kapitulację, a jako powód podawał bez obsłonek, że nie może przysłać im ani jednego żołnierza.

— Nie ma mowy o fałszu! — zawołał Duncan, dokładnie badając list z obu stron. — To podpis Webba i bez wątpienia list został przejęty przez Francuzów.

— Ten człowiek mnie zdradził! — po chwili z goryczą wykrzyknął Munro. — Okrył hańbą człowieka, który dotąd jej nie znał. Wstydem okrył moją siwą głowę.

— Niech pan tak nie mówi! — zawołał Duncan. — Jesteśmy jeszcze panami fortu i własnego honoru. Sprzedajmy więc nasze życie za cenę, której nieprzyjaciel nie zechce zapłacić.

— Dziękuję ci, chłopcze —powiedział starzec odzyskując ducha po ciosie, jaki na niego spadł. — Przypomniałeś pułkownikowi Munro o jego obowiązkach. Wracajmy i znajdźmy sobie grób pod tymi wałami.

— Panowie — odezwał się Montcalm, pod wpływem odruchu wspaniałomyślności postępując krok ku Anglikom — mało

znacie Louis de Saint Verana, skoro sądzicie, że wykorzysta on ten list dla upokorzenia dzielnych ludzi lub dla zdobycia sobie wątpliwej sławy. Zanim odejdziecie," wysłuchajcie moich warunków.

— Co mówi ten Francuz? — surowym tonem zapytał stary żołnierz. — Czy poczytuje sobie za wielką zasługę, że ujął zwiadowcę z listem od naczelnego wodza? Panie, powiedz mu, że jeśli chce nastraszyć wroga samymi słowami, niech poniecha oblężenia i uda się pod fort Edwarda.

Duncan wyjaśnił Szkotowi, co powiedział Montcalm.

— Monsieur de Montcalm, słuchamy pana — rzekł Munro, kiedy Duncan skończył.

— Fort musi być zburzony — powiedział wspaniałomyślny przeciwnik. — Wymagają tego interesy mego króla. Ale panu i jego mężnym podkomendnym będą okazane wszystkie względy drogie sercu żołnierza.

— Nasze sztandary? — zapytał Heyward.

— Zabierzcie je do Anglii i pokażcie waszemu królowi.

— Broń?

— Zachowajcie ją. Nikt nie potrafi użyć jej lepiej.

— Nasz wymarsz i poddanie fortu?

— Odbędzie się w sposób najbardziej dla was honorowy. Duncan odwrócił się i powtórzył tę propozycję swemu przełożonemu, a ten wysłuchał jej zdziwiony i głęboko wzruszony tak niezwykłą i niespodziewaną szlachetnością wroga.

— Idź, Duncanie — powiedział — idź z tym markizem, albowiem istotnie jest on markizem, do jego namiotu i ustal warunki kapitulacji. W podeszłym wieku ujrzałem dwie rzeczy, których nigdy nie spodziewałem się ujrzeć: Anglika, który odmówił pomocy przyjacielowi, i Francuza tak prawego, że nie wykorzystał swej przewagi.

To mówiąc znów opuścił głowę i wolno odszedł do fortu. Z jego przybitego wyrazu twarzy zaniepokojeni żołnierze wyczytali przykrą wiadomość.

Po tym niespodziewanym ciosie Munro nigdy już się nie podniósł. Od tej chwili datuje się też zwrot w jego niezłomnym charakterze, zwrot, który szybko doprowadził go do grobu.

Duncan pozostał, by ustalić warunki kapitulacji. Widziano go, jak powrócił do fortu przed północą i po rozmowie z komendantem znów wyszedł. Nieco później oficjalnie ogłoszono rozejm. Munro podpisał akt kapitulacji, na mocy którego fort o świcie miał być oddany w ręce Francuzów. Garnizon zachowywał broń, sztandary, tabory, a więc zgodnie ze zwyczajami wojennymi — swój honor.

# ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

*Utkajmy wątek już nitka się skraca,*
*Płótno gotowe, ukończona praca.*

Gray

Wrogie sobie armie rozlokowane w puszczy okalającej Horican spędziły noc 9 sierpnia 1757 roku tak, jakby ją spędziły na otwartych polach Europy. Zwyciężeni byli ponurzy, zgnębieni i cisi. Zwycięzcy triumfowali. Ale i smutek, i wesołość mają swoje granice, na długo więc przed świtem cisza zapanowała w rozległych lasach. Już tylko od czasu do czasu przerywał ją wesoły okrzyk jakiegoś młodego, nieopanowanego w swej radości Francuza na wysuniętej forpoczcie. Czasem padło też groźne wezwanie rzucone z fortu, gdzie warta ciągle jeszcze broniła wrogom dostępu do wałów. Lecz nawet i te pojedyncze okrzyki ucichły tuż przed brzaskiem. O tej sennej godzinie na próżno szukałoby się najmniejszego znaku wskazującego, że dwie armie spokojnie śpią nad brzegami Świętego Jeziora.

Właśnie w czasie tej głębokiej ciszy uchyliła się zasłona u wejścia do obszernego namiotu w obozie Francuzów i jakiś człowiek wyszedł spod niej na świeże powietrze. Szczelnie otulił się płaszczem, jakby się chronił przed przejmującą wilgocią puszczy lub osłaniał od ciekawych spojrzeń. Grenadier strzegący snu Montcalma nie tylko przepuścił tego człowieka, ale nawet sprezentował broń, gdy ten minął go szybkim krokiem. Nieznajomy przeszedł przez małe miasteczko namiotów i skierował się ku wałom fortu William Henry. Za

każdym razem, gdy napotykał liczne posterunki, odpowiadał na ich wołanie bez namysłu i najwidoczniej dobrze, skoro go przepuszczano bez dalszych pytań.

Z wyjątkiem tych częstych, lecz krótkich zatrzymań przeszedł bez przeszkód od środka obozu aż do najbardziej wysuniętej forpoczty. Gdy zbliżył się do żołnierza stojącego na czatach tuż przed fortem, powstrzymał go zwykły okrzyk:

— *Qui vive?*

— *France* — odpowiedział.

— *Le mot d'ordre?*

— *La victoire* — odparł nieznajomy przysuwając się tak blisko żołnierza, by ten dosłyszał szept.

— Dobrze — odrzekł żołnierz, znów biorąc muszkiet na ramię — ranny z pana ptaszek, mój panie.

— Trzeba być czujnym, mój chłopcze — zauważył nieznajomy i gdy mijał żołnierza zmierzając do brytyjskich umocnień, odchylił fałdy szerokiej peleryny i zajrzał mu w twarz. Żołnierz drgnął, a jego broń gwałtownie szczęknęła, gdy ją sprezentował. A kiedy znów wziął muszkiet na ramię i podjął wędrówkę na swym odcinku, mruknął przez zęby:

— Trzeba być czujnym, to prawda! Mamy w obozie kaprala, który nigdy nie śpi!

Tymczasem oficer szedł dalej, jakby nie słyszał, co mówi zaskoczony żołnierz. Nie przystanął, aż doszedł do niskiego brzegu jeziora, niebezpiecznie blisko zachodniego bastionu fortu, stojącego tuż nad wodą. Słaby blask księżyca zza chmur pozwalał dostrzec tylko zarysy przedmiotów. Nieznajomy przezornie oparł się o pień drzewa i stał tak długi czas, uważnie przyglądając się ciemnym i cichym wałom angielskiego fortu. Patrzył na szańce oczami znawcy, a nie ciekawego gapia. Ogarnął je spojrzeniem zdradzającym znajomość sztuki wojennej i z lekka podejrzliwym. Wreszcie zaspokoił swą ciekawość, niecierpliwym okiem spojrzał ku szczytom gór na wschodzie, jakby czekał na nadejście świtu, i już się zabierał do powrotu, gdy lekki szmer z narożnika bastionu zwrócił jego uwagę i zatrzymał na miejscu.

Właśnie w tej chwili jakiś człowiek zbliżył się do szczytu wału, przystanął i zaczął przyglądać się odległym namiotom francuskiego obozu. Po chwili odwrócił głowę ku wschodowi, jakby również obawiał się nadchodzącego ranka, a potem oparł się o nasyp i patrzył na szklistą taflę wody, która jak niebo połyskiwała odbiciem tysięcy migocących gwiazd. Wczesna godzina, smętny wygląd, krzepka budowa i wzrost tego człowieka, pogrążonego w zadumie ha wale angielskiego fortu, jasno powiedziały nieznajomemu, kogo ujrzał. Delikatność, a również i przezorność skłoniły teraz nieznajomego Francuza do odejścia. Ostrożnie okrążył więc pień drzewa i już miał odejść, gdy inny dźwięk zwrócił jego uwagę i ponownie przykuł do miejsca. Tym razem był to niemal nieuchwytny plusk wody, po którym nastąpił chrzęst żwiru. W chwilę potem jakaś ciemna postać wychynęła z jeziora i bezszelestnie przekradła się ku miejscu na brzegu, gdzie stał Francuz. A zaraz potem lufa strzelby uniosła się wolno i zatrzymała na poziomie jego oczu, między nim a lustrem wody. Lecz zanim padł strzał, nieznajomy położył rękę na zamku strzelby.

— Hugh! — wykrzyknął Indianin zaskoczony i zdziwiony niezwykłym sposobem, w jaki przeszkodzono mu w niecnym zamiarze.

Francuz nie odpowiedział. Położył rękę na ramieniu Indianina i cicho odciągnął go trochę dalej od miejsca, skąd można ich było usłyszeć i gdzie jeden z nich szukał ofiary. Potem rozsunąwszy poły płaszcza, by odsłonić mundur i krzyż świętego Ludwika zawieszony na piersi, Montcalm dał się poznać i zapytał surowo:

— Co to ma znaczyć?! Czy mój syn nie wie, że Anglicy i jego kanadyjscy ojcowie zakopali topór wojenny?

— Cóż mają robić Huroni? — Odparł dziki również po francusku, choć łamanym językiem. — Żaden z nich jeszcze nie zdobył skalpu, a blade twarze już zawarły przyjaźń!

— Ha! Przebiegły Lisie! Wydaje mi się, że przyjaciel, który jeszcze tak niedawno był wrogiem, grzeszy nadmiarem

gorliwości! Ile słońc zaszło od czasu, kiedy Przebiegły Lis porzucił obóz Anglików?

— Gdzie jest to słońce? — gniewnie zapytał dziki. — Za górami. Jest ciemne i zimne. Ale kiedy znów przyjdzie, będzie jasne i gorące. Przebiegły Lis jest słońcem swego plemienia. Między nim a jego narodem było dużo chmur i wzgórz, ale teraz świeci on jasno, a niebo jest czyste!

— Dobrze wiem, że Przebiegły Lis ma duży wpływ na swych braci — odrzekł Montcalm. — bo jeszcze wczoraj polował na ich skalpy, a dziś słuchają go na radach przy ognisku.

— Magua jest wielkim wodzem.

— Niechże tego dowiedzie ucząc swój naród, jak ma się zachować wobec naszych nowych przyjaciół.

— Po co więc wódz Kanadyjczyków przywiódł swych młodych wojowników w puszczę i po co strzelał z armat do domu z ziemi? — zapytał przebiegły Indianin.

— Żeby go zdobyć. Ten kraj należy do mego pana. Twemu ojcu kazano wypędzić stąd angielskich przybłędów. Zgodzili się odejść i dlatego już ich nie nazywam wrogami.

— Dobrze. Magua chwycił za toporek, by zbroczyć go krwią. Teraz jest jeszcze czysty. Kiedy będzie splamiony, Magua go zakopie.

— Ale Magua przysiągł nie splamić francuskich lilii. Wrogowie wielkiego króla za słonym jeziorem są jego wrogami, a jego przyjaciele — przyjacielami Huronów.

— Przyjaciele! — powtórzył Indianin z pogardą. — Niech ojciec Maguy da mu rękę.

Montcalm czuł, że wpływ, który zdobył nad wojowniczymi plemionami, uda mu się utrzymać raczej ustępstwem niż siłą i dlatego, chociaż niechętnie, podał Indianinowi rękę. Dziki przytknął jego palec do głębokiej blizny na piersi i zapytał uroczystym tonem:

— Czy mój ojciec wie, co to jest?

— Jakiż wojownik by tego nie wiedział! To blizna po ołowianej kuli.

— A to? — ciągnął Indianin odwróciwszy się do Montcalma plecami, tym razem nie okrytymi kawałkiem perkalu.

— To!… Ciężko skrzywdzono mego syna. Kto to zrobił?

— Magua twardo sypiał w wigwamach Anglików. Te ślady pozostawiły mu ich kije — odrzekł dziki i roześmiał się głucho. Ale śmiech nie zdołał ukryć wrzącego w nim gniewu. Po chwili opanował się i nagle z wrodzoną dumą Indianina dorzucił: — Idź i powiedz swym młodym wojownikom, że jest pokój. Przebiegły Lis wie, jak mówić do hurońskich wojowników.

Zarzucił strzelbę na ramię i nie zniżając się do dalszej rozmowy ani nie czekając na odpowiedź, w milczeniu poszedł przez obóz ku lasom, gdzie leżeli w zasadzce jego wojownicy. Co kilka jardów obwoływały go placówki, lecz ponury wódz dumnie szedł naprzód, obojętny na te wezwania. Żołnierze nie strzelali do niego, bo po niezwykłej odwadze, wyglądzie i ruchach poznawali w nim Indianina.

Montcalm długo jeszcze stał na brzegu, tam gdzie opuścił go Magua, i melancholijnie rozmyślał nad zaciekłością swych niekarnych sprzymierzeńców. Już raz w podobnych okolicznościach zdarzył się ohydny wypadek, który rzucił cień na jego dobre imię. Rozmyślając nad tym, Montcalm jasno ujrzał ogrom odpowiedzialności, jaką biorą na siebie ludzie, którzy dążą do celu nie przebierając w środkach, i zdał sobie sprawę, jak niebezpiecznie jest rozpętać siły, których człowiek nie może zatrzymać. W końcu odpędził od siebie te myśli, bo uważał je za oznakę słabości niestosowną w chwili triumfu, i zawrócił ku swemu namiotowi. Po drodze kazał uderzyć w bębny i zbudzić armię.

Pierwszemu uderzeniu francuskich doboszów odpowiedziało bicie bębnów z głębi fortu. Po chwili cała dolina wypełniła się dźwiękami wojskowej muzyki, coraz głośniejszej i przenikliwszej, górującej swymi dziarskimi melodiami nad warkotliwym akompaniamentem bębnów. Trąby zwycięzców grzmiały wesołymi i radosnymi fanfarami, póki ostatni z obozowych ciurów nie stanął na swoim miejscu. Natomiast przeraźliwy dźwięk brytyjskich piszczałek ścichł zaraz po

podaniu sygnału. Tymczasem ranek robił się coraz jaśniejszy i gdy francuska armia stanęła gotowa, by powitać swego wodza, zbrojne szeregi zalśniły w blaskach słońca. Teraz oficjalnie ogłoszono o zwycięstwie, zresztą ogólnie już znanym. Wybrany oddział, który miał strzec wejścia do fortu, wystąpił i przedefilował przed swym wodzem. Trąbka oznajmiła jego nadejście. Potem wydano rozkazy zwykle towarzyszące przejściu twierdzy w inne ręce i wykonano je pod lufami armat fortu, o który tak niedawno jeszcze walczono.

Zupełnie inaczej rozpoczął się dzień w obozie angielsko-amerykańskim. Zaraz po pobudce zawrzało w nim od gorączkowych przygotowań do szybkiego opuszczenia fortu. Żołnierze z ponurymi minami brali na ramię nie nabitą broń i stawali w szeregach. Wyglądali jak ludzie, których krew rozgrzała się walką i którzy tylko czekają na okazję, by pomścić hańbę boleśnie raniącą ich żołnierską dumę, hańbę osłodzoną honorowymi warunkami kapitulacji. Kobiety i dzieci biegały z miejsca na miejsce. Jedne dźwigały swój skromny dobytek, inne szukały w milczących szeregach tych, którzy mogliby je obronić.

Munro stanął przed swymi żołnierzami przybity, ale z kamiennym spokojem na twarzy. Widać było, że choć usiłował znieść nieszczęście z godnością mężczyzny, nieoczekiwany cios ugodził go w samo serce.

Duncana wzruszył ten widok niemego, lecz dotkliwego bólu. Spełnił już wszystkie swe obowiązki, pośpieszył więc do boku starca i zapytał, czy może mu w czym pomóc.

—Moje córki — rzekł krótko Munro.

— Na Boga! Czy jeszcze nie pomyślano o nich?

— Dziś jestem tylko żołnierzem, majorze — rzekł stary weteran. — Wszyscy, których tu pan widzi, mają prawo nazwać się moimi dziećmi.

Duncanowi to wystarczyło. Nie tracąc ani chwili cennego czasu pobiegł do kwatery Munro po siostry. Znalazł je na progu niskiego budynku gotowe do wyjścia. Otaczał je tłum lamentujących i płaczących kobiet, które zebrały się tu,

przeczuwając instynktownie, że przy córkach pułkownika będzie im najbezpieczniej. Policzki Kory pobladły, na jej twarzy malował się niepokój, lecz jak zawsze, była spokojna i opanowana. Natomiast zaczerwienione oczy Alicji zdradzały, że długo i gorzko płakała. Obie powitały Heywarda *z* nie ukrywaną radością, a Kora, wbrew swemu zwyczajowi, odezwała się pierwsza.

— Fort jest stracony — powiedziała ze smutnym uśmiechem — jednakże wierzę, iż nasz honor ocalał.

— Jaśnieje większą chwałą niż kiedykolwiek. Ale, droga miss Munro, nadszedł czas, kiedy trzeba pomyśleć przede wszystkim o sobie. Zwyczaje wojskowe… duma… ta duma, którą pani tak wysoko ceni, wymaga, abyśmy — to znaczy pani ojciec i ja — przynajmniej przez pewien czas szli z wojskiem. Gdzież więc znaleźć należytą opiekę dla pań przed możliwymi w tym zamieszaniu wypadkami i przykrościami?

— Nie potrzebujemy żadnej opieki —odparła Kora. — Któż ośmieli się skrzywdzić córki takiego człowieka jak nasz ojciec, i to w podobnych warunkach?

— Jednakże nie zostawię pań samych — ciągnął Heyward, gorączkowo rozglądając się wkoło — nawet za cenę dowództwa nad najlepszym pułkiem jego królewskiej mości. Niech pani pamięta, że nasza Alicja nie ma twojego hartu ducha, a tylko Bóg wie, co za okropności ją czekają.

— Może to i racja — odparła Kora uśmiechając się jeszcze smutniej niż poprzednio. — Niech pan posłucha! Los raz już zesłał nam przyjaciela w chwili największej potrzeby.

Duncan słuchał i od razu zrozumiał, o kim Kora myśli. W tej chwili doleciały go ciche i poważne dźwięki pobożnej pieśni, dobrze znanej we wschodnich prowincjach. Idąc za nimi, pobiegł do sąsiedniego budynku, opuszczonego już przez mieszkańców. Ujrzał tam Dawida, zatopionego w śpiewie umiłowanych przez siebie psalmów. Zaczekał więc, aż ten przestał rytmicznie wymachiwać ręką, co wziął za koniec pieśni, i dotknął jego ramienia. Gdy w ten sposób ściągnął

uwagę śpiewaka na siebie, w paru słowach wyłożył mu swą prośbę.

— Oczywiście —odparł naiwny naśladowca izraelskiego króla, gdy Duncan skończył. — Te panie mają wiele uroku i są muzykalne. Godzi się też, abyśmy, złączeni tyloma niebezpieczeństwami, trzymali się razem w czasie pokoju. Będę im towarzyszył, gdy skończę me ranne modły, a pozostała mi już tylko pieśń dziękczynna. Przyjacielu, czy chcesz odśpiewać ją ze mną? Pieśń nie jest trudna, a nazywa się „Southwell".

Wyciągnął mały tomik, z wielką uwagą podał ton i odśpiewał pieśń z miną tak stanowczą, że trudno było mu przerwać. Heyward musiał czekać aż do ostatniego wiersza, ale gdy tylko ujrzał, że Dawid zdejmuje okulary i chowa książeczkę, podjął znowu:

— Będzie pan musiał zważać, aby nikt nie podszedł do pań w złych zamiarach, by nikt przy nich nie ubliżył ich ojcu i nie szydził z jego nieszczęścia. Pomoże panu służba.

— Oczywiście.

— Możliwe, że będą was napastować Indianie lub francuscy maruderzy. Wówczas przypomni im pan warunki kapitulacji i zagrozi skargą u Montcalma. To jedno słowo powinno wystarczyć.

— A jeżeli nie, mam tu coś, co powinno starczyć — odpowiedział Dawid pokazując swoją książeczkę z miną, w której uległość dziwnie mieszała się z pewnością siebie. — Tu znajdę słowa, które wygłoszone, a raczej ciśnięte z hukiem grzmotu w odpowiednim czasie i właściwym tonem, uspokoją najdziksze namiętności:

Przeczże się poganie buntują…

— Dość — powiedział Heyward przerywając te muzyczne zaklęcia Dawida. — Rozumiemy się, a czas już, abyśmy podjęli nasze obowiązki.

Gamut zgodził się chętnie i obaj odszukali kobiety. Kora powitała nowego i nieco dziwacznego opiekuna dość uprzejmie, a blada twarzyczka Alicji nawet się rozpromieniła wrodzoną filuternością, gdy dziękowała Heywardowi za troskliwość.

Duncan zapewnił obie siostry, że uczynił wszystko, co mógł w tych warunkach dla uchronienia ich od przykrości, bo o niebezpieczeństwie nie może być mowy. Następnie z radością zapewnił, że przyłączy się do nich po przemaszerowaniu na czele wojsk kilku mil. Potem się pożegnał.

Tymczasem dano już sygnał wymarszu i czoło angielskich oddziałów ruszyło. Kora i Alicja drgnęły na dźwięk bębnów, a gdy rozejrzały się wkoło, zobaczyły białe mundury francuskich grenadierów, którzy już stali przy bramach fortu. W tej chwili jakby olbrzymia chmura rozpostarła się nad głowami sióstr. Spojrzały w górę i zobaczyły, że stoją pod obszernymi fałdami sztandaru Francji.

— Chodźmy — powiedziała Kora. — To nie jest już miejsce dla dzieci angielskiego oficera.

Alicja mocno chwyciła się ramienia siostry i, otoczone ruchliwym tłumem, razem opuściły plac parad.

Gdy przechodziły przez bramę, oficerowie francuscy, którzy wiedzieli, że są to córki pułkownika Munro, kłaniali im się nisko. Taktownie unikali przy tym przesady, by nie zranić dumy obu kobiet. Wszystkie wozy i konie potrzebne były do przewozu rannych i chorych, dlatego Kora mimo zmęczenia postanowiła pójść pieszo, byle nie pozbawić wygód któregoś z tych biedaków. I tak zresztą wielu okaleczonych i wycieńczonych żołnierzy z trudem wlokło się na końcu kolumny, bo w puszczy brakło wozów i koni. Ale cały obóz już był w ruchu; chorzy i ranni szli i jechali jęcząc i cierpiąc, ich zdrowi towarzysze maszerowali w ponurym milczeniu, kobiety i dzieci szły wystraszone i pełne obaw o swój los.

Kiedy ten pomieszany i zalękniony tłum wyszedł na otwartą przestrzeń za opiekuńcze wały fortu, ujrzał jak na dłoni całą scenę kapitulacji. Niedaleko, po prawej stronie i nieco w tyle, stała pod bronią francuska armia. Tu Montcalm zebrał wszystkie swoje oddziały, gdy tylko jego gwardia zajęła fort. Francuzi stali i w milczeniu przyglądali się wymarszowi pokonanych wrogów. Nie zapomnieli oddać im przyjętych honorów wojskowych. Dumni ze zwycięstwa, nie szydzili

jednak z nieszczęścia przeciwników. Ruchomy tłum Anglików, około trzech tysięcy ludzi, posuwał się powoli poprzez równinę ku jej środkowi. Stopniowo obie strony zbliżały się do siebie, aż wreszcie zetknęły się u celu marszu, przy drodze wyrąbanej w wysokopiennym lesie. Tu droga wiodąca ku Hudsonowi wchodziła w puszczę. Po jej bokach, na skraju puszczy, skupiły się ciemne chmury dzikich. Kręcąc się jak sępy wypatrujące łupu przyglądali się swym wrogom, a od napaści na nich powstrzymywała ich tylko obawa przed regularnymi i dobrze uzbrojonymi oddziałami wojska. Kilku dzikich wcisnęło się w angielską kolumnę. Szli wraz z nią, nie ukrywając niezadowolenia, chociaż, jak dotąd, nie zrobili nikomu nic złego.

Straż przednia prowadzona przez Heywarda doszła już do przesieki i powoli się weń zagłębiła, kiedy Kora usłyszała hałas kłótni w grupce maruderów. Jakiś żołnierz wojsk kolonialnych, który nie chciał rzucić swego dobytku, wyszedł z szeregu i został w tyle. Teraz płacił za ten brak karności, albowiem Indianie napadali go i usiłowali obrabować. Kolonista był krzepki i zbyt chciwy, by oddać swe mienie bez walki. Do zatargu wtrącili się ludzie z obu stron: jedni chcieli przeszkodzić rabunkowi, inni przyszli z pomocą rabusiom. Kłótnia przybierała na sile i stawała się coraz groźniejsza, tam gdzie przed chwilą kręciło się najwyżej tuzin Indian, teraz, jak spod ziemi, wyrosła cała ich setka. Wówczas Kora ujrzała Maguę, który chyłkiem przebiegał od grupki do grupki Indian i umiejętnie ich podburzał. Tłum kobiet i dzieci przystanął i skupił się jak wystraszone i roztrzepotane stado ptaków. Jednakże Indianie szybko zaspokoili chciwość i poszczególne człony kolumny znów ruszyły naprzód.

Teraz dzicy cofnęli się i wydawało się, że pozwolą swym wrogom spokojnie iść dalej. Ale gdy tłum kobiet zbliżył się do nich, barwny szal na ramionach białej kobiety wzbudził pożądanie jednego z dzikich i nieokrzesanych Huronów. Podszedł i bez, najmniejszego wahania wyciągnął po niego rękę. Kobieta raczej z przestrachu niż dla uratowania szala

owinęła nim dziecko i to zawiniątko jeszcze mocniej przycisnęła do piersi. Kora właśnie otworzyła usta chcąc jej poradzić, by oddała szal, gdy dziki puścił go i wyrwał z ramion matki przeraźliwie płaczące dziecko. Kobieta rzuciła wszystko na pastwę łapczywych Indian i z rozpaczliwym wyrazem twarzy skoczyła, by odebrać swe dziecko. Wówczas Indianin z ponurym uśmiechem wyciągnął przed siebie rękę na znak, iż proponuje wymianę, a w drugiej ręce trzymał dziecko za nóżki i wywijał nim nad głową, jakby chciał w ten sposób podnieść wartość okupu.

— Masz… masz… masz… weź, co chcesz… wszystko!… — wołała zrozpaczona matka zdzierając z siebie zdrętwiałymi z przerażenia palcami szale i koronki — ale oddaj mi moje dziecko!

Dziki odtrącił z pogardą bezwartościowe łaszki, a gdy spostrzegł, że inny Indianin zawładnął już szalem, przestał się uśmiechać. Grymas okrucieństwa wykrzywił mu twarz; uderzył dziecko głową o skałę i rzucił drgające ciałko pod nogi matki. Kobieta stała przez chwilę jak posąg rozpaczy. Oszalałym wzrokiem patrzyła na zniekształcone zwłoki tak niepodobne do jej dziecka, które jeszcze niedawno śmiało się i tuliło do niej. Potem uniosła oczy i twarz ku niebu, jakby wzywała pomsty Boga na sprawcę tej bezmyślnej zbrodni. Los oszczędził jej tej grzesznej modlitwy, bo oszalały z doznanego zawodu i podniecony widokiem krwi bezlitosny Huron ugodził ją tomahawkiem w głowę. Biedna matka osunęła się na ziemię, padła na ciało swego dziecka i konając objęła je ramionami z taką samą tkliwą miłością, z jaką pieściła je za życia.

W tej groźnej chwili Magua przyłożył ręce do ust i krzyknął przenikliwie i złowrogo. Na ten dobrze im znany okrzyk rozsiani tu i tam Indianie rzucili się naprzód, jak na znak myśliwego sfora psów gończych rzuca się na zranione zwierzę. Cała równina i strop lasu rozbrzmiały wprost nieludzkim wrzaskiem. Tym, którzy go słyszeli, serce zamarło z przerażenia niemal tak wielkiego, jak to, które będzie towarzyszyć dźwiękowi trąb wzywających na Sąd Ostateczny.

Ponad dwa tysiące rozwścieczonych Indian wybiegło z puszczy i z dziką zaciekłością rzuciło się na Anglików. Nie będziemy opisywać odrażających i okrutnych scen, które potem nastąpiły. Śmierć zapanowała wszędzie w swej najohydniejszej i najokropniejszej postaci. Opór tylko podniecał morderców, którzy długo znęcali się nad zabitymi. Krew tryskała strumieniami jak woda z podziemnych źródeł, a dzikich na jej widok ogarniało coraz większe zapamiętanie i szaleństwo. Wielu klękało na ziemi i w szatańskim upojeniu chłeptało z tego czerwonego potoku.

Regularne oddziały wojskowe szybko zwarły szeregi, by zastraszyć napastników jednolitą linią frontu. Ta próba poskromienia dzikich niestety udała się tylko częściowo, a wielu żołnierzy postradało swe nie nabite muszkiety.

Minuty upływały błyskawicznie. Może minęło ich z dziesięć (wydawało się, że cały wiek), a siostry stały bez ruchu, skamieniałe, śmiertelnie przerażone i bezradne. Kiedy spadł pierwszy cios, ich rozełkane i przeraźliwie krzyczące towarzyszki skupiły się wkoło nich i uniemożliwiły im ucieczkę. Teraz, gdy śmierć usunęła lub strach rozsiał" większość tego tłumu, miały już przed sobą jedną drogę — prosto pod tomahawki Indian. Zewsząd dolatywały krzyki, pobożne wezwania, jęki i przekleństwa. Właśnie w tej chwili Alicja dostrzegła olbrzymią postać ojca, który szybkimi krokami zmierzał przez równinę ku liniom francuskich wojsk. Nie bacząc na niebezpieczeństwo Munro szedł do Montcalma, by zażądać przewidzianej warunkami kapitulacji eskorty, która jakoś nie nadchodziła. Pięćdziesiąt błyszczących tomahawków i zębatych dzid groziło jego życiu, ale zdawał się ich nie widzieć. Dzicy nawet w swym zacietrzewieniu uszanowali wysoką rangę i zimną krew pułkownika, a on wciąż jeszcze silną ręką odgarniał na bok grożącą mu broń. Często też opadała ona sama, groźnie wzniesiona do ciosu, którego żaden dziki nie miał odwagi zadać. Na szczęście, mściwy Magua szukał sobie ofiar tam, skąd Munro właśnie odszedł.

— Ojcze… ojcze… tu jesteśmy! — krzyknęła Alicja, gdy Munro przechodził koło nich tak, jakby ich wcale nie widział. — Ratuj, bo zginiemy!

Zawołała jeszcze parę razy tonem, który wzruszyłby nawet kamienne serce, ale Munro nie odpowiedział. Raz wprawdzie wydawało się, że starzec ją usłyszał, bo przystanął i nadsłuchiwał. Lecz w tej samej chwili Alicja padła zemdlona, a Kora osunęła się obok niej i z matczyną czułością osłoniła ją własnym ciałem. Munro potrząsnął głową, jakby się wyzbywał jakiegoś złudzenia, i ruszył dalej, pochłonięty odpowiedzialnym obowiązkiem dowódcy.

— Pani — powiedział Gamut, który choć bezsilny i właściwie do niczego niezdatny, nawet nie pomyślał o opuszczeniu sióstr — nastało święto szatana, a to miejsce nie jest odpowiednie dla chrześcijan. Uciekajmy.

— Uciekaj — odparła Kora nie odrywając oczu od zemdlonej siostry. — Ratuj się! Mnie już nic nie pomożesz.

Dawid ze stanowczego ruchu ręki, jaki towarzyszył tym słowom, zrozumiał, że Kora nie zmieni swego postanowienia. Chwilę patrzył więc na ciemne postacie Huronów zajętych obok piekielnym dziełem, a potem wyprostował się dumnie. Oddychał gorączkowo, a rysy jego twarzy zaostrzyły się pod wpływem rozpierających go uczuć.

— Jeżeli judejskie pacholę mogło uśmierzyć szaleństwa Saula grą na harfie i pobożnymi hymnami, to może warto by i w tym wypadku wypróbować potęgę śpiewu — powiedział.

Podniósł głos do najwyższych rejestrów i zaśpiewał tak głośno, by go słyszano nawet w strasznej wrzawie tej krwawej rzezi. Paru dzikich skoczyło ku nim, by obedrzeć bezbronne siostry i zdobyć ich skalpy, lecz na widok tej dziwnej postaci, twardo stojącej w miejscu, przystanęli i słuchali. Zdziwienie ich wkrótce przeszło w podziw. Otwarcie wyrazili zachwyt nad spokojem i uporem, z jakim biały wojownik śpiewał swą przedśmiertną pieśń, i rzucili się na inne, nie tak odważne ofiary. Dawid zaś, ośmielony i zwiedziony tym powodzeniem, śpiewał całą piersią, by podnieść wrażenie pieśni, której

przypisywał tak błogosławiony wpływ. Niezwykłe dźwięki zwróciły uwagę jednego z czerwonoskórych. Szalał on w pewnym oddaleniu i przebiegał od grupki do grupki jak ktoś, kto pogardza zwykłą zwierzyną i poluje na ofiarę godną jego sławy. Był to Magua, który ujrzawszy swe dawne branki znów zdane na jego łaskę krzyknął radośnie.

— Chodźcie — powiedział kładąc rękę splamioną krwią na sukni Kory — Wigwam Hurona wciąż jest pusty. Czy nie jest lepszy od tego miejsca?

— Precz! — krzyknęła Kora i ręką zasłoniła oczy przed odrażającym widokiem Indianina.

Magua roześmiał się szyderczo i uniósłszy w górę dymiącą od krwi rękę odpowiedział:

— Jest czerwona, ale zaczerwieniła ją krew z żył białych!

— Potworze! Ta krew, całe jej morze, spada na twoją duszę. Ty jesteś sprawcą tej strasznej rzezi!

— Magua jest wielkim wodzem! — triumfująco odrzekł dziki. — Czy Czarnowłosa pójdzie do jego plemienia?

— Nigdy! Zabij, jeśli chcesz, i nasyć się zemstą. Chytry Indianin zawahał się chwilę, a potem pochwycił w ramiona omdlałą wątłą Alicję i szybko pobiegł ku puszczy.

— Stój! — krzyknęła Kora i nieprzytomna z przerażenia pobiegła za nim. — Oddaj mi to dziecko! Co czynisz, łotrze?!

Lecz Magua był głuchy na jej wołanie. Zdawał sobie sprawę ze swej przewagi i nie chciał jej stracić.

— Stój, pani, zatrzymaj się! — wołał Gamut za nieprzytomną Korą. — Urok świątobliwej pieśni zaczyna działać i niebawem zobaczysz, jak ta piekielna wrzawa ucichnie.

Ale gdy zauważył, że z kolei jego własne wołania pozostają bez echa, wiernie pospieszył za oszalałą Korą. Biegnąc śpiewał pełnym głosem i wymachiwał do taktu swą długą ręką. Tak przecięli równinę, mijając rannych, uciekających i zabitych. Dziki Huron i niesiona przez niego ofiara byli zupełnie bezpieczni, natomiast Kora dawno już zginęłaby pod ciosami czerwonoskórych, gdyby nie ta dziwaczna biegnąca za nią postać, której, jak sądzili Indianie, strzegł duch szaleństwa.

Magua wiedział, jak uniknąć niebezpieczeństw i umknąć pogoni. Wbiegł do puszczy przez wąski jar i szybko dopadł czekających nań pod opieką równie dzikiego i ohydnego Hurona narragansettów, z którymi Alicja i Kora rozstały się tak niedawno. Przerzuciwszy Alicję przez grzbiet jednego z koni Magua ruchem ręki polecił Korze dosiąść drugiego.

Choć Kora brzydziła się i bała Maguy, wydostanie się z krwawego i strasznego pobojowiska sprawiło jej ulgę. Dosiadła więc konia i wyciągnęła ręce po siostrę z tak błagalnym i tkliwym spojrzeniem, że nawet Huron musiał jej ustąpić. Przeniósł Alicję na konia, na którym siedziała Kora, wziął uzdę w rękę i ruszył w głąb puszczy. Dawid, gdy spostrzegł, że pozostawiono go samemu sobie, jakby nie warto było go zabić, przerzucił swą długą nogę przez siodło drugiego konia i pognał za uchodzącymi tak szybko, jak na to pozwalała trudna ścieżka.

Wkrótce poczęli piąć się w górę. Kora tak zajęta była Alicją, która pod wpływem ruchu poczęła przychodzić do siebie, i nadsłuchiwaniem nie milknącej wrzawy dobiegającej z równiny, że nie zwracała uwagi, dokąd jadą. Gdy jednak dotarli nareszcie do płaskiego szczytu góry i zbliżyli się do przepaści po jej wschodniej stronie, poznała miejsce, w którym już raz była pod troskliwą opieką zwiadowcy. Magua kazał im zsiąść z konia. Siostry, choć znajdowały się w niewoli, nie mogły opanować ciekawości (tej nieodłącznej towarzyszki strachu) i spojrzały na przerażający widok u stóp góry.

Krwawa rzeź trwała dalej. Wszędzie widziało się bezbronnych ludzi uciekających przed swymi nielitościwymi prześladowcami. A tymczasem zbrojne oddziały chrześcijańskiego króla stały w miejscu z obojętnością, której nigdy nie wyjaśniono i która rzuciła niezatartą plamę na nieskazitelną dotąd sławę jej wodza. Śmierć zbierała swe żniwo dopóty, dopóki żądza łupu nie wzięła góry nad pragnieniem zemsty. Wreszcie jęki rannych i okrzyki morderców poczęły cichnąć, aż zamilkły zupełnie lub zatonęły w głośnym, przeszywającym uszy, triumfalnym wrzasku dzikich.

# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*…Co chcą —niechaj mówią;*
*Szlachetny zbrodniarz — bowiem dla honoru,*
*A* nie *dla zemsty popełniłem zbrodnię.*

”Otello”

Krwawe i nieludzkie wydarzenie, o którym tylko wspomnieliśmy w poprzednim rozdziale, rezygnując ze szczegółowego opisu, znane jest w historii wojen kolonialnych pod zasłużoną nazwą „rzezi pod fortem William Henry”. Honor Montcalma już raz ucierpiał z powodu podobnego zdarzenia, toteż nawet przedwczesna śmierć słynnego francuskiego wodza nie zdołała zmazać tej nowej plamy. Teraz okrył ją cień czasu. Ludzie wiedzą, że Montcalm poległ bohaterską śmiercią na równinach Abrahama, ale nawet nie podejrzewają, jak bardzo brak mu było moralnej odwagi, która stanowi o prawdziwej wielkości. Na podstawie tego charakterystycznego przykładu można by napisać całe dzieło o niedoskonałości ludzkiej natury i dowieść, jak łatwo wielkoduszność, dworskość i wprost rycerska odwaga nikną w zetknięciu z chłodnym egoizmem. Można by ukazać światu człowieka wielkiego we wszystkich drugorzędnych cechach charakteru, który zawodził tam, gdzie trzeba było kierować się zasadami, a nie względami polityki. Ale takie zadanie wykracza poza ramy tej książki. Historia, tak jak i miłość, chętnie otacza swych bohaterów nimbem wielkości, może się więc zdarzyć, że potomni uważać będą Louis de Saint Verana za dzielnego obrońcę swego kraju i

zupełnie zapomną o jego okrutnej obojętności nad brzegami jezior Oswego i Horican. Szczerze żałując tej słabości naszej siostrzanej muzy — historii, cofamy się jak najprędzej z jej uświęconego królestwa na swoje własne, skromne podwórko.

Nadchodzi już trzeci wieczór od zajęcia fortu, ale musimy jeszcze zatrzymać się nad brzegami Świętego Jeziora. Kiedy po raz ostatni patrzyliśmy na równinę przed fortem, była widownią okrutnego gwałtu i wstrząsał nią nieludzki wrzask. Teraz panowała tu cisza i śmierć. Splamieni krwią zwycięzcy już odeszli, a ich obóz, który tak niedawno rozbrzmiewał weselem i radością zwycięstwa, leżał teraz cichy jak opuszczone miasto szałasów. Z fortu pozostały zgliszcza i ruiny: zwęglone stropy, rozsadzone armaty i gruzy murów leżące na szańcach z ziemi.

Niezwykle też zmieniła się pogoda. Słońce, ukryte za nieprzeniknioną warstwą oparów, już nie grzało. Setki pokaleczonych zwłok, sczerniałych w sierpniowych upałach, zastygły w mroźnych podmuchach niemal listopadowego wiatru. Białe, kędzierzawe obłoki, które tak niedawno płynęły nad wzgórzami ku północy, powracały jako gęste, ciemne, nie kończące się chmury gnane wichurą. Tam, gdzie niedawno na gładkiej powierzchni Horicanu roiło się od ludzi, teraz zielone i wzburzone fale biły o brzegi, jakby chciały wyrzucić wszystkie nieczystości na zbrukaną plażę. Lecz mimo wszystko jezioro zachowało cząstkę swego uroku, choć odbijało już tylko posępne, ciemne i nawisie niebo. Zniknęła wilgotna mgła, której szata zdobiła okolicę i łagodziła, surowość widoków. Ostry, północny wiatr tak bezlitośnie szalał nad powierzchnią wody, że ani oko ludzkie nie miało na czym spocząć, ani fantazja czego sobie wyobrazić.

Zimny wicher zwarzył roślinność na równinie. Wyglądała ona tak, jakby ją osmalił gorący oddech piorunu. Ale gdzieniegdzie widać było na pustkowiu jakiś ciemnozielony pęczek trawy — najwcześniejszy owoc gleby zroszonej krwią, Cała okolica, która w świetle słońca i w ciepłym powietrzu była taka miła, teraz wyglądała jak alegoryczny obraz życia, obraz,

na którym wszystko przedstawione było w najbardziej surowych, choć prawdziwych barwach, bez stonowań i półcieni.

Samotne, ledwie widoczne suche łodygi trawy lękliwie prostowały się po przejściu wiatru. Wyniosłe skaliste góry obnażyły swe kształty. Wzrok na próżno szukałby wytchnienia w błękicie niebios, daremnie by usiłował przebić ciemną warstwę poszarpanych chmur, które wiatr gnał po niebie.

Wiatr dął kapryśnie: raz nisko, tuż przy ziemi, jakby szeptał skargi w zastygłe uszy poległych, raz gwizdał górą, przeraźliwie, ponuro i wpadając w puszczę łamał gałęzie i porywał całe chmury liści. Wśród tego wirującego w powietrzu listowia kilka głodnych kruków uparcie walczyło z wichurą. Gdy tylko przeleciały nad zielonym oceanem lasów, siadały byle gdzie na ziemi i zabierały się do swej odrażającej uczty.

Krótko mówiąc cała okolica przedstawiała teraz obraz zupełnego spustoszenia i odludzia. Zdawało się, że nieubłagana śmierć jednym ciosem powaliła tych, którzy odważyli się wejść na tę równinę. Ale teraz droga była wolna. Po raz pierwszy od czasu, gdy odeszli sprawcy strasznej zbrodni, którzy zbrukali to urocze miejsce, przyszli tu nowi ludzie.

Wieczorem, mniej więcej na godzinę przed zachodem słońca, pięciu ludzi wyszło z wąskiej przesieki wiodącej ku Hudsonowi i podeszło do ruin fortu. Zrazu szli wolno i ostrożnie, jakby z odrazą wstępowali w głąb okropnego pobojowiska albo jakby się bali, że znów ujrzą straszne sceny rzezi. Na czele tych ludzi szedł lekkim krokiem młodzieniec. Ruchy jego, jak przystało Indianinowi, były żywe i ostrożne. Wchodził na każdy pagórek, aby rozpoznać teren, i gestami wskazywał swym towarzyszom najwygodniejszą drogę. Lecz i idącym za nim nie zbywało na ostrożności ani przezorności, jakich wymaga wojna w puszczy. Jeden z nich — również Indianin — szedł na skrzydle. Obserwował skraj puszczy oczami od lat nawykłymi do czytania najmniejszych znaków niebezpieczeństwa. Trzej pozostali byli białymi, ale nie mieli na sobie barwnych mundurów. Ich ubiór krojem i ochronnym kolorem

przystosowany był do celu wyprawy i do marszu w tylnej straży armii cofającej się przez puszczę.

Straszne widoki, jakie ci ludzie oglądali w drodze do jeziora, budziły w nich uczucia tak różne, jak odmienne, były ich charaktery. Młodzieniec, który lekkim krokiem szedł na przedzie grupy, spod oka uważnie przyglądał się zmasakrowanym trupom i starał się ukryć swe naturalne wzruszenie. Ale z braku wyrobienia nie zawsze mu się to udawało, bo uczucia były zbyt nagłe i silne. Jego czerwonoskóry towarzysz był bardziej odporny: pewnym krokiem mijał stosy trupów z takim spokojem, jaki mogło mu dać tylko długie doświadczenie. Uczucia białych także były różne, ale przeważał w nich smutek. Siwy starzec z pomarszczoną twarzą (marsowa mina, wojskowa postawa i krok zdradzały, mimo myśliwskiego stroju, człowieka obytego z wojennym rzemiosłem) nie wstydził się głośno wzdychać na widok strasznych obrazów. Młody człowiek u jego boku wzdrygał się od czasu do czasu, ale tłumił swe uczucia przez wzgląd na towarzysza. Jedynie człowiek, który zamykał pochód, nie ukrywał swych myśli i wypowiadał je bez ogródek i lęku. Patrzył na najstraszniejsze widoki bez wzruszenia i ze skamieniałą twarzą, choć wyrażała ona głębokie oburzenie na sprawców tej strasznej zbrodni.

Po tych charakterystycznych cechach czytelnik z łatwością rozpozna obu Mohikanów, ich białego przyjaciela — zwiadowcę, oraz Heywarda i pułkownika Munro. Istotnie, był to stary ojciec, który wyruszył na poszukiwanie swych córek, a towarzyszył mu Heyward, do głębi przejęty losem kobiet, i ci sami mieszkańcy puszczy, którzy już raz dowiedli swej zręczności i oddania.

Unkas, który szedł na przedzie, gdy znalazł się na środku równiny, krzyknął przeraźliwie. Na ten krzyk wszyscy zbiegli się do niego. Młody wojownik przystanął nad stosem splątanych kobiecych trupów. Mimo przerażającego widoku Munro i Heyward podbiegli do rozkładających się zwłok i poczęli grzebać w resztkach różnobarwnych sukien. Wiedzeni miłością, nie zważali na nieprzystojność tego czynu i szukali

śladu drogich im istot. Ojciec i zakochany młodzieniec doznali chwilowej ulgi w tych poszukiwaniach, choć znów cierpieli mękę niepewności, równie straszną jak najokrutniejsza prawda. Kiedy stali milczący i zamyśleni nad stosem ciał, podszedł do nich zwiadowca. Ten dzielny człowiek patrzył z oburzeniem na pomordowanych i po raz pierwszy od czasu, jak wszedł na równinę, odezwał się głośno:

— Widywałem już niejedno mrożące krew w żyłach pobojowisko. Nieraz całymi milami szedłem krwawym tropem — mówił — lecz nigdy nie widziałem tak szatańskiego dzieła! Zemsta jest uczuciem Indianina, a każdy, kto mnie zna, wie, że jestem czystej krwi białym, lecz przysięgam — tu, w obliczu niebios, gdzie potęgę Pana tak wyraźnie widać w ponurej dzikości tej okolicy — że jeśli *ci* Francuzi znów nawiną mi się na muszkę, moja strzelba nie umilknie, dopóki starczy mi kul i prochu! Tomahawk i nóż pozostawiam tym, którzy są do nich stworzeni. A ty co powiesz, Chingachgook? — dodał w narzeczu Delawarów. — Czy gdy głęboki śnieg pokryje ziemię, Huroni będą mogli bezkarnie chwalić się przed swymi kobietami?

Błysk szlachetnego gniewu przeleciał po śniadym obliczu wodza Mohikanów. Sięgnął po nóż, ale potem odwrócił się bez słowa, a jego twarz przybrała wyraz takiego spokoju, jakby jej nigdy nie wykrzywił skurcz namiętności.

— Montcalm! Montcalm! — ciągnął do głębi wzburzony zwiadowca, który nie umiał tak panować nad sobą jak Indianin. — Mówią, że przyjdzie dzień, kiedy wszystkie nasze ziemskie czyny ujrzymy oczami wolnymi od ludzkich słabości. Biada ci, przeklęty człowieku, coś się po to narodził, by z tym strasznym grzechem na duszy ujrzeć wówczas to pole! Ha, nie jestem chyba białym, jeżeli tu nie leżą zwłoki czerwonoskórego bez włosów na głowie, choć natura je tam umieściła! Delawarze, spójrz nań: może to jeden z waszych ludzi. Wypada go pogrzebać jak dzielnego wojownika. Widzę w twych oczach, *sagamore*, że jakiś Huron zapłaci za tę zbrodnię, zanim jesienne wiatry rozwieją zapach krwi!

Chingachgook podszedł do okaleczonych zwłok i odwróciwszy je poznał, że jest to Indianin z jednego z sześciu sprzymierzonych plemion albo narodów — jak je nazywa no — które walczyły po stronie Anglików, ale były śmiertelnymi wrogami jego szczepu. Kopnął więc obrzydliwi dla niego zwłoki i odwrócił się od nich obojętnie, jakby był padliną. Zwiadowca zrozumiał, dlaczego Chingachgook tak się zachował, i wolno ruszył dalej, nie przerywając jednak swych nienawistnych oskarżeń pod adresem Montcalma.

— Tylko Wszechmogącemu, nieograniczonemu w mądrości i potędze, wolno za jednym zamachem zgładzić tyle ludzi — mówił. — Bo tylko On w swej mądrości wie, kiedy należy karać, a kiedy wybaczać. A któż Mu dorówna w potędze, by zastąpić Jego twór? Uważam, że grzechem jest *ze* bić drugiego kozła, gdy się jeszcze nie zjadło pierwszego chyba że potrzebujemy zapasu mięsa na daleką drogę lub n czas długotrwałej zasadzki. Co innego, gdy chodzi o otwartą i zaciętą walkę z kilkoma wojownikami. Tym bowiem pisana jest śmierć ze strzelbą lub tomahawkiem w ręku, zależnie od koloru skóry. Unkasie, mój chłopcze, chodź tu i pozwól krukom nasycić się trupem Minga. Wiem z doświadczenia, że łakną one padła Oneidów. Niech więc zaspokoją swe apetyty.

— Hugh! — wykrzyknął młody Mohikanin i wspiąwszy się na palce, uważnie patrzył przed siebie, a jego nagły ruch i okrzyk spędziły kruka z jednego żeru na drugi.

— Co tam widzisz, chłopcze? — szepnął zwiadowca przypadając do ziemi, jak pantera przed skokiem. — Dałby Bóg, aby to był jakiś maruder — Francuz szukający łupu. Wierzę, że Postrach Zwierząt jeszcze dziś znajdzie okazję do zemsty!

Unkas nic nie odpowiedział, tylko skoczył w przód a za chwilę zerwał z krzaka strzępek zielonego szala Kory i począł nim triumfalnie wymachiwać. Jego ruch, widok szala i nowy okrzyk, który wydał, w jednej chwili skupiły wszystkich wokół niego.

— Moje dziecko! — na pół przytomnie powiedział Munro — Oddajcie mi moje dziecko!

— Unkas postara się — krótko, lecz wzruszająco odpowiedział młody Mohikanin.

Munro w swym bólu nie zwrócił uwagi na to proste, choć wymowne zapewnienie. Chwycił strzęp gazy i kurczowo zacisnął go w ręce, a oczami pełnymi obawy badał krzaki, jakby się lękał i spodziewał zarazem, że zdradzą mu, co się w nich kryje.

— Tu nikt nie leży — rzekł Heyward. — Zdaje mi się, że krwawa zawierucha tędy nie przeszła.

— To jasne, jaśniejsze od nieba nad naszymi głowami — rzekł niewzruszony zwiadowca. — Jednakże albo ona sama, albo ci, co ją porwali, przeszli tędy. Pamiętam bowiem, że takim szalem osłaniała twarz, na którą wszyscy z przyjemnością patrzyli. Masz rację, Unkasie: ciemnowłosa pani tu była. Uciekała do lasu jak przerażona sarna. Nikt, jeśli może uciec, nie czeka, aż go zamordują. Szukajmy więc śladów, jakie mogła zostawić. Czasem wierzę, że Indianin odnajdzie nawet ślad kolibra w powietrzu.

Przy tych słowach młody Mohikanin pobiegł naprzód i nim zwiadowca zdążył skończyć, znów krzyknął triumfalnie, tym razem ze skraju lasu. Kiedy wszyscy, bardzo podnieceni, podeszli do niego, ujrzeli drugi strzęp szala powiewający nisko na gałęzi buku.

— Powoli, powoli — odezwał się zwiadowca, swym długim sztucerem zagradzając drogę zapalczywemu Heywardowi. — Teraz już wiemy, jak sprawy stoją, ale nie niszczmy piękna śladu. Jeden nieostrożny krok przysporzy nam wiele pracy i kłopotów. Już ich mamy, to nie ulega wątpliwości.

— Niech Bóg ci wynagrodzi, szlachetny człowieku! — zawołał Munro. — Dokąd uciekały moje dzieci i gdzie są teraz?

— Droga, którą poszły, zależała od wielu okoliczności. Jeżeli uciekały same, mogły krążyć wkoło albo pójść prosto przed siebie. W takim wypadku mogą być o jakiś tuzin mil od nas. Jeżeli zaś porwali je Huroni lub jacyś inni Indianie sprzymierzeni z Francuzami, to pewnie już są niedaleko Kanady. Ale cóż to znaczy? — zapytał zwiadowca zauważywszy

niepokój i rozczarowanie na twarzach towarzyszy. — Na jednym końcu śladu stoją Mohikanie i ja i możecie mi wierzyć, że znajdziemy jego drugi koniec, chociażby dzieliły je setki mil! Ostrożnie, ostrożnie, Unkasie, jesteś tak niecierpliwy jak jakiś mieszczuch. Zapominasz, że lekka stopa zostawia lekki ślad!

— Hugh! — wykrzyknął Chingachgook, który przez ten czas uważnie badał świeżo przydeptane krzaki na skraju lasu. Stał wyprostowany i wskazywał ręką ma ziemię takim ruchem i z taką miną, jakby dostrzegł wstrętną żmiję.

— Tu wyraźnie widać odcisk męskiej stopy — zawołał Heyward pochylając się nad wskazanym miejscem. — Zstąpił na brzeg kałuży. Nie ma wątpliwości. Są w niewoli.

— Lepsze to niż umrzeć z głodu w puszczy — odparł zwiadowca. — W dodatku łatwiej nam będzie znaleźć ślad. Stawiam pięćdziesiąt bobrowych skórek przeciw pięciu krzemieniom, że najdalej za miesiąc wraz z Mohikanami wejdę do wigwamu tych Indian! Schyl się, Unkasie, i starannie zbadaj ślad mokasyna, bo to był mokasyn, nie but!

Młody Mohikanin pochylił się nad śladem. Rozgarnął liście i przyglądał się odciskowi stopy z taką starannością, z jaką lichwiarz w owych czasach drożyzny pieniądza badał podejrzany weksel. Wreszcie wstał z klęczek zadowolony z wyniku badania.

— No więc, chłopcze? — zapytał zwiadowca, bacznie nań patrząc. — Cóż mówi ten ślad? Czy udało ci się coś z niego wyczytać?

— Przebiegły Lis!

— Ha! Znów ten skaczący szatan! Nie zaprzestanie swych figli, dopóki Postrach Zwierząt nie szepnie mu mądrego słówka.

Heyward z niedowierzaniem zgodził się na ten wywód i raczej wyraził nadzieję niż wątpliwość mówiąc:

— Jeden mokasyn podobny jest do drugiego, może się więc mylicie?

— Jeden mokasyn podobny do drugiego! Mógłby pan równie dobrze powiedzieć, że jedna stopa podobna jest do drugiej. A wiemy, że są stopy długie i krótkie, szerokie i wąskie. Jedne

mają podbicie wysokie, drugie niskie. Niektóre mają palce zwrócone do wewnątrz, inne na zewnątrz. Jeden mokasyn jest tak samo niepodobny do drugiego, jak książka do książki.

Ktoś, kto umie czytać z jednej, często nie rozumie drugiej. Ale to dla naszego dobra Opatrzność dała nam różne cechy szczególne. Poczekaj, Unkasie, niech sam spojrzę; ani książka, ani mokasyn nie stracą na dwóch opiniach. — Zabrał się do badania śladu i zaraz dorzucił: — Masz rację, chłopcze. To ten sam ślad, który tak często widywaliśmy na starym tropie. Widzę, że ten człowiek chętnie zagląda do butelki. Pijący Indianin zawsze szerzej rozstawia nogi. Każdy pijak, biały czy czerwonoskóry, szuka oparcia pod nogami, i to jest jego cechą. Ta sama długość i szerokość stopy! Spójrz, Chingachgook; parokrotnie mierzyłeś ślad, gdy goniliśmy za tymi nicponiami od wodospadu Glenn do życiodajnych źródeł.

Chingachgook usłuchał, a gdy po chwili skończył badanie, wstał i spokojnie powiedział jedno słowo:

— Magua!

— Tak, a więc to jest pewne: tędy przeszła Czarnowłosa i Magua.

— A Alicja? — zapytał Heyward.

— O niej nic jeszcze nie wiemy — odparł zwiadowca, uważnie patrząc na ziemię i na rosnące w pobliżu drzewa i krzaki. — Ale co tam widzę? Unkasie, spójrz na ten krzak tarniny i podaj mi przedmiot, który na nim wisi.

Indianin podał mu żądany przedmiot, a zwiadowca uniósł go w górę i roześmiał się, jak zwykle cicho i serdecznie.

— To piskliwa broń śpiewaka. Teraz znajdziemy ślad, który by nawet księdza doprowadził do celu — powiedział. — Unkasie, poszukaj odcisku buta tak długiego, by mógł utrzymać sześć stóp i dwa cale rozklekotanego ludzkiego ciała. Chłop zaczyna rokować nadzieje, skoro porzucił swe trele dla lepszego zajęcia.

— Przynajmniej nie zawiódł zaufania —powiedział Heyward. — A Kora i Alicja mają przy sobie przyjaciela.

— Tak — odrzekł Sokole Oko. Opuścił swój sztucer, oparł się na nim i ciągnął dalej z jawną pogardą: — Będzie dalej wyśpiewywał. Czy potrafi ubić dla nich zwierzynę?

Lub wędrować idąc za mchem na bukach? Albo poderżnąć gardło Huronowi? Jeżeli nie, to pierwszy drozd, którego zobaczy, będzie mądrzejszy od niego. No jak tam, chłopcze, żadnego śladu podobnej stopy?

— Tu widzę jakby odcisk stopy w bucie — powiedział Heyward, rad, że może przerwać te przykre oskarżenia rzucane pod adresem Dawida, dla którego jego sympatia bardzo teraz wzrosła. — Czy może to być ślad naszego przyjaciela?

— Odsuń ostrożnie liście, by nie zatrzeć kształtu. To?! To wprawdzie jest ślad stopy, ale czarnowłosej dziewczyny. Ależ jest mały jak na osobę o takim wzroście i takiej postawie! Psalmista pokryłby go odciskiem swej pięty.

— Gdzie? Pozwólcie mi spojrzeć na ślad stopy mego dziecka! — zawołał Munro rozsuwając krzaki i ze wzruszeniem pochylając się nad wpółzatartym śladem. Choć krok, po którym pozostał, był szybki i lekki, ślad widać było dość wyraźnie. Stary żołnierz przyglądał mu się przez łzy. Heyward zauważył, że wyprostował się dopiero wówczas, gdy łzy poczęły wielkimi, ciężkimi kroplami spadać na odcisk stopy Kory. By więc zająć czymś starego weterana, rozproszyć jego smutne myśli i nie pozwolić mu wpaść w przygnębienie, powiedział do zwiadowcy:

— Skoro mamy już pewność, ruszajmy w drogę. Dla Alicji i Kory każda minuta musi być wiekiem.

— Nie zawsze prosta droga jest najkrótsza — odrzekł Sokole Oko nie odrywając oczu od śladów. — Wiemy, że ten skaczący Huron, Czarnowłosa i psalmista przeszli tędy, ale gdzie jest Jasnowłosa o niebieskich oczach? Choć drobna i nie taka dzielna jak jej siostra, jest miła dla oka i ujmująca w rozmowie. Czyżby nie miała przyjaciela, który by się o nią zatroszczył?

— Niechże Bóg broni, aby jej kiedy zabrakło opiekunów! Czyż jej nie szukamy? Ja przynajmniej nie zaprzestanę poszukiwań, dopóki jej nie znajdę.

— A więc pójdziemy inną drogą, bo ona tędy nie przeszła, choć ma stopę lekką i małą.

Heyward cofnął się, a cały jego zapał rozwiał się w jednej chwili. Zwiadowca, nie zważając na tę nagłą zmianę nastroju młodzieńca, po chwili namysłu powiedział:

— W tej głuszy nie ma innych kobiet, a więc ślady mogła pozostawić Czarnowłosa lub jej siostra, nikt inny. Wiemy, że pierwsza z nich tu była, ale gdzież jest jakiś ślad po drugiej? Pójdziemy dalej tym tropem, a jeśli nie znajdziemy nic nowego, wrócimy i poszukamy innego śladu. Unkasie, idź przodem i nie odrywaj oczu od zeschłych liści. Ja będę badał krzaki, a twój ojciec niech węszy przy ziemi. Ruszajmy, przyjaciele, bo słońce już zachodzi za góry.

— Czy ja mógłbym się na coś przydać? — zapytał zmartwiony Heyward.

— Pan? — powiedział zwiadowca, który ruszył już naprzód ze swymi indiańskimi przyjaciółmi w określonym przez niego porządku. — Tak, pan może iść z tyłu, ale ostrożnie, by nie zatrzeć jakiegoś śladu.

Po przejściu kilkunastu jardów Indianie przystanęli i z niezwykłą uwagą przyglądali się czemuś na ziemi. Mówili ze sobą głośno i szybko, to patrząc na siebie rozradowanymi oczyma, to przyglądając się ziemi.

— Znaleźli Małą Stopę! — zawołał zwiadowca i ruszył naprzód, zapominając, że miał badać krzaki. — Cóż tu mamy? Miejsce zasadzki? Nie! Na najcelniejszą strzelbę na całym pograniczu! Tu stały te konie, które chodzą bokiem! Teraz znamy już tajemnicę i wszystko jest tak jasne jak Gwiazda Polarna o północy. Tak, tu dosiedli koni. Tam stały one przywiązane do drzewka i czekały, a tam znów widzę szeroki ślad biegnący na północ, prosto do Kanady.

— Ale wciąż nie mamy śladu Alicji, młodszej córki pułkownika Munro — wtrącił Duncan.

— Chyba że będzie nim ta błyskotka, którą Unkas właśnie podniósł z ziemi. Chłopcze, daj no ją tutaj.

Heyward od pierwszego spojrzenia poznał ulubiony klejnocik Alicji. Jak wszyscy zakochani, miał pamięć wyczuloną na każdy szczegół, od razu więc przypomniał sobie, że Alicja miała na szyi ten klejnocik w dniu strasznej rzezi. Oznajmił więc nowinę, pochwycił drogi mu klejnot i tak szybko ukrył go na sercu, że nawet zwiadowca nic nie zauważył i, zdziwiony zniknięciem klejnocika szukał go na ziemi.

— A niech cię! — powiedział z rozczarowaniem i przestał grzebać kolbą w zwiędłych liściach. — Na starość człowiek niedowidzi. Taka lśniąca błyskotka, a nie mogę jej dostrzec! No trudno, jeszcze jednym okiem dojrzę cel, a to wystarczy do porachunku z tymi Huronami. Chciałbym znaleźć tę zgubę bodaj po to, by ją oddać prawej właścicielce. Byłaby to piękna klamra spinająca koniec i początek długiego śladu, jak ja to nazywam. Bo teraz dzieli już nas szerokość rzeki Świętego Wawrzyńca albo i Wielkich Jezior.

— Tym bardziej nie ma co zwlekać. Trzeba iść dalej — odrzekł Heyward. — Chodźmy.

— Ludzie mówią, że młoda krew i gorąca — to jedno. Nie wybieramy się jednak na wiewiórki ani po to, by zapędzić jelenia do Horicanu. Dnie i noce będziemy w drodze przez dziką puszczę, gdzie człowiek zagląda rzadko i gdzie na nic się zda cała książkowa wiedza. Indianin nigdy nie wyrusza na taką wyprawę, zanim nie wypali fajki na naradzie przy ognisku. I choć jestem białym, szanuję ich zwyczaje; zwłaszcza ten, bo wiem, że jest mądry i roztropny. Wrócimy więc i rozpalimy ogień w ruinach starego fortu. A na rano będziemy wypoczęci i zabierzemy się do dzieła jak prawdziwi mężczyźni, a nie jak gadatliwe baby czy lekkomyślni chłopcy.

Z zachowania zwiadowcy Heyward pojął, że nie ma się co upierać. Munro znów zapadł w 'apatię, która owładnęła nim od chwili ostatniego strasznego nieszczęścia, jakie go spotkało. Wyrwać go z odrętwienia mogły tylko jakieś nowe i niezwykłe przeżycia. Młody człowiek, nadrabiając miną, ujął więc starca pod ramię i poszedł za Indianami i zwiadowcą, którzy zawrócili już ku równinie.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

S a l a r i n o:
*Cóż, jestem pewien, że jeśli nawet nie dotrzyma terminu,*
*przecież mu mięsa nie wytniesz... Bo i po co?*

Szajlok;
*Chociażby rybom na przynętą! A jeśli*
*niczego nie nasyci, nasyci moją zemstą.*

”Kupiec wenecki”

Kiedy Sokole Oko wraz z towarzyszami wszedł w ruiny fortu, zapadł już gęsty mrok, jeszcze bardziej powiększając grozę tego miejsca. Zwiadowca i Indianie natychmiast zaczęli się przygotowywać do noclegu w ruinach. A skupienie i powaga, z jaką to robili, wyraźnie mówiły, że nawet oni, zahartowani we wszystkich okropnościach, byli wstrząśnięci tym, co ujrzeli. Z kilku belek stropowych opartych o wał, które Unkas nakrył cienką warstwą gałązek, powstał prymitywny szałas. Gdy młody Indianin skończył tę pracę, wskazał na zaimprowizowaną chatkę, a Heyward zrozumiał znaczenie tego niemego gestu i uprzejmie wprowadził pod dach pułkownika Munro. Sam nie został tam długo. Pozostawił osieroconego ojca jego smutkowi i wyszedł. Był zbyt podniecony i czuł, że nie zaśnie, choć sam to gorąco doradzał swemu staremu przyjacielowi.

Tymczasem Sokole Oko i Indianie rozpalili ognisko i zabrali się do skąpego posiłku, który składał się z kawałków suszonego niedźwiedziego mięsa. Major udał się na kurtynę zrujnowanego fortu, która wychodziła na otwartą przestrzeń jeziora Horican. Wiatr ucichł, a fale miarowo biły w piaszczyste wybrzeże u stóp młodzieńca. Chmury rozstąpiły się, jakby zmęczone swym szalonym biegiem. Cięższe zbiły się w jedną ciemną masę na horyzoncie, lżejsze wciąż jeszcze pędziły nad wodą lub kłębiły się między szczytami gór, podobne do spłoszonego stada ptaków kołujących nad gniazdami. Tu i tam migotliwe, czerwonawe światło gwiazd walczyło ze snującymi się oparami, a martwy ich blask oblekł niebo zwodniczą poświatą. U stóp gór otaczających równinę panował już nieprzenikniony mrok. Dolina tonęła w ciemności i ciszy, niby olbrzymia, zapomniana kostnica. Żaden szept czy szmer nie zakłócił snu spoczywających tu zmarłych.

Duncan długo stał i uważnie patrzył na ten widok, który jeszcze raz boleśnie przypomniał mu o wszystkim, co zaszło. Wzrokiem wodził od podnóża wału, gdzie Sokole Oko i Indianie siedzieli przy ognisku, do słabego blasku wieczornej zorzy na horyzoncie. Wreszcie z niepokojem długo patrzył w nieprzenikniony mrok, który, jak przeraźliwa pustka, rozciągał się nad miejscem, gdzie leżeli zabici. Wkrótce wydało mu się, że usłyszał dolatujące stamtąd tajemnicze odgłosy. Były jednak zbyt niewyraźne i słabe, by mógł je rozpoznać, przypuszczał więc, że się omylił. Zawstydzony, że dał się ponieść wyobraźni, odwrócił się w stronę jeziora i usiłował zapomnieć o tych tajemniczych odgłosach, przyglądając się migotaniu gwiazd w rozkołysanej wodzie. Jednakże podświadomie wciąż nadstawiał uszu, czujny na niebezpieczeństwo. Wreszcie wydało mu się, że słyszy czyjeś szybkie kroki w mroku. Teraz już nie mógł zapanować nad niepokojem, cicho zawołał na zwiadowcę i poprosił go, by wszedł do niego na wał. Sokole Oko wziął sztucer i podszedł do Heywarda, ale z jego spokojnej i niewzruszonej miny wyraźnie było widać, iż nie wierzy, by im coś groziło.

— Niech pan posłucha! — powiedział Duncan, kiedy zwiadowca stanął przy nim. — Słyszę z równiny jakieś stłumione odgłosy, co wskazywałoby, że zostali tu jeszcze żołnierze Montcalma.

— A zatem uszy są użyteczniejsze od oczu — obojętnie odparł zwiadowca, a mówił wolno i niewyraźnie, bo przeżuwał kawał mięsa. — Przecież sam widziałem, jak zamknął się w Ty wraz z całym wojskiem. Ci pańscy Francuzi, gdy im się coś uda, zaraz lecą z powrotem, by z radości potańczyć z babami i wesoło się zabawić.

— Nie wiem. Indianin rzadko sypia w czasie wojny, a chęć rabunku mogła zatrzymać tutaj jakiego Hurona. Dobrze by było zgasić ognisko i czuwać. Niech pan słucha!. Czy słyszy pan szelest?

— Indianin jeszcze rzadziej włóczy się między grobami. Skory jest do zabójstwa i nie przebiera w środkach. Ale zwykle zadowala się skalpem wroga, chyba że działa pod wpływem namiętności i wzburzenia. Ale gdy jego ofiara wyzionie ducha, zapomina o nienawiści i pozwala zabitemu spać spokojnie. Skoro już mówimy o duchach, czy przypuszcza pan, majorze, że czerwonoskórzy i biali trafią do tego samego nieba?

— Na pewno… na pewno. Zdaje mi się, że słyszę ten sam szmer! A może to tylko szeleszczą liście buku?

— Ja myślę — ciągnął Sokole Oko, obojętnie odwracając się tam, gdzie wskazywał Heyward — że raj jest miejscem ogólnej szczęśliwości i że każdy będzie tam robił, co chce i co lubi. Czerwonoskórzy mają chyba rację, gdy za swymi podaniami powtarzają, że raj to olbrzymi teren łowów. Dlatego też nie ma w tym nic złego, jeśli czystej krwi biały spędza czas…

— Czy słyszy pan teraz? — przerwał mu Duncan.

— Tak, tak. Kiedy braknie żeru lub kiedy jest go za dużo, wilki nabierają śmiałości — niewzruszonym głosem odrzekł zwiadowca. — Gdybyśmy mieli czas i było jasno, zdobylibyśmy parę skórek. Wracając do przyszłego życia, majorze, słyszałem, jak duchowni mówili, że raj to miejsce wiecznego wypoczynku. Ale ludzie różnie wyobrażają sobie szczęście. Na przykład ja,

mówię to z pełnym szacunkiem dla boskich wyroków, nie uważałbym za szczęście, gdyby mnie zamknięto w jednej z tych komnat, o których mówią kaznodzieje. Lubię ruch i łowy.

Duncan dowiedziawszy się, skąd pochodzą niepokojące go szmery, mógł teraz więcej uwagi poświęcić tematowi, który interesował zwiadowcę. Powiedział więc z większą przytomnością:

— Trudno powiedzieć, co będziemy czuli w chwili ostatniej wielkiej zmiany w naszym życiu.

— Dla człowieka, który większość życia spędził pod otwartym niebem — naiwnie odparł zwiadowca — i często łamał posty nad źródłami Hudsonu, będzie to istotnie niemała zmiana, gdy spokojnie zaśnie w pobliżu wyjących Mohawków. Pocieszam się myślą, że wszyscy służymy litościwemu Panu, choć każdy na swój sposób i chociaż nieraz dzielą nas od siebie niezmierzone obszary puszczy. Ale kto tam chodzi?

— Czyż to nie wilki?

Sokole Oko powoli potrząsnął głową, skinął na Duncana i ukrył się w cieniu, jak nakazywała ostrożność. Potem z wielką uwagą jął nadsłuchiwać, czy nie powtórzy się szmer, który go tak zadziwił. Ale daremnie wytężał słuch. Po krótkim wyczekiwaniu szepnął więc Heywardowi:

— Trzeba zawołać Unkasa. Chłopiec ma zmysły Indianina i usłyszy to, czego my nie słyszymy. Trudno, jestem białym i nie będę się tego zapierał.

Młody Mohikanin cichym głosem rozmawiał ze swym ojcem, ale gdy usłyszał krzyk sowy, drgnął, zerwał się na nogi i spojrzał na ciemne wały szukając tam źródła głosu. Zwiadowca powtórzył wezwanie i w chwilę potem Duncan ujrzał, jak Unkas ostrożnie skrada się wzdłuż wału ku miejscu, w którym stali.

Sokole Oko w paru słowach, po delawarsku, wytłumaczył Unkasowi, o co chodzi. Młody Indianin padł na darń pokrywającą ziemię i leżał nieruchomo. Heyward zdziwił się, że Mohikanin nic nie przedsięwziął, że leży jak zabity, i ciekaw, na co czeka, podszedł bliżej. Gdy się pochylił nad ciemnym kształtem, od którego ani na chwilę nie oderwał oczu,

przekonał się, że Unkas zniknął, a to, na co bez przerwy patrzył, było tylko wybrzuszeniem terenu.

— Co się stało z Unkasem? — zapytał zwiadowcę cofając się w zdumieniu. — Widziałem, jak padł na ziemię, i gotów byłbym przysiąc, że wciąż tu leży.

— Tss! Niech pan mówi ciszej, bo nie wiadomo, czy nas ktoś nie słucha, a Mingo to sprytne nasienie. Unkas jest już na równinie i Makaowie, jeśli tam są, będą z nim mieli ciężką przeprawę.

— Myśli pan, że Montcalm nie wycofał stąd wszystkich Indian? Zaalarmujmy naszych towarzyszy i chwyćmy za broń. Jest nas pięciu, a walka to dla nas nie nowina.

— Ani pary z ust, jeśli panu życie miłe! Spójrz pan na Chingachgooka. Siedzi przy ognisku jak prawdziwy wielki wódz. Jego niewzruszony spokój zwiedzie każdego, jeśli naprawdę ktoś się czai w mroku.

— Ale mogą go dojrzeć i wtedy zginie. Dobrze go widać w świetle ogniska i łatwo ustrzelą go pierwszego.

— To prawda — odparł zwiadowca z niezwykłym jak na niego niepokojem — ale co na to poradzić? Wystarczy, abyśmy tylko raz spojrzeli podejrzliwie, a napadną nas, zanim będziemy gotowi. Chingachgook domyślił się po znaku, jaki dałem Unkasowi, że coś tu się święci. Ostrzegę go, że wpadliśmy na ślad Mingów, a jego indiańska natura powie mu, co robić.

Przyłożył palce do ust i syknął, a Duncan instynktownie odskoczył, bo wydało mu się, że słyszy syczenie węża. Chingachgook siedział z głową wspartą na ręce i głęboko nad czymś rozmyślał. Na ostrzegawczy syk stworzenia, którego imię nosił, wyprostował się i swymi czarnymi oczami szybko, uważnie rozejrzał się wkoło. Lecz nic poza tym błyskawicznym i zapewne mimowolnym ruchem nie zdradziło jego niepokoju. Nawet nie dotknął strzelby, którą miał pod ręką, jakby o niej zapomniał. Tomahawk, dla wygody nieco wysunięty zza pasa, wyśliznął się na ziemię, a stary Indianin zgarbił się i rozluźnił mięśnie, jakby w zupełnym wypoczynku. Wracając do dawnej pozycji, chytrze zmienił tylko położenie rąk, jakby po to, by je

wyciągnąć swobodniej, i czekał, co będzie dalej, spokojnie i odważnie jak prawdziwy indiański wojownik.

Ale Heyward dostrzegł, że Chingachgook niby drzemiąc nozdrza ma rozdęte, głowę lekko przechyloną na bok, by lepiej słyszeć, a spojrzeniem bezustannie przeskakuje z przedmiotu na przedmiot.

— Niech pan spojrzy na tego zadziwiającego człowieka! — szepnął Sokole Oko ściskając ramię Heywarda. — Wie, że najmniejszym ruchem czy nieostrożnym spojrzeniem pokrzyżuje nasze plany i zda nas na łaskę wrogów…

Przerwał mu błysk i huk wystrzału. Tam, gdzie Heyward patrzył z podziwem, wirowały iskry z rozbitego ogniska, a Chingachgook gdzieś zniknął niepostrzeżenie. Zwiadowca przyłożył sztucer do ramienia i niecierpliwie czekał na ukazanie się wroga. Lecz napad skończył się na tym jednym nieudanym zamachu na Chingachgooka. Raz czy dwa Heyward i zwiadowca słyszeli jeszcze odległy szelest rozsuwanych krzaków, jakby przedzierał się przez nie człowiek lub inne stworzenie. Sokole Oko wkrótce wskazał Heywardowi „sznurujące” wilki; najwidoczniej uciekały pośpiesznie przed jakimś intruzem, który je spłoszył. Po krótkiej i niespokojnej chwili oczekiwania usłyszeli wreszcie plusk wody, a zaraz po nim — drugi strzał. — To strzelił Unkas! — zawołał zwiadowca. — Chłopiec ma dobrą broń. Znam jej huk, jak ojciec zna szczebiot swego dziecka, bo używałem jej, zanim zdobyłem lepszą.

— Ale co to ma znaczyć? — zapytał Duncan. — Ktoś na nas czyha.

— Z rozbitego ogniska widzę, że ktoś miał złe zamiary, ale sądząc po Indianinie wróg nie dopiął celu — odparł zwiadowca biorąc broń na ramię i idąc do Chingachgooka, który właśnie w tej chwili wynurzył się w kręgu światła w samym środku fortu. — No, jak tam, *sagamore?* Czy to naprawdę Mingowie depczą nam po piętach? Ą może to tylko jeden z tych gadów, co wloką się za wojskiem, skalpują zwłoki, a później w domu przed babami chwalą się swym bohaterstwem?

Chingachgook spokojnie siadł na dawnym miejscu i nie odezwał się słowem, dopóki nie zbadał głowni trafionej kulą, która go o mały włos nie ugodziła. Dopiero potem podniósł palec w górę i rzekł tylko jedno słówko po angielsku:

— Jeden.

— Tak myślałem — siadając odparł Sokole Oko. — Łajdak dał nura w wodę, zanim Unkas go dopadł. Będzie teraz łgał, ile wlezie, o tym, jak siedział w zasadzce i czatował na dwóch Mohikanów i jednego białego myśliwego, bo w takiej potyczce obaj oficerowie niewiele więcej są warci od widzów. Ale niech tam… niech tam… W każdym narodzie znajdą się ludzie uczciwi (choć Bóg świadkiem, że mało ich wśród Makaów), którzy z pogardą spojrzą na łgarza kłamiącego w żywe oczy. Kula tego łotra przeleciała ci też nad uchem, Wielki Wodzu.

Chingachgook spojrzał obojętnie na głownię przebitą kulą i znów przybrał poprzednią postawę. Jego spokoju nie mogła zakłócić taka drobnostka. W tej chwili Unkas wśliznął się między nich i siadł przy ognisku, a jego mina była tak samo obojętna, jak wyraz twarzy ojca.

Heyward ciekawie i z podziwem obserwował tę scenę. Wydawało mu się, że Indianie porozumiewają się w jakiś tajemniczy sposób, dla niego nieuchwytny. Młody wojownik nie przechwalał się, nie puszył, nie chełpił, jakby to zrobił każdy biały młodzieniec, gdyby opisywał, co zaszło na równinie. Pozwolił czynom mówić za siebie. Prawdę powiedziawszy dla Indianina chwila i miejsce nie były odpowiednie do chwalenia się swymi czynami. Zapewne gdyby nie pytanie Heywarda, nikt nawet słowem by nie wspomniał o całym wydarzeniu.

— Co się stało z naszym wrogiem, Unkasie? — zapytał Duncan. — Słyszeliśmy huk twej strzelby i spodziewamy się, żeś nie strzelał daremnie.

Młody wódz odchylił fałdę swej myśliwskiej bluzy i z niewzruszonym spokojem pokazał kosmyk włosów — znak odniesionego zwycięstwa. Chingachgook wziął skalp w rękę i przez chwilę przyglądał mu się bardzo uważnie. Potem rzucił go z pogardliwym wyrazem twarzy.

— Oneida! — powiedział.

— Oneida! — powtórzył zwiadowca, który tak samo jak Indianie przestał się interesować całym zajściem i niemal dorównywał im obojętnością, ale teraz z poważną miną podszedł, by obejrzeć krwawy skalp. — Na Boga, jeżeli Oneidowie są na naszym tropie, to wkrótce otoczą nas ze wszystkich stron! Biali nie dojrzą różnicy między włosami z głowy tego czy innego Indianina. A jednak *sagamore* twierdzi, że to skóra z czaszki Minga. Co więcej, wymienia nawet plemię, do którego należał ten biedak, tak łatwo, jakby skalp był kartką książki, a każdy włosek na nim — oddzielną literą. Jakże mogą biali chrześcijanie chwalić się swą wiedzą, jeśli najmądrzejszy z nich nie rozumie języka dostępnego dla dzikich! A co ty mówisz, chłopcze? Z jakiego plemienia był ten nicpoń?

Unkas wzniósł oczy, spojrzał w twarz zwiadowcy i odpowiedział swym łagodnym głosem:

— Oneida.

— Oneida! I ty tak mówisz! Słowu Indianina na ogół można wierzyć. Ale jeżeli poprze go drugi, można przysięgać, że powiedzieli prawdę.

— Biedak wziął nas za Francuzów — powiedział Heyward — bo inaczej nie porwałby się na życie przyjaciela.

— Wziął Mohikanina w jego malowidle za Hurona! Równie dobrze mógłby pan wziąć białe mundury grenadierów Montcalma za purpurowe kurtki Królewskiej Piechoty Amerykańskiej — odparł zwiadowca. — Nie, ta żmija dobrze wiedziała, co robi. Zresztą nie pomylił się tak bardzo. Między Mingiem a Delawarem — obojętnie, po czyjej są stronie w wojnie białych — nie ma miłości. Dlatego bez namysłu wypaliłbym z Postrachu Zwierząt do tego hultaja, gdyby stanął na mej drodze, choć Oneidowie służą królowi, który jest także moim panem i władcą.

— Byłby to uczynek niegodny pana, a jednocześnie naruszenie traktatu.

— Kiedy człowiek długo żyje z jakimś uczciwym narodem, a sam nie jest łotrem — ciągnął Sokole Oko — to w końcu się

polubią. Prawda, że biali doprowadzili swą chytrością do takiego zamieszania między plemionami, iż nie wiadomo, kto się lubi, a kto nienawidzi. W rezultacie Huroni i Oneidowie, którzy mówią tym samym językiem, a raczej prawie tym samym, polują na swe skalpy, a Delawarzy podzielili się na dwie partie. Jedna, mniejsza, trwa na brzegu swej rzeki przy wielkich ogniskach narad i walczy po tej samej stronie, co Mingowie. Druga, większa, z wrodzonej nienawiści do nich siedzi w Kanadzie. Stąd ogólne zamieszanie i niedorzeczności w wojnie. Ale charakter Indian nie zmieni się na żądanie polityków i dlatego na miłość Mohikanów do Mingów trzeba patrzyć tak, jak na przyjaźń między człowiekiem i wężem.

— Przykro mi to słyszeć. Sądziłem bowiem, że ci Indianie, którzy mieszkają w naszym kraju, tak dobrze poznali naszą sprawiedliwość i wyrozumiałość, iż uważają nasze sprawy za własne.

— Myślę, że człowieka więcej zawsze obchodzą jego własne sprawy niż cudze! Ja ponad wszystko stawiam sprawiedliwość i dlatego nie powiem, abym nienawidził Mingów. Nie zgadzałoby się to ani z kolorem mej skóry, ani z moją wiarą. Ale powtarzam, że gdyby nie noc, Postrach Zwierząt nie darowałby życia temu czającemu się Oneidzie.

Szlachetny i nieugięty zwiadowca, przekonany o sile swych argumentów, nawet nie czekał na odpowiedź Heywarda, lecz odwrócił się od ogniska uważając rozmowę za skończoną. Heyward zaś, któremu obca była wojna w puszczy, kiedy w każdej chwili groziło zaskoczenie, poczuł się nieswojo i schronił się na wał. Zwiadowca i Mohikanie natomiast zachowali się inaczej. Ich wyćwiczone i wyostrzone długą praktyką zmysły, wprost nie do wiary czujne, nie tylko uprzedzały ich o każdym niebezpieczeństwie, ale i pozwalały właściwie je ocenić. Żaden z nich nie wątpił, że teraz nic im już nie grozi, spokojnie więc przygotowywali się do narady, na której mieli powziąć decyzję na najbliższą przyszłość.

Zamieszanie wśród plemion, a nawet szczepów, o którym wspomniał Sokole Oko, w owym czasie doszło do szczytu.

Potężna spójnia, oparta na wspólnym języku i pochodzeniu, w wielu wypadkach została zerwana. Jedną z konsekwencji tego było, że naturalni wrogowie — Delawarzy i Mingowie, jak nazywano plemiona należące do związku Sześciu Narodów, walczyli w tych samych szeregach. A znów Mingowie polowali na skalpy Huronów, choć pochodzili z tego samego pnia. Nawet Delawarzy byli podzieleni.. Umiłowanie ziemi, która kiedyś należała do ich przodków, trzymało wodza Mohikanów i niewielką grupę jego zwolenników (wchodzili oni w skład załogi fortu Edwarda) pod sztandarami króla Anglii. Lecz większość tego plemienia była w obozie Montcalma. Dobrze będzie, gdy wytłumaczymy czytelnikowi, bo może nie dość jasno wynikało to z naszego opowiadania, że Delawarzy, czyli Lenapowie, uważali swoje plemię za praprzodka tego licznego ludu, który ongiś władał większością wschodnich i północnych stanów Ameryki. Mohikanie zaś byli jego' najstarszą i najbardziej szanowaną gałęzią.

Oczywiście zwiadowca i jego czerwonoskórzy towarzysze doskonale orientowali się w zawiłym splocie interesów, które sprawiły, że przyjaciele walczyli przeciw sobie, a naturalni wrogowie — obok siebie, w tych samych szeregach. Z tą znajomością rzeczy zabierali się teraz do narady, co dalej począć wśród tych zwaśnionych dzikich plemion. Duncan dość dobrze znał zwyczaje Indian, by zrozumieć, dlaczego podsycono ogień 1 czemu wojownicy wraz z Sokolim Okiem zasiedli przy nim z uroczystą powagą:. Stanął więc za rogiem, jednego z szańców, skąd mógł obserwować scenę przy ognisku, i baczny na każde niebezpieczeństwo z zewnątrz, czekał na wynik narady z takim spokojem, na jaki tylko mógł się zdobyć.

Po krótkiej, a jednak nad wyraz wymownej pauzie Chingachgook napełnił i zapalił fajkę o drewnianym cybuszku i główce misternie wyrzeźbionej z miejscowego miękkiego kamienia. Kilka razy zaciągnął się aromatycznym dymem i oddał fajkę zwiadowcy. Tak w ciszy i w najgłębszym milczeniu fajka trzy razy obeszła koło. Potem *sagamore,* jako najstarszy wiekiem i godnością, w paru spokojnych słowach oznajmił

temat rozważań. Odpowiedział mu zwiadowca, potem znów Chingachgook zbijał jego wywody. Młody Unkas siedział w milczeniu i słuchał z szacunkiem debaty starszych, dopóki Sokole Oko przez grzeczność nie zapytał go o zdanie. Z zachowania mówców Heyward wywnioskował, że ojciec i syn są tego samego zdania, a Sokole Oko nie zgadza się z nimi. Spór powoli rozgorzał i wreszcie stało się jasne, że przeciwnicy kierują się już tylko własną ambicją.

Ale choć ten przyjacielski spór stawał się coraz gorętszy, mógłby być przykładem umiarkowania i uprzejmości nawet dla najpoważniejszego zebrania chrześcijan, nie wyłączając takiego, na którym byliby sami księża. Słów Unkasa słuchano z taką samą uwagą, jak wywodów dojrzałego i doświadczonego Chingachgooka. Nikt nie zdradził zniecierpliwienia, nikt nie zabierał głosu, zanim nie zważył w milczeniu argumentów swego poprzednika.

Słowom Mohikanów towarzyszyły gesty tak wymowne i naturalne, że Heyward bez trudu śledził bieg ich myśli. Nie rozumiał natomiast, o co chodzi zwiadowcy, bo ten, powodowany dumą białego, mówił chłodno i zachowywał się nienaturalnie, jak każdy Anglik czy Amerykanin, dopóki się nie podnieci. Z tego, że. Indianie często ruchami rąk przedstawiali wędrówkę przez las, wynikało, że nalegają na pościg lądem. Zwiadowca zaś parokrotnie wskazał na Horican, co dowodziło, że był za drogą wodną.

Już wydawało się, że traci grunt pod nogami i że go przegłosują, gdy nagle zapalił się, skoczył na równe nogi i nie tylko przybrał postawę i gesty Indianina, ale i zaczął mówić z indiańską swadą. Uniósł jedno ramię w górę i opisał nim półkole — bieg słońca po niebie — i powtórzył ten ruch tyle razy, ile dni trzeba będzie, by dojść do celu. Potem zobrazował ciężką i długą drogę przez skały i potoki. Ruchami aż nadto zrozumiałymi przedstawił wiek i słabość pułkownika Munro, który w tej chwili spał twardo. Duncan nawet odgadł, że nieprzychylnie napomyka o jego siłach, gdy wyciągnął rozwartą dłoń. Najwidoczniej użył imienia Szczodra Ręka, które nadali

Duncanowi Indianie zaprzyjaźnionych plemion za jego hojność. Potem odmalował lekkie i płynne ruchy czółna rażąco kontrastujące z ciężkim krokiem zmęczonego i osłabionego człowieka. Na zakończenie wskazał na skalp Indianina z plemienia Oneida i widocznie nalegał, by zaraz ruszać w drogę, i to tak, aby nie zostawić po sobie żadnych śladów. Mohikanie słuchali zwiadowcy z najgłębszą uwagą, a wyraz ich twarzy świadczył, że dobrze go rozumieją. Powoli przekonywające argumenty Sokolego Oka poczęły działać i przy końcu mowy Mohikanie przyjmowali jego słowa zwykłymi pochwalnymi okrzykami. Krótko mówiąc, gdy Unkas i jego ojciec przekonali się, że zwiadowca ma rację, chętnie i otwarcie zrezygnowali ze swego zdania i nie upierali się więcej, co, gdyby obaj byli członkami jakiegoś wielkiego i cywilizowanego narodu, na zawsze pogrzebałoby ich opinię dobrych polityków.

Kiedy już powzięli decyzję, zapomnieli o samej dyskusji i sporze między sobą. Sokole Oko nawet się nie rozejrzał, by wyczytać w oczach słuchaczy pochwałę swego zwycięstwa. Spokojnie wyciągnął się przy dogasającym ognisku i usnął.

Mohikanie pozostawieni samym sobie wykorzystali sposobność, by nareszcie przestać myśleć o innych i zająć się sobą. Chingachgook zapomniał o poważnym i surowym tonie, o godności wodza i łagodnym, wesołym głosem począł coś czule mówić do syna. Unkasowi sprawiło to wielką radość i zanim zwiadowca zaczął chrapać przez sen, zachowanie Indian zupełnie się zmieniło.

Trudno opisać komuś, kto nigdy nie słyszał podobnej muzyki, melodyjność ich języka; gdy czule i wesoło gwarzyli ze sobą. Skala głosów szczególnie młodego Mohikanina, była zadziwiająca: sięgała od głębokiego basu aż do wysokich tonów, niemal dziewczęcych. Ojciec z jawnym zachwytem patrzył na każdy wymowny i ujmujący w i swej prostocie gest syna. Nigdy nie zapomniał uśmiechem odpowiedzieć na jego zaraźliwy, choć cichy śmiech. Pod wpływem tych szlachetnych i naturalnych uczuć rysy wodza złagodniały i straciły swój surowy i dziki wyraz. Emblemat śmierci, niczym zbroja

pokrywający jego ciało, wyglądał teraz jak część maskaradowego stroju, a nie jak zapowiedź idącej za nim zagłady.

Po godzinie czułej rozmowy Chingachgook owinął głowę w koc, wyciągnął się na gołej ziemi i w ten sposób oznajmił, że chce spać. Unkas natychmiast spoważniał. Starannie nagarnął głownie ogniska bliżej nóg ojca i sam ułożył się do snu. Heyward patrząc na ten Spokój doświadczonych mieszkańców puszczy nabrał pewności, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo i poszedł za ich przykładem. Na długo przed północą ludzie w środku zburzonych umocnień spali równie głębokim snem jak polegli na równinie, których kości poczynały już bieleć.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

*Albanio, niech na ciebie spojrzą moje oczy,*
*O, ty dzika piastunko równie dzikich ludzi.*
”Childe Harold”

Na niebie jeszcze pełno było gwiazd, gdy Sokole Oko przyszedł zbudzić śpiących. Munro i Heyward już odrzucili płaszcze i wstali, a zwiadowca wciąż jeszcze półgłosem wołał na nich z progu prymitywnego schronu, w którym spędzili noc. Kiedy wyszli, ujrzeli zwiadowcę czekającego na nich przy wejściu. Pozdrowił ich wymownym ruchem ręki nakazującym ciszę i na tym poprzestał.

— Módlcie się w myśli — szepnął, gdy podeszli bliżej. — Ten, do którego się modlicie, zna wszystkie języki. Zarówno idące z serca, jak i płynące z ust. Ale nie odzywajcie się ani słowem: biały rzadko kiedy umie nagiąć swój głos do warunków puszczy, co widzieliśmy na przykładzie tego biedaka psalmisty. Chodźcie — mówił zwracając się ku kurtynie fortu — zejdziemy do rowu tą stroną. Starajcie się stąpać po kamieniach lub szczątkach drzewa.

Obaj biali usłuchali, chociaż nie rozumieli tej ostrożności. Kiedy zeszli na dno głębokiego rowu otaczającego szaniec z trzech stron, natknęli się na rumowisko, które zagrodziło im drogę. Idąc ostrożnie i cierpliwie za zwiadowcą udało im się pokonać tę przeszkodę i dotrzeć do piaszczystego brzegu Horicanu.

— Ten ślad można wykryć tylko węchem — z zadowoleniem stwierdził zwiadowca oglądając się na trudną drogą, którą anieli już za sobą. — Trawa to zdradliwy dywan dla

uciekających, ale na drzewie i na kamieniu nie znać śladu mokasynów. Gdybyście mieli na nogach swe buty z ostrogami, byłby oczywiście powód do obawy. Ale w obuwiu z jeleniej skóry, odpowiednio sporządzonym, można śmiało iść po skałach. Unkasie, przyciągnij czółno do brzegu. Na tym piasku widać ślady jak na holenderskim maśle. Ostrożnie, przyjacielu, ostrożnie, nie powinno dotknąć brzegu, ba ci nicponie od razu dowiedzą się, którędy odeszliśmy.....

Unkas usłuchał, zwiadowca ostrożnie oparł koniec deski zabranej z ruin o burtę łódki i ruchem ręki kazał oficerom wejść. Gdy już byli w czółnie, starannie zatarł ostatnie ślady. Potem przedostał się do brzozowego czółenka tak, że nie pozostawił najmniejszego znaku po sobie. Heyward siedział w milczeniu, dopóki nie odpłynęli dość daleko. Gdy długi i gęsty cień gór na wschodzie, padający na szklistą wodę, okrył łódkę, zapytał:

— Czemu uciekliśmy tak nagle i z takimi ostrożnościami?

— Gdyby krew Oneidy mogła splamić tę czystą wodę, wyczytałby pan w niej odpowiedź — odparł zwiadowca. — Czy pan już zapomniał o tej czającej się gadzinie, którą zabił Unkas?

— Ależ nie. Mówiliście tylko, że był sam, a umarłych nie trzeba się lękać.

— Tak, był sam, gdy na nas nikczemnie napadł! Ale Indianin z plemienia liczącego aż tylu wojowników może być pewien, że za jego śmierć wróg zapłaci jękiem konania.

— No tak, ale nasza obecność... autorytet pułkownika Munro... mógłby ustrzec nas wszystkich przed zemstą sprzymierzonych z nami Indian. Zwłaszcza że ten gałgan zasłużył na swój los. Na Boga, dla tak błahego powodu nie zboczył pan chyba ani o włos z naszej drogi?

— Czy sądzi pan, że kula ze strzelby łotra zboczyłaby, gdyby sam król stanął mu przed lufą? — odrzekł uparty zwiadowca. — Jeżeli jedno słowo białego ma taki wpływ na Indian, to czemu ten sławny Francuz, główny wódz Kanadyjczyków, nie powstrzymał Huronów od morderstwa?

Heyward chciał odpowiedzieć, ale przeszkodził mu w tym rozpaczliwy jęk pułkownika Munro. Chwilę milczał więc z szacunku dla bólu swego starego przyjaciela, a potem rzekł uroczyście:

— Markiz de Montcalm odpowie za to przed Bogiem.

—Tak, tak. Teraz powiedział pan mądrze, bo oparł się pan na wierze i sprawiedliwości. Można pchnąć pułk biało umundurowanych grenadierów między jeńców i rozwścieczonych dzikich, a można też uspokajać ich i nakłaniać, by zapomnieli o swych nożach i strzelbach, i raz po raz powtarzać im dwa słowa: „mój synu”. Ale ja Widzę wielką różnicę między jednym a drugim. Nie, nie — ciągnął zwiadowca oglądając się na mroczny, szybko niknący brzeg, na którym stał fort William Henry, i śmiejąc się jak zwykle cicho i szczerze. — Niech teraz te łajdaki szukają śladu na wodzie. Jeżeli im ryby nie powiedzą, kto wiosłował tego pięknego ranka po jeziorze, przepłyniemy Horican, nim się domyślą, którędy uciekliśmy.

— Nie jesteśmy tak bezpieczni, skoro mamy wrogów za sobą i przed sobą.

— Bezpieczni! — spokojnie powtórzył Sokole Oko. — Nie, nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Musimy tylko pilnie nadsłuchiwać i bacznie patrzyć, a uda nam się wyprzedzić wrogów o parę godzin. A jeżeli będziemy musieli sięgnąć do strzelb, trzech z nas umie się z nimi obchodzić jak nikt na pograniczu. Nie, nie, nic nam nie grozi, ale może się zdarzyć — jak to się mówi — że nas trochę przycisną. Może też dojść do potyczki czy innej awantury, ale zawsze będziemy dobrze osłonięci, a prochu i kul nam wystarczy.

Najwidoczniej Heyward trochę inaczej zapatrywał się na niebezpieczeństwo niż Sokole Oko, bo przez cały czas, gdy czółno gładko sunęło po wodzie, milczał zawzięcie. O świcie wpłynęli w cieśninę jeziora i szybko, ostrożnie przemykali się między niezliczonymi wysepkami. Tędy cofał się Montcalm ze swą armią, wiedzieli więc, że musiał zostawić Indian w zasadzce, by osłaniali jego tyły i łapali maruderów. Dlatego też Mohikanie płynęli ze zwykłą im ostrożnością i cicho.

Chingachgook odłożył wiosło. Unkas i zwiadowca wiosłowali dalej, a lekkie czółno przemykało się przez kręte i zawiłe kanały, gdzie wróg lada chwila mógł im przeciąć drogę. Gdy tak płynęli, Wielki Wódz bacznie przebiegał wzrokiem od wysepki do wysepki, od gaju do gaju, a kiedy pozwalała na to otwarta przestrzeń wody, bystrym spojrzeniem ogarniał nagie skały i groźnie pochylone nad jeziorem lasy, rosnące na brzegach wąskiej cieśniny.

Heyward rozglądał się ciekawie z dwóch powodów: po pierwsze dla piękna krajobrazu, a po drugie, by w porę dostrzec niebezpieczeństwo. Lecz już zaczął w nie wątpić, gdy nagle na znak Chingachgooka Unkas i Sokole Oko przestali wiosłować.

— Hugh! — krzyknął Unkas prawie w tej samej chwili, kiedy jego ojciec lekkim stuknięciem w burtę czółna uprzedził wiosłujących o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

— O co chodzi? — zapytał zwiadowca. — Jezioro jest tak gładkie, jakby wiatr nigdy tu nie wiał. Widzę na odległość kilku mil: tych czystych wód nic nie plami, nawet czarna główka nurka.

Indianin poważnie uniósł wiosło i wskazał na coś, od czego nie odrywał oczu. Duncan spojrzał w tym samym kierunku. O kilkanaście jardów przed nimi leżała jedna z małych, zalesionych wysepek, tak cicha, samotna i spokojna, jakby stopa ludzka nigdy tam nie postała.

— Nic nie widzę — powiedział — tylko wodę i wyspę. Naprawdę cudny widok!

— Tss! — przerwał mu zwiadowca. — Tak, Wielki Wodzu, zawsze masz rację. To jest tylko cień, ale nienaturalny. Czy widzi pan, majorze, opary wznoszące się nad wysepką? Nie można nazwać ich mgłą, bo przypominają smugi lekkich obłoków…

— Opary wody,

— Nawet dziecko by to zgadło. Ale czymże jest ta ciemniejsza smuga na dole, tuż nad leszczyną? Moim zdaniem, to dym dogasającego ogniska.

— Przybijmy więc do brzegu i zobaczmy — odrzekł szybki w decyzji Duncan. — Na takim skrawku ziemi nie może być dużo ludzi.

— Jeżeli wie pan o chytrości Indian tylko to, co wyczytał pan w książkach albo co mówi mądrość białych, to gotów się pan oszukać albo i zginąć — odparł Sokole Oko przyglądając się okolicy ze zwykłą mu uwagą. — Jeżeli wolno mi wyrazić swoje zdanie, to powiem, że mamy dwa wyjścia: albo wrócić i porzucić myśl ścigania Huronów...

— Nigdy! —zawołał Heyward zbyt głośno jak na ich obecne położenie.

— Dobrze, dobrze — ciągnął Sokole Oko, gwałtownym ruchem hamując zapał Heywarda. — Osobiście myślę to samo, aczkolwiek uważam, że moje doświadczenie nakazywało mi powiedzieć prawdę. A zatem śmiało naprzód! A jeżeli w cieśninie są Francuzi lub Indianie, przebędziemy ten szpaler gór, jakbyśmy biegli pod kijami. Czy dobrze mówię, Wielki Wodzu?

Indianin zanurzył wiosło i pchnął czółno naprzód, a że kierował łódką, ruch ten wystarczył za odpowiedź. Teraz wszyscy żywo zabrali się do wioseł i w parę chwil dotarli do miejsca, skąd mogli zobaczyć cały, dotychczas niewidoczny, północny brzeg wyspy.

— Są tam, widać to wyraźnie! — szepnął zwiadowca. — Dwa czółna i dym. Mgła jeszcze nas zasłania przed oczami tych łotrów, inaczej usłyszelibyśmy już ich przeklęty okrzyk wojenny. Razem, przyjaciele! Oddalamy się od nich i kula już nas chyba nie dosięgnie.

Kula, która rykoszetując przeleciała po spokojnej powierzchni wody, dobrze znany huk wystrzału i przenikliwy krzyk z wyspy przerwał mu i oznajmił, że już ich dostrzeżono. W chwilę później kilkunastu Indian szybko wsiadło do czółen i pomknęło za nimi. Duncan zauważył, że zwiadowca i Mohikanie wcale się nie przejęli nadchodzącą walką. Jedynie dłużej i zgodniej pociągali wiosłami, a czółno leciało jak ptak.

— Nie daj im zbliżyć się do nas, *sagamore* — powiedział Sokole Oko, spokojnie oglądając się przez lewe ramię i bez przerwy wiosłując. — Trzymaj ich w tej samej odległości. Huroni nie mają strzelby, która by niosła na tę odległość, a na Postrach Zwierząt można liczyć.

Po chwili zwiadowca przekonał się, że Mohikanie sami doskonale sobie radzą i nie pozwolą zbliżyć się Huronom. Nie śpiesząc się odłożył więc wiosło, a wziął w ręce swój śmiercionośny sztucer. Trzy razy mierzył i za każdym razem, gdy jego towarzysze już spodziewali się strzału, odkładał broń i żądał, by Mohikanie zwolnili bieg czółna. Wreszcie jego kapryśne, celne oko najwidoczniej uznało strzał za pewny, bo podpierając wyprostowaną ręką lufę strzelby począł powoli ją unosić, gdy nagły okrzyk Unkasa, który siedział na przodzie czółna, raz jeszcze zmusił go do opuszczenia broni.

— Co tam, chłopcze? — zapytał. — Swoim okrzykiem uratowałeś życie Huronowi. Co cię do tego skłoniło?

Unkas wskazał na skalisty brzeg przed nimi, od którego odbiło inne czółno i szybko (przecinało im drogę. Niebezpieczeństwo, w jakim się teraz znaleźli, było tak oczywiste, że nie wymagało żadnych wyjaśnień. Zwiadowca odłożył sztucer i znów wziął się do wiosła, Chingachgook zaś skierował łódkę w bok, ku zachodniemu brzegowi, by oddalić się od nowego nieprzyjaciela. Tymczasem ścigający ich dzikim okrzykiem triumfu przypomnieli, że są tuż za nimi. Teraz nawet Munro ocknął się z apatii.

— Przybijmy do skał — powiedział z miną wytrawnego żołnierza — i wydajmy bitwę dzikim. Niech Bóg broni, abym kiedykolwiek ja, moi krewni i bliscy mi ludzie zaufali słowu któregoś ze sług Ludwika.

— Kto chce wygrać z dzikimi — odparł zwiadowca— ten musi wyzbyć się fałszywej ambicji i uczyć się od nich. Wielki Wodzu, kieruj czółno wzdłuż brzegu, mijamy tych łotrów, ale tam dalej zapewne spróbują przeciąć nam drogę.

Sokole Oko miał słuszność. Huroni zauważyli, że nie przetną drogi uciekającym i że mogą zostać w tyle. Dlatego zmienili

kierunek i popłynęli na ukos, aż wreszcie oba czółna sunęły równolegle, w odległości jakichś dwustu jardów od siebie. Teraz zaczął się prawdziwy wyścig. Małe, zgrabne czółenka płynęły tak chyżo, że kołysały się z boku na bok, a woda przed nimi marszczyła się w drobne fale. Wyścig zmuszał wszystkich Huronów do wiosłowania, nie mogli więc zrobić użytku ze strzelb. Ale wysiłek ściganych był zbyt wielki, by mógł trwać długo. W dodatku ścigający mieli przewagę liczebną. Duncanowi zrobiło się nieswojo, gdy zauważył, że Sokole Oko niespokojnie się rozgląda, jakby szukał jakiegoś wyjścia z tej trudnej sytuacji.

— Wielki Wodzu, trzymaj się z dala od słońca — powiedział. — Widzę, że jeden z tych hultajów przestał wiosłować i chwycił za strzelbę. Jeśli przetrącą któregoś z nas, wszyscy stracimy skalpy. Wyjdźmy spod słońca. Odgrodzimy się od nich tą wysepką.

Pomysł był szczęśliwy. Długa, niska wysepka leżała niedaleko przed nimi, a kiedy zrównali się z nią i popłynęli wzdłuż jej brzegu, ścigający musieli opłynąć ją z drugiej strony. Zwiadowca i jego towarzysze natychmiast skorzystali z tego i gdy krzaki zakryły ich przed Indianami, poczęli wiosłować dwa razy szybciej. Ten ich nadludzki wysiłek dał dobre rezultaty. Oba czółna wyłoniły się zza cypla wyspy jak dwa galopujące konie wyścigowe. Uciekający prowadzili w tym wyścigu, ale ścigający zbliżyli się do nich.

— Unkasie, dowiodłeś, że znasz się na brzozowych łódkach wybierając tę spośród wszystkich łódek Huronów — powiedział zwiadowca i uśmiechnął się, najwidoczniej bardziej uradowany zwycięstwem w wyścigu niż świtającą nadzieją ucieczki. — Znowu wszyscy nicponie wiosłują, musimy więc walczyć o skalpy kawałkami spłaszczonego drzewa, a nie kulami i celnością oka. Długie i zgodne pociągnięcia, przyjaciele!

— Gotują się do strzału — powiedział Heyward — że jesteśmy na jednej linii, kula powinna trafić.

— Połóż się pan na dnie łódki — odparł zwiadowca. — Pan i pułkownik. To znacznie zmniejszy cel.

— Byłby to zły przykład dla żołnierzy, gdyby starsi stopniem chowali się przed nieprzyjacielem — z uśmiechem odpowiedział Heyward.

— Mój Boże, oto odwaga białych! — zawołał zwiadowca. — Męstwo białych, jak większość ich postępków, bynajmniej nie płynie z rozsądku. Czy myśli pan, że *sagamore*, Unkas, a nawet ja, czystej krwi biały, wahamy się skorzystać z osłony, kiedy nie trzeba nadstawiać głowy? Po co Francuzi wznosiliby swój Quebec, gdyby musieli walczyć jedynie na otwartym polu?

— To wszystko prawda, mój przyjacielu — odparł Heyward — ale nasze zwyczaje nie pozwalają nam posłuchać twej rady.

Salwa z łódki Huronów przerwała tę rozmowę, a gdy kule gwizdnęły nad nimi, Duncan zauważył, że Unkas odwrócił głowę i spojrzał na niego i na pułkownika Munro. Musiał przyznać, że młody Mohikanin, chociaż groziło im wielkie niebezpieczeństwo, bo wróg był tuż za nimi, zachował zimną krew. Na jego twarzy malowało się tylko zdziwienie że są ludzie, którzy bez potrzeby wystawiają się na cel. Chingachgook zapewne lepiej znał białych, bo nawet na chwilę nie oderwał się od kierowania łodzią. Nagle kula uderzyła w lekkie i gładkie wiosło, wytrąciła je z rąk wodza Mohikanów i wyrzuciła w powietrze, daleko przed czółno. Huroni krzyknęli radośnie i znów oddali salwę. Unkas pchnął silniej wiosłem, czółno zakreśliło łuk i Chingachgook w przelocie wyłowił swoje wiosło z wody. Uniósł je w górę i wywijając nim w powietrzu, wydał okrzyk wojenny Mohikanów. Potem znów z wielką energią i zręcznością zabrał się do wiosłowania.

Głośne okrzyki: „Wielki Wąż!”, „Długa Strzelba!” i „Rączy Jeleń!” rozbrzmiały w czółnach za nimi i dodały zapału ścigającym. Zwiadowca chwycił Postrach Zwierząt w lewą rękę i wzniósłszy go wysoko pogroził nim wrogom. Dzicy na to wyzwanie odpowiedzieli głośnym wyciem i nową salwą. Kule posypały się jak grad i wszystkie poszły w wodę, z wyjątkiem jednej, która przebiła korę czółna. W tej krytycznej chwili twarze Mohikanów pozostały niewzruszone, a ich surowe rysy

nie wyrażały ani obawy, ani nadziei. Zwiadowca odwrócił głowę i śmiejąc się cicho, jak zwykle, powiedział do Heywarda:

— Hultaje lubią słyszeć huk swych strzelb, ale żaden z nich nie ma wyrobionego oka i nie potrafi z rozkołysanej łódki ocenić odległości. Widzi pan, ci głupcy oderwali od wiosła jednego człowieka do nabijania strzelb, a to, najskromniej licząc, pozwoli nam robić trzy stopy na ich dwie.

Duncan, kiedy Sokole Oko spokojnie oceniał odległość, wcale się nie czuł tak swobodnie jak jego towarzysze. Z przyjemnością więc zauważył, że dzięki zręczności zwiadowcy i Mohikanów oraz zamieszaniu wśród Indian ich czółno znacznie wysunęło się naprzód. Huroni znów zaczęli strzelać. Jedna kula uderzyła w pióra wiosła Sokolego Oka, lecz nikomu nie zrobiła nic złego.

— Wcale dobrze — powiedział zwiadowca, z zainteresowaniem oglądając wiosło draśnięte przez kulę. — Ta kula nie przecięłaby skóry dziecku, a cóż dopiero dorosłym ludziom, tak jak my zahartowanym przez los. Teraz, majorze, niech pan spróbuje swych sił przy tym kawałku spłaszczonego drzewa. Oddaję głos Postrachowi Zwierząt.

Heyward chwycił za wiosło i zabrał się do pracy z zapałem, którym nadrabiał brak wprawy, a Sokole Oko tymczasem sprawdzał ładunek swego sztucera. Potem szybko wycelował i strzelił. Huron na dziobie bliższego czółna właśnie wstał, by strzelić. Trafiony kulą Sokolego Oka upuścił strzelbę do wody i przewrócił się na wznak. Wprawdzie zaraz się zerwał, lecz widać było, że jest oszołomiony. Jego towarzysze przestali wiosłować, dwa czółna Indian zetknęły się burtami i stanęły. Chingachgook i Unkas skorzystali z chwili przerwy, by odsapnąć, ale Duncan z zapałem wiosłował dalej. Stary Mohikanin i syn w milczeniu badawczo spojrzeli na siebie. Wiedzieli bowiem, że gdyby w czasie walki jednego z nich drasnęła kula, nie dałby nic poznać po sobie.

Chingachgook dostrzegł, że Unkas uporczywie patrzy na jego ramię, po którym wielkimi kroplami spływa krew. Nabrał więc wody w dłoń i zmył krew, tym prostym ruchem wyjaśniając, że kula tylko go drasnęła.

— Tylko spokojnie, majorze — powiedział zwiadowca, który znów nabił swój sztucer. — Jesteśmy już trochę za daleko, aby sztucer wykazał swe zalety. Jak pan widzi, te leśne diabły się naradzają. Podpuśćmy ich na odległość strzału i zaufajcie memu oku, a pociągnę łotrów przez cały Horican i ręczę, że ich kule najwyżej nas drasną; gdy Postrach Zwierząt posieje śmierć — dwa trupy na trzy strzały.

— Pamiętajmy o naszym głównym celu — odparł Duncan, pilnie wiosłując. — Na Boga, korzystajmy z okazji i uciekajmy!

— Szukajmy dzieci —ochrypłym głosem rzekł Munro. — Nie igrajcie dłużej z mym bólem. Szukajmy dzieci.

Długoletnie poszanowanie przełożonych wpoiło zwiadowcy cnotę posłuszeństwa. Rzucił więc ostatnie, tęskne spojrzenie na odległe czółna prześladowców i odłożył sztucer. Zluzował zmęczonego Duncana i zabrał się do wiosłowania z całą siłą swych niestrudzonych mięśni. Mohikanie sekundowali mu dzielnie, wystarczyło więc parę minut, by tak się oddalili od ścigających, że Heyward znów odetchnął z ulgą.

Teraz jezioro rozszerzało się, a droga uciekających biegła szerokim rozlewiskiem, wciąż jeszcze zamkniętym między wysokimi i poszarpanymi górami. Wysp było już mniej i łatwo je było omijać. Uderzenia wioseł stały się bardziej miarowe, a wiosłujący, którzy ledwie trochę wytchnęli po ciężkim wysiłku, pracowali teraz z takim spokojem, jakby chodziło o zwykłą gonitwę, a nie o ucieczkę, ba! — wyścig ze śmiercią.

Ale zamiast trzymać się zachodniego brzegu, dokąd wiódł cel poszukiwań, przezorny Mohikanin zboczył nieco ku górom, za którymi, jak wiedziano, Montcalm poprowadził swą armię do potężnej twierdzy Ticonderoga. Była to już przesadna ostrożność, bo Huroni najwidoczniej zaniechali pogoni. Lecz mimo to stary Mohikanin przez kilka godzin trzymał się tego kierunku, dopóki nie zawinęli do zatoki w pobliżu północnego krańca jeziora. Tu wysiedli i wyciągnęli czółno na ląd. Zwiadowca i Heyward wdrapali się na wysoki, urwisty brzeg. Sokole Oko uważnie przyjrzał się jezioru szeroko rozlanemu u

ich stóp i wskazał Heywardowi mały, czarny punkcik migoczący na wodzie przy jakimś przylądku o kilka mil od nich.

— Widzi pan? — zapytał. — Za co wziąłbyś pan tę plamkę, gdybyś wędrował przez puszczę opierając się jedynie na wiedzy i doświadczeniu białego?

— Z tej odległości i sądząc z rozmiarów plamki wziąłbym ją za ptaka. Ale czy to może być coś żywego?

— Nie, to łódka z mocnej, brzozowej kory. Pędzi naprzód pod uderzeniami wioseł chytrych i zażartych Mingów. Wprawdzie Bóg dał ludziom puszczy dobry wzrok, jakiego nie potrzebują mieszczuchy, bo mogą wzmocnić go szkłami, ale żadne oczy nie dojrzą wszystkich grożących nam teraz niebezpieczeństw. Te łotry udają, że myślą tylko o wieczerzy, ale gdy się ściemni, pogonią za nami jak psy, które zwietrzyły zwierzynę. Musimy się ich pozbyć, bo inaczej nic nie będzie z naszego pościgu za Maguą. Te jeziora są czasem pożyteczne, zwłaszcza gdy dzikie ptactwo opada na wodę — mówił zwiadowca rozglądając się wkoło z zatroskaną miną — ale nie dają żadnej osłony, chyba — rybom. Bóg wie, jak ten kraj będzie wyglądał, gdy ludzie odejdą od rzek i pobudują osady w puszczy. Wtedy polowanie i wojna stracą swój urok.

— Nie traćmy czasu na próżno!

— Nie podoba mi się ten dym, który wije się nad czółnem i pełznie w górę skały — mówił dalej zatopiony w myślach zwiadowca. — Głowę daję, że nie tylko my go widzimy. A tamci dobrze wiedzą, co to znaczy. Tak, dość słów, trzeba się zabrać do dzieła.

Opuścił swój posterunek i głęboko nad czymś rozmyślając zeszedł na brzeg jeziora. O swym spostrzeżeniu powiedział po delawarsku Mohikanom i zaraz we trzech naradzili się krótko, lecz poważnie. Potem bez zwłoki zabrali się do czynu.

Wyciągnęli czółno z wody, wzięli je na ramiona i ruszyli z białymi w głąb lasu, pozostawiając za sobą jak najszerszy i najbardziej widoczny ślad. Wkrótce dotarli do strumienia, przeszli na drugą stronę i doszli do dużej, nagiej skały. Tu stopy ich według wszelkiego prawdopodobieństwa nie pozostawiały

żadnego śladu, zawrócili więc do strumienia, ale tym razem już z największą ostrożnością. Jego korytem dotarli do jeziora i znów spuścili czółno na wodą. Niski występ brzegu zasłaniał ich od strony cypla, a sam brzeg na dużej przestrzeni porośnięty był gęstymi, zwisającymi nad wodą krzakami. Pod tym naturalnym przykryciem mozolnie i cierpliwie płynęli dalej, aż wreszcie zwiadowca uznał, że mogą już powrócić na brzeg.

Zaczekali, dopóki mrok wieczorny nie okrył okolicy, i dopiero wtedy ruszyli w dalszą drogę. Korzystając z osłony ciemności, cicho, lecz raźno posuwali się ku zachodniemu brzegowi. Duncan nic nie widział w poszarpanej linii górzystego brzegu, do którego płynęli, ale stary Mohikanin wprowadził czółno do małej zatoczki z dokładnością i pewnością doświadczonego pilota.

Teraz znów wyciągnęli łódkę na brzeg, przenieśli ją do lasu i starannie ukryli pod stosem chrustu. Potem każdy wziął swą broń i sakwę, a Sokole Oko oznajmił pułkownikowi Munro i Heywardowi, że on i Mohikanie gotowi są do dalszego pościgu.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

*Jeśli znajdziesz tutaj mężczyznę,*
*niech zemrze pchlą śmiercią.*

„Wesołe kumoszki z Windsoru”

Nasi przyjaciele wylądowali na skraju okolicy, którą do dziś mieszkańcy Stanów mniej znają niż arabskie pustynie lub mongolskie stepy. Bezpłodny i surowy ten kraj dzielił dopływy jeziora Champlain od dopływów Hudsonu, Mohawka i Świętego Wawrzyńca. Od czasu naszej opowieści przedsiębiorczy Amerykanie opasali go łańcuchem bogatych i kwitnących miast i osad, ale nawet dziś tylko myśliwy lub Indianin odważa się zapuścić w jego głąb.

Sokole Oko i Mohikanie nieraz przemierzali doliny i góry tego rozległego i dzikiego kraju. Bez wahania więc śmiało ruszyli w puszczę jak ludzie przywykli do trudów i niewygód. Wiele godzin szli uciążliwą drogą orientując się według gwiazd lub biegu potoków. Wreszcie zwiadowca zarządził postój. Po krótkiej naradzie z Indianami z ich pomocą rozpalił ogień i zabrał się do przygotowania noclegu. Munro i Duncan wzięli przykład że swych doświadczonych sprzymierzeńców i tym razem spali spokojnie, choć niezbyt wygodnie. Rosa już wysychała, a słońce rozproszyło mgłę i rzucało jaskrawe światło na las, kiedy znów ruszyli w drogę.

Po kilku milach Sokole Oko, który szedł na przedzie, zwolnił kroku. Zachowywał się teraz ostrożniej i często się namyślał.

Przystawał, przyglądał się drzewom i nie przebrnął żadnego strumyka, zanim nie zbadał jego głębokości, szybkości nurtu, a nawet koloru wody. Sam sobie nie wierzył i często z poważną miną radził się Chingachgooka. Podczas jednej z takich narad Duncan zauważył, że Unkas słucha pilnie, lecz nie wtrąca się do rozmowy starszych. Miał wielką ochotę zapytać młodego wodza, co myśli o ich postępkach, ale z jego poważnego i pełnego godności zachowania zrozumiał, że ufa on rozsądkowi swych bardziej doświadczonych towarzyszy. Zresztą na ich sprycie polegał i Duncan. Wreszcie zwiadowca odezwał się po angielsku i szczerze wyjaśnił, co sprawia, że ich położenie jest trudne.

— Kiedy odkryłem pierwsze ślady Huronów biegnące na północ - mówił — nie potrzebowałem się długo zastanawiać. Wiadomo było, że pójdą dolinami między Hudsonem a Horicanem, aż znajdą się u źródeł kanadyjskich rzek, które doprowadzą ich do samego środka kraju Francuzów. Ale doszliśmy już w pobliże Scaroon i nie znaleźliśmy żadnego śladu. Człowiek jest omylny i być może, poszliśmy fałszywą drogą.

— Niech nas Bóg broni przed taką pomyłką! — zawołał Duncan. — Przejdźmy jeszcze raz po własnych śladach i bacznie przyjrzyjmy się wszystkiemu. Czy Unkas nie może nam nic mądrego poradzić?

Młody Mohikanin spojrzał na ojca, ale milczał uparcie, zachowując swój zwykły spokój i opanowanie. Chingachgook dostrzegł to spojrzenie i skinieniem ręki pozwolił synowi przemówić. Na ten znak twarz Unkasa zupełnie się zmieniła. Zniknęły z niej skupienie i powaga, a wystąpiły spryt i radość. Zerwał się jak jeleń, jednym skokiem znalazł się na wzgórku o kilka jardów przed nimi i triumfalnie przystanął nad świeżą ziemią najwidoczniej wzruszoną kopytem jucznego zwierzęcia. Zwiadowca i towarzysze Unkasa, którzy śledzili te nieoczekiwane ruchy, wyczytali radosną wieść *z* jego rozpromienionej twarzy.

— Mamy ślad! — krzyknął zwiadowca biegnąc na wzgórek. — Ten chłopiec jest niezwykle spostrzegawczy i sprytny jak na swój wiek.

— Zadziwiające, że tak długo nie zdradził się z tym, co wie — mruknął Duncan stojąc obok zwiadowcy.

— Byłoby jeszcze bardziej dziwne, gdyby się odezwał bez pozwolenia. Nie, nie. Biały młodzieniec, który całą wiedzę czerpie z książek, a swą mądrość mierzy przeczytanymi stronicami, może sobie wyobrażać, że rozumem i sprawnością nóg przewyższa ojca. Ale tam, gdzie doświadczenie jest wszystkim, młodzik zna wagę przeżytych lat i ceni doświadczenie starszych.

— Patrzcie — powiedział Unkas wskazując biegnący z południa ku północy szeroki, wyraźny ślad po obu jego bokach. — Czarnooka odeszła ku mroźnej zimie.

— Żaden pies jeszcze nie wpadł na piękniejszy ślad — odpowiedział zwiadowca, szybko idąc za śladem. — Szczęście nam dopisało, i to bardzo. Możemy iść naprzód z zamkniętymi oczyma. Tak, widzę tu ślady obu kołyszących się zwierząt. Ten Huron podróżuje niczym biały generał. Najwidoczniej kara boska spadła na Maguę i nie wie, co czyni! *Sagamore,* spójrz, czy nie ma tu gdzie śladów kół — dodał rozglądając się i śmiejąc w przypływie zadowolenia i radości. — Niebawem ujrzymy tego szaleńca jadącego w powozie, i to wówczas, gdy śledzą go trzy pary najbystrzejszych oczu w tym kraju.

Dobry humor zwiadowcy i zadziwiające szczęście, dzięki któremu wpadli na ślad po przebyciu z górą czterdziestu mil okólną drogą, podniosły na duchu pozostałych członków wyprawy i tchnęły w nich nową nadzieję. Posuwali się teraz naprzód tak szybko i pewnie, jakby szli szerokim gościńcem. Gdy jakaś skała, rzeczułka czy twardszy grunt przerywał ślad, niezawodne oko zwiadowcy odnajdywało go nieco dalej, i to tak szybko, że prawie nie potrzebowali przystawać. Magua uciekał dolinami, co nie tylko ułatwiało ścigającym drogę,, ale pozwalało im również utrzymać właściwy kierunek. Huron nie zaniedbał indiańskiego zwyczaju kluczenia w czasie ucieczki:

fałszywy trop, nagłe zwroty trafiały się bardzo często i zawsze tam, gdzie strumień lub teren na to pozwalał. Lecz ścigający rzadko kiedy dali się zmylić, a i wtedy szybko wykrywali pomyłkę, zanim oddalili się od śladu.

W południe przebyli rzekę Scaroon i szli za słońcem na zachód. Po zejściu w głęboką dolinę, którą płynął wartki strumień, doszli do miejsca, gdzie przebiegły Lis zatrzymał się dłużej. Nad strumieniem znaleźli wygasłe ognisko, porozrzucane kości i resztki jeleniego mięsa, a drzewa najwyraźniej obgryzione były przez konie. Heyward odnalazł nawet coś na kształt małego szałasu, któremu przyglądał się ze wzruszeniem, bo domyślił się, że tu wypoczywały Kora i Alicja. Lecz choć ziemia wkoło była zdeptana, a ślady kopyt i ludzkich stóp wyraźne, od tego miejsca trop nagle się urwał.

Ślad narragansettów znaleziono łatwo, ale wyglądało na to, że konie błądziły samopas, szukając paszy. Chingachgook i Unkas usiłowali odczytać ten trop i wreszcie Unkas natrafił na całkiem świeży ślad koni. Zanim ruszył tym śladem, powiedział o nim swym towarzyszom. Ci jeszcze się naradzali nad nowym odkryciem, gdy młody Mohikanin ukazał się prowadząc obie kobyłki z uszkodzonymi siodłami i zbrudzonymi czaprakami, jakby od kilkunastu dni wałęsały się po puszczy, zdane na własne siły.

— Co to znaczy? — zapytał Duncan blednąc i rozglądając się wkoło, jakby się bał, że krzaki i liście ukrywają straszną tajemnicę.

— Tylko to, że jesteśmy już niemal u celu i weszliśmy na terytorium nieprzyjaciela — odparł zwiadowca. — Gdyby ten łajdak czuł pogoń na karku i gdyby panie bez pomocy koni nie mogły za nim nadążyć, być może, zdarłby im skalpy. Ale skoro nikt mu nie deptał po piętach, a miał tak dobre konie, nie potrzebował tknąć włosa na głowach swych branek. Wiem, czego się pan obawia. Ale tylko biali dopuszczają się takich haniebnych występków. Człowiek, który myśli, że Mingo mógłby zrobić coś złego kobiecie — nie mówię o ciosie tomahawkiem — nie zna Indian i praw puszczy. Nie, nie.

Pewnie dotarliśmy w pobliże obozu francuskich Indian, którzy, jak słyszałem, przybyli tu, by polować na łosie. Czemu nie mieliby sobie na to pozwolić? Przecież w tych górach każdego ranka i wieczora słychać armaty z Ty. Francuzi umacniają granicę między królewskimi prowincjami a Kanadą. Dość na tym, że konie są, a Huronów nie ma, poszukajmy więc drogi, którą odeszli.

Sokole Oko wraz z Mohikanami poważnie wzięli się do dzieła. Zakreślili koło w obwodzie kilkuset stóp i każdy z nich miał dokładnie zbadać jeden wycinek. Niestety, nie dało to żadnego wyniku. Wprawdzie znaleźli liczne odciski stóp, ale żaden z nich nie wyszedł poza obręb koła. Sokole Oko i Mohikanie, idąc gęsiego, wolno okrążyli miejsce postoju Huronów i znów zeszli się w środku, równie mądrzy jak byli.

— W tym jest jakiś szatański podstęp! — zawołał Sokole Oko, gdy zauważył rozczarowane spojrzenia swych towarzyszy. — Wielki Wodzu, zejdźmy na brzeg strumienia i zbadajmy teren cal po calu. Za nic w świecie nie pozwolę, aby Huron przechwalał się przed swym plemieniem, że jego stopa nie pozostawia śladu.

W tych nowych poszukiwaniach zwiadowca świecił przykładem. Odwrócili każdy listek, poruszyli każdą suchą gałązkę i każdy kamyczek, bo jak wiadomo, chytrzy Indianie często cierpliwie i starannie przykrywają nimi ślady, lecz nie wykryli nic nowego. W końcu Unkas, który dzięki swej niezwykłej pilności pierwszy zakończył poszukiwania, nagarnął ziemi, zatamował bieg mętnego strumyka wypływającego z drugiego strumienia i odprowadził wodę w bok. Gdy koryto strumyka przeschło, pochylił się nad nim i zaczął je badać bystrym i ciekawym okiem. Po chwili wydał radosny okrzyk. Wszyscy zbiegli się do niego. Wskazał im odcisk mokasyna w stwardniałym mule.

— Chłopiec przyniesie zaszczyt swemu plemieniu — powiedział Sokole Oko, przyglądając się śladowi z takim samym zachwytem, z jakim przyrodnik patrzy na odnaleziony kieł mamuta lub żebro mastodonta. — Tak, i będzie zadrą w ciele

Huronów. Ale to nie jest ślad Indianina. Ten człowiek stąpa na piętę, a palce ma kwadratowe. Wygląda mi na to, że jakiś francuski baletmistrz czarował tutaj ludzi swą sztuką. Unkasie, skocz prędko z powrotem i zmierz stopę psalmisty. Znajdziesz piękny ślad jego nogi na wprost tamtej skały, u podnóża góry.

Kiedy młody Mohikanin wykonał polecenie, zwiadowca i Chingachgook starannie zbadali ślad. Wymiary się zgadzały, zwiadowca więc bez wahania orzekł, że był to ślad Dawida, który widocznie znów zmienił buty na mokasyny.

— Teraz widzę wszystko tak jasno, jakbym był przy tych chytrych sztukach Przebiegłego Lisa — dodał. — Psalmistę los obdarzył nie tylko niezwykłym gardłem, ale i niepospolitymi nogami, kazali mu więc iść pierwszemu, a inni szli po jego śladach.

— Ale — wykrzyknął Duncan — nie widzę śladów…

—Nadobnych pań — przerwał zwiadowca. — Łajdaki w jakiś sposób nieśli je, dopóki nie przyszli do przekonania, że zatarli już po sobie najmniejszy ślad. Głowę daję, że zanim ujdziemy kilkanaście jardów, zobaczymy odbicie ich ślicznych stópek.

Ruszyli teraz w dół strumyka, nie odrywając niespokojnych oczu od regularnych śladów stóp. Strumień niebawem wrócił do dawnego koryta. Zwiadowca i Indianie uważnie przyglądali się obu jego brzegom, pewni, że ślad leży pod wodą. Tak uszli ponad pół mili, aż do miejsca gdzie strumień szemrząc opływał wielką, nagą skałę. Przystanęli, aby się przekonać, czy Huroni poszli dalej tą samą drogą.

Dobrze zrobili, bo wkrótce bystre oczy Unkasa dostrzegły ślad stopy na kępce mchu, na którą nieopatrznie stąpnął któryś z Indian. Idąc za tym nowym odkryciem, Unkas zagłębił się w pobliskiej gęstwinie i trafił na ślad tak wyraźny i świeży, jak ten, który doprowadził ich do strumienia. Wówczas młody wódz radosnym okrzykiem obwieścił swym towarzyszom o tym nowym sukcesie i przerwał ich poszukiwania.

— Tak, to było zrobione z iście indiańską chytrością — powiedział zwiadowca, kiedy wszyscy zebrali się przy nowych śladach — i białych zwiodłoby na pewno.

— Czy idziemy dalej? — zapytał Heyward.

— Spokojnie, spokojnie. Już wiemy, w jakim kierunku iść, ale nigdy nie zawadzi zastanowić się nad sednem sprawy. Taka jest moja zasada, majorze. Kto lekceważy sobie księgę natury, nigdy nie nauczy się czytać z tej otwartej ręki Boga. Wszystko jest jasne prócz jednego: jak temu łotrowi udało się przeprowadzić panie po ślepym śladzie. Nawet Huron jest za dumny, by im pozwolił zamoczyć delikatne nóżki.

— Ale czy to nie wyjaśni tajemnicy? — zapytał Heyward i wskazał poniewierające się na brzegu szczątki czegoś w rodzaju noszy skleconych z gałęzi i powiązanych łykiem.

— Tak, oczywiście! — zawołał uradowany Sokole Oko.— Przeszli tę drogę w ciągu minuty, ale stracili godziny na maskowanie tropu. Wiem, że nieraz cały dzień tracą na podobne głupstwa. Tu widzimy trzy pary mokasynów i dwie pary drobnych stópek. Aż dziw, że zwykłe śmiertelniczki mogą chodzić aa tak małych stopach. Unkasie, podaj mi kozłowy rzemień, zmierzę tę małą stopkę. Święty Boże, toć nie jest większa od nogi dziecka, a przecież obie panie są wysokie i dorodne. Tak, nawet najlepszy i najmądrzejszy z nas musi przyznać, że niebiosa nierówną miarą dzielą swe dary, choć pewnie mają do tego swoje powody.

— Delikatne nóżki mych córek nie podołają tym trudom — powiedział Munro, z ojcowską miłością patrząc na lekki ślad stóp swych dzieci. — Odnajdziemy je na pół żywe na tym pustkowiu.

— Nie ma obawy — odparł zwiadowca, wolno potrząsając głową. — Ten ślad wskazuje na krok mocny i pewny, choć lekki i krótki. Spójrz pan: tu Czarnowłosa ledwie dotknęła piętą ziemi, a tu przeskoczyła z korzenia na korzeń.. Nie, nie. Ręczę, że obie panie były w pełni sił. Ale psalmistę bolały już nogi i odmawiały mu posłuszeństwa. Widać to jasno z jego śladu.

Spójrzcie: tu się pośliznął, a tu się zachwiał stawiając duży krok. Tu znów wygląda, jakby szedł na nartach. Tak, tak, człowiek, który wszędzie i zawsze Używa tylko gardła, nigdy dobrze nie wyćwiczy nóg.

Doświadczony myśliwy z niezawodnych znaków odczytał prawdę nieomal tak dokładnie, jakby sam był świadkiem wydarzeń, które odgadł dzięki' swej przenikliwości. Wszyscy, podniesieni na duchu i uspokojeni jego jasnym, a jednocześnie prostym rozumowaniem, szybko zabrali się do posiłku przed drogą, która ich jeszcze czekała.

Kiedy już się pokrzepili, zwiadowca rzucił okiem na zachodzące słońce i ruszył naprzód tak szybko, że Heyward i Munro, który dziarsko się trzymał, musieli dobrze natężyć siły, aby za nim nadążyć. Szli w dół znanego nam strumienia, a że Huroni nie zacierali już śladów, mogli iść zupełnie pewnie, nie zatrzymując się ani nie namyślając po drodze. Lecz po niecałej godzinie przyspieszonego marszu Sokole Oko znacznie zwolnił i zamiast patrzyć przed siebie, zaczął rozglądać się wkoło, jakby czuł jakieś niebezpieczeństwo. Po chwili przystanął i zaczekał na swych przyjaciół.

— Zwietrzyłem Huronów — powiedział do Mohikanów.— Tam, przez korony drzew, widzę skrawek jasnego nieba. Za blisko podeszliśmy do ich obozu. Wielki Wodzu, idź prawą stroną, po górskim zboczu. Unkas skręci w lewo za biegiem strumienia, a ja pójdę śladem. Gdyby coś zaszło, zwołamy się trzykrotnym krakaniem wrony. Widziałem jednego z tych ptaków nad uschniętym dębem: to jeszcze jeden znak, że zbliżamy się do obozowiska.

Mohikanie bez słowa ruszyli wyznaczonymi im drogami, a Sokole Oko i dwaj oficerowie ostrożnie szli dalej. Heyward przysunął się do boku zwiadowcy, pragnąc jak najprędzej zobaczyć wrogów, których ścigał z takim trudem i zapałem. Zwiadowca chciał jeszcze przyjrzeć się jakimś niepokojącym znakom w pobliżu i dlatego kazał mu prześliznąć się na skraj lasu, porośniętego jak zwykle gęstymi krzakami, i tam zaczekać. Duncan usłuchał i wkrótce stanął na miejscu, z którego ujrzał niezwykły widok.

Na przestrzeni wielu akrów leżały obalone drzewa. Światło łagodnego, letniego wieczora bez przeszkód padało na polanę, pięknie kontrastując z półmrokiem zielonego lasu. Niedaleko

miejsca, gdzie stał Duncan, strumień rozlał się w małe jeziorko, zatapiając większą część kotliny od góry do góry. Z jeziorka woda spływała wodospadem tak regularnym i łagodnym, jakby go stworzyła ręka ludzka, a nie przyroda. Ze sto lepianek stało nad brzegiem jeziora, a niektóre wyrastały wprost z wody, jakby zalane powodzią. Okrągłe ich dachy obmyślane były bardzo chytrze, by jak najlepiej chroniły przed niepogodą. Budowa lepianek zdradziła pracowitość i przezorność,niezwykłą u Indian, którzy nigdy nie poświęcali aż tyle trudu swym stałym osiedlom, a cóż dopiero obozowiskom powstałym na czas wojny lub łowów. Krótko mówiąc, całą wieś czy miasteczko — wszystko jedno, jak to nazwiemy — zbudowano porządniej i staranniej, niż zwykle czynią to Indianie. Obozowisko było na pozór opuszczone, przynajmniej tak myślał Duncan przez parę długich minut. Ale w końcu wydało mu się, że widzi jakieś ludzkie postacie zbliżające się ku niemu na czworakach i ciągnące za sobą jakąś ciężką i potężną machinę. W tej chwili kilka ciemnych głów wyjrzało z lepianek i cały teren nagle zaroił się dziwnymi istotami, które biegały od kryjówki do kryjówki tak szybko, że nie można było odgadnąć ani co robią, ani do czego zmierzają. Zaniepokojony tymi podejrzanymi i niezrozumiałymi ruchami, Duncan już chciał krakaniem zaalarmować przyjaciół, kiedy szmer liści w pobliżu zwrócił jego uwagę w inną stronę. Drgnął i instynktownie cofnął się o parę kroków, gdyż o sto jardów od siebie ujrzał jakiegoś Indianina. Zaraz jednak opanował się, poniechał zamiaru zaalarmowania towarzyszy, co mogłoby się fatalnie dla niego skończyć, zamarł w bezruchu i począł uważnie przyglądać się tajemniczej postaci.

Po chwili spokojnej obserwacji przekonał się, że Indianin go nie zauważył. Tak jak i on przed chwilą, pochłonięty był przyglądaniem się niskim lepiankom i tajemniczym ruchom ich mieszkańców. Pod dziwacznym malowidłem trudno było dojrzeć prawdziwy wyraz jego twarzy, ale Duncan wyczuł, że jest on raczej smętny niż okrutny. Indianin miał głowę ogoloną

według zwyczaju i tylko, na ciemieniu rósł mu kosmyk włosów, z którego zwisały trzy czy cztery wytarte sokole pióra.

Łachmany perkalowego okrycia ledwie przysłaniały jego górną połowę ciała, a zamiast spodni nosił koszulę, której rękawy pełniły rolę krótkich nogawek. Łydki miał gołe, dotkliwie podrapane i pokaleczone cierniami. Stopy obute były w mocne mokasyny z jeleniej skóry. Słowem, człowiek ten wyglądał żałośnie i bezradnie. Duncan przyglądał mu się ciekawie, kiedy zwiadowca cicho i ostrożnie podpełzł do niego.

— Widzi pan, widzi pan, dotarliśmy do ich osady czy obozu — szepnął Duncan. — A tu jest jeden z dzikich we własnej osobie. Będzie nam bardzo przeszkadzał.

Sokole Oko drgnął, pochylił sztucer, oczami powiódł za palcem Duncana i dojrzał obcego. Lecz zaraz jeszcze niżej opuścił wylot lufy i wyciągnął szyję, jakby w ten sposób dopomagał sobie do i tak już starannego badania.

— Ten diabeł nie jest Huronem — powiedział. — Nie należy też do żadnego z kanadyjskich plemion. A jednak widać z jego ubioru, że obrabował białego. Tak, Montcalm wygrzebał z puszczy wszystko, co żyło, i zebrał do kupy sporą kompanię krzykliwych zbójców. Czy nie widzi pan, gdzie leży jego strzelba lub łuk?

— Chyba nie ma żadnej broni. Nie wygląda też groźnie. Jeśli nie zaalarmuje swych towarzyszy krzątających się nad wodą, nie ma się czego obawiać.

Zwiadowca odwrócił się do Heywarda i przez chwilę patrzył na niego z nie ukrywanym zdziwieniem. A potem parsknął serdecznym, niepohamowanym, lecz jak zwykle cichym śmiechem, którego nauczył się w ciągłym obcowaniu z niebezpieczeństwem. Po chwili powtórzył: — „Towarzyszy krzątających się nad wodą” — i dodał: — Oto rezultat dzieciństwa spędzonego nad książką i w osadach! Łotr ma długie nogi i może zwiać. Niech go pan trzyma na celu, a ja pod krzakami podkradnę się z tyłu i wezmę go żywcem. Ale w żądnym wypadku niech pan nie strzela.

Zwiadowca już do połowy ciała zniknął pod krzakami, gdy Heyward nagle wyciągnął rękę i powstrzymał go jednym pytaniem:

— Jeżeli zobaczę, że coś panu grozi, czy mam strzelać?

Sokole. Oko patrzył na niego przez chwilę, jakby nie rozumiał pytania, a potem kiwnął głową i odpowiedział, ciągle śmiejąc się cicho:

— Majorze, niech pan da ognia całym plutonem!

I błyskawicznie zniknął w gęstwinie liści. Duncan niecierpliwie czekał parę minut, zanim nareszcie znów go dojrzał. Dostrzegł, jak doskonale zamaskowany swym strojem, pełznie i podkrada się do Indianina. Gdy był już o kilka kroków od niego, podniósł się cicho. W tej chwili coś parokrotnie klasnęło o wodę. Duncan ledwie zdążył odwrócić głowę, by dojrzeć ze sto niewyraźnych postaci równocześnie zanurzających się w rozkołysanym jeziorku. Zacisnął więc ręce na strzelbie i spojrzał na Indianina, ale ten najwidoczniej nic nie podejrzewał; jeszcze bardziej wyciągną] szyję i ciekawie gapił się na ciemny staw. Tymczasem Sokole Oko już chciał go chwycić, ale nie wiadomo czemu opuścił ręce. Stał za nim i śmiał się cicho w napadzie nowej niepohamowanej wesołości. A kiedy się uspokoił, nie chwycił wroga za gardło, lecz klepnął go w ramię i zawołał:

— Jak to, przyjacielu, czyżbyś chciał bobry uczyć śpiewu?.

— Oczywiście — padła szybka odpowiedź. — Wydaje mi się, że Stwórca, który tak hojnie obdarzył je rozumem, dał im też i głos, by mogły chwalić Pana.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Spodek:
*Jesteście* wszyscy?

Pigwa:
*Jak jeden mąż. A cóż za cudowne miejsce na naszą próbę!*

”Sen nocy letniej”

Czytelnik lepiej wyobrazi sobie zdumienie Heywarda, niż my mogliśmy je opisać. Jego zaczajeni Indianie nagle zamienili się w czworonogi, jezioro — w staw bobrów, wodospad — w groblę zbudowaną przez te inteligentne i pracowite zwierzątka, a domniemany wróg — w wypróbowanego przyjaciela, Dawida Gamuta, nauczyciela śpiewu kościelnego. Zwłaszcza zjawienie się Dawida obudziło w Heywardzie tyle nadziei szybkiego odnalezienia obu sióstr, że bez namysłu wybiegł z kryjówki i skoczył naprzód, by się przyłączyć do dwóch głównych aktorów tej sceny.

Nie łatwo przyszło Sokolemu Oku pohamować atak wesołości. Bez ceremonii swą silną i szorstką ręką kręcił Dawidem jak bąkiem na jego własnej pięcie i raz po raz zapewniał, że jego strój przynosi zaszczyt Huronom. A potem życzył mu szczęścia w nauczaniu bobrów i tak mocno uścisnął rękę, że aż łzy napłynęły do oczu potulnemu Dawidowi.

— Przecież właśnie otwierał pan usta i zabierał się do udzielenia bobrom lekcji — mówił Sokole Oko. — Te diablątka

opanowały już trochę sztukę śpiewu, bo doskonale wybijają takt ogonami, jak pan sam słyszał. A uczyniły to w sam czas, bo Postrach Zwierząt mógł był podać im ton. Znałem ludzi, którzy choć umieli czytać i pisać, byli głupsi od niejednego starego i doświadczonego bobra. Ale do śpiewu te zwierzątka nie mają talentu, są nieme i głuche. A co pan powie na taką piosenkę?

Dawid, usłyszawszy przeraźliwe krakanie tuż nad ich głowami, zatkał uszy, a Heyward, mimo że wiedział, co to znaczy, spojrzał w górę szukając ptaka.

— Patrzcie — wciąż śmiejąc się powiedział zwiadowca i wskazał na swych towarzyszy, którzy posłusznie biegli na wezwanie. — Oto muzyka, która jest coś warta. Ściągnęła do mnie dwie celne strzelby, nie mówiąc o nożach i tomahawkach. Ale widzimy, że jest pan zdrów i cały, proszę więc powiedzieć nam, co się dzieje z paniami.

— Są w niewoli u pogan — odpowiedział Dawid — i choć dusze ich cierpią, ciała mają się dobrze.

— Obie? — zapytał Heyward nie mogąc złapać tchu.

— Oczywiście. I mimo że nasza podróż obfitowała w niewygody, a pożywienie było skąpe, nie mamy na co się skarżyć z wyjątkiem tego, że nie liczono się z naszymi uczuciami, brutalnie uprowadzając nas do odległego kraju.

— Niech Bóg ci nagrodzi te słowa! — wykrzyknął Munro drżąc ze wzruszenia. — A więc moje niewinne aniołki wrócą do mnie nietknięte.

— Nie wierzę, aby łatwo było wydostać je z niewoli — z powątpiewaniem odparł Dawid. — Wódz tych dzikich to szatan wcielony. Poradzą mu tylko moce niebieskie, żadna inna siła. Próbowałem wpłynąć na niego we dnie i w nocy, ale żadna melodia, żadne słowa nie imają się tego syna piekieł.

— Gdzież jest ten łotr? —ostro przerwał mu zwiadowca.

— Razem z młodymi wojownikami swego plemienia poluje dziś na łosia, a jutro, jak słyszałem, udają się w głąb puszczy, bliżej granicy kanadyjskiej. Starsza siostra przebywa w obozie sąsiedniego plemienia, za tą spiczastą skałą. Młodszą oddano pod opiekę hurońskim kobietom. Wieś Huronów leży o niecałe

dwie mile stąd, na płaskowzgórzu, gdzie wypalono puszczę, zamiast ją wyrąbać.

— Alicja, moja najsłodsza Alicja — szepnął Heyward.— Nie ma przy sobie nawet siostry, która by ją pocieszyła.

— Oczywiście. Jeśli jednak modły i śpiew mogą przynieść pociechę strapionej duszy — nie zaznała cierpienia.

— Czyż mogła zajmować się muzyką?

— Poważną i uroczystą. Choć muszę przyznać, że mimo moich wysiłków częściej płacze, niż się śmieje. Wówczas nie nastaję na religijne pienia. Ale zdarzają się też niebiańskie i kojące chwile, które sprzyjają połączeniu naszych głosów, a wtedy zadziwiamy dzikich wspólnym śpiewem.

— A czemu pozwalają panu spacerować na wolności? Dawid przybrał minę, która miała wyrazić najgłębszą pokorę, i dopiero potem odpowiedział potulnym głosem:

— Ze mnie tylko niegodny robak. Ale psalmy, które zawiodły na strasznym pobojowisku, odzyskały później władzę nawet nad duszami pogan. Temu zawdzięczam zupełną swobodę ruchów.

Zwiadowca roześmiał się i znacząco stuknął się w czoło, co miało wyjaśnić przyczynę tego niezwykłego pobłażania Indian.

— Indianie nigdy nie robią krzywdy wariatom. Lecz czemu korzystając z wolności nie wróciłeś pan po własnym tropie (na szczęście, nie jest tak niewidoczny jak ślady wiewiórki), by zaalarmować fort Edwarda?

Zwiadowca, sam będąc człowiekiem żelaznego hartu, najwidoczniej domagał się od Dawida czynu, którego ten w żadnym wypadku nie mógłby dokonać. Dawid pokornie odpowiedział:

— Moja dusza radowałaby się z powrotu do świata chrześcijańskiego. Ale gdy słabe istoty powierzone mej opiece więdną w niewoli i smutku, moje nogi prędzej ruszyłyby za nimi do bałwochwalczych prowincji, jezuickich, niż cofnęłyby się o krok.

Choć obrazowy sposób mówienia Dawida nie grzeszył jasnością, jego szczery i stanowczy wzrok oraz rumieniec na

szlachetnym obliczu wyraźnie zdradzały, co myśli. Unkas podszedł i spojrzał nań przyjaźnie, a stary Mohikanin wyraził swe uznanie wymownym okrzykiem. Zwiadowca potrząsnął głową i powiedział:

— Stwórca wcale nie przykazywał nam rozwijać gardła ze szkodą dla innych i lepszych talentów. Ale człowiek wpadł pod wpływ głupiej baby, kiedy powinien był czerpać mądrość pod błękitem nieba pośród piękna puszczy. Masz, przyjacielu.

Chciałem rozpalić ogień twoją fujarką, ale że tak o nią dbasz, weź ją i gwiżdż sobie na zdrowie.

Gamut pochwycił fujarkę okazując przy tym tyle radości, na ile pozwalała mu powaga jego powołania. A gdy wypróbował fujarkę, dostroił do niej głos i upewnił się, że nic się jej nie stało, począł przygotowywać się do odśpiewania kilku strof najdłuższej pieśni ze znanego nam tomiku.

Duncan widząc, na co się zanosi, czym prędzej przerwał te nabożne przygotowania, wypytując Dawida o przeżycia sióstr i warunki, w jakich się teraz znajdują. Czynił to spokojniej niż w pierwszej chwili, kiedy był poruszony niespodziewanym spotkaniem z Dawidem. Ten zaś, choć łakomym okiem spoglądał na odzyskany skarb, musiał odpowiadać, zwłaszcza że stary Munro także go pytał, i to z takim przejęciem, że nie sposób było uchylić się od rozmowy. Zwiadowca również nie omieszkał zadać mu kilku pytań. Tak więc, choć z licznymi przerwami, w których odzywała się fujarka, udało się im zdobyć bardzo cenne wiadomości, nadzwyczaj przydatne do uwolnienia sióstr. A było to zadanie niezmiernie trudne. Opowiadanie Dawida było proste i nie obfitowało w fakty:

Magua czekał w górach na odpowiedni moment do ucieczki, potem zeszedł w dolinę i ruszył wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Horican w kierunku Kanady. Dobrze znał drogę i doskonale wiedział, że nie grozi mu szybka pogoń. Dlatego wiódł jeńców wolno, oszczędzając ich sił. Ze szczerego opowiadania Dawida wynikało, że Indianie znosili jego towarzystwo, choć wcale go nie pragnęli. Nawet Magua czuł dla niego szacunek, jakim Indianie darzą osoby nawiedzone przez

Wielkiego Ducha. Po nocach Huroni troszczyli się o branki, osłaniali je przed wilgocią i chłodem, a jednocześnie pilnie ich strzegli. Po dojściu do strumienia puścili konie samopas — o czym Duncan i jego towarzysze już wiedzieli — i mimo że przebyli długą drogę, a od porwania kobiet upłynęło sporo czasu, starannie zamaskowali ślady. Gdy przybyli do wsi swego plemienia, Magua — jak nakazywał indiański obyczaj, od którego rzadko odstępowano — rozłączył obie dziewczyny. Korę odesłał do plemienia, które chwilowo obozowało w sąsiedniej dolinie. Dawid jednak zbyt mało znał historię Indian i ich zwyczaje, aby mógł powiedzieć coś pewnego o nazwie lub charakterze tego plemienia. Wiedział tylko, że byli to Indianie, którzy nie uczestniczyli w ostatniej wyprawie na fort William Henry, że tak jak Huroni byli i sprzymierzeńcami Montcalma i utrzymywali przyjazne stosunki — choć nie bez cienia podejrzliwości — ze swymi wojowniczymi i dzikimi przygodnymi sąsiadami.

Mohikanie i zwiadowca słuchali przerywanego i chaotycznego opowiadania z rosnącą ciekawością. Kiedy Dawid próbował opisać zajęcia i zwyczaje Indian, u których przebywała Kora, zwiadowca nagle mu przerwał:

— Czy widział pan, jakie mają noże? Angielskie czy francuskie?

— Nie zaprzątałem sobie głowy podobnymi marnościami. Poświęcałem swe myśli obu siostrom, którym niosłem pociechę.

— Może przyjść chwila, kiedy noże Indian nie będą dla pana marnością niegodną uwagi — odparł zwiadowca, a jego wzrok wyrażał nie ukrywaną pogardę dla tępoty Dawida. — Czy obchodzili już święto zboża? A co pan może powiedzieć o totemach * tego plemienia?

— Zboża mieliśmy na szczęście bardzo dużo. Przyrządzone z mlekiem jest słodkie dla podniebienia i posilne dla brzucha. Dalej pyta pan o totem — nie wiem, co to jest, ale jeżeli myśli pan o indiańskiej muzyce, to u nich jej pan nie znajdzie. Nigdy nie modlą się chóralnie i sądzę, że są największymi poganami wśród bałwochwalców.

— Znieważa pan Indian. Nawet Mingowie czczą prawdziwego i żywego Boga. Hańbę mej rasie przynosi nikczemne kłamstwo białych, że indiańscy wojownicy czczą własnych bożków. Prawda, że usiłują żyć w zgodzie ze Złym — któż by tak nie postępował wobec wroga, którego nie może pokonać! — ale szukają łaski i pomocy jedynie u Wielkiego i Dobrego Ducha.

—Może tak jest — odparł Dawid. — Wśród ich malowideł widziałem jednak dziwne i fantastyczne postacie bóstw, które czczą i otaczają kultem religijnym. Zwłaszcza jedna jest wstrętna i odpychająca.

— Wąż? — żywo zapytał zwiadowca.

— Prawie. Przypomina wstrętnego pełzającego żółwia.

— Hugh! — jednym głosem krzyknęli przysłuchujący się z uwagą Mohikanie.

Zwiadowca pokiwał głową z miną człowieka, który dokonał ważnego, lecz przykrego odkrycia. Teraz odezwał się stary Mohikanin. Mówił po delawarsku, z godnością widoczną nawet dla tych, którzy nie rozumieli tego języka. Jego gesty były wymowne, chwilami zaś bardzo żywe. Raz uniósł rękę do góry, a gdy ją opuszczał, rozchylił fałdy lekkiego płaszcza i przyłożył palec do piersi, jakby podkreślał znaczenie swych słów. Duncan poszedł wzrokiem za tym ruchem i dostrzegł piękny, choć słabo widoczny rysunek żółwia wymalowanego niebieską farbą na smagłej piersi wodza. Błyskawicznie przypomniał sobie wszystko, co kiedyś słyszał o nienaturalnym podziale wielkiego plemienia Delawarów, i niecierpliwie czekał, aż będzie mógł się wtrącić. Uprzedził go jednak zwiadowca, odwrócił się bowiem od swego czerwonoskórego przyjaciela i powiedział:

— A więc wpadliśmy na coś, co może nam wyjść na dobre albo na złe, zależnie od woli nieba. *Sagamore* jest nie tylko szlachetnej krwi Delawarem, lecz także wielkim wodzem Żółwi. Ze słów psalmisty wiemy, że między ludźmi, o których nam opowiadał, jest wielu członków tego rodu. A gdyby nasz przyjaciel nie robił z gardła trąby i tylko połowę swego oddechu zużył na wypytywanie, wiedzielibyśmy, ilu jest tam wojowników. W każdym razie wkroczyliśmy na niebezpieczną

drogę, bo przyjaciel, który nim być przestał, jest nieraz groźniejszy od jawnego wroga.

— Nie rozumiem — powiedział Duncan.

— Długa to i przykra historia. Nie lubię o niej myśleć. Trzeba bowiem przyznać, że zawinili tu przede wszystkim biali. A skończyło się tak, że brat chwycił za tomahawk przeciw bratu. Odtąd Delawarzy i Mingowie idą wspólną ścieżką.

— A więc przypuszcza pan, że Kora przebywa w wiosce odłamu tego plemienia?

Zwiadowca tylko kiwnął głową, jakby chciał uniknąć dalszej rozmowy na ten bolesny temat. Niecierpliwy Duncan wystąpił teraz z paroma pospiesznie obmyślonymi, szalonymi planami uwolnienia sióstr. Munro otrząsnął się z apatii i słuchał niedowarzonych pomysłów młodzieńca z szacunkiem, nie licującym ani z jego siwymi włosami, ani z podeszłym wiekiem. Zwiadowca natomiast pozwolił wygadać się zakochanemu młodzieńcowi, a potem przekonał go, że nie należy działać zbyt szybko w sprawie, która wymaga ogromnego zapasu spokoju i męstwa.

— Dobrze będzie — dodał na zakończenie — gdy psalmista powróci do Indian, jak zwykle. Niech dalej mieszka z nimi i zawiadomi panie, że jesteśmy w pobliżu. W razie potrzeby wezwiemy go umówionym znakiem. Przyjacielu, czy odróżniasz krakanie kruka od gwizdu kozodoja?

— To miła ptaszyna — odparł Dawid — pogwizduje słodko i melancholijnie. Ale takt jest za szybki i źle odmierzony.

— Mówi o ptaku nazywanym tu wish-ton-wish — rzekł zwiadowca. — Dobrze, skoro lubisz pan jego śpiew, będzie on naszym umówionym znakiem. Gdy usłyszysz trzykrotny gwizd tego ptaka, przyjdź w krzaki, skąd się odezwał…

— Czekaj!— przerwał Heyward. — Pójdę z nim.

— Pan! — zawołał zdziwiony zwiadowca. — Czy panu życie zbrzydło?

— Widzimy na przykładzie Dawida, że Huroni umieją być szlachetni.

— Tak, ale Dawid używa swego gardła jak nikt przy zdrowych zmysłach.

— Ja też potrafię udać wariata, szaleńca, bohatera, słowem, udam każdego, zrobię wszystko dla uratowania kochanej kobiety. Niech się pan nie sprzeciwia. Już tak postanowiłem.

Sokole Oko przyglądał się młodemu człowiekowi w niemym zdziwieniu. Ale Duncan, który z szacunku dla jego wierności i doświadczenia dotychczas słuchał go bez protestu, teraz przybrał ton zwierzchnika nie znoszącego sprzeciwu. Ruchem ręki nakazał mu, by zamilkł, i już łagodniej ciągnął dalej:

— Przecież potraficie przebrać człowieka. Umalujcie mnie, zróbcie ze mnie, co chcecie, no… wariata.

— Me moja to rzecz zmieniać człowieka stworzonego wszechmocną ręką Boga i nie chcę o tym nic słyszeć — mruknął niezadowolony zwiadowca. — A poza tym, kiedy wysyła pan oddziały do walki, uważa pan za rozsądne podać im położenie własnych sił, aby wiedziały, gdzie szukać przyjaciół…

— Niech pan posłucha — przerwał mu Duncan. — Wierny towarzysz naszych pań powiedział, że mamy przed sobą Indian z dwóch plemion, jeśli nie z dwóch narodów. W jednym, a pan przypuszcza, że są to Delawarzy, jest ta, którą pan nazywa „Czarnowłosą”. Natomiast druga, młodsza, jest u naszych zawziętych wrogów, Huronów. Mnie, jako młodemu żołnierzowi, wypada podjąć najtrudniejsze zadanie. Gdy więc wy będziecie pertraktowali z waszymi przyjaciółmi o wydanie wam starszej siostry, ja uwolnię młodszą lub zginę.

Oczy majora błyszczały tak szczerym zapałem, a z jego postawy biła taka duma, że nie można mu się było sprzeciwiać. Sokole Oko dobrze znał chytrość Indian i widział niebezpieczeństwa tego pomysłu, ale nie wiedział, jak powstrzymać Duncana.

Możliwe, że ten pomysł odpowiadał jego śmiałej naturze i zamiłowaniu do zuchwałych czynów. Zamiłowanie to rosło w nim wraz z doświadczeniem, aż wreszcie ryzyko i niebezpieczeństwo stały się jego drugą naturą. Nagle ożywił się i zamiast zwalczać plan Duncana, stał się jego zwolennikiem.

— Dobrze — powiedział uśmiechając się pogodnie. — Jelenia, który zbliża się do wody, trzeba podejść od przodu, a nie od tyłu. Chingachgook ma tyle farb, co żona jednego oficera saperów, która maluje lasy i rzeki na skrawku papieru i każe górom wyglądać jak kopki siana, a błękitu nieba możesz dotknąć ręką. *Sagamore* potrafi używać tych farb nie gorzej od tej kobiety. Niech pan siądzie na tym pniu, a ręczę głową, że niebawem zrobi z pana pierwszorzędnego wariata, zgodnie z pańskim życzeniem.

Duncan usłuchał, a Mohikanin, który nie przepuścił ani słowa z całej rozmowy, ochoczo zabrał się do dzieła. Z wielkim znawstwem subtelnej sztuki nakładania farb, uprawianej przez Indian, szybko i zręcznie pokrywał ciało Duncana fantastycznym malowidłem. Uwypuklał cienie, które Indianie poczytywali za symbole przyjaznego i pogodnego usposobienia, i starannie unikał takich linii, które można by uważać za ukrytą oznakę wrogości.

Krótko mówiąc poświęcił żołnierski wygląd Duncana dla maski błazna. A że różni kuglarze nie byli obcy Indianom, Duncan w tym przebraniu i przy swej znajomości języka francuskiego, mógł śmiało uchodzić za sztukmistrza z Ticonderogi, włóczącego się wśród zaprzyjaźnionych plemion.

Kiedy malowidło zyskało ogólną aprobatę, zwiadowca udzielił młodzieńcowi jeszcze paru przyjacielskich rad, uzgodnił sygnały i wyznaczył miejsce spotkania, jeśli szczęście dopisze: obu stronom. Pułkownikowi Munro ciężko przyszło rozstać się z młodym przyjacielem, choć na rozłąkę przystał dość obojętnie. Niewątpliwie, gdyby nie był tak przybity nieszczęściem, jego szlachetna i wrażliwa natura żywiej zareagowałaby na to rozstanie. Zwiadowca odciągnął Heywarda na bok i powiedział mu, że chce zostawić starego żołnierza pod opieką Chingachgooka w jakiejś bezpiecznej kryjówce, a sam wraz z Unkasem będzie szukał Kory w plemieniu, które uważali za Delawarów. Po czym, powtórzywszy swe rady i przestrogi, pożegnał się z Duncanem tak serdecznie i uroczyście, że wzruszył go tym głęboko.

— A więc niech pana Bóg prowadzi — powiedział z uroczystą powagą. — Cenię pańską odwagę. Męstwo jest darem młodości, a płynie z gorącej krwi i nieustraszonego serca. Ale wierz pan przestrogom człowieka, który zawsze wie, co mówi. Będzie pan potrzebował wielkiej odwagi i więcej rozumu, niż znajdzie pan w książkach, jeśli chcesz wywieść w pole Mingów albo przewyższyć ich męstwem. Niech cię Bóg błogosławi. Pamiętaj też o przyrzeczeniu człowieka, który ma przy sobie dwóch śmiałych wojowników; jeżeli Huroni zedrą ci skalp, za każdy jego włosek zapłacą życiem jednego wojownika. Powtarzam, mój młody panie, niech Bóg ci pomoże w tym szlachetnym przedsięwzięciu. Nie zapominaj, że dla tego, kto chce oszukać tych łotrów, każdy sposób jest dobry, nawet sprzeczny z moralnością białych.

Duncan serdecznie uścisnął rękę szlachetnego i nieugiętego zwiadowcy, raz jeszcze powierzył jego opiece pułkownika Munro, życzył mu powodzenia i skinął na Dawida. Sokole Oko przez parę chwil z jawnym podziwem patrzył za szlachetnym i przedsiębiorczym młodzieńcem, a potem z powątpiewaniem pokiwał głową, odwrócił się i poprowadził swą drużynę w głąb lasu.

Droga, którą szli Duncan i Dawid, prowadziła przez polanę bobrów, nad brzegiem stawu. Dopiero gdy znalazł się sam na sam z towarzyszem, na którego trudno było liczyć w niebezpieczeństwie, Duncan zdał sobie sprawę z trudności swego zadania. Gasnące światło dzienne zaostrzało surowość dzikiego krajobrazu po obu stronach polany. Coś strasznego czaiło się w martwej ciszy małych bobrowych żeremi, wewnątrz — jak Duncan wiedział — tętniących życiem. Gdy przyglądał się tym zadziwiającym budowlom i widział niezwykłą ostrożność ich mądrych mieszkańców, zdał sobie sprawę, że zwierzęta w tych puszczach posiadają instynkt dorównujący ludzkiemu rozumowi. Z niepokojem myślał też o nierównej walce, w którą rzucił się tak pochopnie. Ale potem ujrzał oczyma duszy Alicję — jej rozpacz, niebezpieczeństwo, jakie jej groziło — i zapomniał o własnych niepokojach.

Przynaglił Dawida i ruszył naprzód szybkim, lekkim krokiem młodego śmiałka.

Idąc brzegiem jeziora, zatoczyli półkole, odeszli od potoku i poczęli wchodzić na niewielkie wzniesienie. Po półgodzinnym marszu dotarli do skraju innej polany, również wyciętej przez bobry. Ale te rozumne zwierzęta porzuciły ją nie wiadomo dlaczego i przeniosły się w inne, widocznie odpowiedniejsze miejsce. Zanim Duncan wyszedł z zakrytej ścieżki w lesie na otwartą polanę, zawahał się pod wpływem zrozumiałego niepokoju, jak waha się człowiek, nim zdobędzie się na nowy, ciężki wysiłek. Skorzystał z tego krótkiego przystanku, by jednym rzutem oka rozejrzeć się w położeniu.

Po przeciwnej stronie polany, w pobliżu miejsca, gdzie potok spadał przetaczając się nad skałami, ujrzał pięćdziesiąt do sześćdziesięciu chat oblepionych ziemią, a skleconych z bierwion i chrustu. Chaty stały bez ładu i składu, brzydkie i brudne. Pod tym względem tak bardzo ustępowały żeremiom bobrów, które Duncan niedawno widział, że był przygotowany na jakąś nową, równie zadziwiającą niespodziankę. Jego niepewność jeszcze wzrosła, kiedy w zwodniczym świetle wieczoru ujrzał dziwne widowisko: z wysokiej trawy przed chatami kolejno wychylało się i znów w niej nikło, jakby ryjąc w ziemi, ze dwadzieścia do trzydziestu tajemniczych postaci. Podobne były do upiorów, a nie do ludzi z krwi i kości. Jakieś wychudłe, nagie stworzenie, dziko machające rękami, pokazało się nagle i zaraz zapadło pod ziemię. Potem ten sam stwór ukazywał się to tu, to tam. Czasem na jego miejsce wyrastała inna, nie mniej zagadkowa zjawa. Dawid spostrzegł, że Duncan przystanął, spojrzał więc za jego wzrokiem i otrzeźwił go mówiąc:

— Dużo urodzajnej gleby leży tu odłogiem. I nie zgrzeszę samochwalstwem mówiąc, że w czasie mego krótkiego pobytu w tych pogańskich wsiach wiele nasion padło koło drogi.

— Te plemiona wolą żyć z łowów niż z pracy na roli — naiwnie odparł Duncan i dalej obserwował dziwne zjawisko.

— Śpiewanie pobożnych pieśni to nie praca, lecz radość dla ducha. Ale ci młodzi chłopcy źle używają darów nieba. Rzadko kiedy spotykałem młodzież w ich wieku skłonną do śpiewów kościelnych, a jednak, a jednak… nikt chyba nie lekceważy sobie tego daru więcej od tych smyków. Siedziałem tu trzy wieczory i trzy razy zbierałem chłopców do chóralnego śpiewu, a oni trzykrotnie odpowiedzieli mi wyciem i wrzaskiem, który zasmucił mnie do głębi.

— O kim pan mówi?

— O tych diablętach, które trwonią~bezcenny czas na głupie figle. Ach! Lud ten pozostawiony sobie nie zna błogosławionego wpływu kary. W kraju brzozy nigdy nie widzi się rózgi. Jakże więc mam się nie dziwić, że najwspanialsze dary boskie marnują się na podobne wrzaski.

I szybko zatkał uszy przed wrzaskiem gromadki chłopców, który w tej chwili rozdarł ciszę lasu. Duncan uśmiechnął się kącikiem ust, jakby szydził z własnego zabobonnego lęku, i powiedział stanowczym tonem:

— Idziemy dalej.

Psalmista usłuchał i nie odejmując rąk od uszu ruszył za Duncanem ku chatom, które czasem nazywał „namiotami Filistynów”.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Lecz *choć zwierz grubszy,* co *przebiega knieje,*
*Ma u myśliwca różne przywileje,*
*Który i sarnie da przestrzeń i porą,*
*Zanim tuk napnie i wypuści sforę*
*— To któż się troszczy, gdzie, jak albo kiedy*
*Lis grasujący napyta się biedy?*

”Dziewica jeziora”

Indiańskie obozowiska, w przeciwieństwie do wsi ludzi cywilizowanych, rzadko kiedy bywają strzeżone przez uzbrojone warty. Indianie zawczasu wiedzą o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Świetnie czytają leśne znaki wyprzedzające wroga, a poza tym zawsze długa i uciążliwa ścieżka dzieli ich od nieprzyjaciół. Ale jeśli już wróg jakimś cudem zmyli czujność zwiadowców, niemal nigdy nie natrafi przed wsią na czaty, które podniosłyby alarm. Plemiona zaprzyjaźnione z Francuzami doskonale wiedziały o dotkliwej klęsce, jaka spotkała Anglików. Dlatego nie obawiały się napadu wrogich plemion — lenników korony brytyjskiej.

Tak więc bawiące się dzieci Huronów nic nie wiedziały o tym, że Duncan i Dawid nadchodzą, dopóki obaj biali nie znaleźli się wśród nich. Ale gdy ich ujrzały, krzyknęły wszystkie na raz ostrzegawczo i przeraźliwie i jak za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki zniknęły im z oczu. W przedwieczornym zmierzchu nagie, miedzianoczerwone ciała urwisów, spłaszczonych przy ziemi, doskonale harmonizowały z kolorem suchej trawy. W pierwszej chwili wydawało się, że naprawdę zapadli się pod ziemię. Kiedy jednak Duncan ochłonął ze zdziwienia i uważniej się rozejrzał, dostrzegł, że zewsząd patrzą nań ciemne, bystre, rozbiegane oczy.

Te baczne spojrzenia wcale nie dodały mu otuchy przed badaniem, jakie go czekało ze strony dorosłych członków plemienia. Przez chwilą myślał o odwrocie, ale było już za późno. Nie wolno mu było okazać wahania. Krzyk dzieci wywabił z najbliższej chaty, około tuzina wojowników. Stanęli przed drzwiami zwartą, ciemną gromadką i z ponurymi minami czekali na niespodziewanego przybysza.

Dawid zdążył się już jako tako zżyć z obyczajami Indian. Z miną człowieka, którego byle co nie zatrzyma, wszedł śmiało do chaty. Był to główny budynek wsi, sklecony z kory i gałęzi drzew. Tutaj odbywały się narady i zebrania plemienia podczas jego pobytu na granicy angielskich kolonii. Duncan z trudem zachował spokój, gdy w przejściu przyszło mu się otrzeć o skupionych na progu, barczystych Indian. Wiedział jednak, że jego życie zależy od przytomności umysłu. Ślepo zaufał więc Dawidowi i szedł tuż za nim, zbierając siły do czekającej go przeprawy. Krew zastygła mu w żyłach, gdy stanął przed swymi dzikimi i nielitościwymi wrogami. Opanował się jednak tak dalece, że z niewzruszonym spokojem doszedł do środka chaty. Tu za przykładem flegmatycznego Dawida wyciągnął wiązkę wonnych gałązek spod stosu leżącego w kącie i w milczeniu usiadł na niej.

Tymczasem wojownicy, którzy stali na progu, po przejściu nieoczekiwanego gościa cofnęli się do chaty, otoczyli go i cierpliwie czekali, aż jego duma pozwoli mu mówić. Większość z nich opierając się o słupy, które podtrzymywały dach chatki, bezmyślnie gapiła się na Duncana. Trzech czy czterech najstarszych i najwybitniejszych wodzów siadło na ziemi, nieco na przedzie.

Wewnątrz chaty paliła się jasna pochodnia. Jej płomień, kołysany lekkim przeciągiem, rzucał krwawe blaski z twarzy na twarz, z postaci ma postać. Duncan skorzystał z tego światła i chciał z min gospodarzy wyczytać, jak go przyjmą. Lecz jego przenikliwość na nic się zdała wobec niezwykłej chytrości Huronów. Wodzowie siedzący przed nim nawet nań nie spojrzeli i patrzyli w ziemię z wyrazem twarzy, który równie dobrze mógł oznaczać szacunek jak nieufność. Natomiast wojownicy stojący w cieniu zachowywali się swobodniej i Duncan wkrótce wyczuł ich badawcze, spod oka rzucane spojrzenia, cal po calu egzaminujące jego osobę i strój. Ich uwagi nie uszedł żaden jego ruch, najmniejsze drgnienie twarzy, ledwie, widoczna kreska malowidła na ciele, a nawet najbłahszy szczegół ubioru.

Wreszcie z ciemnego kąta — stał tam, by wszystko lepiej widzieć —wyszedł szpakowaty, ale muskularny wojownik w pełni męskich sił. Wystąpiwszy naprzód przemówił w narzeczu Wyandotów lub Huronów, którego Duncan nie rozumiał. Domyślił się jednak, że są to słowa powitalne i że nie wyrażają gniewu. Pozwolił więc dzikiemu skończyć, a potem potrząsnął głową i gestem wyjaśnił, że nie zrozumiał.

—Czy nikt z mych braci nie mówi po francusku lub po angielsku? — zapytał po francusku, prześlizgując się wzrokiem po twarzach Indian i czekając na znak potwierdzenia.

Ale choć paru wojowników spojrzało na niego, jakby zrozumieli pytanie, nikt nic nie odpowiedział.

— Z przykrością pomyślę —ciągnął powoli i w najprostszych słowach (po francusku mówił doskonale) — że nikt z tego mądrego i dzielnego narodu nie rozumie języka, którego używa Wielki Monarcha, gdy mówi do swych dzieci. Bolałoby go serce, gdyby się dowiedział, iż jego czerwonoskórzy wojownicy tak mało go szanują.

Po tych słowach zapadła długa cisza. Czerwonoskórzy żadnym ruchem czy spojrzeniem nie zdradzali wrażenia, jakie na nich zrobiło to oświadczenie. Duncan, który wiedział, że jego gospodarze uważają milczenie za cnotę, chętnie z niego

skorzystał, by zebrać myśli. Po chwili ten sam wojownik, który go powitał, odpowiedział mu oschle pytaniem w kanadyjskim narzeczu:

— Czy nasz Wielki Wódz mówiąc do swego narodu używa języka Huronów?

— Nie robi on różnicy między swymi dziećmi, czy skóra ich jest czerwona, czarna czy biała — wymijająco odparł Duncan. — Ale najbardziej lubi dzielnych Huronów.

— Jakże będzie mówił — pytał chytry wódz'— gdy gońcy wyliczą mu skalpy, które pięć nocy temu okrywały głowy Jengizów?

— Byli jego wrogami — powiedział Duncan drgnąwszy mimo woli — i niewątpliwie powie: —„To dobrze. Zuchy z tych moich Huronów!”

— Nasz kanadyjski ojciec myśli inaczej. Zamiast patrzyć przed siebie i nagrodzić Indian, ogląda się za siebie. Widzi martwych Anglików, a nie widzi Huronów. Cóż to znaczy?

— Talki wielki wódz jak *on* ma więcej myśli niż słów. Musi uważać, by żaden wróg nie szedł jego śladem.

— Czółno zabitego wojownika nie popłynie po Horicanie — posępnie odparł dziki. — Uszy naszego kanadyjskiego ojca otwarte są dla Delawarów, naszych wrogów, którzy wypełniają je kłamstwem.

— To nieprawda. Posłuchaj: kazał mi, bo znam się na chorobach, pójść do jego dzieci, czerwonoskórych Huronów nad wielkie jeziora, i zapytać, czy który z nich nie jest chory.

Gdy Duncan wyjawił swą przybraną rolę, znów zapadła cisza. Przebiegłe i bystre spojrzenia Indian, którzy wpatrywali się w niego, jakby chcieli przeniknąć prawdę, przyprawiły Duncana o drżenie. Ale na szczęście ten sam mówca rozwiał jego obawy.

— Czy mądrzy ludzie z Kanady malują swe ciała? — chłodno zapytał Huron. — Słyszeliśmy, jak się chwalili, że ich twarze są zawsze blade.

— Kiedy wódz Indian przychodzi do swych białych ojców — odparł Duncan z niezmąconym spokojem — zdejmuje ubiór ze

skóry bawołu i wkłada koszulę, którą od nich dostał. Moi bracia pokryli mi skórę malowidłem, więc noszę je na sobie.

Cichym pomrukiem zadowolenia przyjęto te pochlebne dla plemienia słowa. Szpakowaty wódz gestem wyraził pochwałę, a większość jego towarzyszy poszła za jego przykładem: wyciągnęli ramiona i wydali krótki okrzyk uznania. Duncan odetchnął z ulgą, przypuszczając, że przebrnął już przez najgorsze, a że przygotował sobie prostą i zupełnie prawdopodobną opowiastkę na poparcie swych słów, nabrał nadziei, że wszystko dobrze pójdzie.

Po kilkuminutowej przerwie, jakby potrzebnej do namysłu, wstał inny wojownik i przybrał pozę mówcy. Już otwierał usta, gdy jakieś głuche, lecz przerażające odgłosy nadleciały z puszczy, a zawtórowało im ostre, przeraźliwe wycie. Rosło ono, aż w końcu stało się podobne do przeciągłego i najbardziej żałosnego wycia wilka. Na ten nagły i straszny dźwięk Duncan zapomniał o wszystkim i wstrząśnięty do głębi duszy zerwał się na równe nogi. W tej samej chwili czerwonoskórzy wojownicy jak jeden mąż wybiegli z chaty, a po chwili na zewnątrz rozległy się głośne okrzyki. Były tak przenikliwe, że niemal zagłuszyły straszne wycie, wciąż jeszcze dobiegające z puszczy. Heyward nie mógł już dłużej panować nad sobą.

Wyskoczył z chaty i znalazł się w samym środku bezładnego tłumu, złożonego ze wszystkich mieszkańców wsi. Byli to mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy, chorzy, ludzie w pełni sił i życia — wszyscy pospołu wybiegli z chat. Jedni coś krzyczeli, inni jak szaleni klaskali w ręce, a wszyscy wyrażali swą dziką radość z jakiegoś niezwykłego wydarzenia. Heyward, w pierwszej chwili oszołomiony tym zamieszaniem, wkrótce z dalszych wypadków domyślił się, o co chodzi.

Niebo było jeszcze dość jasne, by poprzez szczeliny w koronach drzew oświetlić miejsca, gdzie kilka dróżek z polany wchodziło w leśny gąszcz. Na jednej z nich, w takiej jasnej plamie, Duncan ujrzał rząd wojowników wolno wychodzących z lasu i maszerujących do wsi. Indianin idący na przedzie niósł krótki kij, na którym, jak się potem okazało, wisiało kilkanaście

skalpów. Przerażające dźwięki, które wstrząsnęły Duncanem, były krzykami niewłaściwie nazywanymi przez białych „okrzykami śmierci”. Każdy zwiastował plemieniu śmierć jednego wroga. Duncan znał na tyle zwyczaje Indian, by pojąć, co zaszło. Zrozumiał, że jego rozmowę z dzikimi przerwał nieoczekiwany powrót zwycięskich wojowników, i uspokoił się zupełnie. Nawet winszował sobie szczęśliwego wydarzenia, które odwróci od niego uwagę Huronów. Nowo przybyli wojownicy przystanęli na kilkaset stóp przed wioską. Urwali swe żałosne i przerażające krzyki, które miały wyrażać bądź jęki mordowanych, bądź triumf zwycięzców. Jeden z wojowników wołał coś głośno do umarłych, których oczywiście tak samo nie wzruszały jego słowa jak poprzednie wymowne okrzyki. Ale trudno przedstawić nawet w przybliżeniu entuzjazm, z jakim Huroni przyjęli jego słowa. Cała wieś w jednej chwili stała się widownią niesamowitego zgiełku i poruszenia. Wojownicy obnażyli noże i wymachując nimi, sformowali szpaler ciągnący się od świeżo przybyłych Indian aż do chat. Kobiety pochwyciły topory, maczugi — pierwszą lepszą broń, jaka im wpadła w rękę, i pobiegły co sił, by wziąć udział w okrutnej zabawie. Nawet dzieci nie pozostały w tyle: chłopcy, ledwie odrośli od ziemi, wyrywali ojcom tomahawki zza pasów i wślizgiwali się w szeregi wojowników, zręcznie naśladując dzikie obyczaje rodziców. Jakaś przezorna stara Indianka podpaliła parę stojących na polanie wielkich stosów chrustu, by oświetlić widowisko. Blask ognia (przytłumił dogasające światło' dzienne i nadał całemu otoczeniu wyraźniejsze, choć bardziej niesamowite kształty. Polana tworzyła teraz niezwykły obraz, którego ramy stanowiły ciemne rzędy niebosiężnych sosen. Nowo przybyli wojownicy stanęli w głębi. Nieco przed nimi stało dwóch ludzi, najwidoczniej głównych aktorów przyszłego widowiska. Światło ognisk było za słabe, by wyraźnie oświetlić ich twarze, ale wystarczało, by dojrzeć, że zachowywali się zupełnie różnie. Jeden stał wyprostowany i pewny siebie, w bohaterskiej postawie czekając na to, co teraz nastąpi. Drugi zaś opuścił głowę, jakby go strach sparaliżował

lub wstyd przygnębił. Duncan w głębi swej szlachetnej duszy podziwiał pierwszego i współczuł mu, choć oczywiście nie mógł okazać swych uczuć. Uważnie przyglądał się każdemu ruchowi jeńca. Patrzył na jego wspaniałą i zgrabną sylwetkę i pocieszał się, że jeśli w ogóle człowiek o bohaterskim sercu może wytrzymać straszną próbę śmiertelnego biegu, którego miał być świadkiem, to ten Indianin przejdzie przez nią szczęśliwie. Nieznacznie przysunął się do ciemnego i szeregu Huronów i aż wstrzymał oddech z ciekawości. Właśnie w tej chwili padł okrzyk — sygnał do (rozpoczęcia biegu i nieludzki wrzask, straszniejszy od poprzednich krzyków, rozdarł ciszę. Zgnębiony jeniec nie ruszył się z miejsca, ale jego dzielny i młody towarzysz przy pierwszym okrzyku skoczył naprzód z chyżością i zwinnością jelenia. Zamiast jednak przebić się przez linię otaczających go wrogów, zawiódł oczekiwania: wpadł między groźne szeregi Huronów, lecz zaraz ostro skręcił i nim dosięgnął go choć jeden cios, przeskoczył ponad głowami dzieci i stanął po zewnętrznej, bezpiecznej stronie straszliwego szeregu Indian. Ten podstęp powitano chórem strasznych przekleństw. Podniecony tłum rozpadł się i w dzikim nieładzie rozproszył w pogoni za jeńcem.

Płonące stosy rzucały ponury blask na polanę przypominającą mroczną i niezwykłą arenę, na której zebrały się złe duchy dla odprawienia swego krwawego i bezecnego rytuału. Postacie Indian w głębi polany podobne były do widm błyskawicznie przesuwających się przed oczami i tnących powietrze,gorączkowymi i bezsensownymi ruchami rąk. Na twarzach tych Huronów, którzy biegali w pełnym świetle ognia, widać było w jego migotliwym blasku dziki gniew, i szaloną namiętność.

Łatwo pojąć, że mściwy i zapalczywy tłum nie dawał jeńcowi chwili wytchnienia. Przez sekundę wydawało się, że zdoła ujść w puszczę. Ale ci wojownicy, którzy go ujęli, zagrodzili mu drogę i zapędzili w sam środek bezlitosnych prześladowców.

Zawrócił więc jak jeleń na widok myśliwego i z szybkością strzały pognał poprzez wysoko strzelające języki ognia.

Szczęśliwie przerwał się przez tłum i ukazał się po przeciwnej stronie polany. Ale i tu napotkał paru starszych, przebiegłych Huronów, którzy zawrócili go z drogi. Raz jeszcze próbował przedostać się przez tłum, jakby szukał ratunku w jego szaleńczym zapamiętaniu. Nadeszła chwila, kiedy Duncan myślał, że młody i dzielny jeniec jednak zginie. Nie widział bowiem nic prócz kłębiącego się, ciemnego tłumu, nad którym wznosiły się ramiona uzbrojone w potężne maczugi i połyskiwały noże. Ale ciosy najwidoczniej padały w próżnię. Przenikliwe piski kobiet i zaciekłe krzyki wojowników zwiększały grozę tego obrazu. Raz po raz, to tu, to tam, mignęła Duncanowi zgrabna postać jeńca w rozpaczliwym skoku. Ale zdawało mu się, że młody Indianin dobywa już ostatnich sił. Nagle tłum odtoczył się w tył i przybliżył do miejsca, gdzie stał Heyward. Tylne szeregi naparły na kobiety i dzieci stojące z przodu i obaliły je na ziemię. W zamieszaniu, jakie z tego wynikło, Heyward znów ujrzał nieznajomego, który najwidoczniej czuł już, że ta ciężka próba przekracza ludzkie siły. Jeniec skorzystał z powstałej wyrwy, wyskoczył z tłumu wojowników i — jak Duncan sądził — zdobył się na rozpaczliwy wysiłek ucieczki do lasu.

Umykając otarł się o Duncana, jakby wiedział, że z jego strony nic mu nie grozi. Tuż za nim, z ręką wzniesioną do ciosu, sadził wysoki, potężny Huron, który dotychczas oszczędzał sił. Duncan zdążył podstawić mu nogę. Zaślepiony Huron potknął się i runął jak długi o parę stóp za swą niedoszła ofiarą. Jeniec błyskawicznie wykorzystał tę chwilę. Zawiódł, jak meteor przemknął przed oczami Duncana i w chwili, gdy ten zbierał myśli i rozglądał się za nim, już stał spokojnie, oparty o mały, pomalowany jaskrawymi farbami słup przed wejściem do głównej chaty we wsi.

Duncan pomyślał, że swą pomocą jeńcowi naraził się Huronom,i co prędzej odszedł. Podążył za tłumem, który skupił się w pobliżu chaty, ponury i zły jak każdy tłum, który pozbawiono widoku egzekucji. Duncan przez ciekawość, a może ze współczucia, podszedł do jeńca, który po

wyczerpującym wysiłku stał oparty jedną ręką o zbawczy słup i ciężko dyszał. Dumny Indianin niczym jednak nie zdradził przeżytego wzruszenia. Teraz bronił go odwieczny i święty zwyczaj do czasu, aż rada plemienia zadecyduje o jego losie. Jednak z wrogiej postawy tłumu na polanie łatwo było przewidzieć, co rada postanowi.

Nie było takich obelg w języku hurońskim, jakich kobiety nie rzucałyby w twarz jeńca, który szczęśliwie uniknął samosądu. Wyśmiewały się z jego wysiłku i szydząc mówiły mu, że jest zręczniejszy w nogach niż w rękach, że zasłużył sobie na skrzydła, skoro nie wie, jak używać strzały i noża. Jeniec milczał i tylko swą postawą wyrażał dumną pogardę. Wymysły kobiet, rozwścieczonych jego spokojem i szczęściem w biegu, stawały się coraz mniej zrozumiałe, aż wreszcie przeszły w krzyki i wrzaski. Ta sama gorliwa starucha, która w porę pomyślała o podpaleniu stosów, przecisnęła się przez tłum, odepchnęła swe towarzyszki i stanęła oko w oko z jeńcem. Brudna, zasuszona, wyglądała na wiedźmę. Odrzuciła okrywające ją łachmany, urągliwym ruchem wyciągnęła naprzód kościste ramię w języku Lenapów — zrozumiałym dla wyszydzanej ofiary — zaczęła głośno:

— Posłuchaj, Delawarze! — mówiła pstryknąwszy mu palcami pod nosem. — Twoje plemię to babskie plemię, a tobie lepiej z motyką niż ze strzelbą. Wasze kobiety rodzą jelenie, a gdyby wśród was urodził się niedźwiedź, dziki kot albo wąż, na pewno ucieklibyście ze strachu. Dziewczęta hurońskie uszyją ci spódnicę i znajdziemy ci męża.

Te szyderstwa powitano wybuchem dzikiego śmiechu. Miękkie i melodyjne głosy młodych kobiet dziwnie brzmiały na tle skrzekliwego śmiechu zjadliwej starej wiedźmy. Ale jeniec górował swym spokojem nad tymi szyderstwami. Głowę wciąż trzymał nieruchomo, jakby nikogo nie widział, i tylko czasem dumnym wzrokiem spoglądał na ciemne postacie wojowników, którzy przechadzali się w głębi polany i w milczeniu przyglądali się całej scenie.

Wiedźma, doprowadzona do szału zimną krwią jeńca, ujęła się pod boki, przybrała wyzywającą postawę i wyrzuciła z siebie potok nowych obelg, których żadna sztuka pisarska nie zdoła przelać na papier. Jej wysiłek był jednak daremny, bo choć uchodziła wśród swoich za mistrzynię nie lada w sztuce wymyślania i choć teraz wpadła w taką furię, że aż piana wystąpiła jej na ustach, jeniec nawet nie drgnął. Ta obojętność podnieciła innych widzów. Jakiś młodzik, który ledwie wyrósł z lat chłopięcych, pośpieszył starej z pomocą. Zaczął grozić tomahawkiem bezbronnemu jeńcowi i do szyderstw kobiety dołączył własne przechwałki. Wtedy jeniec odwrócił twarz do światła i zmierzył wyrostka najbardziej pogardliwym spojrzeniem. Ale zaraz wrócił do dawnej spokojnej postawy i stał dalej oparty o słup. Lecz ta krótka zmiana pozycji pozwoliła Duncanowi pochwycić spojrzenie twardych i przenikliwych oczu Unkasa.

Heyward osłupiał ze zdziwienia. Wstrząśnięty tragiczną sytuacją swego przyjaciela spuścił oczy bojąc się, że ta wymiana spojrzeń między nimi może w jakiś sposób zaszkodzić Unkasowi. O sobie nie myślał. Ale jego obawa była płonna. Właśnie w tej chwili jakiś wojownik począł przedzierać się przez rozżarty tłum. Rozkazującym gestem rozsunął kobiety i dzieci, wziął Unkasa za rękę i poprowadził do chaty, w której odbywały się narady. Tam też udali się wszyscy wodzowie i najwybitniejsi wojownicy, a zaniepokojony Heyward wcisnął się za nimi. Na szczęście udało mu się to zrobić niepostrzeżenie.

Indianie przez kilka minut sadowili się według swej powagi i znaczenia. Zachowywali przy tym taki sam porządek, jaki panował podczas poprzedniej narady: starzy i wybitni wodzowie siedli prawie pośrodku obszernej izby, w jasnym świetle płonącej pochodni, a młodzi i mniej zasłużeni wojownicy stanęli w tyle, gdzie ich smagłe, wyraziste twarze ciemniały zwartym kręgiem. W samym środku chaty, akurat pod otworem, przez który widać było migotanie gwiazd, stał Unkas, milczący, wyprostowany i skupiony. Jego wyniosłe, dumne zachowanie zrobiło ogromne wrażenie na Huronach.

Często spoglądali na niego wzrokiem nieubłaganym, a jednak pełnym podziwu.

Zupełnie inaczej zachowywał się człowiek, którego Duncan widział obok Unkasa tuż przed rozpaczliwym biegiem. Nie wziął on udziału w tym biegu i podczas strasznego zamieszania, które mu towarzyszyło, stał skamieniały z przerażenia jak posąg nieszczęścia i hańby. Nikt nie wyciągnął do niego ręki na powitanie, nikt nie raczył śledzić jego ruchów, a jednak wszedł za innymi do chaty, bierny wobec losu, jaki go czekał. Heyward, choć w głębi duszy bał się, że znów zobaczy znajome rysy, skorzystał z pierwszej okazji, by na niego spojrzeć. Ujrzał twarz zupełnie obcą, pokrytą malowidłem hurońskiego wojownika. Człowiek, ten nie przyłączył się do swych towarzyszy i — samotny w całym tłumie — skuliwszy się, jakby chciał zająć jak najmniej miejsca, siadł wystraszony w kącie. Kiedy Huroni już siedli i zapanowała cisza, szpakowaty wódz, z którym czytelnik już się zapoznał, powiedział głośno w języku Lenni Lenapów:

— Delawarze, chociaż należysz do babskiego plemienia, dowiodłeś, że jesteś mężczyzną. Dałbym ci jeść, ale ten, kto je z Huronami, musi stać się ich przyjacielem. Pozostań więc w spokoju aż do wschodu słońca, kiedy ogłosimy nasz wyrok.

— Siedem nocy i tyleż letnich dni pościłem tropiąc Huronów — chłodno odparł Unkas. — Dzieci Lenapów potrafią iść drogą sprawiedliwości, nie przystając dla posiłku.

— Dwaj moi młodzi wojownicy ścigają teraz twego towarzysza — podjął Huron nie zważając na przechwałkę jeńca. — Kiedy powrócą, mądrzy ludzie naszego plemienia powiedzą: „życie” albo „śmierć”.

— Czyżby Huron nie miał uszu? — z pogardą zawołał Unkas. — Gdyście mnie ujęli, dwukrotnie słyszałem dobrze mi znany huk wystrzału. Twoi młodzi wojownicy już nigdy nie wrócą.

Krótka i ponura cisza zapadła po tym śmiałym oświadczeniu. Duncan zrozumiał, że Mohikanin miał na myśli śmiercionośny sztucer zwiadowcy. Pochylił się więc naprzód, by lepiej ujrzeć wrażenie, jakie te słowa zrobiły na zwycięskich Huronach, ale ich wódz odpowiedział spokojnie i po prostu:

— Jeżeli Lenapowie są tak zręczni, to czemu jeden z ich najdzielniejszych wojowników dał się ująć?

— Bo szedł za tropem uciekającego tchórza i wpadł w pułapkę. Chytrego bobra też można złowić.

Przy tych słowach Unkas wskazał palcem na samotnego Hurona. Ograniczył się tylko do tego pogardliwego gestu i nie zaszczycił tej nędznej postaci żadną uwagą. Słowa Unkasa wywołały wielkie poruszenie wśród słuchaczy. Wszyscy ponuro patrzyli na Hurona, którego Unkas wskazał palcem, a po chwili rozległ się groźny szmer. Złowrogi pomruk dotarł do wyjścia z chaty. Kobiety i dzieci wcisnęły się w tłum wojowników, tak że zewsząd, z najmniejszej szczeliny między ramionami tuż przy sobie stojących Huronów, wyglądały czyjeś ciekawe i niecierpliwe oczy.

Tymczasem starsi wiekiem wodzowie w środku koła naradzali się w krótkich, urywanych zdaniach. Nie tracili słów. Myśli wyrażali zwięźle i po prostu, tak jak przychodziły im do głowy. I znów zapadła uroczysta i długa cisza. Wszyscy wiedzieli, że zaraz zapadnie ważna i doniosła decyzja.

Huroni z tylnych szeregów wspięli się na palce, by lepiej widzieć, i nawet oskarżony wojownik był tak przejęty, że na chwilę zapomniał o palącym go wstydzie. Podniósł głowę i zalęknionym wzrokiem spojrzał na zgromadzenie wodzów. Wreszcie wódz, tak często przez nas wspominany, przerwał ciszę. Wstał, minął nieruchomego Unkasa i w pełnej godności postawie stanął przed winnym. W tej chwili koścista starucha, ta sama wiedźma, o której już pisaliśmy, przedostała się do wnętrza koła. Trzymając w ręku zapaloną pochodnię szła bokiem w jakimś powolnym tańcu i mruczała niezrozumiałe słowa, jakby jakieś zaklęcia. Mimo że siłą wdarła się do tego koła, nikt jej nie przeszkodził.

Przysunęła się do Unkasa i czerwonym blaskiem podniesionej pochodni oświetliła rysy jego twarzy. Ale Unkas ani drgnął.

Stał dumny i wyniosły i nawet nie raczył spojrzeć na badawczo patrzącą nań kobietę. Oczy utkwił w dal, jakby chciał przebić wzrokiem mrok przesłaniający mu przyszłość.

Starucha, wyraźnie zadowolona ze swego badania, podeszła do rodaka winnego tchórzostwa i poddała go takiej samej próbie. W blasku pochodni doskonale widać było pokrywające go malowidło wojenne, kształtną budowę ciała, a nawet każdy mięsień i staw. Duncan zobaczył, jak młody wojownik wije się przerażony, i odwrócił się od niego ze wstrętem. Kobieta zaś widząc to sromotne zachowanie się Hurona zawyła żałośnie i głucho. Wreszcie wódz Huronów wyciągnął rękę i delikatnie odsunął ją na bok.

— Giętka Trzcino — po nazwisku zwrócił się do winowajcy w jego rodzinnym języku. — Wielki Duch dał ci piękne ciało, ale lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś się wcale nie narodził. Twój głos, donośny w osadzie, milknie w bitwie. Ze wszystkich moich młodych wojowników ty najgłębiej wbijasz tomahawk w pal wojenny, ale najsłabiej bijesz nim w Jengizów. Wróg zna kształt twoich palców, ale nigdy nie widział koloru twych oczu. Trzy razy rzucał ci wyzwanie i trzy razy zapomniałeś mu odpowiedzieć. Twego nazwiska nikt już nie wymówi w naszym plemieniu. Zostało zapomniane.

Winowajca z szacunku dla wieku i stanowiska mówcy uniósł głowę. Słuchał tych powolnych słów, które stary wódz wygłaszał z wymownymi przestankami, a na jego twarzy walczyły wstyd, strach i duma. Oczami zwężonymi z bólu patrzył na ludzi, którzy jednym tchnieniem mogli zgasić jego sławę. Wreszcie duma zwyciężyła. Wstał, odsłonił pierś i śmiało spojrzał na błyszczący nóż, który wzniósł nad nim nieubłagany sędzia. I nawet uśmiechał się, jakby się radował, że śmierć nie jest tak straszna, gdy nóż wolno zagłębiał się w jego serce. Potem padł na twarz u stóp nieporuszonego tym widowiskiem Unkasa.

Kobieta żałośnie zawyła i upuściła pochodnię. Ciemność objęła wszystko. Huroni, drżąc z podniecenia, ciżbą wybiegli z chaty podobni do tłumu niespokojnych widm, a Duncanowi wydało się, że wewnątrz pozostał tylko on i drgający trup — ofiara sądu Indian.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

*Tak rzekł mędrzec; królowie nie zwlócząc ni chwili*
*Żądaniu swego wodza zadość uczynili.*

„Iliada” według Pope'a

Heyward wkrótce przekonał się o swej pomyłce. Ktoś silnie uścisnął mu ramię i cicho — poznał głos Unkasa — szepnął do ucha:

— Huroni to psy. Prawdziwy wojownik nie zadrży na widok krwi tchórza. Biała Głowa i *sagamore* są bezpieczni, a strzelba Sokolego Oka nie śpi. Pamiętaj... Unkas i Szczodra Ręka nie znają się teraz. Dość!

Heyward chętnie dowiedziałby się czegoś więcej, ale Unkas lekko popchnął go ku drzwiom. Tym ruchem przypomniał mu, że byłoby bardzo niebezpiecznie, gdyby Huroni odkryli ich przyjaźń. Duncan wolno, ociągając się, usłuchał głosu rozsądku, wyszedł z chaty i zmieszał się z tłumem. Dogasające ogniska słabym, niepewnym blaskiem oświetlały ciemne postacie, w milczeniu snujące się po polanie. Czasem jaśniejszy błysk wpadał do chaty i wtedy widać było Unkąsa, dumnie stojącego nad zwłokami Hurona.

Niebawem kilku wojowników weszło do wigwamu i wyniosło trupa do lasu. Na Duncana nikt nie zwracał uwagi, chodził więc między chatami i i szukał jakiegoś śladu kochanej kobiety, dla

której naraził się na tyle niebezpieczeństw. W ogólnym zamieszaniu nie było nic łatwiejszego, jak uciec do swych towarzyszy, lecz to mu nawet przez myśl nie przeszło. Teraz do trapiącej go obawy o los Alicji dołączyła się nowa, choć słabsza troska o Unkasa. I ona również przykuwała go do miejsca. Chodził od chaty do chaty, zaglądał do środka, lecz tylko po to, by doznać nowego rozczarowania. Obszedł tak całą wieś i wreszcie poniechał bezowocnych poszukiwań. By położyć kres męczącej go 'niepewności, zawrócił do chaty narad. Chciał odszukać Dawida i wypytać go szczegółowo.

Gdy doszedł do chaty, która służyła jednocześnie za siedzibę sądu i miejsce kaźni, przekonał się, że ogólne wzburzenie już ucichło. Wojownicy zebrali się znowu i spokojnie paląc fajki, z powagą roztrząsali najważniejsze wydarzenia z ostatniej wyprawy do źródeł jeziora Horican. Wejście Duncana nie wywołało, przynajmniej na pozór, żadnego wrażenia, choć zdawałoby się, że mogło przypomnieć nie tylko o nim, lecz i o tajemniczych okolicznościach, w jakich przybył do wsi. Nastroje po niedawnym strasznym widowisku zdawały się sprzyjać jego celom. Nie potrzebował się nikogo radzić, by zrozumieć, że powinien jak najprędzej wykorzystać niespodziewaną i pomyślną dla niego zmianę sytuacji.

Pozornie bez najmniejszego lęku wszedł do chaty i siadł na swym dawnym miejscu, tak samo skupiony i poważny jak jego gospodarze. Szybkim, badawczym spojrzeniem upewnił się, że Unkas wciąż stoi w tym samym miejscu. Dawid jednak nie wrócił. Unkas ręce i nogi miał wolne, a pilnował go tylko młody Huron, który stał obok i nie spuszczał zeń oczu. Drugi uzbrojony wartownik opierał się o słup stanowiący część framugi drzwi. Poza tym Unkas był zupełnie wolny, nie mógł jednak uczestniczyć w rozmowach. Stał więc nieruchomo, podobny do wspaniałej (rzeźby, a nie do żywego człowieka.

Heyward zbyt dobrze pamiętał błyskawiczną, straszną karę, jaką plemię wymierzyło jednemu ze swych członków. A że był w ich rękach, nie mógł ryzykować i mieszać się w nie swoje sprawy. Teraz, kiedy wykrycie jego prawdziwej roli

oznaczałoby dla niego śmierć, wolał rozmyślać w milczeniu. Niestety jego gospodarze najwidoczniej byli innego zdania i niedługo pozwolili mu siedzieć w spokoju na miejscu, które przezornie wybrał sobie w cieniu. Drugi ze starszych wodzów, ten, który mówił po francusku, zwrócił się do niego:

— Mój kanadyjski ojciec nie zapomniał o swych dzieciach — powiedział. — Dziękuję mu za to. Zły duch zamieszkał w żonie jednego z moich młodych wojowników. Czy mądry przybysz może go wypędzić?

Heyward wiedział coś niecoś o śmiesznych rytuałach indiańskich przy podobnych nawiedzeniach. Od razu dostrzegł też korzyści, jakie mu daje nadarzająca się okazja. Doprawdy, trudno było o lepszy zbieg okoliczności. Zrozumiał jednak, że za, wszelką cenę musi zachować godne oblicze. Zapanował więc nad podnieceniem i odparł z konieczną w tym wypadku tajemniczością:

— Duchy bywają różne. Niektóre ustępują przed potęgą mądrości, inne znowu są silniejsze od niej.

— Mój brat jest wielkim lekarzem — odparł chytry Indianin. — Czy zechce spróbować swej siły?

Heyward skinął głową na znak zgody, a uradowany Huron spokojnie palił fajkę i czekał na dogodną chwilę do wyjścia. Heyward zaś niecierpliwił się i klął w duchu okrutny zwyczaj Indian, który nakazywał im udawać spokój za cenę wewnętrznej męki. Ale tak jak i wódz, który był ojcem obłąkanej kobiety, musiał przybrać obojętną minę i czekać. Minuty wlokły się w nieskończoność. Fałszywemu lekarzowi wydawało się, że upłynęła co najmniej godzina, nim Huron odłożył nareszcie fajkę i owinął się w płaszcz, jakby zamierzał zaprowadzić go do chorej. Ale w tej chwili na progu chaty, przesłoniwszy wejście swą potężną sylwetką, stanął jakiś wojownik. Wszedł do środka, bez słowa przeszedł między uważnie patrzącymi nań Huronami i usiadł na drugim końcu tego stosu, na którym siedział Duncan. Duncan zaś rzucił niecierpliwe spojrzenie na nowego sąsiada i zdrętwiał z przerażenia: obok niego siedział Magua.

Nagły powrót tego przebiegłego i strasznego wodza przeszkodził Huronowi w odejściu. Znów zapalono fajki. Magua milcząc wydobył zza pasa tomahawk, napełnił wyżłobioną główkę tytoniem i począł ciągnąć dym przez wydrążoną rękojeść. Palił z miną tak obojętną, jakby wcale nie miał za sobą dwóch uciążliwych dni spędzonych w puszczy na długich i męczących łowach. Tak z dziesięć minut — Duncanowi zdawało się, że dziesięć lat — siedzieli wojownicy w obłoku białego dymu i nic nie mówili.

— Witamy — powiedział wreszcie jeden z nich. — Czy mój brat znalazł łosia?

— Młodzi wojownicy uginają się pod jego ciężarem — odparł Magua. — Niech Giętka Trzcina pójdzie na ścieżkę łowiecką, tam ich spotka.

Głęboka i straszna cisza zapadła na dźwięk tego zakazanego nazwiska. Huroni jednocześnie opuścili fajki, jakby się zaciągnęli czymś wstrętnym. Długie, spiralne smugi dymu uniosły się nad ich głowami. Zakłębiły się, zawirowały i uleciały przez otwór w dachu. W czystym powietrzu znów ukazały się smagłe twarze bojowników. Większość z nich patrzyła w ziemię i tylko paru młodszych i mniej słynnych utkwiło dzikie, błyszczące oczy w szpakowatym Indianinie, który siedział wśród najwybitniejszych wodzów plemienia. Ani jego wygląd, ani ubiór nie usprawiedliwiały tej ciekawości. Twarz miał zgnębioną i nie było w niej zwykłej indiańskiej dumy. Ubiór zaś niczym nie różnił się od tego, jaki nosili zwyczajni członkowie plemienia. Jak większość zebranych patrzył w ziemię, ale kątem oka dostrzegł, że jest przedmiotem ogólnego zainteresowania. Wstał więc i powiedział w martwej ciszy:

— To było kłamstwo.' Nie miałem syna. Zapomniano już o tym, którego nazwisko wymieniono. Miał bladą krew, obcą żyłom Hurona. Niegodziwi Chippewaowie uwiedli mi żonę.

Wielki Duch powiedział, że ród Wissentusha wymrze. Szczęśliwy ten, kto wie, że zło jego rodu umrze razem z nim.

Skończyłem.

Mówca, ojciec tchórzliwego Indianina, rozejrzał się wkoło, jakby szukał w oczach słuchających go Huronów uznania dla swego niezłomnego charakteru. Ale surowe zwyczaje plemienia stawiały zbyt wielkie wymagania temu staremu, słabemu człowiekowi. Wyraz jego oczu zaprzeczał chełpliwym słowom, a każdy mięsień twarzy zrytej zmarszczkami drgał bólem. Jeszcze chwilę stał, by nacieszyć się swym gorzkim triumfem. Potem odwrócił się, jakby go raniły utkwione w nim spojrzenia, zakrył twarz płaszczem i bezszelestnym krokiem Indianina wyszedł z chaty, by w ciszy własnego domu szukać współczucia swej towarzyszki, jak on samotnej, starej i osieroconej.

Indianie, którzy wierzą w dziedziczność dobrych i złych cech, pozwolili mu odejść w niemej ciszy. Później zaś jeden z wodzów z taktem, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden „dobrze wychowany" biały, odciągnął uwagę zebranych od tego przejawu słabości, uprzejmie zwracając się do Maguy jako do nowoprzybyłego:

— Delawarzy cichcem krążyli koło mej wsi, jak niedźwiedzie koło barci. Lecz czy ktoś widział kiedy śpiącego Hurona?

Magua sposępniał. Jego twarz stała się podobna do groźnej, ciemnej chmury — zwiastunki burzy.

— Delawarzy znad jeziora! — zawołał.

— Niezupełnie. Ci, którzy noszą spódnice nad ich własną rzeką. Jeden z nich biegł w wyścigu śmierci.

— Czy moi młodzi wojownicy zdarli z niego skalp?

— Miał zwinne nogi, choć jego ramię bardziej nadaje się do motyki niż do tomahawka — odparł Huron i wskazał na nieruchomą postać Unkasa.

Magua nie okazał kobiecej ciekawości. Nie śpieszno mu było nacieszyć oczy widokiem jeńca z plemienia, którego, jak powszechnie wiedziano, nienawidził. Spokojnie palił fajkę z zamyśloną miną, jak zawsze w chwilach, kiedy chytrość i krasomówstwo nie były mu potrzebne. Zdziwiony faktem, o którym dowiedział się z ust starego i nieszczęsnego ojca, nie zadawał pytań, czekając na bardziej odpowiednią chwilę. Dopiero po dość długim milczeniu wytrząsnął popiół z fajki,

wsunął tomahawk na miejsce, zacisnął pas, podniósł się i po raz pierwszy spojrzał na jeńca stojącego tuż za nim. Czujny, choć pozornie daleko błądzący myślami Unkas dostrzegł ten ruch i nagle odwrócił się ku światłu. Spojrzenia dwóch wrogów spotkały się. Chwilę ci dwaj ludzie o śmiałych, nieposkromionych duszach stali naprzeciw siebie i odważnie patrzyli sobie w oczy, a żaden z nich nie ugiął się pod zaciekłym spojrzeniem drugiego. Unkas wypiął pierś, a nozdrza mu się rozdęły jak osaczonemu tygrysowi. Wyglądał jak posąg wojennego bóstwa Mohikanów, tak stanowcza i nieugięta była jego postawa. Twarz Maguy była bardziej żywa. Stopniowo traciła obojętny wyraz zdradzając wprost szaloną radość. Wreszcie pełnym głosem, z głębi piersi rzucił groźne nazwisko:

— Rączy Jeleń!

Na to dobrze im znane nazwisko wojownicy zerwali się na nogi. Zwykły spokój Indian zniknął w ogólnym poruszeniu. Chórem powtórzyli znienawidzone, a jednak szanowane nazwisko. Usłyszano je nawet na polanie. Kobiety i dzieci, gapiące się przy wejściu, zgodnie podchwyciły je i powtórzyły. A potem rozległo się żałosne, przeraźliwe wycie. Nim przebrzmiało, mężczyźni już się opanowali. Wszyscy znów siedli, jakby się wstydzili braku opanowania, ale długo jeszcze ukradkiem wymownie spoglądali na jeńca. Ciekawie patrzyli na wojownika, który dał dowody męstwa w walce z najsławniejszymi wojownikami ich plemienia. Radując się w duchu z tego uznania Unkas okazał swój triumf jedynie spokojnym uśmiechem— odwieczną ludzką oznaką pogardy.

Magua dostrzegł ten uśmiech. Potrząsnął wzniesionym ramieniem i pogroził jeńcowi, a przy tym ruchu zabrzęczały srebrne breloki i bransoletki na jego ręku. Dźwięczały jeszcze, gdy Magua, dysząc zemstą, zawołał po angielsku:

— Umrzesz, Mohikaninie!

— Lecznicze wody nie ożywią zabitych Huronów — odparł Unkas w melodyjnym języku Delawarów. — Spienione wody rzeki omywają ich kości. Wasi mężczyźni to baby, a ich kobiety — to sowy. Zwołaj wszystkie psy hurońskie! Niech zobaczą

prawdziwego wojownika. Zapach krwi tchórza drażni mi nozdrza.

Ten przytyk ugodził Huronów w samo serce. Zniewaga paliła ich niemiłosiernie. Wielu z nich rozumiało język, którym mówił Unkas, a między nimi —Magua. Ten chytry Indianin wyczuł sprzyjającą chwilę i natychmiast z niej skorzystał. Zrzucił skórę okrywającą mu ramiona, wyciągnął rękę przed siebie i dał upust swej zręcznej i niebezpiecznej wymowie. Wprawdzie pijaństwo, zgubny nałóg, któremu ulegał, i odejście od plemienia pozbawiły go dawnej popularności, jednak wciąż słynął z odwagi i krasomówstwa. Nigdy nie brakowało mu słuchaczy i zawsze potrafił ich sobie zjednać. Teraz żądza zemsty potęgowała jego wrodzone zdolności.

Zaczął od opisu ataku na wysepkę przy wodospadzie Glenn. Mówił o śmierci towarzyszy i o ucieczce strasznych wrogów Huronów. Później opisał pagórek, na który zaprowadził jeńców ujętych na wyspie. Słowem nie wspomniał o swych występnych zamiarach wobec dziewcząt i o zawodzie, jaki go spotkał. Szybko przeszedł do zaskoczenia, jakie mu zgotował Długa Strzelba, i do nieszczęsnego wyniku walki. Tu rozejrzał się wkoło i zamilkł, jakby chciał uczcić pamięć poległych towarzyszy, a w gruncie rzeczy, aby się zorientować w nastrojach. Jak zwykle, wszyscy patrzyli na niego urzeczeni jego wymową. Zastygli,w bezruchu i z takim napięciem słuchali jego słów, że ich ciemne postacie podobne były do oddychających posągów.

Magua mówił dobitnie, jasno i głośno, ale teraz, gdy przeszedł do wymieniania zasług poległych, zniżył głos. Nie pominął żadnej z zalet cenionych przez Indian. Jeden z zabitych słynął ze szczęśliwych łowów, drugi był nieznużony w tropieniu nieprzyjaciół. Ten był dzielny, ów wspaniałomyślny. Słowem, mówiąc do przedstawicieli nielicznego plemienia, potrafił potrącić takie struny, z których każda znalazła oddźwięk w czyimś sercu.

— Czy kości moich młodych wojowników spoczywają na cmentarzysku Huronów? — zapytał w końcu. — Wiecie, że nie.

Ich dusze odeszły ku zachodzącemu słońcu i przez wielką wodę dążą na pola szczęśliwych łowów. Ale odeszły bez żywności, bez strzelb i noży, takie bose,nagie i biedne, jak przyszły na świat. Czy tak być powinno? Czy ich dusze mają wejść do krainy sprawiedliwości jak głodni Irokezi lub zniewieściali Delawarzy? Czy też mają spotkać się ze swymi przyjaciółmi przyodziani i z bronią w ręku? Co pomyślą sobie nasi ojcowie o plemieniu Wyandotów? Że co się z nimi stało? Spojrzą na swoje dzieci ponurym okiem i powiedzą: „Idźcie precz! To przyszli jacyś Chippewaowie i udają Huronów". Bracia! Nie wolno nam zapominać o umarłych. Czerwonoskóry zawsze o nich pamięta. Objuczmy tego Mohikanina, aż będzie się słaniał pod ciężarem hojnych darów, i wyślijmy go za naszymi młodymi wojownikami. Wołają o pomoc, choć ich nie słyszymy. Mówią:

„Pamiętajcie o nas". Kiedy zobaczą tego objuczonego Mohikanina wlokącego się za nimi, będą wiedzieli, że jesteśmy z nimi. I wtedy odejdą szczęśliwi, a nasze dzieci powiedzą: „Tak czynili nasi ojcowie dla swych przyjaciół i tak my musimy czynić dla nich". Czymże jest Jengiz? Zabiliśmy ich wielu„ ale ziemia wciąż jest blada. Plamę na imieniu Huronów można zmyć tylko krwią Indianina. Śmierć Delawarowi!

Ta mowa, wygłoszoną w obrazowym języku i ze swadą hurońskiego mówcy, nie mogła chybić celu. Magua umiał zagrać na uczuciach i odwołać się do religijnych przesądów swych słuchaczy. W ich umysłach, przywykłych do odwiecznego zwyczaju składania ofiar duszom zmarłych, nie zrodził się żaden protest. Dzika żądza zemsty wyparła z ich serc resztki ludzkich uczuć. Zwłaszcza uwaga, z jaką jeden wojownik o dzikiej i okrutnej twarzy słuchał Maguy, mogła budzić obawy. Różne uczucia, zmieniając się błyskawicznie, malowały się na jego twarzy. Wreszcie zastygł na niej wyraz śmiertelnego gniewu. Przy ostatnim słowie Maguy wojownik zerwał się, wydał piekielny okrzyk i zakręcił tomahawkiem nad głową. Stal toporka i błysnęła w świetle pochodni. Wszystko zaszło tak szybko, że żaden okrzyk nie zdążyłby powstrzymać Indianina od spełnienia krwawego zamiaru. Zdawało się, że z jego

ramienia wytrysnął jasny płomień, ale w tej samej chwili przecięła go ciemna smuga — ramię Maguy wyciągnięte w przód dla odwrócenia broni. Magua w samą porę wykonał ten błyskawiczny ruch: ostry toporek ściął pióro wojenne przeszywające czub Unkasa i przebił kruchą ścianę chaty, jak pocisk puszczony z procy.

Duncan dostrzegł groźny ruch Indianina. Serce skoczyło mu do gardła. Zerwał się na nogi i w szlachetnym porywie chciał rzucić się na ratunek przyjacielowi. Ale gdy ujrzał, że rzut chybił celu, jego przerażenie przeszło w podziw. Unkas ani drgnął. Stał i z niewzruszoną twarzą patrzył prosto w oczy wroga. Marmur nie mógł być chłodniejszy, spokojniejszy i twardszy. A po chwili, jakby litując się nad niezręcznością przeciwnika, tak dla niego pomyślną, uśmiechnął się i mruknął parę pogardliwych słów w języku swego plemienia.

— Nie — powiedział Magua, gdy się przekonał, że Unkasowi nic się nie stało. — Niech jego hańbę oświetli słońce, nich kobiety zobaczą, jak dygoce jego ciało, bo inaczej nasza zemsta będzie tylko dziecięcą zabawą. Zabierzcie go w jakieś spokojne miejsce. Zobaczymy, czy Delawar potrafi spać w noc przed śmiercią.

Młodzi wojownicy, którzy pilnowali jeńca, natychmiast, w głębokiej i złowrogiej ciszy, skrępowali mu ręce łykiem i wyprowadzili *z* chaty. Dopiero na progu, gdy już stał u wyjścia, Unkas się zawahał. Odwrócił się i wyniosłym spojrzeniem zmierzył wrogów. Duncan wyczytał w jego oczach jakby cień nadziei.

Magua tego nie dostrzegł, zbyt bowiem cieszył się samym zwycięstwem albo za bardzo był pochłonięty swymi tajemnymi planami. Otrząsnął płaszcz, sfałdował go sobie na piersi i wyszedł z chaty, nie stawiając już dalszych pytań, które mogłyby być groźne dla siedzącego przy nim Duncana. A on, mimo nieustępliwej natury, rosnącego gniewu i obawy o los Unkasa, poczuł, że wraz z odejściem tego niebezpiecznego i przebiegłego wroga kamień spada mu z serca. Wrażenie mowy Maguy stopniowo mijało. Wojownicy siadali na miejsca, a po

chwili, dym z fajek znów wypełnił chatę. Długo trwała głęboka cisza i nikt nawet nie podniósł oczu od ziemi. U tych ludzi, doskonale panujących nad sobą, po każdym gwałcie czy wybuchu namiętności następowała chwila uroczystej ciszy.

Po wypaleniu fajki wódz, ojciec obłąkanej, wstał, skinął palcem na rzekomego lekarza i tym razem już bez przeszkód ruszył do wyjścia. Duncan szedł za nim przez zadymioną chatę i cieszył się również z tego, że nareszcie odetchnie czystym, orzeźwiającym powietrzem letniego wieczoru. Indianin ominął chaty, w których Duncan bezskutecznie szukał Alicji, skręcił w bok i skierował się do stóp góry wznoszącej się nad obozowiskiem Huronów. Szli wąską i krętą ścieżką przez gęste zarośla rosnące u podnóża góry. Indiańscy chłopcy znów bawili się na polanie. Tym razem naśladowali dorosłych i urządzili śmiertelny bieg do słupa. Aby tej zabawie nadać największe pozory prawdy, najśmielszy z nich podłożył ogień pod parę stosów, ocalałych z poprzedniego widowiska. Blask tych ognisk rozjaśnił drogę Duncanowi i wodzowi, ale i nadał surowej okolicy wygląd jeszcze bardziej dziki. Znalazłszy się niedaleko nagiej skały, weszli na porośniętą trawą porębę i właśnie mieli ją przeciąć, kiedy ktoś dorzucił chrustu do ogniska. Buchnęło jasnym płomieniem i oświetliło nawet najdalsze kąty. Blask ognia padł na białą skałę i na jej tle ukazała się ciemna i tajemnicza postać, która nagle zagrodziła im drogę. Indianin przystanął, jakby się zastanawiał, czy iść dalej i zaczekał na Duncana. Duncan zaś zbliżył się i ujrzał wielką, czarną kulę, która początkowo wydawała się nieruchoma, a potem poczęła się jakoś dziwnie poruszać. Znów płomień buchnął jaśniej i wyraźnie oświetlił ten tajemniczy przedmiot. Wówczas nawet mało doświadczony Duncan poznał po nieustannym kołysaniu górnej części tułowia, że był to siedzący niedźwiedź. Ryczał wprawdzie głośno i gniewnie, a nawet błyskał groźnie ślepiami, ale nie zdradzał żadnych złych zamiarów. Przynajmniej Huronowi wydawało się, że niedźwiedź usposobiony jest pokojowo, bo uważnie przyjrzawszy się mu, spokojnie ruszył dalej.

Duncan wiedział, że Indianie często oswajają niedźwiedzie, ruszył więc za swym towarzyszem, bo przypuszczał, iż jest to pupil plemienia, który wybrał się w krzaki na jagody. Niedźwiedź ich nie zaczepił, a Huron, który przedtem tak mu się uważnie przyglądał, teraz bez namysłu szedł szybko naprzód. Heyward zaś nie mógł się powstrzymać, by z obawy o własną skórę nie spojrzeć za siebie. Jego niepokój znacznie się zwiększył, gdy spostrzegł, że zwierzę toczy się za nimi. Chciał o tym powiedzieć Indianinowi, ale ten właśnie otworzył drzwi z kory i wszedł do pieczary w głębi góry.

Duncan skorzystał z tego, że nadarza mu się okazja ucieczki przed niedźwiedziem, i szybko wszedł za nim. Uradowany, zamykał już za sobą słabe drzwi, gdy poczuł, że ustępują one pod naporem bestii, która całym swym kosmatym cielskiem zasłoniła przejście. Stali teraz w prostym i długim korytarzu — skalnej szczelinie — i nie mogli się cofnąć bez spotkania z niedźwiedziem. Chcąc nie chcąc Duncan skoczył naprzód i szedł dalej trzymając się jak najbliżej Indianina. Niedźwiedź tuż za jego plecami ryczał co chwila i raz czy dwa dotknął go swą olbrzymią łapą, jakby go chciał zatrzymać.

Trudno powiedzieć, jak długo Heyward panowałby nad swymi nerwami. Na szczęście wkrótce nadeszło wybawienie. Przed nimi błyszczało słabe światełko, a teraz stanęli u jego źródła.

W obszernej skalnej pieczarze urządzono kilka prymitywnych izb dla różnych celów. Ścianki działowe były proste, choć pomysłowe. Wzniesiono je z kamieni, gałęzi i kory. We dnie otwór w górze przepuszczał światło słoneczne, a w nocy zastępowały je ognisko i pochodnie. We wnętrzu pieczary Huroni złożyli większość swych najcenniejszych rzeczy, zwłaszcza te, które stanowiły wspólną własność. Tu też umieścili, jak się teraz okazało, chorą kobietę, którą uważali za nawiedzoną przez złego ducha. Najwidoczniej przypuszczali, że jej dręczycielowi trudniej będzie przedostać się przez skalną ścianę niż przez dach chaty sklecony z gałęzi. Pierwsza izba, do której wszedł Duncan wraz z Indianinem, była przeznaczona

wyłącznie dla chorej. Huron podszedł do jej łóżka otoczonego przez tłum kobiet, pośród których Duncan ze zdziwieniem zobaczył swego zaginionego ' przyjaciela — Dawida. Od pierwszego spojrzenia Duncan przekonał się, że uleczenie chorej jest zadaniem ponad jego siły. Kobieta leżała sparaliżowana, obojętna na wszystko i na szczęście nieczuła na cierpienie.

Heyward z ulgą pomyślał, że odegra rolę fałszywego lekarza u łoża kobiety beznadziejnie chorej, dla której jego zabiegi nie mają już żadnego znaczenia. Szybko więc zapomniał o trapiących go skrupułach, że jest oszustem, i począł się zastanawiać, jak najlepiej, najbardziej przekonywająco odegrać swą rolę. W tej chwili zorientował się, że ktoś zamierza mu dopomóc i próbuje potęgi muzyki.

Gdy Duncan wraz z Huronem weszli do tej części pieczary, Dawid całą duszą był już gotów do rozpoczęcia śpiewu. Potem chwilę namyślał się, aż wreszcie podał ton fujarką i zaintonował hymn, który mógłby zdziałać cuda, gdyby obecni dość silnie wierzyli w jego moc. Nikt mu nie przeszkadzał, Indianie bowiem szanowali go jako obłąkanego, a Duncan był tak rad z chwili zwłoki, że za nic w świecie nie byłby mu przerwał. Ostatnie słowa pobożnej pieśni już cichły mu w uszach, gdy nagle usłyszał, że ktoś za nim grobowym głosem wtóruje śpiewakowi. Przerażony odskoczył na bok i rozejrzał się wkoło. W ciemnym kącie pieczary ujrzał kosmatego niedźwiedzia, który, bez przerwy niezgrabnie kołysząc górną częścią tułowia, mruczał melodię, a może i słowa pieśni Dawida.

Jakie wrażenie wywarł na Dawidzie widok niedźwiedzia powtarzającego jego pieśń, łatwiej sobie wyobrazić niż opisać. Wytrzeszczył oczy, jakby sam sobie nie wierzył, i umilkł ze zdziwienia. Bliski panicznego strachu (sądził, że to zachwyt na widok cudu) zapomniał o chytrym planie, jaki sobie ułożył, by zakomunikować Heywardowi ważną wiadomość. Krzyknął więc tylko: „Czeka na pana i jest tutaj!” i wybiegł z pieczary.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Spój:
Czy rola lwa rozpisana? *Jeśli tak, dajcie mi ją do ręki. Wiecie, żem powolny* w *nauce.*

*Pigwa:*
*Możesz ją zaimprowizować, bo ona polega tylko na ryczeniu.*

”Sen nocy letniej”

W opisanej scenie dziwnie splotły się pierwiastki śmieszne z uroczystymi. Zwierzą nadal kołysało się niestrudzenie, choć po ucieczce Dawida z pieczary zaniechało pociesznego naśladownictwa. Dawid krzyknął ostatnie słowa w języku angielskim. Duncanowi wydało się, że mają jakiś ukryty sens. Ale nic z tego, co widział koło siebie, nie pomogło mu w rozwiązaniu zagadki. Dalsze rozmyślania na ten temat przerwał mu huroński wódz, Podszedł do łoża chorej i gestem kazał wyjść kobietom, które zebrały się przy niej, by się przyjrzeć sztuce białego. Usłuchały go bez szemrania, choć niechętnie, a kiedy w pustym skalnym korytarzu ucichło głuche echo zamykanych w oddali drzwi, stary Indianin wskazał na swą nieprzytomną córkę i powiedział:

— Niechże mój brat pokaże swą moc.

Heyward, tak niedwuznacznie wezwany do swych obowiązków, zrozumiał, że dalsze zwlekanie może być

niebezpieczne. Zebrał więc myśli, przypomniał sobie wszystko, co o tym wiedział, i zabrał się do odprawiania zaklęć i tego dziwacznego, rytuału, pod którego płaszczykiem indiańscy czarownicy ukrywają swe nieuctwo. Niewątpliwie w silnym ' zdenerwowaniu popełniłby pomyłkę czy nawet grubszy błąd i ściągnąłby na siebie podejrzenia. Na szczęście jednak niedźwiedź wściekłym rykiem przerwał mu już pierwsze próby. Duncan parokrotnie zabierał się do zaklęć i za każdym razem niedźwiedź przerywał mu rykiem coraz groźniejszym.

— Przebiegłe duchy są zazdrosne — powiedział Huron. — Odejdę. Bracie, ta kobieta jest żoną jednego z mych najdzielniejszych młodych wojowników. Nie żałuj sił. Spokój! — dorzucił, ruchem ręki uspokajając rozsierdzone zwierzę. — Odchodzę.

Odszedł, a Duncan pozostał w tej odciętej od świata grocie sam na sam ze śmiertelnie chorą kobietą i rozgniewaną groźną bestią. Niedźwiedź uważnie, z inteligencją właściwą • tym zwierzętom, słuchał szmeru oddalających się kroków Indianina. A kiedy znów rozległo się echo zamykanych drzwi, odwrócił się, kołyszącym się krokiem podszedł do Duncana i siadł naprzeciw niego wielki i wyprostowany jak człowiek. Duncan obejrzał się za jakąś bronią, bo teraz był już pewien, że niedźwiedź rzuci się na niego.

Ale humor zwierzęcia nagle się zmienił. Zamiast ryczeć z niezadowoleniem czy w jakiś inny sposób okazać swój gniew, trząsł kosmatym cielskiem jakby w napadzie dreszczów. Heyward przyglądał mu się uważnie i z niepokojem, a niedźwiedź potężnymi, niezgrabnymi pazurami począł bezmyślnie dłubać przy wyszczerzonej paszczy. Nagle groźny łeb opadł, a spod niego wyjrzała poczciwa i śmiała twarz zwiadowcy, z całej duszy śmiejącego się, jak zwykle cicho i szczerze.

— Tss! — rzekł wreszcie, powstrzymując Heywarda od okrzyku zdziwienia. — Ci łajdacy są w pobliżu i każdy okrzyk obcy czarom gotów ich ściągnąć nam na kark.

— Niech mi pan wytłumaczy, po co się pan przebrał? Dlaczego porwał się pan na tak ryzykowny krok?

— Ach, zdrowy rozsądek i zimne wyliczenia często muszą ustąpić zwykłemu przypadkowi — odparł zwiadowca. — Ale każdą historię powinno się zaczynać od początku.

Opowiem więc panu wszystko po kolei. Po pożegnaniu się z panem umieściłem komendanta i *sagamore* w starej chatce bobrowej. Są tam bezpieczniejsi przed Huronami, niż gdyby byli w forcie Edwarda pod opieką całego garnizonu, bo Indianie z dalekiego północo-zachodu nie nauczyli się jeszcze ciągnąć korzyści z handlu skórkami bobrów i nadal szanują te zwierzęta. A potem razem z Unkasem, w myśl naszej urnowy, ruszyłem do drugiej wsi. Czy widział pan naszego chłopca?

— Niestety! Ujęto go i skazano na śmierć o wschodzie słońca.

— Zawsze się bałem, że go to spotka — odparł zwiadowca bardzo zmartwiony. Ale zaraz odzyskał pewność siebie i podjął opowiadanie. — Jego niepowodzenie to prawdziwy powód mego pobytu tutaj, nie mogę bowiem pozostawić chłopca na pastwę Huronom. Mieliby rzadką uciechę, gdyby im się udało przywiązać do tego samego pala Rączego Jelenia i Długą Strzelbę, jak mnie nazwali. Zupełnie nie wiem, czemu dali mi takie przezwisko, bo jeśli już mówimy o broni palnej, to pomiędzy Postrachem Zwierząt a jednym z prawdziwych kanadyjskich sztucerów jest tyleż podobieństwa, co między miękką gliną a krzemieniem.

— Niech pan się trzyma tematu — rzekł niecierpliwy Heyward. — Huroni mogą nam lada chwila przerwać.

— Nie ma obawy. Czarownik u Indian musi mieć tyle czasu, co ksiądz w osiedlu białych. Możemy być tak samo pewni, że nikt nam nie przerwie, jak misjonarz, który zaczyna swe dwugodzinne kazanie. A więc razem z Unkasem natknęliśmy się na powracający oddział tych łajdaków. Chłopak okazał się za chybki jak na zwiadowcę, chociaż nie można go za to winić, bo ma gorącą krew, a jeden z Huronów stchórzył i uciekając wciągnął go w zasadzkę.

— Drogo zapłacił za to tchórzostwo.

Zwiadowca wymownym gestem przesunął dłonią wkoło gardła i kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Rozumiem, co pan ma na myśli”. Po czym ciągnął dalej, już głośniej, lecz tak samo lakonicznie:

— Po stracie chłopca wsiadłem na Huronów, jak pan się domyśla. Doszło do walki między mną a jednym czy dwoma ich zwiadowcami, ale to nie należy do rzeczy. Gdy więc zastrzeliłem tych łajdaków, bez przeszkód już podszedłem pod wieś. Szczęście mi dopisało, bo natknąłem się na ich najsłynniejszego czarodzieja, gdy się przebierał, jak sądzę, do walki z szatanem — jednak czemu nazywamy szczęściem to, co jak teraz widzę, było wyraźnym zrządzeniem Opatrzności? Dobrze wymierzony, lekki cios w głowę unieszkodliwił na pewien czas tego oszusta. Potem wsadziłem mu w usta garść orzechów, by nie hałasował, i zawiesiłem go między dwoma młodymi drzewkami. Rozebrałem go też i wziąłem na siebie rolę niedźwiedzia, by móc dalej działać.

— I wspaniale ją pan odegrał! Zawstydziłby pan prawdziwe zwierzę.

— Na Boga, majorze! — odparł ucieszony tą pochwałą zwiadowca. — Byłbym chyba dzieckiem, gdybym żyjąc tyle lat w puszczy nie potrafił naśladować ruchów i zwyczajów tego zwierzęcia. Niech mi pan da skórę lamparta albo i pantery, a dopiero pokażę panu sztukę! Ładna mi mądrość udawać tale tępego zwierzaka, chociaż nawet i tu można przesadzić. Tak, tak, nie każdy wie, że gdy naśladuje naturę, łatwiej przeholować niż dorównać. Ale dość o tym, bo jeszcze cała praca przed nami. Gdzie jest młoda pani?

— Bóg wie. Zajrzałem do każdej chaty i nie znalazłem żadnego śladu.

— Słyszał pan, co powiedział śpiewak na odchodnym? „Jest tu i czeka na pana”.

— Przypuszczałem, że mówi o tej nieszczęsnej kobiecie.

— Ten głuptak zląkł się i źle się spisał. Ale miał coś na myśli. W tej grocie dość jest ścianek, by rozparcelować całą wieś, Niedźwiedź musi umieć drapać się po ścianach i dlatego zajrzę

na drugą stronę. Mogą tu być ukryte barcie, a jak pan wie, jestem zwierzęciem łasym na słodycze. Obejrzał się, roześmiał z własnego dowcipu i jął się wspinać na ściankę, naśladując przy tym niezgrabne ruchy niedźwiedzia. Ale gdy dotarł do szczytu, uniósł rękę nakazując ciszę i szybko ześliznął się z powrotem.

— Jest tam — szepnął — i tymi drzwiami wejdzie pan do niej. Chciałem jakimś słowem pocieszyć tę biedną duszyczkę, ale mogłaby postradać zmysły na widok strasznego zwierzęcia. Skoro o tym mowa, to i pan, majorze, nie wygląda pociągająco z tak umalowaną twarzą.

Duncan, który już poskoczył ku drzwiom, cofnął się słysząc te i słowa.

— Czy wyglądam tak strasznie? — zapytał ze smutkiem.

— Wilka by pan nie przestraszył ani nie powstrzymał Królewskich Strzelców Amerykańskich w ataku. Jednak pamiętam, że kiedyś wyglądał pan znacznie przystojniej. Pańska twarz pomazana farbami mogłaby się podobać Indiankom, ale białe kobiety wolą mężczyzn o tym samym kolorze skóry. Niech pan spojrzy — dorzucił wskazując na tryskające ze skały krystaliczne czyste źródełko, które tworząc po drodze małe rozlewisko uchodziło do przyległej rozpadliny. — Tutaj łatwo zmyje pan maskę nałożoną przez *sagamore*. A kiedy pan wróci, ja spróbuję swych sił i upiększę pana nowymi malowidłami. — Czarownicy tak samo często zmieniają malowidła, jak miejscy eleganci — stroje.

Przezorny jak zwykle zwiadowca nie potrzebował szukać dodatkowych argumentów. Nim skończył, Duncan już mył się u źródła. W jednej chwili zmył wszystkie przerażające lub — jeśli kto woli — wstrętne malowidła. Z twarzą czystą, jaką obdarzyła go natura, gotów do rozmowy z panią swego serca szybko pożegnał zwiadowcę i zniknął za drzwiami. A zwiadowca uśmiechając się patrzył za nim, kiwał głową i mrucząc pod nosem życzył mu szczęścia. Potem z zimną krwią zabrał się do myszkowania w spiżarni, bo grota służyła Huronom także za magazyn, w którym składali ubitą zwierzynę.

Duncan kierował się tylko słabym światełkiem, które kochankowi wystarczy za gwiazdę przewodnią. Tak idąc dobił do portu swych marzeń, a było nim sąsiednie pomieszczenie groty, przeznaczone na więzienie dla tak ważnej branki, jak córka komendanta fortu William Henry. Było tam pełno łupów z nieszczęsnego fortu. Wśród rozrzuconych w nieładzie zrabowanych rzeczy Duncan znalazł Alicję, bladą i przerażoną, ale jak zawsze piękną. Dawid przygotował ją do tej wizyty.

— Duncan! — krzyknęła i zadrżała na dźwięk własnego głosu.

— Alicjo! — odparł przeskakując przez skrzynie, kufry, broń, meble i stając nareszcie przy niej.

— Wiedziałam, że mnie nigdy nie opuścisz — odparła i wzniosła wzrok ku niemu. Jej przybitą i zgnębioną twarzyczkę rozjaśnił rumieniec — Ale jesteś sam! Choć wdzięczna ci jestem, żeś o mnie pamiętał, wolałabym, abyś nie był zdany na własne siły.

Duncan spostrzegł, że Alicja drży i ledwie się trzyma na nogach. Łagodnie nakłonił ją, by siadła i wysłuchała jego opowiadania o najważniejszych wydarzeniach znanych już naszym czytelnikom. Alicja słuchała z zapartym oddechem i choć Duncan oszczędzał jej i tylko przelotnie wspomniał o cierpieniu starego Munro, rozpłakała się serdecznie. Duncan szybko uspokoił ją czułymi słowami, po czym z wielką uwagą wysłuchała jego opowiadania.

— A teraz widzi pani, Alicjo — dodał — że musisz się zdobyć na wielki wysiłek. Z pomocą naszego 'doświadczonego i nieocenionego przyjaciela, zwiadowcy, uda nam się wydostać z rąk dzikich Huronów, ale musi pani wykazać jak największy hart ducha. Pamiętaj, że nasza ucieczka ma cię doprowadzić w ramiona ojca, i o tym pamiętaj, że wasze szczęście, twoje i ojca, zależy od wysiłku, na jaki się zdobędziesz.

— Dla mego kochanego ojca zrobię wszystko!

— A także i dla mnie — dodał młodzieniec, łagodnie obiema rękami ściskając dłoń Alicji.

Niewinne i zdziwione spojrzenie Alicji przekonało go, że lepiej zrobi, jasno wyrażając swe myśli.

— Ani miejsce, ani warunki nie pozwalają mi powiedzieć pani o moim samolubnym marzeniu — powiedział. — Ale któż, dźwigając taki ciężar na sercu, nie chciałby go zdjąć? Ludzie mówią, że nic tak nie łączy jak wspólne nieszczęście. Nasz wspólny niepokój o pandą wyjaśnił wszystko między mną a pani ojcem.

— A ukochana Kora, Duncanie? Chyba nie zapomnieliście o niej?

— Zapomnieliśmy? O nie! Martwiliśmy się o nią ogromnie. Twój czcigodny ojciec kocha was jednakowo, ale ja… Alicjo, wybaczy mi pani, że powiem… twoja osoba przesłania mi zalety twej siostry…

— A więc nie zna pan jej zalet — powiedziała Alicja cofając rękę. — Kora zawsze mówi o panu jak o najserdeczniejszym przyjacielu.

— I ja rad bym uważał ją za wiernego przyjaciela — szybko odparł Duncan. — Chciałbym, by się stała nawet czymś więcej, ale gdy chodzi o panią, Alicjo, to za zgodą pani ojca pragnąłbym, aby nas złączyły bliższe i bardziej serdeczne więzy.

Alicja drgnęła gwałtownie i odwróciła się zawstydzona. Ale zaraz się opanowała, przynajmniej zewnętrznie.

— Heywardzie — powiedziała, ufnie i ze wzruszającą niewinnością patrząc mu w oczy — nie zmuszaj mnie do odpowiedzi. Pozwól mi najprzód ujrzeć mego ojca i uzyskać jego błogosławieństwo.

„Nie mogłem powiedzieć mniej, choć nie wolno mi mówić więcej” już miał odpowiedzieć Duncan, gdy przeszkodziło mu lekkie uderzenie w ramię. Zerwał się na równe nogi, odwrócił i ujrzał tuż przed sobą smagłą i złą twarz Maguy. Głęboki, gardłowy śmiech dzikiego zabrzmiał mu w uszach jak szyderczy rechot szatana. W pierwszej chwili chciał się rzucić na Maguę i niechby walka na śmierć i życie zadecydowała o ich losie. Nie miał jednak przy sobie broni, nie wiedział, czy za Maguą nie idą inni Huroni, a poza tym odpowiadał za los kobiety, która była mu teraz droższa nad wszystko w świecie. Szybko poniechał więc tego rozpaczliwego zamiaru.

— Po coś tu wszedł?'— zapytała Alicja, łagodnie składając ręce na piersi i z wielkim wysiłkiem próbując ukryć śmiertelną obawę o Heywarda pod maską obojętności.

Twarz triumfującego Indianina przybrała znów wyraz okrucieństwa, ale przezornie cofnął się przed gniewem i groźnym spojrzeniem Duncana. Przez chwilę uparcie przyglądał się swym jeńcom, potem odszedł na bok i ciężkim klocem zabarykadował drzwi, ale nie te, przez które wszedł Duncan. Teraz Duncan zrozumiał, w jaki sposób go zaskoczono.

Pomyślał; że nadeszła ostatnia godzina, przycisnął do siebie Alicję i spokojnie czekał na śmierć, której u boku ukochanej kobiety wcale się nie lękał. Magua nie myślał jednak o natychmiastowej zemście. Przede wszystkim chciał uniemożliwić ucieczkę swemu nowemu jeńcowi. Nie raczył nawet spojrzeć po raz drugi na nieruchome postacie pośrodku groty, dopóki nie odebrał swym jeńcom nadziei ucieczki przez drzwi, którymi sam wszedł. Heyward śmiało przycisnął do serca wątłą Alicję i obserwował każdy ruch Maguy. Sytuacja była beznadziejna, a duma nie pozwalała mu błagać o łaskę wroga, którego już tyle razy pokonał. Magua zagrodziwszy drzwi podszedł do jeńców i powiedział po angielsku:

— Blade twarze potrafią łowić chytre bobry, ale czerwonoskórzy wiedzą, jak się łowi Anglików.

— Huronie, możesz nas zabić! — krzyknął wzburzony Heyward zapominając, że naraża nie tylko własne życie. — ale wiedz, że gardzę tobą i twą zemstą.

— Czy blada twarz powtórzy to, gdy go przywiążemy do słupa? — zapytał Magua, a ironiczny uśmiech świadczył że nie wierzy w hart ducha Heywarda.

— Mówię ci to w oczy i powtórzę przed całym plemieniem.

— Przebiegły Lis jest wielkim wodzem — odrzekł Indianin. — Pójdzie teraz i sprowadzi swych młodych wojowników, by zobaczyć, jak blada twarz drwić sobie będzie z tortur.

Mówiąc to odwrócił się i już miał wyjść przejściem, przez które wszedł Duncan, gdy powstrzymało go groźne mruczenie. W drzwiach ukazał się niedźwiedź i siadł na progu, kołysząc się

z boku na bok, jak zwykły czynić te zwierzęta. Magua, podobnie jak ojciec chorej kobiety, uważnie przyjrzał mu się, jakby się chciał przekonać, co to za niedźwiedź. Był wolny od naiwnych przesądów Huronów, gdy więc poznał dobrze mu znane przebranie, chciał pogardliwie wyminąć czarownika, ale głośne i coraz groźniejsze mruczenie znów go zatrzymało. Po chwili jednak widocznie dość już miał żartów i śmiało ruszył naprzód. Zwierzę, które posunęło się parę kroków, teraz wolno się cofnęło, a gdy stanęło w wejściu, wspięło się na tylne łapy wymachując w powietrzu przednimi, tak jak to robią prawdziwe niedźwiedzie.

— Głupi! — krzyknął Przebiegły Lis w narzeczu Huronów. — Idź bawić się z kobietami i dziećmi. Nie przeszkadzaj mężczyznom.

I znów chciał wyminąć czarownika, nawet nie udając, że grozi mu nożem czy tomahawkiem, które miał u pasa. Nagle zwierzę wyciągnęło ramiona, a raczej łapy i zamknęło go w uścisku, który mógłby się zmierzyć ze słynnym uściskiem niedźwiedzia. Heyward z zapartym oddechem przyglądał się ruchom Sokolego Oka. Wypuścił Alicję z objęć, odwinął rzemień z jakiegoś tłumoka i gdy zobaczył, że Magua w żelaznym uścisku zwiadowcy nie może ruszyć rękami, skoczył naprzód i mocno go skrępował. W mgnieniu oka, nie żałując rzemienia, spętał mu ręce i nogi. Kiedy straszny Huron był już związany, zwiadowca puścił go, a Duncan ułożył bezbronnego i nieszkodliwego na wznak. Magua, zaskoczony tą napaścią, szamotał się zaciekle,.' póki się nie przekonał, że wpadł w ręce człowieka silniejszego od siebie. Lecz kiedy Sokole Oko, chcąc jak najprościej wszystko wyjaśnić, zdjął kosmaty łeb i ukazał swe surowe i poważne oblicze, Magua stracił swój filozoficzny spokój i krzyknął:

— Hugh!

— A więc odzyskałeś mowę — powiedział na to jego niewzruszony zwycięzca. — A teraz zatkam ci gębę, byś jej nie wykorzystał na naszą zgubę.

I nie tracąc ani chwili wprowadził w czyn swe słowa. Gdy zakneblował usta Indianinowi, śmiało mógł go uważać za „niezdolnego do boju”.

— Którędy wszedł ten diabeł? — zapytał niestrudzony zwiadowca, gdy już unieszkodliwił Maguę. — Żywa dusza nie przeszła koło mnie od chwili, gdyśmy się rozstali.

Duncan wskazał na drzwi, przez które wszedł Magua i przez które teraz trudno byłoby szybko uciec.

— Bierz pan czym prędzej młodą panią pod rękę — powiedział zwiadowca — musimy natychmiast wydostać się drugim wyjściem i uciec do lasu.

— To niemożliwe — odrzekł Duncan. — Strach ją sparaliżował. Alicjo, moje kochanie, moja jedyna Alicjo, zbierz siły, musimy uciekać. Na próżno! Słyszy, ale nie może się ruszyć. Uciekaj, szlachetny przyjacielu. Ratuj się i nie zważaj na mnie.

— Każdy ślad ma swój koniec, a każde nieszczęście czegoś uczy —odrzekł zwiadowca. — Masz, owiń ją pan w strój indiański. Dobrze ukryj jej delikatne kształty. Nie, nie, tak, ta stopa nie ma sobie równej w całej puszczy. Zdradzi ją. Owiń ją całą, ze wszystkich stron. Proszę teraz wziąć panią na ręce i iść za mną. Resztę biorę na siebie.

Duncan, jak się czytelnik domyślił ze słów zwiadowcy, usłuchał go i wziąwszy wątłą Alicję na ręce, ruszył za nim. Przy obłąkanej Indiance nadal nikogo nie było, szybko więc przeszli obok niej i skalnym korytarzem przedostali się do wyjścia. Już przed drzwiami usłyszeli gwar licznych głosów. Widocznie przyjaciele i krewni chorej zebrali się przed grotą i cierpliwie czekali, aż będą mogli wejść do środka.

— Jeśli ja się do nich odezwę — szepnął Sokole Oko — łotry poznają,po angielszczyźnie, tym prawdziwym języku białych, że jestem wrogiem. A więc musi pan, majorze, powiedzieć im w swoim żargonie, że zamknęliśmy ducha w pieczarze, a kobietę zabieramy do lasu, by ją wzmocnić ziołami. Niech pan użyje całej swej chytrości. W podobnych wypadkach jest to dozwolone.

Zwiadowca przerwał, bo ktoś z zewnątrz uchylił drzwi, jakby nasłuchiwał, co się dzieje w pieczarze. Gniewnym pomrukiem odpędził więc intruza, śmiało pchnął drzwi, otwarł je na oścież i wyszedł kołyszącym się krokiem niedźwiedzia. Duncan deptał mu po piętach i tak weszli w sam środek grupki dwudziestu zatroskanych krewnych i przyjaciół obłąkanej.

Gromadka rozstąpiła się, przepuszczając naprzód ojca chorej i jednego z mężczyzn, prawdopodobnie męża.

— Czy mój brat wypędził złego ducha? — zapytał pierwszy z nich. — Co niesie na rękach?

— Twoją córkę — z powagą odparł Duncan. — Choroba już z niej wyszła, zamknąłem ją w skałach. A kobietę zaniosę gdzieś dalej od tego miejsca, wzmocnię jej siły i ustrzegę przed nowym atakiem. Przyjdzie do chaty młodego wojownika, gdy słońce powróci.

Ogólny szmer zadowolenia powitał te słowa, gdy stary Indianin przetłumaczył je na język huroński. Wódz zaś ruchem ręki kazał Heywardowi iść dalej i powiedział pewnym siebie, wyniosłym tonem:

— Idź. Jestem mężczyzną, wejdę do pieczary i zabiję złego ducha.

Heyward, który chętnie usłuchał i już minął gromadkę Indian, na te słowa stanął jak wryty.

— Czy mój brat oszalał!? — zawołał. — Czy nie zna litości? Chce spotkać się ze złym duchem, który zaraz w niego wejdzie! A może wódz wypuści go z pieczary, by dopadł jego córki w puszczy? Nie! Niech moje dzieci czekają przed wejściem i gdy duch się zjawi, pałkami zatłuką go na śmierć. On jest chytry i skryje się w głębi góry, gdy zobaczy, ilu ma dzielnych wrogów.

To niezwykłe ostrzeżenie poskutkowało. Zamiast wejść do pieczary, ojciec chorej i jej mąż wyciągnęli tomahawki i stanęli gotowi do walki z urojonym dręczycielem córki i żony. Kobiety i dzieci w tych samych zamiarach łamały gałęzie i zbierały odłamki skał. Fałszywi czarodzieje wykorzystali to i zniknęli.

Sokole Oko liczył wprawdzie na potęgę ciemnoty, ale wiedział, że najmądrzejsi z wodzów plemienia nie ulegają

zabobonom i ledwie je tolerują. Każda minuta była droga, bo choć udało mu się zwieść wrogów, to jednak najmniejsze podejrzenie chytrych Indian mogło przynieść zgubę całej trójce. Wszedł więc na ciemną ścieżkę wiodącą skrajem wsi. W gasnącym blasku ognisk wciąż jeszcze widać było Huronów, włóczących się od chaty do chaty. Dzieci jednak już się przestały bawić i ułożyły się do snu na posłaniach ze skór, a podniecenie i zgiełk wieczoru, obfitującego w ważne wypadki, powoli ustępowały przed nocną ciszą.

W świeżym, orzeźwiającym powietrzu leśnym Alicja oprzytomniała, a że zasłabła z braku sił fizycznych i nie doznała psychicznego wstrząsu, nie trzeba jej było tłumaczyć, co się stało.

— Teraz pozwólcie mi iść — powiedziała, kiedy weszli do lasu, i choć nikt nie mógł tego widzieć; zarumieniła się ze wstydu, że tak długo pozwoliła się nieść Duncanowi. — Naprawdę, już odzyskałam siły.

— Nie, Alicjo, jesteś jeszcze za słaba.

Dziewczyna delikatnie spróbowała uwolnić się z objęć Heywarda, musiał więc rozstać się ze swym ciężarem. Przedstawiciel świata niedźwiedzi zupełnie nie znał, rozkosznych uczuć kochanka niosącego w ramionach skarb swego serca. Obcy mu był również szczery wstyd drżącej z przejęcia Alicji. Kiedy odszedł już dość daleko od wsi, zatrzymał się i począł mówić o sprawach, w których orientował się jak nikt inny.

— Tą ścieżką dojdziecie do strumienia — powiedział, — Idźcie jego północnym brzegiem, aż dojdziecie do wodospadu. Wtedy wejdźcie na górę po prawej ręce. Stamtąd zobaczycie ognie sąsiedniego plemienia. Udacie się tam i poprosicie o opiekę. Jeśli są prawdziwymi Delawarami, będziecie bezpieczni. Z tak delikatnym kwiatuszkiem nie można uciekać dalej. Huroni poszliby naszym śladem i zdjęli nam skalpy, nimbyśmy uszli tuzin mil. Idźcie. Niech Bóg was prowadzi.

— A pan? — zapytał zdumiony Heyward. — Chyba się nie rozstaniemy?

— Huroni mają w swych rękach chlubę Delawarów. Ostatni z wielkiego rodu Mohikanów jest w ich mocy — odparł zwiadowca. — Postaram się go uratować. Gdyby zdjęli panu skalp, majorze, za każdy jego włosek padłby jeden łotr, jak to przyrzekłem. Ale jeśli przywiążą do słupa tortur młodego wodza, zobaczą, jak umiera czystej krwi biały.

Duncan wcale się nie obraził, że dzielny zwiadowca wyżej od niego ceni sobie tego, którego mógł uważać za swego przybranego syna. Starał się odwieść go od szaleńczego planu wszelkimi argumentami, jakie mu przyszły na myśl.

Alicja sekundowała mu dzielnie i łącząc swe prośby do jego nalegań, błagała zwiadowcę, by poniechał niebezpiecznego, niemal beznadziejnego planu. Ale daremnie tracili słowa i szukali argumentów. Zwiadowca słuchał uważnie, lecz niecierpliwie. Wreszcie przerwał im i otwarcie oświadczył Heywardowi, że na darmo traci czas, a ton, jakim to powiedział, zamknął Alicji usta.

— Słyszałem — mówił — że młodego mężczyznę i młodą kobietę łączy czasem uczucie silniejsze niż miłość ojca do syna. To może się zdarzyć. Rzadko bywałem tam, gdzie mogłem spotkać kobietę mego koloru, ale w osiedlach takie naturalne skłonności są zupełnie możliwe. Pan rzucił na szalę życie i wszystko, co panu drogie, by uratować panią. Sądzę, że na dnie tego leży właśnie to uczucie, o którym wspomniałem. Tego chłopca ja uczyłem strzelać, a on mi się za to dobrze odwdzięczył. W niejednej krwawej potyczce stał u mego boku i dopóki jednym uchem słyszałem huk jego strzelby, a drugim — strzelby jego ojca, byłem pewny, że nikt mnie nie zajdzie z tyłu. Zimą czy latem, w nocy i we dnie razem przemierzaliśmy puszczę. Jedliśmy to samo, a spali czuwając na zmianę. I zanim ludzie powiedzą, że Unkasa torturowano, kiedy ja byłem niedaleko… Biali i czerwonoskórzy, jednego mamy Pana i Jego biorę na świadka, że prędzej uczciwość zniknie z oblicza ziemi, a Postrach Zwierząt zamieni się w nieszkodliwą fujarkę psalmisty, nim młody Mohikanin zginie opuszczony przez przyjaciela.

Duncan puścił rękę zwiadowcy, który odwrócił się i zdecydowanym krokiem poszedł w kierunku wsi Huronów. Alicja i Heyward, szczęśliwi, choć smutni, przez chwilę jeszcze patrzyli za niknącą w mroku postacią Sokolego Oka, a później ruszyli razem ku odległemu obozowisku Delawarów.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Spodek:
*Pozwól, niech zagram także rolą lwa.*

”Sen nocy letniej”

Sokole Oko, mimo że był gotów ratować Unkasa, jasno widział trudności i niebezpieczeństwa tego przedsięwzięcia. Po drodze wytężał więc swój bystry i doświadczony umysł, zastanawiając się, jakby tu uśpić czujność i wywieść w pole wroga, który chytrością mu dorównywał. Magua i czarodziej zawdzięczali życie tylko temu, że zwiadowca był białym. Byłby bowiem ich zabił dla własnego bezpieczeństwa, gdyby nie uważał, że podobny postępek, choć zgodny z etyką Indian, hańbi człowieka, który szczyci się swą czystą krwią. Zaufał więc łykom i więzom, którymi skrępował jeńców, i podążał w sam środek wsi.

Kiedy już doszedł do zabudowań, począł iść ostrożniej, a jego bacznym oczom nie uszedł najmniejszy szczegół, przyjazny mu lub wrogi. Na skraju osady, nieco wysunięta naprzód, stała opuszczona chata, jakby porzucona w połowie budowy, pewnie dla jakichś zasadniczych braków: budulca lub wody. Jednakże słabe światełko, przeciekające przez szczeliny w ścianach, świadczyło, że ktoś zamieszkuje tę nie dokończoną budowlę. Tam więc zmierzał zwiadowca, niby przezorny wódz, który chce „opukać” wysunięte pozycje wroga przed generalnym natarciem.

Sokole Oko opadł na czworaki jak prawdziwy niedźwiedź i przysunął się do małego otworu, przez który mógł dojrzeć wnętrze chaty. Okazało się, że służy ona za schronienie Dawidowi. Mieściła nie tylko jego osobę, ale i wszystkie jego zmartwienia, obawy i nieśmiałą ufność w opiekę Opatrzności. Kiedy zwiadowca przez szczelinę w ścianie patrzył na Dawida, ten właśnie rozmyślał o nim, to znaczy o niedźwiedziu.

Dawid ślepo wierzył w cuda biblijne, ale pozwalał sobie wątpić w bezpośredni wpływ sił nadprzyrodzonych na życie współczesne. Innymi słowy, ślepo wierząc, że kiedyś oślica Balaama mówiła, wątpił, że niedźwiedź mógł dzisiaj śpiewać. A jednak przekonał się o tym na/własne wprawne uszy. W wyglądzie Dawida było coś co wskazywało, że przeżywa rozterkę duchową; siedział na pęku chrustu, z którego co pewien czas wydzierał parę gałązek dla podsycenia wątłego ognia, a głowę wsparł na ręku jak człowiek zatopiony w smętnej zadumie. Ubrany był w ten sam strój co przedtem i tylko nakrył łysiejącą głowę swym starym filcowym kapeluszem, tak nieponętnym, że nie wzbudził pożądania W żadnym Indianinie.

Sprytny zwiadowca pamiętał, że Dawid jak szalony uciekł od chorej kobiety, i domyślał się, co było powodem jego obecnej głębokiej zadumy. Obszedł więc chatę i stwierdził, że stoi na uboczu. Wiedząc, iż osoba mieszkańca chroni chatę od niepożądanej wizyty, śmiało wszedł do środka i stanął przed Gamutem. Kiedy usiadł, oddzielony od Gamuta tylko ogniskiem, długo przyglądali się sobie w milczeniu. Nagłe pojawienie się osobliwego zwierza, jeśli nawet nie zachwiało poglądu Dawida na świat, to w każdym razie osłabiło jego ducha. Po omacku poszukał więc swej fujarki i wstał z niejasnym zamiarem wypróbowania muzycznych egzorcyzmów.

— Tajemniczy i zagadkowy zwierzu! — zawołał, drżącymi rękami wkładając okulary i szukając tomiku z przekładami psalmów, tej niezawodnej podpory we wszystkich zmartwieniach i nieszczęściach. — Nie wiem ani kim jesteś, ani po co tu przychodzisz, ale jeżeli zamyślasz coś złego przeciw

osobie lub zdrowiu jednego z najpokorniejszych sług kościoła, wysłuchaj wzniosłych słów izraelskiego młodzieńca i drżyj.

Niedźwiedź potrząsnął kosmatym cielskiem i odpowiedział głosem dobrze znanym psalmiście:

— Odłóż tę piskliwą broń i nie krzycz. Pięć jasnych słów w zrozumiałym języku warte jest teraz więcej niż godzina zdzierania gardła.

— Kimże jesteś?— zapytał Dawid tak oszołomiony, że niezdolny do śpiewu i na pół żywy ze strachu.

— Takim samym człowiekiem jak ty. Kimś, kto też nie ma w żyłach ani kropli niedźwiedziej czy indiańskiej krwi.

Czyś już zapomniał, kto ci dał ten zwariowany instrument, który trzymasz w ręku?

— Czy to możliwe? — odparł Dawid oddychając coraz spokojniej, w miarę jak mu świtało w głowie. — Podczas mego pobytu u pogan widziałem wiele dziwów, ale ten przeszedł wszystko.

— Popatrz — rzekł Sokole Oko ukazując swe zacne oblicze, by rozwiać resztki wątpliwości psalmisty — a ujrzysz skórę wprawdzie nie tak białą jak u naszych pań, lecz zaczerwienioną tylko przez wiatr i słońce na niebie. A teraz — do rzeczy.

— Najprzód niech mi pan powie, co się stało z dziewczyną i młodzieńcem, który tak dzielnie jej szukał — przerwał mu Dawid.

— Na szczęście tomahawki tych łajdaków już im nie grożą. Ale czy możesz mnie naprowadzić na ślad Unkasa?

— Związano go i boję się, że jego los jest już przypieczętowany. Szczerze boleję, że człowiek z gruntu tak dobry umrze w nieświadomości, i już znalazłem odpowiednią pieśń…

— Czy możesz mnie zaprowadzić do niego?

— Nie będzie to trudne — wahając się odparł Dawid. — Ale pańska obecność może tylko zwiększyć jego cierpienie.

— Dość gadania, prowadź.

Sokole Oko znów ukrył głowę pod łbem niedźwiedzia i pierwszy wyszedł z chaty.

Po drodze dowiedział się, że Dawid dostęp do Unkasa zawdzięczał swemu rzekomemu szaleństwu i sympatii jednego ze strażników, znającego parę angielskich słów, którego usiłował nawrócić. Nie wiadomo, czy Huron dobrze się orientował, o co chodzi jego nowemu przyjacielowi. Ale człowiekowi dzikiemu, nie mniej niż cywilizowanemu, pochlebia, gdy mu się okazuje względy, Huron był więc przychylny Dawidowi. Nie będziemy się rozwodzili nad sposobami, jakich użył zwiadowca, by wydobyć tę garść wiadomości od prostodusznego Dawida. Nie będziemy też zatrzymywali się nad wskazówkami, jakie mu dał, gdy się już wszystkiego dowiedział. Okaże się to jasno w dalszym ciągu naszego opowiadania.

Unkasa uwięziono w chacie stojącej w samym środku wsi. Wejść tam czy wyjść niepostrzeżenie było trudniej niż do jakiejkolwiek innej chaty. Ale Sokole Oko bynajmniej nie zamierzał się ukrywać. Liczył na swoje przebranie i umiejętność udawania niedźwiedzia. Dlatego zupełnie otwarcie ruszył wprost do chaty. Trzeba przyznać, że choć gardził osłoną ciemności, noc mu jej udzieliła. Chłopcy hurońscy już twardo spali, kobiety i wojownicy powrócili do domów. Tylko czterech czy pięciu wojowników stojąc przed więzieniem pilnowało Unkasa i nie spuszczało z oka chaty.

Gdy ujrzeli Gamuta idącego z ich najwybitniejszym czarownikiem, którego poznali po przebraniu, rozstąpili się i bez wahania ich przepuścili. Ale, niestety, wcale nie mieli ochoty odejść. Najwidoczniej zaciekawiły ich tajemnicze czary, jakich spodziewali się po tak niezwykłej wizycie.

Zwiadowca nie mógł porozumieć się z Huronami w ich rodzinnym języku, musiał więc zdać się na Dawida, który mimo swej dobroduszności wybornie skorzystał z udzielonej mu nauki i nawet przeszedł najśmielsze oczekiwania swego mistrza.

— Delawarzy to baby! — wołał zwracając się do dzikiego, który jako tako rozumiał po angielsku. — Jengizi, moi szaleni rodacy, kazali im porwać za tomahawki i uderzyć na ich ojców

w Kanadzie, a oni zapomnieli, że są mężczyznami. Czy mój brat chce usłyszeć, jak Rączy Jeleń poprosi o spódnicę, i ujrzeć, jak będzie płakał przed Huronami?

Oznaczający zgodę okrzyk „hugh!", wydany stanowczym tonem, świadczył o zadowoleniu, z jakim dziki będzie patrzył na hańbę wroga, którego tak nienawidził i tak się bał.

— Rozstąpcie się tedy, a czarodziej chuchnie na tego przeklętego psa. Powtórz to mym braciom.

Huron przetłumaczył słowa Dawida swym towarzyszom. Wysłuchali go z prawdziwą radością. Można się było tego spodziewać po ich niepohamowanych temperamentach i zamiłowaniu do okrucieństwa. Cofnęli się nieco i gestami zaprosili samozwańczego czarodzieja, by wszedł. Ale niedźwiedź, zamiast usłuchać, siedział, jak usiadł, i tylko mruczał.

— Czarodziej boi się, że swym oddechem może dotknąć moich braci i pozbawić ich odwagi — powiedział Dawid na znak zwiadowcy, — Cofnijcie się więc jak najdalej.

Huroni z obawy przed największym nieszczęściem, jakie mogłoby ich spotkać, cofnęli się zwartą gromadką i stanęli w miejscu, z którego nie mogli nic usłyszeć, ale widzieli wejście do chaty. Wówczas zwiadowca, jakby spokojny o ich bezpieczeństwo, wstał i wolno wszedł do środka. W chacie panowała cisza i mrok, bo więzień był sam, a za światło służyło jedynie dogasające ognisko, na którym przedtem gotowano strawę.

Unkas, bezlitośnie skrępowany, na pół siedział na pół leżał w kącie. Mocne, wrzynające się w ciało pęta krepowały mu ręce i nogi. Kiedy straszny niedźwiedź stanął przed nim, nawet na niego nie spojrzał. Zwiadowca zaś, który pozostawił Dawida na straży przy drzwiach, nie chciał się zdradzić, dopóki się nie przekona, że są sami. Zamiast więc odezwać się do jeńca, dalej grał rolę niedźwiedzia naśladując jego ruchy i figle. Ale młody Mohikanin, choć W pierwszej chwili uwierzył, że Huroni wpędzili do chaty prawdziwe zwierzę, by go wystawić na próbę, dostrzegł w zachowaniu niedźwiedzia, tak naturalnym dla

Heywarda, pewne błędy. Sokole Oko na szczęście nie wiedział, że Unkas, zręczniejszy od niego imitator zwierząt, nisko szacował jego dar naśladowania, bo inaczej, na przekór przyjacielowi, przedłużyłby całą scenę. Ale pogardliwa mina młodego Mohikanina pozwalała zwiadowcy tkwić w błędzie, co oszczędziło jego ambicję. Gdy po chwili Gamut dał umówiony znak, niedźwiedź przesiał mruczeć i nagle syknął jak wąż.

Unkas opierał się plecami o ścianę. Oczy miał zamknięte, jakby chciał się uwolnić od przykrego widoku, którym pogardzał. Ale gdy usłyszał syk węża, wyprostował się, rzucił spojrzenie na boki, schylił głowę i raz jeszcze rozejrzał się wkoło, aż w końcu jego bystry wzrok spoczął na kosmatym potworze. Wpatrywał się w niego jak urzeczony, gdy zwierzę syknęło po raz drugi. Unkas raz jeszcze uważnie się rozejrzał i patrząc na niedźwiedzia powiedział głębokim, ściszonym głosem:

— Sokole Oko.

— Przetnij więzy — rzekł zwiadowca do Dawida, który właśnie podszedł do nich.

Dawid usłuchał i uwolnił z pęt ręce i nogi Unkasa. W tej chwili dał się słyszeć szelest spadającej skóry niedźwiedzia i zwiadowca wynurzył się z niej w całej okazałości. Mohikanin odgadł zamiary przyjaciela, ale ani słowem, ani najmniejszym skrzywieniem twarzy nie zdradził zdziwienia.

Sokole Oko po rozluźnieniu kilku rzemieni uwolnił się od swego przebrania, wydobył długi, błyszczący nóż i podał go Unkasowi.

— Huroni są za drzwiami — powiedział. — Bądźmy gotowi.

I wymownym ruchem dotknął ręką drugiego noża.. Oba zdobył ubiegłego wieczoru na wrogach.

— Chodźmy — powiedział Unkas.

— Dokąd?

— Do żółwi. Są dziećmi moich praojców.

— Tak, chłopcze — powiedział zwiadowca po angielsku, bo tym językiem chętnie mówił, gdy umysł miał czymś zaprzątnięty — wierzę, że ta sama krew płynie w twoich żyłach,

ale czas i odległość nieco zmieniły jej kolor. Co zrobimy z tymi Mingami, którzy cię pilnują? Jest ich sześciu, a na psalmistę nie można liczyć.

— Huroni to pyszałki — pogardliwie odparł Unkas. — Ich totem to łoś, a biegają jak ślimaki. Delawarzy zaś, choć są dziećmi żółwia, potrafią prześcignąć jelenia.

— Tak, chłopcze, prawdę mówisz. Nie wątpię, że w biegu prześcigniesz każdego, a w zawodach na dwie mile do wsi Delawarów przyjdziesz nie tylko pierwszy, ale i zdążysz odsapnąć, zanim któryś z tych zbirów znajdzie się na odległość głosu od mety. Ale biały sprawniej włada rękami niż nogami. Ja na przykład potrafię rozpłatać Huronowi głowę nie gorzej niż kto inny, ale w wyścigu nie dam rady tym łajdakom.

Unkas, który doszedł już do drzwi, cofnął się w głąb chaty. Sokole Oko, zamyślony, nie zauważył tego ruchu i mówił dalej, raczej do siebie niż do towarzyszy.

— Nie można jednak — ciągnął — uzależniać życia jednego człowieka od talentów drugiego. A więc, Unkasie, lepiej zrobisz puszczając się co sił do lasu, a ja znów nałożę skórę niedźwiedzia i odwołam się do chytrości, skoro zawodzą mnie nogi.

Młody Mohikanin nie odpowiedział. Spokojnie skrzyżował ręce na piersi i oparł się o jeden ze słupów podtrzymujących dach chaty.

— No cóż? — zapytał zwiadowca patrząc na młodego Indianina. — Czemu zwlekasz? Będę miał dość czasu, bo te nicponie najpierw pogonią za tobą.

— Unkas zostanie — spokojnie odparł Mohikanin.

— Po co?

— By walczyć ramię w ramię z bratem swego ojca i umrzeć razem z przyjacielem Delawarów.

— Tak, chłopcze — odrzekł Sokole Oko ściskając Unkasa w swych żelaznych palcach. —Gdybyś mnie opuścił, postąpiłbyś jak Mingo, a nie jak Mohikanin. Jednak uważałem, że muszę ci to zaproponować, bo wiem, że młodzi kochają życie. No więc dobrze. Jeśli na wojnie nie można nic zdziałać odwagą, trzeba

się uciec do podstępu. Naciągnij na siebie skórę. Wierzę, że potrafisz udawać niedźwiedzia prawie tak dobrze jak ja.

Nie wiadomo, co myślał Unkas, ale jego poważna mina nie zdradziła pretensji do większej umiejętności naśladownictwa. Bez słowa zręcznie się przebrał i czekał na dalsze rozkazy swego starszego towarzysza.

— A pan, przyjacielu — mówił Sokole Oko zwracając się do Dawida — dobrze wyjdzie na zamianie stroju ze mną, bo skąpy strój dzikich nie bardzo ci odpowiada. Masz tu moją myśliwską koszulę i czapkę, a daj mi swoje okrycie i kapelusz. Musisz też dać mi twą książkę, okulary i piszczałkę, a gdy się spotkamy w lepszych czasach, odbierzesz je wraz z podziękowaniem za pożyczkę.

Łatwość, z jaką Dawid rozstał się z własnym dobytkiem, świadczyłaby o jego wspaniałomyślności, gdyby nie to, że pod wieloma względami korzystał na tej zamianie. Sokole Oko szybko przywidział pożyczony strój, a kiedy ukrył swe bystre oczy za szkłami okularów i włożył trójkątny kapelusz, przy świetle gwiazd łatwo można go było wziąć za psalmistę, tym bardziej że byli podobnego wzrostu. Gdy się już przebrali, zwiadowca zwrócił się do Dawida:

— Czy jest pan tchórzliwy? — zapytał wprost, by sobie jasno zdać sprawę z sytuacji, zanim pouczy Dawida, jak ma się zachowywać.

— Moje cele są pokojowe, a z natury, jak sądzę w pokorze ducha, jestem skłonny do miłowania bliźniego i do miłosierdzia — odparł Dawid urażony tym bezceremonialnym podaniem w wątpliwość jego męstwa; — Ale nikt nie może powiedzieć, żebym kiedykolwiek, nawet w najcięższych próbach, stracił ufność w Boga.

— Największe niebezpieczeństwo będzie panu groziło, kiedy Indianie odkryją, że ich oszukano. Jeżeli wówczas nie rozłupią ci głowy tomahawkiem, ocali cię upośledzenie umysłowe i spokojnie skonasz pan we własnym łóżku. Na to może pan liczyć. A więc, jeśli ma pan tu zostać, musi pan siąść w ciemnym kącie i udawać Unkasa, dopóki chytrzy Huroni nie odkryją

podstępu. Będzie to, jak już się rzekło, najniebezpieczniejsza chwila. A więc wybieraj: albo uciekasz, albo zostajesz.

— Oczywiście — stanowczym tonem odparł Dawid — zostanę na miejsca szlachetnego Delawara, który mężnie bronił mego życia. Chętnie uczyniłbym dla niego znacznie więcej.

— Są to słowa godne' mężczyzny i człowieka, który doszedłby do czegoś, gdyby nie jego głupie wykształcenie. Schyl pan głowę i podciągnij nogi, bo ich długość zdradziłaby cię przed czasem. I niech pan siedzi cicho, jak długo się da. A gdy już trzeba się będzie odezwać, od razu śpiewaj pan na całe gardło. Tak będzie najmądrzej, bo przypomni to Indianom, że brakuje ci piątej klepki. Ale jeżeli zdejmą ci skalp, w co wątpię, to pamiętaj, że ani Unkas, ani ja nie zapomnimy o twym bohaterskim czynie i pomścimy twą śmierć, jak wypada prawdziwym wojownikom i oddanym przyjaciołom.

— Stójcie! — krzyknął Dawid widząc, że Unkas i zwiadowca po tym zapewnieniu zabierają się do odejścia. — Jestem niegodnym i pokornym naśladowcą Tego, który zabraniał ludziom grzesznej zemsty. Jeżeli więc zginę, nie składajcie ofiar mym cieniom, lecz przebaczcie mordercom. Wspominajcie o nich tylko w waszych modlitwach, błagając Boga o zbawienie dusz i oświecenie umysłów.

Zwiadowca przystanął i zamyślił się.

— Jest to zasada odmienna od prawa puszczy — rzekł wreszcie — a jednak szlachetna i godna uwagi. — Westchnął głęboko, może po raz ostatni, z żalu za życiem cywilizowanym, z którym dawno się rozstał, i ciągnął dalej: — Osobiście, jako czystej krwi biały, rad bym się trzymać tej zasady, ale z Indianami nie zawsze można tak postępować jak z naszymi bliźnimi, chrześcijanami. Niechże ci Bóg błogosławi, przyjacielu. Sądzę, że jeśli wszystko dobrze się zważy i pomyśli o wieczności, to idziesz właściwym tropem, choć wiele zależy od usposobienia, a także od siły pokus.

Mówiąc to zawrócił i serdecznie uścisnął rękę Dawida. Po tym wylewie przyjaznych uczuć wyszedł z chaty wraz z nowym przedstawicielem niedźwiedziego rodu.

Pod czujnym spojrzeniem Huronów Sokole Oko wyprostował się, jak mógł, *i* wydłużył, naśladując niezgrabnego Dawida.

Wyciągnął ramię, jakby miał nim zaznaczać takt, i jął mruczeć jakieś słowa, które uważał za doskonałą imitację psalmów. Na szczęście dla ryzykownego planu miał do czynienia ze słuchaczami nie znającymi się na harmonii słodkich dźwięków, bo inaczej jego nieudolne, wysiłki prędko by się skończyły. Musieli wyminąć gromadkę dzikich i im bliżej nich byli, tym zwiadowca głośniej śpiewał. A gdy znaleźli się tuż obok, Huron mówiący po angielsku wyciągnął rękę i zatrzymał rzekomego Dawida.

— Czy ten pies delawarski boi się? — zapytał i pochylił się, jakby usiłował w ciemności odczytać wyraz twarzy rozmówcy. — Czy Huroni usłyszą jego jęki?

W tej chwili niedźwiedź ryknął tak dziko i naturalnie, że Huron opuścił rękę i odwrócił się, jakby chciał zobaczyć, czy toczący się koło niego potwór nie jest prawdziwym zwierzęciem. Sokole Oko, bojąc się, że głos go zdradzi, skorzystał z tego i wznowił swe muzykalne popisy, które w cywilizowanym społeczeństwie nazwano by „piekielną wrzawą". Lecz u jego słuchaczy zjednały mu one jeszcze większe poważanie, bo dzicy zawsze szanują ludzi, których uważają, za obłąkanych. Indianie cofnęli się i przepuścili rzekomego czarodzieja oraz jego uduchowionego pomocnika.

Unkas i zwiadowca musieli się zdobyć na niezwykły spokój, by z godnością i obojętnie przejść przez wieś. Było to tym trudniejsze, że wartownicy, nie mogąc opanować ciekawości, stłumili lęk i podeszli do chaty, by się przyjrzeć wynikowi czarów. Teraz jeden niezręczny lub nieostrożny ruch Dawida mógł zdradzić zbiegów, zwiadowca zaś potrzebował czasu, by bezpiecznie wyjść z wioski. Na dobitek głośne jego krzyki, a musiał je wydawać w swej nowej roli, ściągnęły do drzwi chat licznych gapiów. Parę razy zdarzyło się, że jakiś ponuro wyglądający wojownik z podejrzliwości czy pod wpływem zabobonu zagrodził drogę zbiegom. Na szczęście żaden ich nie zatrzymał, a noc i zimna krew sprzyjały ucieczce.

Już wyszli ze wsi i szybko zbliżali się do zbawczej puszczy, gdy głośny i przeciągły krzyk doleciał ich z niedawnego więzienia Unkasa. Młody Mohikanin wyprostował się, potrząsnął kudłami, jakby był prawdziwym niedźwiedziem, i gotował się do rozpaczliwej walki.

— Czekaj,— powiedział zwiadowca łapiąc go za ramię. — Tym razem był to tylko okrzyk zdziwienia.

Ale nie czekali długo, bo zaraz wściekłe krzyki wstrząsnęły powietrzem i przeleciały przez wieś. Unkas zrzucił z siebie skórę niedźwiedzia i szedł dalej już jako piękny i zgrabny młodzieniec. Po chwili Sokole Oko lekko trącił go w ramię i wysunął się naprzód.

— Teraz to diabelskie plemię może wpaść na nasz ślad — powiedział i wyciągnął spod krzaka dwie strzelby, kule i proch. Wymachując Postrachem Zwierząt wręczył Unkasowi jego broń. — Co najmniej dwóch znajdzie nasz ślad na swoją zgubę.

I z lufami opuszczonymi w dół, jak myśliwi tropiący zwierza, ruszyli przed siebie. Wkrótce zniknęli w mroku puszczy.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Antoniusz:
*Tego nie zapomnę*
*Cezar rozkazał, rozkaz wykonany.*

”Juliusz Cezar”

Jak widzimy, ciekawość dzikich pilnujących Unkasa przemogła strach przed tchnieniem czarodzieja. Ostrożnie, z bijącym sercem przysunęli się do szczeliny w ścianie, przez którą przeświecał blask ognia. Dość długo brali Dawida za swego jeńca, lecz w końcu sprawdziły się przewidywania zwiadowcy. Dawid zmęczony podkurczaniem swych długich nóg, powoli je prostował, aż wreszcie jedną z nich dotknął tlejących głowni i bezwiednie przesunął je na bok. Huroni początkowo wierzyli, że to czary tak zmieniły Delawara. Ale kiedy Dawid, nie wiedząc, że jest obserwowany, odwrócił głowę, ujrzeli zamiast dumnych rysów Unkasa dobroduszną i łagodną twarz psalmisty. Teraz nawet naiwni dzicy nie mogli mieć złudzeń. Tłumnie wpadli do chaty, poczęli brutalnie szarpać jeńca i od razu wykryli oszustwo. Wtedy to podnieśli pierwszy wrzask usłyszany przez zbiegów. Wtedy też pałając żądzą zemsty potrząsali bronią i grozili Dawidowi. Ale Dawid się nie załamał, wiernie trwał przy decyzji osłaniania zbiegów, choć lada chwila mógł zginąć. Pozbawiony swej książeczki i fujarki musiał sięgnąć do pamięci, która w tych sprawach rzadko go

zawodziła. Pełnym głosem, z przejęciem zaintonował hymn żałobny, który miał ułatwić mu przeniesienie się do wieczności, To w porę przypomniało Indianom o jego upośledzeniu. Wybiegli więc z chaty i głośnym krzykiem zbudzili całą wieś Indiański wojownik śpi w pogotowiu bojowym. Zarówno bowiem na polu bitwy, jak kiedy śpi w swym wigwamie, strój jego jest jednakowo skąpy. Toteż ledwie przebrzmiał alarm, dwustu wojowników stało na nogach. Byli gotowi do walki i do pościgu.

Wkrótce dowiedzieli się o ucieczce jeńca. Całe plemię zebrało się przed chatą narad, niecierpliwie czekając rozkazu wodzów. Tam, gdzie były potrzebne najtęższe umysły, nie mogło się obyć bez Maguy. Nic więc dziwnego, że wymieniano jego imię i wszyscy rozglądali się wkoło, zdziwieni, że go nie ma. Niebawem wysłano po niego gońców, prosząc, by zaraz przybył.

Tymczasem polecono najszybszym i najbardziej sprytnym wojownikom, by zbadali skraj lasu otaczającego polanę. Huroni chcieli się przekonać, czy podejrzani sąsiedzi, Delawarzy, nie knują jakiegoś podstępu. W wiosce kobiety i dzieci miotały się jak szalone i — krótko mówiąc — znów zapanowało niezwykłe zamieszanie. Ale stopniowo wracał porządek, a niebawem starsi i najwybitniejsi wodzowie zebrali się na poważną naradę.

Wkrótce nowe okrzyki powitały powrót jednego z oddziałów wysłanych na zwiady. Przyniósł on wiadomość, która wyjaśniła zagadkę. Tłum przed chatą rozstąpił się i przepuścił kilku wojowników prowadzących nieszczęsnego czarownika, którego zwiadowca aż na tak długo pozbawił wolności.

Człowiek ten nie cieszył się zgodną opinią Huronów. Jedni wierzyli święcie w jego moc, inni uważali go za oszusta. Ale teraz wszyscy słuchali go z jednakową uwagą. Kiedy zaś czarownik skończył swą krótką historię, wystąpił ojciec obłąkanej Indianki i w paru zwięzłych słowach opowiedział, co go spotkało. Te dwa opowiadania nadały właściwy kierunek dalszym badaniom, które dzicy poprowadzili teraz ze zwykłą im przebiegłością.

Zamiast hurmem rzucić się do jaskini, wybrali dziesięciu najmądrzejszych i najodważniejszych wodzów do przeprowadzenia śledztwa na miejscu. A że czas naglił, wyznaczeni wodzowie natychmiast wstali i bez słowa wyszli, Przed drzwiami do pieczary młodsi z nich, którzy dotąd szli na przedzie, przepuścili starszych. Tak ruszyli naprzód i pewnym krokiem zagłębili się w niskim, ciemnym korytarzu, jak żołnierze gotowi na śmierć dla dobra ogółu. W głębi duszy jednak wątpili, czy naprawdę wypadnie im się spotkać ze złym duchem.

Pierwsza grota tonęła w ciszy i mroku. Obłąkana leżała na swym łożu, w dawnej pozycji, choć niektórzy z obecnych twierdzili, że widzieli, jak ją niósł do lasu rzekomy lekarz białych ludzi. Nic dziwnego, że wobec tak oczywistej sprzeczności z opowiadaniem starego Hurona wszyscy spojrzeli na niego podejrzliwie. Rozdrażniony tym niemym zarzutem kłamstwa i sam nie wiedząc, co się stało, stary wódz podszedł do łoża chorej, pochylił się i spojrzał jej w twarz, jakby nie wierzył oczom.

Jego córka leżała martwa.

Na ten widok miłość do dziecka wzięła górę nad innymi uczuciami i stary wódz z bólu zasłonił oczy. Lecz po chwili opanował się, spojrzał w twarz swym towarzyszom i wskazując na zwłoki powiedział w narzeczu Huronów:

— Żona mego młodego wojownika opuściła nas. Wielki Duch gniewa się na swe dzieci.

Tę smutną wiadomość przyjęto głębokim milczeniem. Po chwili jeden ze starszych wojowników właśnie chciał coś powiedzieć, kiedy jakiś ciemny przedmiot wytoczył się z przyległej groty na sam środek pieczary. Indianie cofnęli się ze strachu przed złymi mocami. Zdumieni patrzyli na tajemniczą postać, która zatrzymała się w świetle i wyprostowała. Ujrzeli wykrzywione grymasem, lecz jak zawsze okrutne i złe oblicze Maguy. Okrzykiem zdziwienia powitali Huroni to odkrycie.

Gdy zobaczyli, że ich wódz jest związany, błysnęły noże. W mgnieniu oka przecięto mu więzy na rękach i nogach. Magua

zerwał się i otrząsnął jak lew wstający z legowiska.

Bez słowa zacisnął dłoń na rękojeści noża i spojrzał spode łba na obecnych, jakby szukał kogoś, na kim mógłby wywrzeć pierwszą złość.

Na szczęście nie mógł dosięgnąć Unkasa, zwiadowcy a nawet Dawida, bo niewątpliwie zabiłby ich w pierwszym porywie gniewu. Nawet chęć poddania ich torturom nie powstrzymałaby go od tej zbrodni. Ale widząc wszędzie przyjazne twarze i nie mając na kim wywrzeć złości, zgrzytnął zębami jak stalowymi obcęgami i przełknął gniew. Wszyscy widzieli ten atak wściekłości i bali się odezwać, by jeszcze bardziej nie rozsierdzić wodza. Po chwili wszakże odezwał się najstarszy z Indian.

— Mój przyjaciel odnalazł wroga — powiedział. — Czy jest on blisko i Huroni będą mogli się zemścić?

— Zabijcie młodego Delawara! — grzmiącym głosem krzyknął Magua.

Po raz 'drugi zapadła długa i wymowna cisza. Znów w oględnych słowach przerwał ją ten sam Indianin.

— Mohikanin szybko biega i jest już daleko, ale moi młodzi wojownicy za nim gonią — powiedział.

— Uciekł? — zapytał Magua gardłowym głosem dobytym z głębi piersi.

— Zły duch wkradł się między nas i Delawarowi udało się oślepić nasze oczy.

— Zły duch! — szyderczo odparł Magua. — To ten duch, który śmiertelnie poraził tylu Huronów, zabił kilku moich młodych wojowników nad „grzmiącymi wodami”, zdarł skalpy z paru innych przy „życiodajnym źródle” i który teraz związał ręce Przebiegłemu Lisowi.

— O kim mój przyjaciel mówi?

— O podłym psie, który pod bladą skórą kryje serce i przebiegłość Hurona. O Długiej Strzelbie.

To groźne imię jak zwykle wstrząsnęło słuchaczami. Ale po namyśle, kiedy już zdali sobie sprawę, że ich straszny i śmiały wróg zdołał wedrzeć się do środka wsi i wyrządził im tyle złego,

ich osłupienie przeszło w szaloną wściekłość. Ogarnął ich ten sam obłędny gniew, który przed chwilą targał sercem Maguy. Jedni zgrzytali zębami, drudzy wyli z wściekłości, jeszcze inni w szale zadawali ciosy w powietrzu, jakby godzili w żywego człowieka. Ten wybuch namiętności tak samo nagle ucichł, jak się zaczął, i przeszedł w nieme i posępne zamyślenie, właściwe Indianom w chwili odprężenia.

Tymczasem Magua zdążył się zastanowić i opanować. Przybrał minę człowieka, który wie, co myśleć i jak postąpić w tak ważnej sprawie.

— Chodźmy do mego plemienia — powiedział. — Czeka na nas.

Indianie zgodzili się bez słowa. Wyszli z pieczary i wrócili do chaty narad. Kiedy usiedli, jak na komendę zwrócili oczy na Maguę, a on zrozumiał, że czekają na jego relację. Wstał więc i opowiedział całą historię szczerze, bez niedomówień.

Wyłożył jak na dłoni podstęp Duncana i Sokolego Oka. Nawet najbardziej zabobonni Indianie nie mogli już wierzyć w nadprzyrodzony charakter ostatnich wydarzeń. Było zupełnie jasne, że ich sromotnie i bezlitośnie wywiedziono w pole. Kiedy wreszcie Magua skończył i usiadł, wojownicy (zebrali się tutaj wszyscy) przez chwilę patrzyli na siebie w niemym zdumieniu nad czelnością i szczęściem swych wrogów. Potem poczęli zastanawiać się nad zemstą.

Wysłano jeszcze paru ludzi w pościg za zbiegami, a wodzowie w skupieniu dalej się naradzali. Starsi wojownicy kolejno występowali z różnymi planami, których Magua słuchał w milczeniu i z szacunkiem. Chytry Huron odzyskał już swą zwykłą przebiegłość i spokój. Teraz zmierzał do celu jak zawsze ostrożnie i zręcznie. Dopiero gdy wszyscy mówcy już się wypowiedzieli, zabrał głos, a jego słowa nabrały szczególnej wagi, bo w tym czasie powróciło kilku Indian przynosząc wieść, że jak wynika ze śladów, zbiegowie schronili się w obozowisku niepewnych sprzymierzeńców, Delawarów.

Magua wykorzystał tę ważną wiadomość i ostrożnie wyłożył swój plan. Jak można się było spodziewać po tak wymownym i

chytrym mówcy, jego plan przyjęto bez sprzeciwu. A plan ten, krótko mówiąc, był następujący:

Jak już wspomnieliśmy, Huroni zgodnie ze zwyczajem Indian, od którego prawie nigdy nie odstępowali, rozdzielili obie siostry zaraz po przyprowadzeniu ich do wsi. Magua szybko odkrył, że trzymając w ręku Alicję ma całkowitą władzę nad Korą. Kiedy więc siostry rozdzielono, młodszą zatrzymał we wsi Huronów, a starszą, o którą mu przede wszystkim chodziło, powierzył opiece sprzymierzonego plemienia, oczywiście tylko na jakiś czas. Szło mu o to, by z jednej strony okazać zaufanie i schlebić sąsiadom, a z drugiej — by nie uchybić indiańskim zwyczajom.

Magua, pożerany chęcią zemsty, wiecznie żywą u dzikich, wcale nie zapomniał o swych planach na dalszą przyszłość. Grzechy młodości i zdradę musiał okupić długą i upokarzającą skruchą, zanim odzyskał zaufanie plemienia, to zaufanie, bez którego Indianie nie uznają autorytetu. W tej trudnej i delikatnej sytuacji zręczny Magua zrobił wszystko, by zwiększyć swój wpływ. Jednym z najszczęśliwszych jego posunięć było zjednanie Huronom przychylności silnego i niebezpiecznego sąsiada. Owoce wysiłków Maguy nie zawiodły jego nadziei, Huroni bowiem wcale nie są wolni od pewnej istotnej cechy natury ludzkiej: szacowania samych siebie według oceny innych.

Składając te ofiary na ołtarzu ogółu, Magua ani na chwilę nie zapomniał o własnych celach. Lecz cóż z tego, skoro nieprzewidziany wypadek — ucieczka wszystkich jeńców — zniweczył jego plany. Teraz bowiem musiał prosić Delawarów o pomoc — wbrew swej dotychczasowej polityce zjednywania sobie ich względów.

Wielu wodzów przedstawiało szczegółowe, zdradzieckie plany zaskoczenia Delawarów, opanowania ich obozu i za jednym zamachem odebrania jeńców, Wszyscy godzili się bowiem, że ich honor, interes oraz spokój i szczęśliwość zmarłych Huronów wymagają niezwłocznego złożenia ofiar na ołtarzu zemsty. Magua bez trudu obalił te niebezpieczne i skazane na niepowodzenie plany. Ze zwykłą mu zręcznością

przedstawił związane z nimi ryzyko i wykazał ich błędy. Dopiero gdy przekonał przeciwników, przystąpił do wyłożenia swych planów.

Zaczął od tego, że pochlebił miłości własnej słuchaczy, co zawsze ściąga ich uwagę na słowa mówcy. Przytoczył różne wypadki, kiedy Huroni mężnie pomścili zniewagę. A potem rozpłynął się w pochwałach cnoty rozumu. Obrazowo opisał, jak dzięki tej cnocie bobry różnią się od innych zwierząt, te od człowieka, a Huroni — od reszty ludzi. Gdy już wyniósł pod niebiosa wartość rozumu, przystąpił do wyjaśnienia, jak należy go użyć w obecnej sytuacji. Mówił, że z jednej strony muszą pamiętać o wielkim białym ojcu, gubernatorze Kanady, który niechętnym okiem patrzy na Huronów od czasu, gdy ich tomahawki spłynęły krwią, z drugiej — o równie licznym plemieniu, niezbyt im przychylnym i obcym pod względem interesów i języka. Plemię Delawarów skwapliwie wykorzysta najbłahszy powód, by ściągnąć na nich gniew wielkiego białego wodza. Następnie wyliczył wszystkie ich pragnienia i bóle, mówił o nagrodach, jakich mogą się spodziewać za swe dawne zasługi, o tym, jak daleko pozostały ich łowieckie tereny i rodzinne wsie, i raz jeszcze przypomniał, że w tej przykrej sytuacji przede wszystkim należy się kierować rozumem, a nie namiętnościami. Ale kiedy spostrzegł, że tylko starzy wodzowie przyklaskują jego umiarkowaniu, a zapalczywi i wybitniejsi młodzi wojownicy niechętnie słuchają jego dyplomatycznych planów, co rychlej powrócił do ulubionego przez nich tematu. Otwarcie począł mówić o możliwości pełnego zwycięstwa, które śmiało nazwał owocem ich mądrości. Półsłówkami napomknął, że jeśli tylko będą postępować ostrożnie, wszystko się znakomicie uda, a ich znienawidzeni wrogowie zginą co do jednego, wem, tak pomieszał wojowniczość z chytrością, a jasne z ciemnym, że w rezultacie schlebił obu stronom i w każdym obudził nadzieję, choć nikt nie mógłby powiedzieć, iż dobrze zrozumiał, o co mu chodzi.

Mówca albo polityk, 'który potrafi wywołać podobny nastrój, zwykle cieszy się wielkim uznaniem współczesnych, chociaż

potomność może inaczej go sądzić. Każdy z Huronów uważał, że Magua ma jakąś ukrytą myśl, że rozmyślnie czegoś nie dopowiedział i że zgadza się z jego własnym życzeniem.

Nie należy się dziwić, że w tak sprzyjającej atmosferze Magua zwyciężył. Plemię zgodziło się działać z rozmysłem i jednogłośnie powierzyło kierownictwo całej sprawy wodzowi, który doradzał tak rozsądne i zrozumiałe postępowanie.

Magua osiągnął jeden zasadniczy cel wszystkich swych knowań. Całkowicie odzyskał utracone ongiś zaufanie i względy oraz wysunął się na czoło swego plemienia. W gruncie rzeczy stał się jego władcą i dopóki będzie popularny, dopóty będzie bardziej despotyczny od każdego monarchy, zwłaszcza w czasie pobytu plemienia w kraju nieprzyjacielskim. Odrzucił więc maskę doradcy i przybrał uroczystą minę wodza cieszącego się najwyższym autorytetem, co zapewniło mu jeszcze większe znaczenie.

Rozesłał gońców na wszystkie strony i kazał im zebrać wiadomości, zwiadowcom zaś polecił podejść pod obóz Delawarów i rozpoznać sytuację. Wojownikom kazał wrócić do chat i czekać w pogotowiu, a kobietom i dzieciom — rozejść się i siedzieć cicho. Po tych zarządzeniach przeszedł się przez wieś, wstąpił tu i tam, wszędzie, gdzie uważał, że jego odwiedziny pochlebią gospodarzom. Umocnił wiarę w przyjaciołach, przekonał chwiejnych i dogodził wszystkim. Potem wrócił do siebie. Jego żona, którą musiał porzucić, gdy go wygnano, umarła, a że dzieci nie miał, mieszkał samotnie w swej chacie, Była to ta sama odludna i na pół zrujnowana budowla, w której widzieliśmy Dawida; Pyszałkowaty Magua, gdy się spotykali, co się zresztą zdarzało rzadko, znosił go *z* pogardliwą 'wyższością.

Magua więc, gdy już dokonał swych chytrych zabiegów, wrócił do domu. Ale gdy inni spali, on nie szukał i nie zaznał odpoczynku. Ktoś, kto by zechciał obserwować tego nowoobranego wodza, przekonałby się, że od powrotu do domu aż do godziny, na którą wyznaczył nowe zebranie wojowników, siedział w kącie chaty zatopiony w myślach. Czasem płomień pełgający nad żarem ogniska, podsycony wiatrem, który wpadł

przez szczelinę w ścianie, chwiejnym blaskiem oświetlił ponurą postać samotnika. Wówczas łatwo było wziąć tego posępnego Indianina za księcia ciemności roztrząsającego swe urojone krzywdy i knującego nowe zbrodnie.

Na długo przed świtem do samotnej chaty Maguy poczęli pojedynczo schodzić się wojownicy, aż wreszcie zebrało ich się dwudziestu. Każdy miał ze sobą strzelbę i rynsztunek bojowy, choć pokrywały ich malowidła pokojowe. Dopóki wszyscy się nie zebrali, Magua zdawał się nie widzieć, jak wchodzili i siadali w cieniu lub stawali bez ruchu podobni do posągów.

Gdy już się zeszli, wstał, dał znak do wymarszu i poszedł przodem. Wojownicy szli za nim gęsiego, tak zwanym „indiańskim szykiem". W niczym nie przypominali zuchowatych żołnierzy: wymknęli się ze wsi cicho i niepostrzeżenie, podobni do duchów sunących bez szmeru, a nie do wojowników szukających głośnej sławy w śmiałych czynach.

Magua nie poszedł ścieżką wiodącą wprost do obozu Delawarów. Poprowadził swój oddział nad krętą rzeczką, a później wzdłuż stawu bobrów. Świtało już, gdy weszli na polanę wyciętą przez te mądre i pracowite zwierzęta. Magua przed wyjściem wdział swój dawny strój z wyprawionych skór z podobizną lisa. Jeden z wodzów miał na sobie ubiór ozdobiony rysunkiem bobra, którego wybrał sobie za totem.

Popełniłby swego rodzaju świętokradztwo, gdyby minął swój klan nie uczciwszy go jak należy. Przystanął więc i przemówił do bobrów tak uprzejmie i przyjaźnie, jakby się zwracał do ludzi. Nazywał je swymi braćmi i przypomniał im, że dzięki jego opiece nikt ich nie rusza, choć tylu chciwych kupców nalega na Indian, by je zabijali. Potem przyrzekł bobrom dalszą opiekę i żądał w zamian wdzięczności. Na zakończenie wyjaśnił, dokąd idzie, i delikatnie, półsłówkami napomknął, że wypadałoby, aby jego „bracia" użyczyli mu części mądrości, z jakiej słyną.

W czasie tej niezwykłej przemowy Huroni słuchali mówcy poważnie i z uwagą, jak gdyby w jego słowach nie widzieli nic

osobliwego. Parę razy wynurzył się z wody jakiś ciemny kształt. Huron widząc to wyraził radość, że nie mówi na próżno. A kiedy skończył, jakiś olbrzymi bóbr wytknął łeb z walącej się chatki, tak zrujnowanej, że Huroni uważali ją za opuszczoną.

Mówca wziął tę niezwykłą oznakę zaufania za nadzwyczaj szczęśliwą przepowiednię i mimo że zwierzę gwałtownie się cofnęło, rozpłynął się w podziękowaniach i pochwałach.

Wreszcie Magua uznał, że dość czasu poświęcono na zaspokojenie rodzinnych uczuć wojownika, i dał znak do dalszego marszu. Gdy Indianie odeszli tak cicho, że ucho zwykłego śmiertelnika nie złowiłoby najmniejszego szmeru, ten sam leciwy bóbr raz jeszcze ostrożnie wyjrzał z ukrycia. Gdyby się któryś z Huronów obejrzał, byłby spostrzegł, że zwierzę przygląda im się tak bacznie i ciekawie, jakby miało ludzki rozum. W gruncie rzeczy wszystkie jego ruchy były tak naturalne, że nawet najbardziej doświadczony obserwator nie odgadłby jego tajemnicy, dopóki Huroni nie skryli się w lesie. Wtedy bowiem zwierzę wyszło z chatki i wszystko stało się jasne: spod odrzuconej maski z futra wyjrzała surowa twarz Chingachgooka.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Mów *krótko;* widzisz, *żem bardzo zajęty.*

Wiele hałasu o nic”

Plemię Delawarów, o którym tak często wspominaliśmy, a raczej jego połowa obozująca w pobliżu tymczasowego siedliska Huronów, mogło w razie potrzeby wystawić prawie tyluż wojowników, co oni. Delawarzy, tak jak Huroni, weszli za Montcalmem w głąb kolonii angielskich i spustoszyli łowieckie tereny Mohawków. Ale z tajemniczą powściągliwością, tak częstą u Indian, odmówili sojusznikom pomocy wtedy, kiedy ci jej najwięcej potrzebowali. Francuzi różnie tłumaczyli sobie to odstępstwo swych sojuszników. Przeważało zdanie, że zrobili to z szacunku dla starego sojuszu, który ongiś zapewnił im zbrojną ochronę Związku Sześciu Narodów. Ten szacunek nie pozwalał im teraz wystąpić przeciw dawnym protektorom.

Plemię poprzestało na krótkim, iście indiańskim zawiadomieniu Montcalma przez posłów, że tomahawki Delawarów się stępiły i że teraz wojownicy muszą mieć czas, by je naostrzyć. Wódz Kanadyjczyków, rozsądny polityk, uważał, że lepiej mieć w Delawarach biernego przyjaciela niż jakąś niewłaściwą surowością zrobić z nich sobie otwartych wrogów.

O świcie tego dnia, kiedy Magua wyprowadził swój cichy oddział z kolonii bobrów w ciemny las, słońce wstało nad obozowiskiem Delawarów i oświetliło pracowity lud krzątający się przy codziennych rannych zajęciach. Kobiety biegały od wigwamu do wigwamu. Jedne przygotowywały poranny posiłek, inne uzupełniały strój, a wszystkie korzystały z okazji,

by w przelocie po cichu wymienić z przyjaciółkami kilka urwanych zdań. Wojownicy stali bezczynnie w małych grupkach. Nie rozmawiali ze sobą, lecz nad czymś rozmyślali, gdy zaś coś powiedzieli, ważyli każde słowo. Między wigwamami leżało mnóstwo myśliwskiej broni, ale nikt nie ruszał na łowy. Tu i tam wojownicy przeglądali broń tak uważnie, jak się tego nie robi, gdy się myśli tylko o łowach i o zwierzynie jako jedynym wrogu w puszczy. Od czasu do czasu oczy wojowników zwracały się ku dużej i cichej chacie pośrodku wsi. Tam najwidoczniej biegły wszystkie ich myśli.

Nagle na najdalszym krańcu skalistej płaszczyzny, na której leżało obozowisko, ukazał się jakiś człowiek. Nie miał przy sobie broni, a jego malowidła miały złagodzić wrodzoną surowość rysów. Człowiek ten podszedł do Delawarów, przystanął i przyjaznym gestem podniósł rękę w górę, a potem wymownie przyłożył ją do serca. Delawarzy odpowiedzieli mu życzliwym pomrukiem i równie przyjaznym gestem zaprosili, by podszedł bliżej. Ośmielony tym przybysz zeszedł ze skalistego tarasu, na którym jego sylwetka przed chwilą wyraźnie się zarysowała na tle różowego, porannego nieba, i dumnie, wszedł w sam środek wsi. Szedł cicho, a przy każdym jego kroku leciutko pobrzękiwały liczne srebrne amulety, zawieszone na szyi i na ramionach, i dźwięczały małe dzwoneczki u mokasynów z jeleniej skóry. Idąc, uprzejmie pozdrawiał wojowników, ale nie dostrzegał kobiet, jak człowiek, który teraz zupełnie nie dba o ich względy. Gdy podszedł do grupy Indian — a sądząc z godnych min stali tam najwybitniejsi mężowie przystanął. Wówczas w tym hardym i wyniosłym mężczyźnie Delawarzy poznali słynnego wodza Huronów, Przebiegłego Lisa.

Powitano go poważnie, w milczeniu i powściągliwie. Wodzowie na przedzie rozstąpili się i przepuścili najbardziej doświadczonego mówcę, władającego wszystkimi językami północnoamerykańskich plemion.

— Witamy cię, mądry Huronie — powiedział Delawar w języku Makaów. — Czyś przyszedł spożyć succotash ze swymi

braćmi znad jezior?

— Przyszedłem — powtórzył Magua i schylił głowę z godnością wschodniego monarchy.

Wódz wyciągnął rękę, ujął Maguę za przegub i w ten sposób raz jeszcze się przywitali. Potem Delawar zaprosił gościa do swego wigwamu na śniadanie. Magua przyjął zaproszenie i obaj w towarzystwie trzech czy czterech starych Delawarów wolno odeszli, a reszta Indian pozostała na miejscu, pożerana ciekawością, co jest powodem tej niezwykłej wizyty. Ale żaden z nich ani słowem, ani gestem nie zdradził swego zaciekawienia.

Podczas krótkiego i skąpego posiłku obie strony mówiły ostrożnie i wyłącznie o ostatnich łowach, w których Magua brał udział. Delawarzy, chociaż wiedzieli, że za tą wizytą kryje się coś niezwykłego i być może bardzo dla nich ważnego, udawali, że ją uważają za zupełnie normalną, przy czym robili to nie gorzej niż ludzie najlepiej wychowani. Kiedy zaspokoili już głód, kobiety sprzątnęły drewniane talerze i tykwy, a obie strony poczęły się przygotowywać do zmierzenia się w chytrości i sprycie.

— Czy mój wielki kanadyjski ojciec znów zwrócił swe oblicze ku swym dzieciom, Huronom? — zapytał najznakomitszy mówca Delawarów.

— Czy się kiedy na nich gniewał? — pytaniem na pytanie odpowiedział Magua. — Nazywa mój naród „najukochańszym”.

Delawar skinął głową, choć wiedział, że to wierutne kłamstwo, i ciągnął dalej:

— Tomahawki młodych wojowników mojego brata zaczerwieniły się od krwi.

— Tak, ale teraz są znów czyste i tępe, bo Jengizi polegli, a naszymi sąsiadami są Delawarzy.

Delawar podziękował gestem za to pokojowe zapewnienie i milczał. Magua zaś, jakby ta aluzja do rzezi Anglików coś mu przypomniała, zapytał:

— Czy moja branka nie sprawia kłopotu moim braciom?

— Gościmy ją chętnie.

— Ścieżka od wsi Huronów do wsi Delawarów jest krótka i otwarta. Niech moi bracia odeślą tę brankę do mych kobiet, jeśli im zawadza.

— Gościmy ją chętnie — z naciskiem powtórzył wódz Delawarów.

Speszony Magua parę minut siedział w milczeniu, na pozór niewzruszony niepowodzeniem, jakie go spotkało przy pierwszej otwartej próbie odzyskania Kory.

— Czy moi młodzi wojownicy pozostawiają Delawarom dość miejsca na łowy w górach? — zapytał wreszcie.

— Lenapowie są panami swych gór — wyniośle odparł Delawar.

— Racja. Sprawiedliwość rządzi czerwonoskórymi. Czemu mieliby ostrzyć tomahawki i noże przeciw sobie? Bladych twarzy jest więcej niż jaskółek, gdy kwitną kwiaty.

— Słusznie! — krzyknęło wraz dwóch czy trzech jego słuchaczy.

Magua zaczekał chwilę, bo chciał, by jego słowa ułagodziły Delawarów, a potem zapytał:

— Czy jakieś obce mokasyny nie deptały puszczy? Czy moi bracia nie widzieli śladów stóp białego?

— Niech przybędzie nasz kanadyjski ojciec — wymijająco odparł stary wódz. — Jego dzieci z radością go powitają.

— Wielki wódz może przybyć tylko po to, by wypalić fajkę pokoju z Indianami w ich wigwamach. Huroni również powitają go życzliwie. Ale Jengizi mają długie ręce, a ich nogi nie znają zmęczenia. Moim wojownikom śniło się, że widzieli ich ślady w pobliżu wsi Delawarów.

— Nie zaskoczą Lenapów we śnie.

— To dobrze. Wojownik z otwartymi oczami zawsze dostrzeże wroga — odparł Magua i znów zmienił temat widząc, że nie zdoła przebić muru czujności swych gospodarzy. — Przyniosłem dary dla mego brata. Jego plemię nie chciało wkroczyć na ścieżkę wojenną, bo uważało, że nie byłoby to mądre, ale jego przyjaciele pamiętali o nim.

W ten sposób obwieściwszy o swej szczodrości chytry wódz z powagą rozłożył dary przed oczami olśnionych Delawarów.

Były to przeważnie małowartościowe klejnociki, zrabowane zamordowanym kobietom z fortu William Henry. Przy ich podziale chytry Huron wykazał tyle przebiegłości, co przy ich wyborze. Cenniejszymi obdarzył dwóch najwybitniejszych wodzów (jednym z nich był jego gospodarz), a mniej wartościowe dał pośledniejszym wodzom, schlebiając im przy tym zręcznymi słówkami, tak że nie czuli się pokrzywdzeni. Krótko mówiąc, łącząc szczodrość z pochlebstwem, tak zręcznie zaspokoił ich chciwość i wygórowane ambicje, że bez trudu wyczytał w oczach obdarowanych Delawarów przychylną dla siebie zmianę.

To celne dyplomatyczne posunięcie od razu przyniosło rezultaty. Delawarzy zapomnieli o swej powadze i stali się bardziej serdeczni, a gospodarz, wdzięcznym okiem obejrzawszy swój udział w darach, po chwili powtórzył kilka razy z naciskiem:

— Mój brat jest mądrym wodzem. Gościmy go chętnie.

— Huroni kochają swych przyjaciół Delawarów — odparł Magua. — Czemu mieliby ich nie kochać? Skórę ich zabarwiło to samo słońce, a po śmierci polować będą na tych samych terenach. Czerwonoskórzy powinni być przyjaciółmi i uważnie przyglądać się bladym twarzom. Czy mój brat nie zwietrzył w lasach żadnych szpiegów?

Nazwisko Delawara brzmiało po angielsku Hard Heart, co Francuzi przełożyli na Le Coeur Dur Zapomniał on o swym żelaznym uporze, któremu zawdzięczał to nazwisko. Wyraźnie spuścił z tonu i tym razem zaszczycił gościa jaśniejszą odpowiedzią:

— Obce mokasyny stąpały w pobliżu naszego obozowiska. Ślady ich dotarły aż do moich wigwamów.

— Czy mój brat odpędził te psy? — zapytał Magua nie zważając na sprzeczność tej odpowiedzi z poprzednią.

— Nie mogłem tego zrobić. Dla dzieci Lenapów obcy jest zawsze pożądanym gościem.

— Obcy tak, ale nie szpieg.

— Czy Jengizi wysyłają kobiety jako szpiegów? Czy wódz Huronów nie mówił, że swe branki ujął w bitwie?

— Wódz Huronów nie skłamał. Jengizi wysłali szpiegów. Byli już oni w moich wigwamach, ale tych gości żaden Huron nie powitał przyjaźnie. Wówczas uciekli do Delawarów, bo — jak twierdzili — Delawarzy są ich przyjaciółmi i odwrócili się od swego kanadyjskiego ojca.

Ta insynuacja trafiła w samo serce i w bardziej cywilizowanym społeczeństwie zyskałaby Przebiegłemu Lisowi opinię wytrawnego dyplomaty. Delawarzy wiedzieli, że ich niedawne odstępstwo zraziło do nich Francuzów. Teraz dano im do zrozumienia, że zazdrosne i nieufne oczy śledzą ich dalsze postępowanie. Nie trzeba się było długo zastanawiać, by zrozumieć, że podobna sytuacja może wywołać niezmiernie przykre następstwa. Ich odległe wsie, tereny łowieckie, setki kobiet i dzieci oraz znaczna część ich sił bojowych znajdowały się w granicach francuskiego terytorium. Oto czemu Delawarzy przyjęli tę niepokojącą wiadomość — jak zresztą Magua chciał. — z jawnym niezadowoleniem, a nawet z trwogą.

— Niech mój kanadyjski ojciec spojrzy mi w oblicze — odparł Twarde Serce — a nie dojrzy w nim żadnej zmiany.

To prawda, że moi wojownicy nie weszli na ścieżkę wojenną. Nie pozwoliły im na to ich sny. Ale kochają i szanują wielkiego białego wodza..

— Czy uwierzy w to, gdy usłyszy, że jego dzieci goszczą jego największego wroga? Kiedy mu powiedzą, że przeklęty, chciwy krwi Anglik pali fajkę przy waszym ognisku? Że ten biały, który zabił tylu jego przyjaciół swobodnie przechadza się wśród Delawarów? Nie! Mój wielki kanadyjski ojciec nie jest głupcem.

— Gdzież jest ten Anglik, którego Delawarzy się boją? — odparł Twarde Serce. — Kto zabił moich wojowników? Kto jest tym śmiertelnym wrogiem mego wielkiego ojca?

— Długa Strzelba!

Na to słynne nazwisko Delawarzy drgnęli. Ich zdumienie zdradziło, że nie wiedzieli o pobycie u nich człowieka słynnego

wśród indiańskich plemion sprzymierzonych z Francuzami.

— Co mój brat ma na myśli? — zapytał stary wódz zdziwionym tonem, niezwykłym u zawsze zrównoważonych Delawarów.

— Huron nigdy nie kłamie — chłodno odrzekł Magua i oparłszy głowę o ścianę chaty, naciągnął lekką opończę na brunatną pierś. — Niech Delawarzy przeliczą jeńców; na pewno znajdą jednego, którego skóra nie jest ani biała, ani czerwona.

Zapadła długa i pełna namysłu pauza. Wódz Delawarów naradzał się na uboczu ze swymi towarzyszami. Wysłano gońców po innych wybitnych wojowników plemienia.

W miarę jak schodzili się wezwani, powtarzano im ważną wiadomość przyniesioną przez Maguę. Odpowiadali zwykłym, niskim, gardłowym okrzykiem, a ich twarze wyrażały zdziwienie. Wiadomość przechodziła z ust do ust, aż wreszcie wielkie poruszenie ogarnęło cały obóz. Kobiety przerwały pracę i starały się złowić każde słowo niebacznie rzucone przez naradzających się wojowników. Chłopcy cili zabawy. Śmiało kręcili się wśród starszych, z podziwem, ciekawie spoglądali na nich i słuchali krótkich okrzyków zachwytu nad niezwykłą odwagą znienawidzonego zwiadowcy. Jednym słowem, Delawarzy przerwali swe codzienne prace, porzucili wszystkie plany, by zupełnie swobodnie i według swego zwyczaju zająć się tylko tą sprawą.

Gdy podniecenie już nieco osłabło, starzy wojownicy zebrali się na radę. Musieli się zastanowić, co począć w tak drażliwej sytuacji, by uratować honor, a nie narazić się na przykrości. Tymczasem Magua nawet w największym poruszeniu i rozgardiaszu nie tylko spokojnie siedział oparty o ścianę, ale i zachował dawną, nieruchomą, obojętną postawę. Wydawało się, że go nie obchodzi wzburzenie Delawarów, ale jego czujnym oczom nie uszedł żaden szczegół, który mógł zdradzić ich zamiary. Świetnie znał naturę swych gospodarzy, domyślał się więc, jaka będzie ich decyzja, i można nawet powiedzieć, że w wielu wypadkach przewidywał, co zrobią, nim zamiar zdążył się skrystalizować w ich umysłach.

Narada Delawarów trwała krótko. Gdy się skończyła, ogólne poruszenie zdradziło, że zaraz nastąpi uroczyste zebranie całego plemienia. Podobne zebrania odbywały się rzadko, a zwoływano je tylko w wypadkach nadzwyczajnej wagi. Chytry Huron, wciąż siedząc na uboczu jako przebiegły i milczący obserwator, zorientował się, że teraz nadszedł czas, kiedy musi doprowadzić swe zamysły do końca. Wyszedł więc z chaty i w milczeniu poszedł na plac przed obozowiskiem, gdzie już zbierali się wojownicy.

Minęło z pół godziny, zanim zeszli się tam wszyscy Delawarzy z kobietami i dziećmi. Ten czas zeszedł im na poważnych przygotowaniach, niezbędnych przy tak uroczystym i niezwykłym zebraniu. Ale kiedy słońce stanęło nad szczytem góry, u podnóża której Delawarzy rozbili swe obozowisko, większość zebranych siedziała już na miejscach. A gdy jasne promienie słońca przebiły się przez korony drzew zdobiących szczyt góry, padły na skupiony, uważny i ciekawy tłum Delawarów. Liczba zebranych przekraczała tysiąc ludzi.

Na zebraniach Indian, dzięki ich wrodzonej powadze, nigdy się nie zdarza, by jakiś amator taniej popularności wyrwał się i prowokował swych słuchaczy do gorączkowej, i nierozważnej dyskusji. Przeciwnie, taki pośpiech i takie zarozumialstwo na zawsze przypieczętowałyby los przemądrzałego pyszałka. Przywilej zagajenia zebrania przysługuje tylko najstarszym i najbardziej doświadczonym mężom. I dopóki jeden z nich nie zabierze głosu, żaden czyn bojowy, żadne talenty, żadna sława dobrego mówcy nie pozwala złamać tego prawa. Teraz stary wojownik, który winien był zagaić zebranie, siedział w milczeniu i jakby się uginał pod ciężarem sprawy, którą mieli rozważyć. Zwłoka trwała niezwykle długo, ale nawet najmłodszy chłopiec nie okazał zniecierpliwienia. Czasem jednak czyjś wzrok odrywał się od ziemi, a niemal wszyscy się w nią wpatrywali, i wędrował ku samotnej chacie, która różniła się od innych tylko lepszym zabezpieczeniem od niepogody.

Wreszcie rozległ się głuchy szmer — który, jak wiemy, często daje się słyszeć na tłumnych zgromadzeniach — i wszyscy jak

na komendę powstali. Drzwi chaty, na którą zebrani ciekawie patrzyli, rozwarły się. Wyszło trzech mężczyzn i wolnym krokiem skierowało się na plac zebrań. Wszyscy byli bardzo starzy, starsi od najstarszego z zebranych, a ten, który szedł pośrodku wspierając się na swych towarzyszach, osiągnął wiek rzadki dla zwykłego śmiertelnika. Ongiś wysoki i prosty jak cedr, teraz garbił się pod ciężarem swych stu z górą lat. Stracił już lekki, sprężysty chód Indianina i z trudem, krok za krokiem postępował naprzód. Jego ciemna, pomarszczona twarz dziwnie kontrastowała z białymi, opadającymi na ramiona włosami, tak długimi i gęstymi, że zapewne nie obcinano ich od wielu pokoleń.

Ubiór tego patriarchy — albowiem tak trzeba nazwać tego starca dla jego sędziwego wieku, pochodzenia i wpływów w plemieniu — był bogaty i wspaniały, choć podobny do zwykłego stroju Delawarów. Uszyto go z najpiękniejszych skór, oczyszczonych z włosa po to, by symbolicznie przedstawiać na nich różne czyny bojowe, jakich starzec dokonał za młodu. Na jego piersi widniały liczne medale, niektóre z masywnego srebra, a parę — ze złota. Były to dary chrześcijańskich władców, ofiarowane mu w czasie jego długiego życia. Również ze złota były bransoletki, które nosił na kostkach nóg. Na głowie, nie golonej, bo już od dawna przestał być wojownikiem, miał coś w rodzaju posrebrzanego diademu, upiększonego jaśniejszymi, choć mniej wartościowymi klejnotami. Skrzyły się one w pęku nisko opadających, połyskliwych trzech strusich piór, ufarbowanych na czarno. Ten czarny kolor silnie kontrastował ze śnieżną białością włosów starca. Jego tomahawk niemal ginął w srebrze, a rękojeść noża błyszczała jak róg z kutego złota.

Po pierwszym entuzjastycznym poruszeniu, wywołanym widokiem uwielbianego starca, tłum począł sobie szeptem podawać imię: Tamenund. Magua już nieraz słyszał o tym mądrym i prawym Delawarze, tak sławnym, że przypisywano mu nawet obcowanie z Wielkim Duchem. Niezawodnie ta wielka sława sprawiła, że imię Tamenunda przybrali później, z

pewną małą zmianą, biali zdobywcy jego prastarej ojczyzny jako imię rzekomego patrona wielkiego państwa Dlatego też wódz Huronów wysunął się o parę kroków naprzód, by dobrze się przyjrzeć twarzy człowieka, którego słowo miało zadecydować o jego planach.

Starzec miał oczy zamknięte, jakby zmęczył je widok egoistycznych namiętności ludzkich, na które patrzył przez tyle długich lat. Kolorem twarzy różnił się od większości otaczających go Indian, Jego cera miała odcień żywszy i ciemniejszy. Odcień ten nadawały jej delikatne i splątane linie pięknego tatuażu, który pokrywał niemal całe ciało. Obojętnie, jakby nie widział Hurona, choć ten wysunął się naprzód i w milczeniu nań patrzył, starzec wsparty na swych dwóch czcigodnych towarzyszach wszedł na podniesienie, gdzie zebrali się wodzowie, i siadł pośród swego plemienia z godnością monarchy i miną ojca.

Z uczuciem najgłębszej czci i miłości zebrani powitali niespodziewane zjawienie się człowieka, który nie należał już do tego świata. Po dość długiej chwili milczenia najwybitniejsi wodzowie wstali i podchodząc kolejno do starca, z szacunkiem kładli sobie jego rękę na głowie, jakby go prosili o błogosławieństwo. Młodsi zadowalali się dotknięciem jego ubioru albo przysuwali się bliżej, by chociaż odetchnąć tym samym powietrzem, którym oddychał ten sędziwy, sprawiedliwy i dzielny mąż. Na to jednak odważali się tylko najwybitniejsi z młodych wojowników. Reszta zebranych czuła się szczęśliwa, gdy mogła patrzyć na uwielbianego patriarchę. Wodzowie po złożeniu hołdu starcowi wrócili na miejsca. Znów zapanowała cisza.

Po krótkiej chwili jeden ze starców towarzyszących Tamenundowi szepnął coś kilku młodym wojownikom. Wstali i opuścili zebranie. Weszli do chaty, która przez cały ranek budziła tak wielkie zainteresowanie. Po paru minutach wrócili prowadząc na sąd ludzi, którzy byli powodem tego uroczystego zebrania. Tłum się rozstąpił i przepuścił ich, a potem znów się zamknął, tworząc obszerne, zwarte półkole.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

*Zgromadzeni usiedli dumnie wznosząc głowy,*
*Achilles zaś do króla tymi zaczął słowy:*
„Iliada” według Pope'a

Kora, czule splótłszy ręce z rękami Alicji, stała”na przedzie. Dzielna i szlachetna dziewczyna nie zwracała uwagi na groźne szeregi Indian. Nie myślała o sobie, lecz nie odrywała wzroku od pobladłej i drżącej z trwogi Alicji. Tuż przy nich stał Heyward. W tej niebezpiecznej chwili tak samo bał się o Korę jak i o Alicję, którą tak bardzo kochał. Sokole Oko z szacunku dla swych godniejszych towarzyszy — a o tym szacunku nie zapomniał, choć los, ich zrównał — stanął nieco z tyłu. Unkasa między nimi nie było.

Kiedy tłum znów się uciszył, po 'dość długiej i wymownej pauzie jeden ze starych wodzów siedzący przy boku patriarchy wstał i głośno zapytał po angielsku:

— Który z moich jeńców nazywa się Długa Strzelba?

Ani Duncan, ani Sokole Oko nie odpowiedzieli na to pytanie. Duncan przesunął wzrokiem po ciemnych i niemych twarzach zebranych Indian i mimo woli cofnął się o krok, gdy zobaczył złe oblicze Maguy. Od razu zrozumiał, że istnieje jakiś tajemniczy związek między zebraniem Delawarów, na które ich wezwano, a tym Indianinem. Postanowił za wszelką cenę przeszkodzić mu w jego złych zamiarach. Był już świadkiem doraźnej kary wymierzonej przez Indian i teraz bał się o swego towarzysza. Czas naglił i nie było chwili do namysłu, *bez*

wahania postanowił więc ratować swego nieocenionego przyjaciela, nawet za cenę własnego życia. Zanim jednak zdążył się odezwać, Indianin powtórzył pytanie głośniej i dobitniej.

— Dajcie nam broń i pozwólcie odejść do tego lasu, a nasze czyny odpowiedzą za nas — dumnie odparł Heyward.

— A więc to jest ten słynny wojownik, którego imię wciąż mamy w uszach — rzekł wódz. Ciekawie patrzył na. Heywarda, jak każdy, kto po raz pierwszy widzi człowieka, który swą głośną sławę zawdzięcza zasługom lub przypadkowi, cnotom lub zbrodni. — Co sprowadza białego do obozu Delawarów?

— Potrzeba. Przyszedłem, bo szukałem żywności, schronienia i przyjaciół.

— To być nie może. Lasy są pełne zwierza. Skrawek czystego nieba wystarczy wojownikowi za dach nad głową. A Delawarzy są wrogami Anglików, nie ich przyjaciółmi. Nie! To mówiły twoje usta. Serce milczało.

Duncan nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć, ale zwiadowca, który słuchał uważnie, wystąpił teraz naprzód.

— Jeżeli nie odezwałem się, gdy pytano o Długą Strzelbę — powiedział — to nie przez tchórzostwo czy wstyd. Człowiek uczciwy bowiem nie potrzebuje się ani bać, ani wstydzić. Chodziło mi zaś o to, że nie przyznaję Mingom prawa nadawania mi nazwiska. Mam bowiem przyjaciół, którzy świetnie znają moje talenty. Na dobitek nazwisko jest fałszywe: Postrach Zwierząt ma gwintowaną lufę, a więc nie jest strzelbą. Mój ród nadał mi imię Nataniel. Delawarzy mieszkający nad własną rzeką zaszczycili mnie nazwiskiem Sokole Oko, a Irokezi nie pytając mnie o zdanie, choć jestem w tym najbardziej zainteresowany, ośmielili się przezwać mnie Długą Strzelbą.

Indianie, którzy dotychczas z zainteresowaniem badawczo przyglądali się Duncanowi, od razu zwrócili oczy ku prostej, jakby wykutej z żelaza postaci człowieka, roszczącego sobie pretensję do tak chlubnego nazwiska. Nie było nic dziwnego w tym, że aż dwóch ludzi ubiegało się o podobny zaszczyt. Wśród Indian, wprawdzie rzadko, lecz trafiali się samozwańcy. Ale surowi i sprawiedliwi Delawarzy chcieli uniknąć pomyłki. Paru

starych wodzów naradziło się między sobą i najwidoczniej postanowiło dokładnie wypytać Maguę.

— Mój brat powiedział, że wąż wkradł się do naszego obozowiska — zwrócił się do niego najstarszy z wodzów. — Któryż z nich jest tym wężem?

Magua wskazał na zwiadowcę.

— Czy mądry Delawar uwierzy szczekaniu wilka? — zawołał Duncan, teraz już zupełnie pewny,że Magua knuje coś złego. — Pies nigdy nie kłamie, lecz odkąd to wilk mówi prawdę?

Oczy Maguy błysnęły ogniem, ale przypomniał sobie, że musi zachować spokój, i bez słowa pogardliwie odwrócił się. Był pewny, że przenikliwość Indian pomoże mu dowieść prawdy. I nie zawiódł się, bo po krótkiej naradzie Delawar w oględnych słowach obwieścił mu postanowienie wodzów.

— Mego brata nazwano kłamcą — powiedział. — Rozgniewało to jego przyjaciół i chcieliby dowieść, że mówił prawdę. Dajcie więc jeńcom strzelby i niech pokażą, który z nich jest Długą Strzelbą.

Magua, chociaż doskonale wiedział, że decyzję wodzów podyktowała nieufność do niego, udał, że bierze ją za dobrą monetę i znakiem wyraził zgodę. W gruncie rzeczy był przekonany, że tak wspaniały strzelec jak zwiadowca bystrością oka dowiedzie prawdy jego słów. Indianie przynieśli broń, dali ją współzawodniczącym przyjaciołom i kazali im strzelać ponad głowami siedzących do glinianego garnka stojącego na pniu drzewa o jakieś pięćdziesiąt jardów od nich.

Heyward śmiał się w duchu na myśl o tym pojedynku, ale postanowił obstawać przy swoim, dopóki nie wyjaśni prawdziwych zamiarów Maguy. Przyłożył więc broń do ramienia, zmierzył trzy razy i wystrzelił. Kula trafiła w drzewo o parę cali od garnka. Indianie chóralnym okrzykiem uznania przyjęli ten celny strzał i wyrazili podziw dla Duncana. Nawet Sokole Oko skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że spodziewał się czegoś znacznie gorszego. Zdawało się, że chce się poddać bez walki. Z minutę stał oparty o strzelbę, jakby się nad czymś głęboko zamyślił. Jeden z młodych Indian, ten sam, który

przyniósł broń, dotknął jego ramienia i budząc go z zadumy powiedział łamaną angielszczyzną:

— Czy blada twarz trafi w garnek?

— Huronie! — zawołał zwiadowca. Prawą ręką lekko jak trzcinę uniósł krótką strzelbę i pogroził nią Przebiegłemu Lisowi. — Tak, Huronie, teraz mógłbym cię zabić i żadna siła nie zdołałaby temu przeszkodzić. Sokół kołujący nad gołębiem nie jest tak pewny zdobyczy jak ja twej śmierci, gdybym zechciał wpakować ci kulę w serce! Czemu nie miałbym tego zrobić? Czemu?... Bo nie pozwalają mi na to cnoty białego, a poza tym mógłbym ściągnąć nieszczęście na delikatne i niewinne główki. Jeżeli więc wierzysz w Boga, podziękuj Mu w głębi duszy, boś mówił prawdę.

Pałające gniewem oblicze zwiadowcy, jego wzrok i wyprostowana postać zaniepokoiły Delawarów. Z zapartym oddechem czekali, co będzie dalej, a Magua, choć nie ufał uspokajającym słowom swego wroga, stał wciśnięty w tłum, nieruchomy i spokojny, jak wrośnięty w ziemię.

— Traf — powtórzył młody Delawar.

— Trafić? W co, durniu?! W co? — zawołał Sokole Oko, wciąż gniewnie wywijając strzelbą nad głową, mimo że już nie patrzył na Maguę.

— Jeżeli biały człowiek jest wojownikiem, za którego się podaje, niech trafi jeszcze bliżej celu — rzekł stary wódz.

Zwiadowca roześmiał się tak głośno, że Heyward aż się wzdrygnął. Potem niedbale przerzucił broń do lewej, wyprostowanej ręki, a strzelba wypaliła przy tym jakby pod wpływem wstrząsu. Zaraz po strzale wszyscy usłyszeli łoskot padającej strzelby, którą zwiadowca niedbale odrzucił, i ujrzeli, jak rozleciał się garnek trafiony kulą.

Tłum w pierwszej chwili oniemiał z zachwytu. Potem głuchy, narastający pomruk przeleciał po nim i rozrósł się w gwar sprzeczki. Niektórzy otwarcie podziwiali niezwykłą zręczność strzelca, większość jednak uważała, że celny strzał był dziełem przypadku. Heyward co prędzej poparł pogląd, dla niego korzystny.

— To był przypadek! — wołał. — Nie można trafić nie celując!

— Przypadek! — powtórzył podniecony zwiadowca i tak się zaperzył, że nie zwracał uwagi na błagalne znaki Heywarda. — Czy ten kłamliwy Huron też powie, że to przypadek? Dajcie i jemu strzelbę, postawcie nas naprzeciw siebie, a Bóg i niezawodne oko rozstrzygną nasz spór! Nie mówię o panu, majorze, bo jesteśmy tej samej krwi i służymy jednemu władcy.

— Huron kłamie, to jasne — spokojnie odparł Heyward. — Sam pan słyszał, jak mówił, że to pan jest Długa Strzelba.

Trudno przewidzieć, co by zrobił uparty zwiadowca, który teraz zapamiętale obstawał przy nadanym mu przez Irokezów nazwisku, gdyby stary Delawar znów się nie wtrącił.

— Sokół, spadając z obłoków, może wzbić się, kiedy zechce — powiedział. — Dajcie im strzelby.

Tym razem zwiadowca łapczywie chwycił strzelbę, a Magua, który spod oka uważnie śledził jego ruchy, nie bał się o celność drugiego strzału.

— A więc dowiedźmy zebranym tu Delawarom, który z nas jest lepszym strzelcem —powiedział zwiadowca i palcem, którym oddał już tyle śmiertelnych strzałów, stuknął w kolbę strzelby. — Czy widzi pan, majorze, tę tykwę, tam, na drzewie? A więc jeżeli jest pan naprawdę strzelcem, takim, jakim się powinno być na pograniczu, niech pan rozbije tę tykwę na kawałki.

Duncan spojrzał na cel i przygotował się do próby. Była to zwykła mała tykwa indiańska. Wisiała na rzemieniu z jeleniej skóry zaczepionym o suchą gałąź niedużej sosny, o jakieś sto jardów od niego. Ambicja to dziwne uczucie: młody żołnierz zapomniał, że gra idzie tu nie o pochwałę dzikich sędziów, lecz po prostu zawziął się i postanowił zwyciężyć. Widzieliśmy już, że był niezłym strzelcem. Teraz zebrał się w sobie i celował tak starannie, jakby jego życie zależało od tego strzału. Wreszcie wystrzelił, a trzej młodzi indiańscy chłopcy, którzy pobiegli do celu, głośnym krzykiem oznajmili, że kula trafiła w drzewo tuż obok tykwy. Wojownicy krzyknęli radośnie i pytająco spojrzeli na zwiadowcę.

— Jak na żołnierza Amerykańskich Strzelców Królewskich wcale dobrze — powiedział Sokole Oko śmiejąc się serdecznie i jak zwykle cicho. — Ale gdybym ja tak z mego sztucera trafiał obok celu, wiele kun z damskich mufek biegałoby jeszcze po lesie. I niejeden przeklęty Mingo, dziś już przed sądem boskim, nadal uprawiałby swe szelmostwa na pograniczu. Spodziewam się, że właścicielka tej tykwy ma jeszcze jedną w zapasie, bo z tej nie będzie już miała pociechy.

Mówiąc to podsypał prochu i odciągnął kurek, a gdy był gotów, odstawił nogę w tył i zaczął powoli unosić lufę ruchem jednostajnym, pewnym i spokojnym. Gdy wylot lufy znalazł się na wprost celu, zastygł w bezruchu, jakby wraz ze swą bronią zmienił się w posąg z kamienia. W tej chwili z lufy trysnął jasny płomień. Chłopcy znów podbiegli do drzewa, lecz z ich gorączkowych poszukiwań i rozczarowanych min widać było, że nie znaleźli śladu kuli.

— Odejdź wilku w psiej skórze — z wyraźną niechęcią rzekł stary wódz do zwiadowcy. — Chcę mówić z Długą Strzelbą Jengizów.

— Ach, gdybym miał mój sztucer, który zdobył mi to nazwisko, przeciąłbym kulą rzemień i tykwa spadłaby nietknięta — odparł Sokole Oko, nic sobie nie robiąc z niechęci Indianina. — Hola, głupcy! Jeśli chcecie znaleźć kulą dobrego strzelca, szukajcie jej w celu, a nie obok.

Młodzi Indianie zrozumieli go, bo mówił po delawarsku. Ściągnęli tykwę, podnieśli ją wysoko i z radosnym krzykiem pokazali dziurę, którą kula przebiła w dnie po przejściu przez dziobek. Na tę niespodziankę wojownicy wybuchnęli głośną i niepohamowaną radością. Strzał zadecydował w sporze i przywrócił zwiadowcy jego groźną sławę. Indianie, którzy początkowo nie spuszczali oka z Heywarda, teraz ciekawie patrzyli na ogorzałą twarz zwiadowcy, ku niemu bowiem zwróciła się uwaga i podziw tych prostych i szczerych ludzi. Gdy wrzawa nieco ucichła, stary wódz znów podjął badanie.

— Czemu chciałeś zatkać moje uszy? — zapytał zwracając się do Duncana. — Czyś myślał, że Delawarzy to głupcy i nie

odróżnią młodej pantery od kota?

— Przekonają się jeszcze, że ten Huron to skrzecząca sroka — odparł Duncan usiłując mówić obrazowo jak Indianie.

— Dobrze. Zobaczymy, kto potrafi zamknąć uszy mężczyzn. Bracie — powiedział wódz spoglądając na Maguę — Delawarzy cię słuchają.

Magua, wezwany do zabrania głosu, ruszył z miejsca i godnie, z rozwagą wszedł w sam środek koła. Tu stanął twarzą w twarz z jeńcami, w postawie mówcy. Ale nim zaczął, powiódł wzrokiem po poważnych twarzach otaczających go Delawarów, jakby chciał przystosować się do poziomu słuchaczy. Na zwiadowcę spojrzał z wrogim szacunkiem, na Duncana z żywą nienawiścią, bojaźliwie skuloną Alicję ledwie raczył zauważyć. Lecz na śmiałą, wyniosłą i piękną Korę patrzył dłużej, z uczuciem, które trudno byłoby określić. Wreszcie pożerany pragnieniem spełnienia swych niecnych zamysłów przemówił w języku używanym w Kanadzie, jak wiedział — zrozumiałym dla większości słuchaczy.

— Wielki Duch, który stworzył ludzi, dał im różne barwy skóry — zaczął przebiegle. — Jedni są czarniejsi od ospałego niedźwiedzia. Tym kazał być niewolnikami i muszą ciężko pracować jak bobry. Nad brzegami wielkiego słonego jeziora, kiedy dmie wiatr południowy, a olbrzymie łodzie przewożą i zabierają stada tych niewolników, możecie usłyszeć ich jęki głośniejsze od ryku bawołu. Innym znów dał Wielki Duch twarze bielsze od leśnych gronostajów. Tym kazał być kupcami, psami swych kobiet i wilkami swych niewolników. Dał im naturę gołębia: niestrudzone skrzydła, potomstwo liczniejsze od liści na drzewach i taką żarłoczność, że gotowi by połknąć całą ziemię. Dał im też języki pełne fałszu jak miauczenie dzikiego kota, serca królicze, chytrość świni, nie lisa, i ręce dłuższe od nóg łosia. Ci ludzie swym językiem zatykają uszy Indian.” Ich serce uczy ich najmować sobie wojowników. Ich chytrość mówi im, jak zdobyć bogactwa ziemi, a ramiona obejmują tę ziemię od brzegów słonej wody po wyspy na wielkim jeziorze. Chorują z obżarstwa, bo Bóg wprawdzie dał im dość, ale oni chcą zjeść

wszystko. Takie są blade twarze. A niektórych Wielki Duch stworzył ze skórą połyskliwą i czerwieńszą od tego słońca — ciągnął dalej, wymownym ruchem wskazując w górę na przyćmione słońce, mozolnie wędrujące po zamglonym niebie. — Tych ulepił na wzór siebie. Dał im też tę ziemię, jak ją stworzył: zalesioną i pełną zwierzyny. Wiatr karczował im drzewa, w słońcu i deszczu dojrzewały im plony, a śnieg spadał po to, by umieli być wdzięczni. Po co były im drogi, dla jakich podróży? Widzieli przez góry. Leżeli w cieniu i przyglądali się pracy bobrów. Latem chłodził ich wiatr, w zimie grzały skóry zwierzęce. Walczyli z sobą, by dowieść, że są odważni. Byli dzielni, sprawiedliwi i szczęśliwi. Tu przerwał i raz jeszcze spojrzał wkoło, by się przekonać, czy tą opowieścią pozyskał sobie serca słuchaczy. Wszędzie widział utkwione w niego oczy, wzniesione głowy, rozdęte nozdrza. Wydawało się, że każdy z jego słuchaczy gotów jest sam jeden naprawić krzywdy, jakich doznało jego plemię.

— Jeżeli Wielki Duch kazał swym czerwonoskórym dzieciom mówić różnymi językami — smętnym półgłosem ciągnął Magua — to uczynił tak, aby rozumiały ich wszystkie zwierzęta. Niektóre z tych dzieci umieścił pośród śniegów obok ich krewnego — niedźwiedzia, innym kazał żyć w pobliżu zachodzącego słońca, po drodze do pól szczęśliwych łowów. Inni znów żyją w kraju nad słodkimi wodami, ale najliczniejszych, tych, których ukochał, osadził na piaszczystym brzegu słonego jeziora. Czy moi bracia wiedzą, jak nazywa się ten lud wybrany?

— Lenapowie! - jednocześnie zawołało ze dwadzieścia głosów.

— Tak, to byli Lenni Lenapowie — powtórzył Magua i z szacunkiem schylił głowę, jakby składał hołd ich dawnej wielkości. — To były plemiona Lenapów. Słońce wstawało ze słonej wody, zapadało w słodką i nigdy nie schodziło im z oczu. Lecz czemu to ja, Huron z puszczy, opowiadam temu mądremu narodowi jego własne podania? Czemu miałbym przypominać mu jego krzywdy, dawną wielkość, wspaniałe czyny, sławę i

szczęście, straty, klęski i biedę? Czyż żaden z was tego nie widział, nie wie, że to prawda? Skończyłem. Język mój zamilkł, bo moje serce jest ciężkie jak ołów. I słucham.

Gdy Magua nagle skończył, wszystkie oczy i twarze jak na komendę zwróciły się ku otoczonemu powszechną czcią Tamenundowi.Starzec, od chwili gdy usiadł, nie otworzył ust i nie dał znaku życia. Siedział słaby, przygarbiony wiekiem i zdawał się nawet nie widzieć pojedynku na strzelby, w którym zwiadowca tak wspaniale dowiódł swej zręczności we władaniu bronią palną. Lecz później najwidoczniej do jego świadomości dotarł umiejętnie tonowany głos Maguy, bo począł zdradzać zainteresowanie i parę razy nawet uniósł głowę, jakby uważnie słuchał. A kiedy zręczny Huron po imieniu nazwał jego plemię, starzec uniósł powieki i spojrzał na zebrany tłum martwym wzrokiem widma. Zebrał siły i wstał podtrzymywany przez swych dwóch towarzyszy. Chwiał się z osłabienia, a jednak jego dumna, majestatyczna postać budziła szacunek i nakazywała posłuch.

— Kto tu mówi o dzieciach Lenapów — powiedział głębokim, gardłowym głosem, który donośnie brzmiał w grobowej ciszy tłumu. — Kto wspomina przeszłość? Czyż z jajka nie wylęga się robak, a z robaka mucha, *co* ginie? Po *co* mówić Delawarom o minionym szczęściu? Podziękujcie lepiej Manitou za to, co wam zostało.

— To Wyandot — odparł Magua podchodząc do prymitywnego podniesienia, na którym stał starzec — przyjaciel Tamenunda.

— Przyjaciel! — powtórzył Indianin i groźnie zmarszczył brwi, *co* przywróciło jego oczom część tej surowości, z której słynął, gdy był w pełni sił. — Czy Mingowie zawładnęli już całą ziemią? Czego od nas chce Huron?

— Żąda sprawiedliwości. Przyszedł po swą własność. Po jeńców, których ma u swych braci.

Tamenund skłonił głowę ku jednemu z wodzów, którzy go podtrzymywali, i wysłuchał krótkiego wyjaśnienia. Potem znów

odwrócił się do Maguy i przyjrzał mu się bardzo uważnie. Po chwili powiedział cicho i niechętnie:

— Sprawiedliwość to prawo Wielkiego Manitou. Dzieci moje, nakarmcie przybysza, a potem, Huronie, zabierz, co twoje, i odejdź.

Wydawszy ten uroczysty wyrok zgrzybiały starzec znów usiadł i zamknął oczy, jakby się lepiej czuł obcując ze wspomnieniami niż z otaczającą *go* rzeczywistością. Żaden z Delawarów nie odważył się nawet otworzyć ust, a cóż dopiero przeciwstawić się woli starego wodza. Ledwie więc wydał wyrok, pięciu młodych wojowników otoczyło Heywarda i zwiadowcę. Zwinnie i szybko skrępowali im ręce. Heyward był tak zajęty wpół omdlałą Alicją, że nawet nie zauważył, jak się to stało. Zwiadowca zaś, który nawet wrogich sobie Delawarów uważał za plemię godne szacunku, poddał się bez sprzeciwu. Co prawda gdyby rozumiał język, w jakim mówił Magua, może by się zdobył na opór.

Zanim Magua przystąpił do wykonania swego planu, powiódł po zebranych triumfującym spojrzeniem; Widząc, że jeńcy są już bezsilni, spojrzał na tę z branek, którą najwięcej sobie cenił. Kora odpowiedziała mu spojrzeniem tak spokojnym i nieulękłym, że na chwilę się zmieszał. Ale zaraz przypomniał sobie swój poprzedni podstęp, porwał Alicję z rąk wojownika, który ją podtrzymywał, i skinąwszy rozkazująco na Heywarda, gestem nakazał tłumowi, aby ustąpił mu drogi. Kora jednak, zamiast pobiec za nim, na co czekał, przypadła do nóg starego wodzą i zawołała:

— Sprawiedliwy i czcigodny Delawarze, odwołujemy się do twej mądrości i władzy! Błagamy cię o litość. Nie słuchaj tego chytrego potwora bez czci i sumienia, który kłamstwami zatruwa twoje uszy, by zaspokoić żądzę krwi. Żyjąc tak długo widziałeś, wiele nieprawości tego świata i potrafisz ulżyć niedoli uciśnionych.

Starzec uniósł ciężkie powieki i raz jeszcze spojrzał z góry na tłum. Gdy do jego osłabionego słuchu dotarł błagalny, wstrząsający głos Kory, wolno odwrócił się ku niej i wreszcie

zatrzymał na niej wzrok. Kora klęczała przed nim. Złożone dłonie mocno przycisnęła do piersi,i oczami wzniesionymi w górę, podobna do pięknego posągu kobiety, z niemą czcią wpatrywała się w zwiędłe, lecz majestatyczne oblicze starca. Surowe rysy Tamenunda zmiękły: podziw zastąpił pustkę, a błysk tego potężnego ducha, który sto lat temu potrafił tchnąć młodzieńczy zapał w liczne plemię Delawarów, rozjaśnił jego starczą twarz. Bez trudu wstał o własnych siłach i zapytał głosem niespodziewanie mocnym i dźwięcznym:

— Kim jesteś?

— Kobietą. Ze znienawidzonej rasy, jeśli chcesz wiedzieć. Z plemienia Anglików. Ale nigdy nie zrobiłam ci nic złego i nic złego nie zrobiłabym twemu ludowi, nawet gdybym mogła. A teraz błagam cię o ratunek.

— Powiedzcie mi, moje dzieci, gdzie obozują Delawarzy? — nie odrywając oczu od Kory ochrypłym głosem zapytał starzec wodzów siedzących obok niego.

— W górach Irokezów, za przeźroczystymi źródłami Horicanu.

— Minęło wiele upalnych lat od czasu, gdy po raz ostatni piłem wodę z własnych rzek — ciągnął stary mędrzec — Dzieci Minguona są najsprawiedliwsze z białych, ale zawsze miały pragnienie, więc zabrały nam rzeki. Czy Jengizi pogonili za nami aż tutaj?

— Nie goniliśmy za nikim i niczego nie łakniemy. Wbrew naszej woli uprowadzono nas i oddano w wasze ręce. Prosimy tylko, abyśmy mogli w spokoju powrócić do swoich. Czyż nie jesteś Tamenundem… ojcem i sędzią a nawet prorokiem tego narodu?

— Tak, jam jest Tamenund, który przeżył tyle lat.

— Siedem lat temu na granicy tej prowincji jeden z twoich wojowników znalazł się w mocy białego wodza. Zapewniał, że należy do rodu szlachetnego i sprawiedliwego Tamenunda. „Idź w pokoju” — powiedział biały. — Przez wzgląd na twego ojca daruję ci życie”. Czy pamiętasz nazwisko tego angielskiego wodza?

— Pamiętam, że gdy byłem beztroskim chłopcem — odparł mędrzec tonem starca, który wspomina dawne czasy — stałem na piaszczystym brzegu i patrzyłem na wielką łódź ze skrzydłami bielszymi od łabędzich i szerszymi od orlich, która nadpływała od wschodu słońca.

— Nie, nie. Nie mówię o tak dawnych czasach. Wspomniałam o łasce, jaką mój ojciec okazał twemu krewnemu za pamięci twych najmłodszych wojowników.

— Czy to było wtedy, kiedy Jengizi walczyli z Holendrami o tereny łowieckie Delawarów? Wówczas Tamenund był wodzem i po raz pierwszy zamienił łuk na błyskawicę bladych twarzy…

— I nie wtedy — przerwała mu Kora. — O wiele później. Mówię o tym, co wydarzyło się wczoraj. Na pewno, na pewno pamiętasz.

— Nie dalej jak wczoraj Lenapowie byli panami świata — podjął starzec ze wzruszającym patosem. — Ryby słonego jeziora, ptaki, zwierzęta i Mingowie z puszczy uznawali w nich swych wielkich wodzów.

Kora, rozczarowana, spuściła głowę. Przez chwilę walczyła z gorzką rozpaczą. Lecz znów podniosła piękną twarz i patrząc pałającym wzrokiem na starca powiedziała głosem tak samo wzruszającym jak jego głos, już nie z tego świata:

— Powiedz mi, Tamenundzie, czy jesteś ojcem?

Tamenund spojrzał na nią z podniesienia, na którym siedział, i łagodny uśmiech rozjaśnił jego starczą twarz. Później powoli powiódł wzrokiem po zebranych i odpowiedział:

— Ojcem narodu.

— Dla siebie o nic nie proszę. Jak ty i twój lud, czcigodny wodzu, uginam się pod przekleństwem, moich przodków — ciągnęła Kora, kurczowo przyciskając dłonie do serca. Z bólu pochyliła głowę tak nisko, że jej włosy opadające na ramiona, bujne, czarne, splątane i lśniące, niemal zakryły zapłonione policzki. — Ale oto ktoś, kto dotąd nie zaznał gniewu nieba.

Córka starego i złamanego nieszczęściem człowieka, którego dni są policzone. Wiele, bardzo wiele ludzi kocha ją i zachwyca

się nią… Jest za dobra… zbyt szlachetna, by paść ofiarą tego nędznika.

— Wiem, że blade twarze to rasa ludzi dumnych i nienasyconych. Wiem, że nie tylko chcą mieć wszystką ziemię na świecie, ale że i najgorszego spośród siebie uważają za lepszego od sachema czerwonoskórych. Ich psy i kruki — ciągnął ten najstarszy i najgodniejszy wódz Indian, nie zwracając uwagi na zranione uczucia Kory, która ze wstydu coraz niżej chyliła głowę i już prawie dotykała nią ziemi — warczałyby i krakały, nimby pozwoliły kobiecie obcej krwi, nie tak białej jak śnieg, przekroczyć próg ich wigwamu. Ale niech się zbyt głośno nie chełpią przed obliczem Manitou. Weszli do tego kraju od wschodu słońca, ale mogą wyjść od zachodu. Często widziałem, jak szarańcza pożerała liście drzew, które jednak potem zakwitły.

— To prawda — odparła Kora i ciężko westchnęła, jakby powracała do siebie z głębokiego odrętwienia. Uniosła głowę, odrzuciła w tył lśniące włosy i z pałającymi oczami, które kontrastowały ze śmiertelną bladością twarzy, mówiła dalej: — Ale czemu… lepiej nie pytajmy o to. Jest tu jeszcze jeden z twego ludu, który nie stanął przed tobą. Więc zanim pozwolisz odejść triumfującemu Huronowi, jego wypytaj.

Jeden z wodzów towarzyszących Tamenundowi zauważył jego niepewne spojrzenie i rzekł:

— To wąż… czerwonoskóry na żołdzie Jengizów. Poddamy go torturom.

— Niech przyjdzie — odrzekł mędrzec.

I znów ciężko usiadł. A gdy paru młodych wojowników odeszło, by spełnić jego krótki rozkaz, zapadła tak głęboka cisza, że słychać było wyraźnie szmer liści w puszczy, kołysanych tchnieniem lekkiego, rannego wietrzyka.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

*Jeśli mi przeczysz, plwam na wasze prawo!*
*Czymże są wasze weneckie dekrety?*
*Czekam na wyrok. Mów,* czy *go otrzymam.*

„Kupiec wenecki”

Żaden głos ludzki me przerwał pełnej niepokoju ciszy. Tłum zakołysał się, rozstąpił i zamknął, gdy Unkas stanął w żywym pierścieniu ludzi. Oczy wszystkich, dotychczas ciekawie wpatrzone w surowe rysy mędrca — źródło ich mądrości — natychmiast zwróciły się ku Unkasowi. Z ukrytym podziwem Indianie przyglądali się jego smukłej, zwinnej i pięknej postaci.

Młody Mohikanin stał niewzruszony, zupełnie obojętny i na sąd, który miał się nad nim odbyć, i na zaciekawienie, jakie wzbudził w tłumie. Bacznym i przenikliwym wzrokiem rozejrzał się wkoło. Z jednakowym spokojem patrzył na pochmurne i pełne nienawiści twarze wodzów i odpowiadał spojrzeniem na spojrzenia dzieciarni. Ale kiedy nareszcie wyniosłym i badawczym wzrokiem dotarł do postaci Tamenunda, zatrzymał się na niej, jakby zapomniał o otaczającym go tłumie. Po chwili wolnym i cichym krokiem podszedł do mędrca i stanął u jego podnóżka. Stał i pilnie przyglądał się staremu człowiekowi, który go nie widział. Wreszcie jeden z wodzów powiedział starcowi, że jeńca już sprowadzono.

— W jakim języku jeniec mówi z Manitou? — zapytał Tamenund nie unosząc powiek.

— W tym, jakim mówili jego ojcowie — odparł Unkas. — W języku Delawara.

Po tym niespodziewanym oświadczeniu przez tłum przeleciał głuchy pomruk — można by rzec — ryk podrażnionego lwa, złowróżbny znak budzącego się gniewu. Na mędrca słowa Unkasa podziałały równie silnie, choć inaczej okazał swe uczucia. Ręką przysłonił oczy, jakby się bronił przed haniebnym widokiem, i gardłowym, niskim głosem powtórzył odpowiedź jeńca.

— Delawar! Dożyłem chwili, kiedy ujrzałem Lenapów odpędzonych od ognisk narad i jak rozproszone stado jeleni błąkających się po górach Irokezów. Widziałem, jak w dolinach siekiery przybyszów waliły lasy, których oszczędziły wichury i burze. Widziałem zwierzęta z gór i ptaki znad puszczy żyjące w wigwamach człowieka. Ale nigdy nie widziałem Delawara tak nikczemnego, by jak żmija wśliznął się do obozowiska swego narodu.

— Śpiewające ptaki otworzyły dzioby, a Tamenund usłyszał ich świergot — odparł Unkas najbardziej śpiewnym tonem swego melodyjnego głosu.

Mędrzec drgnął i przechylił głowę, jakby chciał pochwycić przelotne dźwięki jakiejś przebrzmiałej melodii.

— Czy Tamenund śni?! — zawołał. — Czyj to głos brzmi w jego uszach? Czy czas się cofnął? Czy lato znów powróciło do Lenapów?

Po tych gwałtownych i urywanych pytaniach proroka Delawairów zapadła uroczysta cisza. Delawarzy święcie wierzyli, że ten niezrozumiały wybuch Tamenunda należy przypisać jednemu z jego tajemniczych i częstych obcowań z Wielkim Duchem. Z trwogą w sercu czekali wyniku tego objawienia. Po chwili cierpliwej ciszy jeden z wiekowych mężów widząc, że starzec zapomniał o jeńcu stojącym przed nim, ośmielił się o nim przypomnieć.

— Fałszywy Delawar drży ze strachu przed wyrokiem Tamenunda — rzekł. — To pies, który radośnie szczeka, gdy Jengizi wskażą mu trop.

— A wy jesteście psami, które merdają ogonami, gdy Francuz rzuci wam kość — odparł Unkas, groźnie rozglądając się wkoło.

Na tę obelgę i zasłużony zarzut dwudziestu wojowników poskoczyło do Unkasa i dwadzieścia obnażonych noży błysnęło w powietrzu. Lecz jeden z wodzów ruchem ręki powstrzymał ich i przywrócił spokój. Pewnie nie poszłoby mu to tak łatwo, gdyby nie Tamenund, który gestem wskazał, że znów chce mówić.

— Delawar — zaczął. — Nie jesteś wart tego imienia. Mój naród od wielu zim nie widział jasnego słońca, a wojownik, co porzucił swe plemię, gdy okrywały je ciemne chmury, jest podwójnym zdrajcą. Sprawiedliwe są prawa Manitou. Tak jest i tak będzie, dopóki rzeki płyną, góry stoją, a drzewa kwitną i więdną. Oddaję go wam, moje dzieci.

Wymierzcie mu sprawiedliwość.

Słuchali w milczeniu z zapartym oddechem i aż do ostatniego słowa tego wyroku nikt nawet nie drgnął. A potem, jakby z jednych ust, zerwała się burza mściwych okrzyków.— okrutna zapowiedź bezlitosnej zemsty. Wśród długotrwałego i dzikiego wrzasku jeden z wodzów donośnym głosem oznajmił, że jeńca skazano na straszną torturę ognia. Tłum rozpadł się i radosne okrzyki zmieszały się z gwarem towarzyszącym przygotowaniom do tortur. Heyward jak szalony walczył z trzymającymi go Indianami, Sokole Oko, niezwykle skupiony, rozglądał się wkoło zatroskanym okiem, Kora zaś znów padła do nóg starca i raz jeszcze błagała o łaskę.

W tej ciężkiej chwili tylko Unkas zachował pogodę ducha. Z zimną krwią przyglądał się przygotowaniom, a kiedy oprawcy podeszli, by go ująć, powitał ich z podniesionym czołem. Jeden z dzikich, jeszcze okrutniejszy i bardziej zaciekły niż inni, chwycił go za kołnierz myśliwskiej koszuli i jednym szarpnięciem zdarł mu ją z ciała. Potem wyjąc z szalonej radości doskoczył do Mohikanina, by go zaciągnąć na pal. Młody wódz wcale się nie bronił. Ale jego prześladowca, już w najwyższym zapamiętaniu, nagle stanął, jakby sparaliżowała go jakaś nadprzyrodzona siła, która wzięła Unkasa w obronę.

Zdawało się, że Delawarowi oczy wyszły z orbit, szeroko otworzył usta i skamieniał ze zdziwienia. Powolnym ruchem uniósł rękę i wskazał palcem na pierś jeńca. Jego towarzysze w niemym zdumieniu skupili się koło niego. Ich oczy również nie odrywały się od małego wizerunku błękitnego żółwia, pięknie wytatuowanego na piersi jeńca.

Przez krótką chwilę Unkas cieszył się swym triumfem i ze spokojnym uśmiechem przyglądał się całej scenie. Potem władczym i wyniosłym ruchem rozsunął tłum, wystąpił naprzód i zagłuszając donośnym głosem pomruk podziwu, powiedział z miną króla:

— Mężowie plemienia Lenni Lenapów! Mój ród dźwiga ziemię. Wasze słabe plemię stoi na moim pancerzu. Jakiż ogień rozpalony przez. Delawarów zdoła spalić mych ojców? — dorzucił wskazując dumnie na herb wytatuowany na piersi. — Krew mego rodu zgasi wasz płomień. Mój ród jest praojcem narodów!

— Ktoś ty? — zapytał Tamenund wstając na sam dźwięk głosu.

— Unkas, syn Ghingachgooka — skromnie odparł jeniec. Odwrócił się od tłumu i schylił głowę oddając cześć patriarsze. — Syn Unamisa.

—Nadchodzi ostatnia godzina Tamenunda! — zawołał mędrzec. — Nareszcie dzień chyli się ku schyłkowi. Dzięki ci, Manitou, że znalazł się ktoś, kto zajmie moje miejsce przy ognisku narad. Unkas, dziecię Unkasa, odnalazł się! Niech umierający orzeł spojrzy na wschodzące słońce.

Młodzieniec wbiegł lekko i dumnie na podwyższenie i ukazał się całemu podnieconemu tłumowi. Tamenund długo trzymał go w objęciach. Oczyma człowieka myślą zatopionego w szczęśliwej przyszłości uporczywie i badawczo przyglądał się, pięknym rysom Unkasa.

— Czy Tamenund znów jest chłopcem?! — zawołał wreszcie oszołomiony odkryciem. —Może mi się tylko śniły te liczne zimy… mój naród rozwiany jak ruchome piaski… Jengizi liczniejsi niż liście na drzewach. Strzały Tamenunda już się nie

ulęknie jelonek. Ramię Tamenunda zwiędło jak gałąź uschniętego dębu. Ślimak wyprzedzi go w biegu.. Ale oto Unkas znów stoi przed nim jak wówczas, gdy razem szliśmy przeciw bladym twarzom. Unkas — pantera plemienia, najstarszy syn Lenapów, najmędrszy *sagamore* Mohikanów. Powiedzcie mi, Delawarzy, czy Tamenund przespał sto zim?

Głęboka cisza wymownie świadczyła o szacunku, z jakim powitano te słowa patriarchy. Nikt nie ośmielił się odpowiedzieć i każdy z zapartym oddechem czekał, co będzie dalej. Aż wreszcie Unkas, który z czułością i uwielbieniem ukochanego dziecka patrzył w twarz starca, przerwał tę ciszę uważając, że tak mu wypada z urodzenia i przyznanej mu godności.

— Czterech wojowników z jego rodu żyło i umarło od czasu, gdy przyjaciel Tamenunda powiódł swój naród do walki — powiedział. — Wielu wodzów miało krew żółwia w sobie, ale wszyscy wrócili już do ziemi, z której powstali, z wyjątkiem Chingachgooka i jego syna.

— Prawda… prawda — odrzekł starzec. Nagle odżyło wspomnienie niedoli jego ludu i rozwiało radosne marzenia. — Nasi mędrcy często mówili o dwóch wodzach czystej krwi potomkach wielkiego rodu żyjącego w górach Jengizów. Czemuż to ich miejsce przy ognisku Delawarów tak długo było puste?

Na te słowa Unkas uniósł głowę pochyloną z szacunkiem i powiedział mocnym głosem, tak by go słyszano w tłumie i raz na zawsze zrozumiano postępowanie jego przodków.

— Ongiś sypialiśmy tam, gdzie słychać było gniewny głos słonego jeziora. Wtedy byliśmy wielkimi wodzami i władaliśmy całym krajem. Ale kiedy blade twarze pokazały się nad brzegami każdego strumienia, wróciliśmy za zwierzem do rzek naszych ojców. Delawarzy odeszli. Tylko kilku wojowników pozostało, by pić z ulubionego źródła. Wówczas ojcowie moi powiedzieli: „Tu będziemy polowali. Wody rzeki płyną do słonego jeziora. Jeżeli pójdziemy ku zachodzącemu słońcu, znajdziemy rzeki płynące ku wielkim słodkim jeziorom. Tam Mohikanie zginą jak ryby morskie w słodkiej wodzie. A kiedy

Manitou powie: Chodźcie, pójdziemy za rzeką ku morzu i odbierzemy, co było nasze". Oto, Delawarzy, wiara dzieci żółwia. Oczy nasze spoglądają ku wschodzącemu słońcu, nie ku zachodzącemu. Wiemy, skąd ono przychodzi, ale nie wiemy, dokąd odchodzi. Skończyłem.

Lenapowie słuchali tych słów z szacunkiem ludzi przesądnych i ulegli tajemnemu czarowi obrazowego języka, jakim przemawiał Unkas.. On zaś bacznie obserwował wrażenie swych słów i w miarę jak jednał sobie słuchaczy, wyzbywał się przybranego dumnego tonu. Gdy skończył, ogarnął spojrzeniem milczący tłum stłoczony wokół podniesienia, na którym siedział Tamenund, i dopiero wówczas dojrzał spętanego zwiadowcę. Szybko zeskoczył z podniesienia i utorował sobie drogę do przyjaciela. Tu błyskawicznymi i niecierpliwymi ruchami noża przeciął więzy krępujące zwiadowcę i skinął na tłum, by się rozstąpił. Indianie usłuchali w milczeniu i znów stanęli kołem. Unkas zaś ujął przyjaciela za rękę i podprowadził do stóp starca.

— Ojcze — powiedział — spójrz na tę bladą twarz. To sprawiedliwy człowiek i przyjaciel Delawarów.

— Czy to syn Minquona?

— Nie, wojownik słynny wśród Jengizów i postrach Makaów.

— Jakie nazwisko zyskały mu jego czyny?

— My nazywamy go Sokolim Okiem dla jego bystrego wzroku — odparł Unkas wymieniając nazwisko używane przez Delawarów — ale śmierć, którą siał wśród ich wojowników, pozwoliła Mingom lepiej go nazwać. Dla nich jest on Długą Strzelbą.

— La Longue Carabine! — wykrzyknął Tamenund. Otworzył przy tym oczy i surowo spojrzał na zwiadowcę. — Mój syn pobłądził nazywając go przyjacielem.

— Nazywam go tak, bo mim jest — z zupełnym spokojem i pewną miną odparł młody wódz. —Jeżeli Delawarzy z radością witają Unkasa, to i Sokole Oko przyjmą jako przyjaciela.

— Blada twarz zabiła moich młodych wojowników. Zasłynęła z ciosów zadanych Lenapom.

— Mingo, który tyle naplótł w uszy Delawarowi, dowiódł, że jest zwykłą sroką — odezwał się zwiadowca, który uznał, że nadszedł czas usprawiedliwienia się z hańbiących zarzutów. Mówił po delawarsku, ale nieco zmieniał ich obrazowy język dostosowując go do swoich pojęć. — Nie zapieram się, że zabijałem Makaów, i nie zaparłbym się tego nawet przed ich ogniskiem narad. Ale sprzeciwiałoby się to mej naturze, przyjaznej dla Delawarów, gdybym tą ręką świadomie skrzywdził któregoś z nich.

Cichy szmer uznania przeleciał przez tłum wojowników. Spojrzeli na siebie jak ludzie, którym otwarły się oczy.

— Gdzie jest Huron? — zapytał Tamenund. — Czy zatkał moje uszy?

Magua, którego uczucia na widok triumfu Unkasa łatwiej sobie wyobrazić niż opisać, śmiało wystąpił i powiedział:

— Sprawiedliwy Tamenund nie zatrzyma własności Hurona.

— Powiedz mi, synu mego brata — odparł mędrzec nie patrząc w ponurą twarz Maguy, lecz z miłością spoglądając na szczere oblicze Unkasa — czy przybysz ma do ciebie prawo zwycięzcy?

— Nie ma go. Pantera może wpaść w pułapkę zastawioną przez kobiety, ale jest dość silna i zręczna, by się z niej wyrwać.

— Długa Strzelba?

— Kpi sobie z Mingów. Huronie, zapytaj swe kobiety, jak wygląda prawdziwy niedźwiedź.

— A obcy i biała dziewczyna, którzy razem przybyli do mego obozu?

— Mają przed sobą wolną drogę.

— Kobieta, którą Huron pozostawił pod opieką moich wojowników?

Unkas milczał.

— A kobieta, którą Mingo sprowadził do mego obozu? — powtórzył Tamenund z wielką powagą.

— Jest moja! — krzyknął Magua, triumfalnie potrząsając ręką przed nosem Unkasa. — Mohikaninie, ty wiesz, że jest moja.

— Mój syn milczy — powiedział Tamenund. Starał się przy tym ze smutnej twarzy Unkasa, który się od niego odwrócił, odczytać, co go gnębi.

— Huron mówi prawdę — stłumionym głosem odrzekł Unkas.

Krótka i pełna napięcia cisza wyraźnie wskazała, z jaką niechęcią tłum uznał słuszne żądanie Maguy. Wreszcie mędrzec, od którego zależała decyzja, powiedział twardym głosem:

— Odejdź, Huronie.

— Czy tak, jak przyszedłem, Tamenundzie — zapytał chytry Magua — czy też z dowodem uczciwości Delawarów? Wigwam Przebiegłego Lisa jest pusty. Niech się zapełni tym, co należy do niego.

Starzec przez chwilę ważył coś w myślach, a potem schylił się do jednego z towarzyszących mu starych wojowników i zapytał:

— Czy moje uszy dobrze słyszały?

— Tak.

— Czy ten Mingo jest wodzem? — Pierwszym w swym plemieniu.

— Więc czego chcesz, dziewczyno? Wielki wojownik bierze cię za żoną. Twój ród nie zginie.

— Niech lepiej zginie! Stokroć to lepsze od takiej hańby! — zawołała Kora z odrazą.

— Huronie, dziewczyna myślami jest w wigwamie swych ojców. Żona niechętna mężowi nie uszczęśliwi jego chaty.

— Mówi językiem swego narodu — odrzekł Magua z gorzką ironią, patrząc na Korę. —Pochodzi z rodu handlarzy i targuje się o przyjazne spojrzenie. Tamenundzie, powiedz ostatnie słowo.

— Weź wampum i zapewnienie naszej przyjaźni.

— Nie chcę nic prócz tego, co wam powierzyłem.

— A więc odejdź z twoją własnością. Wielki Manitou każe, aby Delawarzy byli sprawiedliwi.

Magua podszedł do Kory i mocno chwycił ją za ramię.

Delawarzy odstąpili bez słowa, a Kora, jakby wiedziała, że opór na nic się nie zda, gotowa była pójść za nim.

— Stój, stój! — krzyknął Duncan i rzucił się naprzód. — Huronie, zlituj się! Weźmiesz okup i będziesz taki bogaty jak żaden Huron.

— Magua jest czerwono skorym i nie potrzebuje paciorków bladych twarzy.

— Złoto, srebro, proch, ołów… wszystko, co potrzebuje wojownik, znajdzie się w twoim wigwamie… wszystko, co należne wielkiemu wodzowi.

— Przebiegły Lis jest bardzo silny — krzyknął Magua, gwałtownie potrząsając ręką zaciśniętą na bezsilnym ramieniu Kory. — Zemścił się na swych wrogach!

— Wszechmocny Boże, czy do tego dopuścisz! — wołał Heyward składając dłonie w śmiertelnej męce. — Sprawiedliwy Tamenundzie, ciebie proszę o łaskę.

— Delawar już powiedział — odparł starzec zamykając oczy i osuwając się na miejsce zmęczony wysiłkiem umysłowym i fizycznym. — Mężczyzna ma tylko jedno słowo.

— Rozsądnie to i mądrze, że wódz nie traci czasu na odwoływanie tego, co powiedział — zaczął Sokole Oko, ruchem ręki dając znak Heywardowi, by milczał — ale przezorność każe wojownikowi wszystko dobrze rozważyć, zanim ciśnie tomahawkiem w głowę jeńca. Huronie, nie lubię cię i nie mogę też powiedzieć, abym się kiedykolwiek zlitował nad jakimś Mingiem. Trzeba też szczerze stwierdzić, że jeśli wojna się prędko nie skończy, sporo waszych wojowników spotka się ze mną w puszczy. Rozważ więc dobrze, czy wolisz wziąć do waszego obozu taką brankę, czy mnie, to jest człowieka, którego wasze plemię chętnie ujrzy bez broni w ręku.

— Czy Długa Strzelba chce zapłacić życiem za tę kobietę? — zapytał Magua i przystanął.

— Nie, nie. Aż tak wiele nie powiedziałem — odrzekł Sokole Oko i przezornie cofnął się o krok, gdy zobaczył, z jak żywym zainteresowaniem Magua wysłuchał propozycji. — Zamiana byłaby niesprawiedliwa: wojownik w kwiecie wieku i pełni sił za kobietę, choćby najcenniejszą na całym pograniczu. Ale zgodziłbym się odejść na zimowe leże już teraz, co najmniej

sześć tygodni wcześniej, nim liście zwiędną, pod warunkiem, że zwolnisz dziewczynę.

Magua potrząsnął głową i niecierpliwym ruchem kazał tłumowi się rozstąpić.

— A więc dobrze — powstrzymał go zwiadowca z miną człowieka, który nad czymś rozmyśla, ale jeszcze nic nie postanowił. — Dorzucę ci jeszcze Postrach Zwierząt do tego targu. Wierz słowu wytrawnego myśliwego: w żadnej prowincji nie znajdziesz takiej strzelby.

Magua nie raczył odpowiedzieć i usiłował rozsunąć tłum.

— A może — dodał zwiadowca tracąc spokój, w miarę jak rosła obojętność Maguy — doszlibyśmy do porozumienia, gdybym się zgodził nauczyć strzelać waszych wojowników?

Przebiegły Lis gwałtownym ruchem kazał rozstąpić się Delawarom, którzy otoczyli go zwartym kołem w nadziei, że wreszcie przystanie na korzystną propozycję. Jednocześnie zagroził im wzrokiem, że gotów jest znów odwołać się do niezawodnej sprawiedliwości ich proroka.

— Co się ma stać, stanie się wcześniej czy później — ciągnął Sokole Oko, z przygnębieniem i smutkiem spoglądając na Unkasa. — Nicpoń zdaje sobie sprawę ze swej przewagi i korzysta z niej. Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze. Znalazłeś przyjaciół wśród swego rodu i spodziewam się, że będą ci równie oddani jak czystej krwi biały, którego kiedyś spotkałeś. Ja, tak czy owak, wcześniej czy później, muszę umrzeć i na szczęście niewielu będzie mnie opłakiwało. Poza tym może tym leśnym diabłom i tak udałoby się zedrzeć mi skalp. W porównaniu z wiecznością jeden dzień czy dwa nie robi różnicy. Niech cię Bóg błogosławi — raz jeszcze powtórzył zwiadowca. Pochylił głowę na bok i nagle znów ją wyprostował, tęsknym wzrokiem wpatrując się w młodego wodza. — Kochałem was obu, ”ciebie i twego ojca, choć jesteśmy odmiennego koloru skóry i różnych upodobań. Powiedz, *sagamore,* że w najcięższych troskach nie zapomniałem o nim. A ty czasem, gdy wpadniesz na dobry trop, pomyśl o mnie. Pamiętaj też, chłopcze, że czy jest jedno niebo, czy dwa, na

tamtym świecie jest jedna dróżka, na której uczciwi ludzie znów się zejdą. Mój sztucer znajdziesz tam, gdzieśmy go ukryli. Zachowaj go na pamiątkę po mnie. I posłuchaj: skoro jako Indianinowi wolno ci się mścić, nie żałuj zemsty przeklętym Mingom. To ci ulży i złagodzi ból po mojej stracie. Huronie, zgadzam się na twoje żądanie. Zwolnij kobietę. Jestem twym jeńcem.

Na te szlachetne słowa stłumiony, lecz wyraźny szmer uznania przeszedł przez tłum Delawarów. Nawet najbardziej okrutni wojownicy wyrazili zadowolenie z tej prawdziwie męskiej ofiary. Magua przystanął, jakby się wahał. Minęła chwila pełna niepokoju. Ale potem spojrzał na Korę z zachwytem i nienawiścią. Powziął nieodwołalną decyzję. Uniósł głowę pogardliwie i twardym, zdecydowanym tonem odmówił zwiadowcy.

— Przebiegły Lis jest wielkim wodzem i ma tylko jedno słowo. Chodź! — dorzucił i aż nadto poufałym ruchem położył dłoń na ramieniu Kory, by ją popchnąć naprzód. — Huron nie jest gadułą. Idziemy.

Na ten obelżywy ruch Kora z kobiecą godnością cofnęła się. Jej ciemne oczy zapłonęły, a krew zaróżowiła skronie, jakby jasny promień zachodzącego słońca przesunął się po nich.

— Jestem twoją branką i kiedy nadejdzie czas, pójdę za tobą choćby na śmierć. Przemoc jest niepotrzebna — powiedziała spokojnie i zwracając się do Sokolego Oka dodała: — Szlachetny myśliwy, dziękuję ci z całej duszy. Twoja ofiara jest jednak daremna i nie przyjęłabym jej. Ale możesz mi oddać usługę większą, niż zamierzałeś. Spójrz na to słabe, biedne dziecko. Nie opuszczaj jej, dopóki nie odprowadzisz do osady cywilizowanych ludzi. — I ściskając twardą dłoń zwiadowcy dodała: — Nie chcę mówić, że jej ojciec cię nagrodzi, bo tacy jak ty gardzą ziemską nagrodą. Lecz będzie cię błogosławił i będzie ci wdzięczny. A wierz mi, że błogosławieństwo sprawiedliwego starca jedna łaskę Boga. O Boże, gdybym w tej strasznej chwili mogła usłyszeć jego błogosławieństwo… — jej głos załamał się i na chwilę umilkła. Potem podeszła do Duncana

podtrzymującego omdlałą Alicję i dalej mówiła tonem bardziej miękkim, w którym miłość walczyła z kobiecym wstydem. — Nie potrzebuję cię prosić, abyś dbał o skarb, który chcesz posiąść. Kochasz ją, Heywardzie, a to uczyniłoby cię ślepym na wady, nawet gdyby je miała. Jest tak dobra, miła, łagodna i czuła, jak tylko kobieta być może. Nawet najdumniejszy z mężczyzn nie zdołałby jej nic zarzucić. I jest piękna… niezwykle piękna… — ze smutkiem położyła ładną, choć lekko śniadą rękę na alabastrowym czole Alicji, palcami rozdzieliła złociste loki spadające jej na oczy i mówiła, dalej: — Tak, dusza jej jest czysta i nieskalana jak jej skóra. Mogłabym dużo powiedzieć… być może więcej, niż nakazuje zimny rozsądek, ale chcę oszczędzić siebie i ciebie, Duncanie… — ostatnie słowa wymówiła szeptem i trudno je było zrozumieć. Pochyliła się nad Alicją, potem gorąco ucałowała ją, podniosła się i śmiertelnie blada, lecz z suchymi rozgorączkowanymi oczami odwróciła się do Maguy i powiedziała wyniosłym tonem. — Teraz, sir, jestem gotowa pójść za tobą.

— Idź precz, Magua! — krzyknął Duncan oddając zemdloną Alicję jednej z indiańskich dziewcząt. — Precz, precz! Delawarom ich prawo zabrania cię zatrzymać, ale mnie… mnie to nie obowiązuje. Precz, wstrętny potworze… Na co jeszcze czekasz?

Trudno opisać twarz Maguy, gdy słuchał tych pogróżek. W pierwszej chwili jakby doznał szalonej radości, ale zaraz przybrał wyraz zimnego sprytu.

— Puszcza stoi otworem. Szczodra Ręka może pójść za mną — odrzekł krótko.

— Stój! — krzyknął Sokole Oko chwytając Duncana za ramię i zatrzymując go siłą. — Nie zna pan chytrości tego szatana. Wciągnie pana w zasadzkę, a twoja śmierć…

— Huronie — nagle wtrącił się Unkas. Posłuszny zwyczajom swego narodu dotychczas z powagą pilnie przysłuchiwał się Wszystkiemu. — Huronie, sprawiedliwość Delawarów to prawo Wielkiego Manitou. Spójrz na słońce. Stoi na wysokości górnych

gałęzi tej sosny. Twoja droga jest otwarta i krótka. Kiedy słońce znajdzie się nad drzewami, wojownicy ruszą twoim śladem.

— Słyszę głos wrony! — zawołał Magua śmiejąc się szyderczo. — Precz! —dorzucił grożąc tłumowi, niechętnie rozstępującemu się przed nim. — Gdzie są spódnice Delawarów? Przyślijcie swe strzały i strzelby Wyandotom. Dostaniecie za nie mięsa i kukurydzy. Psy, tchórzliwe zające, złodzieje… Pluję na was!

W głuchej, złowieszczej ciszy słuchali Delawarzy tych pożegnalnych szyderstw. A triumfujący Magua bez przeszkód, chroniony przez święte u Indian prawo gościnności, wszedł w las wiodąc za sobą uległą brankę.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Fluelen:
*Jak to! Sabijać chłopców i pachołków!*
*To jest fyraźnie przeciw prafu fojny!*
*To straszne łotrostwo, pofiadam ci, jakiego*
*świat nie fidział.*

”Henryk V”

Tłum stał skamieniały, jakby urzeczony tajemnymi mocami, przyjaznymi Huronowi. Ale gdy Magua wraz ze swą branką zginął Delawarom z oczu, ogarnął ich szalony gniew. Unkas stał nieruchomo na podniesieniu i patrzył za Korą, póki barwa jej sukienki nie połączyła się z zielenią drzew, Wtedy zszedł z podniesienia, bez słowa przeszedł przez tłum i zniknął w chacie, z której niedawno go wyprowadzono. Kilku poważniejszych i bardziej spostrzegawczych wojowników zauważyło, gdy ich mijał, gniewne błyski w jego oczach i poszło za nim. Zaraz też odprowadzono do chat Tamenunda i Alicję, a kobietom i dzieciom kazano się rozejść. Przez następną, decydującą godzinę cały obóz przypominał rój podrażnionych pszczół, czekających na swą królową, by poderwać się z nią do dalekiego i ważnego lotu.

Wreszcie z chaty Unkasa wyszedł młody wojownik. Wolno, jakby w uroczystym marszu, podszedł do karłowatej sosny rosnącej w szczelinie skalnego tarasu, zdarł z niej korę i bez

słowa powrócił do chaty. Zaraz po nim wyszedł drugi wojownik, który ściął gałęzie z drzewa, pozostawiając tylko nagi pień. Trzeci Indianin pokrył go ciemnoczerwonymi pasami farby.

Mężczyźni przyglądający się tym czynnościom, które mówiły o wojowniczych zamiarach wodzów, powitali je ponurym i złowrogim milczeniem. W końcu ukazał się Unkas, już bez myśliwskiej koszuli, tylko w pasie na biodrach i w krótkich spodniach. Twarz do połowy pokrywała mu groźna chmura czarnej farby.

Wolnym, godnym krokiem podszedł do słupa i miarowo począł krążyć wokół niego w jakimś pradawnym tańcu. Śpiewał przy tym głośno dziką i nierytmiczną pieśń wojenną. Melodia wznosiła się i opadała od najwyższych do najniższych granic ludzkiego głosu. Raz brzmiała smętnie i tak rzewnie, że przypominała śpiew ptaków. Potem zmieniała się nagle i głębokimi, silnymi tonami przyprawiała słuchaczy o dreszcze. Sama pieśń była skąpa w słowa — które zresztą powtarzały się często — i stopniowo przechodziła od jakby zaklęć czy hymnu na cześć bóstwa do krótkiego wyjaśnienia zamiarów wojownika. Kończyła się, podobnie jak i zaczęła, wezwaniem do Wielkiego' Ducha i oddaniem się pod jego opiekę. Gdyby można było przełożyć zwięzłe i melodyjne słowa Unkasa, to wspomniana oda brzmiałaby mniej więcej tak:

Manitou! Manitou! Manitou! Jesteś wielki, sprawiedliwy. Manitou! Manitou! Jesteś mądry.

Pośród chmur na niebie widzę,

O! Wiele ciemnych plam czerwonych.

O! Na niebie widzę Krwawe chmury.

W lasach i w powietrzu słyszę, O! Przeraźliwy krzyk wojenny. O! W lasach wycie słyszę Wojowników!

Manitou! Manitou! Manitou! Jestem słaby — tyś jest mocny. Manitou! Manitou! Dopomożesz mi.

Pod koniec każdej, jeśli można to tak nazwać, strofy Unkas podnosił głos i przeciągał ostatnią nutę tak, aby odbijała się w niej treść uczuciowa zwrotki. Pierwsze zakończenie było uroczyste i wyrażało głębokie uwielbienie. Drugie, opisowe,

miało w sobie coś niepokojącego. Trzecie było dobrze znanym strasznym okrzykiem wojennym, który w ustach młodego wojownika brzmiał jak odgłos potwornego zgiełku bitewnego. Ostatnie, podobne do pierwszego, było pokorne i błagalne. Trzy razy powtórzył Unkas tę pieśń i trzy razy obszedł słup w wojennym, tańcu.

Przy końcu pierwszego okrążenia jeden z poważnych i cieszących się ogólnym szacunkiem wodzów poszedł za przykładem Unkasa intonując własną pieśń, jednak o tej samej melodii. Wojownicy, jeden za drugim, dołączali się do nich, aż wszyscy wybitni Delawarzy znaleźli się w kole tańczących. Widowisko budziło grozę. Dzikie twarze wodzów nabierały wyrazu okrucieństwa, w miarę jak wytężając gardła podniecali się swym śpiewem. Gdy podniecenie doszło do szczytu, Unkas głęboko wbił tomahawk w nagi pień i wydał przeraźliwy okrzyk wojenny. Oznaczało to, że sam poprowadzi wyprawę.

Na ten zew zbudziły się w Delawarach dzikie instynkty. Młodzi — około stu wojowników — którzy z szacunku dla starszych trzymali się z dala, tłumnie podbiegli do symbolicznego wroga i porąbali go na kawałki, odłupując szczapę po szczapie, aż wreszcie z drzewa pozostały tylko korzenie w ziemi. Wśród nieopisanego zgiełku poddano kawałki drzewa najokrutniejszym torturom niczym prawdziwego wroga. Jedne skalpowano, inne zaciekle siekano tomahawkami, jeszcze inne dźgano nożami. Krótko mówiąc objawy zapału i dzikiej radości były tak dobitne, że rychło stało się oczywiste, iż Delawarzy uznali wyprawę za wojnę narodową.

Unkas zadawszy cios drzewu wycofał się z koła i spojrzał na słońce, które właśnie znalazło się w miejscu oznaczającym koniec zawieszenia broni z Maguą. Okrzyk bojowy, któremu towarzyszył wyrazisty gest, ogłosił o tym Delawarom. Podniecony tłum poniechał symbolicznej wojny i z radosnymi okrzykami i wyciem począł się przygotowywać do prawdziwej walki na śmierć i życie.

Obozowisko natychmiast zmieniło swój wygląd. Wojownicy uzbrojeni i pokryci malowidłami wojennymi umilkli, jakby mieli serca z kamienia. Natomiast kobiety wybiegły z chat śpiewając radośnie i zawodząc, tak że trudno było określić, co przeważa: wesele czy smutek. Wszystkie jednak coś robiły. Jedne dźwigały najcenniejszy dobytek, inne najmłodszą dziatwę, jeszcze inne prowadziły starców i chorych. Wszystkie szły w puszczę zaścielającą zbocze góry jasnozielonym dywanem. Tam też po krótkiej i wzruszającej rozmowie z Unkasem udał się Tamenund. Starzec rozstał się z nim niechętnie, jak ojciec, który po długich latach właśnie odnalazł zaginionego syna, a teraz znów go traci. Był jednak zupełnie spokojny. Duncan odprowadził Alicję w bezpieczne miejsce; potem z miną, która wyraźnie świadczyła o jego bojowym zapale, odszukał zwiadowcę.

Sokole Oko zbyt dobrze znał pieśń wojenną i przygotowania Indian do walki, by się nimi interesować.. Od czasu do czasu spoglądał tylko, ilu wojowników staje przy Unkasie i co są warci. Niebawem uspokoił się, widząc, że jest ich wielu, bo jak już powiedzieliśmy, młody wódz szybko zyskał zaufanie wśród wszystkich zdolnych do walki Indian. Gdy już się przekonał, że wyprawa dobrze się zapowiada, wysłał małego chłopca po Postrach Zwierząt i strzelbę Unkasa, które ukryli przed wejściem do obozu Delawarów. Postąpili tak z dwóch powodów: by nie oddać broni, gdyby ich uwięziono, i aby się zjawić wśród Indian w korzystnej dla nich roli ludzi prześladowanych i bezradnych. Teraz zamiast pójść sam, wysłał chłopca po swą cenną broń. Uczynił to przez zwykłą sobie ostrożność. Wiedział, że Magua nie wyruszył sam do Delawarów i że jego szpiedzy czatują na skraju puszczy śledząc każdy ruch swych nowych wrogów. Gdyby więc sam poszedł po broń czy wysłał któregoś z wojowników, mogłoby się to źle skończyć. Natomiast dla chłopca niebezpieczny był tylko powrót z bronią. Kiedy Heyward podszedł do zwiadowcy, ten z zimną krwią czekał na wynik swego podstępu.

Sprytny chłopak, dokładnie pouczony, co ma robić, i dumny z okazanego mu zaufania, z dziecięcą beztroską i wiarą w siebie popędził przez polanę i wbiegł w puszczę w pobliżu miejsca, gdzie leżały ukryte strzelby. Gdy znalazł się pod osłoną drzew i krzaków, padł na ziemię. Widać było, jak jego smagłe ciało niby wąż przewija się ku upragnionemu skarbowi. Szczęście mu dopisało: za chwilę z szybkością strzały pędził wąską polaną leżącą u stóp skalistej płaszczyzny, na której rozbite było obozowisko Delawarów. Drogocenną zdobycz trzymał w rękach. Właśnie dobiegał do stromej skały i szybko, z nieprawdopodobną zręcznością począł się na nią wspinać, gdy wystrzał z lasu potwierdził przewidywania zwiadowcy. Chłopiec odpowiedział słabym, ale pogardliwym okrzykiem, na co zaraz wysłano za nim drugą kulę z innego punktu lasu. Ale chłopiec już się wdrapał na górę. Triumfalnie unosząc nad głową obie strzelby, ze zwycięską miną biegł do słynnego myśliwego, który powierzył mu tak zaszczytne zadanie.

Mimo szczerego zainteresowania losem swego wysłańca Sokole Oko z radością odebrał z rąk Postrach Zwierząt i natychmiast zapomniał o całym świecie. Uważnie obejrzał sztucer, z piętnaście razy spuścił kurek, wypróbował zamek i dopiero potem troskliwie wypytał chłopca, czy nie jest ranny. Malec dumnie spojrzał mu w twarz i milczał.

— Ach! Widzę, chłopcze, że kule łajdaków drasnęły ci ramię — powiedział zwiadowca podnosząc milczącej ofierze zranioną rękę, na której znać było głębokie draśnięcie. — Ale ugniecione liście olchy podziałają jak najlepsze zaklęcie. Tymczasem owinę ci ramię wstęgą wampumu. Wcześnie wszedłeś na drogę wojownika, dzielny chłopcze, i — zdaje się — zejdziesz do grobu z niejedną zaszczytną blizną. Znam sporo młodych wojowników, którzy zdobywali już skalpy, ale nie mają takiego znaku. Idź już, przyszły wodzu — zakończył owinąwszy ramię malca.

Chłopiec odszedł. Przechadzał się między rówieśnikami budząc w nich podziw i zazdrość, a nawet najpróżniejszy

dworzanin nie byłby tak dumny z purpurowej wstęgi orderu, jak on z przelanej krwi.

Delawarzy tak byli zajęci przygotowaniami do wyprawy, że nie zwrócili uwagi na to proste, młodzieńcze bohaterstwo i nie pochwalili chłopca, jakby to zrobili w spokojniejszej chwili. Ale dzięki niemu dowiedzieli się, gdzie są i co zamierzają wrogowie. Zaraz wysłali wojowników (lepiej nadających się do zadań bojowych niż słaby, choć dzielny chłopak), by wyparli ze skraju lasu Huronów, którzy się tam przyczaili. Z tym uporano się szybko, bo większość Huronów wycofała się, gdy tylko ich wykryto. Delawarzy ścigali ich dość daleko, ale w końcu bojąc się, by nie wpaść w zasadzkę, stanęli i czekali na dalsze rozkazy. A że obie strony przyczaiły się, puszcza znów była cicha i milcząca, jak zawsze w łagodny letni ranek.

Tymczasem Unkas, spokojny, *ale* niecierpliwy, zebrał wodzów i podzielił siły. Przedstawił im Sokole Oko. Powiedział, że jest to doświadczony wojownik, który zasługuje na pełne zaufanie. A kiedy przyjęto go życzliwie, powierzył mu dowództwo nad dwudziestoma Indianami, jak on zręcznymi, obrotnymi i gotowymi na wszystko. Potem wyjaśnił Delawarom, jaką rangę w angielskim wojsku ma Heyward, i chciał mu zlecić równie ważne zadanie. Heyward jednak zgłosił się na ochotnika do oddziału zwiadowcy. Po wydaniu tych rozkazów Unkas podzielił funkcje i zadania między indiańskich wodzów, a że czas naglił, dał rozkaz wymarszu. Ponad dwustu ochotników usłuchało *go z* radością, choć w milczeniu.

Bez żadnych przeszkód weszli w puszczę. Nie spotkali żywego ducha, nikogo, kto by ich zaczepił lub też mógł im udzielić wiadomości. Wreszcie dotarli do linii własnego zwiadu. Tu się zatrzymali, a Unkas wezwał wodzów na cichą naradę.

Omówiono wiele planów, ale żaden nie odpowiadał zapalczywemu Unkasowi. Gdyby uległ swej gorącej krwi, bez namysłu powiódłby wojowników do ataku i rzucił wszystko na jedną kartę. Takie postępowanie sprzeciwiało się jednak zwyczajom i poglądom Indian. Więc choć nieustannie lękał się o Korę i dyszał nienawiścią do bezczelnego Maguy, choć

buntował się w duchu i klął indiańską ostrożność, musiał ulec radom wojowników.

Po dość długich i bezowocnych naradach Indianie nagle ujrzeli jakiegoś mężczyznę, biegnącego od strony wroga z takim pośpiechem, jakby był parlamentariuszem. Ale o jakieś sto jardów od kryjówki Delawarów człowiek ten zawahał się, jakby nie wiedział, dokąd iść, i przystanął. Indianie spojrzeli na Unkasa i czekali na rozkazy.

— Sokole Oko — półgłosem powiedział młody wódz — ten człowiek musi zamilknąć na wieki.

— A zatem wybiła jego godzina — krótko zawyrokował zwiadowca. Wysunął przez liście długą lufę swego sztucera i celował uważnie. Ale zamiast pociągnąć za cyngiel, opuścił sztucer i roześmiał się cicho jak zwykle. — Wziąłem tego wariata za Mingo. A to grzesznik ze mnie! — powiedział. — Ale gdy patrzyłem, pod które żebro wpakować mu kulę… Unkasie, czybyś pomyślał… dostrzegłem fujarkę psalmisty… A więc to Gamut. Jego śmierć nikomu na nic się nie zda, życie natomiast, jeśli potrafi nie tylko śpiewać, lecz i mówić, może się nam przydać. Da Bóg, że dźwięki nie straciły wartości dla tego poczciwego chłopa, wdam się więc z nim w rozmowę głosem, który będzie dlań przyjemniejszy od głosu Postrachu Zwierząt.

To mówiąc Sokole Oko odłożył sztucer i pod osłoną krzaków podpełzł do Dawida na odległość głosu. Tu usiłował powtórzyć ten sam śpiew, który tak pewnie i z honorem przeprowadził go przez wieś Huronów. Lecz trudno było oszukać wytrawny słuch Gamuta, a prawdę mówiąc nikt nie potrafiłby tak fałszować jak Sokole Oko. Dawid, który już raz w życiu słyszał naszego wyjca, od razu poznał, kto śpiewa. Nieborakowi jakby kamień spadł z serca: poszedł za dźwiękiem głosu — co wymagało od niego większego hartu ducha niż zaatakowanie baterii armat — i odnalazł ukrytego śpiewaka.

— Ciekawym, co o tym pomyślą Huroni — śmiejąc się powiedział zwiadowca i ująwszy Dawida za ramię pociągnął go w głąb lasu. — Jeżeli nas usłyszą, pomyślą, że jest dwóch wariatów zamiast jednego. Tu już jesteśmy bezpieczni — mówił

wskazując na Unkasa i Indian. — No, opowiedzże nam teraz w uczciwym angielskim języku, bez tych tra-la-la, co wymyślili przeklęci Mingowie.

Oniemiały Dawid wybałuszył oczy na otaczających go dzikich i okrutnych wojowników. Ale ośmielony widokiem znanych twarzy szybko na tyle przyszedł do siebie, że mógł odpowiedzieć z sensem.

— Poganie wylegli licznie — mówił — i obawiam się, że w złych zamiarach. Godzinę temu wyli, wrzeszczeli i weselili się w swych chatach, ku obrazie boskiej, tak okropnie, że — prawdę mówiąc — zmusiło mnie to do ucieczki i szukania spokoju u Delawarów.

— Niewiele by pan skorzystał na tej zamianie, gdybyś był szybszy w nogach — sucho odparł zwiadowca. — Ale dajmy temu spokój. Gdzie Huroni są teraz?

— Czają się w puszczy między nami a ich wioską. A jest ich tylu, że lepiej będzie, jeśli zawrócicie z drogi.

Unkas rzucił okiem na drzewa, za którymi kryli się jego wojownicy, i zapytał:

— A Magua?

— Jest z nimi. Przyprowadził panią, która przebywała wśród Delawarów, zamknął ją w pieczarze i ruszył jak wściekły wilk na czele swych Indian. Nie wiem, co go mogło tak rozsierdzić.

— Mówisz, że zamknął ją w pieczarze?— przerwał mu Heyward. — Dobrze, że wiemy, gdzie to jest. Co zrobić, by ją zaraz uwolnić?

Unkas spojrzał na zwiadowcę i zapytał:

— Co powie Sokole Oko?

— Daj mi dwadzieścia strzelb, a pójdę w prawo wzdłuż strumienia. Przejdę koło żeremi bobrów i połączę się z *sagamore* i pułkownikiem. Dam wam stamtąd znać o sobie okrzykiem bojowym. Przy tym wietrze słychać go będzie na milę. Wtedy, Unkasie, ruszysz na nich z frontu. Gdy zbliżymy się do nich na odległość strzału, poczęstujemy ich ogniem. Ręczę słowem starego pogranicznika, że złamiemy ich linię jak jesionowy łuk. Potem zdobędziemy wieś, oswobodzimy panią i

wreszcie skończymy z całym plemieniem albo taktyką białych, od jednego zwycięskiego uderzenia, albo zwyczajem Indian: chytrością i podstępem. Ten plan, majorze, nie jest pewnie uczony, ale przy odwadze i wytrwałości może się udać.

— Bardzo mi się podoba — zawołał Duncan, widząc, że plan zmierza do szybkiego uwolnienia Kory. — Bardzo mi się podoba. A więc do dzieła!

Na krótkiej naradzie rozwinięto plan zwiadowcy, wyjaśniono go oddziałom, uzgodniono sygnały i każdy z wodzów ruszył na wyznaczone mu stanowisko.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

*Zaraza będzie wspierała pożary,*
*Póki Królowa zapłacić nie zechce*
*Okupu Chryzie, modrookiej dziewce.*

Pope

Gdy Unkas wydawał rozkazy swym wojownikom, puszcza drzemała w ciszy, tak jak wyszła spod ręki Stwórcy, pozornie bezludna, nie licząc oczy' wiście wodzów zebranych na naradzie. Między drzewami, w cienistej perspektywie daremnie szukałoby się wzrokiem czegoś, co zakłócałoby cichy i spokojny krajobraz. Od czasu do czasu słychać było, jak ptak przelatuje z gałęzi na gałąź wysokich buków albo jak spada orzech strącony przez wiewiórkę. Te szmery przykuwały uwagę wojowników. Ale gdy cichły, znów tylko wiatr leciutko szemrał w koronach drzew rozległej, zielonej i sfalowanej puszczy, rzadko gdzie przerywanej rzeką lub gładką powierzchnią jeziora. Ciszą leśnego pasa między obozowiskiem Delawarów a wsią Huronów była tak wielka, jakby nigdy nie' postała tam ludzka noga. Ale Sokole Oko, który pierwszy miał rzucić się w śmiałe przedsięwzięcie, zbyt dobrze znał naturę swych wrogów, by ufać tej zdradliwej ciszy.

Kiedy mały oddział zebrał się przy nim, wziął Postrach Zwierząt na ramię i dał znak wojownikom, by poszli za nim. Cofnął się o kilkadziesiąt jardów do niewielkiego potoku, który przeszli przed chwilą, i przystanął. Poczekał, aż wszyscy

wojownicy z poważnymi i bystrymi minami zebrali się koło niego, i zapytał w narzeczu Delawarów:

— Czy któryś z moich wojowników wie, dokąd zaprowadzi nas ten strumień?

Jeden z Delawarów wyciągnął rękę z dwoma rozstawionymi palcami i wskazując na ich nasadę, odpowiedział:

— Nim słońce przejdzie całą drogę, mała woda będzie w dużej — i dodał wskazując na strumień: — obie mają dość wody dla bobrów.

— Tak przypuszczałem sądząc z jego biegu i kierunku gór — rzekł zwiadowca i spojrzał na niebo przez lukę w gałęziach. — Pójdziemy pod osłoną jej brzegów, aż wytropimy Huronów.

Wojownicy zwykłym, krótkim okrzykiem wyrazili zgodę, ale kiedy spostrzegli, że zwiadowca już rusza, by ich poprowadzić, dwóch z nich dało mu znak, że o czymś zapomniał. Sokole Oko natychmiast zrozumiał ich wymowne spojrzenia, odwrócił się i ujrzał Dawida idącego za oddziałem.

— Przyjacielu, czy wiesz — zapytał poważnie i z odcieniem dumy z własnego znaczenia — że temu oddziałowi zuchów poruczono najbardziej niebezpieczne zadanie? Że dowodzi nimi człowiek, który — choć kto inny może miałby większe prawo tak mówić — nie pozwoli im na bezczynność? Jeśli nie za pięć minut, to za pół godziny przejdziemy po ciałach Huronów, żywych czy martwych.

— Choć mnie nie uprzedzono o pańskich zamiarach — odparł Dawid z rumieńcem na twarzy i pałającymi oczami, zwykle tak spokojnymi, a nawet bezmyślnymi — to jednak pański oddział przypomina mi dzieci Jakuba wyruszające do walki z Sychemitami, by ich pokarać za niegodną chęć poślubienia niewiasty należącej do ludu wybranego. Z kobietą, której szukacie, przeżyłem wiele chwil dobrych i złych i zawędrowałem daleko. Wprawdzie z natury jestem łagodny i nie noszę ani pasa, ani ostrego miecza, ale gotów jestem zadać cios w jej obronie.

Zwiadowca zawahał się, jakby rozważał, co mu przyjdzie z tak osobliwego ochotnika, i wreszcie powiedział.

— Nie umiesz pan władać żadną bronią, nie masz strzelby, a możesz mi wierzyć, że Mingowie chętnie odpłacą nam pięknym za nadobne.

— Nie jestem pyszałkowatym, żądnym krwi Goliatem — odparł Dawid wyciągając procę spod swego barwnego odzienia — lecz nie zapomniałem przykładu, jaki dał izraelski chłopiec. W młodości często korzystałem z tej starożytnej broni i być może, nie wyszedłem jeszcze z wprawy.

— Tak,— odparł Sokole Oko, nieufnie, z pogardą patrząc na jeleni rzemień i kawałek skórki — z tym może by pan coś zdziałał przeciw nożom i strzałom, ale Francuzi dali każdemu z tych łajdaków" dobrą, gwintowaną strzelbę. Lecz cóż, widocznie tak już panu pisane, że wyjdziesz cało z każdej strzelaniny. Jeśli więc szczęście dotąd ci sprzyjało… majorze, kurek pańskiej strzelby jest odwiedziony i dwudziestu ludzi może niepotrzebnie przypłacić życiem pański przedwczesny strzał… a więc, przyjacielu, możesz iść z nami. Przydasz się, gdy trzeba będzie się drzeć.

— Dziękuję, przyjacielu — odrzekł Dawid i jak jego królewski imiennik począł zbierać kamyki w strumieniu. — Nie łaknę krwi, ale zmartwiłbym się, gdyby mnie pan odesłał.

— Musisz pamiętać — mówił dalej zwiadowca pukając się w głowę, w to samo miejsce, gdzie Dawid miał bliznę — że wyruszamy nie na koncert, lecz do walki. Dopóki nie zabrzmi zbiorowy okrzyk wojenny, głos mają tylko strzelby.

Dawid przytaknął skinieniem głowy, a Sokole Oko raz jeszcze uważnie spojrzał na swój oddział i dał znak do wymarszu. Z milę szli nad strumieniem. Osłaniał ich wysoki brzeg i gęste zarośla, lecz mimo to zachowali indiańską ostrożność. Na każdym skrzydle szedł, a raczej skradał się jeden wojownik i co chwila uważnie badał wzrokiem skraj puszczy. Co parę minut wszyscy przystawali i nasłuchiwali tak, jak to potrafią tylko ludzie pierwotni. Lecz nic nie przeszkadzało im w dalszym marszu i wreszcie, najwidoczniej nie dostrzeżeni przez wroga, dotarli do miejsca, gdzie strumień wpadał do rzeki. Zwiadowca znów przystanął, by zorientować się po znakach leśnych.

— Zdaje się, że pogoda nam sprzyja — powiedział po angielsku do Heywarda, rzucając okiem na chmury, powoli gęstą warstwą zaciągające niebo. — Jasne słońce i połyskująca lufa utrudniają celny strzał. Wszystko jest nam przyjazne: wiatr wieje od nich i niesie do nas każdy hałas i dym. A to wcale nie błahostka, bo po naszym pierwszym strzale będziemy mieli czyste pole przed sobą. Lecz nasza naturalna osłona już się kończy. Bobry od stuleci tu żyją i choć pozostawiły masę nagich pni, nie darowały żadnemu żywemu drzewu.

Sokole Oko w tych paru słowach wcale nieźle opisał widok, jaki się roztaczał przed nimi. Rzeka nie wszędzie była jednakowo szeroka. Raz po raz przeciskała się między skałami, a potem rozlewała się na płaskim, niskim terenie, gdzie tworzyła coś w rodzaju stawów. Na jej brzegach butwiały szczątki drzew, od takich, które były do cna spróchniałe, chwiały się i trzeszczały — do świeżo odartych z kory, owego ich szorstkiego odzienia, a jednocześnie źródła życia. Tu i tam leżały między nimi długie, niskie stosy omszałych pni, niby nagrobki dawno wymarłych pokoleń drzew.

Zwiadowca przyglądał się tym wszystkim mało interesującym szczegółom z powagą i zaciekawieniem. Nikt chyba jeszcze tak im się nie przypatrywał. Ale Sokole Oko wiedział, że do wsi Huronów pozostało niecałe pół mili w górę rzeki i obawiając się zasadzki niepokoił się, że nieprzyjaciel nie daje znaku życia. Parę razy brała go chętka, by ruszyć dalej i zdobyć wieś znienacka, ale doświadczenie natychmiast ostrzegało go przed krokiem tak niebezpiecznym i z góry skazanym na niepowodzenie. Z przykrą niepewnością nadsłuchiwał odgłosów walki z miejsca, gdzie pozostał Unkas. Nic jednak nie słyszał prócz szumu wiatru, który w ostrych podmuchach, zwiastując burzę, nadlatywał z głębi puszczy. W końcu uległ niezwykłej u niego niecierpliwości i nie zważając już na głos rozsądku postanowił rzucić wszystko na jedną szalę: wyjść z ukrycia i ostrożnie, ale zdecydowanie pójść w górę rzeki.

Tak rozmyślając i patrząc stał na brzegu osłonięty olbrzymim krzakiem, gdy jego oddział krył się w głębi wąwozu, którym

strumień spływał do rzeczki. Na cichy, choć wyraźny sygnał Indianie wdrapali się na brzeg, podobni do ciemnych duchów, i w milczeniu skupili się koło zwiadowcy. Wskazał im kierunek i ruszył naprzód. Za nim gęsiego pociągnął cały oddział, stąpający, z wyjątkiem Heywarda i Dawida, po jego śladach tak, by wyglądało, że przechodził tędy tylko jeden człowiek.

Ale ledwie wyszli na odkryty teren, huknęła za nimi salwa tuzina strzelb. Jeden z Delawarów podskoczył wysoko, jak trafiony jeleń, i padł martwy na ziemię.

— Ach! Tego się bałem! — po angielsku zawołał zwiadowca i natychmiast dodał po delawarsku: — Kryć się i strzelać!

Na ten rozkaz oddział rozproszył się tak szybko, że Heyward ani się obejrzał, jak został sam z Dawidem. Na szczęście Huroni cofali się i przerwali ogień. Ale zwiadowca nie pozwolił im wytchnąć i śmiało nacierał. Sam dając przykład innym przebiegał od drzewa do drzewa i strzelał do wolno odstępującego nieprzyjaciela.

Najwidoczniej Huronów, którzy zaatakowali oddział zwiadowcy, nie było wielu. Lecz stopniowo, w miarę cofania się na swój teren, wciąż ich przybywało, aż wreszcie siła ich ognia niemal dorównała ogniowi Delawarów. Heyward dołączył do walczących i kryjąc się za wzorem ostrożnych Indian, raz po raz strzelał. Walka rozgorzała na dobre, a natarcie Delawarów stanęło. Rannych było niewielu, bo walczący umiejętnie kryli się za drzewami, a wychylali się spoza nich tylko dla oddania strzału. Potyczka przyjęła niepomyślny obrót dla Sokolego Oka i jego oddziału. Zwiadowca swym bystrym okiem dojrzał niebezpieczeństwo, ale nie wiedział, jak mu zapobiec. Uważał, że lepiej stać w miejscu niż się cofać, lecz dostrzegł, że Huroni starają się zajść go z boku. Coraz trudniej było kryć się za drzewami, więc ogień Delawarów niemal ustał. Już im się zdawało, że całe nieprzyjacielskie plemię pomału ich okrąża, gdy usłyszeli okrzyki wojowników i grzechot strzelb, których echem rozbrzmiał strop puszczy. Te odgłosy bitwy dobiegały z miejsca, gdzie zatrzymał się Unkas, a więc z doliny położonej nieco niżej.

Sokole Oko od razu odczuł zbawienny wpływ tego ataku. Nieprzyjaciel musiał wiedzieć o ruchach jego oddziału i dlatego nie dał się zaskoczyć. Ale widocznie przecenił też siły,. jakie wiódł Sokole Oko, i niebezpieczeństwo jego manewru. W rezultacie zanadto osłabił swój oddział stojący przed Unkasem, który nagle go zaatakował. O tym wszystkim świadczyło zarówno przesuwanie się walki ku wsi Huronów, jak słabnący nacisk na oddział Sokolego Oka; Niewątpliwie nieprzyjaciel ściągnął część wojowników, aby podeprzeć załamujący się front w miejscu, które — jak się teraz okazało — stanowiło główny punkt obrony.

Zagrzewając swych ludzi okrzykami i własnym przykładem, Sokole Oko pchnął ich do ataku. W tej prymitywnej walce natarcie polegało na przebieganiu od drzewa do drzewa i coraz bliższym podchodzeniu do wroga. Delawarzy wykonali rozkaz zwiadowcy. Szczęście im sprzyjało. Huroni musieli się cofnąć. Pole walki przeniosło się z terenu raczej odsłoniętego w gąszcz leśny, gdzie cofający się łatwiej mogli się kryć. Bitwa się przedłużała, obie strony walczyły zaciekle, a wynik wciąż był niepewny. Delawarzy znajdowali się teraz w gorszej sytuacji. Wprawdzie żaden z nich nie padł, ale obficie krwawili.

W tym krytycznym momencie Sokolemu Oku udało się prześliznąć do drzewa, za którym ukrył się Heyward; Jego oddział znajdował się w pobliżu, trochę na prawo od niego, i zawzięcie, choć bezskutecznie ostrzeliwał ukrytego nieprzyjaciela.

— Jest pan młodym człowiekiem, majorze — powiedział zwiadowca i nieco zmęczony postawił Postrach Zwierząt kolbą na ziemi i oparł się o lufę. — Może będzie pan jeszcze dowodził w walce z tymi leśnymi diabłami, Mingami. Tu widzi pan całą indiańską taktykę. Polega ona na niechybnym oku, zwinnej ręce i dobrym ukryciu. Niechże mi pan powie, co by pan zrobił, gdyby pan teraz miał z sobą kompanię Amerykańskich Strzelców Królewskich?

— Natarłbym bagnetami.

— Tak, z punktu widzenia białego człowieka ma pan rację, ale w tej puszczy musi się przede wszystkim pamiętać o oszczędzaniu ludzi. Nie… koń — ciągnął zwiadowca potrząsając głową w zamyśleniu — koń, wstyd powiedzieć, prędzej czy później będzie decydował w podobnych walkach. Zwierzęta są lepsze od ludzi, będziemy więc musieli się uciec do pomocy konia. Niech podkute kopyto przyciśnie mokasyn, a czerwonoskóry już po raz drugi nie nabije strzelby.

— O tym może pomówimy kiedy indziej — odparł Heyward. — Czy mamy atakować?

— Nie ma nic zdrożnego w tym, że człowiek w chwili odpoczynku poświęci minutę pożytecznym rozważaniom — odparł zwiadowca. — Gdy zaś chodzi o atak na bagnety, nie lubię go, bo zawsze kosztuje parę skalpów. A jednak — dorzucił przechylając głowę i słuchając odgłosów dalekiej walki — jeżeli mamy pomóc Unkasowi, musimy uporać się z tymi łotrami.

Odwrócił się i ze stanowczą, energiczną miną krzyknął coś do swych Indian w ich ojczystym języku. Odpowiedzieli mu radosnym okrzykiem i na dany znak każdy z nich szybko obiegł dokoła drzewo, za którym się krył. Gdy Huroni nagle ujrzeli tyle postaci wybiegających z ukrycia, w pośpiechu dali mało skuteczną salwę. Na to Delawarzy, nie tracąc ani chwili, wypadli zza drzew i długimi susami, podobnymi do skoków pantery, skoczyli w gąszcz. Sokole Oko biegł na przedzie, wywijając sztucerem i porywając swych Indian za sobą. Paru starszych i doświadczonych Huronów nie dało się podejść. Przedtem nie wystrzelili i teraz z bliska powitali Delawarów morderczym ogniem, kładąc trupem trzech ludzi biegnących na czele. Tak więc ziściły się obawy zwiadowcy. Ale ta strata nie powstrzymała impetu Delawarów. Z furią wdarli się w gąszcz i w jednej chwili wściekłością swego ataku przełamali opór nieprzyjaciela.

Walka wręcz trwała krótko. Huroni szybko ustępowali, aż wreszcie dotarli do przeciwległego skraju gęstwiny. Tu się ukryli i zaczęli się odgryzać z uporem osaczonych zwierząt. W tej krytycznej chwili, kiedy zwycięstwo znów poczęło się ważyć,

za Huronami padł strzał. Kula z gwizdem wyleciała skądś z bobrowych chatek na polance za nimi. Zaraz potem rozległ się głośny i przeraźliwy okrzyk wojenny.

— To *sagamore!* — zawołał Sokole Oko i odpowiedział Chingachgookowi donośnym okrzykiem. — Teraz wzięliśmy ich w dwa ognie.

Wystrzał Chingachgooka zrobił piorunujące wrażenie na Huronach. Przerażeni atakiem na nie osłonięte tyły krzyknęli przeraźliwie i w panice rozproszyli się po polanie, myśląc tylko o ucieczce. Wielu z nich padło pod kulami i ciosami ścigających ich Delawarów.

Nie będziemy się zatrzymywali nad szczegółami spotkania zwiadowcy z Chingachgookiem i wylewnego przywitania Duncana z pułkownikiem Munro. Parę słów wystarczyło do wzajemnego wyjaśnienia sobie sytuacji, po czym Sokole Oko powiedział swym Indianom, kim jest Chingachgook, i zdał mu dowództwo. To mu się należało jako szlachetnie urodzonemu i doświadczonemu wodzowi. Chingachgook przyjął dowództwo z godnością, która zawsze dodaje powagi rozkazom indiańskiego wodza, i po śladach zwiadowcy powiódł oddział z powrotem przez las. Po drodze Indianie skalpowali trupy Huronów i chowali własnych poległych. Wreszcie Chingachgook za radą zwiadowcy zarządził postój.

Wojownicy, zziajani po stoczonej walce, zajęli teraz stanowiska na małym wzniesieniu, dostatecznie zalesionym, by ich ukryć. Teren przed nimi opadał stromo, przechodząc w dole w ciemny, porośnięty lasem wąwóz, długi na parę mil. W tym mrocznym gąszczu Unkas wciąż jeszcze zmagał się z głównymi siłami Huronów.

Stary Mohikanin i zwiadowca weszli na szczyt wzgórza i doświadczonym uchem przysłuchiwali się odgłosom walki. Kilka spłoszonych ptaków latało nad zalesionym dnem wąwozu. Tu i tam nad lasem ukazywały się lekkie obłoczki i szybko topniały w powietrzu. Wskazywały one miejsce, gdzie walka była najbardziej zażarta.

— Bitwa przesuwa się ku nam — powiedział Duncan wskazując w kierunku, skąd znów rozległy się strzały. — Stoimy na środku linii walki i dlatego niewiele możemy pomóc Unkasowi.

— Skręcą w bok, bliżej do wąwozu, gdzie gęstszy las zapewnia lepsze ukrycie — odparł zwiadowca. — Wtedy znajdziemy się na ich skrzydle. No, *sagamore,* ledwie starczy ci czasu, by wydać okrzyk wojenny i pchnąć swoich do walki. Tym razem będę się bił obok ludzi mojej rasy. Znasz mnie i wiesz, że pod lufą Postrachu Zwierząt żaden Huron nie zajdzie cię z tyłu.

Chingachgook chwilę zwlekał i badawczo wsłuchiwał się we wrzawę walki, która szybko przesuwała się w górę zbocza, co świadczyło, że Delawarzy spychają wroga. Ruszył się dopiero wtedy, kiedy kule poczęły plaskać po uschniętych liściach koło niego, jak grad przed burzą. Najwidoczniej" wróg i Delawarzy byli już blisko. Sokole Oko i jego trzej przyjaciele cofnęli się pod ochronę najbliższych drzew i czekali na wynik bitwy ze spokojem wytrawnych żołnierzy.

Niebawem las przestał rozbrzmiewać echem wystrzałów, które padały teraz jakby na otwartej przestrzeni. Po chwili na skraju puszczy pokazały się sylwetki hurońskich wojowników wypieranych z jej głębi. Zbierali się przed polaną przygotowując się do zawziętej obrony. Było ich coraz więcej, aż wreszcie utworzyli długi, ciemny łańcuch ludzi, z rozpaczliwym uporem trzymających się ostatniej osłoniętej pozycji. Heyward już się począł niecierpliwić i z niepokojem spoglądał na Chingachgooka, a ten siedział na skale i spokojnie, uważnie, jakby był zwykłym widzem, przyglądał się walce.

— Czas, by Delawarzy uderzyli — powiedział Duncan.

— Jeszcze nie, jeszcze nie — odrzekł zwiadowca. — Kiedy Chingachgook zwietrzy przyjaciół, da im znać o sobie. Patrz pan, patrz: łotry oblepiły tę grupę sosen, jak pszczoły po wyroju. Święty Boże, toć nawet kobieta trafiłaby kulą w tę kupę smagłych ciał.

W tej chwili rozległ się okrzyk bojowy i dwunastu Huronów padło pod strzałami Chingachgooka i jego oddziału. Na krzyk

zgrozy po tej salwie odpowiedział okrzyk wojenny z głębi lasu i jeden potężny ryk, jakby z tysiąca gardeł, targnął powietrzem. Huroni drgnęli, środek ich linii oporu załamał się i przez powstałą lukę wypadł z lasu Unkas na czele setki Delawarów.

Młody wódz ruchem ręki w prawo i w lewo wskazywał cofających się wrogów swym wojownikom, a ci rzucali się w pogoń. Wywiązały się teraz dwie bitwy, bo obydwa rozdzielone i naciskane przez zwycięskich Lenapów skrzydła Huronów znów szukały schronienia w gąszczu puszczy. Po krótkiej chwili echo walki poczęło cichnąć pod stropem lasu i oddaliły się jej odgłosy. Ale jedna grupka Huronów wzgardziła osłoną drzew. Wolno, w milczeniu cofała się, podobna do osaczonych lwów, po zboczu wzgórza, które Chingachgook ze swoim oddziałem przed chwilą porzucił w pogoni za wrogiem. W tej grupce łatwo było rozpoznać Maguę, tak po zaciekłej, okrutnej twarzy, jak i wciąż jeszcze wyniosłej postawie wodza.

Unkas w bojowym zapale rozesłał w pościg towarzyszących mu wojowników i pozostał prawie sam. Ale mimo to gdy dostrzegł Maguę, zapomniał o wszystkim. Na jego okrzyk wojenny zbiegło się do niego siedmiu wojowników i nie bacząc, że było ich mało, rzucili się w pogoń za wrogiem. Magua, który pilnie obserwował Unkasa, przystanął, by przyjąć walkę. Lecz gdy już cieszył się w duchu, że nieopatrzny zapał młodego wodza wydał mu go w ręce, rozległ się jeszcze jeden okrzyk wojenny. To Długa Strzelba wraz z białymi pędzili na pomoc Unkasowi. Ujrzawszy ich Huron raptownie zawrócił i pobiegł w górę zbocza.

Nie można było nawet myśleć o powitaniu i gratulacjach, bo Unkas, jakby nie widząc przyjaciół, gonił wroga z szybkością wiatru. Daremnie Sokole Oko wołał za nim, ostrzegając go przed kulami: młody Mohikanin lekceważył sobie kule Huronów i wkrótce ucieczka i szalona pogoń zamieniły się w wyścig. Na szczęście trwał on krótko i biali byli bliżej celu — inaczej Unkas szybko by ich prześcignął i padł ofiarą swej brawury — zanim więc zdążył wyrwać się naprzód, ścigający wpadli tuż za ściganymi do wsi Wyandotów.

Huroni, wyczerpani ucieczką i ośmieleni tym, że są już na swoim terenie, stanęli i z rozpaczliwą zaciekłością walczyli koło chaty narad. Ścigający spadli na nich jak straszliwy huragan. Tomahawk Unkasa, sztucer Sokolego Oka i krzepkie jeszcze ramię Munro zgodnie pracowały w tej krótkiej walce, toteż trupy Huronów gęsto pokryły ziemię. Magna, choć walczył dzielnie i wcale się nie oszczędzał, wychodził obronną ręką ze wszystkich ataków na jego życie. Mogłoby się zdawać, że osłaniają go siły nadprzyrodzone, tak łaskawe dla wszystkich legendarnych bohaterów. Ale gdy zobaczył, jak gęsto padają Huroni, wydał przeraźliwy okrzyk, w którym zawarł i gniew wściekły, i bezgraniczną rozpacz. Z dwoma Huronami, którzy ocaleli, rzucił się do ucieczki, a Delawarzy zabrali się do zdzierania skalpów poległym.

Unkas, który na próżno szukał Maguy w wirze walki, ujrzał go teraz i pobiegł za nim. Sokole Oko, Heyward i Dawid biegli o krok z tyłu. Zwiadowca, nie mogąc inaczej osłonić Unkasa, trzymał lufę swego sztucera nieco przed nim niczym czarodziejską tarczę. Raz zdawało się, że Magua przystaje, by resztkami sił pomścić swą klęskę, ale widocznie poniechał tego zamiaru i skoczył w zarośla. Ścigany przez swych prześladowców nagle wbiegł do znanej już czytelnikom pieczary. Widząc to Sokole Oko, który nie strzelał tylko przez wzgląd na Unkasa, krzyknął z radości i głośno oznajmił, że teraz jest już pewny zdobyczy. Wpadli za Maguą w wąski i długi korytarz jeszcze na czas, by dostrzec w głębi sylwetki Huronów. Biegli teraz skalnymi korytarzami i przecinali podziemne komory wśród krzyków i płaczu setek kobiet i dzieci. Pieczary w niepewnym i mrocznym świetle wydawały się jakimiś piekielnymi kręgami, w których jak szalone miotały się potępione dusze i złe duchy.

Unkas nie odrywał oczu od Maguy, jakby śmierć tego Hurona była jedynym celem jego życia. Heyward i zwiadowca biegli tuż za nim, również kierowani nienawiścią, choć może słabszą. Jednakże ciemne i ponure korytarze stawały się coraz bardziej kręte. Coraz trudniej było posuwać się naprzód, a sylwetki

uciekających niknęły w oddali. Przez chwilę goniący myśleli nawet, że Magua im uciekł, gdy nagle na końcu jednego z korytarzy uchodzącego w górę ujrzeli powiewającą jasną suknię.

— To Kora! — zawołał Heyward przerażonym, choć radosnym głosem.

— Kora! Kora! — powtórzył Unkas biegnąc naprzód z chyżością jelenia.

— To ona! — krzyczał zwiadowca. — Odwagi, pani, idziemy, idziemy!

Widok nieszczęsnej Kory spotęgował ich zapał i siły. Lecz droga była trudna, pocięta rozpadlinami, a czasem niemal nie do przebycia. Unkas rzucił strzelbę i co sił w nogach pędził naprzód. Heyward bez namysłu poszedł za jego przykładem. Niebawem obaj przekonali się, jak nieopatrznie postąpili, bo Huroni w sprzyjającej chwili i w wąskim skalnym korytarzu posłali im kule i lekko zranili Unkasa.

— Musimy ich dopaść — powiedział zwiadowca i potężnym susem wysunął się przed towarzyszy. — Z tej odległości łotry wystrzelają nas jak kaczki. Patrzcie! Osłaniają się dziewczyną jak tarczą.

Mimo że obaj młodzi nie zwrócili uwagi na jego słowa a raczej nie słyszeli ich w zapale pogoni, popędzili za nimi i po szalonym wysiłku zbliżyli się do ściganych o tyle, że już ich wyraźnie widzieli. Dwóch Huronów na wpół niosło, na wpół ciągnęło między sobą Korę. Magua biegł pierwszy i wskazywał im drogę. Na mgnienie oka cała czwórka ukazała się w wylocie pieczary na tle jasnego nieba. Unkas i Heyward, niemal nieprzytomni z obawy, że Huroni im umkną, podwoili i tak już nadludzki wysiłek i wybiegli z pieczary na zbocze góry jeszcze w porę, by ujrzeć zbiegów. Droga szła w górę; była trudna i niebezpieczna.

Zwiadowca, biegnąc ze sztucerem w ręku i nie naglony miłością do Kory, pozostał nieco w tyle. Unkas wysunął się przed Heywarda. Biegli tak skacząc przez skały i rozpadliny z niewiarogodną szybkością i pokonywali przeszkody, zdawałoby

się, nie do przebycia. Ale spotkała ich nagroda, bo zauważyli, że Huroni, którzy ciągnęli Korę, wyraźnie ustają.

— Stój, psie wyandocki! — krzyknął Unkas potrząsając lśniącym tomahawkiem. — Delawarska baba każe ci stanąć!

— Nie pójdę dalej! — zawołała Kora stając nagle na skalnym występie nad głęboką przepaścią, prawie u szczytu góry. — Zabij mnie, jeśli chcesz, wstrętny Huronie, ale dalej nie pójdę.

Huroni podtrzymujący Korę od razu wznieśli tomahawki, jak szatani, którzy w zbrodni znajdują niecną uciechę, ale powstrzymał ich Magua. Wyrwał im broń i cisnął w przepaść. Potem wyciągnął nóż i patrząc na Korę z nienawiścią i miłością zarazem; powiedział: — Kobieto, wybieraj: wigwam albo nóż Hurona! Kora nawet na niego nie spojrzała. Uklękła, wzniosła oczy, i ręce ku niebu i rzekła głosem pełnym pokory i ufności:

— Twoja jestem, Panie. Niech się dzieje wola Twoja.

— Kobieto — powtórzył Magua ochrypłym głosem, daremnie usiłując spojrzeć w pogodne i promienne oczy Kory. — Wybieraj!

Ale Kora go nie słyszała i nie zwracała uwagi na jego słowa. Huron drżał jak w gorączce i już wzniósł ramię, ale je opuścił, jakby zmagał się ze sobą. Po chwili przełamał się, raz jeszcze wzniósł nóż, ale nagle tuż nad nim rozległ się przeszywający okrzyk. To krzyknął Unkas, który wydostał się ponad niego i teraz jak szalony skoczył na występ skalny. Magua cofnął się o krok, a jeden z jego wojowników skorzystał z tego i wbił nóż w pierś Kory.

Wprawdzie zaraz się cofnął, ale Magua skoczył na niego jak tygrys, by go ukarać za nieposłuszeństwo i zniewagę. Trwało to zaledwie sekundę. W tej samej chwili Unkas spadł między nich. Magua natychmiast zapomniał o zemście na swym towarzyszu i rozwścieczony widokiem krwi z piekielnym okrzykiem ugodził nożem w plecy leżącego Unkasa. Lecz ten zerwał się jak zraniona pantera, odwrócił się do swego wroga i dobywając resztek sił jednym ciosem powalił zabójcę Kory. Potem zwrócił głowę ku Przebiegłemu Lisowi i posępnym, nienawistnym spojrzeniem powiedział mu, że zabiłby go bez litości, gdyby

miał jeszcze dość siły. Magua chwycił go za bezbronne, omdlałe ramię i trzy razy wbił mu nóż w piersi. Dopiero wtedy Unkas, nie odrywając pogardliwego wzroku od oczu Maguy, padł martwy u jego stóp.

— Daruj mu życie, Huronie! — wołał Heyward z góry, nie mogąc złapać tchu z przerażenia. — Daruj mu życie, jeśli chcesz, by i tobie darowano!

Magua skrwawionym nożem pogroził Duncanowi i krzyknął przy tym tak dziko, z tak okrutną radością, że jego okrzyk triumfu doleciał do Indian walczących w wąwozie o tysiąc stóp niżej. Sokole Oko odpowiedział okrzykiem. Szybko biegł po niebezpiecznych skałach tak śmiało i pewnie, jakby go niosły skrzydła. Ale gdy dobiegł do miejsca strasznego mordu, ujrzał już tylko ciała zabitych.

Jednym rzutem bystrego oka objął ofiary Maguy i ocenił trudne podejście na wznoszący się przed nimi szczyt. Zawrotnie wysoko, na skalnej krawędzi stał ktoś z groźnie wzniesionymi rękami. Sokole Oko, nie tracąc czasu na domysły, kto to być może, uniósł lufę sztucera. W tej samej chwili na głowę jednego z uciekających Huronów spadł głaz. Ciśnięty w dół odsłonił wzburzone, pałające gniewem, szlachetne oblicze Gamuta. Zaraz potem ze skalnej niszy wynurzył się Magua. Obojętnie przeskoczył ciało ostatniego ze swych towarzyszy, przesadził szeroką szczelinę i począł się wspinać, na skałę, tam gdzie Dawid nie mógł go dosięgnąć. Pozostał mu jeszcze jeden skok nad przepaścią, by ujść cało. Ale nim skoczył, przystanął i grożąc ręką zwiadowcy krzyknął:

— Blade twarze to psy! Delawarzy to baby! Kruki rozdziobią ich ciała na skale, gdzie je zostawił Magua.

I z ochrypłym śmiechem na ustach skoczył rozpaczliwie, ale nie przesadził przepaści. Zdążył jednak złapać się gałęzi krzaku po drugiej stronie i zawisł w powietrzu. Sokole Oko zebrał się w sobie jak zwierz gotujący się do skoku.

Z niecierpliwości drżał tak gwałtownie, że lufa sztucera tańczyła mu w ręku jak liść unoszony przez wiatr. Chytry Magua zaś nie tracił sił niepotrzebnie: zwisł na

wyprostowanym ramieniu i stopą namacał występ skały. Wówczas zebrał siły, odbił się, podciągnął i klęknął na brzegu przepaści. Lecz gdy sprężył mięśnie do nowego wysiłku, kolba dygocącego sztucera mocno przywarła do ramienia zwiadowcy. Na mgnienie oka broń zastygła jak głazy wokół niego, a gdy padł strzał Huron puścił krzak i odchylił się w tył, ale wciąż jeszcze klęczał na brzegu skały. Ranny z nienawiścią spojrzał na wroga i raz jeszcze zaciekle i posępnie pogroził mu ręką. Ale tracił już siły. Przez parę sekund na tle krzaków, porastających zbocze przepaści, widać było jego smagłą postać, głową na dół lecącą w objęcia śmierci.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

*Jak lwy walczyli, znacząc krwawy ślad*
*I wrogim trupem ziemią ścieląc wokół,*
*Bitwę wygrali — lecz Botzaris padł.*
*I oto leży cały w krwi potoku.*
*Cóż, że mu uśmiech zakwita u warg,*
*Gdy garstka druhów, przekrzykując gwar,*
*Głosi zwyciąstwol Krew płynie gorąca,*
*Oczy zamglone i piersiom brak tchu,*
*Ciało do śmierci układa się snu*
*Jak kwiat, co gaśnie o zachodzie słońca.*

Halleck

Następnego dnia wschodzące słońce ujrzało Lenapów w ciężkiej żałobie. Bojowy gwar ucichł. Plemię nasyciło odwieczną nienawiść do Mingów i przypieczętowało ostatni spór”z nimi zniszczeniem całej ich wspólnoty. Smutek i posępna cisza nad dawnym osiedlem Huronów wyraźnie mówiły o losie, jaki spotkał to koczownicze plemię. Setki kruków, ciężko unoszących się nad nagimi szczytami gór albo w hałaśliwych stadach krążących nad rozległą puszczą, w odrażający sposób wskazywały miejsce niedawnej walki. Słowem, każdy człowiek, nawet nie obyty z wojną na

pograniczu, zrozumiałby, że są to nieomylne znaki okrutnej zemsty Indian.

A jednak gdy słońce wstało nad obozem, Lenapowie pogrążeni byli w żałobie i smutku. Nie słychać było triumfalnych okrzyków, bojowych pieśni — niczego, co by świadczyło o radości zwycięstwa. Ostatni wojownik zakończył już swe okrutne dzieło i powrócił do obozowiska, by natychmiast odrzucić na bok krwawe skalpy i przyłączyć się do lamentów dotkniętego nieszczęściem plemienia. Duma i radosny triumf ustąpiły przed pokorą, a najsilniejsza z ludzkich namiętności — przed najgłębszym i najszczerszym bólem.

Chaty opustoszały. Kto żył, starcy i dzieci, z zasępionymi twarzami tłumnie otoczyli polaną w pobliżu obozu i stali tam w martwej ciszy. Choć zebrali się tu ludzie w różnym wieku, mężczyźni i kobiety, choć różne były ich stanowiska w plemieniu, tworzyli zwartą, żywą ścianę zespoloną jednym uczuciem. Wszyscy wpatrywali się w środek polany, gdzie działo się coś niezwykłego.

Sześć nieruchomych delawarskich dziewcząt, z rozpuszczonymi, długimi włosami, swobodnie opadającymi na piersi, stało nieco z boku, a o tym, że żyją, świadczyły tylko kwiaty leśne i wonne ziele sypane przez nie na niskie mary z pachnących roślin. Na tych marach pod całunem indiańskich szat spoczywały zwłoki dzielnej i szlachetnej Kory. Spowito ją w prymitywną tkaninę, a twarz — już na zawsze — zakryto przed oczami ludzi. U jej stóp siedział zrozpaczony Munro. Sędziwą głową niemal dotykał ziemi, w pokorze przyjmując wyrok nieba. Kosmyki siwych włosów w nieładzie opadały mu na czoło zorane zmarszczkami. Widać było, że starzec stara się ukryć swe cierpienie. Gamut stał przy nim z gołą głową w jasnym świetle słońca. Twarz miał łagodną. Stroskanym wzrokiem błądził od małego tomiku z tyloma kojącymi świętymi naukami, misternie wyrażonymi, do człowieka, któremu z głębi serca chciałby nieść pociechę. Heyward, oparłszy się o drzewo, całą siłą swej męskiej woli tłumił łzy rozpaczy.

Choć łatwo sobie wyobrazić smutek tych ludzi, grupę stojącą na drugim krańcu koła ogarnął żal jeszcze głębszy. Tu w pozycji siedzącej, jakby żył, w godnej i poważnej postawie ułożono ciało Unkasa. Przybrano je w najbarwniejsze szaty i najwspanialsze ozdoby plemienia. Bogate pióra powiewały nad jego głową. Liczne wampumy, naszyjniki i medale zdobiły jego ciało. Lecz martwe spojrzenie oczu i nieruchome rysy tylko podkreślały marność tych bezmyślnych przedmiotów ludzkiej pychy.

Przed zwłokami siedział Chingachgook. Był bez broni, bez ozdób i nawet bez żadnych malowideł z wyjątkiem jasnobłękitnego herbu rodowego, niezatarcie wytatuowanego na piersi. Przez cały długi czas, gdy plemię się zbierało, stary wódz Mohikanów nie odrywał stroskanych oczu od zimnego i martwego oblicza syna. Patrzył uporczywie skamieniałym wzrokiem i siedział tak nieruchomo, że gdyby nie przelotny grymas dotkliwego bólu na jego śniadej twarzy i grobowy spokój zastygły na zawsze w rysach Unkasa, trudno byłoby zgadnąć, który z nich żyje, a który jest martwy.

Zamyślony zwiadowca stał tuż obok, opierając się na swym śmiercionośnym i siejącym zemstę sztucerze. Tamenund, podtrzymywany przez najstarszych wodzów, siedział w pobliżu na podniesieniu, z którego mógł widzieć to smutne i nieme zebranie swego plemienia.

W kole Indian, nieco wysunięty naprzód, stał jakiś wojskowy w obcym mundurze. Za kołem zaś stał jego wierzchowiec otoczony konną służbą, najwidoczniej gotową do długiej drogi. Obcy oficer sądząc ze stroju, piastował jakąś wysoką godność przy Montcalmie. Niewątpliwie przybył tu w misji pokojowej. Teraz stwierdził, że zapalczywość dzikich udaremniła tę misję. Mógł więc być tylko niemym i smutnym świadkiem rezultatów zbrojnego sporu, któremu nie zdołał już zapobiec.

Dzień dobiegał południa, a tłum od świtu stał w niemym milczeniu. Tylko gdzieniegdzie słychać obyło stłumiony szloch. Jeśli przez cały ten czas bólu i żałoby ktoś się poruszył, czynił to, by oddać prosty i wzruszający hołd zwłokom Kory. Cierpliwość i opanowanie Indian, ich żelazna wytrwałość — pozwoliły im

na takie oderwanie się od życia i zamieniły ich w nieruchome posągi.

Wreszcie stary mędrzec wyciągnął ramię i wstał wsparłszy się na ramionach towarzyszących mu wodzów. Chwiał się i był tak słaby, jakby jeszcze jedno stulecie legło między dniem dzisiejszym a wczorajszym, kiedy przemawiał do swego narodu.

— Wojownicy Lenapów! — powiedział głuchym, proroczym głosem — Manitou skrył swą twarz za chmurą. Odwrócił od was oczy, zamknął uszy, nie odpowiada wam. Nie widzicie go, ale dowody jego gniewu macie przed sobą.. Otwórzcie serca, a dusze wasze niech wolne będą od kłamstwa. Wojownicy plemienia Lenapów! Manitou skrył swą twarz za chmurą.

Indianie słysząc te proste i straszliwe słowa skamienieli w przerażeniu i ciszy, jakby na głos samego Wielkiego Ducha. Nawet zwłoki Unkasa wydawały się żywe w porównaniu z otaczającym je pokornym tłumem. Ale gdy minęło pierwsze wrażenie słów Tamenunda, Indianie niskimi, cichymi głosami rozpoczęli pieśń na cześć zmarłych. Zaintonowały kobiety wzruszająco łagodnymi i żałosnymi nutami. Słowa nie łączyły się w jedną zwartą całość, były improwizacją, bo gdy jedna kończyła, druga zaczynała pieśń pochwalną czy żałobną, wyrażając swój ból, tak jak dyktowało jej serce i nastrój chwili. Czasem ogólny wybuch głośnego żalu przerywał im i wtedy dziewczęta przy marach Kory, jak opętane, nieprzytomne z rozpaczy, zrzucały kwiaty i zioła z, jej zwłok. Potem w spokojniejszych chwilach znów czule i ze smutkiem zasypywały Korę kwiatami, które symbolizowały czystość i piękno. Te częste zbiorowe napady żalu przerywały pieśń, po czym dziewczęta znów ją podejmowały. Jedna z nich, wybrana dla swego pochodzenia i cnót, zaczęła od skromnej wzmianki o przymiotach poległego wojownika. W zdaniach upiększonych tym wschodnim krasomówstwem, które Indianie zapewne przynieśli ze sobą z krańców innego kontynentu i które tworzyły ogniwo w starożytnej historii obu półkul, nazwała Unkasa „panterą plemienia”. Mówiła, że jego mokasyny nie

pozostawiały śladu na rosie, skoki dorównywały skokom jelonka, a oczy świeciły jaśniej od gwiazd w ciemną noc, że w bitwie głos jego rozbrzmiewał jak grzmot Manitou. Przypomniała mu jego matkę i dłużej mówiła o szczęściu, jakie musiał jej dać jako syn. Błagała go, aby gdy spotka ją w krainie duchów, powiedział, że dziewczęta delawarskie przelały gorzkie łzy nad grobem jej syna, a ją nazywały błogosławioną.

Dziewczęta, które podjęły tę pieśń, przeszły na jeszcze łagodniejszy ton i subtelniejszy temat. Z kobiecą delikatnością i wrażliwością wspomniały o obcej dziewczynie, która niemal równocześnie z Unkasem porzuciła padół ziemski, w czym jasno wypowiedziała się wola Wielkiego Ducha. Upomniały poległego, by był dla niej dobry i wyrozumiale traktował jej nieznajomość wymagań tak wielkiego wojownika. Bez cienia zawiści, z radością, tak jakby się cieszyły anioły chwaląc wyższą od siebie istotę, rozwodziły się nad jej niezrównaną pięknością, szlachetnością, odwagą i dodały, że te cnoty aż nadto wyrównują braki jej wychowania.

Potem inne dziewczęta, przemawiając z miłością i czule, zwróciły się do Kory. Zaklinały ją, by była łagodna i aby się nie lękała o przyszłe szczęście. Za towarzysza mieć będzie myśliwego, który zaspokoi każde jej pragnienie. Będzie też miała przy sobie wojownika, który obroni ją przed każdym niebezpieczeństwem. Obiecywały, że jej droga będzie przyjemna, a ciężar, jaki dźwiga — lekki. Przestrzegały ją przed niepotrzebną tęsknotą za przyjaciółmi młodości i za krainą jej ojców.

Mówiły, że na „błogosławionych terenach łowieckich plemienia Lenapów” doliny są równie piękne, rzeki tak samo czyste, a kwiaty — pachnące jak w „niebiosach bladych twarzy”. Radziły, by troszczyła się o swego towarzysza i nigdy nie zapominała o różnicy, jaką mądry Manitou ustalił między nimi. Następnie nagle ożywiły się i chóralnie poczęły wychwalać zalety Mohikanina. Mówiły, że jest szlachetny, mężny i wspaniałomyślny, taki, jakim powinien być wódz i jakiego kochać powinna dziewczyna. Wreszcie w przenośni, w

subtelnej formie dały do zrozumienia, że mimo krótkiego obcowania z Unkasem i Korą — z kobiecą intuicją odkryły tajemnicę jego serca. Delawarskie dziewczęta nie pozyskały sobie jego względów!

Należał do rasy ongiś panującej nad brzegami słonego jeziora i ciągnął do ludu żyjącego tam, gdzie są groby jego ojców. Nie było w tym nic zdrożnego. Każdy mógł widzieć, że Kora miała krew czystszą i bogatszą od innych ludzi jej plemienia. A swym postępowaniem dowiodła, że potrafi sprostać niebezpieczeństwom i trudom życia w puszczy.Teraz — dodały — „mądry pan świata" przeniósł ją tam, gdzie znajdzie pokrewne duchy i wieczyste szczęście.

Potem, znów zmieniając ton i treść pieśni, wspomniały o młodej dziewczynie szlochającej w przyległej chacie. Porównywały ją do śnieżnych płatków, tak była czysta, biała i skrząca. Topniała w upale lata i marzła w mrozie zimy. Nie wątpiły, że kocha ją młody wódz, którego skórą i smutek podobne są do jej skóry i smutku. Ale — choć nie powiedziały tego wyraźnie — widać było, że nie uważają jej za tak doskonałą jak dziewczynę, którą opłakiwały. Jednak nie odmówiły jej ani jednej pochwały, na jaką zasłużyły jej niezrównane wdzięki. Porównywały jej loki do bujnych pędów winnej łozy, jej oczy do 'błękitnego stropu nieba. Oznajmiły, że rumieniec na jej policzkach piękniejszy jest od najbielszego obłoczka zaróżowionego promieniem słońca.

W czasie tych śpiewów tłum milczał. Z rzadka tylko urozmaicał je, a raczej pogłębiał ich wrażenie wybuchami żalu, podobnymi do chóralnego akompaniamentu. Delawarzy słuchali niby zaczarowani i tylko wyraziste rysy mówiły, jak szczery i głęboki jest ich smutek i sympatia dla umarłych.. Nawet Dawid chętnie słuchał słodkich głosów i zanim dziewczęta skończyły śpiewać, już widać było z jego spojrzenia, jak bardzo jest zachwycony.

Zwiadowca, jedyny biały, który rozumiał język Indian, ocknął się z zadumy, wyprostował się i przechylił głowę, by lepiej pochwycić sens słów. Ale gdy dziewczyny wspomniały o

przyszłej szczęśliwości Kory i Unkasa, potrząsnął głową jak człowiek, który dostrzegł omyłkę ich naiwnej wiary. Potem znów oparł się na sztucerze i stał tak, póki ceremonia — jeśli tak można nazwać ten żałobny obrządek — nie dobiegła końca. Heyward i Munro, na szczęście dla ich bólu, nie rozumieli treści tych dzikich pieśni.

Jeden Chingachgook zachował się inaczej niż pozostali Indianie opłakujący Korę' i Unkasa. Nawet podczas najgorętszych lamentów i w najbardziej wzruszających chwilach żaden muskuł nie drgnął na jego surowej twarzy, a oczy zachowały dawny kamienny wyraz. Nie miał nic droższego ponad te zimne, martwe szczątki, toteż zdawało się, że żyje w nim tylko wzrok, po raz ostatni utkwiony w zastygłych rysach syna, którego tak bardzo kochał i którego niebawem miał stracić z oczu na zawsze..

Teraz jeden z wojowników wolnym krokiem wystąpił z tłumu i stanął przed zwłokami Unkasa. Był to człowiek o wyglądzie poważnym i surowym, wsławiony czynami wojennymi, zwłaszcza dokonanymi w ostatniej bitwie.

— Czemuś nas opuścił, dumo Wapanachków? — zapytał zwracając się do zwłok Unkasa, jakby mówił do żywego człowieka, a nie do jego ziemskiej powłoki — i to wtedy, gdy życie twoje było jak słońce za drzewami, a sława twoja — jaśniejsza od jego blasku w południe. Odszedłeś, młody wodzu, ale stu Wyandotów oczyszcza z cierni twą drogę do krainy duchów. Któż by z tych, którzy widzieli cię w walce, uwierzył, że możesz zginąć? Któż przed tobą pokazał Uttawie drogę na pole walki? Twoje stopy były jak orle skrzydła, twoje ramię — cięższe od spadających gałęzi sosny, a głos przypominał głos Manitou, gdy mówi w chmurach. Słaby jest język Uttawy — dorzucił, smętnie rozglądając się wkoło — a jego serce niezmiernie ciężkie. Dumo Wapanachków, czemuś nas opuścił?

Po nim występowali inni według wieku i godności, aż wreszcie wszyscy najwybitniejsi wodzowie plemienia wypowiedzieli lub wyśpiewali pochwalne hymny nad cieniami Unkasa. A gdy skończyli, znów zapadła głucha cisza.

Po chwili usłyszano niski, głęboki głos, jakby odległą muzykę uchwytną uchem, a jednak tak niewyraźną,. że nie można było określić, co to za dźwięki i skąd płyną. Lecz głos przybierał na sile, rozbrzmiewał w coraz wyższych tonach, aż wreszcie zebrani usłyszeli przeciągłe okrzyki, stopniowo przechodzące w słowa. Po ledwie rozchylonych ustach Chingachgooka można się było domyślić, że śpiewa pieśń pogrzebową nad zwłokami syna. Nikt na niego nie spojrzał, nikt nawet nie drgnął, ale z tego, jak wszystkie głowy uniosły się, widać było, że tłum chłonie pieśń z czcią, jaką dotychczas darzył tylko Tamenunda.

Słuchali jednak na próżno. Chingachgooka ledwie można było dosłyszeć. Lecz zaraz głos począł mu drżeć, słowa cichły, aż wreszcie zamarły, jakby uniesione podmuchem wiatru. Zamknął usta i siedział cicho, skamieniały, ze stężałym wzrokiem, jak istota, którą Bóg obdarzył ludzkim kształtem, lecz pozbawił duszy. Delawarzy pojęli, że ich przyjaciel nie okrzepł po ciężkim bólu, i przestali nań zwracać uwagę. Z wrodzoną delikatnością zajęli się pogrzebem obcej dziewczyny.

Jeden ze starszych wodzów dał znak kobietom stojącym obok zwłok Kory. Posłuszne rozkazowi podniosły mary na wysokość głowy i miarowym krokiem ruszyły naprzód, śpiewając już inną pieśń pogrzebową na cześć zmarłej. Gamut, badawczo przyglądający się ceremonii, którą uważał za wysoce pogańską, pochylił się teraz ku nieprzytomnemu z żalu pułkownikowi Munro i szepnął:

— Odchodzą ze zwłokami. Chodźmy za nimi i dopilnujmy, by je pogrzebano po chrześcijańsku.

Munro drgnął jak na dźwięk trąb na Sąd Ostateczny. Niespokojnie rozejrzał się wkoło, wstał i ruszył za skromnym orszakiem po żołniersku wyprostowany, lecz przygnieciony niezmiernym bólem — bólem ojca po stracie dziecka. Jego przyjaciele pogrążeni w głębokim smutku szli przy nim. Nawet młody Francuz dołączył się do orszaku, najwidoczniej głęboko wstrząśnięty przedwczesną i tragiczną i śmiercią pięknej, młodej kobiety. Kiedy już ostatnia, najskromniejsza z Indianek przyłączyła się do orszaku (na pozór bezładnego, a jednak

zachowującego porządek), wojownicy znów zwarli się w milczący i nieruchomy krąg wokół ciała Unkasa.

Na grób Kory wybrano mały wzgórek porośnięty kępką młodych i pięknych sosen. Rzucały one smutny cień na jej przyszłe miejsce spoczynku. Po wejściu na szczyt wzgórka dziewczęta postawiły na ziemi swój ciężar i z indiańską cierpliwością i wrodzoną nieśmiałością czekały, by krewni lub przyjaciele zmarłej podziękowali za okazaną przez nie troskę. Wreszcie zwiadowca, jedyny wśród białych znający zwyczaje Indian, powiedział po delawarsku:

— Moje córki dobrze się spisały. Biali im dziękują.

Dziewczęta zadowolone z tej pochwały złożyły ciało zmarłej do kunsztownej trumny z brzozowej kory, którą opuściły w głąb ciemnego grobu. W milczeniu, bez żadnych ceremonii zasypały grób i ukryły ślady świeżo poruszonej ziemi pod liśćmi, gałęziami i chrustem. A gdy już z tym skończyły, zawahały się, jakby w swej dobroci chciały pokazać, że nie wiedzą, czy mają dalej zachować indiański ceremoniał. Wówczas zwiadowca powiedział im:

— Moje młode kobiety zrobiły już wszystko, co trzeba. Dusza bladej twarzy nie potrzebuje ani pożywienia, ani ubioru, bo jej tęsknota dozna zaspokojenia w niebie białego człowieka. Widzę — dorzucił spoglądając z ukosa na Dawida, który już otwierał swą książeczkę i gotował się do zaintonowania pobożnej pieśni — że ktoś, kto dobrze zna się na zwyczajach chrześcijan, zaraz zabierze głos.

Kobiety, które dotychczas odgrywały główną rolę w obrządku żałobnym, teraz skromnie odeszły na bok i stały się cichymi i uważnymi widzami. Kiedy Dawid całą duszą zatopił się w śpiewie, żadnym ruchem nie zdradziły zniecierpliwienia czy zdziwienia. Słuchały obcych słów, jakby je rozumiały, i na pewno przeżywały zawarty w nich żal, nadzieję i rezygnację.

Dawid wzruszony ceremonią pogrzebową, której był świadkiem, i niezawodnie pod wpływem własnego tajemnego bólu przeszedł sam siebie. Jego silny, dźwięczny głos bynajmniej nie tracił w porównaniu z łagodnymi głosami

kobiet, a sama pieśń — umiarkowana w tonach — tym się wyróżniała na korzyść od śpiewów Indianek, że rozumieli ją ci, dla których była przeznaczona. Dawid zakończył pieśń tak, jak zaczął — wśród głębokiej i uroczystej ciszy.

Kiedy ostatnie strofy przebrzmiały już w uszach słuchaczy, Indianie ukradkiem poczęli spoglądać na siebie, a ogólne, choć tłumione poruszenie wśród nich zdradziło, że czegoś się spodziewają po ojcu zmarłej. Munro zrozumiał, że teraz musi się zdobyć na największy wysiłek, jaki może znieść człowiek. Obnażył głowę i ze spokojnym, skupionym wyrazem twarzy spojrzał na otaczający go cichy i nieśmiały tłum. Potem skinął na zwiadowcę i powiedział:

— Podziękuj tym dobrym i szlachetnym dziewczętom w imieniu człowieka złamanego na duchu i ciele. Powiedz im, że Bóg, którego wszyscy czcimy pod różnymi imionami, nie zapomni im tej dobroci i że może niezadługo zbierzemy się przy jego tronie bez różnicy płci, pochodzenia i koloru skóry.

— Zwiadowca wysłuchał drżących słów starego weterana i wolno potrząsnął głową, jakby szkoda było trudu.

— Powiedzieć im to — odparł — znaczyłoby tyle, co powiedzieć im, że w zimie śnieg nie pada albo że słońce najmocniej pali, gdy z drzew opadły liście.

I zwróciwszy się do kobiet przekazał im podziękowania pułkownika Munro w zwrotach, które uważał za najbardziej dla nich zrozumiałe. Munro zaś opuścił głowę i znów byłby zapadł w melancholię, gdyby młody oficer francuski nie dotknął lekko jego łokcia. Nieszczęśliwy starzec ocknął się i spojrzał na Francuza, a ten wskazał na słońce i na grupę młodych Indian zbliżających się ze szczelnie osłoniętą lektyką.

— Rozumiem pana — odparł Munro z wymuszoną pewnością siebie. — Rozumiem. Taka jest wola nieba i trzeba się jej poddać. Koro, dziecko moje! Jeśli modlitwy nieszczęsnego ojca mogą ci pomóc, jakże musisz być szczęśliwa! Idziemy, panowie — powiedział, dumnie rozglądając się wkoło. Lecz nie zdołał ukryć cierpienia na twarzy wykrzywionej bólem.

— Tu spełniliśmy nasz obowiązek. Jedziemy.

Heyward chętnie usłuchał rozkazu. Spełniając go opuszczał miejsce, gdzie nerwy lada chwila mogły go zawieść. Gdy wszyscy siadali na konie, znalazł czas, by uścisnąć rękę zwiadowcy i przypomnieć mu, że wyznaczyli sobie spotkanie w szeregach angielskiej armii. Potem raźno wskoczył w siodło, wspiął konia i stanął u boku lektyki, w której szlochała Alicja. Niebawem stary Munro z głową zwieszoną na piersi, Heyward i Dawid w milczeniu jadący za nim, adiutant Montcalma i jego świta, słowem wszyscy biali z wyjątkiem Sokolego Oka, zniknęli z oczu Delawarów i skryli się w puszczy.

Ale więzy wspólnego nieszczęścia łączące tych prostych mieszkańców puszczy z obcymi ludźmi, którzy przypadkowo do nich zawędrowali, nie rozluźniły się tak łatwo. Minęło wiele lat, a opowieść o białej dziewczynie i młodym wodzu Mohikanów skracała długie noce, urozmaicała ciężkie marsze i napawała chęcią zemsty młodych i dzielnych Delawarów. Nie zapomniano nawet o drugorzędnych postaciach tej pamiętnej historii. Zwiadowca zapytany przez Delawarów (długo jeszcze był ogniwem łączącym ich z cywilizowanym światem) powiedział im, że Siwa Głowa niebawem odszedł do krainy ojców, złamany, jak błędnie sądzono, swymi niepowodzeniami wojskowymi; że Szczodra Ręka zabrał jego żyjącą córkę do osady bladych twarzy, gdzie wreszcie jej oczy obeschły z łez i uśmiech, z którym bardziej jej było do twarzy niż w żałobie, znów zakwitł na jej ustach.

Ale to są już dalsze dzieje, nie objęte naszą opowieścią. Wróćmy więc do tematu.

Po odjeździe białych Sokole Oko powrócił tam, dokąd ciągnęło go serce. Nadszedł w sam czas, by po raz ostatni spojrzeć na Unkasa. Delawarzy właśnie go ubierali w jego ostatni ubiór ze skór. Ujrzawszy zwiadowcę przerwali te czynności, pozwolili mu długim i tęsknym spojrzeniem pożegnać się z Unkasem i szczelnie, już na zawsze, spowili ciało. Później, po drugim uroczystym przeniesieniu zwłok, całe plemię zebrało się nad tymczasowym grobem wodza,

tymczasowym, albowiem kiedyś jego szczątki miały spocząć wśród grobów jego ludu.

Jedno uczucie ogarnęło tłum, który zebrał się nad grobem Unkasa. Panowała tu ta sama surowa cisza, widać było ten sam poważny smutek i głęboki szacunek dla osób najbardziej dotkniętych żałobą, jak nad grobem Kory. Ciało Unkasa umieszczono w wygodnej pozycji, twarzą na wschód, a obok położono broń wojenną i myśliwską na ostatnią drogę. W trumnie wycięto otwór, by duch zmarłego mógł w razie potrzeby połączyć się ze swą ziemską powłoką. Grób zręcznie, z prawdziwie indiańską chytrością zamaskowano i zabezpieczono przed dzikimi zwierzętami, by go nie zwęszyły ani nie rozgrzebały.. Na tym zakończono materialną stronę pogrzebu i znów powrócono do duchowej.

Raz jeszcze uwaga wszystkich zwróciła się ku Chingachgookowi, który dotąd nic jeszcze nie powiedział, a po tak słynnym wodzu i w takich okolicznościach spodziewano się słów pociechy i nauki. Surowy i już całkowicie spokojny Chingachgook odgadł życzenie ogółu, uniósł twarz dotąd ukrytą w fałdach ubioru i objął tłum twardym spojrzeniem. Otworzył boleśnie zaciśnięte usta i po raz pierwszy w czasie tych długich ceremonii pogrzebowych powiedział mocnym, zrozumiałym głosem:

— Czemu moi bracia się smucą? — i spojrzał na otaczający go ciemny tłum zgnębionych wojowników. — Czemu płaczą moje siostry? Czy dlatego, że młody wódz odszedł na szczęśliwe łowy, że zaszczytnie dokonał żywota? Był dobry, gorliwy i dzielny. Któż temu zaprzeczy? Manitou potrzebował takiego wojownika i powołał go do siebie. Ja zaś, syn i ojciec Unkasa, zostałem tu jak okorowana sosna na porębie bladych twarzy. Mój ród odszedł znad słonego jeziora i z gór Delawarów. Ale któż powie, że Wąż swego plemienia zapomniał o mądrości. Zostałem sam…

— Nie, nie!… — zawołał Sokole Oko, który ze szczerym współczuciem i ze zwykłym opanowaniem patrzył na stężałą twarz przyjaciela. Teraz jednak nie dopisał mu jego filozoficzny spokój. — Nie, *sagamore,* nie sam. Bóg kazał nam iść tą samą

ścieżką, choć dał nam odmienną naturę i różny kolor skóry. Ja też nie mam rodziny ani swego narodu. Unkas był twoim synem i czerwonoskórym, a więc tej samej krwi co ty… ale jeżeli kiedykolwiek zapomnę o tym chłopcu, który na wojnie tak często walczył u mego boku, a podczas pokoju spał przy mnie, niech Ten, który nas wszystkich stworzył, białych i czerwonoskórych, tak obdarzonych czy inaczej, zapomni o mnie! Rozstaliśmy się na jakiś czas z chłopcem, ale ty, *sagamore*, nie jesteś sam!

Zwiadowca głęboko wzruszony wyciągnął dłoń nad świeżą mogiłą, a Chingachgook pochwycił ją i mocno uścisnął. W tym przyjacielskim uścisku obaj śmiali mieszkańcy puszczy pochylili głowy zraszając grób Unkasa gorącymi, rzęsistymi łzami.

Wzruszającą ciszę, z jaką przyjęto ten wylew uczuć dwóch najsłynniejszych wojowników, przerwał nagle Tamenund wzywając Delawarów, aby się rozeszli.

— Dość — powiedział. — Idźcie, dzieci Lenapów. Manitou wciąż jeszcze się gniewa. Czemu Tamenund miałby tu pozostać? Blade twarze władają ziemią, a czas czerwonoskórych jeszcze nie nadszedł. Dzień mego żywota trwał za długo. Rankiem spoglądałem na synów Żółwia szczęśliwych i silnych, a zanim noc zakryła moje oczy, widziałem ostatniego wojownika z mądrego plemienia Mohikanów.

# Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
WSTĘP
ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
ROZDZIAŁ CZTERNASTY
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI